4764/58

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI

1855.

Tom drugi.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LVIII.

Biblioteka

WARSZAWA.

W DRUKARNI GAZETY CODZIENNÉJ.

—

1855.

4620. 1855. 2
II

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Warszawa, d. 12 (24) marca 1855 r.

Starszy Cenzor,
RADCA DWORU, **J. Papłoński.**

30.000/1-

X-14157
4620/II
1855 2

WSPOMNIENIA

Z PODRÓŻY I WYCIECZEK PO KAUKAZIE,

PRZEZ

W. D.

II.

Wystąpienie ze Stauropola.—Ogólny zarys kaukazkiéj wojny.—Stannice: Siergiejewska, Alexandrów, Sablin, miasto Georgiewsk i jego handel.—Spotkanie.

Stepowo-górzysta okolica otwierała się przedemną, gdym występował ze Stauropola. Sam nie wiedziałem czego się cieszyłem, spojrzawszy w tę przestrzeń, co wkrótce miała roztoczyć przed mym wzrokiem mnóstwo zajmujących widoków, i zaledwie z nazwiska znajomych przedstawić okolic i ludów; gdzie miała się wysnuwać ma przyszłość, śród nieprzewidzianych a nader ciekawych przygód. Słońce już się wzbiło na niebo w całéj okazałości wschodniéj; poza mną jaśniał i migał Stauropol z całą pstrocizną dachów i murów. Rozlegał się po zroszonéj trawie dźwięk dzwonu z pięciogłowego soboru, co całym ogromem osiadł na najwyższém wzniesieniu miasta. W dali przedemną w przezroczystém powietrzu bielał na niebie dwuwierzchołkowy Elborus, a step kaukazki powiewał najpiękniejszą zielonością traw i zasiewów.

Niewiele odmienny miałem nateraz kraj wokoło niż poprzednio, ale odmienne podróży towarzystwo; znalazłem się w gronie kilku żołnierzy wracających z urlo-

pów do swych pułków, trzech czy czterech kaukazkich junkrów, wesołych hulaków, nareszcie jakiejś kobiéty średniego wieku z podrastającą córeczką, przejeżdżającéj z głębokiéj Rossyi do męża, będącego gdzieś żołnierzem na kaukazkiéj linii. Za nami toczyła się parą wołów zaprzężona podwoda, obładowana naszemi tłumoczkami, pod dozorem owéj żołnierki i jéj córki, którym przez wzgląd na ich płeć, całe towarzystwo ustępowało prawa jechania.

Kraj, który przed Stauropolem jeszcze zaczął ustrajać się w góry olbrzymich zarysów, podnosił się, im bardziéj zagłębialiśmy się w okolice; lecz droga nasza prowadziła jeszcze po równi między bujną roślinnością. Już tu nie było widać chłopków, ani trzód tak licznych jak przed Stauropolem: przeciągali tylko konno liniowi kozacy, w ubiorze i uzbrojeniu czerkieskiém. Oni tu wzdłuż całego gościńca co mila lub dwie trzymają kordony i mają swe stanowiska okopane, lub obmurowane z wyżką, czyli wieżyczką, na któréj wierzchołku kozak, cały w uzbrojeniu, z gwintówką i pistoletami, przy szaszce i kindżale, zwraca się na wszystkie strony, wypatrując czy jakie niebezpieczeństwo nie zagraża podróżnym ze strony górali. Na dole pod wyżką, pasą się konie puszczone luzem, i kilku, czasem kilkunastu kozaków, to leżą, to siedzą na trawie, grając w karty, lub czyszcząc swą broń. Jestto ich najprzyjemniejsza zabawa, która tak w domu, jak na służbie nie opuszcza ich i największą część życia im zajmuje. Tuż pod kordonem poniżéj, najczęściéj nad strumykiem lub przy studni, dymi się ognisko przy którym gotują sobie posiłek, lub w dni chłodniejsze grzeją się gromadnie.

Nim się przyjrzymy lepiéj ich życiu i zwyczajom poróżnych punktach kaukazkiéj linii; nim rzucim okiem na uorganizowanie się téj linii wznoszenie się miast i forteczek; nim zwiedzim stannice i ich towarzystwa; nim się zagłębim w wąwozy i lasy kaukazkie, a w miarę postępowania ku tym białym szczytom, zapoznamy się z licznemi pokoleniami gór: poznajmy wprzód piérwsze początki wojny kaukazkiéj (1).

(1) Z dzieła Platona Zubona pod tyt.: Картина кавказскаго края. С. Петербургъ, 1834 г.

Najważniejszym celem i najpiękniejszém marzeniem Piotra Igo było otwarcie szerokich bram swego państwa i wyprowadzenie swych poddanych na dalekie gościńce do państw Zachodu jako i w głąb' Azyi wiodące. Lecz na drodze do téj ostatniéj leżał dziki Kaukaz, a brzegi morza Czarnego i Azowskiego obsiadły liczne pokolenia górali i szczątki owych hord strasznych Tamerlana. Od morza Czarnego trzeba było rozpocząć pracę trudną, która miała z czasem spokojnemi stosunkami handlu połączyć Wschód z Zachodem. Ale do zawiązania tych stosunków dojść można było tylko orężem. A naprzód szło o wypłynienie na morze Czarne. Bez portu jakiegokolwiek i żeglugi na morzu Czarnem, niepodobieństwem zdawało się zbliżyć do niedostępnych gór Kaukazu. Ztądto Piotr I-y musiał dotrzéć aż do brzegów Czarnego i Azowskiego morza, o kilkadziesiąt mil ku południowi posunąwszy granicę swéj monarchii. Wzięcie Azowa, a następnie zbudowanie portu Taganrogskiego (1695 r.), było świetnym początkiem obszernego planu. Lecz niepomyślna wyprawa przeciw Turkom i pokój nad Prutem, na krótki czas przerwały nić tych działań, które późniéj z pomyślniejszym rozwinęły się skutkiem. Azów na mocy tego pokoju zwrócony Turcyi; port taganrogski zniesiony. Niezmordowany monarcha nie cofnął się od swego przedsięwzięcia: nie udało się stanąć silną nogą na gruncie azyatyckim od morza Czarnego, postanowił więc dokonać tego od Kaspijskiego. Tam więc swój wzrok skierował. Tu z Persyą trzeba było miéć do czynienia, lecz ta nękana była wojną domową: nie mogła téż ani szkodzić, ani pomagać. Turcya tylko i tu wyciągnęła dłoń zbrojną, a korzystając także z niezgód wrzących w dynastyi szacha, zagarnęła jéj prowincye zachodnie i aż po Kaukaz się rozparła. Z drugiéj strony górale, korzystając z tego położenia Persyi, robią wycieczki do Gruzyi i sąsiednich prowincyj. Jedno z najstraszniejszych i najsilniejszych pokoleń, Lezginowie, ogniem i mieczem pustoszą prowincyą szyrwańską i do 300 rossyjskich kupców bawiących w Szemachii, zabijają. Persya więc, jeśli nie mogła szkodzić Rossyi, nie mogła téż być jéj użyteczną. Z Turcyą tylko i wspieranemi od niéj góralami

trzeba było mieć do czynienia. Rychło zbudowana została w Kazaniu flotylla Kaspijskiego morza.

W r. 1722, 15 maja wypłynęła ona z ujścia Wołgi z 22,000 piechoty, 9,000 dragonów i 15,000 kozaków i Kałmyków. Sam Cesarz nią dowodził. Okręty naładowane amunicyą i prowiantem krążyły około brzegów, gdy armia postępowała po lądzie, drogą przez Dagestan wiodącą, po któréj oddawna liczne narody od północy jako i południa przeciągały. Wtedyto po raz piérwszy niedostępne góry rozległy się hukiem dział rossyjskich. Pokój w Petersburgu w 1722 r. zawarty, zostawił za Rossyą prowincye nadkaspijskie. Niedługo Turcya znowu wzięła się do oręża. I tu więc Rossya byłaby przez nią niepokojona, gdyby nie to, że Austrya będąca w przymierzu z Piotrem I-ym, nie zagroziła jéj Nad-Dunajskim prowincyom. Cesarz Rossyi kazał sobie ustąpić ziemie tak w jego ręku będące, jako też i inne sąsiednie; lecz nie doczekał się owoców swéj expedycyi, kończąc niedługo żywot, a śmierć jego zmieniła postać rzeczy. Odstąpiono od celu głównego, jakim był handel, lubo wznawiano tę odwieczną walkę z góralami i Turcyą, a nawet z szachem; bo Persya z wstąpieniem na tron Nadir-Szacha odbiła swoje prowincye, a Rossya dla braku finansów musiała zrzec się z taką trudnością zdobytych ziem zakaukazkich. Nadto pokojem w Belgradzie 1739 r. zawartym, zmuszoną była uznać niepodległość Wielkiéj i Małéj Kabardy, prowincyi ścielącéj się u stóp środkowego Kaukazu od północnéj jego strony, nad którą swą opiekę oddawna rozciągała, i przytém zaprzestać myśléć o zbudowaniu floty na morzu Azowskiem.

Tak więc od zachodnich jako i wschodnich brzegów zniweczone były usiłowania Rossyi usadowienia się na ziemi Kaukazkiéj i Zakaukazkiéj. Pozostawała trzecia jeszcze droga środkowa przez wąwoz Daryalski prowadząca do Gruzyi, trudniejsza może, lecz za to pewniejsza. Osetinowie, jedno z plemion góralskich, zamieszkują około tego wąwozu i trzymają, można powiedzieć, złoty klucz Gruzyi. Od nich zależało wpuścić tam kogo im się podobało i poprowadzić aż na piękną dolinę Alazańską, lub zabronić nawet zbliżyć się pod niebotyczne ściany wąwozu. Cesarzowa Elżbieta dobrze to

pojęła; potrafiła zbliżyć do siebie Osetinów, tak, że ci zaczęli przyjmować religią chrześciańską. Ustanowioną była w Mordoku duchowna kommissya w celu nawracania ich; a tym sposobem w Osetii w Daryalskim wąwozie i na mroźnych białych wierzchach środkowego Kaukazu, przez które trakt gruzyjski prowadzi, zasiano ziarno prawosławnéj wiary. Osetia sprzymierzyła się z Rossyą, otwarła jéj wąwóz i poprowadziła jéj posłów aż za góry. I oto najpiérwsze początki kaukazkiéj linii, która miała z czasem zabezpieczyć gościniec do bogatéj Azyi. Przecież uorganizowanie téj linii, rozwinięcie jéj kierunków, obsadzenie forteczkami i redutami, dokonało się dopiéro za Katarzyny II i jéj następców; bo Ona dopiéro z nową energią rozpoczęła tak świetnie przez Piotra Igo zagajone działania wojenne na Kaukazie. Niżéj nieco, w miarę jak się zagłębim w tę krainę rozlegającą się łukiem dział i na różnych punktach spotkamy się z różnéj krwi i narodowości jéj mieszkańcami, postaramy się zbadać: w jakich okolicznościach formowała się ta linia, zabezpieczająca granicę południową Rossyi od bujnych nabiegów, tych że tak powiem dzikich ptaków gór, mglących często baczne oko posterunków rossyjskich. Tymczasem zwróćmy jeszcze uwagę na ogólny ruch oręża rossyjskiego.

Uzbrojenie i wzniesienie na różnych punktach fortec i redut, wywołało kroki zaczepne Kabardyńców i Czeczeńców. Jedni z za Kubani, drudzy z za Tereku rozpoczęli ten szereg wycieczek, tych walk i utarczek dorywczych na kwitnące i bogate sioła rossyjskie, dotąd się w tymże samym przeciągających charakterze. Ośmielała ich wojna z Turcyą, prowadzona wtedy przez Cesarzową, a zakończona pokojem Kuczuk-kajnardzkim (1774), którym prócz innych korzyści, Rossya otrzymała władztwo nad obiema Kabardami i dostała w posiadanie brzegi Azowskiego morza. Wtedyto zbrojna kaukazka linia pod namiestnictwem Potemkina rzucona została od Moidoku aż do Azowa; kozacy uorganizowani, i wtedy to zabezpieczona droga do Gruzyi, pomiędzy Osetinami, przez malowniczy wąwoz Daryal, około którego siadły liczne reduty.

Prócz tego od ujścia Wołgi (1781 r.), znowu wystąpiła pod żagle flotylla rossyjska na morzu Kaspijskiem,

z zamiarem opanowania niektórych nadbrzeżnych punktów w prowincyach perskich. Chrześciańscy carowie Gruzyi i innych ziem kaukazkich, więcéj sympatyzując z chrześciańską swą protektorką niż z Persyą, coraz więcéj szukali jéj opieki. Lecz w 1787 r. znów stanęła Turcya pod bronią i grzmot wojny rozległ się po wyniosłych górach. Rossya bierze szturmem Anapę (1791 r.) i od Czerkiesów zdobywa Sudżuk-kale. Lecz traktatem w Jassach w r. 1792 zawartym, obie te fortece napowrót zwrócone Turcyi, z warunkiem, aby ta powstrzymywała pustoszące nabiegi Czerkiesów, a Rossyi przyznana protekcya nad chrześciańską Gruzyą i sąsiedniemi jéj ziemiami. Z niechęcią na tę protekcyą patrzała Persya. Szach jéj Aga-Mahomet-Chan wkracza (1795 r.) do Gruzyi, niosąc miecz zemsty do téj pięknéj krainy. Tyflis splądrowany, a mieszkańcy jego padają pod mściwym bułatem szacha. Tak więc znów zapalona pochodnia wojny. Generałowie Katarzyny II wkraczają bystro do krajów perskich, ponad Kaspijskiem morzem leżących, mszcząc się za krzywdę Tyflisu. Derbent, Baku, Szemacha, Handża, cały brzeg nad-kaspijski aż do rzeki Kury, dostaje się Rossyi. Lecz ze śmiercią Katarzyny II, następca jéj Paweł I inny daje kierunek swojéj polityce. Za wstąpieniem na tron każe swym wojskom wystąpić z tych prowincyj i zrzeka się dobrowolnie wszelkich dotychczasowych korzyści. Lecz niezadługo król Gruzyi Grzegórz XII dobrowolnie poddaje się Cesarzowi, spełniając wolę nieboszczyka ojca swego Herakliusza I. Manifest z 12 września 1802 r. ogłasza Gruzyą pod władzą i zarządem Rossyi. Dla ubezpieczenia zaś Gruzyi od sąsiadów na nią czyhających, podbite zostały w 1804 r. hańskwa Dżarro-Batakańskie, Handżyjskie i uśmierzeni Lezginowie. Z takichto drobnych ziem, hańskw i sułtańskw, składał się kraj zakaukazki i kaukazki. Poddawały się one Rossyi jużto dobrowolnie, już z musu: Mingrelia, Imeretia, hańskwo Karabachskie, Szekińskie, Szyrwańskie, sułtańskwo Szuragielskie, wszystkie prócz jednowiernéj z Gruzyą Mingrelii i Imeretii, wyznające mahometanizm. Wkrótce znowu Derbent, Baku, Kuba, których hanowie obawiając się sprawiedliwéj zemsty Rossyi (za zabicie zdradą głównodowodzącego na Kaukazie ks. Cycyanowa), bezwarunkowo się poddają.

Tak więc już od gór po rzekę Kurę, od Czarnego do Kaspijskiego morza, rozciągała się potęga Rossyi, która panując w Szuszy, obudzała obawę ciągłą w Persyi. Jakoż zamordowanie posła rossyjskiego w Teheranie, było hasłem do rozpoczęcia nowych kroków nieprzyjacielskich. Pokój Turkmanczacki (1828 r.) poddał Rossyi Erywan i Nachiczewań: dwa miasta otwierające jéj wstęp do Persyi, a granicę aż do rzeki Araxy posunął. Nareszcie pokojem Adryanopolskim 1829 r. który ostatecznie zakończył nieporozumienia jéj z owemi dwiema potencyami, nabywa Rossya Anapę i Sudżuk-kale, dwie fortece nad Czarnem morzem, od których można powiedzieć los gór zależał: bo tym sposobem górale oddzieleni zostali od jednowiernéj z nimi Turcyi i zupełnie pozbawieni jéj pomocy. Fanatyzm religijny pomnaża ich przyrodzoną odwagę, a wojna wyłącznie z nimi prowadzona, przybiera odrębny charakter, ciekawy dla taktyka i zajmujący dla artysty.

Lecz postępujmy daléj po szerokim jednostajnym trakcie, w głąb kaukazkiego kraju i zapoznajmy się wprzódy z tą miejscowością i różnemi ludami, o których więcéj przyjdzie nam coś opowiedzieć. Zaczerpnąwszy źródlanéj wody do tykwy, pożegnajmy się z kordonem i malowniczą jego załogą, pośród któréj chwilę zabawiliśmy podczas południowego skwaru, i zebrali kilka powyższych notat historycznych.

Znowu jesteśmy na obszernym stepie, oddychając czystém jego powietrzem; znowu nogi nasze zaczęły zwykłą swą pracę, do któréj tak przywykły, że nie spostrzegliśmy, jak doszliśmy do naszéj stacyi.

Stannica czyli osada kozacza Siergiejewka, do któréj zawitaliśmy, wcale niewesoły przedstawiła oczom naszym widok. W okolicy piaszczystéj, pozbawionéj drzew i zieloności, pod stromą górą kilkanaście wyciągniętych w jednę ulicę chałup kozackich, oto wszystko, co nas niezbyt zajęło; a ciągły wiatr, który zimą i latem z wyniosłéj płaszczyzny nad osadą nieustannie spadając, kręci zamiecią piasku lub śniegu, rychło każdemu się naprzykrzy. Jak powierzchowność osady, tak jeszcze mniéj nas ujęło przyjęcie tamtejszych gospodarzy. Po długiém szukaniu ledwieśmy spotkali się z sockim czyli sołtysem. Nie spieszył się ku nam na

spotkanie; leniwie i gniewny przyszedł i słowa nie mówiąc poprowadził nas z jakąś niechęcią wzdłuż pustéj ulicy, wskazując długą swą laską kwatery każdemu z naszego podróżnego towarzystwa. Wszedłem do wyznaczonéj mi chałupy. Niechętnie jakoś gospodyni odpowiedziała mi na moje przywitanie. Za mną jeden z żołnierzy, owych towarzyszów podróży, wniosł tłumoczek. Gosposia dorodna kozaczka, z rumianą twarzą, w czystéj bieliźnie, z pękiem paciorków na szyi, kończyła swój podwieczorek; lecz w żaden sposób rozmowy z nią zawiązać nie umiałem. Poprosiłem ją o wodę do umycia: wskazała ręką na ceber stojący w sieni, a sama zawiązawszy się w białą chustkę, poleciwszy mi, abym drzwi zamykał na kłódkę gdy będę wychodził, wyszła, bynajmniéj nie troszcząc się o swego gościa. Siadłem oparłszy się nad stołem układając plan jakim sposobem i gdzie się pożywić. Pod piecem gdakała kwoczka z kurczętami, które głośno i piskliwie wrzeszczały, dopominając się o toż samo, o co się i mój żołądek zgłodniały całodziennym postem, dopominał; tak, żem miał chęć razem z kurczętami i kwoczką zacząć gdakać, aby zwabić kogoś z gospodarzy, coby nas razem uspokoił. Wyjrzałem na podwórze, ani żywéj duszy! Stajenki poroztwierane, a po umieceniu podwórza domyśliłem się, że dawno tam żadne stworzenie rogate, lub nierogate nie postało. Z innemi towarzyszami drogi nie poznawszy się i ledwie po kilka słów przemówiwszy, nie chciałem radzić o najpierwszéj życia potrzebie; lecz wziąwszy z sobą żołnierza, który zachęcony małym datkiem nieustannie mi usługiwał, wybrnęliśmy po piasku na wieś, szukając czegoś do posiłku: jaj lub mleka. Z trudnością sprzedano nam cokolwiek tego ostatniego.

Postanowiłem zwiedzić Siergiejewkę; ale niewiele było do zwiedzenia. W pięć minut przeszedłem z jednego końca na drugi. Domki wszędzie jednostajne z pozamykanemi okiennicami, dla uchronienia się od much i upału. Rzadko gdzie widać było ruch i ludzi, bo to była pora pracy w polach czy w ogrodach, a te pola i ogrody leżały gdzieś daleko o wiorst kilkanaście lub więcéj od stanicy. Tam wyruszyła cała ludność, tam kobiety, dzieci i kozaki, prócz tych, którzy pozostali

na służbie przy stannicy, dla straży lub konwojowania dostojniejszych podróżnych i poczt. Kilkunastu więc na ten cel kozaków siedząc przy bramie, a raczéj wrotach stannicznych pod poddaszem, cały dzień boży letni ziewając czyszczą swą broń, łatają baszmety, reparują buty i ładownice; a na każdy dźwięk pocztowego dzwonka już wszyscy na nogach, już gotowi do drogi. A poczty raz wraz dzwonią to w jednę, to w drugą stronę, od Stauropola ku górom, lub napowrót: bo jeden tylko ten trakt z obszernéj Rossyi prowadzi na Kaukaz i do Gruzyi. Tym jednym traktem, jak zwężoném korytem rzeka, przelewa się bystro cała ludność tam lub napowrót, ludność wojskowa i cywilna. A każdy się spieszy tym wązkim kanałem; tylko się mignie, woła i hałasuje na poczcie i już go nie ma. Siergiejewka nawykła do tych przelatujących meteorów, zobojętniała na ten tłum różnych godności, migających się błyskawicą środkiem ulicy: nie boli ją głowa, kto tam jedzie i gdzie pędzi.

Wracając z przechadzki po stannicy, spotkałem jednego z junkrów towarzyszów podróży. Ten mi opowiedział jak sobie poradził, aby wymódz coś do posiłku od swéj gospodyni. Z pomocą innych puścił wieść pomiędzy kobiety, że jest czarnoksiężnikiem, że dobre i złe sprowadzi na stannicę jak tylko zechce. Nuż więc ten mu znosić to jaja, to śmietanę i placki, lub kaszę jaglaną w mleku; nuż mu pochlebiać, aby nie zagniewał się na ich siedzibę. Tak on sam, jako i towarzysze jego dobrze się posilili tym podstępem, do którego nierzadko, jakem się później przekonał, uciekają się na linii żołnierze dla odegrania jakiéj roli. Jeden właśnie tym sposobem wyciągnął ogromny haracz w winie i pieniądzach po stannicach Grebieńskiego pułku, przepowiadając jednym uwolnienie z niewoli w górach ojca, innym męża, lub brata, albo córkę i syna. Przepowiednie jego co do joty ziściły się, bo ów filut przybyły z jakiejś fortecy przodowéj, był świadkiem wymiany wzajemnéj jeńców, uczynionéj przez władze wojskowe z jednym z naibów Czeczeńskich. Sam był przytomny téj wymianie i konwojował całe to grono jeńców z gór uwolnionych, którzy mieli niedługo oglądać rodzinne stannice; a zbadawszy każdego ród i nazwisko, nim ci przeszli

koléj różnych formalności, zwyczajnych przy takim z gór powrocie, ów prorok już między ich krewnemi i sąsiadami ogłaszał dzień ich powrotu, opisując każdego powierzchowność i opowiadając niektóre szczegóły ich życia.

Tak więc mój pobyt w piérwszéj téj stanicy kaukazkiéj niezbyt był urozmaicony. Miałem wprawdzie jak zawsze swą ucieczkę: tekę podróżną przy sobie, lecz mi się zdawało, że z brakiem ludności naokoło mnie zabrakło i myśli; nie mogłem wydobyć z siebie żadnéj chętki do czytania, a tém bardziéj do ciągnienia daléj rozpoczętych prac poprzednio. Takie to osamotnienie w smutnéj i piaszczystéj okolicy, bez życia i ruchu ludzkiego, robiło na mnie wrażenie, iż zdało mi się, że nie mam o czém i dla kogo myśleć i czuć. Myśli i uczucia, jeśli chciałem jakie ułowić w méj duszy, uciekały jakby pocztowemi końmi przedemną i dobrze się wpatrzeć w siebie nie dozwalały. Szczęściem, że to może było jedyne miejsce na ziemi kaukazkiéj i jedyny dzień tak bezbarwny.

Nazajutrz zaledwiem otwarł ze snu oczy, uradowałem się widokiem méj gospodyni, krzątającéj się po izbie i szykującéj śniadanie dla dziéweczek, które późno w nocy powróciły z roboty, a teraz znowu miały wyruszyć w pole. Zadziwiała mnie szczególna ich obojętność i niezważanie na mnie obcego, leżącego na ławie. Z najzimniejszą krwią porządkowały na sobie swe stroje, nie robiąc sobie żadnéj ze mną subiekcyi. Począłem kaszleć i przewracać się z boku na bok. Czemuż nie byłem szczególnym jakim potworem, możebym tém zasłużył na ich uwagę i jakieś zapytanie wywołał; jak najspokojniéj usiadły na ławie prawie na mych nogach, zajadając zsiadłe mleko i ciągle go dolewając, póki brzuchaty garnek zupełnie nie został wypróżniony. Ja dla nich byłem mniéj niż drewnem, gdyż to przynajmniéj by zrzuciły pod ławę, aby im nie zawadzało. Zacząłem od jakichś zapytań, lecz te zostały bez żadnych odpowiedzi. W późniejszym dopiéro czasie zrozumiałem ten dziwny ich sposób postępowania z gośćmi. Stanice przy trakcie leżące, gdzie tyle przejeżdża i przechodzi wojskowych, nie byłyby w stanie wszystkich przyjąć i nakarmić; a wdawać się z każdym w rozmowę, byłoby to samo, co gdzieś na jarmarku wszystkim się kła-

niać. Mało ich to zajmuje kogo mają na kwaterze: sztaboficera, czy prostego żołnierza; bo jak jednych tak drugich od niepamiętnych czasów tysiące i krocie koło nich przepłynęło. Ztąd i moja hoża gosposia, jak nie cieszyła się z przybycia mego do jéj domku, tak też nie okazała najmniejszego żalu, gdym zwinąwszy moje bagaże, żegnał ją dziękując za kwaterowanie.

Od Siergiejewki do Alexandrowa droga szła okolicą górną, choć płaską. Tu już wiatr chłodniejszy przeciągał, tu i zieloność była żywszą: ztąd też jakkolwiek długą była stacya, lecz bez wielkiego utrudzenia wcześnie stanęliśmy w Alexandrowie. Widok jego przyjemny, już na wstępie zdawał się nam obiecywać weselszy tu pobyt, niż w stannicy poprzedniéj. Alexandrów niegdyś miasto powiatowe, dziś tylko stannica, ale dość obszerna i fossą okolona. Uliczki krzyżują się w różnych kierunkach to po równi, to po wzgórzach, rozchodząc się od placu środkowego z cerkwią w pośrodku, obstawionego mieszkaniem stannicznego i innych oficerów. Mieszkańcy choć kozacy, lecz gospodarstwo ich w dobrym znajduje się stanie. Obok domków z pięknym cieniem ogródki, w cieniu zaś wiśniowych i jabłonkowych drzew, po kilka ulów pszczół świadczyły o jakimś przemyśle mieszkańców. Uważałem, że kaukazkie pszczoły są bardzo łagodne i małe jak muszki; bezpiecznie śród ulów przechadza się obcy człowiek, żadna ani się zamierzy nań ze swym żądełkiem, gdy tymczasem mieszkańcy gór są złośliwi i mściwi, nakształt szerszeni. Za to mieszkańcy Alexandrowa łagodni i uprzejmi, lubili ze mną gawędzić i o wszystko się dopytywać aż do znudzenia. Siedziałem w cieniu pasieki z książką w ręku; otoczyły mnie dzieci gospodarskie, ciekawe widzieć rysunki w mojéj książce znajdujące się. Gospodarstwo zdala się przysłuchując jak dzieciom je tłumaczyłem, bardzo byli uszczęśliwieni tą moją popularnością. Nie brakło mi też niczego u nich; a wypocząwszy dobrze na téj dniówce, mogłem już nazajutrz śmiało rozpocząć dalszą drogę.

Z wesołym umysłem opuściliśmy Alexandrów, zdążając ciągle ku południowi. Ranek był piękny, powietrze przezroczyste. Na prawo podniosły się wierzchołki gór Piatyhorskich, których pięć można naliczyć oddziel-

nie stojących. Najwyższa z nich Beszłan, czyli pięciogórze, wynosząca za obłoki kamienne w trójkąt ścięte czoło, tylko w czasie pogody występuje z obłoków. Z początku wydały się nam niedużemi w głębi stepu kopcami, o kilka tylko wiorst granatowo na błękicie nieba odbijającemi; niektóre niby mchem pokryte, inne nagie z rozpadlinami i chropowate. Tak czystość powietrza zbliżała je ku nam. A przecież były one o jakie 10 mil od nas oddalone, i na olbrzymich barkach ogromy skał i urwisk dźwigały, lub szumiały lasami, które zdala mchem się tylko wydawały.

Stannica Sablin, w któréj zanocowaliśmy, na piérwsze zaraz wejrzenie uderza podróżnego swym charakterem i miejscowością czystą kaukazką. Leży ona w parowie ponad małą rzeczką. Domki pozawieszane na pochyłości wzgórz, ukryte w gęstwinie sadów rozrastających się po górze aż ku jéj wierzchołkom; po pochyłości téj góry spada z miłym szmerem tysiące strumyków, srebrząc się w gąszczy sadu, omijając ściany domków niżéj stojących. Każdy gospodarz ma swój strumyczek, lub kilka, które drobnemi kaskadami po jego ogródku i podwórzu chłodną i przyjemną toczą wodę. Podobna miejscowość w jakiżby raj ziemski dała się przemienić! Ileżby fontan i kaskad wytrysnęło śród czarownego ogrodu; ileżby przepysznych zakrętów, ile malowniczych załamań krajobrazu, otworzyła artystyczna ręka śród tego rozdołu, napół teraz dzikiego, ciągnącego się wzdłuż rzeczki, co błyszczy czystym błękitem, lub pieni się po głazach i pniach obalonych.

W okolicy pełnéj sił organicznych i bujnéj roślinności, pod cieniem jabłoni, wiśni, orzecha i morwy, zdaje się, że również i umysłowość bystrzéj się rozwija. Mieszkańcy Sablina wesołego charakteru, rozmówni i przynajmniéj za pieniądze usłużni. Miły tu mieliśmy wypoczynek śród tych górzystych ogrodów, przy szmerze i szumie drobnych kaskad. Dobry nabiał stanowił nasze pożywienie. Zdało się mi, żem trafił do rozkosznéj ojczyzny Teokryta i bawię śród ludu łagodnego szczęśliwéj Arkadyi; tylko gwintówki, pistolety, szaszki, kindżały i burki porozwieszane po ścianach, konie rżące pod siodłami, przypominały, że to Kaukaz, nie Arkadia.

Pozostawało nam dwa przechody do Georgiewska. Wyszedłszy na czyste pole ujrzeliśmy białe szczyty kaukazkiego łańcucha; długim rzędem ciągnęły się na południowo zachodnim horyzoncie, i w ciągu dnia całego tak się mieszały z obłokami i chmurami, że najwprawniejsze oko nie było w stanie zrobić między niemi różnicy. Tak nieraz przysiągłbyś, że to prawdziwe góry, a tymczasem te wierzchołki białe zaczynają płynąć po niebie, rozpadają się, to znów się kupią. A gdyśmy najpewniejsi byli, że to są obłoki, tak zdawały się lekkie i przejrzyste; to te obłoki jakby skamieniałe stoją niewzruszone, martwe, bo to były góry rzeczywiste, pokryte śniegiem i odwiecznemi lodami.

Nazajutrz w głębi stepowéj równiny ukazały się nam kopuły cerkwi i dymiące kominy Georgiewska. Niedługo też wstąpiła nasza kompania do miasta. Domki drewniane i wybielone, okna wesołe z firankami, ustrojone wazonikami, ulice szerokie i wyprostowane, zresztą mało życia, ludność rzadka i brak zupełny ruchu zwyczajnego naszym miastom: oto co naprzód uderza oko podróżnego. Sam środek miasta stanowi forteca obwiedziona dokoła zieleniejącym się okopem, z wystającemi basztami, z kształtnemi, choć niezbyt warownemi bramami i zwodzonemi mostkami. Wewnątrz fortecy wznosi się kształtny sobor św. Mikołaja, domy rządowe i murowany rzęd sklepów. Na północ od twierdzy leżą domy prywatne; od zachodu zaś przedmieście zwane Słobodką Tyfliską, zupełną postać wioseczki mające. Od wschodu bieleją gmachy szpitalu wojskowego. Na południe spada urwisty brzeg Podkumka i formuje dość wysoką górę. Na wzgórzach poza rzeką szumią gęste lasy, rzadko tu spotykane. Cała miejscowość Georgiewska dość piękna, urozmaicona dołami i zaroślami, lecz zarazem bardzo niezdrowa z powodu stojących bagien, nigdy wśród zarośli niewysychających. Febry, gorączki i szkorbut zwyczajnemi tu są gośćmi, i dlatego ludność Georgiewska, mimo jego obszerności, nie przechodzi 1830 głów, Rossyan i Ormian. Niegdyś Georgiewsk był miastem gubernialném; dziś pozostał nadetatowém i coraz bardziéj upada. Zresztą pod względem handlu Georgiewsk na Kaukazie najważniejszym może jest punktem; tu się bowiem

koncentruje cała wymiana płodów rossyjskich na kaukazkie, jako w miejscu najdogodniejszém i najbliższém wszystkich punktów kaukazkiéj linii. Stauropol leżąc nieco daléj, na samym jéj krańcu północnym, już nie przedstawia téj dogodności. Zarówno z za Kubani i Czarnomorza, z Kabardy jak i z Czeczeni, dążą do Georgiewska górale ze swemi burkami, siodłami i skurami wyprawionemi, pędzą piękne bydło i konie, i spieniężają je tu w dni jarmarkowe. Zarówno z fortec zakubańskich i za-terekskich przybywają markietani i wojskowi zakupnicy dla skupowania produktów przywożonych z Rossyi i wyrobów fabryk wewnętrznych Cesarstwa. Tutaj na całe półrocze zaopatruje się Kaukaz w cukier, herbatę, kawę, wino, korzenie, sery, wędliny, makarony i porter. Ztąd pędzą markietani bydło na porcye wojskowe. Gdyby nie dwa półroczne jarmarki tutejsze: wiosenny czyli Nikolski, jesienny czyli pokrowski; wojska kaukazkiéj linii, mimo bogactwa natury i płodów południowych, prawie piérwszych potrzeb życia byłyby pozbawionemi. Tak się téż zdarzało; niech jeno stauropolscy i głębszéj Rossyi kupcy nie dowiozą swych transportów z jakiejkolwiek przyczyny, wnet się podnosi po całéj linii cena cukru, mięsa, chleba i t. d. Zdarzało się, że cukier, którego ceny tam równają się prawie naszym, dochodził do półrubla za funt lub drożéj. W tymże stusunku inne towary drożały. Słowem, Georgiewsk jest węzłem wszystkich arteryj handlowych linii.

Lecz najbardziéj sławi się Georgiewsk wybornym swoim chlebem, najlepszym na całej linii kaukazkiéj; wypiekany w dużych pulchnych bułkach, około funta ważących, sprzedaje się po 5 do 6 groszy i zaleca się tém, że nie ma tego zbyt kwaśnego smaku, jak wszędzie po innych miejscach Rossyi. Mąka pszenna jest najgłówniejszym artykułem tutejszego handlu; zewsząd zjeżdżają się tu po nią kaukazcy posielanie, i wojskowi zakupnicy; bo ztąd już niedaleko leży Kaukaz chłopski i najbogatsza na całym Kaukazie wieś zwana Worończówką, majętność ks. Worończowa, zaludniona małorossyjskim chłopem: ztąd także niedaleko i do innych wiosek prywatnych i zamożnych.

Georgiewsk z powodu swego pośrodkowego położenia, pozostanie nazawsze ożywionym targiem produktów wiejskich, mianowicie rolnych. Pod względem zaś wojskowym, Georgiewsk jest głównym składem artyleryjskich parków i wszelkiéj broni: arsenał tutejszy jest jedyny na cały kraj kaukazki.

W ciągu naszéj podróży zawsze najnieznośniejszy pobyt miewaliśmy po miastach. Za przybyciem do Georgiewska dano nam kwatery u tamtejszych mieszczan. Trzeba się było przygotować na ich niegościnne przyjęcie i niechęć; przecież zaledwie wszedłem do swego mieszkania, gospodyni z grzecznością ukazała mi izdebkę w sieni, gdzie się miałem rozlokować. Ta izba była to piekarnia pełna much, karaluchów, i innych żyjątek zapewne, i tak ogrzana, że w łaźni parowéj gorącéj już nie bywa: dopiéro co bowiem z pieca chleb był wyjęty i powtórnie go napalono. W sieniach więc założyłem swe mieszkanie, pomiędzy różnemi gratami, konewkami, nieckami, sitami, worami mąki i otrąb, zrzuciwszy do jednego kąta wszystkie swoje bagaże. Podchmielony zaś gospodarz trzeźwił się za ogromnym samowarem, klnąc żonę i dzieci, czasami rozpędzając ich pięściami z izby i znowu zwołując. Kilku z jego sąsiadów przy tymże stole nalewali z ogromnego butla czychir, pijąc i przekąsając suchą rybą, któréj odor po całém rozchodził się podwórzu. Żądać czegoś do posilenia było tu niepodobieństwem: zabrałem się więc na miasto. Obecnie w Georgiewsku jest niezła traktyernia, lecz przed laty 10, jedyną uciechą dla podróżnych były siedzące na placu przekupki z gotowaném mięsiwem, galaretą, ogórkami i mlekiem; a dla zagłuszenia smaku tych potraw, po szynkach znajdowało się obficie kaukazkie wino czyli czychir.

Moi towarzysze podróży, kaukazcy junkrowie, uszczęśliwieni, że wstąpili nareszcie w strefę czychiru, od niego rozpoczęli ucztę w Georgiewsku. Usługujący żołnierz, który dotąd mnie nie odstępował, znikł gdzieś za przybyciem do Georgiewska. Właśnie teraz idąc spotkałem go niosącego za jednym z junkrów ogromny butel pełny czychiru. Junkier już dobrze zarumieniony ujrzawszy mnie: „koleżko, zawołał, czemużto gardzisz naszém towarzystwem? Chodź z nami, wypijem po

szklance wina, bo prócz chleba nic nie dostaniemy w téj mieścinie. Ale mniejsza o to, kiedy czychir doskonały." Nie czekając mojéj odpowiedzi uchwycił mnie pod rękę i ciągnął za sobą. Niepodobieństwem było opierać się podochoconemu młodzieńcowi, gotowemu od grzeczności do impertynencyi nagły zrobić przechód.

Całe podróżne towarzystwo znalazłem za szklankami. Towarzyszka naszéj podróży robiła honory téj biesiady. Gdym wszedł spotkała mnie dygając ze szklanką napełnioną blado-czerwoném i mętném winem, tak cierpkiém i kwaśném że nasz kwas burakowy w porównaniu z niém uszedłby za ambrozyą. Czychir, o ile jest dobrym na miejscu, gdzie się produkuje ponad Terekiem, o tyle zepsutym zawsze, rozwodnionym i mętnym w odleglejszych od Tereku miejscach, bo w miarę ubywania go z beczki podczas przewozu, dolewa się woda, tak, że mimo wyprzedaży, beczka zawsze pozostaje pełna, a ztąd i cena wina zawsze ta sama.

Do biesiadującego towarzystwa podróżnego przyłączył się sam gospodarz ze swoją połowicą. Onto właśnie fundował czychir, jego małżonka podawała gotowane ryby, pirożki i bliny, najstarsza zaś z córek gospodarza siedziała z boku na kufrze zasłanym perskim kobiercem, obok jednego z junkrów, najpoważniejszego z kompanii, udającego że przyjechał się żenić do Georgiewska. Inne siostry krzątały się z matką około gości, przynosząc z pieca różne zakąski. Szły na stół ryby, jajecznica i czychir.

Marya najdoroślejsza z córek gospodarza, kandydatka do stanu małżeńskiego, jak ładniejszą twarzą i delikatną rączką, tak bogatszym ubiorem, jedwabną suknią i trefionemi pięknie włosami odróżniała się od siostr młodszych, które, jak było widać, musiały jeszcze terminować w domu nim dorosną wieku jéj równego i tych praw dostąpią, aby mogły przyjmować oświadczenia i konkury. Nie uszło téż uwagi téj hulackiéj młodzieży, że Marya chorowała na panią. O młodzi kupieckiéj odzywała się z szyderstwem, uznając się godną innéj sfery, niż ta, w któréj wyrosła i spiękniała. Nie omieszkali téż moi towarzysze podróży natychmiast odegrać właściwéj roli, nie nowéj dla nich, którą i późniéj w ciągu podróży w mych oczach kilka razy

jeszcze powtórzyli z całą biegłością wyćwiczonych aktorów. Wyglądała ona męża ze szlacheckiego stanu, błahorodnego, któryby ją stroił, nie pozwalał pracować, a nadewszystko, któryby umiał ocenić jéj niby lepsze wychowanie. Podobne wywyższanie się nad właściwą sferę, tak nierzadkie między kobietami wszystkich miejsc i czasów, zwykło bywać dla nich źródłem najsmutniejszéj przyszłości. Nie ocenione od swoich, wzgardzane i wyśmiane od tych, między których się wciskają, muszą te istoty jak upiorzyce całe życie błąkać się między niebem i ziemią, od nikogo nie uściśnięte, nie przylgnąwszy sercem do nikogo. Nie będąc wieszczbiarzem można było Maryi odrazu opowiedzieć jak z książki całą jéj smutną przyszłość: ciągły zawód i nie ziszczające się najbliższe nadzieje, rozdzierane wszystkie illuzye, pośliźnięcie się na drodze dziewiczéj skromności, mąż utracyusz i pijak, niezgody i bijatyki, złe jéj życie i śmierć przedwczesna z rozpaczy i zgryzot.

Udani narzeczeni cały czas siedzieli przy sobie, trzymając się za ręce; ucałowali się nareszcie na żądanie ojca, zatwierdzając niejako prowadzony interes małżeński. Całe towarzystwo wychylało zdrowie młodéj pary. Pozostawało zrobić formalną umowę; lecz z powodu święta odłożono to do dnia następnego. Nazajutrz występowaliśmy raniutko, a wtedy szukaj wiatru po polu. Żal mi było dziewuchy; nie mówiąc ani słowa, nieznacznie wyszedłem z izby. Przed domem napotykam niepomiernéj postawy oficera: stanąłem frontem, przyłożywszy dwa palce do czoła. Lecz przyjemnie się zadziwiłem, gdy piérwszy mnie zaczepił przemawiając i rekomendując się. Byłto nie więcéj jak chorąży świeżo wracający z Taganrogu, z examinu oficerskiego, współrodak p. Szawł. o którym już mi w drodze mówiono. Witałem go więc jako dawnego znajomego. On także już od kogoś był zawiadomiony o mojém przybyciu.

— Poznałem odrazu — rzekł — z ubioru i fizyognomii, że musisz świeżo przybywać z kraju.

To mówiąc wprowadził mnie do swéj stancyi i kazał służącemu nakrywać do stołu. Za półgodziny bez czychiru, bez hulatyki, zjadłszy po talerzu barszczu i kaszy, którą zgotował Iwan jego służący, a zarazem ka-

merdyner, kucharz, szatniczy i masztalerz, już byliśmy jak rodzeni bracia, uszczęśliwieni ze spotkania po długiém niewidzeniu.

P. Szawł. od lat kilkunastu bawiący na Kaukazie, rodem z Płockiego, dał mi charakterystykę mego podróżnego towarzystwa, lepszą, niżbym sam sobie ją stworzył, choć od dni kilku z niém miałem do czynienia. Wdzięczny mu byłem, że mnie nauczył metody postępowania z kaukazką młodzieżą. Wielokrotnie w praktyce poźniéj zastosowałem trafne jego rady. Niejeden z nich, ileżto razy udawał to uczonego i badacza, to poetę i literata, pragnąc zbliżyć się do mnie; z udanym entuzyazmem pochwytywał każde moje słowo, choć to najmniejszego nie miało znaczenia, z chciwością czytał każdą książkę jaką wypatrzył u mnie, lub nareszcie odgadując moję namiętność nauczycielską, żądał abym go uczył jakiego przedmiotu, a kończył prośbę o pożyczenie mu kilku, lub kilkunastu rubli. Uprzedzony już o podobnych wybiegach, pozbywałem ich kilku złotemi, i zawsze pozostałem z nimi przez to w dobréj harmonii.

W ciągu rozmowy, mój chorąży zapoznał mnie powoli z przyszłą społecznością, śród któréj żyć miałem: z przyszłymi towarzyszami broni. Pragnąłem ich co rychléj oglądać jak starych znajomych.

Nazajutrz opuszczaliśmy Georgiewsk. Pocztowa trójka wioząca poważną i groźną postać kochanego chorążego rzuciła się w spienione fale Podkumka, poza który szedł trakt ku górom kaukazkim wiodący, gdy tymczasem całe nasze towarzystwo, podkasawszy poły jedną ręką, a drugą niosąc w górze obuwie, brnęliśmy po pas w mętnéj wodzie, kierując się za naszą podwodą, przez parę wołów ciągnioną.

III.

Droga od Georgiewska do Ekaterynogradu. — Malowniczy widok gór. Ogólny ich zarys topograficzny, geologiczny i botaniczny.—Ich podania.—Kraj Kaukazki i Zakaukazki.—Klimat.—Wymiary.

Wydobywszy się wąwozem poza wzgórza nad Podkumkiem leżące, znowu ujrzeliśmy się śród stepu,

ciągnącego się jednostajnie aż po same prawie stopy kaukazkich szczytów. Już tu nie było tych wzgórz olbrzymich po drodze, tych zwolna i poważnie podejmujących się wyniosłych płaszczyzn. Odznaczała go tylko bujna trawa i zboże szumiące pełnemi kłosy; a ograniczały go zdala ciemno-błękitne Piatyhorskie góry od zachodu, i białe, śniegowe szczyty głównego łańcucha od południa. Jak na poprzednich stepach, tak i tutaj rzadkie są wody; od Podkumka aż do Tereku na przestrzeni z górą mil 10, nie ma żadnéj rzeczułki znaczniejszéj. W stannicach są tylko studnie najczęściéj z wodą gorzką i niesmaczną.

Czém bardziéj zbliżaliśmy się ku południowi, tém więcéj oswajałem się i zaznajamiałem z białemi szczytami, co dniem bielały jak białe obłoki, a wieczorem po zajściu słońca odbijały jego purpurowe blaski; a nareszcie całe przybierały kolor fioletowy i ciemniały zupełnie w pomroce nocnéj.

Na noclegach i dniówkach zajrzałem do opisów tych gór, do geologicznych i topograficznych źródeł, jakie mogłem mieć pod ręką: niewiele wtedy ich jeszcze się znajdowało. Lecz późniéj, staraniem i z rozporządzenia ks. Worońcowa istniejąca kommissya tryangulacyjna pod kierunkiem pułkownika gen. sztabu Józefa Chodźki, brata naszego autora Obrazów litewskich, wymierzyła Kaukaz i kraj zakaukazki z drobiazgową prawie akuratnością. W r. 1850 pułkownik Chodźko, w skutek rozporządzenia namiestnika Kaukazu, odbył wyprawę na Ararat, wspólnie z kilku innemi współczłonkami i 60 ludźmi niższego stopnia, z narzędziami geodezyjnemi, dla oznaczenia głównych punktów i wymierzenia kątów sieci trygonometrycznéj. Od 6go do 12 sierpnia zabawił pułkownik Chodźko na Araracie, dokonawszy wszystkich prac zamierzonych i opisawszy różne jego strefy. Sam Kaukaz prawie w szczegółach zbadany, opisany o ile jest dostępny, i od niebezpieczeństw pewny. Jest karta pięknie odkolorowana, wyobrażająca przecięcie podłużne całego pasma kaukazkiego, stosunkową wyniosłość wszystkich jego szczytów, wysokość źródeł różnych rzek kaukazkich, nareszcie pochyłość ich spadku, względnie do powierzchni wód morskich. Nie zastanawiamy się nad temi

szczegółami, które byłyby tu zbyteczne i zadługoby zatrzymały czytelnika na jedném miejscu: ogólną tu tylko zrobim wzmiankę o kształcie łańcucha kaukazkiego, tak wiele różniącego się od gór europejskich.

Wszystkie niemal góry europejskie: Alpy, Pyreneje i Karpaty, od dolin tylko są dostępne; w dolinach tylko mieszkańcy uprawiają rolę, hodują stada bydła i owiec, śród dolin kwitną zamożne sioła. Inaczéj zupełnie dokonana budowa Kaukazu. Od ostatniego jego zachodniego punktu, gdzie leży twierdza Anapa, aż do krańca wschodniego, nurzającego się w wodach kaspijskich, ciągnie się nieprzerwanym grzbietem, którego pochyłość północna, szeroka na mil 10, z początku spada bystro, daléj formuje płaską wyniosłość, poczém znów się podejmuje i kończy się nad równiną stromemi ustępami, znanemi pod nazwiskiem gór Czarnych, od czerniejących na nich niebotycznych lasów, któremi wszędzie są prawie pokryte. Główne tylko wyniosłości kaukazkiego systemu, jakoto: Elborus (1) i Karbek (2) wystąpiły naprzód, ku północy.

Taki ogólny widok Kaukazu od północy. Wpatrzywszy się bliżéj w jego kształty, spostrzeżemy, że północny bok jego spada piętrami, czyli stopniami, tworzącemi obszerne nieraz pochylone płaszczyzny, do 3,000 metrów nad powierzchnię morską wzniesione. Płaszczyzny te poprzerzynane w różnych kierunkach głębokiemi i ciasnemi jarami, z urwistemi brzegami, przedstawiają, że tak powiem górne stepy pod niebem, odznaczające się bogatemi pastwiskami i żyzną ziemią, zabezpieczone swém górném położeniem przeciw postronnéj sile. Podczas największych upałów, wypalających prawie wszelką roślinność na równinach, dostarczają one najbujniejszą paszę dla trzód i nieochybne żniwo dla rolnika. Jary zaś krające na wielkie kawały te stepy, są niezmiernemi przepaściami; boki ich pokrywają bujne krzewy różnéj nazwy miejscowéj. Na spodzie zaś tych jarów, po kamykach i skałach pienią się burzliwe górne potoki, dające początek kilku głównym rzekom kaukazkim.

(1) *Dziewicza pierś.* Wysoki na 18,000 stóp.
(2) *Wódz gęsi.* Wysoki do 14,000 stóp.

Taka postać północnéj pochyłości Kaukazu, daje nam pojąć trudności zdobycia téj części gór. Wkraczająca bowiem armia, zajmując stopniowo wyżyny, wstrzymywaną bywa w swych postępach przez owe przepaści, tamujące mianowicie marsze kawaleryi i artyleryi. Zdarzało się, że półtory lub dwie doby nieraz było potrzeba, aby dostać się z jednego wyniesienia na drugie, nie więcéj nad 7 wiorst odległe, a oddzielone takim jarem, i zdające się przez złudzenie tuż o kilkanaście tylko sążni leżéć przed nami. A ileżto pracy wojsko musiało podjąć dla przejścia tych 7 wiorst, ileż razy na barkach żołnierze dźwigali działa i jaszczyki! Już tam ustawała siła i pomoc koni; zwierzę było bezużyteczne. Człowiek sam sobie tu musiał wystarczać, na swych barkach dźwigając wszystko, czego mu potrzeba było do odzienia, wyżywienia i obrony. Czasem jeszcze koń góralski na swym grzbiecie dźwigał juki z potrzebniejszemi sprzętami i żywnością, póki gdzie w przepaść z całym pakunkiem nie runął. Człowiek zawsze pewniéj od zwierzęcia sam sobie wystarczał.

Lecz inny ma charakter południowa pochyłość Kaukazu: począwszy od Anapy, wzdłuż brzegów morza Czarnego, aż do Gagrów ciągnie się drugorzędna odnoga skał łupkowych, rzadko wyższych nad 1,000 metrów od powierzchni morza. Tylko skały, choćby je nie pokrywały lasy, będą czyniły niedostępnemi miejsca ponad morzem Czarnem leżące. Lecz od Gagrów począwszy, gdzie rozpoczyna się główny łańcuch, ku wschodowi ciągnie się długi szereg wzgórz, poza któremi tuż sterczą niezmierne wyniosłości, lodami i śniegiem bielejące, zamykając przystęp do środkowych tajemnych miejsc Kaukazu.

Pod względem geologicznym w następnym porządku idą po sobie różne tych gór szeregi. Od północy: pierwsze nizkie przedgórza, rozgraniczane płaszczyznami; następnie pasmo wapienne cokolwiek wyższe od tamtych, za niém następuje pasmo łupkowe z dosyć wysokiemi górami; daléj najwyższe szczyty wiecznym pokryte śniegiem, poza któremi znowu idzie pasmo południowe skał łupkowych, wyższe od północnego z ogromnemi płaszczyznami;

daléj bardzo płaskie pasmo wapienne, a następnie przedgórza południowe.

Lecz niepodobieństwem opisać mnóstwa minerałów i ich rozmaitości, jakie zawierają w sobie te szeregi. I tak: przedgórza północne składające się z czerwonawéj gliny, lub piaskowca, mają w sobie siarkę, magnezyą, cząstki ałunu i koperwasu, selenitu i t. p. minerały, należące do gór trzeciéj formacyi; wypływają też z nich źródła słone i sączy się w wielu miejscach oléj skalny, czyli nafta.

Pasmo wapienne północne, powstaje wyłącznie z biało-żółtego wapiennika, podobnego do marmuru. Obszerne górne jego płaszczyzny pokryte są po większéj części gliną; pomimo śladów żył, rud żadnych tu nie napotkano.

Północne pasmo łupkowe, z pokładem ołowianym, mającym w sobie srébro, tudzież pyryty miedzi w kwarcu i żyłach szpatu, obfituje rudami, mianowicie w ziemi Osetinów, gdzie są urządzone od r. 1850 w wąwozie Alagirskim kopalnie srébra.

Szczyty gór śniegowych, których najwyższe wierzchołki są Elborus, Karbek, góra Bezimienna i inne, w ciągu całego roku wiecznym pokryte są śniegiem. Stanowi je granit różnego kształtu i koloru, leżący warstwami odpowiedniemi warstwom, jakie nam przedstawia przecięcie tego łańcucha na drodze wojenno-gruzińskiéj.

Południowe pasmo łupkowe, zawiera w sobie, oprócz górnego łupku, grube ziarna zielonego porfiru, rogowiec brunatny, siarczyk ołowiu, piryt miedziany, piryt arszenikowy i jaspis.

Południowe pasmo wapienne, w zachodniéj części zawiera gatunki jaspisowe na przestrzeni kilku wiorst ułożone; płaskie wierzchołki jako też boki, są pokryte żółtą, czerwoną i błękitną gliną. W pasmie tém nadto znajdują się: mika, czerwony, żelazisty kamień, piaskowiec siarkowy, kwarc mleczny, szpat polny, koperwas żelazny, ochra, margiel, żyły krzemieniste z żelazniakiem i sandarakiem, pirytу arszeniku i krwawnik.

Przedgórza południowe powstały po większéj części ze skał piaskowych, przechodzących w równiny,

kamienne i piaskowe od południa, a gliniaste od zachodu. Zawierają nadto w sobie wszelkie gatunki piaskowca, czerwono-brunatny jaspis, mikę, margiel, kwarc, zeolit, ochrę, błękitną żelazną i zielonawą glinę i węgiel kamienny, którego kopalnie w kilku już miejscach urządzone zostały.

Godne są uwagi i podziwienia kaukazkie lasy, pokrywające mianowicie przedgórza północne i zapełniające niziny i wąwozy. Tu rosną odwieczne dęby, buki, wiązy, jemioła i olcha. Na pasmie wapiennem też same dają się postrzegać drzewa; lecz na północném pasmie łupkowym, panującemi drzewami są sosny, brzozy, a niekiedy cis pospolity. Południowe góry łupkowe takież pielęgnują drzewa jak i północne. Południowe wapienne pasmo pokrywa się dębem, bukiem, wiązami, jabłoniami, gruszą i t. d. Lecz przedgórza południowe już nie tyle obfitują w lasy jak północne; ale za to podostatkiem rośnie tu drzew owocowych: gruszki, śliwy, drzewa pigwowe, migdałowe, trześnie, brzoskwinie; niemniéj jak buk zwyczajny biały i czerwony, wiąz, orzech, głogi, tarnina, sakłak i inne krzewy alpejskie pokrywają boki różnych pasm. Jałowiec krzewi się tak na północném jako i południowém pasmie łupkowém do średniéj jego wysokości.

Wymieniliśmy tu główniejsze familie państwa kopalnego i roślinnego, aby dać charakterystykę różnych pasm Kaukazu; niżéj wymienimy skarby trzech królestw przyrodzenia, o ile dotąd zostały poznane tak na powierzchni téj bogatéj ziemi, jako i w jéj łonie. Teraz zaś zróbmy jeszcze wzmiankę o stronie jego tajemniczéj i podaniowéj. Widok dziwacznych i potwornych, wiecznym pokrytych lodem szczytów kaukazkich, błyszczących jakby szereg olbrzymich brylantów, jakiemiż przesądami zapełnić musiał w ciągu wielu wieków żywą wyobraźnią, patrzących tylko zdaleka na nie nieoświeconych ludów. Każda też osada prawi cudowne rzeczy o tajemniczych siedliskach śród gór i uroczych dolinach, do których żaden śmiałek jeszcze się nie dostał. Tu można słyszeć powieści o olbrzymim ptaku-górze, który nigdy nie umiera; o odgłosie niezmiernego dzwonu, rozlegającym się niekiedy z jakiegoś pustelniczego klasztoru, do którego nikt jeszcze nie doszedł; o jakiejś

osadzie chrześciańskiéj w najpiękniejszém i najniedostępniejszém osiedlonéj miejscu, do którego znikąd żadnego nie ma przystępu. W Tuszetii, jednéj z prowincyi zakaukazkiéj, wznosi się góra potwornéj i przestraszającéj formy; nazwisko ma góry Amirańskiéj, a to od imienia Amirana, o którym Tuszetowie i Kachetowie mają podanie, jakoby za jakąś dumę przeciw Stwórcy został w łonie góry w ogromnéj pieczarze zamknięty i do skały dwoma silnemi przykuty łańcuchami. Dwa jego wierne psy dzień i noc gryzą te okowy, aby go z nich uwolnić. Raz tylko w dzień Nowego Roku otwierają się drzwi jego więzienia. Przegryzione łańcuchy już zaczynają pękać; olbrzym wyciąga straszną rękę po miecz ogromny tuż leżący koło niego; już ma go pochwycić i jedném cięciem cały świat zburzyć; ale szczęściem że kowale, którzy według starożytnego zwyczaju idą w ten dzień do kuźni i po trzy razy uderzają młotami po kowadle, na nowo umacniają łańcuchy tego potworu, i świat znowu na rok cały zabezpieczają od jego zemsty. Łatwo dostrzedz w tém podaniu poetyczny ów myt grecki o Prometeuszu przykutym do Kaukazu; a nadto w blizkości wznosi się góra nazwana Sępią, jakby przypominająca tych sępów, co szarpały wnętrzności starożytnego olbrzyma. Amirańskie szczyty wznoszą się w blizkości największego wąwozu Cyblon zwanego; pokryte ogromnemi skałami i sosnami, są siedzibą największych kaukazkich orłów, górnych kóz, jeleni, turów, najdzikszych niedźwiedzi. W końcu malowniczego wąwozu nazwiskiem Ałaźnistawi, wznosi się kopuła olbrzymiéj góry Bokbała zwanéj, wylewającéj z łona swego źródła mnóstwa większych i pomniejszych rzek kaukazkich. Daléj znowu na pograniczu ziem Cowskich z Kistyńskiemi, jaskrawo błyszczy szereg niebotycznych słupów lodowych, noszących nazwisko lodownika Stautskiego, odbijających tęczowe barwy, a czasami zbyt rażące jaskrawością promieni wschodzącego lub zachodzącego słońca. Natura tu dokoła obumarła. Swobodnie błądzą tu niedźwiedzie i ogromne tury, szukające chłodu latem: królowie tych odludnych, przerażających i przezroczystych podniebnych gmachów. Rzadki myśliwy odważa się wkroczyć w te strony nie oznaczone śladami stopy ludzkiéj; z wiel-

kiém niebezpieczeństwem stąpa po usypanych śniegiem bokach góry, a czasem przywiązuje się do długiego drągu nakrzyż, aby wpadając w zdradliwą rozpadlinę ukrytą pod śniegiem, mógł na nim zawisnąć i tak ocalić się od obsunięcia w przepaść.

Zatrzymaliśmy się nieco nad opisem głównego łańcucha gór kaukazkich, gdyż on tu pod wszelkim względem ważną gra rolę; od niego cały kraj po którym będziemy oprowadzali czytelnika, odebrał nazwisko Kaukazu; od niego można powiedzieć zależą tak klimat i bogactwo natury, jako téż losy całéj krainy kaukazkiéj i przyszłość licznych pokoleń, tłumami około niego rojących się od czasów jeszcze przedhistorycznych.

Na północ od grzbietu kaukazkiego rozwija się obszerna, równina, zwana stepem podkaukazkim, ciągnąca się ku północy aż do Donu i zlewająca się ze stepem wołgskim. Z zachodu tylko od głównego pasma oddziela się jedno jego ramię wzgórz, kierując się ku północy; kończy się pięcioma wierzchołkami Besztau, następnie spada, a za Georgiewskiem i Stauropolem równa się z płaszczyzną stepową.

Grunt na téj obszernéj płaszczyznie w ogóle gliniasty, z częściami piasku i soli zmieszany. Tak studnie, jeziora, jako i rzeki mają wodę po większéj części gorzko-słoną, z czego wnoszą, iż kiedyś ta ziemia musiała stanowić dno morskie. Miejscami obszerna ta równina żyznym pokryta czarnoziemem, piękne wydaje zboża przy małéj nawet o niéj troskliwości, i rodzi soczyste niezmiernéj wielkości kawony i melony. Wschodnia jéj połowa, obok bujnych łąk, często przedstawia obszerne wydmy ruchomego piasku, z którego wiatry usypują wysokie kurhany, przenoszące się z miejsca na miejsce i mające nazwisko borunów. Lecz za to wzdłuż Tereku krzewią się liczne winnice, stanowiące bogactwo kozaków liniowych. Z gór niektórych wznoszących się po téj obszernéj równinie, wytryskują liczne źródła wód mineralnych, jakoto: z pod Maszuka, jednéj z gór Besztowych siarczane, kwaśne w Kisłowodzku i wiele innych poza Terekiem, albo sączy się nafta. Klimat w ogóle tu podobny do klimatu południowéj Rossyi.

Dagestan, jako kraj górzysty, leżący ponad morzem Kaspijskiém, inną przedstawia charakterystykę.

Stanowi on płaszczyznę wyniosłą: na granicy jéj północnéj od zachodu na wschód, ciągnie się pasmo od głównego łańcucha poczynając, i formuje wiele urwistych zakrętów; nareszcie kończy się warownią Derbentską, jakby uzupełniającą ten naturalny szaniec skał piérwszéj formacyi. Większa część gór przerzynających Dagestan we wszystkich kierunkach, uwieńczone są gęstemi staremi lasami. Odwieczne jawory, topole, buki, jesiony, lipy swobodnie szumią ponad przepaściami niedostępnemi dla stopy ludzkiéj, wspinając się po górach do ostatniéj granicy, zakreślonéj ręką natury dla państwa roślinnego. Po tysiąc lat niektórym z tych drzew śmiało można liczyć. Doliny zaś przerznięte rzekami uciekającemi do morza, przedstawiają siłę wegetacyi trudną do pojęcia, ocieniając się czarownemi i malowniczemi gajami drzew owocowych, granatów, brzoskwiń, śliw, jabłoni, wiśni, morwy i wina.

Lecz jakże różny od kraju kaukazkiego, kraj zakaukazki. Przejdźmy tylko poza ten naturalny wał dzielący Europę od Azyi: od południowéj skalistéj i nagiéj ściany kaukazkiego pasma, środkiem Zakaukazu zaległy góry Wakchańskie, formując jakby most łączący je z górami Armenii. Na wschód i zachód wypływają z téj wyniosłości główne rzeki Zakaukazu, a licznie rozchodzące się od niéj odnogi i załamy na jednę i na drugą stronę, kształtują wiele górnych i dolnych równin, jużto wzdłuż rzek, już na wyniosłościach, które różniąc się klimatem, gatunkiem gruntu i płodami, nadają ten nader różny i urozmaicony charakter Zakaukazowi. I tak niektóre z tych równin, jak np. Wozdachska ciągnąca się między Alazanią i Kurą, Kartalińska rozścielająca się u źródeł Kury, lub Armeńska na 5,500 stóp nad morze wznosząca się, leżąc wysoko, na grzbietach wyniosłych górzystości mają klimat chłodniejszy, zboża rodzą się bez polewania i dojrzewają późno. W Alexandropolskim powiecie i w Achałkałaki, pszenica dojrzewa w końcu dopiéro sierpnia i w połowie września. Równiny zaś w dolinach rzek, jak np. Niżowie Rionu, lub Pomorze Kaspijskie, leżąc w blizkości morza, albo jak dolina Kachetyńska czyli Alażańska w sąsiedztwie gór śniegowych, odznaczają się klimatem ciepłym, zarazem wilgotnym i dziwną wegetacyą. Zimą i latem

kwitną kwieciem i zielenią się trawą smugi, a w początku czerwca kończą się zupełnie żniwa. Lecz jest też wiele miejsc za Kaukazem, mających klimat zbyt gorący i suchy latem, a ostry zimą. W dolinie ponad Araxem, okolonéj górami ze strony morza, upały latem dochodzą do 60 stopni, zimą zaś mrozy na 20 bywają stopni. Ta różnica ogromna między upałami a mrozem, 80 stopni wynosząca, zbyt dotkliwie działa tak na organizm ludzki, jako i na roślinność. Nic się tu nie rodzi bez polewania, prócz piołunu i tarniny; gdy tymczasem w dolinach dostępnych dla wilgotnych wiatrów morskich, lub chłodnych górzystych, dojrzewają najwyborniejsze gatunki win, granaty; a na południowym brzegu Kaspijskiego morza rodzą się nawet cytryny i pomarańcze, i rośnie bawełna.

Dziwacznym sposobem natura postępuje sobie niekiedy w dziełach swéj twórczości. Ogromne kaukazkie szczyty od strony wschodniéj zbliżając się do morza Kaspijskiego, coraz bardziéj się równają, nareszcie zstępują na przymorską nizką płaszczyznę, po któréj rozsypała natura massy soli, a w okolicach Baku wylewa źródła nafty, lub zapala wulkany gazowe. Przeciwnie postępując ku południowi, grunt Zakaukazu coraz się więcéj podwyższa, formując wielką wyniosłą płaszczyznę Armenii, na któréj rozlewa się obszerne jezioro Hek-czaj, nie podsycane żadną większą rzeką, a żyzne czarno-ciemne jego okolice wydają najpiękniejsze zbiory pszenicy, kukurydzy i obfitują w bawełnę.

Góry Ararat stanowią południową granicę Armenii rossyjskiéj: od południo-zachodu skaliste i formacyą warstw podobne do południowéj ściany kaukazkiego pasma; przeciwnie od północy-wschodu rozrzucają obszerne polany bezwodne.

Z tego ogólnego zarysu geograficznego kształtu kraju, łatwo sobie utworzyć wyobrażenie o rozmaitości klimatu i stanie atmosfery różnych miejsc na Kaukazie i w Gruzyi. Na przestrzeni ziemi objętéj pomiędzy 43°, 30′, i 39° 8′ półn. szerokości, ścieśnionéj od wschodu i zachodu dwoma morzami w najbliższéj linii na 500 wiorst tylko odległemi, można spotkać się z mrozami Finlandyi i na wysokościach za linią śniegów, podczas lipcowych upałów zamarznąć; jako też ze spieką pod-

zwrotnikową, i w czasie zimy obejść się bez futra i kominkowego ognia. W jednem miejscu powiewa zdrowe powietrze stepów lub gór, orzeźwiając ludy pod palącém niebem południa osiadłe; a tuż obok w nizinach sąsiednich ponad stojącemi i gnijącemi w bagnach wodami, zakładają swe panowanie wieczne febry, zgniłe i żółte gorączki, reumatyzmy i straszne szkorbuty. Takie miejscowości znajdujemy mianowicie w okolicy Georgiewska, Kizlara, w Czarnomorzu, również po tamtéj stronie Kaukazu, w Guryi, Imeretyi, w nizinach Rionu i wzdłuż brzegów wschodnich morza Czarnego.

W ogóle różność ta i rażąca sprzeczność klimatu i stanu atmosfery zależy od kierunku i kształtu gór i od mórz sąsiednich. Pasmo główne, leżąc poprzek na drodze, wstrzymuje wiatry płynące od północy, i sprawia, że cała prawie równina podkaukazka, mianowicie jéj wyniosłości około Stauropola i Alexandrowa, wystawiona na ich przewiewy, doznaje mrozów zwyczajnych w naszym klimacie, pokrywa się grubą warstwą śniegów, niekiedy całą zimę leżących. Tymczasem poza górami ledwie śnieg znany, i w niektórych miejscach jest osobliwością. Po téj stronie gór najczęściéj całe lato panują susze, wypalające wszelką zieloność na stepach, ponad któremi wówczas unoszą się chmury żarłocznéj szarańczy; od strony zaś południowéj gór, w nizinach wystawionych na wyziewy mórz Czarnego i Kaspijskiego, podczas nawet lata, kłęby chmur rozbijając się o niebotyczne okalające ich góry, spuszczają obfite i ulewne niekiedy deszcze, całą atmosferę odświeżające. Pod wpływem takichto sprzeczności klimatycznych i atmosferycznych, najrozmaiciéj natura zbogaca kraje kaukazkie. Gdy jedne z nich obfitują w najwyszukańsze owoce południowe, olbrzymiéj wielkości jabłka, pigwy, brzoskwinie, granaty, włoski orzech, winogrona, ogromne kawony i melony; mieszkańcy tuż sąsiadującéj doliny, kartofle i fasolę za osobliwość uważają. Jedne miejsca pokryte odwiecznemi lasami, obfitują w drzewo budulcowe, jak np. wąwozy i urwiska północnéj strony Kaukazu, lub dolina Rionu; inne, jak cały prawie step przedkaukazki, las uważa za osobliwość, i śród zim ostrych mieszkańcy opalają chaty suszonym nawozem lub trzciną.

Teraz łatwo pojąć, zkąd tak sprzeczne o Kaukazie krążą zdania. Stary wiarus powracający z bliznami z téj krainy, rozpowiada z zapałem o tém co widział i czego tam doświadczył; ale w opowiadaniu miesza najróżnorodniejsze wypadki i miejscowości. Słuchacz nie umié zdać sobie sprawy z tego, co słyszy. A inny znowu zwiedziwszy ten kraj, prawi dziwy niestworzone, fantazyą uzupełniając to, co niedokładnie poznał lub usłyszał. Tak i piszący o Kaukazie: albo nam go ze zbyt poetycznéj odmalowali strony, podwyższając piękności tak natury jako i zalety mieszkańców; lub przedstawiają ich okrutnemi i drapieżnemi zwierzętami. Wprawdzie wszystkiego tam jest potrosze: dzikość i okrucieństwo obok tkliwych uczuć przyjaźni, lub miłości; ponure i straszne przepaści i skał urwiska obok kwitnących rozłogów; zabawa wesoła i śpiéw góralki mieszają się z wystrzałami z pistoletu, a jéj wzrok jasny błyska obok połysku kindżała, którym wywija w tańcu młody jéj narzeczony.

Tak więc kraje kaukazkie, tojest właściwy Kaukaz i Zakaukaz zwany jeszcze Gruzyą, leżąc między Czarném i Kaspijskiém morzem, rozciągają się od gór na północ aż do ziemi Kozaków Dońskich i granic gubernii astrachańskiéj; na południe zaś do granic Turcyi Azyatyckiéj i Persyi, gdzie niebotyczny Ararat stanowi jakby kopiec graniczny kraju. Stanowią one ogromny ośmiokąt nieforemny, którego największa szerokość od ujścia w morze Czarne rzeki Czorochy, aż do przylądka Apszerońskiego, leżącego na morzu Kaspijskiém, wynosi do 100 mil czyli 700 wiorst; a największa długość w linii prostéj od ostatniego punktu południowego, tojest od wgięcia pogranicznéj rzeki Araxa aż do Kumy, płynącéj granicą północną, wynosi przeszło 121 mil czyli 850 wiorst. Powierzchnia zaś całego kraju tego, podług Platona Zubowa ma wynosić około 460,000 wiorst kwadratowych.

Część północna, czyli Kaukaz właściwy obejmuje: gubernią stauropolską, ziemię Kozaków Czarnomorskich, Dagestan i liczne pokolenia górali; część zaś południowa, czyli Gruzya w ogólném rozumieniu, dzieląca się dzisiaj na 5 gubernij, (tyfliską, kutajską, erywańską, szemachińską i derbentską), obejmuje owe

cztery części, na które dzielił się kraj zakaukazki w początkach ery chrześciańskiéj, tojest: Gruzyą właściwą czyli Iberyą, leżącą w pośrodku; Lazykę czyli dolinę Rionu od zachodu obejmującą Guryą, Imeretią i Mingrelią; Armenią od południa, i starożytną Albanią od wschodu, któréj mieszkańcy, jeszcze za czasów greckich mówili 26u różnemi językami, a która i dzisiaj zaludniona jest przez liczne pokolenia mahometańskie, co obsiadły gęsto brzegi morza Kaspijskiego, okolając cały wschodni kraniec kaukazkiego grzbietu.

KOMEDYA.

DRAMAT

Apollona Korzeniowskiego.

AKT II.

CZĘŚĆ PIĘRWSZA.

RANEK MIEJSKI.

Rzecz dzieje się w Odessie.

SCENA 1.

GABINET PREZESA.

PREZES I SEKRETARZ.

Prezes.

To tego, cóż mówiłem?

Sekretarz.

Tego to, wysłane....

Prezes.

Et! Mówić do Acana, to jak groch na ścianę!
Czyż mam wiecznie powtarzać, abyś zważał przecie,
Że to rzecz całkiem głupia, najgłupsza na świecie
By za każdym frazesem, i przy każdém słowie
Powtarzać niedorzeczne, trywialne przysłowie:
Tego to? Cóż to znaczy? Czy służy do czego?
Acan mi nerwy drażnisz i szarpiesz *to tego!*
Weź kalendarz. Uważaj. Na marginesie,
Pod dniem dwudziestym lipca zapisz: że w Odessie
Pszenica po trzydzieści.

Sekretarz.

Jest!

Prezes.

Byłem w teatrze.
Weź pióro, bo ołówek, *to tego*, się zatrze.
(do siebie).
Małe to rzeczy wprawdzie, lecz dla potomności
Trza pamiątkę zostawić.
(do sekretarza).
Obliczyłeś gości
Proszonych dziś na obiad?

Sekretarz

Jest spis akuratny:
Trzydzieścioro i oko.

Prezes.

Za co Acan płatny
Ja sam nie wiém, *to tego*? Cóż to? czy gąsięta
Mają jeść tutaj obiad? Niech Acan pamięta,
Że każdy obywatel męzkiego rodzaju:
Nijakich gości spraszać nie mam we zwyczaju.
Zapisz datę dzisiejszą; tak: —dnia trzydziestego,
U prezesa—*to tego*—sądu cywilnego,
Obiad wielki w Odessie. Brakuje krzyżyka
Pod dniem trzecim: to pogrzeb.
(do siebie).
Człek, jako dym znika!
Ot naprzykład: marszałek, hrabia—umarł przecie!
Nie ma, nie ma słuszności na tym nędznym świecie!
I po co miał umiérać? Biédnych tyle żyje,
A jakby Matuzale, stami liczą lata!
A to człowiek, co wagę miał wielką u świata:
Piérwszy swoim urzędem, rodem znakomity,
Urodzony z księżniczki. Honory, zaszczyty
Płynęły nań jak z rynny. Powszechny szacunek
Ród mu zjednał, nie ślepy zdolności trafunek.
Dom pyszny, a obiady jak nigdzie na świecie.
Ośm tryjenium marszałkiem wybieran w powiecie,
Byłby i na dziewiąte! To we mnie myśl budzi,
Że u nas, to umieją cenić takich ludzi!
Pokój mu!...
(do sekretarza).
Zapisz Acan tejże saméj daty,
Że mam dać na rzecz biédnych samemi dukaty,
Rubli trzydzieści siedm, w ręce marszałkowéj.
(do siebie).
Już mi ten kością w gardle wynalazek nowy

Łatwéj dobroczynności, bo z cudzéj kieszeni.
Kiedyż trzeciéj jéj córce, szacownéj Tereni,
Uda się złapać księcia, lub *tego to* hrabię?
Możeby się skończyły te komedye babie!
(do sekretarza).
Dziewiątego—znacz Acan:—bal u mnie!
(do siebie).
Dać muszę!
Znają moję wytworność. Gdzie tylko się ruszę,
Wszędzie słyszę: Prezesie! dajże nam bal przecie!
Prezesie, kiedyż bal twój?
(do sekretarza).
Pojedziesz w karecie
Rozwozić zaproszenia. Czy listy gotowe?
A zajmij się no Acan; wszystko ma być nowe,
Pięknie, pysznie, obficie, składnie i przystojnie.
Wiész: jeżeli co robię, lubię robić hojnie!
Idź Acan.
(sekretarz chce wychodzić).
Ale, ale.....
(sekretarz zatrzymuje się).
Po balu, pilnować
By świéc niedopalonych ostatki pochować.
(sekretarz wychodzi).

SCENA II.

PREZES *(sam).*

Prezes.

Plebejusze to mówią: szczęśliwi panowie!
A żaden nie wie, co tu kłopotów na głowie.
Utrzymać swą powagę, zachować alianse,
Występować przed światem; a tu i finanse
Trzeba jakoś w porządku utrzymać koniecznie.
Każdy krok swój wyliczyć i strzedz siebie wiecznie,
By w czémkolwiek godności własnéj nie ubliżyć.
Myśléć: przed kim wznieść głowę, przed kim się uniżyć,
Komu skłonić się tylko, a kogo zbyć sucho,
A komu rękę podać, z kim szeptać na ucho,
Aby wierzono w nasze stosunki wysokie.
Wszystkie te konwenanse mądre i głębokie,
A konieczne, lecz ciężkie jak w taczkach robota.
(po chwili milczenia).
Zkąd mi do filozofii taka dziś ochota?

Lecz uważałem nieraz, że mam te zdolności,
To tego, co człowieka wiodą do wielkości.
I gdyby z mém znaczeniem ten tytuł się godził,
To bylbym filozofem, bom się nim urodził.
(wstaje i przechodzi się).
Ale i w dyplomacyi nie wzięło mię licho.
Ta podróż do Odessy, nagle, szybko, cicho!
Nibym ja nie chciał jechać, Lidia niby chciała;
A ręczę, żeby roczny dochód swój oddała,
By nie wyjeżdżać ze wsi, gdzie ten niedobrego....
(spluwa).
Tfu! nie chcę i wspominać, bo on mi *to tego*
Humor kwasi. *To tego*, nikomu ni słowa
Nie pisnąłem gdzie jadę. Oj! głowa to, głowa
Téj Basi, jéj to rada. *To tego*, czas płynie;
Dwa miesiące minęło, a drugie dwa minie,
Nim ten korsarz stepowy coś o nas się dowié.
A czas, panie *to tego*, w młodéj Lidii głowie
Przemieni wiele rzeczy, zwłaszcza pośród świata,
Gdzie już skaczą koło niéj...
(słychać pukanie do drzwi).
Można.

SCENA III.

PREZES I HENRYK.

Prezes *(na stronie).*
Tam do kata!

Henryk.

Przepraszam, że tak wpadam, lecz nie moja wina:
Nie miał kto anonsować. Łatwiéj i do młyna
Wejść nie można. Coś prezes służbie swéj pobłaża?

Prezes.

To tego, dziś mam obiad; *to tego*, uważa
Pan, zajęci, w rozsyłkach łajdaki, *to tego*!

Henryk.

O! wszystko ku lepszemu i nie ma nic złego:
Bo tak nie meldowany, chwilę wcześniéj mogę
Złożyć uszanowanie.

Prezes.
Jakąż pan miał drogę?

Henryk.

Wyśmienitą; bom spieszył prezesa oglądać.

Prezes.

Jakto, mnie osobiście?

Henryk.

Chciałbyż prezes żądać,
Bym odłączył od niego drogie mu osoby?
Czy państwa wyjazd tutaj nie skutkiem choroby
Któréj z pań? Niespokojny nad wszelkie wyrazy
Byłem. Czy panna Lidia zdrowa?

Prezes.

Zdrowa! tysiąc razy
Zdrowa, zdrowa; *to tego*, i używa świata!

Henryk.

Coś prezes nie w humorze?

Prezes.

Ależ, w moje lata,
Trudno, bym Polki tańczył?

Henryk.

Ja nie angażuję.
Może prezes zajęty?

Prezes.

Nigdy nie próżnuję.

Henryk.

Więc przeszkadzam zapewne? Przyjazd mój nie w porę?
I tych pań coś nie widać, może obie chore?

Prezes.

Skarz mię Boże! *To tego*, zmień pan dyskurs przecie!
A to jedno i jedno; piękniejszéj na świecie
Nie ma nad pannę Lidią; to znowu że chora.
Masz pan minę, *to tego*, biédnego doktora,
Co praktyki chce gwałtem. A może znudzony
Światem, a nawet sobą, chciałoby się żony?

Henryk.

Dlaczego to pytanie?

Prezes.

To tego, tak sobie.
Mam przecie dwie pupille, na wydaniu obie,
Dobrze wiedzieć. Opiekun, to ojciec w połowie.

Henryk.

A gdybym się oświadczył; co mi prezes powić?

Prezes.

Powiém naprzód: *to tego*, gdzie pański majątek?
Bo to, wszystkiego tutaj koniec i początek.
Później powiém: u ludzi czy pan ma znaczenie?
Ludźmi nazywam ludzi, których ród i mienie
I urzędy, stawiają na opinii szczycie;
Choć pan mniema inaczéj, lecz tak chce to życie.
A właśnie pan tych ludzi obrażać gotowy,
To szyderczym uśmiechem, to ostremi słowy;
Nie dziw więc, że i u nich nie masz zachowania!
Trza więcéj układności i poszanowania.
Bo przez nich los się robi! Takto, tak; *to tego*!
A nareszcie, nad wszystko, ta poezya jego,
Co u ludzi rozsądnych tylko pośmiewiskiem,
I ochrzczono już pana szaleńca nazwiskiem!
Nakoniec....

Henryk.

Przecież koniec!? Myślałem nie będzie!
Lecz trzeba odpowiedzieć: majątek mój wszędzie,
Gdzie moje zdrowe ręce i głowa się zdadzą;
Tysiące takich małżeństw, przecie sobie radzą.
Zyskać sobie szacunek, bardzo jest przyjemnie;
Ale go wysługiwać, nudno i nikczemnie!

Prezes.

Hardość w duszy, *to tego*, przewrócono w głowie;
Roztropny człowiek idzie, jako szli ojcowie,
Jak dzisiaj starsi idą.

Henryk.

Prawda, świat głupieje!
Porzuca roztropnością ubite koleje,
Wymyśla zacne drogi; wznosi czoło śmiało,
Choć miedzią nie pobite, jak dawniéj bywało.
Zapomniał, że to dobrze, zginać często głowę
I ściskać za kolana, i błaźnić swą mowę,
Naśladując dla tonu dudki zagraniczne,
Czcić domowe szachraje i łotry publiczne,
I wierzyć w *dobrodzieje*, i pełzać przed niemi.

Prezes.

To człowiek niebezpieczny!

Henryk.

Środkami takiemi
Nie chcemy pozyskiwać opinii uśmiechu;
Nie chcemy się wpisywać do pajaców cechu!

Prezes.

Ot, co mówi? *To tego*, piérwszy raz to słyszę!
Oto, proszę: jak mówi, pewno tak i pisze!?

Henryk.

Nie chcemy w przedpokojach protektorów ziewać,
Składać uszanowanie, na ich nutę śpiewać;
Przyjść, skłonić się, pomilczeć, zjeść obiadek z łaski;
Każdemu głupstwu możnych bić rzęsne oklaski,
Podać krzesło, i podjąć chustkę upuszczoną....

Prezes.

Gdzie go zdań niedorzecznych takich nauczono?

Henryk.

Nazwać zacnym, dlatego, że ktoś tam nie kradnie,
Mając milion dochodu....

Prezes.

O! *to tego*, ładnie!
Nic świętego u pana?

Henryk.

A marszałek tęgi,
Gdy stosunek włościański tłumaczy przez cięgi,
Które sypie bez liku na to chłopskie ciało,
By powadze dziedziców zadosyć się stało!

Prezes.

Pan mię skompromituje, i sam w biedzie będzie!

Henryk.

Im pochlebiać? Ich cenić? I stawać w ich rzędzie?

Prezes.

Broń Boże, kto posłyszy!?

Henryk.

Czegoż się pan boi?

Prezes.

Tak to zawsze nam bywa, gdy śród nas, nie swoi
Wchodzą! Nic tu nie mają, więc nic nie szanują!

Henryk.

A czy jest co szanować?

Prezes.

Społeczeństwo trują!
Szarpią wszelkie godności złośliwemi usty.
(ze złością)
Nie mogę słuchać pana, niecierpię rozpusty!

Henryk.

E! mniejsza o nich wszystkich!

Prezes *(zatykając uszy).*

Ja zatykam uszy!

Henryk.

Nie myślę ich obrażać.

Prezes.

Nie dręcz pan méj duszy!

Henryk.

Przestałem ..

Prezes.

Nie chcę słyszéć! Jad z pana się sączy!

Henryk.

Ale już się nie sprzeczam.

Prezes.

Bardzo pan źle skończy!

SCENA IV.

CIŻ SAMI I SŁUŻĄCY W LIBERYI.

Służący *(anonsując).*

Pan marszałek Dutkiewicz!

Prezes *(z zatkniętemi uszami i z zamkniętemi oczyma).*

Za takie gadanie
Będzie pan miał ambaras.

Henryk.

Ależ, drogi panie,
Ktoś do pana przyjechał.

Prezes.

Ja nie chcę nic wiedzieć?

Henryk.

Służący anonsuje.

Prezes.

Że pan będziesz siedzieć
Pod sądem, to widocznie.

Henryk *(odejmując od uszu rękę prezesa).*

Będzież koniec kiedy?

Prezes.

A? co? Bo ja już czekam jakiéjś strasznéj biedy.

Służący.

Pan Dutkiewicz....

Prezes *(zrywa się do służącego).*

Osioł! czekać każe, komu?!
Prosić, przyjąć, powiedzieć że ja jestem w domu,
Żem rad bardzo! No, ruszaj, a tylko nogami!
(służący wychodzi).

Prezes.

Ach, mój panie Henryku! Dopókiśmy sami,
Pozwól siebie poprosić, byś zmienił maniery.
Wszak ja ojca przyjaciel, i twój nawet, szczery,
To tego, dla mnie jesteś niezupełnie cudzy.
O! tak, przy Dutkiewiczu bądź takim jak drudzy.
To człek młody, lecz bogacz, ale bardzo znany,
Rozumny i rozsądny, i dystyngowany.
Pysznie jé, dobrze jeździ, przyzwoity całkiem;
Mniemam, że z czasem będzie gubernskim marszałkiem.
Zrób to dla mnie! *To tego*, postępuj rozumnie!
Ej! źle panie Henryku!... On częsty gość u mnie;
Ja każdemu, *to tego*, rad sercem i duszą;
Ale u nas w trójnasób zaraz dodać muszą.
Mówią, że on o Lidią stara się; to plotka!
Może jemu myśl taka byłaby i słodka,
Lecz Lidia młoda bardzo, nie ma konieczności.
Proszę cię, daj dziś pokój swojéj złośliwości!
Ale coś jego nie ma? Te zwierzęta chrzczone
Musieli go wprowadzić na kobiecą stronę.
(wychodzi spiesznie).

SCENA V.

HENRYK *(sam).*

Znajome mi nazwisko, Dutkiewicz. Mój Boże!
Czy nie szkolny kolega? Lecz to być nie może!
Rozumny, i rozsądny, i dystyngowany?!
Ha! Wszak cuda bywają. Lecz że pożądany
To pewna. Prezes skacze, pora się i kręci.
A Lidia?
(po chwili namysłu)
Dwa miesiące, dla serca pamięci
Zanadto długie życie.

SCENA VI.

HENRYK, PREZES, DUTKIEWICZ.

Prezes *(wprowadzając Dutkiewicza).*

Tędy proszę pana.
Tego to, bardzo proszę. Choćto niby z rana
Lecz gorąco nieznośnie. Tu nam chłodniéj będzie.
Wnet pozapuszczam sztory. Niechże pan usiędzie.
(Henryk w przeciwnym kącie gabinetu przerzuca gazety).

Dutkiewicz.

Prezes się fatyguje; wszak to się niegodzi
Tyle się dla mnie trudzić!

Prezes.

Nie; nic mi nie zaszkodzi.
Lubię służyć mym gościom serdecznie, uprzejmie.
Niech pan kładnie kapelusz, rękawiczki zdejmie:
Tak pożądanych gości, *to tego*, nie wielu.
Niech pan siada; tu lepiéj; ot na tym fotelu.
(siadają)

Dutkiewicz.

Jak prezes czas przepędza?

Prezes.

Ależ wyśmienicie!
A pan?

Dutkiewicz.

Ja?.. życie miejskie, to moje jest życie:
Jestem w moim żywiole. Tak zwykle pszenicę
Jadę tutaj sprzedawać; a ztąd zagranicę
Często jeżdżę. I tak mi to życie zabawą.

Prezes.

Za granicę?

Dutkiewicz.

Do Buska, co aż za Warszawą!

Henryk *(na stronie).*

Jak się to nie zgubiło, jeżdżąc tak daleko?

Dutkiewicz *(do prezesa).*

Na wsi dnie się okropnie jednostajnie wleką.
Gospodarzyć: to znaczy łajać, skórę łatać;
Polować: to się z szlachtą szaraczkową bratać;
Urzędować: to dawać obfite obiady,
Gdzie nie kilka już osób, lecz całe gromady,

Zakazanych jakichsiś figur się natłoczy;
A gospodarz, ze wstydu, nie wié gdzie dziać oczy.
Mnie raz tak się zdarzyło; no, wziąłem na poty.
Songez: za moim stołem siedzą Hotentoty;
Ledwo zupę kończymy, aż tu szóstka z dzwonkiem,
Kocz, a w nim drogi Oleś zajeżdża trafunkiem.
Mnie, jakby warem oblał. Znasz prezesie przecie,
Co za człowiek jest Oleś, jak obyty w świecie:
Urodzenie, majątek, dystynkcya, maniery,
Dowcip, złośliwość wielka! Mój przyjaciel szczery,
Ależ i przyjaźń żadna wytrzymać nie może
Przy takiém towarzystwie. Bo cóżto mój Boże,
Bo cóżto za figury siedziały za stołem?
Z twarzy, z ruchów Olesia, odrazu pojąłem,
Że niebardzo mu miło leźć w to zbiegowisko.
Odsunął od nich krzesło, siadł koło mnie blizko,
I zaczął drwić z mych gości. Co który rzekł słowo,
Oleś wnet mu przerywa odmienną rozmową;
Puszcza cugle swéj znanéj w świecie złośliwości,
Jéj zaś celem z kolei każdy z moich gości.
Truchleję, bo hałastra ta dobrze mi znana;
Doświadczyłem, jak harda i źle wychowana:
Nikogo nie szanuje. A Alexandrzyska
Bojaźń pewno nie wstrzyma, drwi. To ich nazwiska
Przekręca pokilkakroć śmiesznie i zuchwale,
To pyta się o żony, których nie zna wcale.
Po mnie dreszcze przechodzą!

Prezes.

Bardzo panu wierzę.

Dutkiewicz.

Myślę: ot awantura!

Prezes.

Słysząc, strach mnie bierze!

Dutkiewicz.

I obiad mi już nie w smak, i nic mi niemiło.

Prezes.

Proszę pana, *to tego*, jakże się skończyło?

Dutkiewicz.

Trza oddać sprawiedliwość memu powiatowi:
Poznali się, co winni są gospodarzowi,
I ocenili zaszczyt siedzenia przy stole
Z człekiem, co jednę z piérwszych odegrywa rolę
W najwyższém towarzystwie.

Prezes.

A, *tego to*, przecie,
Cywilizacya kwitnie w tym pańskim powiecie.

Dutkiewicz.

Wpływ niemały wywieram.

Prezes.

I tak być powinno,
By układność zmieniła dawną dumę gminną.
Pięknie pan urzęduje, gdy przykładem pana,
Zasługa rodowita jest uszanowana.
Ślicznie pan urzęduje! *To tego*, daj Boże,
By na przyszłe tryjenium już gubernskim może ...
A w przyjemnéj nadziei téj godności nowéj,
Nie od rzeczy pomyśleć i o marszałkowéj?

Dutkiewicz.

Co? żenić się?

Prezes.

A jużci!

Dutkiewicz.

Ha! ja nie od tego.

Prezes.

Kawaler jest; pół rzeczy zrobiono, *to tego*!

Dutkiewicz.

Gdzież panna?

Prezes.

Ten ma siostrę, a ten siostrzenicę,
A ten córkę. *To tego*, nasze okolice,
Dzięki Bogu, jak łąki kwiatami upstrzone,
Mnóstwo panien, *to tego*. To już dowiedzione:
Że rok w rok ich przybywa. O! te nasze strony,
Pomiędzy guberniami są błogosławione:
Nie prawdaż?

Dutkiewicz.

Wielka prawda. Że ziemia tu żyzna,
Każdy ekonomista doświadczony przyzna;
Sam Malthusby się zdziwił; Saj klasnąłby w dłonie.
Ja, z mego stanowiska, Malthusa nie bronię,
Ale szczerze wyznaję....

Prezes.

Pańskie zdanie dzielę.
Ekonomistów biegłych tak jak pan, niewiele!

Lecz weźmy tę prowincyą z jéj moralnéj strony:
Bo moralność jest wszystkiém przy wyborze żony.
Tego to, gdzie, jak u nas i smak i maniera,
I opinia? Na wszystko jest prawa litera,
Są zwyczaje i formy, z których ton się składa.
Każdy ruch, każde słowo w swą porę wypada,
Że rozmyślać nad życiem potrzeby nie mamy.
Tego to, weźmy przykład: naprzód nasze damy
Jak umieją prowadzić ton domu wysoki,
Jak chodzą, jak siadają, jak dają wyroki
O wszystkiém i o wszystkich. A to im wrodzone:
Nie uczyły się nigdy, a wszystkie uczone.
Na swój kraj ani patrzą, znają obce kraje.
Pogadajno pan z niemi! To tak się wydaje,
Że się tu nie rodziły, tylko, że to damy
Z Paryża, lub Londynu! Skarby, panie mamy!!
Medyczki, filozofki, filantropki, panie!
Gadaj pan o czém zechcesz, na wszystko je stanie.
Zacznij o medycynie, to wnet cię przekona,
Że tylko z jéj pomocą każdy we wsi kona.
Przed ich wiadomościami we sztuce leczenia,
Sam sławny Baraniecki (1) milczy z podziwienia!
Zarwij o filozofii, Hegel nieomylny,
Nigdy nie był tak ciemny, tém samém tak silny!
A dotknij gospodarstwa, Oczapowski za nic!
Filantropii zaś w czynie dowodzą bez granic:
Każda piesków, papugi, opiekunką pewno,
I kocha je miłością troskliwą i rzewną.
O! serca złote, złote! Alboż nasze panny?
To tego, żywe lalki! Jaki gust wytrawny
W wyborze sukien, wstążek, w całéj toalecie!?
Odezwać się poprostu nie chce za nic w świecie,
Ale wszystko wybrednie, z przesadą, misternie,
Zupełnie jak w romansie: rozumne niezmiernie!!
Nielada nasi ludzie i nasza kraina!
A obyczaj? Cześć z ojca przechodzi na syna
Razem z mieniem, już zwyczaj uświęcony taki;
Choć ojciec nie miał zasług i syn ladajaki,
Lecz niech ma dusz kilkaset, do tego rodowych (2);
To i kawaler, panie! O! my ludzi nowych,
Choć przesiąkłych rozumem, nauką, zacnością,
Przyjmujemy zapewne: lecz poufałością
Nie obdarzym! Nie mówię: wpuścić do rodziny,
To byłoby *horrendum!* Więc nie bez przyczyny,

(1) Baraniecki, lekarz na Podolu słynny z nauki i zacności.
(2) *Dusze rodowe*: poddani, którzy z majątkiem w spadku po rodzicach dostają się dziedzicowi. *P. Aut.*

To tego, ja powiadam, że te nasze strony,
Pomiędzy guberniami są błogosławione!
Nieprawda-ż?

Dutkiewicz.

Mnie się zdaje, że nie sądzę mylnie,
Gdy mniemam, że to Zachód oddziałuje silnie
Na nasze towarzystwo.

Prezes.

Tak, tak, mianowicie
Błogosławion wpływ Francyi zmienił nasze życie;
I resztki wielkiéj armii, kształcąc nas z dziczyzny,
Spowodowały błogi w skutkach wpływ obczyzny.
Dziś u nas wszystko nowe, usługa, mieszkanie,
Ogrody, stół, pojazdy, meble i ubranie...

Henryk.

Wszystko nowe: a tylko ciemnota w nas stara!

Prezes (*na stronie do Henryka*).

Prosiłem: bądź uważny: czy wielka ofiara?!
(*głośno*).
A! panowie podobno razem w szkołach byli,
Więc znajomi, *to tego*.

Dutkiewicz.

Prawdziwie, w téj chwili
Nie przypominam sobie....

Henryk.

Nie dziwię się wcale;
Pan w szkołach, jak meteor, błysnąłeś wspaniale,
I znikłeś z drugiéj klassy. A na edukacyą,
Jeśli dosyć dwa lata, strąciwszy wakacyą;
Dla pamięci kolegów nadto krótka pora.

Dutkiewicz.

Nie musiał pan dobrodziéj stać u dyrektora,
Bo pewnobym pamiętał.

Prezes (*na stronie do Henryka*).

Widzisz, jaki grzeczny?
(*głośno do Henryka*).
To tego, więc znajomość! Człek taki dorzeczny,
(*do Dutkiewicza*).
Znać powinien człowieka tak znakomitego!
(*Dutkiewicz kłania się*).
Pan Henryk człowiek zdolny, uczony, *to tego*,
Pięknie pisze, i wiersze pięknie komponuje;
Tylko, tylko dziwaczny, hypokondryk! Psuje

Najpiękniejsze nadzieje. O! pożal się Boże,
Że człek z takim rozumem....

Henryk.

Czy prezes nie może
Uszczęśliwić litością swą kogo innego?

Prezes.

Ja nie jeden, a wszyscy żałują, *to tego.*

Henryk (*porywa za kapelusz*).

Wszyscy! wszyscy! To większość! Większość, owcza trzoda!
To mi sędzie? Prawdziwie mówić o nich szkoda,
Bo nawet i śmieszności już w nich nie ma nowéj!
Żegnam panów!

(*wychodzi*).

(*Prezes i Dutkiewicz ruszają ramionami*).

SCENA VII.

PREZES I DUTKIEWICZ.

Prezes (*sam siada i wskazuje miejsce obok siebie Dutkiewiczowi*)

Pomówmy znów o marszałkowéj!

CZĘŚĆ DRUGA.

(Teatr przedstawia salon w domu prezesa w Odessie. Przy podniesieniu zasłony widać Henryka odchodzącego.—Lidia stoi na środku sceny blada, wzruszona, cisnąc obie ręce do piersi.—Chwila milczenia).

SCENA I.

LIDIA (*sama*).

O! mój Boże! mój Boże! co się dzieje ze mną?
W duszy—słońca mi świécą, a w oczach mi ciemno!
Czuję, że muszę mówić! Bo w sercu zamknięte
Myśli, serce rozerwą! Jakież niepojęte
Uczucie mię napełnia: mimo wiedzy, woli,
Całą mą istność chłonie, unosi i boli!
A gdy rozkosz i ból ten w słowa się wyrywa,
Jedno powtarzam tylko: ach! jakżem szczęśliwa!
Szczęśliwa! o! szczęśliwa!

(*zamyśla się*).

Nie! Ja bardzo biédna!
Od kiedy pomnę siebie, zawsze sama, jedna!
Miłość matki lub siostry były mi marzeniem,
Nieujętym snów rajem, daremném pragnieniem!
A dziś! gdy po dniach długich sierocego życia,
Mam piérwszą chwilę szczęścia, czuję serca bicia,
I pragnę ogniem myśli pałające skronie
Złożyć na opiekuńczém, kochającém łonie;
Ujrzéć wzrok, co nademną troskliwie jaśnieje,
Mego szczęścia łzą zaszły i moje nadzieje
Tą łzą błogosławiący: wkoło głucho, ciemno!
Nikt nie modli się za mnie, nie czuwa nademną!...
W stanowczéj chwili życia, zostawiona sobie,
Nie wiém czy dobrze, zacnie, lub czyli źle robię?
Nie wiém, czy droga uczuć, rozjaśniona, luba,
Drogą szczęścia i prawdy? Czy końcem jéj—zguba?
Terazto, w nadziei piérwszych, te piérwsze godziny,
Wszystkie moje łzy dawne, smutki bez przyczyny,
Bolesny ucisk serca, duszy méj tęsknota,
Dopiéro mi pojętne: czuję, żem sierota!
Sama jestem! o! sama!
(wchodzi Basia, Lidia z rzewnym płaczem rzuca się jéj na szyję).

SCENA II.

LIDIA I BASIA.

Basia *(troskliwie)*.

Czego ty tak szlochasz?

Lidia.

Basiu! droga! poczciwa! Prawda, ty mię kochasz!?
Powiedz, że ty mię kochasz! O! ja zawiniłam!
Prawda, że ty mię kochasz?

Basia.

Nieraz dowodziłam,
Że cię kocham, jak siostrę. Cóż więc znaczą słowa?

Lidia.

O! zgrzeszyłam zwątpieniem!

Basia.

Pewno tylko głowa,
Ale nie serce grzeszne? Czegoż łzy te przecie?

Lidia.

Basiu! mnie się wydało, żem sama na świecie!
Że przed żadném tu sercem powiedzieć nie mogę,
Obecnéj, dziwnéj chwili, nadzieję i trwogę!
Zapomniałam o tobie.

Basia.

Nie bałaś się Boga?
Ale cóż to jest, powiédz?

Lidia.

Siostro moja droga!
Powiém ci, co mi z serca gwałtem się wyrywa;
Tobie jednéj.

Basia.

Mów przecie!

Lidia.

Ja bardzo szczęśliwa!
Bardzo, bardzo, o! bardzo!

Basia.

Lube, drogie dziécie!
Ależ o co to chodzi?

Lidia.

Ty jedna na świecie,
Ty piérwsza to posłyszysz. Teraz dobrze widzę,
Jak ja byłam niewdzięczną i sobą się brzydzę!
Od lat trzech ty mi jedna napełniałaś sobą
Tę próżnię tak okropną, okrytą żałobą,
Po méj najlepszéj matce! Komuż, gdy nie tobie
Mam się zwierzyć? Wszak prawda, że ja dobrze robię?
O! piérwszéj tobie mówię, ufna w téj czułości,
Tę szczęścia tajemnicę, słowo méj miłości!

Basia *(ściskając Lidią czule).*

Nawet ci nie dziękuję; bo tak być powinno!
Twém szczęściem, ja szczęśliwa.

Lidia.

Pamiętasz dziecinną,
Dawną naszę rozmowę? Będzie już pół roku.
Nie pamięta! przypomnij! To było o zmroku.
Zaczęłam marzyć głośno, z niejasnych słów brzmienia,
Ty odgadłaś dorazu, duszy méj pragnienia.

Basia.

Przypominam. Rzecz wcale nietrudną mi była.

Lidia.

Ja zmieszałam się, zbladłam: jakbym zawiniła
Najcięższéj. Ale wierz mi: w owéj jeszcze dobie
Uczucie rozkwitało w samém tylko sobie.
Nie kochałam nikogo, kochałam—nic więcéj!
Dusza roiła coraz silniéj i goręcéj;
Zmieniłam się zupełnie. Straciłam ochotę
Do wszystkiego na świecie. Samotność, tęsknotę,
Ceniłam nad gwar zabaw. Tylko z powinności
Codziennem życiem żyłam; lecz z rzeczywistości
Nic nie czułam. A pragnąc marzenia me badać,
Słyszałam ich głos luby, nie śmiąc odpowiadać!
Lecz wszędzie były ze mną: tu, przy sercu, blizko.

Basia.

Widziałam to. A dowód: że ci i nazwisko
Tych marzeń podszepnęłam!

Lidia.

Basiu! Wstyd mi siebie!
Lecz podobno nazwisko wiedziałam bez ciebie!
(po chwili milczenia)
Śród tych snów i tych widzeń, co spływały na mnie,
Było jedno, nad wszystkie niebezpieczne dla mnie!
Bałam się go, a ciągle chciałam mieć przy sobie!
Rysy jego we wspomnień, albo przeczuć dobie
Utworzyłam w méj myśli! Dumne, z troski cieniem
Rozjaśniały się w pokój pod mojém spojrzeniem!
Oczy jego mówiły, że w nim połączone
Dobroć, szlachetność życia i myśli natchnione:
Wszystko, czém żyje serce kochanki, niewieście!
Ale na czole jego snuły się boleście
I gorzkie i posępne! Ja miałam nadzieję
Że te bole uśmierzę, te chmury rozwieję
Siłą miłości mojéj! Kiedy dotykała
Jego ręka méj ręki, dusza zamierała,
A serce stygło we mnie! O! teraz, to bije!
Słuchaj: postać snów moich wykochanych żyje!
Kocha mię! Wyznał mi to! Myślałam żem w niebie!

Basia.

A na imię mu Henryk?

Lidia *(całując Basię z uniesieniem).*

Jak ja kocham ciebie!!

Basia *(na stronie).*

Otóż i katastrofa.

Lidia.

Jednego się boję:
Żem ja jego nie warta.

Basia.

O! dziecko ty moje!
Mówisz z gorączki uczuć. Kochasz go z zapałem;
Ale wierz mi: do niego tym miłości szałem
Nie przemawiaj, o! nigdy!

Lidia.

Jam jak niéma stała!
Czy mniemasz, żebym jemu powiedzieć to śmiała?
Ale kiedyś.... lecz z czasem, każda chwila życia
Będzie znosić serc naszych tajemne pokrycia!
Uczucia nasze w losów harmonii się spłyną,
I będziem jedną myślą i duszą jedyną!
Dla mnie, wiem: nic się więcéj w nim nie rozobłoczy,
Czegobym nie odgadła w téj chwili uroczéj.

Basia *(smutnie, półgłośno.)*

Biédne dziecie!

Lidia.

O! Basiu! Wszakże to okrutnie,
Gdy ja taka szczęśliwa, ty patrzysz tak smutnie!
Co to jest, siostro droga?

Basia.

Siostro? Czyli szczerze
Wierzysz, żem siostrą tobie?

Lidia.

Czy ja temu wierzę?
Wynajdź mi imię, które więcéj czule, rzewnie,
Odmaluje myśl moję, a dam ci je pewnie!

Basia.

A więc najczulsza siostra, z prawa przywiązania
I świętéj troskliwości, radą cię osłania.
Znam ludzi, znam Henryka, o! od ciebie wcześniéj!
Za naukę tę płacić potrzeba boleśnie!
Nie chcę, byś poczynając ledwo życia drogę,
Opłacała to sercem, co ja ci dać mogę
Darmo! Słuchaj mię Lidio!

Lidia.

Ach! cóż to być może?
Mnie dreszcz zimny przejmuje.

Basia.

Nie trwóż się! Mój boże!
To rzecz zwykła na świecie, stare ludzkie dzieje,
Nic! Marzenia w proch wbite, rozwiane nadzieje!
O! za mało latami odbiegłaś od nieba!
Za to że raj pamiętasz, wiele cierpieć trzeba!
Mniemasz, patrząc w twą duszę, że świat tak wygląda?
Nie, Lidio! On miłości, uczucia, nie żąda!
Wiészże męzkich zabiegów ostateczne słowa?
Szczęśliwie, gdy majątek! Dla ciebie rzecz nowa,
Lecz wiedz, jak się to dzieje. Kiedy już z młodości
Nic im nie pozostało; gdy świętéj miłości
Dźwięki, słowa, uczucia, marnie roztracili;
Gdy brzydzą się już sobą i wszystkiém wzgardzili;
Gdy z cudownego duszy młodzieńczéj ukrycia
Wywlekli wszystko piękne, w błotną bezdnię życia
Rzucili, jak splamione i podarte szmaty:
Wtedy, starcy uczuciem, chociaż młodzi laty,
Gdy już kochać nie mogą, żenią się z rachuby!
O! ty tego nie pojmiesz, aleś blizka zguby!

Lidia.

Basiu! Basiu, słów twoich nie rozumiem wcale,
Ale mi smutnych przeczuć płyną w serce fale!
Gorzki wyraz twéj twarzy i wzgardy spojrzenie
Jasno mówią: że śmiercią takie doświadczenie!
Ja nie chcę doświadczenia co mi życie struje!
Zlituj się, droga Basiu!

Basia.

Wszakże się lituję,
Gdy ci mówię, jakiemi miłość idzie szlaki!

Lidia.

Czuję coś okropnego!
(po chwili milczenia)
Lecz jeźli on taki,
Jeżeli w nędzy życia, jak w chłodnéj mogile
Pogrzebał uczuć siły: mam miłości tyle,
Że na dwojga wystarczy! Dam mu serce moje:
Kiedy przy nim uderzy, nowych uczuć zdroje
Wypłyną z tego życia, które szczęściem wskrzeszę!
Ja go wzniosę, ożywię, uzacnię, pocieszę!

Basia *(na stronie).*

To zła droga! poczekaj!
(głośno z ironią)
O! to jego są słowa!

Lidia *(smutnie zdziwiona).*

Zkąd wiész, że on to mówił?

Basia.

Znana mi ta mowa!
Umiał ci to powiedzieć, gdy szło o majątek.
Czy ty wiész, żeś bogata?

Lidia.

Ależ on, wyjątek!
On nie taki, jak wszyscy!

Basia.

On za wszystkich stanie!
Wybrnąć z płaskich poziomów, to jego zadanie!

Lidia.

Ależ wiész sama Basiu: życie jego pracą,
Godną, jak każda praca!

Basia.

Którą dobrze płacą!

Lidia.

Ale ja jego kocham!!

Basia.

Dlategoto właśnie,
Jak siostra przywiązana, wyraźnie i jaśnie
Musiałam przestrzedz ciebie: że twoje pieniądze
Jedynym celem jego. Wierz mi, że nie błądzę,
Tak sądząc z przekonania. Lidio! pomyśl sobie:
Okropny los cię czeka!

Lidia.

Cóż poczne, cóż zrobię?
Kiedy go kocham, kocham!

Basia.

Olśnił cię kłamstwami,
Które opłacisz kiedyś swych zawodów łzami!
Gdy dojdziesz tego kresu, zkąd wrócić nie można;
Gdy poznasz, jak ta miłość była wątła, próżna;
Gdy dusza twa zamierać będzie śród boleści,
Na widok samolubstwa, które ujrzysz wreszcie:
Oszalejesz z rozpaczy! O! nie znasz człowieka!
Bój się go: los okropny przy nim ciebie czeka!

Lidia.

Ja boję się, drżę cała, ale kocham jego!
Basiu! Jeźli mój posag tak cenny dla niego,

Tém lepiéj, jedno więcéj źródło mu przynoszę
Do szczęścia, do dobroci! Szlachetne rozkosze:
Mieć w ręku wsparcie biednych, będzie miał odemnie!
Wszystko winien mi będzie!

Basia *(na stronie).*

I to nadaremnie!

(głośno)

Tyś anioł, i przewrotność dla cię niepojęta!
Masz racyą: jeźli dusza miłością przejęta
Zdolną jest wskrzesić czucia umarłe w przesycie:
Ożywi go, odrodzi, twego serca bicie!
Lecz Lidio, i poświęceń najświętsza potęga
Ma jednak swe granice, za które nie sięga!
Sądź sama: czyli może, nawet anioł ziemny
Powrócić zacność temu, kto raz był nikczemny!

Lidia (*przerażona*).

Nikczemny?

Basia.

Tak: nikczemny! Kto jak przeniewierca
Nie wahał się z rachuby chcieć zgubić dwa serca;
Kto, przed tobą, aniołem dobroci, czystości,
Nie wahał się wykłamać tych przysiąg miłości,
Któremi w tymże czasie chciał olśnić i inną!...

Lidia.

Inną?

Basia.

Komu zabawką miłą i niewinną
Zdawało się, rozmarzyć duszę młodocianą
Ułudnéj mowy sztuką; kto od jednéj rano
Wyrwane słowo serca, wnet w wieczornéj dobie,
Myśląc tém drugie względy zabezpieczyć sobie,
Innéj, w dowcipnie gminnéj przynosił ofierze?....

Lidia.

Innéj?

Basia.

Tak! innéj, drugiéj!

Lidia *(gwałtownie).*

A ja ci nie wierzę!
Dość tego! Za mą miłość czułą i siostrzaną,
I łzami uwiedzionéj wdzięczności oblaną,
Błogosławioną w zwierzeń najświętszych słodyczy,
Ty dajesz mi truciznę! Téj chwili goryczy

Niech ci Bóg nie pamięta! Ja, z prawa cierpienia
Nie chcę twojéj przyjaźni, ni siostry imienia!
Siostra miałaby dla mnie, o! choćby łzę jedną!
Ty zabijasz z krwią zimną!

(z płaczem)

Możnaż być tak biedną?
Lecz nie, ja jego kocham!

(z pogardą)

A tobie, nie wierzę!

Basia *(na stronie).*

Gniewa się; ale nie wié, że i mnie złość bierze!
Gdym zła, dopnę wszystkiego.

(głośno)

Lidio! Lidio luba!
Jam winna!

Lidia *(z radością).*

Więc to wszystko była tylko proba?

Basia *(smutnie).*

Jam winna, lecz nie dzisiaj! O! słuchaj aniele!
Nie ty, a ja zgrzeszyłam, zawiniłam wiele
Mą skrytością przed tobą!

(po chwili milczenia z wysileniem)

Ta druga, ta inna:—
Ja nią jestem!

Lidia *(przerażona).*

Ty?

Basia.

Czuję, żem była powinna
Dawniéj wszystko ci odkryć.

Lidia *(jak dawniéj).*

Ty? ty?

Basia.

Przebaczenia!
I ja z początku miałam ufności złudzenia!
I ja byłam olśnioną!

Lidia.

O! ja oszaleję!

Basia.

Ach! Ja już przechodziłam te straszne koleje
Odczarowań z najświętszych i pojęć i wiary!
Nareszcie znikły ułud i ufności mary!

Była chwila rozpaczy, straszna, niewymowna,
Któréj ledwo twa boleść dzisiejsza wyrówna,
Kiedy ujrzałam jego zabiegi szalbiercze
Koło ciebie i przy mnie.

Lidia.

O! serce me, serce!

Basia.

Dziś choć jeszcze boleję, lecz zimno spoglądam,
I mówię ci, kto Henryk; bo cię zbawić żądam!

Lidia *(na stronie).*

Boże! Boże! Ja skonam!
(głośno, z obojętną boleścią).
Patrzę na cię pani
Jak na obcą, i taką pragnę zostać dla niéj!
Gdybyś to była dawniéj przed siostrą wyznała,
Cierpiałabym zapewne, ale i ufała:
Dziś męczę się okropnie! Przyznać się nie wstydzę,
Lecz wierzyć nieprzyjaźni, przyczyny nie widzę.
Pewno do takich kroków ma pani powody;
Nie badam, lecz nie wierzę: gdzież na to dowody?

Basia.

Dowody?

Lidia.

Tak, dowody!

Basia.

Więc mych wyznań słowa
Bolesne, nic nie znaczą?

Lidia.

Rzecz to dla mnie nowa!
Ja nawet w gorzkich smutków i zniechęceń dobie,
Nie mogłam takich brudów wyobrażać sobie!
Jeżeli życie takie, to i żyć nie warto!
Lecz dopóki mam siły, to duszą rozdartą
I sercem zakrwawioném, i myślą stroskaną
Zasłonię mego szczęścia przyszłość wykochaną!
Chcę dowodów!

Basia.

Przysięgam!

Lidia.

Przysięgom nie wierzę!

Basia.

Nad twojém zaślepieniem żal litośny bierze!

Lidia (*na stronie z radością*).

Ona nie ma dowodów.

Basia.

Przysięgam na Boga!

Lidia.

Dowodów!

Basia.

Moja Lidio, moja siostro droga!
Przysięgam ci na święte imię mojéj matki!

Lidia (*zmienionym głosem*).

Na imię twojéj matki?! Myśli mych ostatki
Opuszczają mię! Boże! wesprzéj mię natchnieniem!
Szczęście moje zachodzi strasznéj nocy cieniem!
Niż tak cierpiéć okropnie, wolałabym nie żyć!...
(*gwałtownie*).
Nie! nie! nie! Bez dowodów nie będę ci wierzyć!

Basia (*chwilę waha się, później chwyta Lidią za rękę*).

Dam dowód, który prawdę słów moich wykrywa!

Lidia (*bojaźliwie*).

Dasz dowód?

Basia.

Tu, i wkrótce!

Lidia (*z rozpaczą*).

O! ja nieszczęśliwa!
(*zakrywa twarz rękami, i płacząc wychodzi*).

SCENA III.

BASIA (*sama*).

Basia (*patrząc ze złością za odchodzącą Lidią*).

No, proszę? Czy widziano, aby takie dziecie,
Co dotąd tylko żyło w lalek swoich świecie;
Aby ta pensyonarka, na takie bezdroże,
Mnie, mnie, zaprowadziła!?
(*po chwili milczenia*).
Lecz nic nie pomoże!
Dopnę swego, dokażę!
(*zamyśla się*).
Gdzież dowód odgrzebię?
Zkąd wezmę, jak utworzę: próżno pytam siebie.
(*przechadza się gwałtownie wzruszona*).

Przytomności tu trzeba, bo nic się nie uda!
Ze stryjem, jak bez niego! On myśli, to fraszki!
Niechnoby poprobował!

SCENA IV.

BASIA I PREZES.

(Prezes w doskonałym humorze, wchodzi nucąc jakąś piosenkę.—Systematycznie kładzie kapelusz, stawia laskę, zdejmuje rękawiczki i na patrzącą nań Basię zią i wzruszoną, spogląda z podziwem spokojnym).

Basia (*tłumiąc niecierpliwość*).

Stryjaszek kochany,
Chwała Bogu wesoły, szczęśliwy, rumiany!
Kontent z siebie, ze świata! kontent z Cambriniego!
Bardzo kontent z Karuty, zapewne! (1).

Prezes (*obojętnie*).

To tego,
Coś pani nie w humorze? Tak, tak, z Bożéj łaski
Niezły obiad się zjadło.

Basia.

W granatowe blaski
Zwycięztw gastronomicznych promienieją lica!
Można spocząć na laurach: za wieniec, szlafmica
Niech posłuży; a cybuch, za tryumfu godło!

Prezes.

Cóżto za złe zwierzątko Basieczkę ubodło?
Gniéw piękności, *to tego,* nieprzystoi wcale!

Basia.

Jak dowcip prezesowi!
(zakłada ręce nakrzyż, i z gniewem przystępuje do prezesa).
A więc doskonale,
Że Lidia zakochana?

Prezes.

Ba!

Basia.

Stryj widzieć nie będzie,
Nie widzi on jasno, choć zasiadł na urzędzie;
Ale ja patrzę, widzę!

(1) *Cambrini* i *Karuta*, znani w Odessie: piérwszy jako cukiernik, a drugi restaurator. *P. A.*

Prezes.

Piękne oczy psujesz!

Basia.

Zakochana w Henryku!

Prezes.

Oho!

Basia.

Tak!

Prezes.

Żartujesz?

Basia.

Wyjdzie za mąż za niego?!

Prezes.

Pewnie przeznaczenie!

Basia.

Filozoficzne widzę stryjaszka trawienie!

Prezes.

Zwykle.

Basia.

Bardzo się cieszę! To daje wiek długi!
Więc na akt pierwszy zgoda?

Prezes.

Czy będzie akt drugi?

Basia.

Będzie, będzie, ciekawszy!

Prezes.

To tego, nie trudno,
Bo przy pierwszym, przepraszam, lecz było mi nudno.

Basia.

Zaraz lepiéj zabawię. A Lidii majątek?

Prezes.

To tego, akt ten drugi ma piękny początek!

Basia.

Ależ go oddać trzeba?!

Prezes.

Cóż więcéj?

Basia.

To mało?
(ze złością).
A radabym wiedzieć téż, coby pozostało
Ze stryja, bez majątku? Człowiek—wielkie zero!
Urzędnik—pośmiewisko!

Prezes.

No, *to tego*, szczerą
Synowiczkę dał Pan Bóg!

Basia.

Więc to nic nie znaczy?
A rachunki z opieki trza zdać?

Prezes.

Nieinaczéj!
Wiadomo to każdemu, kto ciężar ten dźwiga.

Basia.

Jak Boga kocham, nie wiem: człowiek, czy ostryga?
I to zwie się mężczyzną, rozumem i siłą!

Prezes.

To tego, tak zła jesteś, że aż patrzéć miło!

Basia.

A stryj tak niedołężny, że aż obrzydliwie!
Więc wszystko pięknie, dobrze, najlepiéj, szczęśliwie!

Prezes.

Tak mniemasz?

Basia.

Jeszcze powié, że ja żądam tego!

Prezes.

Istna nieboszczka żona! Niech tam jéj, *to tego*,
Da Bóg niebo! Bywało, jak się już zaciecze
W swéj złości, jak żyd w tańcu! Językiem posiecze,
Porąbie i pokraje; lecz ni za dwa grosze
Sensu w téj złości nie ma! Tak i ty.

Basia.

No proszę!
Więc jeżeli bez sensu, to moje zmartwienie;
To stryj zamiary swoje puścił w zapomnienie?
Albo ma jaką radę i mądrą i męzką,
By z téj biédy wyjść całym?

Prezes.

Cały i zwycięzko!
Z tobą będąc w przymierzu, nie wątpię, *to tego!*

Zresztą, w twych wiadomościach nie ma nic nowego;
Wiedziałem już o wszystkiem!

Basia.

Stryj wiedział? Zkąd proszę?

Prezes.

Wszak nietylko dla formy dwoje uszu noszę.

Basia.

Widzę, widzę.

Prezes.

To tego, kochanków rozmowa
Była rzewną, gorącą. Wiem ją co do słowa,
Bo jakoś się znalazłem, *to tego*, pod drzwiami.
Strasznie mię rozczulili: Chloe, Lidia łzami,
Henryk, Dafnis wymową! Słuchałem, słuchałem,
I, jeźli się nie mylę, sam łzy w oczach miałem
Ze śmiechu. Bo to niby, jak w książce zupełnie!
Powiadam ci, czas przeszedł, *to tego*, przyjemnie.
Żal mi się ich zrobiło. To też myślę sobie,
Nie wybrną sami nigdy, więc koniec dorobię.
Zwykle wuj. to w komedyach *Deus ex machina!*
A to była komedya w swym guście jedyna,
Na seryo odegrana. Widzę, niebezpiecznie!
Trzeba radzić i działać, *to tego*, koniecznie,
Więc myślę sobie, naprzód:

Basia.

Jeść obiad spokojnie?

Prezes.

Bóg cię przenikliwością udarował hojnie!
Jem i rozważam sobie: Basia mię ubiegła
Zapewne, bo dowcipna, czynna i przebiegła.
Kiedy ja, grzeszny człowiek, siedzę tu za stołem,
Ona ich tam otacza czarodziejskiém kołem
Téj wymowy, co teraz świszczy w mojém uchu.
No wyznaj mi twój tryumf! Ja w pokory duchu
Przystanę na tę wyższość twéj kobiecéj głowy.
Powiédz: cóż wygadałaś?

Basia.

A! mojéj wymowy
Cuda niewielkie, żadne!

Prezes.

Jak, *to tego*, żadne?

Basia.

Żadne, i jeszcze gorzéj!

Prezes.

Gorzéj? To szkaradne!
Gorzéj? I cóż to gorzéj?

Basia.

Wszystko wyczerpałam:
Mężczyzn, Henryka, w końcu siebie oskarżałam!
Byłam wymowna, czuła, tęskna, patetyczna;
Straszyłam i błagałam.

Prezes (*śmiejąc się*).

To scena komiczna!

Basia.

Stryj śmieje się? Wzruszyłam z grobu matki cienia!
Przysięgłam, i napróżno!

Prezes (*jak dawniéj*).

Nie do uwierzenia!

Basia.

Przysięgałam po trzykroć!

Prezes.

No! nie ma w tém grzechu.
Krucyfixu nie było!

Basia.

I to warte śmiechu:
Ona nie uwierzyła, i o dowód pyta!
Obiecałam dać dowód.

Prezes (*z komiczną admiracyą*).

Oto mi kobieta!

Basia.

Obiecałam, przysięgłam! Niechże stryj się śmieje,
Bo ja dowodu nie mam; a nasze nadzieje
Poszły z dymem! Nie koniec: niechno stryj posłucha.
Mnie w téj chwili napada godna gniewu skrucha,
I chcę Lidii maleńkie uczynić wyznanie
Grzechów moich i stryja! A co? Rozwiązanie
Smieszne!? Niech stryj nie czeka mojéj wesołości,
Bo pewno płakać będzie, tak jak ja ze złości
Teraz płaczę!

(*płacze*)

Prezes.

A widzisz, sama chciałaś tego!
Zemsta jest złe uczucie, i głupie, *to tego*:
Korzyści zeń nie bywa, ani za dwa grosze.

Basia.

Morały wcale w porę.

Prezes.

A! słuchajże proszę!
Że ten Henryk, *to tego*, wcale nieoglądnie
Odrzucił dar twéj ręki; to ty nierozsądnie
Zaprzysięgłaś mu zemstę! Byłbym się nie zgodził:
Przecież i ja mam serce, bom się z niém urodził!
I żal mi biednéj Lidii, co cierpi niewinna,
Gdyby nie korzyść jasna i przyczyna inna!
Jak me cele przed twemi przodkują, *to tego*,
Sądź sama: ty przegrałaś, ja dopiąłem swego!

Basia *(z radością)*.

Drogi stryj dopiął swego?

Prezes.

A! Teraz czułości!
W kobietach same tylko są ostateczności!
Więc ten stryj, ta szlafmica, zero, pośmiewisko,
Ocalił całą sprawę, gdy gubiłaś wszystko?
Prawda, prawda, zanadto długie włosy macie:
Najmędrsze, w rzeczach ważnych głupstwa popełniacie!

Basia.

Stryju drogi, stryjaszku, o stryjciu kochany!

Prezes.

Chcesz dowodu? Mam dowód! List do cię pisany
Przez Henryka, dość będzie?

Basia.

Ależ dość! Wybornie!
Stryjciu, mój ty rozumny stryjciu! Ja pokornie
Uznaję twoję wyższość! Radź jak postępować:
Wypełnię co do joty!

Prezes.

Nic: Lidii pilnować,
Powiedzieć że list u mnie. Tę samą grać rolę
Jaką już raz zaczęłaś. Ja przyjdę.
(po chwili namysłu)
Nie! wolę

Przysłać po was. A wtedy nie dziwić się wcale
Memu postępowaniu! Ja wiem doskonale
Co robię i jak robię.

Basia.

Stryj nieoceniony,
Ideał wszystkich stryjów! Jeźliś obrażony
Na mnie, to ja na klęczkach przeprosić gotowa,
I wyjść za mąż—za stryja!

Prezes.

Zawsze pusta głowa!
Nie wymagam! Dziękuję! Ja ostrożny ptaszek:
Miałem już jednę taką.

Basia (*wychodząc*).

Anielski stryjaszek!

SCENA V.

PREZES SAM, PÓŹNIEJ SŁUŻĄCY, PÓŹNIEJ SEKRETARZ.

Prezes (*dzwoni; wchodzi lokaj*).

Sekretarza mi wołać.

Służący.

Czeka, proszę pana.

Prezes.

No! niech wejdzie!

(Służący wychodzi i wpuszcza sekretarza, który zatrzymuje się przy progu).

Prezes (*wyjmując z zanadrza zeszyt papieru i trzęsie nim z gniewem przed oczami sekretarza*).

A to co? Wiész? Pytam Acana.

Sekretarz.

To sekstern.

Prezes.

A czyj sekstern?

Sekretarz.

To pana Henryka!

Prezes.

Cóż on robił w szufladzie Acana stolika?

Sekretarz.

Tego to, przepisuję.

Prezes (*przeglądając zeszyt*).

Widzę pracowicie!
Starannie!
(*srogo*).
Czy wiész Acan, żeś sprzedał mi życie?
Dość płacę, abyś nie kradł u mnie mego czasu!
To tego, miejsca nie masz!

Sekretarz (*przerażony*).

Panie!

Prezes.

Bez hałasu!
Ja nie lubię rozkwileń!

Sekretarz.

Przebacz, Jasny Panie!
Cóż będzie z moją matką?

Prezes.

Niech co chce się stanie!
Niechaj idzie z torbami!

Sekretarz.

O! niech pan daruje!
Ja po nocach pisałem!

Prezes.

To tego, pojmuję,
Przy moich własnych świécach!

Sekretarz.

Już tego nie będzie!

Prezes (*po chwili milczenia*).

Nie Acana, a matkę twoją mam na względzie:
Przebaczę ci, lecz za to...

Sekretarz.

Wszystko co pan każe!

Prezes (*bijąc ręką po zeszycie*).

W téj powieści list piękny. Zaraz ci go wskażę.
(*szuka*).
Ot, tu!
(*wyjmuje z zeszytu ćwiartkę, która ma formę listu*).

Mnie on potrzebny, więc go sobie biorę,
Oddam go, ale później, we właściwą porę.
A teraz Acan tylko, *to tego*:
(znacząco).
Wiém pewnie,
Że imitujesz tęgo podpisy.
(z udaną dobrocią).
Przyjemnie
Mi to będzie, *to tego;* dla żartu. Żartować
Lubię czasem. Czy możesz tutaj zimitować
Rękę pana Henryka?
(dobitnie).
Możesz!
(po chwili milczenia).
Mój kochany.
(Sekretarz siada koło stołu i pisze; prezes patrzy mu przez ramię).
Wykapany
Charakter jego ręki. Podpisz, postaw datę;
Tak pięć miesięcy nazad. Dobrze!
(bierze list od sekretarza).
Za tę
Posłuszeństwo Acana, przebaczam ci winę,
I pozwalam kopiować daléj bazgraninę
Tego pana. Lecz pilnuj, bo ci nie zapłaci:
Poeci, to wiadomo, ludzie nie bogaci.
Idź Acan; ale trzymaj język za zębami,
Bo źle będzie!
(sekretarz odchodząc zatrzymuje się u bocznych drzwi; prezes go nie widzi).
(bijąc ręką po liście).
A teraz sprawa między nami!
O! mój panie Henryku, to tobie dogodzi!

Służący (*wchodząc anonsuje*).

Pan marszałek przyjechał.

(Sekretarz ukrywa się za drzwiami. Prezes wybiega na spotkanie marszałka. Po wyjściu prezesa, sekretarz wraca na scenę).

SCENA VI.

SEKRETARZ (*sam*).

O co jemu chodzi?
Coś grozi Henrykowi? Na co list ten wzięty?
Przepraszam, bo pan Henryk dla mnie niby święty.

Nie pozwolę! Lecz na co? Dowiedzieć się trzeba!
Podsłucham, wyszpieguję; i gdybym bez chleba
Miał zostać całe życie, na nic nie pozwolę,
Gdy pan Henryk ma cierpieć. Wolę zginąć, wolę
Żebrać, wolę umrzeć z głodu! Na co list ten? Na co?
Coś podłego zamyśla ten stary ladaco!
(słychać kroki nadchodzących)
Poczekajcie panowie, i ja będę z wami!
(ukrywa się za obszernemi firankami u okien)
Nie pozwolę, o, za nic!

SCENA VII.

PREZES, DUTKIEWICZ, SEKRETARZ UKRYTY.

Prezes.

Tu będziemy sami,
I nikt nam nie przeszkodzi.

Dutkiewicz.

Przysłałeś prezesie,
A więc na rozkaz staję. Na życzeń mych kresie,
Tak stanowczego dla się czekając wyroku,
To o czém myślę, widzę w każdym twoim kroku.
I ten posłaniec do mnie.

Prezes.

Tak. Pan się nie myli:
Spełnienie życzeń pańskich waży się w téj chwili.
To tego, więc pomówić przedewszystkiém chciałem.

Dutkiewicz.

A zatém panna Lidia, jak się spodziewałem....

Prezes.

Tak. Ale.

Dutkiewicz.

Jest *ale*?

Prezes.

A cóż jest bez niego?
To rzecz jest delikatna, widzi pan, *to tego*;
Lidia, tak, bez wątpienia....

Dutkiewicz.

Kontenta, co? ze mnie?

Prezes.

Potwierdzić to byłoby wcale mi przyjemnie.
Nie mogłem sobie życzyć lepszego wyboru,
I mówię szczerze, seryo, tak, słowo honoru,
Że to mi jest przyjemnie. Lecz powiedzieć chciałem:
Że nie jeden ja tylko na Lidią wpływałem.
Nieboszczka siostra moja, kobieta sercowa,
Dość rzec, aby odgadnąć jaka była głowa:
Owóż, za życia swego wpoiła w nią zdania,
Zasady i pojęcia, pewne przekonania,
Które w potocznem życiu, w naszéj wyższéj sferze
Niepotrzebne, nietrafne, i powiedzieć szczerze,
Nadto gminne. Więc z tego skutki te konieczne.
Że się w niéj dzisiaj ważą dwie natury sprzeczne.
Matki wpływ zrobił z Lidii dziwaczną istotę,
Rozczuloną, marzącą, w uczuciach prostotę,
W sercu karmiącą zapał, w duszy zachwycenie
Nad wszystkiém pięknem, dobrem; niedając baczenia:
Czy to piękno i dobro z korzyścią *to tego*?
Ile mogłem, czuwałem, ażeby nic złego
Nie wypłynęło z takich zasad nic do rzeczy;
Starałem się to zniszczyć i miałem na pieczy,
Kształcić młodą osobę według zasad świata,
Jako obywatelska córka i bogata
Być powinna. Przerobić wszystko trudno było:
Co się dało wykształcić, to się wykształciło.
I gdyby nie jéj matki troskliwość fałszywa,
Lidia za mém staraniem byłaby prawdziwa
I doskonała *dama*! Lecz stare nałogi
Sprowadzają ją nieraz z wyższéj sfery drogi;
I czasem, tak, aż przykro, jest istna *kobieta*,
Którąby cenił tylko głupiec, lub poeta.

Dutkiewicz.

To synonim; lecz proszę.....

Prezes.

Przepraszam, że przerwę!
Widzi pan. gdy raz wątek moich myśli zerwę,
Później trudno mi trafić do celu, *to tego*.
Owóż idąc logicznie z założenia swego,
Muszę dojść do wyznania, że nasze zamiary
Mają swą słabą stronę: właśnie te przywary,
Te sercowe, dla których Lidia niezupełnie
Zachwycona przez pana. Tak, jakoś odmiennie
Uważa szczęście swoje. *to tego*.

Dutkiewicz.

Zaiste
Dziwić mi się wypada.

Prezes.

Głupstwo oczywiste!
Ale cóż chcesz marszałku?

Dutkiewicz *(naiwnie).*

Chcę się z nią ożenić.

Prezes.

Zapewne, że jéj zdanie musi się odmienić.
Lecz dziś, dawne nałogi, pamiątki dziecinne,
To tego, tak: zamiary Lidii wcale inne.
Ale można to zwalczyć, lecz nie bez trudności.

Dutkiewicz.

Trudności, dla prezesa?

Prezes.

Nie mam wszechmocności,
A tylko ludzką siłę. Tę zdobyłem sobie
Nie żałując ni zdrowia, ni mienia. W téj dobie
Przez opinią powszechną, przez me położenie,
Wpływ niejaki wywieram.

Dutkiewicz.

A więc się ożenię?

Prezes.

To tego, tak, w méj woli.

Dutkiewicz.

Więc rzeczy skończone?

Prezes.

Niezupełnie, *to tego*. To już dowiedzione,
Że ja żądam, by Lidia była żoną pana;
Lecz, *to tego*, chęć pańska niedobrze mi znana?

Dutkiewicz.

Jakto? Chęć ma nieznana? Ja wiele dam za to?

Prezes *(dobrodusznie).*

A wiele?

Dutkiewicz.

O! i bardzo! Bo jakąż zapłatą
Można okupić szczęście?

Prezes.

Wyliczyć nie trudno.
(po chwili milczenia).
Naprzód zdawać rachunki będzie rzeczą nudną.
Nie wypada w drobnostki wchodzić między nami.

Dutkiewicz *(potakując).*

Nie darmo się rodzimy wielkimi panami.

Prezes.

Więc z opieki rachunki?...

Dutkiewicz *(wspaniale).*

Na oślep kwituję!

Prezes.

To pięknie; lecz niedosyć. Dobrze pan pojmuje,
Że kiedy wpływ mój panu zyskiwa korzyście,
Wpływ ten, *to tego*, dobry, dobry oczywiście;
Więc pragnę go zachować. Nic pan przeciw tego
Nie ma? To bardzo pięknie, rozumnie, *to tego:*
Ale wpływ bez pieniędzy, to światło księżyca,
Co choć świeci, nie grzeje. Cała okolica
Wie, że moja fortuna na kraju usługi
Poszła. *To tego*, krótko rzecz mówiąc: mam długi,
Które mi na sumieniu ciężą i na głowie.
O tak! majątek Lidii dzielmy po połowie:
Pan włości z jéj osobą, a ja kapitały.

Dutkiewicz.

Ależ to nie drobnostka, rachunek niemały!

Prezes.

A jużci: małych rzeczy ja nigdy nie robię!

Dutkiewicz.

Drogo, o! bardzo drogo! I ja się sposobię
Na człowieka ze wpływem. A kapitał liczny
Jest, według ekonomii zasad politycznéj,
Dźwignią wszystkiego w świecie. To siła przemożna!
Pięć kroć, tego na palcach policzyć nie można!

Prezes.

Lecz to mniejsza połowa; trzecia część, *to tego*,
Ściśle biorąc.
(chwila milczenia. Prezes zimno).
A zdania nie narzucam mego.
Jest inny, co warunki me przyjmie z radością,
Wiedziony nie rachubą, lecz czystą miłością.
A nawet mi przedstawia moralne korzyście:
Człek ubogi, więc każdy powié oczywiście,

Że ja z postępem idę, gdy za ubogiego
Oddam Lidią, dla zalet moralnych, *to tego*.
Horda nic nie mających będzie mię wynosić
Pod niebiosa, *to tego*, i na rękach nosić!

Dutkiewicz.

Niewytworna to sława.

Prezes.

Ale za to głośna;
U nas rzecz tyle warta, wiele jest donośna!
Czuje pan, że dlań miałem względy niefałszywe;
Choć zrywamy interes, szacunek prawdziwy
Spodziewam się, zostanie?
(podaje rękę Dutkiewiczowi).
Tak?

Dutkiewicz.

Za pozwoleniem:
Gdy się zgodzę z prezesa kosztownem życzeniem,
Jakże to się ułoży? Jakże z tamtym będzie?

Prezes.

To takoż korzyść pana. Stanąwszy z nim w rzędzie,
Odnieść świetne zwycięztwo, to pięknie, *to tego*;
Nikt nie będzie śmiał wyrzec ani słowa złego.

Dutkiewicz.

Któż to? Czy nie ten Henryk, który coś tam pisze?

Prezes.

On sam. Lecz ma opinią poety, jak słyszę.
Mówią, że i szlachetny, wzniosły i rozumny,
Więc wziąwszy górę nad nim, możesz pan być dumny.

Dutkiewicz.

Ale jak się nie uda?

Prezes.

Rzecz moja, *to tego*:
Sama Lidia da wyrok i ostry na niego.
Przeciw temu nikt zgoła, ręczę, nie powstanie:
Wolny wybór, to w duchu hałastry, mój panie!
A tak, wilk będzie syty i koza w całości.
Co zaś do rachunkowych naszych formalności,
Mój sekretarz, *to tego*, wszystko przygotuje.
Pan podpisze, a raczéj pan mię pokwituje;
Jutro zaś z rana do mnie. Niech pan się nie pyta:
On, harbuza dostanie, pan żonę i—kwita!
Cóż, zgoda? No? *To tego?*

Dutkiewicz.

Ha, cóż robić? zgoda!
(podają sobie ręce i żegnają się).

Prezes.

Teraz żegnam.
(marszałek wychodzi).

SCENA VIII.

PREZES, SEKRETARZ UKRYTY.

Prezes.

A mogłem więcéj zyskać, szkoda.
(chodzi po scenie).
Do téj pory to idzie, teraz, skok śmiertelny!
To tego, z kobiétami bywałem bezczelny
Za czasów méj młodości; czas to był niczego,
Ba, i teraz potrafię!
(po chwili namysłu).
Lecz Lidia, *to tego*,
Ma coś w sobie, co nawet i nazwać mi trudno:
Coś, o tak, niby obraz święty. Z myślą brudną
Nie można ustać przed nią; istne jakieś czary
Wieją od niéj
(śmieje się).
Ot głupi, o głupi, choć stary!
Cóżto święta, czy anioł? Et! I przed aniołem
Jakośbym skłamał jeszcze i z pogodném czołem;
No! *to tego*, czas, pora.
(dzwoni, służący wchodzi).
Prosić tutaj panie.
(służący wychodzi).
Prawdziwie coś mi straszno!
(staje przed lustrem i przegląda się).
O! Boże skaranie:
Otóż czerwony jestem: to skutki trawienia.
Ha! żołądek figluje, źle!
(po chwili milczenia).
Na karb rozczulenia
Niech idzie ten rumieniec.
(znowu patrzy w lustro).
Jednakże niemiło,
Że już jeść, pić nie można, jak się jadło, piło;
Trzeba się zreflektować.

(Słychać szelest za drzwiami. Prezes siada z miną smutną i zamyśloną. Sekretarz wygląda z za firanek i grozi prezesowi; na widok wchodzących ukrywa się spiesznie).

SCENA IX.

PREZES, BASIA, LIDIA, SEKRETARZ UKRYTY.

Basia *(ciągnąc prawie Lidię).*

Samaś tego chciała!
Chodź! Dotrzymać ci muszę to, com obiecała,
Na co trzykroć przysięgłam!

Prezes *(udając przestrach i niespokojność).*

Co to się ma znaczyć?
Co się stało? No! mówcie?
(do Basi).
Proszę wytłumaczyć?
Czego milczysz?
(do Lidii).
Ty drżąca, pomieszana, blada?
(do obydwóch).
Coto jest? A! Na Boga! Niechże która gada?
Mnie żywego już nie ma!
(do Lidii).
Moje dziécię drogie!
Co tobie? powiédz, proszę!

Lidia.

Ja nie wiém! Nie mogę
Myśli zebrać! To ona.
(pokazując na Basię).

Prezes *(do Basi).*

Cóż milczysz, jak ściana!
Mówże Basiu, wszak widzisz jak ona zmieszana;
A twarz jéj tak zbiedzona, że aż litość bierze.
No, mówże, a otwarcie! Coto jest? A szczerze!

Basia.

E! nie ma z czém się taić. Niech stryj list pokaże!

Prezes *(z podziwieniem).*

List? Jaki list? Cóż znowu? Niech mię Pan Bóg skarze,
Jeźli wiém o co idzie?

Basia.

List pana Henryka
Pisany do mnie.

Prezes.

Cóżto za pretensya dzika?
Zkądże on ma być u mnie?

Basia.

Wszakżem go oddała
Do schowania stryjowi?

Prezes.

Mnie? Czyś oszalała!

Basia.

A niech stryj nie udaje. Wszystko już odkryto:
Ona kocha Henryka, a on....

Prezes.

O! kobiéto!
Co pleciesz?
(do Lidii).
Moja Lidio! Moje dziécię drogie!
Co ona mówi? Prawda-ż? Ja wierzyć nie mogę!

Lidia.

Wujaszku! Ty się zlituj, Basia bez litości!
Zlituj się! powiédz wszystko! Głos niespokojności
Czułéj, troskliwéj o mnie, co słyszę w twéj mowie,
Źle mi wróży, nieszczęście potwierdza w połowie!
Ja go kocham, wujaszku! Niedawno, przed chwilą,
On wyznał mi swą miłość!

Prezes.

Pozory cię mylą:
Ja choć pytam troskliwie, ale nie w obawie.
Więc go kochasz?

Lidia.

O! kocham!

Prezes *(patrzy na nią smutnie, waha się czas niejaki, później czule).*

Ja was błogosławię!
(Lidia całuje z zapałem ręce prezesa. Basia patrzy nań ze zdziwieniem).
Tak! Tylko błogosławię, bo to władza jedna,
Jaką na mnie przelała twoja matka biédna
Na łożu swojéj śmierci! Ja cię błogosławię!
On, biédny! W rzędzie przeszkód ja tego nie stawię!
On bez stosunków w świecie; ja wam je porobię!
A kiedy pójdziesz Lidio modlić się na grobie
Twéj matki, to jéj powiédz: żem był ojcem tobie!

Lidia.

Mój wuju!

Basia.

C'est stupide! Cóż stryj myśli sobie?
Że ją zgubić, to proba ojcowskiéj czulości?
Czasem, boleść zadana dowodem miłości!
Ja dałam jéj ten dowód! Ja! Nie bacząc na to,
Że utrata jéj serca będzie mą zapłatą:
W sumieniu czerpiąc siły dla jéj ocalenia,
Wywiodłam ją gwałtownie z raju omamienia!
Wszystko jéj powiedziałam; wszystko wié odemnie:
Jak Henryk ją uwodził, a kochał się we mnie!
Przekształciłam poetę w nizkiego szalbiercę,
Bo ja ją szczerze kocham!

Prezes.

Czy ty miałaś serce?
Patrz na nią! Czy ty widzisz? Życzliwość twa truje!
Ona zaledwo żywa!

(do Lidii).

Lidio! Ja pojmuję
Straszny ból twego serca; ale moje dziécie,
Nie wszystko stale dobre, albo złe na świecie!
Jasnych uczuć Henryka, to przelotne chmury!
Ja bronię go dla ciebie.

Lidia.

O! dosyć tortury!
Wuju! Najlepszy! Dobry! Nie wuju, a ojcze!
Ty mię kochasz! Ty czujesz jak to jest zabójcze,
Jak to wszystko okropne! Wuju! o! z litości,
Wolę skonać w mym żalu, jak być w niepewności!
Ja dotychczas nie wierzę, choć twych pociech słowa
Dźwięczą, jak na pogrzebie muzyka grobowa,
I rozpaczném przeczuciem serce moje krwawią!

Prezes (*z gniéwem do Basi*).

E! Te twoje zwierzenia o szał ją przyprawią!

(do Lidii).

Moje dziécię! Ma córko! o! moja ty droga!
Ja chciałbym cię pocieszyć!

Lidia (*do siebie*).

Jaka męka sroga!
Ja myśli i pamięci nie dobędę z siebie!

(pociera czoło dłonią w zamyśleniu).

Już wiém!

(do prezesa).

Ja miałam prośbę, mój wuju, do ciebie,
Prośbę jedną, jedyną! Wywiedź mię z téj nocy,
W któréj szkarady tylko straszą moje oczy!

Wyrwij mi z serca wiarę, wszystko święte, tkliwe!
Daj mi światło zabójcze, o! byle prawdziwe!
Czy ten list jest u ciebie? Prawdę-ż mówi ona?

Prezes.

Moje dziecko! Tyś nadto teraz rozdrażniona,
Nadto cierpisz, by nowe zadawać boleści!
Twe serce i tak pełne, więcéj jéj nie zmieści!
Późniéj pogadam z tobą.

Basia.

Niech stryj ją nie dręczy!
Lepiéj raz już to skończyć!

Lidia.

Mnie nie mój ból męczy:
W mém sercu dwojga uczuć okropna zawisłość!
Straszno, jednak ja mówię: niech ginie ma miłość!
Ale dopóki dowód jasny, oczywisty
Nie wesprze téj potwarzy, on będzie mi czysty,
Zacny, szlachetny, godny! O! Ja nie pozwolę
Aby piętno oszczerstwa na szlachetném czole
Zostało czarną plamą! O! mój wuju drogi!
Przebacz mi uniesienie! Sam powiédz: czy mogę
Wierzyć bez własnéj hańby?

Prezes.

O! mój ty aniele!
Takich kobiét, niestety, na świecie niewiele!
(półgłosem do siebie).
Jak mógł ten niegodziwiec nie poznać się na niéj?
(do Lidii).
Późniéj, późniéj, me dziecię! To gorzéj rozrani,
Zatruje twoję boleść!

Lidia.

O! racz się zlitować!
Tyś mi dobry, jak matka! Chcesz mię przygotować
Do tego okropnego w mojém życiu ciosu!
O ja go znieść potrafię!

Prezes.

Ach! już brak mi głosu!
Wszak i ja nie kamienny! Nie mam, nie mam siły!

Lidia.

O mój wuju! mój ojcze! Ukochany! Miły!
Powiedz wszystko: me szczęście już tylko ruiny!
Ona je rozburzyła! Nie z twojéj przyczyny
Ból, męka i śmierć moja!
(błagając)

O jak serce boli!
Lecz zobaczysz co może siła mojéj woli:
Będę zimna i mężna, ani się zachwieję!
Może pobledną trochę, może posmutnieję,
Może jedna łza padnie na uczuć zwalisko!
(po chwili milczenia)
Nic! ani łzy, ni żalu! O! powiedz mi wszystko!
(całując ręce prezesa)
Ja całuję twe ręce!
(chyląc się ku nogom prezesa)
Ucałuję nogi!...

Prezes (*podnosząc Lidią*).

Niech się stanie twa wola, mój aniele drogi!
Na-ci ten list przeklęty! Ale...

Lidia (*wyrywając list z rąk prezesa*).

Mam go przecie!
(Opuszcza bezwładnie ręce; waha się czas niejaki, później otwiera gwałtownie list, i chciwie weń patrzy)
Jego ręka! Mój Boże!
(Mnie list w załamanych dłoniach; nareszcie czyta go, opuszcza zwolna ręce, i tak w bezruchu bolesnym stoi patrząc osłupiałym wzrokiem przed siebie)
Więc tak na tym świecie?!
Wszystko piękne i dobre w brudny gruz się kruszy!
Kłamstwem są głosy serca i przeczucia duszy?
Zerwać kwiat, on się w ręku w zgniłe włókno zmieni;
Spojrzyć w gwiazdy, to każda z niebiańskich sklepieni
Upadnie, i na ziemi, błotem ziemi będzie!
Spojrzeć zblizka w twarz ludzi, same maski wszędzie:
Maski rozumu, uczuć, natchnienia, zacności!
Zerwać je, cóż zostanie:—brud w całéj nagości!
Spojrzéć we własne serce; o! w sercu nic nie ma:
Wszystko tam zmarło, pusto, lodowato, zima!
Z najświętszych myśli duszy nie lśni ani jedna!
Nie ma wesprzéć się na czém!

Prezes.

O! moja ty biedna!
Przyjdź do siebie; miéj litość nad mą siwą głową!
Okupiłbym twój spokój, o! życia połową!
Tak! Modłów mych gorących wysłuchają nieba,
I ty będziesz szczęśliwą!

Lidia.

Już mi nic nie trzeba!
Nawet szczęścia!
(pokazując list)
Mam wszystko!

Basia.

Siostro moja droga!
Wspomnij, my cię kochamy!

Lidia (*z goryczą*).

Maszże w sercu Boga!
Zadawszy cios śmiertelny, nóż obracać w ranie?
Jątrzysz ją przez udane twe politowanie!
Stało się jakeś chciała! Patrz: oko me suche!
(*chwyta jéj rękę i przykłada do swéj piersi*)
Dotknij serca! Czy czujesz uderzenia głuche,
Jakbym już skonać miała?
(*odrzuca rękę Basi*)
Ciesz się z twego dzieła!
(*z ironią*)
Oświeciłaś mię radą, zasłonęś mi zdjęła!
Patrz: jam teraz rozsądna, spokojna,
(*z rozpaczą*)
Szczęśliwa!
Z dawnych przeczuć już tylko jedno się odzywa,
I mówi: że to szczęście tobie jestem winna!

Basia.

Wiedziałam, że nagroda taka być powinna
Za najlepsze me chęci z poświęceniem siebie!
Nienawidź mię: ja pójdę modlić się za ciebie!
(*wychodzi*)

SCENA X.

LIDIA, PREZES, SEKRETARZ UKRYTY.

(Prezes gwałtownemi krokami przechadza się po scenie i stara się zwrócić zamyślonéj i smutnéj Lidii uwagę, na oznaki swéj bolesnéj niespokojności).

Lidia (*spogląda na prezesa, patrzy nań z czułością; nareszcie zbliża się i całuje go w rękę*).

Wuju drogi! Wuj widzi całe moje męztwo!
Przeszła chwila najcięższa! Twe błogosławieństwo
Ojcowskie mnie podnosi, kiedy smutek gnębi!
Cierpiałam, cierpię strasznie; ale w duszy głębi
Ukryję boleść; sercu zabronię pamięci!
Wdzięcznością mą dla ciebie życie się rozświęci!
Czcić, kochać ciebie będę! W téj goryczy dobie
Nie wszystkom utraciła, gdy mam ojca w tobie!

Prezes.

Niech cię Bóg błogosławi, pociesza i wspiera!
Serce moje nad tobą płacze i zamiera.

O! dopóki żyć będę, nie daruję sobie,
Żem źle tę zastępował, która w swoim grobie
Zadrżałaby, spostrzegłszy: jak jéj dziécię lube
Przechodzi bez pomocy ciężką życia próbę!
(unosząc się coraz bardziéj)
A więc rzecz już skończona? Nie! tak być nie może!
Mamże stratę jéj szczęścia przenosić w pokorze?
Nie! Ja przed sąd publiczny tę sprawę wywołam:
(do Lidii)
Nie umiałem cię bronić, ale pomścić zdołam!

Lidia *(przerażona).*

Boże! co wuj zamyśla?

Prezes.

Wyzwę i zabiję!

Lidia.

Nieszczęsna! Tejże jeszcze boleści dożyję,
Abyś z mojéj przyczyny, ojcze, w twoje lata,
Narażał życie swoje?

Prezes.

Co powié głos świata,
Głos ludzi i głos Boga? Chociaż drżące dłonie,
Choć czas poorał w bruzdy me lica i skronie,
Choć ubieliła włos mój lat przeżytych zima:
Serce silne, bo w sercu zmarszczków jeszcze nie ma!

Lidia.

Ono do mnie należy, czułe i litosne!
Me cierpienia się zwiększą, skoro będą głośne.
O! zaniechaj téj zemsty! Za takie cierpienie
Jedna zemsta godziwą: —pogardy milczenie!

Prezes.

O! nie, to tak nie przejdzie!

Lidia.

Ja cię proszę, błagam!

Prezes *(trąc czoło).*

Słuchajno Lidio! Sam nie wiem, czego chcę, wymagam,
I ty nie zbierzesz w bolu rozpierzchłych twych myśli!
Mnie gniew, widzenia zemsty dzisiaj tylko kreśli!
Odłóżmy tę rozmowę.

Lidia.

O! nie. O! dziś skończmy,
I nigdy nie wznawiajmy!

Prezes (*stanowczo*).

Więc chęci połączmy!
Ja mego przywiązania dałem ci dowody.
Dla twego dobra dzisiaj wymagam nagrody,
Posłuszeństwa od ciebie!

Lidia.

Och! ono bez granic!

Prezes.

Dziękuję ci!

(*po chwili milczenia*)

Ja jemu nie przebaczę za nic!
Z krwawéj zemsty, dla ciebie, uczynię ofiarę.
Ale mam dlań, o! może boleśniejszą karę:
Niech wié, że tak urągać nie można wszystkiemu!
Niech ten ból co nas dręczy, da się czuć i jemu!
W nim, przedewszystkiém, duma! On, jak szatan hardy!
Niechże wié, co uczucie doznanéj pogardy!
I niech to jego spotka nagle, niespodzianie,
Przy świadkach, bez tłumaczeń, gdy jutro tu stanie.

Lidia.

On? Tu? przedemną? Jutro? Wuju! nie mam siły.

Prezes.

Jeżeli ci me życie i mój spokój miły,
To uczynisz to dla mnie!

Lidia.

Zlituj się nademną!

Prezes.

Słuchaj Lidio! Godziną mych marzeń przyjemną
Było marzenie szczęścia, co'm budował tobie.
Ja znalazłem człowieka, i myślałem sobie:
Zacny i miły ludziom i ludzie mu mili,
Szlachetny, młody, piękny.

Lidia (*z wymówką*).

O! wuju, w téj chwili!?

Prezes.

I urodzenie piękne, majątek donośny,
I śród obywatelstwa, choć młody, już głośny;
Jedném słowem: Dudkiewicz mych projektów celem.
Chciałem, by ci dozgonnym został przyjacielem.
Zdawało mi się nawet: jego miłość stała
Nie robiła ci wstrętu?

Lidia.

Bom jéj nie widziała!

Prezes.

Wiém teraz. Lecz dziś jeszcze nie wiedząc o niczém,
Gdy zwierzył się przedemną, to ja z niezwodniczém
Uczuciem powitałem to zacne wyznanie,
I, choć się powołałem i na twoje zdanie,
Lecz ośmieliłem jego oświadczyć się tobie.
Pewny byłem, tak robiąc, że ja nieźle robię.
Widzę moję pomyłkę i to wszystko na nic!

Lidia.

O! jaki ty poczciwy i dobry bez granic!
Ty pojmujesz, że dla mnie szczęście nie istnieje!

Prezes.

Wiém Lidio; lecz odebrać jemu tak nadzieję
Nie wypada, trza zresztą powiedzieć przyczynę.
To w oczach świata dla mnie będzie miéć złą minę;
Powiedzą, że odstręczam od ciebie z rachuby.
Chcesz-że tego?

Lidia.

Cóż poczną? o mój wuju luby!
Ja nie mogę ich widzieć! To nowe cierpienie!
O! miéj politowanie!

Prezes.

A twe przyrzeczenie?

Lidia.

Czegoż więc żądasz wuju?

Prezes.

Kiedy oba, rano,
Na me wezwanie, jutro tu przed nami staną;
Dudkiewiczowi całkiem nie odbierz nadziei.
Ja zrobię, że to późniéj samo się rozchwieje;
A Henryka? O! jego odrzuć i z pogardą!
Proszę cię, błagam o to!

Lidia.

Odrzucić? Z pogardą?
(na stronie).
Na zawsze? To okropnie!

Prezes *(smutnie).*

Ja może się mylę;
Lecz zdaję mi się, prośba ma boli cię tyle,
Że wolę się jéj wyrzec. Z przyrzeczenia zwalniam.
(Półgłosem do siebie, ale tak, aby Lidia słyszała).
Ale siebie od zemsty krwawéj nie uwalniam!

Lidia.

O! nie czyń tego, nie czyń!

Prezes.

A cóż mi zostaje,
Kiedy odrzucasz środek, który ci podaję.
(gwałtownie).
I że swego dopełnię, to tak, jak Bóg w niebie!

Lidia.

Mów! Rozkazuj! Rozrządzaj! Spełnię! słucham ciebie!

Prezes.

O poczciwa! o zacna! o szlachetna duszo!
Wszystkie te ciernie życia siły twoje kruszą.
Dość na dziś: ty wyglądasz jakby po chorobie!
Wierz mi: czyż ja dla siebie wymagam po tobie
Téj jedynéj ofiary? Twa godność mi droga!
Idź! pomódl się! Odpocznij!

Lidia *(na stronie).*

Ach! może u Boga
Znajdę litość nad sobą!

Prezes.

No! Mam przyrzeczenie!
Bądź mężną i okrutną! A to smutku cienie
Rozjaśnią się śród zemsty, nad twą duszą biédną!

Lidia.

I mężną! I okrutną?!
(na stronie).
O! wszystko mi jedno!

Prezes *(odprowadza ją do bocznych drzwi i całuje w czoło).*

Moje dziécię, Bóg z tobą!

Lidia *(odchodząc).*

I wieczne cierpienie!
(wychodzi).

SCENA XI.

PREZES, SEKRETARZ UKRYTY.

Prezes *(oddychając głęboko).*

Och! *To tego*, to wszystko męczy nieskończenie!
Pot leje się.
(pociera się chustką).
I pewno spać dobrze nie będę.
Wprawdzie spać czasu nie mam, bo zaraz zasiędę,
By umowie z marszałkiem dać walor formalny.
To tego—verba volant.
(wychodzi).

SCENA XII.

SEKRETARZ SAM, PÓŹNIEJ SŁUŻĄCY.

Sekretarz *(wychodząc z za firanki).*

No komedyant walny!
No! tragedyant! No pajac! Prawdziwie, myślałem
Że już mię djabli wezmą! Ot tak, już już chciałem
Wyjść, i wszystko powiedzieć! I żeby się stało:
Onby kazał mię wypchnąć! *Tego to*, o mało
Nie zgubiłem téj sprawy! To rycerz odważny
Wyzywa i zabija, on?! *Tego to*, kat ważny!
Jak to oni męczyli tę biedną? Dowody,
O! gdyby mi dowody, sprawiłbym im gody!
Trza jednak coś poradzić? Namyślę się sobie.
(Chodzi zamyślony; później z rozpaczą uderza się w czoło)
Kiedym głupi! i pewno jakieś głupstwo zrobię!
Pójdę szukać Henryka.
(Chce wychodzić i spotyka się ze służącym)

Służący.

Pan tam potrzebuje
W kancelaryi.

Sekretarz.

Wnet idę.
(służący wychodzi)
To mi szyki psuje!
(po chwili milczenia)
Ach! nie! On pisać każe! Niech mu Bóg da zdrowie!
Sam lézie w moje łapy! Ale jak się dowie
Pan Henryk? Czasu nie mam, chciałbym się poradzić.

Służący *(wracając).*

Jasny pan kazał pana za kark przyprowadzić!
Gniewa się, klnie i dzwoni! Będzie pan miał biedę!
Niechże pan idzie zaraz!

Sekretarz *(po chwili wahania się).*

No! idę już! idę!
(Zasłona zapada).

KONIEC AKTU IIgo.

WYCIECZKI

NA STOKI KARPAT GALICYJSKIE I WĘGIERSKIE,

ze szczególnym poglądem

NA ICH WODY MINERALNE I NA ICH INNE UZDRAWIAJĄCE ŻYWIOŁY: ROŚLINY, NABIAŁ I WINA.

PRZEZ

D^ra *T. Tripplina.*

Od dzieciństwa miały dla mnie Karpaty urok niewymowny. Patrzałem na nie zdaleka, bo z przedgórza pińczowskiego; ale przez całe lat cztery, najpiękniejszy wiek młodociany, w którym budzi się umysłowości jasne poczucie i wiedza, strawiłem w widoku odległych gór na ławkach sławnéj *akademii*. Codzień prawie, chyba że dészcz spadał potokami lub grad bił kulami, codzień piąłem się na najwyższe szczyty przedgórza, na górę św. Anny lub Zamkową, i ciekawe topiłem oczy w ów długi łańcuch gór śnieżnych, zamykających od południa daleki, a przecież wyraźny dla bystréj źrenicy widnokrąg.

Często patrzałem na ten długi majestatyczny łańcuch sędziwo-głowych olbrzymów, a zawsze z nową ciekawością. Łatwo odgadnąć przyczyny tego ciągle świéżego uroku: bo w dziecku, gdy się swobodnie rozwija i kształci, wzrasta z każdym dniem poszanowanie jakieś rzewne dla wszystkiego, co jest prawdziwie wielkiém i piękném.

A potém, przecież nas uczono historyi, przecież czytać mogliśmy poezye i czerpać wiedzę i uniesienie z utworów pióra takich autorów, jakiemi byli Staszyc i Korzeniowski, mężów,

którzy niewypowiedzianym urokiem ozdobili górne siedziby Słowian. Wiedzieliśmy jakie w tych potężnych a tajemniczych, raz kryształami błyszczących, drugi raz w czarne kiry otulonych górach mieszkają dzielne a nieszczęsne plemiona; wiedzieliśmy, jakich czynów historycznych owe miejsca bywały świadkami; domniemywaliśmy się jakie tam bić muszą wzniosłe serca na tych szczytach tak blizkich nieba, kędy szumią między odwiecznemi bory wartkie potoki, gdzie wściekła spada lawina i unosi z sobą skał urwiska; odgadywaliśmy jakie tam drgać muszą uczucia w piersiach śmiałego strzelca stojącego na krańcach skał, które pioruny wyrywają niebu, i strącają je w straszliwe otchłanie z tak okropnym łoskotem, żeśmy jego odgłos nieraz słyszeli tu na górach pińczowskich, o mil geograficznych dwadzieścia.

Wrażliwym jest umysł w zdrowym i śmiałym młodzianie, ale co go trwoży i przejmuje, byleby z rąk wielkiéj pochodziło przyrody, to go zarazem unosi ku Bogu. Rozkwitujący umysł pragnie widzieć potężném to wszystko, co kocha: dlatego tak chętnie na nasze olbrzymie patrzaliśmy Karpaty.

Tęskniłem z tak blizka i tak długo do sprawdzenia własnemi oczyma tych cudów, które nam opowiadano o Tatrach; lecz pomimo najżywszéj chęci daném mi nie było ani w Pińczowie, ani nawet w Krakowie znaleźć towarzysza do przedsięwzięcia tak niebezpiecznéj, jaką nam wystawiano, podróży w Karpaty. Nawet akademicy uniwersytetu Jagiellońskiego rzadko kiedy, albo nawet nigdy nie puszczali się w góry Karpackie, zamieszkałe, według przesądu powszechnego, a najniesłuszniejszego przez samych rabusiów i rozbójników. Jużto wówczas uznać musiałem, że Polacy lubią podróżować, ale tylko po dobrze wydeptanych wygodnych ścieżkach; że mało u nas takich śmiałków jak Jan z Kolna, Beniowski, Cienkowski i Strzelecki. Potém, zupełnie niespodzianie porwały mnie burze losu i zaniosły z ławek szkolnych daleko od zagród rodzinnych na dalekie morza i góry.

Ze szczytów gór Delekardyi i z Grampianu widziałem głęboko pod mojemi stopami walczące z sobą chmury i pioruny; z wierzchołka Estrelli, Alpuhar i Newady spoglądałem na szczęsne ogrody hesperyjskie, na oceany i brzegi dzikiéj Afryki; widziałem jak gałka śniegu ulepiona i stoczona z wysokich Pyreneów przybyła w dolinę Francyi wielką jak gmach trzypiętro-

wy; z wierzchołka Rigi spoglądałem w jezioro, w którém jak w najwierniejszém zwierciedle odbijał się czterech kantonów obraz z górami, miastami, kościołami i polem; widziałem jak dzikie małpy igrały z sobą na Ryffach Mogrebu, i słyszałem ryk lwa na stopach sędziwego Atlasu. A wszędzie i w obec tego olbrzymiego piękna, wszędzie tęskniłem do mych gór pińczowskich, i zawsze żałowałem, żem nie zwiedził Karpat, których obrazu żadne obce piękności w méj pamięci zatrzéć nie zdołały.

Karpatom przypisywałem zawsze większe uroki, bo wzrosłem w ich widoku, bo tam mieszkają ludzie tym samym co i my mówiący językiem.

Ośmnaście lat minęło, i wiele dziwnych przeszło czasów: naraz jestem zupełnie niespodzianie w Krakowie, bliższy Karpat jak kiedykolwiek. Odzywa się stara od tak dawna trapiąca mnie nigdy niezaspokojona tęsknota: spieszę w Karpaty sam jeden: już się nauczyłem podróżować i nie bać się bliźnich moich. Zresztą nie próżna pędzi mnie ciekawość: wiele słyszałem o wodach mineralnych, roślinach i mleczywie stoków Karpat. Nim osiądę w kraju i pełnić zacznę obowiązki mojego powołania, pragnę sprawdzić skuteczność tych żywiołów zdrowia i życia, tak potrzebnych dla naszéj ludności.

Z Podgórza do Harklowy nad Dunajcem.

Chciałem je widzieć zblizka jeszcze śniegiem pokryte, potém topniejące, nareszcie otulające swe stopy szmaragdowym płaszczem i rozkwitające milionami kwiatów; dlatego téż wybrałem się w podróż już w piérwszéj połowie miesiąca maja, kiedy jeszcze ostra zima trwa na szczytach Tatrów i umyśliłem pozostać w ich blizkości, ale na różnych miejscach z miesiąc cały, może i więcéj, aby się na całe życie nasycić powabem, którego używać od tak dawna pragnąłem.

Mój dobry, dzielny przyjaciel Dyonizy Z. odprowadził mnie aż za Podgórze, i tam mnie pożegnał pod mogiłą Krakusa, pewny, że się znów wkrótce połączymy. Sześć lat z okładem minęło od téj chwili, a jeszcze się drogi życia naszego ani razu nie zeszły, i może nigdy nie zejdą, bo on w innéj części świata, a ja już nie pragnę opuszczać granic mojéj zagrody.

Wiezie mnie chłopek krakowski, który nigdy jeszcze w Galicyi nie podróżował i drogi nie był świadom. Ale zaręcza, że wszystko pójdzie dobrze, bo droga na końcu języka. Zaufałem przyrodzonemu sprytowi Krakowiaka, i aby przyprawić konikom skrzydła, kazałem dać w piérwszéj karczmie furmanowi wódki. To skutkowało: lekki wózek biegł jak szalony pod górę, i jeszcze szaleniéj pędził z góry; jednym lejcem kierował woźnica swoje cztery rumaki, zagrzewał je głosem i biczem, wymijał wyboje, rowy i przepaści ze zręcznością, o jakiéj za granicą żaden woźnica najmniejszego nie ma wyobrażenia. Ja sam byłbym truchlał, gdybym z dawnego doświadczenia nie znał zręczności Krakowiaków, i gdybym umiał truchléć tam, gdzie inny człowiek na toż samo niebezpieczeństwo wystawiony nie truchleje.

Wszystko poszło najwyborniéj aż do Swoszowic, słynnych z obfitych kopalń dostarczających najczystszéj siarki, jaką się cieszy Austrya. Posiada ta wieś także i źródła siarczane w wodę bardzo zamożne, i tém się odznaczające od innych, iż gaz wodorodo-siarkowy daleko mocniéj w nich uwięziony, jak w innych wodach tego rodzaju.

Oprócz zołz w rozmaitéj postaci, woda swoszowicka nadzwyczaj prędko rozdziela zatkania wątroby i śledziony, i dziwnie się skuteczną okazała przeciw wysypkom skórnym, skurczeniu członków, kamieniom, krwawnicom, kołtunowi, gośćcu i innym przypadłościom. Słowem: Swoszowice ubiegać się prawie mogą o piérwszeństwo z Buskiem. Pan Teodor Torosiewicz obznajmił nas dostatecznie z własnościami tych wód heroicznych, które w ostatnich czasach zyskały zasłużoną sławę. Gości jeszcze nie było w tém miejscu w tak wczesnéj porze; zresztą nikt w owych czasach o zdrowiu swojém nie myślał: inne myśli zatrudniały i kłopotały wszystkie głowy.

Zwracam się na prawo ku Mogilanom, gdzie bocznemi najniegodziwszemi ścieżkami staję prawie równo z zachodem słońca. Ze szczytu wyniosłego pagórka zachwycający widok na Kraków, którego liczne wieże toną w téj chwili w oceanie światła żegnającego widnokrąg.

W pięknym niegdyś dworze, pustki; na stacyi pocztowéj konia nie spotkasz, w karczmie znajdziesz tylko wódkę i siano. Galicya nawiedziona od lat kilku srogiemi klęskami, przedstawiała w wielu miejscach obraz wycieńczenia, serce zakrwawia-

jący. Ja przynajmniéj zwiedziwszy najsmutniejsze kąty Europy: Laponią, Irlandyą, Landy francuzkie i Galicyą hiszpańską, wyobrażenia jeszcze nie zdobyłem o takiéj nędzy i o takiém spustoszeniu, jakie tu napotkałem w niektórych nawet na trakcie leżących miejscowościach. Tu i owdzie wieśniak był wygłodzonym do tego stopnia, że się w niektórych miejscach istotnie do ludożerwsta uciekał, aby z głodu nie umrzéć; kota na wagę złota w Galicyi nie dostałbyś, wszystkie były zjedzone; a żadnego nigdzie zapasu: powiedziałbyś, że szarańcze całego Wschodu popasały tu przez lat kilka. W wioskach największa część chałup była spalona, zwalona lub przynajmniéj opuszczona; wieśniacy poszli do miast żebrać lub ginąć na drogach z głodu. Złowróżbnie spoglądali ludzie na podróżujących, zwłaszcza wieśniacy; *pochwalonego* nie życzyli, odstąpili od dawnego, poczciwego, a u nas w Królestwie jeszcze wiernie dochowanego zwyczaju; niechętnie odpowiadali zapytani przez nas o drogę, a mnie jeszcze niechętniéj jak woźnicy mojemu, bo ja byłem *surdutowym*. Dopiéro gdym się wziął na fortel i z niemiecka rozkazującym tonem zapytywać zacząłem, raźniéj się wysłowiali i za kapelusz lub czapkę chwytali.

Ruszamy w dalszą drogę ku Izdebnikowi. Niełatwo było Krakowiakowi wywiedzieć się o drogę; lud tutejszy nie lubi mieszkańców dawnego okręgu Wolnego Miasta Krakowa.

Księżyc dotychczas nam przyświecał swą wiecznie poczciwą najedzoną fizyonomią. Dalibóg! dziwiło prawie, że ją mógł zachować w tak złych czasach, że mu nie schudła i nie osowiała. Ale naraz jeden chmury czarne jak kir, a grube i nieprzezroczyste jak opoki, popychane karpackim powiewem zaczęły się podsuwać coraz wyżéj i wyżéj nad firmament, i pochłonęły w swych ciężkich tumanach złote światło Dyany. Już cała kopuła nieba czarnemi pozawieszana chmurami. Błysnęła błyskawica, grzmot zagrzmiał i lunęły ze śluz nieba całe strumienie wody na ziemię, ale tak odrazu i nagle, że konie ugięły się pod ciężarem mokrego żywiołu, że bryczkę w jednéj prawie chwili wodą napełniły, i że kamienie luźne trafione ukosem, runęły z drogi w rowy i przepaści.

Szczęściem, że zblizka przyświecały światła i zwiastowały nam siedziby ludzkie; szczęściem, bo długo pozostać pod temi kataraktami byłoby niepodobna.

— Daléj, popędzaj, jedź, grzmij co możesz Stachu! bo tu namiękniemy jak bułka w rosole! Daléj bracie! nie żałuj bicza.

Stach usłuchał, bryczka skacze jak fruczka, choć strugi wód zwrócić ją usiłują i popchnąć w rowy; konie zmokłe jak skąpane pudle nogi zbiérają i drą jak mogą. Jesteśmy w Izdebnikach, rodzaju mieściny z karczmą, któréj stajni brakło dachu. Prawie wszystkie domy na rynku leżały w gruzach. Dészcz nie przestawał lać cebrami, a tłumy górali, powózek rozlicznych z gontami, drzewem, widłami, parcianém płótnem i chrustem, dążących do Krakowa na targ z gór i lasów poblizkich, zalegały karczmę, któréj dach mocno był uszkodzonym, tak, że się dészcz lał wiadrami w butelki i oszczędzał karczmarzowi fatygę chrzczenia ich. Krzyk, hałas i rejwach okropny w owéj karczmie: żyd targany na prawo i lewo za brodę i za opończę, nie wié komu ma najprzód usłużyć; dzieci, których leżało za piecem, z tuzin wraz z karczmarką, rozsełały na wszystkie strony świata najróżnorodniejsze tony drabiny chromatycznéj; a dwóch czy trzech chłopów ciężko pijanych, ale zawsze imponujące, grożące nawet przybierających miny, rozmowę toczyło z sołtysami i celniejszemi gospodarzami wiosek okolicznych, i obiecywali im złote czasy, rosę błogosławieństw, zniesienie robocizny, dészcz jak potrzeba, słońce, tanią wódkę i jeszcze tańszy bakuń.

Powietrze prawdziwie do rozbijania pałkami, tak było ciężkie, gęste, przesycone wyziewami wódki, tytoniu i kapusty kiszącéj się w beczce. Wstąpiłem chroniąc się z pod deszczu do téj karczmy okropnéj, i jak zostałem przyjętym!... Urlopnicy nasrożyli minę, sołtysi zrazu głupio spozierali na mnie, a potém pobudzony jeden z nich przez urlopników, zbliżył się do mnie i spytał:

— A mocie tam paśport dobrze stęplowany?

A gdym mu wręczył paszport, spytał:

— A czy tak wyglądocie na pysku, jak wos tu opisali?

— A to się przekonajcie, mój człowieku. Przecież który z was musi umiéć czytać.

Mój paszport wałęsał się od sołtysa do sołtysa, od urlopnika do urlopnika: jedni weń spozierali głupio, drudzy junacko; nareszcie przywałęsał się do żyda, który wsadziwszy okulary na nos, wziął go w rękę i udając że czyta, rzekł:

— A dokąd tak późno w nocy? ny? Widział pan *befel* na karćmie? My tu od rządu wszyćcy, nie prowda panie sołtysie? Ny? panie urlopniku? My tu pilnować musiemy porządku, bośmy cesarscy.

— Jadę do Lanckorony, proszę mi wizować paszport, oto jest za wizowanie.

Złożyłem ułamek bibuły, reprezentujący czwartą część złotego reńskiego; przyłożono na paszporcie pieczęć: to wszystko co potrzeba było.

Opuszczam niegościnną karczmę, chronię się z téj okropnéj atmosfery pod dészcz i w błoto. Na chwilę chmury odsłoniły księżyc, naprzeciw drogi zajaśniała facyata pięknego murowanego kościoła; na ten widok jakieś pocieszające uczucie w me serce wstąpiło.

Szukam schronienia pod przedsionkiem, siadam sobie w kącie na ziemi, otulam się gunią deszczem nabrzękłą, ociężałą i prawie żałuję żem na taką biédę z Krakowa wyjechał. Wiele myślę o méj niepewnéj przyszłości; ale jeszcze chętniéj wracam myślą do méj przeszłości pełnéj mozołu i pracy, ale od upokorzeń zupełnie wolnéj.

Stach mnie zbudził nareszcie z mych dumań, zwiastując że dészcz jakoś ustaje, że może lepiéj puścić się w dalszą podróż do Lanckorony, odległéj tylko o półtory mili.

— A drogę znasz Stachu? noc zawsze ciemna?

— Ej! diabłaćta znom drogę, ale ta Bóg jakoś poprowadzi może, bo ludzie tu pomódz nie chcą—odpowié Stach już z mniéj dobrą miną, jak ją wywiózł z Krakowa.

— Z ufnością w Bogu, daléj brnij w świat! Gorzéj nigdzie nie będzie jak tutaj. Daléj! ruszaj Stachu!

Ruszamy, wkraczamy gdzieś w ciasne wąwozy, strumienie szumią po nich, kamienie zaokrąglone długą podróżą ze szczytów gór Karpackich wleką się, staczają, zapadają w rowy i przepaści. Te kamienie kiedyś do Wisły wpadną, do Warszawy przybędą, a nareszcie nawet za jakie sto lat do Baltyku spłyną, bo taką odbywają wędrówkę owe głazy napozór nieruchome. Szyję, głowę i czapkę wciągam pod gunię, z któréj spływa dészcz strugami w bryczkę i nie wiem co się dzieje na świecie, ani kędy Stach prowadzi. Niech się dzieje wola Boska! Niewiele pamiętam co się daléj działo ze mną; bo Bogu się oddawszy, trzy czwarte méj uwagi *po naszemu* w dumaniach zatopiłem. Zasto-

wałem się do kraju, ludzi i do okoliczności: najlepszy system jaki tylko można było obrać, obrałem. Rzeczywistość przemijała dla mnie prawie obojętnie, jak to mówimy *płazem*; nie spostrzegłem się żeśmy z drogi zboczyli, żeśmy się o mało co w strudze jakiéjś wzrosłéj do potoku nie utopili, żeśmy w rów przewrócili, żeśmy zaledwie w pięć godzin z owéj spalonéj mieściny do jakiegoś przybyli miasteczka, które nie było Lanckoroną, na prawo od Izdebnika o milę tylko położoną, lecz miasteczkiem Myślenicami zwaném, położoném na lewo o trzy mile od Lanckorony. Sławna omyłka! Ani jeden z tych, których się Stach o drogę pytał, nie wskazał mu dobréj. W karczmie przyjęto nas klątwami, od których aż niebo drżało, a kazano sobie płacić sowicie za zajgorszą jaka tylko mogła być strawę: za zgniłe jaja, kwaśne piwo, przyswędzoną wódkę, stęchły owies i przemokłe siano.

Darmo, inaczéj się nie podróżowało w Galicyi w r. 1848: w pamiętnym roku, za którym spodziewam się, żaden mieszkaniec Europy nie tęskni.

Spędziłem resztę nocy na suszeniu przemokłego odzienia. Całe półsąga drzewa paliło się na ogromnéj kotlinie w izbie karczemnéj, chłopi obsiedli komin, słowa do mnie nie wyrzekli, i niechętni odpowiadali na pytania moje, chociaż im kazałem dać wódki raz i drugi. Przykro podobnéj nieufności być przedmiotem.

Już wschodzi lube słoneczko, już i Stach zajechał z bryczką. Wyruszamy z niegościnnéj karczmy, i przelatujemy nie zatrzymując się przez Myślenice, miasteczko wcale porządne, złożone z murowanego rynku i kilku brukowanych ulic. Szkoda, żeśmy nie wiedzieli, że tu na rynku bardzo porządny zajazd, ale prześladowani deszczem, ugrzęźliśmy w piérwszéj karczmie jak w najmilszym przytułku.

Miasto Myślenice pamiętne zjazdem Zygmunta cesarza niemieckiego, z Władysławem Jagiełłą r. 1424.

Stajemy przecież na czystém pagórkowatém polu. Boże! jaki przepych na niebie i na ziemi. Z lazurowego firmamentu leje się rzęsiste światło na szmaragdowe łany, łąki i oziminy; leje się na góry porosłe bujnemi świerki, między któremi śmieją się swym majowym liściem buki, jawory i brzezina. Nie dostrzeże tu oko nagich pni i konarów: tu same ubarwione powiewają jedne nad drugiemi korony. Liście jeszcze się szklą kryształem;

potoki jeszcze wezbrane po straszliwéj burzy, ale już czyste i srebrne, a wodospady iskrzą się brylantami i draźnią z promieniami młodego słońca. Wszystko tu teraz cudne na téj naszéj ziemi, wszystko się śmieje owym uśmiechem dziécięcia, które właśnie co płakało i jeszcze ma łzy w oczach.

Oh! zaprawdę, przyroda hojnie wyposażyła ten zakątek naszéj ziemi. Wzgórza wyrastające z dolin piętrzą się jedne nad drugiemi: już wysokich dochodzą rozmiarów, już są o kilkaset stóp wyższe od naszych Świetokrzyzkich. A wszystkie góry częścią lasami okryte, częścią polami i rozrzuconemi po podnóżach chatami urozmaicone! Oh! zaprawdę, pięknato kraina, lubo nie przedstawia jeszcze owych olbrzymich widoków, pośród których znajdziesz się późniéj w głębi Tatrów; ale już tutaj pełno zachwycającéj nadobności. Siła roślinności leśnéj już i tu zastanawia: drzewa dochodzą do potężnych rozmiarów, korzeniami roztaczają ziemię, a konarami sięgają wysoko w powietrze. W lasach niezupełnie blizko od dróg lub rzek leżących, chaotyczne zoczysz widoki: ogromne drzewa z korzeniami wyrwane i obalone, zawalające innych drzew pomniejszych mnóstwo i gnijące tu oddawna; tam znów strumień wody utorował sobie podziemną drogę pod część lasu i jamę wyżłobił ogromną; cała ściana dotychczas pozioma zawala się albo w głąb przepadzisto, albo stacza się z jednéj strony i tworzy ze swemi niezmiernemi drzewami ścianę pionową wiszącą, z któréj drzewa poziomo sterczą, i co chwila upaść mogą na drogę i w drobne cię kawałki zdruzgotać z bryczką i końmi.

Wody wszędzie podostatkiem: spływa w doliny kataraktą i niezliczonemi strugami, łączy się na pochyłościach w strumienie, a roztacza w dolinach w kapryśne, żadnych granic i brzegów nieznające potoki.

Kilka godzin i to wolno bardzo postępowaliśmy naprzód, brnąc w labirynt gór, lasów i wąwozów.

Drogi żadnéj prawie nie było po tych górach, a szczególniéj dolinach wodą zalanych, i po wzgórzach mianowicie leśnych, gdzie po każdéj burzy strzaskane drzewa zbudowały zaporę, lub téż gdzie rozmiękłe deszczem ściany wąwozów staczają się na drogę, przemienione w koryto jakiéj nowo-improwizującéj się rzeki.

Wszędzie tu jeszcze chaotycznego nieładu uroki znajdujemy, wszędzie potężnéj woli żywiołów liczne ślady!

Spotykałem górali spieszących wózkami, konno i pieszo na jarmark do Myślenic. Oczarowała mnie ich serdeczność w życzeniu nam *pochwalonego*, ich usłużność w pokazaniu drogi i przeprawie przez rzeki. Jakaż ogromna różnica pomiędzy temi góralami, a owemi podejrzliwemi, ponuremi mieszkańcami dolin, których niechęci tyle doświadczyliśmy w ubiegłéj nocy!..

Poczciwi synowie gór lesistych mieszkają w owych błogich strefach, gdzie powietrze, wody i zioła zdrowiem nasycone krzepią ciało, zachwycają zmysły i duszy udzielają swobodę; tam gdzie lud pasterski i przemyślny, miłością do swéj ubogiéj strzechy przejęty, od zgubnych wpływów i fałszywych doktryn wałami przyrodzenia zasłoniony, czynem Kaina się nie zmazał. Spojrzyj w ich pogodne oblicze a nie ujrzysz tam owych pokutowań, owych głosów skalanego sumienia, owych jęków staréj winy, które tylko nowemi zbrodniami na chwilę zagłuszyć można.

Ludy w górach zamieszkałe najpiękniejszemi są w Galicyi, a część kraju, którą przebiegamy słynie jeszcze między wszystkiemi innemi jako ojczyzna bardzo pięknych ludzi, najlepszych dostarczająca żołnierzy Cesarzowi Austryi. Coś południowego w rysach twarzy tych górali atletycznie zbudowanych, rosłych i silnych; cera ich jest brunatna, oko duże czarne, pełne życia i wyrazu, włosy ciemne i na czole rozdzielone spadają pierścieniami lub płatami na przedziwnie wydatne, poczujnie noszone barki. Nogi w stosunku całego ciała dość długie, cienkie, ale pełne sprężystości i siły; stopy małe, kształtne, klassycznie w kostkach osadzone; giętkość, szlachetność i swoboda w całym ustroju i we wszystkich ruchach: na słowo, nic w tym obrazie nieprzesadzonego. Ubiór ich zwyczajny dodaje malowniczości tym słowiańskim dzieciom gór i lasów. Koszula biała, najczęściéj dość cienka i czysta, ale po pas tylko, mosiężną agrafą pod szyją spięta; spodnie z sukna białego z węgierska opięte, pas szeroki nabijany, wyszywany, strojny i świecący, spaja koszulę ze spodniami; kaftan krótki jaskrawego koloru, bardzo często karmazynowy lub niebieski guzikami suto nasadzany, a na wszystko zwyczajna gunia do bernardyńskiego płaszcza ze wszystkiém podobna, ale rzucona na jedno ramię i w istocie bardzo kokieteryjnie noszona. Stopy ubiéra góral w kształtnie zasznurowane krypcie, a głowę w kapelusz czarny z małém dnem a szerokiemi skrzydłami, nasadzony junacko na jedno ucho.

Otóż mój poczciwy góral galicyjski, biédny wprawdzie, ale wesoły, dziarski, pełen natychmiastowego życia, czerpiącego siły w ciągle czuwających a trzeźwych zasobach rozumu i dobroci. Ale w téj części krainy i góralka nie ustępuje wcale góralowi; jakito piękny krój twarzy w tych wolnych córach gór i lasów, jaka w tych wysokich kibiciach giętkość i swoboda, a tak drobnych rąk i małych stóp może nie znajdziesz nigdzie w rasie słowiańskiéj, rozumié się w pracowitéj klassie kobiét. Nie są pieszczotliwe te nasze dryjady, i rzadko tylko zstępujące ze swych ubogich a uroczych siedzib w doliny. Ale chociaż nieoswojone z oświatą dolin, nie mieszają się na widok syna cywilizacyi, serdecznie go pozdrowią, gdy go spotkają i śmiało mu odpowiadają, gdy są zaczepione. Ubiór u nich pełen prostoty i smaku: włosy z tyłu na dwie kosy rozdzielone, łańcuszkiem lub sznurkiem srebrnym obwite, z dwóch stron głowę opasując łączą się na czole kokardą ze wstążek upiętą; koszula biała i tak cienka, że kolor czerstwego ciała przez nią przebija i zdrowych a giętkich kształtów powaby uwydatnia; wyszycia kolorowe na ramionach, spódniczka krótka, ale tak fałdzista, że u bogatych cała kopa płótna na ten strój wychodzi; z przodu fartuszek kolorowy w kwiaty, niżéj pończochy białe z czerwonym klinikiem, i obuwie z białéj glansowanéj skórki do stóp przyczepione taśmami, kształtnie na podbiciu krzyżującemi się. Najważniejszą częścią ubioru jest gorset; ten w miarę możności bywa adamaszkowy, parterowy, a najczęściéj z aksamitu lub manszestru karmazynowego, białym, częstokroć srebrnym galonkiem obszywany; na to wszystko przezroczysty rańtuszek na głowie przypięty i aż niżéj kolan spadający. W zimie hoże kobiéty góralskie noszą szubki z jaskrawego sukna, podbite i obłożone barankiem, sznurkami, potrzebami i guzikami sowicie przystrojone. Zaprawdę piękniéj się nie ubiérają żadne góralki ani w Szwajcaryi, ani we Włoszech, ani nawet w ulubionéj mi Hiszpanii, a nie ma ubioru więcéj zastosowanego do obyczajów i zatrudnień, jak ubiór górali galicyjskich, bo żywość i wolność ruchów w nim niekrępowane.

Odwagą i przemyślnością więcéj jeszcze odznacza się góral jak pracowitością. Przy spławie drzewa najwięcéj się to wykazuje: wtenczas potrzeba niezmiernie wiele odwagi, przytomności i zręczności. Potoki z gór spływające, gdy się po nawalnym deszczu w jedno łoże zleją, utwarzają bystrą rzekę,

która zrywa, pochłania skały i z takim je toczy łoskotem, że wszystkie inne, nawet najmocniejszy głos ludzki zagłusza, nieoswojonemu nawet głowę zawraca. W tak wrzącą, wściekłą topiel góral spycha z wysokich nieraz wierzchołków tratwę, i sam na nią wskoczywszy szybko robi wiosłami, kierując się z niewypowiedzianą zręcznością podług prądu. A jak często pomimo wszelkiéj zręczności porwana wirem tratwa uderza o skałę, na kawały się rozbija i nieszczęsnego flisa topi! W takim razie nie zbywa na poświęceniach: wszystko co obecne ratuje kosztem własnego życia.

Grunta orne téj krainy tak w łęgu jak i na górach położone, zdolne są wydać wszelkiego rodzaju zboża, wyjąwszy pszenicę. Wyżéj położone osady przed niedawnemi jeszcze czasy, przed tak zwaną seperacyą, nie siewały ozimin, tylko jare zboża; teraz jednakże siew żyta coraz więcéj się upowszechnia i wcale nieźle się udaje. Włościanie we wsiach zamieszkali uprawiają pola na dolinach, położonych pomiędzy pasmami gór co je zasłaniają od wiatrów. Życie roślinne spóźnia się w téj krainie, o sześć tylko do ośmiu mil poniżéj południa od Krakowa położonéj, o jakie 10 do 15 dni od roślinności krakowskiéj. Możnaby jednakże i tu siać oziminy, jesień bowiem bywa długa i najczęściéj bardzo piękna; lecz gospodarstwu rolnemu szkodzi zwyczaj pasania bydła po polach i łąkach bez pasterzy. Przez całą jesień, a potém na wiosnę aż do połowy maja wałęsa się tutaj zgłodniałe bydło po polach, łąkach i błoniach: koszenie łąk przypada zatém bardzo późno i wydaje raz tylko na rok siano, żadnego zaś potrawu. Późno bardzo przypadają żniwa i kopanie ziemniaków, zatém do zimowéj uprawy gruntu nie starczy czasu. Wypalanie ziemi na kupach jest tu od lat dziesięciu przeszło w używaniu. Górale tutejsi nie układają snopków w kopy, półkopki lub mendle, lecz robią ostrwie z wierzchołków jedlic, którym wpół obcinają gałęzie, aby ostro sterczały, poczém je wbijają w ziemię, i na nich snopki zawieszają dopóki nie wyschną. W Szlązku podobnie suszą koniczynę. Ziemniaki dobrze się udają nawet w górzystéj okolicy, ulubionym też są pokarmem górala, ulubieńszym jak chléb nawet. Kapusty i karpieli w nizinach mnóstwo wielkie, ale rzepy nie znają tutaj, grochu nie sieją ani prosa, kaszę jaglaną kupują i używają jéj za przysmak na wesele. Obok chatek sieją sałatę i używają jéj

z kwaśném mlékiem: jedynymto prawie bywa zasiłkiem ubogich ludzi w czasie przednówku.

Ważnym także środkiem pożywienia są tu w każdéj rzece poławiające się pstrągi i podrybki, tojest niewyrosłe jeszcze łososie. Nietrudny sposób ich łowienia. Na ich połów biegają chłopięta i dziewczęta; z tych pierwsi uzbrojeni w młotki idą na płytkie miejsca, gdzie woda sączy się po kamieniach, uderzają młotkami po nich i ogłuszają ryby pod niemi siedzące. Dziéwczę przewraca kamień i łapie rybę. Rozumié się, że nie pod każdym kamieniem znajdzie się ryba: wiele ich przewrócić trzeba nim się jedna znajdzie. Wieczorem zwykle połów odbywa się taki przy świetle łuczywa. Pięknyto nadzwyczajnie widok patrzéć zdaleka na tyle krążących tu i owdzie świateł.

Mnóstwo ogniów wzdłuż rzeki migających się i pomnażających przez odbicie w zwierciadłach wody, jaskrawe rzuca światło na ciemne tło borów iglastych, pnących się po tych uroczych górach.

Ktokolwiek bez uprzedzenia sądzić o wdziękach przyrody umié, ten w tych lesistych ustroniach nie pozazdrości mirtowych gajów obcym krajom, bo tu kwitnie i grusza i jabłoń tak pięknie, jak w najszczęśliwszéj krainie; tu brzęczy pszczółka, tu wonne śmieją się kwiaty, tu błyszczą uroczą barwą gladyjole, sileny, konwalie, bzy, balsaminy i jaskry; a dzikie róże, głogi, ostrężnice i tarnki tworzą bogate, okiem słońca nieprzejrzałe klomby; ciemnozielone świérki i jodły wplatają się w majowe liście buków, jawor, stoletni patryarcha, przepuszcza drżące księżyca światło, a na nim siedzi mały słowik i tęskne swe pieśni rozsyła opodal na lasy i wody, na pola i na owe tysiącznem kwieciem ubarwione łąki. Oddychaj wówczas balsamiczną ich wonią, pij mleko, które ci hoża góralka z tak poczciwym, serdecznym uśmiechem poda, a zapomnisz, żeś żył kiedyś w Arkadyi i w ogrodach Hesperyjskich, przysłuchiwał się pieniom hiszpańskiéj dziewicy; zapomnisz,—i w błogiém uczuciu chwili szczęścia na tym swojskim gruncie kosztowanego, znajdziesz niewypowiedzianą rozkosz; bo to coś sobie samemu winien, to milion razy piękniejsze od tego, co ci tam obcy pożyczy.

Ja takich cudów znaleźć się nie spodziewałem w téj biednéj, przez nikogo jeszcze godnie nie sławionéj krainie; mnie tu piękność ziemi, żadną sztuką niepodniesiona zdumiała, ocza-

rowała; mnie ta prostota i rzeźwość mieszkańców szczerze zachwyciły.

Dzień cały zatrzymałem się w jednéj wiosce góralskiéj, leżącéj opodal od drogi do zamierzonego celu prowadzącéj. Zwiedziłem tartaki, w których wyrabiano widły, łopaty, klepki, krokwie i gonty, i wdrapałem się na szczyty gór do szałasów żentyciarzy. A ztamtąd widziałem jak w zachodzącém słońcu rumieniły się różowém światłem zmarzłe, poszczerbione czoła Tatrów, te wiarogodne świadki przedpotowego świata. Wszystkie stały szeregiem, do siebie podobne, a jednak różne i od wieków osobném przezwane nazwiskiem; wszystkie jeszcze sterczały ogromy, w które od lat kilkutysięcy biją ciągle pioruny, i z których strącają głazy z hukiem, od którego drży ziemia w swych podstawach. Na prawo wznosi się matka bieskidzkich przedgórzy, owa Babia-Góra, z któréj górale noszą do Krakowa zioła lekarskie, jemiołuchy, kwiczoły i jarząbki.

I bydło téż poczciwe w téj krainie, choć niewielkie. Krowa nie ma wspaniałéj postaci alpejskiéj, ale lekką jest jak sarna, wdrapie się na każdą skałę, i żre nadzwyczaj pilnie, ogonem się po bokach bijąc z ukontentowania, i bystro spoglądając na człowieka. Mléka zaś wybornego, majowemi kwiatami pachnącego daje prawie tyle, co najpiękniejsza krowa tyrolska.

Owce tutejsze także są pospolitego plemienia: czarne, brunatne i białe, z których wełny wyrabiają sami górale właściwą sobie odzież, z mléka zaś masło i bryndzę, lub owe małe gomułki, misterną rzeźbą ozdobne.

Konik góralski mały jest, drobnego *nasienia*, jak się tu wysławiają, ale cudnie zwięzły i kształtny: pełno roztropności w jego wielkich, z szerokiego czoła wyziérających oczach, a żywo strzyże uszami i parska patrząc na przechodnia.

Góry tutejsze na pozór nagie i jałowe, po których tu i owdzie kępki wrzosów, jałowców i macierzanki rosną, są jednakże wybornemi pastwiskami: mléko krów tutejszych przesycone tylu aromatami, przytém *osmazomem*, substancyą karmiącą, *azot*, najpotrzebniejszy pierwiastek życia w sobie zawierającą, że wyżyć niem można podczas miesięcy letnich bez mięsa i chleba, bez żadnego innego pokarmu. Żentyciarze żyją serwatką, li tylko serwatką podczas pięciu miesięcy, a przytém są silni i rośli jak atleci, i umią bronić walecznie swego stada przeciw wilkom i niedźwiedziom. My tu w Królestwie wyo-

brażenia jeszcze nie mamy jasnego o wartości żentycy: warto zatém krótki dać opis jéj własności i sposobu wyrabiania.

Niektórzy włościanie posiadają zakupieństwa z przywilejem paszenia owiec w pewnéj przestrzeni lasów pańskich, około 500 do 1000 morgów wynoszącéj. Takie miejsca nazywają się *halami*. W wiośnianéj porze zamawiają właściciele hal u różnych gospodarzy krowy i owce, i spędzają je zaraz po Zielonych Świątkach do hal. To spędzanie odbywa się zawsze z pewną uroczystością: po wysłuchaniu Mszy świętéj sypią się liczne i nieliczne trzody na oznaczone miejsce, a gdy już dostateczna ilość krów i owiec jest zgromadzona, halnicy obierają *bacę*, tojest naczelnika i podległych mu pasterzy, którym oddawszy najtroskliwiéj obliczony dobytek i psów kilka białych doświadczonych w wierności i wyuczonych w zapędzaniu rozbieżonéj pe lesie trzody, wyprawiają z błogosławieństwem i pokropieniem święconą wodą w lesiste góry.

Rusza cała karawana wesoło, odprowadzana przez jadących konno halników, należycie zawiesistych i podpitych; muzyka kobziarzy smętnie wyjących poprzedza orszak, a za niemi idą kobiety niosące po kilkanaście podpłomyków, wystarczających na żywność półroczną dla baców i pasterzy; za temi idą fury z kociołkami, maślicami, łaskami, korytami i wszelkim mleczarskim sprzętem.

Tak postępują mieszając swoje śpiewy z beczeniem stęsknionych za odłączonemi jagniętami maciór, aż doszedłszy granic swéj hali stawają najprzód u najniższéj części gór, gdzie najpierwéj uwolniona od mrozów ziemia, już bujną zielonością jest pokryta. Tu budują szałasik, zwany tu *kolebą*, z desek, w nim ustawiają w porządku mleczne naczynia po bokach, a w środku wieszają na łańcuchu miedziany kocioł do warzenia mleka. Inni grodzą dla owiec i krów odosobnione legowiska i gródki, a tymczasem stado pod strażą czujnych piesków zapuszcza się w las, i już skakać i beczéć zaczyna radośnie, bo słodkiéj, balsamicznéj paszy znajduje podostatkiem.

Trzy razy na dzień pasterze wyciągają daninę z obrzękłych wymion poczciwego bydła: sączy się spieniony nabiał w naczynia z jednego kawała drzewa wyżłobione, potém każdy podój wylewa się na koryta w spodzie otworem i czopem opatrzone; tam stoi aż tłuste cząstki na powierzchni osiądą, poczém wyjmuje się czop, spływa mléko, śmietana zaś pozostaje na masło

i maślankę. Mléko po sztucznem zakwaszeniu, zagrzéwa się na kotle, twaróg zbiera się w grudki, a potém wyciska się w bryndzę, sery i gomułki. Pozostała serwatka przegotowana wydaje słodką serwatkę, czyli jak ją tu zowią żentycę: płyn białawy, półprzezroczysty, mdłego, słodkawego smaku i specyficznego słabo-kwaskowato aromatycznego zapachu.

Ta żentyca górna, któréj skutki dobroczynne na zdrowie ludzkie oddawna były znane w krajach zagranicznych, mianowicie w Tyrolu, Czechach i Szlązku, zaczyna przecież i u nas w sławę wchodzić; i my (Galicyanie przynajmniéj, my bowiem tu w Królestwie nie wiemy nawet znaczenia słowa *żentyca*), uwierzyliśmy w skuteczność krajowego płodu, i mniéj licznemi chmarami wylatujemy za granicę, szukać uzdrowienia i rozrywki.

Żentyca gór zawiera daleko więcéj cukru mlecznego i *osmazomu*, czyli pierwiastku zwierzęcego, posiadającego bardzo wiele azotu.

Skuteczność dobréj żentycy na zdrowie ludzkie uzasadnioną jest na naturze chemicznéj téj substancyi, i oddawna już jest niewątpliwą. Wiele chorób płucowych, które biegli lekarze za suchoty uważali, zadawniono-uporczywe choroby, choroby najrozmaitsze pochodzące z bezsilności lub chorowitego rozwinięcia się trzewiów, najrozmaitsze objawy chorobliwe aptekarskim środkom opierające się, ustępują przecież owéj napozór tak mdłéj i małoznaczącéj żentycy, powietrzu górnemu, ruchowi regularnemu po kwiatem zasłanych podnóżach, spokojności jaka osiada we wzburzoném sercu na widok czystego nieba i naszéj dobréj matki natury.

Że pożywną jest żentyca, o tém łatwo się przekonać tam w górach. Pożywieniem baców i pasterzy przez cały czas koczowania jest tylko żentyca i ser świeży niesolony; nie ma podówczas kartofli, po chléb daleko chodzić, placek owsiany musi go zastąpić w niedzielę jako specyał; a jednak rośli są, silni, czerstwi i pełni na ciele owi owczarze, trudniący się w halach wyrabianiem żentycy i od świata dalszego zupełnie odosobnieni przez pięć miesięcy w roku. Bielizny nie odmieniają przez całe lato, tylko smarują koszulę do pasa idącą i hajdawery płócienne obcisłe żentycą i masłem, przez co ubiór nabiera tęgości ceraty, i chroni od zimna, gorąca i od owadów. Prawda, że zapach takiéj bielizny nie zaostrza apetytu do żadnego rodzaju

nabiału; chorowitéj wyobraźni dusze zraziłyby się może na całe życie od jéj użytku, ale w ogólności, jeźli chcesz podróżować po słowiańszczyznie i tych podróży uroku używać, winieneś dobre, jędrne mieć serce, zdrową, tęgą wyobraźnię, ciało zahartowane miłością powietrza naszego, a przynajmniéj niezwątlone słodyczami wykwintnego świata. Inaczéj bowiem niezliczone małe niedogodności, brudy, ciemności i dobroduszna rubaszność chłopka, wstrętem ci niewymownym otoczy mdłe serce, przywykłe do ukołysań jak chorowite dziecko do kolebki; drobne a liczne cienie zamaskują ci, pokryją świetność blasku spadającego z tego pysznego nieba i z téj pięknéj, dobrym ludem zamieszkałéj ziemi; a góral, syn natury, na pozór tak prosty i potulny, tak ciemny i rubaszny, umié przecież, kłaniając się do nóg, spojrzeć bystro w oczy synowi cywilizacyi, i gdy w nich najsłabszą cząstkę nieufności, wstrętu, pogardy odkryje: wówczas marzną poczciwcowi słowa na wargach, zapłacze jego szczere serce, uczuje się upokorzonym tém biedny człowiek, dla którego szczęścia jeszcze nic a nic nie zrobiliśmy, uczuje się upokorzonym nasz wierzyciel na swoim własnym gruncie, zamknie ci serca swego tajniki, i odtąd tylko fałsz przemawiać będzie przez jego usta. Téj nigdy nie zapominajmy prawdy, przebiegając kraju naszego pola, błonia i góry; mądrość, prawdę, serdeczność i politowanie winniśmy nieszczęśliwym, którzy nie z własnéj cierpią winy, a znajdziemy ich szczerymi, usłużnymi; przekonamy się, że każde dobre słowo wywoła w sercach prostych jakiś odgłos pełen uroku, pełen zachwytu dla religijnéj duszy, Pustynią dla uczuć przyjaźni jest tylko serce próżne lub w gruncie skażone; ale gdzie tyle zasobów dobroci, jak u dzieci natury, tam każde dobre uczucie, każde dobre słowo odgłos wyraźny znajdzie.

Wróćmy jeszcze na chwilę do naszych żentyciarzy.

W miesiącu lipcu i sierpniu coraz wyżéj pomykane koleby i koszary, stawają w końcu na samych grzbietach tych ogromnych, świeżą zielonością okrytych, srébrnemi źródłami zwilżonych gór; tu najpóźniéj uśpione przyrodzenie budzi się, powstaje ze swéj zimnéj białéj pościeli, i wtenczas kiedy podnóże już słońcem zwarzone, kiedy trawa na nich spaszona lub skoszona, wierzchołki gór cieszą się jeszcze lubą wiosną i wykwitują w stokrotki, lilie i konwalie.

Krótką, cichą, ciepłą noc przepędź pod szałasem żentyciarza, pod strażą wiernych piesków, które cię za przyjaciela i protegowanego uznają, skoro cię zoczą mleko pijącego u jednego ogniska z bacą i pasterzami. Noc tam przepędź, a skoro piérwsza zorza od wschodu zajaśnieje i zarumieni brylantowe szczyty Tatrów, wówczas cię obudzi tęskne beczenie owiec i ryczenie krów, witających słońce. Wówczas wstań i z przenośnéj wysokości przedgórza karpackiego spojrzyj około siebie. Pomiędzy dolinami: włości i wężem wzbijające się ku tobie dymy; tam w otchłani: wyziewy wleką się coraz gęstsze, coraz rzadsze, niepewne czy mają wzlecieć w górę lub wsiąknąć w ziemię; a już z pod nich wyzierają kwitnące grusze i jabłonie, już i brzoza świeci i jawór się zieleni. Widzisz jak mgły umykają; już i pomniejszych gór wierzchołki sterczą jak archipelag na oceanie. Już pół firmamentu w purpurowym, drżącym, promieniami pryskającym ogniu; złodowaciałe zęby Karpat chwytają te promienie, i od swych ścian rzucają je na swe własne stopy. Teraz rozpoznać możesz dokładnie w świeżém, wypoczętém świetle ilość i kształt kopców, zamków, piramid i obelisków, tworzących ów łańcuch kamiennych Tytanów; ale barwy ich nie rozpoznasz zwykłéj, bo teraz zdarły Febowi purpurę i w nią się przyodziały, w niéj się pławią.

Na zachód jakaś obszerna, nizkiemi tylko wzgórzami ubałwaniona dolina. To dolina Nowotarska, odgraniczona od stóp Tatrów dwoma w jedno koryto zlewającemi się Dunajcami: Czarnym i Białym; oba razem dążą ku wschodowi, i przerywają się spienionemi falami przez góry Pieniny. Same Bieskidy i ich matka Baba, górująca nad niemi, i na 5000 blizko stóp wyniesiona, ciągną się na zachód, prawie tak blizko odemnie, jak same Karpaty od których są przegrodzone obszerną górską doliną; ale to góry mniéj okazałe, mniéj w oczy bijące, bo śniegi już na ich szczytach stopniały, już na nich nie osiadają światła słonecznego purpurowe fale.

A gdzież na kuli ziemskiéj wspanialszy widok? Gdzież potężniejszy wiecznéj natury a sielskiéj przyrody milszy urok? Braknie temu krajobrazowi tylko oceanu, jęczących fali, rozkiełznanego morza, wyjącego uraganu. Podróżniku! nie tęsknij za niemi! Tu, gdzie koniki broną włóczą, gdzie ozimina w łagodnym powiewie uchyla swą szmaragdową trawkę, gdzie kwitnie rzęsistym kwiatem tarnina i gdzie jabłoń gęstém różowém

zaprószona kwieciem; tu, gdzie kwitnie fiołek, a jaskry świecą niby topazy; gdzie pszczoła brzęczy, bąk bączy a ekonom harcując na człapaku hałasi i kmiotka nagania do pracy: tu niegdyś przebóg! tak, tu niegdyś odmęty ryczały uraganem krajane, konika, krówki, jagnięcia tu nie było, ale przewalał się we wściekłym bałwanie potwór morski, parskał jak wodotrysk nozdrzami, i ogonem rozbijał statki. Tak, a nie inaczéj: w tem powietrzu, w którém teraz pławi się skowronek i hymn słowiański dziękczynienia śle ku pogodnemu niebu, w tém powietrzu zamgloném, targaném eolami, niegdyś latały i złowróżbne jęki roznosiły jaskółki i sępy morskie, i mewy i ptastwo rozliczne oceanu. Tak jest w istocie, i według zdania dawnych geografów i według potwierdzeń dzisiejszych geologów, wszystko co tu jest doliną leżącą pomiędzy owemi pasmami gór, wszystko co teraz jest łąką, polem i ogrodem, niegdyś było dnem wielkiego morza karpackiego. Zaledwie szczyty tych gór pierwotnych wyzierały z rozhukanych fal. Ogromne pokłady soli w ziemi naszéj leżące, najlepszym są dowodem tego cudownego cofnięcia się morza karpackiego w dalekie głębie. Te niższe przedgórza wszystkie stały pod wodą, a te ściany przedwieczne były świadkami wielu przemian: o nie się rozbijały ryki bałwanów, potém huki dział, a dziś zaległa je cisza.

Nie tęsknijmy zatém na tém miejscu za morzem, bo ta ziemia, z któréj wody ustąpiły, stała się kolebką rodu naszego, świadkiem naszéj przeszłości.

Zboczyliśmy znów niekoniecznie umyślnie z drogi i jesteśmy w Mszanach, wsi przez którą przechodzi główny podkarpacki, tak nazwany cesarski gościniec. Wieś ta rozesłana w kotlinie kilku odnóg zniżających się do równiny Karpat, malowniczo się przedstawia, i pod względem rolniczo-przemysłowym zasługuje na uwagę. Kiedyś była ta wieś *mieściskiem;* jeszcze o tém świadczy ratusz; ale Szwedzi spustoszyli tę krainę, i mieścisko zeszło na wieś. Kościół drewniany, starożytny, oryginalny niekształtnością, zawiera w sobie kilka dość dobrych malowideł i innych zabytków starożytności. Z wszystkiego wykazuje się, że ta ziemia wyżywić zdołała w dobrym bycie trzy razy większą ludność.

Teraz zwracamy się znów na prawo ku Klikuszowy, gdzie mam odwiedzić młodego suchotnika, którego wysłałem na użycie żentycy dla przedłużenia mu życia.

Z téj strony północno-wschodniéj, staczając się dobrym gościńcem przez niezliczone mnóstwo dolin i pagórków ku wielkiéj nowotarskiéj dolinie, okolica nietylko nie odznacza się pięknością, lecz miejscami razi nagością. A jednak te wzgórza innyby przedstawiały widok, gdyby były porosłe drzewami, i gdyby z poza nich jakie schludne zabudowanie wyzierało; a jednak te pola dziś skąpą oziminą pokryte, lepiéj uprawiane, poprzerzynane rowami i sztucznie skrapiane, zaświetniałyby bujniejszą roślinnością. Ale, tu ludzi nie ma, tu znów przeważają doliny, a nasz doliniec z przyrody gnuśny nie lubi się ucierać z trudnościami swego gruntu: woli pójść żebrać, chociażby miał zginąć z głodu gdzieś opodal od swéj zagrody.

— Ha! jakaś porządna samotnie stojąca karczma! Wstąpmy tutaj Stachu, napijesz się wódki i koniom damy owsa.

W chwili gdyśmy stanęli przed karczmą, chłop, który w niéj gospodarował, wyszedł z niéj nic nie mówiąc, ani nas witając, i poszedł w pole. Wkrótce ujrzeliśmy go o dobre staje włóczącego jednym koniem, i bijącego nielitościwie wielkim drągiem swe biédne wychudłe bydlę.

— A czemuż się tak pastwi *gazda* (tojest gospodarz) nad tém nędznem stworzeniem?—spytam pozostałéj w karczmie dziewuchy.

— A bo śkapa daremnik (darmozjad) i debła (diabła) nie wort z pseproseniem Jegomości—odpowié dziewucha kłaniając się do nóg.

— Czemuż gazda uciekł z karczmy widząc, że goście przybyli?—pytam daléj.

Dziewucha wlepiła piękne swe modre, ale strwożone oczy w me oblicze i nic nie odpowiedziała.

— No dalejże, odpowiedz moja Jaguś!—nalegam.

— Bo jak tego *grofa* pomarnili hajwo w onéj wsi dwa łonia temu, to ludzie godali, ze ta był i gazda; to on téż struni od tego casu od *ciarachów* z pseproseniem dobrodziejosku—odpowié dziewucha stłumionym głosem, i wybiegła zapewne umyślnie, żebym ją na nowo nie zagadł.

— Aha! pojmuję!—rzeknę do siebie z ciężkiém westchnieniem—aha człowiecze! głosu sumienia stłumić nie możesz, lubo go przygłuszyć usiłujesz temi kijami, któremi tak nieubłaganie okładasz zwierzę na ciebie pracujące. Człowiecze upadły nawróć się do Boga, a znajdziesz na twe męczarnie

ulgę w dobrzeczynieniu i nie będziesz potrzebował brnąć ciągle w nowe zbrodnie, aby dawnych przytłumiać pamięć!

W karczmie nie było ani owsa, ani mléka, jaj lub chleba, nawet ani wódki, tylko schorzałych kartofli ćwierci kilka, brukwi z ćwierć, kilka owsianych podpłomyków i kilkanaście wiązek siana. Drobiu, prosięcia, kota ani psa nie ujrzałeś tu wokoło karczmy, ani nawet w przyległéj wiosce. Powiedziałbyś, że Nemezys tę ziemię przeklęła; widok podobnego ogołocenia jeszcze nigdy mego oka nie trafił. Grunta orne leżały ugorem, chaty były porozwalane, w pokojach niegdyś pięknego dworu jaskółki pozakładały liczne gniazda, i mieszkały w nich sowy i niedoperze. O innych mieszkańców nie śmiałem się pytać, lękałem się odpowiedzi.....

A tu cholera się zbliżała: już zalewała wschodnie cyrkuły.

Wesoły Krakowiak widząc mnie porażonego, ponuro przed siebie spoglądał, a biedna Jagusia głowę spuściła i zwilgotniałe źrenice fartuchem ocierała. Ładną była ta dziewucha nawet w swych łachmanach, ale wyglądała okropnie blado i mizernie.

— Więc nam nic dać nie możesz, moje dziéwczę na posilenie się?

— Chyba téj *pociesnéj* wody—odrzekła Jaguś.

— Cóżto za pocieszna woda?

— Z tego cudownego źródła hajwo—odpowié Jaguś i ręką wskazuje na zachodnią stronę, na klomb wysokich lip z poza których wyziera wieżyczka kościelna. Było z jakie dwa staje do tego kościołka.

— Stachu! paś ty konie tém sianem, ja tymczasem przejdę się do kościołka; ale pożycz jakiego naczynia, moja Jaguś, napiję się wody z pociesznego źródła.

— Gdzieby tam pon, dobrodziejku, łaził z konewką w garści: pobiegnę z paneckiem sama.

— Dobrzę, chodź moje dziéwczę.

Poza niziną na wzgórzu leżał kościołek: kręta stróżka ze źródła cudownego wypływająca opasywała go zewsząd prawie, raz się w tę, raz w owę stronę wijąc. Lipy już stare, poczęści spruchniałe wokoło otaczały cmentarz, a kościołek bardzo już zaniedbany, z sosnowych belek postawiony, galeryą wokoło opasany, leżał i rozpadał się na cmentarzu.

Na wszystkiém okropne ślady zniszczenia: cztery niezgrabnie z drzewa surowego sklecone konfessyonały, umieszczone pod krużgankiem, świadczyły, że kościołek ten musiał być kiedyś celem licznych pielgrzymek. Tak było w istocie: corocznie dwa razy odbywały się tu odpusty. Zakonnicy z Nowegotargu czy z innego o dwie mil leżącego klasztoru schodzili tutaj, msze i nieszpory odprawiali na cześć św. Jana Nepomucena i innego jeszcze świętego, spowiadali lud i kazania prawili; ale od kilku lat i to ustało. Znikła dawna rzewność religijna razem ze spokojnością sumienia, lud tu zostaje w widocznem zaniedbaniu religijném. Mała liczba plebanów, położenie górzyste, zima twarda i długa, bieda i osłabienie fizyczne: są to przeszkody aż zanadto częste do uczęszczania na katechizm, kazania i nabożeństwa. Biedna Jaguś mi mówiła, że od lat kilku zaledwie kilka razy do roku słucha w Klikuszowy o mil półtory mszy świętéj. Chciałem się przekonać, czy pacierz nie zapomniała jeszcze, a ona klękła gołemi nogami na zroszoną trawę przed drzwiami zamkniętemi kościołka i zmówiła: Ojcze nasz, Zdrowaś Marya, Wierzę i Anioł Pański, nie zająknąwszy się ani razu, i z jakiémś serdecznem rozczuleniem, a potém wstawszy do nóg mi padła, tak jakby dziękować chciała za doświadczoną chwilę religijnego wzruszenia i pobiegła naczerpać wody w konewkę, przyniosła ją, postawiła na pniu drzewa, i nachyliła konewkę, mówiąc:

— Pyj pon, dobrodziejku! to dobra woda na wszystkie choroby i bóle.

— A na głód także dobra?

— Oj! i na głód pocieszna, mój dobrodziejku!—odpowié dziéwczę z tak smętnym wyrazem twarzy, a z tak głębokiém przekonaniem, że łacno poznać było, iż często w swém życiu do tego środka uciekać się musiała dla uśmierzenia głodu. Biedna Jaguś! zresztą i lica bez jagód i obojczyki sterczące pod koszulą, i pochyła a wysmukła lubo nadzwyczaj nadobna postawa o tém przekonywały.

— Biédnę dziewczę! Gdybym znów miał strzechę, i komin, i chleba podostatkiem, tak jak miałem niedawno temu, tobym cię wziął do siebie, siły ci wrócił, utrzymał w twém nabożném usposobieniu i utwierdził w cnocie; ale teraz Bóg wié co się ze mną samym stanie, a ty jeśli nie umrzesz tego lata na ty-

fus, téj jesieni na cholerę, to w przyszłéj wiośnie padniesz ofiarą suchot.

Tak do siebie mówiłem, a Jaguś tymczasem wziąwszy w rękę ciężką konewkę z wodą do karczmy zmierzała. Słyszałem jak jéj biédne stawy trzeszczały pod takim ciężarem, i tego widoku wątłości passującéj się z koniecznością znieść nie mogłem.

— Jaguś poczekaj i postaw konewkę na ziemi.

Ona usłuchała, ja unoszę tę konewkę; dalibóg i dla mnie zaciężka: bez wielkiego zmęczenia nie mógłbym jéj donieść aż do karczmy, więc wodę wylewam na mogiły cmentarza.

— Stach ci przyniesie wodę, moja Jaguś: to zaciężkie na ciebie.

Głęboką, pytającą się źrenicą w me oczy spojrzała Jaguś, i głowę nachyloną wsparła ręką o podbródek; może piérwszy raz w swém życiu przedmiotem była litości jakiéjkolwiek, dlatego tak się dziwiła znalezionemu współczuciu.

Podniosła próżną koneweczkę i dygnąwszy mi ręką do kolan poszła naprzód.

Otóż moja przygoda z Jagusią i konewką przy źródle pocieszném; nie tak ona wesoła jak niegdyś przygoda z dziewczyną arabską na stopach Atlasu przy studni Rumów, ale głębsze w méj pamięci pozostawi ślady, bo boleść we własnym doświadczona kraju większe robi wrażenie, jak radość pod dalekiém spotkana niebem.

Stach przyniósł wodę, jeszcze się raz jéj napiłem, i głód ściskający żołądek minął. Jagusi zostawiłem ze dwa ewancygiery austryacką koprowiną, i daléj zjeżdżam w dolinę Nowotarską.

Mgły téż poszły w górę, słońce zajaśniało przyjaźnie na wypogodzoném niebie. Zmienił się i krajobraz. W ogromnéj przestrzeni najwdzięczniejsze rozpościerają się łany podrosłéj i już wcale bujnéj oziminy. Na lewo wzgórza pokryte świéżo zielenistym borem, na prawo łany, łany nieprzejrzałe, odgraniczone odnogą Karpat węgiersko-morawskich, tojest Bieskidami, a od południa z każdą chwilą, z każdym krokiem wyraźniéj występują wspaniałych Tatrów śnieżne i okazałe tarassy. Dziwny widok: przysiągłbyś, że to olbrzymie ostrokończaste, ostrokrawędzie kryształy, tak są przezroczyste, błyszczące i tysiącami na milę obszernych ścian do siebie nachylone.

Tu pada cień, a tam rzęsiste bije światło na te ściany gładkie, lśniące i spadziste; a sterczy na nich cały szereg groźnych

obelisków, szczytami zatrzymujących chmury i przeszywających obłoki; a jeszcze wszystkich tych szczytów kształty rozeznać nie możesz, bo na najwyższych jeszcze śpią stare leniwe obłoki.

Z każdym jednak krokiem wyraźniéj występowały lodowate ostrosłupy Karpackich śnieżnic, i majestatycznie odbijały się od pagórkowatych jednotonnych równin, zasłanych wprawdzie oziminą, ale zresztą tak skąpo zasianych drzewami, mieszkaniami, dąbrową, wsią i kościołami, że bez widoku na bogaty południowy krajobraz niczém sobą same nie czarowały. Sztuka, dobre gospodarstwo, pracowita ludność, obdarzyłyby w każdym innym kraju w lat kilkanaście miejsce takie urokami, jakich dzisiaj i śladu nie posiada. A do tego żywiołów nie braknie, bo ziemia chociaż nie piérwszego rzędu, jest jednak urodzajna bez przyprawy; materyał budowlany, roślinny i kamienny tani tutaj: ale ludzi kochających piękno, chcących pracować, i dopiéro za lat dziesięć zbiérać swego mozołu plony, wcale tu mało, a może ich zupełnie brakuje. Rzecz zastanawiająca, że obok tak wielkiego piękna, jakiém Bóg wyposażył tę okolicę, nie znaleźli się dotąd ludzie chcący sobie pracą, rozkosze tego piękna przyswoić. Komuż ta ziemia ma być winną swe uszlachetnienie?

Od Tatrów ani sposób oderwać oka, ani przestać o nich mówić. W téj wspaniałości jest coś przyciągającego, co i przestrasza i czaruje zarazem. Prawdziwie te szczyty tak ostre, że spojrzenia na nie rzucone drżą i zaczepić się nie śmią, te ściany ślizkie jak zamarzłe jeziora, a jak piramid ściany pochyłe; te grzbiety rozsiadłe najeżone skałami w krocistych kształtach, a liczniejsze jak granitowe zęby katalońskiego Montserratu, te wielo-milowe doliny, tu porosłe drzewem lub skarłowaciałą kosodrzewiną, tam trawą lub wrzosem; te wąwozy, rozdoły, niezgłębione parowy, przepaści, których może żywcem nigdy człowiek nie zwiedził, nie zgłębił nawet spojrzeniem: to świat osobny, różny od wszystkiego co my tu widzimy, lub nawet pojąć jesteśmy w stanie....

Tajemnicze miejsca! Ja was chcę zwiedzić, ja chcę być piérwszym człowiekiem, którego noga po waszych niedostępnych stąpać będzie obszarach. Są w odwadze ludzkiéj siły, których tu może żaden jeszcze człowiek nie probował: do tych doświadczonych już sił się udam, zawierzę im.

Ale otóż i Klikuszowa! Zwiastują nam ją herby hrabiów Stadnickich wymalowane na tablicach a powbijane w ziemię po

wszystkich drogach wchodzących w posiadłość pana hrabiego. Herby bardzo wyraźne, nic się na nich nie zatarło, ani perły w koronie, ani kawki, gwiazdy i toporki w lazurowém polu. Jedyna to rzecz dobrze utrzymana i należycie odnawiana w całéj Galicyi.

Wieś Klikuszowa bez żadnego wątpienia jedna z najporządniejszych, choć nie najpiękniéj położonych z wszystkich na drodze z Krakowa dotąd napotkanych. Od wschodu prawie się opiéra o wysokie stopy przedgórza podhalskiego, którego stopy z drzewa ogołocone wprawdzie dość smutny przedstawiają widok, ale którego szczyty za to gęstym obleczone borem sosen, jodeł i świerków, zieleniały tu i owdzie świeżutkim liściem brzeziny i jaworów. Liczne trzody pasły się na stopach tego przedgórza. Od zachodu równiny, pola, łąki, a nawet tam daléj ku Dunajcom dość błotniste grunta. Bekasów większych i mniejszych, kaczek i kulików i kur wodnych, czajek i bąków tam się chowają roje. We wsi dymów przeszło sto, a i gospodarzy majętnych, już oddawna oczynszowanych, z moralności znanych kilkanaścioro. Pan Wojucki, który z mojéj rady używał żentycy, zaprowadził mnie do najznakomitszego z nich. Piękną, liczną miał trzodę, krów kilkanaście, kilkadziesiąt owiec mléko-dojnych, i wyrabiał masła i wybornych serów bardzo wiele. Przyjął mnie serdecznie, ale godnie, bez żadnych padam-donogów i płaszczeń; przyjął mnie tak jak człowiek, który rzetelnéj pracy zawdzięczał swój byt, powinien był przyjąć gościa. Trzodę mi całą pokazał, kazał jéj przedefilować przedemną, nakoniec soli bryl kilka pozwolił oblizać swym owcom, które wszystkie należały do rasy krajowéj, a jednak wybornie wyglądały, wełnę miały dość cienką, wydawały jéj do ośmiu funtów na rok, pomimo tego że je dojono. Czerpały obfite pożywienie z dobréj ziemi słowiańskiéj. Gosposia i córki były uradowane mojém szczerém zachwyceniem; nieczęsto mi się zdarzyło widzieć kmiotków polskich tak szczęśliwych, dobrych i zamożnych. Poczęstowano mnie wybornem mleczywem, i nic odemnie przyjąć nie chciano: nawet *cwancygiera srébrem*, monetę bardzo rzadką. Owszem gdym odchodził, zawinięto mi ogromny sér owczy w czyste liście łopuchy i podarowano mi go z licznemi dygami, z przeprosinami, życzeniami najszczęśliwszéj podróży i rychłego powrotu. „Boże błogosław domowi temu i oby służył za przykład i naukę ludziom upartym w niedorzeczuych

przesądach" powiedziałem rozczulony do głębi serca i chrześciańską przejęty radością, a gazda i gaździna, dziewki i parobcy znów mnie żegnać i dygi robić i błogosławić serdecznie zaczęli. Bóg widzi, że tych odwiedzin nie zapomnę nigdy.

Do księdza proboszcza poszedłem natychmiast: powinszowałem mu, że tak dobrych ludzi liczy pomiędzy swemi parafianami. Godny to był kapłan, pojął jakie mię ożywiały uczucia i wdzięcznym się okazał za ich objaw. Gościnnie mię przyjął butelką wybornego węgrzyna, których ze sto pielęgnował z wielką pieczołowitością w sklepieniach podziemnych kościoła, gdzie żywioł życia i radości razem się starzał z popiołami kollatorów i kollatorek. W kościele tutejszym, który tylko jest filią nowotarskiego, piękny znalazłem, starożytną rzeźbą ozdobiony ołtarz, i niezły obraz św. Marcina w XVII wieku wykonany, a teraz nad chórem zawieszony. Kościół stawiany w drugiéj połowie XVI wieku, jak to dowodzi napis wylany na większym dzwonie. Jest i szkoła parafialna w Klikuszowy; ksiądz proboszcz nie spuszcza jéj z oka, w oświacie nie upatruje zagłady moralności, lecz jéj rękojmię i trwałość.

Wkrótce wiedziano już w okolicy całéj, że przybył jakiś lekarz z bardzo dalekiego Zachodu, i z Nowegotargu przyjechał jakiś jegomość z prośbą, abym odwidził jego chorą żonę. Rozstałem się tedy już w Klikuszowy z Krakowiakiem, który mię miał zawieźć daléj, i powierzyłem mu dla Jagusi sér owczy, którym mnie obdarzył poczciwy chłopek Klikuszowski. Stach sérka nie zjadł, tylko wraz z kukiełką, własnemi pieniędzmi zakupioną, wręczył go Jagusi; o tém się dowiedziałem późniéj od saméj pani hrabiny Leonowéj Stad., która na moję prośbę opiekować się raczyła biédną sierotą.

Droga do Nowegotargu ciągle się wznosi, dąży wprost ku drdzeniowi najwyższych Tatrów; widok ku południowi na nizkim horyzoncie smętny, ale na wysokim widnokręgu tam, gdzie on się jednoczy z firmamentem srébrnemi kryształami, tam jest prawdziwie unoszący.

Jesteśmy w Nowymtargu, mieście otwierającém wejście do doliny rzek Czarnego i Białego Dunajca, i zarazem Białki czyli małéj Biały. Miasto samo leży już w dolinie właśnie w miejscu, gdzie szumne, pieniące wody toczący Biały Dunajec, do już spokojniejszych, głębszych wód Czarnego wpada. Ta dolina Nowotarska wyniesiona jest blizko na 1800 stóp nad po-

ziom Baltyku. Już tu wcale świat inny: sterczą tu malownicze ręką natury zaniesione skały, domki tu są wysokiemi śpiczastemi dachami okryte, lud tutejszy nawet obyczajami, strojem i mową różny całkiem od mieszkańców dolin. Mówi tu lud półsłowackiém, niełatwo zrozumiałém narzeczem, a gospodynie w żółtych czystych chodzą butach, dziewki zaś w czerwonych; a hoże są i świeże, i spoglądają śmiało jak andaluzkie dziewice, owe mołodyce Nowotarskie.

Rynek czworokątny, obszerny, dość porządnemi obstawiony domami, a w środku niego ratusz murowany i odwach z białemi żołnierzami. Pewna zamożność w mieście, kilku dość majętnych hurtowych kupców wina, kilkanaście handlów płótna i przędzy, handel bydłem i dębiankami dość znaczny. Jeszcze w r. 1772 Nowytarg wraz z przyległemi wsiami starostwem był królewskiém czyli niegrodowém. Ostatni starosta Franciszek Rychter, podstoli krakowski, ożywił przemysł urządzeniem kuźni i kopalni; dziś ledwo ślad pozostał tych fabryk. Spalił się także pierwotny kościół nowotarski, wzniesiony na mocy przywileju dotąd w archiwum konsystorza w Tarnowie istniejącego, a udzielonego przez króla Kazimiérza Wielkiego w r. 1343. Dzisiejszy kościół zupełnie nowożytnéj jest budowy, murowany, wcale obszerny, ozdobny wieżą zegarową i potężną dzwonnicą, przez którą się wchodzi na cmentarz kościelny. Pięć w niéj dzwonów, wszystkie w dzisiejszém lane stuleciu, prócz jednego starszego. Wnętrze téj świątyni wcale pięknemi rzeźbami i kilkoma niezłemi malowidłami ozdobione. Grobowców jednakże, tych najwymowniejszych świadków lepszéj przeszłości, wcale tu nie ma. Biédny kościół bez grobowców: one przecież najlepiéj dowodzą, że dawne pokolenia dbały o szacunek późniejszych, dbały o religią serca.

Nad drugim brzegiem Czarnego Dunajca, na wzniosłym pagórku cmentarz parafialny, a obok niego stary kościołek modrzewiowy: cudnych kształtów świątynia, poświęcona już w roku 1219 świętéj Annie przez tatrzańskich rabusiów, którzy nasyciwszy się łupami nawrócili się na bardzo dobrych chrześcian. Obraz téj świętéj skradziony przez tychże rabusiów w Węgrzech, umieszczono w wielkim ołtarzu. Drzewo z którego zbudowany kościół długo jeszcze opierać się będzie wpływowi czasu, bo nietylko nie próchnieje, ale od strony południa formalnie skamieniało. W środku pozostały jeszcze ślady da-

wnych fresków. Budowa téj świątyni przypomina architekturę norwegskich kościołów; wieża także na palach niebotycznych sosien wzniesiona, ściany wszystkie modrzewiowe: znać że lasy okoliczne obfitować musiały w to pożyteczne drzewo. Dziś szeroko o tém prawią botanicy, czy na gruncie gór podhalskich modrzew przyjąć się może; istotnie ani jednego już nigdzie nie zoczysz. Czy się do tego stopnia i ziemia i klimat wraz z czasami mógły zmienić? Wszakże w zimniejszéj daleko Szkocyi górnéj, bujnie rosną modrzewie zasadzone tam przed czterdziestą laty.

Pan D. dyrektor szkoły trywialnéj ciągnął mnie do archiwum magistratu i obiecywał pokazać przywileje, dyplomata i inne pargaminy historyczne od Bolesława księcia krakowskiego i sandomierskiego aż do Augusta III króla polskiego; a pan R. aptekarz nowotarski ciągnął do chorych i obiecywał szkrofuły, reumatyzmy i histerye; ze wstydem przyznać muszę, żem przełożył histerye nad historyą, ale się znam na tamtéj lepiéj.

Już się jawią karłaki, wole i kretynizm: smutne krajów górzystych właściwości, a niedocieczone w swych przyczynach, pomimo wszystkiego co najuczeńsi ludzie o wpływie wód, śniegów, powietrza i ziemi krain górzystych pisali. Ja sam przez lat tyle w górzystych żyłem okolicach, bom ich uroki przekładał nad wszystkie wygody płaskich i limfatycznych dolin, i wszędzie widziałem wole i kretynizm; ale istotnéj tych chorób przyczyny wynaleźć żadnym nie mogłem sposobem, lubo nieraz jodyną udało mi się wcale duże wole rozpędzić bez żadnéj dla organizmu szkody.

Zaznajomiłem się z kilkoma domami w Nowymtargu, i znaglony namowami aptekarza umyśliłem pozostać w tém mieście cały tydzień, i z niego zrobić szereg wycieczek na północne stoki Tatrów.

Już mi i mieszkanie dano i na szereg obiadów gościnnie zaproszono; możebym był został całe życie w Nowymtargu i nie miał czasu spisać tego wszystkiego, co z mego pióra w ostatnich latach straszliwe nudy w Warszawie wycisnęły; ale Bóg chciał zupełnie inaczéj: poddaję się jego woli.

Jeszcze téj saméj nocy posłał po mnie pan Krob. dziedzic poblizkiéj wsi Harklowy, którego córka mocno na zapalenie ócz egipskie zachorowała. Syn jego, akademik krakowski przyjechał i błagał, żebym nie tracąc chwili z nim pojechał, a chorobę

opisał mi tak szczegółowo i w tak dokładnych barwach, żem jéj niebezpieczną przyrodę odgadł odrazu.

Pędzimy tedy co konie góralskie mogą wyskoczyć do Harklowy wzdłuż prawego brzegu Dunajca.

Po odbytych przy każdym moście meldunkach i zapłatach, podhalanin zaciął konie, wasąg podskoczył po skalistéj drodze i już podskakiwać nie przestał, aż drżały szczęki i tłukły się bańki strwożonemu cyrulikowi. Nie potrzeba przytaczać, że to indywiduum izraelickiego było pochodzenia i duszę miało ciągle na ramieniu. Noc zupełnie ciemna; nic nie widać, czasem tylko pryśnie z odmętu szumnego Dunajca biała piana i mignie się w powietrzu coś niby iskra: to zapewne pstrąg jaki swe gimnastyczne odbywa ćwiczenia i dąży w góry między skały; czasem też na wysokim widnokręgu południowym na prawo, chmura uderzy o zmarzły ząb Tatru, łyśnie błyskawicą i niebo zagrzmi głucho jak gdyby mruczało z gniewu.

Mijamy wieś Łopuszno, staję pod słynną ze staropolskiéj gościnności strzechą ukochanego i zacnego dziedzica Harklowy.

Wieś Podtatrzańska.

Już się wkrada do mojéj izby rzęsiste światło przez serca wykrojone w okiennicach, budzą mnie słońca promienie; już igra i swywoli jutrzenki purpura na sędziwych szczytach Krępaku: idźmy przywitać słońce na Tatrów wierzchołku.

Ale naprzód do pacyentki. Ona śpi, po raz piérwszy od dni czterech i na jéj licach osiadł spokój; odbiegła gorączka, świadczy o tém puls regularny i chłód głowy jeszcze przed niewielu godzinami gorącym rozpalonéj żarem. I matka także, matrona polska, jakich na nieszczęście kraju już mało pomiędzy nami, i matka także snu używa na fotelu; zmarszczki kłopotu ustępują z jéj twarzy jakiemuś rozrzewniającemu uczuciu nadziei, wlewającemu spokój w duszę, zapewne się i we śnie modlącą.

Nie budzę nikogo: ani chrapiącéj jak zakatarzone organy służby, ani nawet Jankla cyrulika, który pod piecem w kuchence śpi, i śpiąc jeszcze oblicza na palcach zyski z postawionych baniek i pijawek, i innych funkcyi swego powołania.

Jestem na dziedzińcu i patrzę na wszystkie strony. Naprzód dwór półmurowany, nieregularnie budowany, bo mu zapewne przybywały skrzydła w miarę jak się w nim szlachcicowi rodziły dzieci.

Na prawo od dworu, w oddaleniu kościołek jakiś wcale starożytny i kształtny; naprost i nieopodal od brzegu Dunajca oficynka, w której mieszka czterech akademików krakowskich, synów szlachcica i brat jego młodszy; nareszcie na lewo od dworu budowla jakaś bardzo oryginalna, z mocnych belek modrzewiowych wzniesiona i strzelnicami opatrzona. Przysiągłbyś że to blokhaus, ale to tylko lamus bardzo starożytnéj budowy, umyślnie tak wystawiony, żeby się w nim bronić można w razie potrzeby. Nieraz téż podobno rabusie i patrole Szwedów napadali na Harklowę i odparci byli przez strzały wymierzone z lamusa. Niedawno jeszcze przechowywano w nim długie zardzewiałe śmigownice, ale je rząd kazał odesłać w r. 1846 do Ołomuńca. Dwór z trzech stron otoczony ogrodem, którego dróżki i ścieżki wysadzone są agrestem, pożeczkami i maliną; a kwadraty i trójkąty zawierają zarazem drzewa owocowe, warzywa i kwiaty. W gęstwinie klombów i żywego płotu gnieżdżą się niezliczone chmary ptaszków, i witają swym gwarem noworozpoczynający się dzionek: wpośrodku zaś ogródka wzniesiony sarmackiemu sercu miły pomnik, tojest spory, ponad dach dworu sięgający kopiec. W ślimak kręconą, kwitnącém krzewiem wysadzoną ścieżką, wchodzi się na szczyt jego, gdzie około mocnego pala, dźwigającego parasol z czerwono malowanych, misternie w łuskę wycinanych gontów, znajdziesz ławkę. W powiewie rannego wichru skrzypi blaszana chorągiewka, bujając na wysokiéj włóczni w środku parasola zatkniętéj, i wskazuje kierunek wiatru.

Otóż wierny obraz *mikrokosmu* Harklowy, ale któż opisać zdoła *makrokòsm* ukazujący się zdumiałemu oku ze szczytu tego kopca? Ja już wyczerpałem pióra mego barwy na opis Tatrów widzianych zdaleka, jakże je tu odmalować tak blizko stérczące przedemną, w całéj nigdy nieprzeczuwanéj okazałości? Wiatr zdmuchał ze szczytów obłoki i rzucił je w czarne otchłanie, jutrzenka je ozłociła: po jednemu możesz je rozeznać, od siebie odróżnić i wymienić, gdybyś znał ich nazwisko.

Ale któż je zna? W téj krainie, którą nędza od tak dawna toczy, zapewne już utonęła wraz z pamięcią lepszéj

przeszłości pamięć tych malowniczych nazwisk, któremi odróżniano jeden szczyt od drugiego.

Tak przemówiłem sam do siebie głośno, odkrywszy mą głowę i uchyliwszy czoło przed ogromem piękna nigdy w mym kraju niewidzianego.

— Oh nie! nie wszystko tu jeszcze w niepamięć poszło— odpowié mi głos jakiś młody i wdzięczny — ja panu wymienię jak z płatka nazwy gór tych wszystkich.

Zwracam się w kierunku głosu: to panna Augusta, córka najmłodsza dziedzica, istota 16-letnia, świéża jak róża, wysmukła jak trzcina, wesoła jak dziecko, a roztropna jak dorosła niewiasta: prawdziwy typ szlachetnéj gór dziewicy.

— Ah! to panna Augusta! Dzień dobry pani; już tak rano na nogach?—rzekłem ucieszony tą niespodzianką.

— Jeszcze raniéj przywykłam wstawać, ale po nocy prawie bezsennie strawionéj obok choréj siostry, zaspałam cokolwiek. Bogu i panu doktorowi dzięki, Karolcia już się ma lepiéj: nieprawdaż?

— Daleko lepiéj, już siła choroby przełamana, i spodziewam się, że wszystko pójdzie dobrze. I pani zna tych licznych szczytów nazwiska i chcesz być mym cyceronem.

— Tu się urodziłam, tu wzrosłam, panie doktorze, i miejsca tego nigdy prawie nie opuszczałam w mém życiu, ani téż nigdy jeszcze nie zatęskniłam do miejsc innych; cóż dziwnego, że się obeznałam ze wszystkiemi cudami téj okolicy? Od starych a rzeźwych jeszcze górali wypytałam się nazwisk już dzisiaj w pamięci ludu brzmieć przestających, i chętnie służę za cycerona każdemu podróżnemu, który ubogą strzechę naszą odwiedzić raczy. Oh! mój tata dumny z mych wiadomości, dumniejszy jak z ukształcenia trzech starszych sióstr moich, które pobierały wychowanie w Krakowie. Więc opiszę panu wszystko co z kopca naszego widać.

Prawie dosłownie tu oddaję opis wyszły z koralowych ust pięknéj, modrookiéj góralki, któréj długie czarne włosy splecione w dwie bogate kosy, spadają na błękitną białem futerkiem wykładaną mandarynkę. A ta mandarynka aż po szyję opięta na dziewiczych, już wykwitających piersiach, obejmuje kibić wysmukłą, giętką i pełną młodocianych uroków. Czyż piękniejszego można gdzie mieć cycerona?

— Więc — rzecze panna Augusta — masz pan przed sobą Tatry, najpiękniejszą część ogromnego łańcucha gór Karpackich, od Zachodu łączących się prawie ze stopami Alp i ginących na Wschód w Siedmiogrodzie. Teraz Tatry pokryte śniegami, ale czasem w latach wyjątkowo ciepłych wszystkie topnieją śniegi i wówczas mniéj są piękne Tatry a góral smutny, bo niezawodnie mniéj urodzajny rok nastąpi; a są miejsca wśród wysokich szczytów głęboko zapadłe, gdzie śniegi zdają się rok w rok powiększać, gdzie jedna warstwa służy za podstawę następnym ścielącym się. Masz pan przed sobą nietylko Tatry, ale najwyższy ich szczyt na 8,100 stóp wyniesiony nad Bałtyk. Oto groźny Krapak czyli Krępak, Łomnicą zwany przez Węgrów i Niemców, już tam na węgierskiéj stronie o ćwierć mili ztąd za rzeką Białką. Krapak, jak pan widzi, nie jest piérwszym szczytem od Wschodu, poprzedzają go inne niższe zwane Kolibaho Mały i Kolibaho Wielki, a te siedm jak wilcze zęby wyglądające zakrzywione piramidy nazwano Ryglami Kolibaha; pomiędzy ich stopami mieści się czarne jezioro. Znów od Krępaka na Zachód i jakby w jednym szeregu ukazują się kolejno góry zwane Mury, Jaworzyn, Turnie i Rypy, które górują nad sławném jeziorem zwaném Morskie Oko; tamże sterczy skała Mnich a bliżéj wznosi się zielone, szerokie podgórze Holica. To miejsce cudów, które pan musisz zwidzić nim się rozstaniesz z naszemi stronami; w téj chwili jeszcze Morskie Oko zamarzłe i droga niedostępna, ale najdaléj za 20 dni śniegi odtają i jezioro puści, wtenczas bracia zaprowadzą pana do Morskiego Oka.

— Za 20 dni? Na miłość Boga! Tak długo miałbym pozostać w téj okolicy?— zawołałem jak przerażony.

— Nietylko w okolicy, ale w domu naszym, w głównéj kwaterze każdego podróżnego, tę krainę zwidzającego. Już tatko plan zrobił jak pana ma zabawić przez całe dni 20, w godzinę już pana poznał na wylot i zawołał: „Ho! ho! to nasz; tego nie wypuścim tak prędko, obmyślem mu zatrudnienie i zabawę, żeby nas już nie zapomniał nigdy jak ztąd odjedzie". Z mym ojcem niełatwa sprawa, wierzaj mi pan, bystre ma oko, a jak do kogo przylgnie, to się od niego odczepić nie można. Tak, panie konsyliarzu! nie wyślizgnie nam się pan tak prędko.

Tak powiedziała z naiwnością i z trudną do uwierzenia pewnością siebie panna Augusta, i roześmiała się pustym śmiechem patrząc wesoło w me odurzone oczy.

Otóż czego nie doświadczyłem ani razu od lat 18, a doświadczyć miałem po raz piérwszy na krańcu dawnéj Polski, na pograniczu Węgier. Takiéj gościnności serdecznéj a przymuszonéj nie dozna nikt, chyba tylko w okolicach, z których źle pojęta cywilizacya nie wygnała wrodzonych cnót słowiańskich. Istotnie, dom państwa Krob... był od zawsza przytułkiem każdego podróżnika, w kraju swoim szukającego piękna i cnoty; znaczna część dochodów téj zacnéj a miernie zamożnéj rodziny wychodziła na podejmowanie gości. Mój dobry zacny przyjaciel dziedzic Harklowy, sprawował od lat 20 urząd klucznika tych niewyczerpanych skarbów, które są zawarte w Karpatach, i tak sobie brał do serca swoje powołanie, że formalnie zazdrośném okiem spozierał na swych sąsiadów i rywalów gościnności, zwłaszcza na Tettmajerów w Łopusznie i Drohojewskich w Czorsztynie, którzy tym samym wzniosłym duchem ożywieni, starali się ułatwiać klucznikowi Karpat sprawowanie przyjętych na się dobrowolnie a z takiém wylaniem wyświadczanych obowiązków.

— Ale panie doktorze! nie jesteśmy jeszcze ani w połowie naszéj podróży po szczytach tatrzańskich—zawoła miły Cycerone—idźmy daléj. Stanęliśmy na Morskiem Oku; na prawo od niego sterczą Mury Liptowskie, daléj Wołoszyny i Szczyty Wołoszyńskie, tuż za niemi okazały Krywoń tylko o tysiąc stóp niższy od Krępaka, daléj Miętuskowe Hory i Czerwone Wirchy; jeszcze daléj Magórki, Pyszuk, Gruń, Ostrza Jaworowa ze sławnym Hochołowem, Czarne Morze, Zabidowskie Pojany, a najdaléj na zachód, kędy się kończy biały grzebień Tatrów, jaśnieją jeszcze Huberskie Turnie i kryją w swych stopach uroczy Osobil, a wstępują w dolinę przedgórzem, Żuberskim Gruniem zwanym dlatego, że przed pięćdziesięciu laty jeszcze tam napotykano w lasach żubry. Tom panu wymieniła nazwiska śnieżnic, ale wzdłuż nich ciągnie się pasmo wysokich przedgórzy, które wprawdzie dopiéro od potopu istnieją, ale także już są znakomite co do wielkości, i do wysokości 3000 stóp dochodzą; te już dziś pokryte są zielonością. Otóż wysunięta najwięcéj na Wschód góra Palczasta, wyglądająca zupełnie jak ręka o sześciu palcach, a pod nią czerwieni się klasztor od niepamiętnych czasów Czerwonym zwany; daléj Magóra, Koperszstady, Hawrun Wielki i Mały, Murów, Jaworyn nad Kuźnicami Jaworzyńskiemi, położonemi zwyż miasteczka węgierskie-

go Uj-Bela czyli Nowa Biała; daléj Zielona, Holica i Świstowa, nakoniec jeden niższy ale długi i całkiem borem porosły grzbiet ciągnie się wzdłuż Tatrów od Wschodu na Zachód na mil kilka i żywi swém drzewem sławne kuźnie Homolaczów w Zakopanéj, i daléj starodawne fryszerki w Bukowinie. Potém powoli podgórza te zstępują coraz niżéj w tę samą płaszczyznę, w którą się rzuca równoodległe od niego bieżące pasmo Tatrów.

— Teraz znów pan spuść oczy na niższe piętro i ujrzysz obszerną dolinę, ciągnącą się wzdłuż stóp przedgórza; tę dolinę przerzynają krętym biegiem niby trzy wstęgi, trzy strumienie: Białka wypadająca z Morskiego Oka i przyjmująca wody z pięciu stawów, potém Czarny Kościeliski i Biały Zakopański Dunajec, łączący się pod Nowymtargiem w jedną rzekę, która tutaj za nami o kroków 300 od tego kopca przebiega pola nasze i łąki, i odgranicza nas od Podhala. Poważna to rzeka; wezbrana deszczem i roztopionemi śniegami Karpat bieży wartko i pędzi szumnemi nurtami. Patrz pan jak się chwieje most rzucony na téj rzece tuż za naszemi gumnami, patrz pan jak potrącane prądem zbałwanionego Dunajca dwunożne kobylice drżą, uginają się i trzeszczą. Na tych kobylicach niewbitych w łoże rzeki, lecz położonych, poukładano wzdłuż belki, a na belkach pokładziono w poprzecz młodéj nieobrobionéj choiny kilkaset, z wielu z niéj nie obciosano nawet wierzchołków, i te się zgięły tak, że iglaste gałęzie igrają z nurtami rozdąsanéj rzeki. Poręczy tu żadnéj, most cały zaledwie na ośm stóp szeroki. Otóż mi budowla jakby z pajęczyny; gdy pan na nią wstąpisz gnie się, kołysze i chwieje, w głowie się panu zawróci, struchlejesz pan, żebyś miał odwagi za czterech, bo co chwila razem z mostem runąć możesz w wodę, tak się przynajmniéj panu zdawać będzie. A przecież codzień całe stada bydła most ten przekraczają udając się na pastwiska Podhala. Ostrożnie idzie bydło; nóg, broń Boże, nie postawi pomiędzy choiny, żeby mu między dwa pnie nie wpadły, a wié już z doświadczenia, że im większy ciężar na moście, tym się téż lepiéj prądowi oprze i mniéj chwiać będzie. Moi bracia konno przebywają ten most, ale zdaleka okropnie na to patrzeć, wyglądają jakby konno na chwiejącéj się linie jechali; na taką jazdę trzeba dobréj głowy i mężnego serca. Ale już dość o moście, zwróćmy się jeszcze raz ku dolinie, która się ciągnie

wzdłuż podnóża Przedgórzy Tatrzańskich, i przerzniętą jest srebrnemi wstęgami strumieni. Widzi pan na nich szereg głazów wysokich prawie jak wieże, sterczących na ich stopach w tak grożących kształtach? Jedne z nich już porosłe drzewami, drugie dopiéro krzewem, inne zaledwie mchem, a zupełnie nagich tutaj nie masz. To tylko wiemy, że głaz Cisawą zwany, który za mchem porosły opisał ś. p. minister Staszyc, bawiąc przez czterdziestu kilku laty tu w Harklowy u mego dziada, ten głaz, już dzisiaj krzewiną pokryty tak mocną, że chwytając się jéj gałęzi można się wdrapać na szczyt, który tenże sam pan minister za niedostępny uważał. Wszystko się zatém zmienia w naturze powoli i pomału, ale znaki tych zmian dość widoczne jednakże; nieraz w ostréj zimie pękają w górach opoki z tak przeraźliwym łoskotem, jak gdyby z najogromniejszego moździerza strzelano, całe niezmierne odłamy staczają się w przepaście i zawalają doliny; widać że kiedyś dawno i te samotne skały oderwać się musiały od Tatrów i tu zajść wyrzucone trzęsieniem ziemi lub inną jéj katastrofą. W kalendarzach, w *Sylva Rerum* i w zapiskach dziadów i pradziadów ojca mojego, od wieków tu zamieszkujących, śladu nie znaleźliśmy żadnego trzęsienia ziemi lub innéj katastrofy dość silnéj na sprowadzenie tak ogromnych głazów z takiéj wysokości i odległości, ale że są ułamkami najwyższych szczytów tatrzańskich, o tém podobno przekonywa ich skład i kształt. Wiemy tylko z tych zapisków w starych kalendarzach, że przedtém na szczytach tych skał dopóki były nagiemi, gnieździły się duże orły; dziś tu ani śladu orlego gniazda, orły nasze teraz ostrożniejsze, ulatują w niedostępne góry opodal od ludzi.

Piękny Cycerone umilkł i z zadziwieniem patrzał się na mnie oczekującego żeby daléj mówił, nareszcie rzekł:

— Czy to nie dosyć? Ja przynajmniéj nie wiem więcéj; wszystko panu opisałam pobieżnie co z kopca Harklowy z daleka widać; z blizka możesz sobie pan sam lepiéj rzecz zbadać. Ale czemu pan tak drży, panie?

— Bo zimno okropnie, pani w futerku nie czuje jaki wiatr mroźny i przejmujący z tych gór wieje; ale ja w lekkim surduciku czuję go bardzo dotkliwie.

— Więc pan pójdź ze mną, zaraz pana rozgrzeję—rzecze panna Augusta i sprowadza mnie z kopca do kręgielni wzdłuż

żywego płotu umieszczonéj, i nim tylko od gościńca odgraniczonej.

— Otóż będziemy grać w kręgle, a wyjdzie pan z odrętwienia. Kto w trzech razach więcéj kręgli zbije, ten wygrał. Partya po 10 grajcarów monety; dobrze? Ja lubię grać o pieniądze.

Chętniem przystał na kręgle, pewny że zgram mojego Cycerona, alem nie znał zręczności jego; malutką swą ręką umiał silnie rzucać i celnie trafiać, za każdém ciśnięciem większa część kręgli na ziemi leżała; przegrałem kilka partyi jedna po drugiéj i już się wstydzić zacząłem méj niezręczności, kiedy cały orszak mężczyzn wysokich, silnych, przystojnych wruszył do ogrodu i zbliżył się do nas.

Byłto dziedzic Harklowy ze swemi czteroma synami i ze swym młodszym bratem. Cóżto za dzielnie wyglądający ludzie! Cóżto za dziarscy przedstawiciele sarmackiego plemienia! Serce się radowało na widok tak dorodnéj, pełnéj serdeczności a zarazem maniernéj młodzieży, a rosło jeszcze więcéj gdy ich rozmowa przeświadczyła, że nie zaniedbali umysłu dla przechowania zdrowia, że u nich była *sana mens in corpore sano*.

Ojciec w sile wieku, bystre miał granatowe, pełne ognia i gęstą brwią czarną zasłonięte oczy, a głos tak silny, że go w całéj okolicy nazywano krzykałą.

— A cóżto Waćpanna do kaduka robisz? Zgrywasz mi gości? Nie oszczędzasz nawet lekarza, zdrowiodawcę, który ocalił oczy twej siostrze? — spyta żartobliwie ale piorunującym głosem ojciec córki, a ta odpowiada naiwnie:

— O mało co nie zmarzł pan doktór przypatrując się na kopcu krajobrazowi, więc chciałam go rozgrzać.

— Chciałaś go rozgrzać łajdaczko?—wrzaśnie śmiejąc się szlachcic z niesłychaną siłą. Kręglami rozgrzewać gości? a to mi tani niemiecki sposób, a nie maszto w piwnicy innych środków, skuteczniejszych? Wybacz kochany gościu niedoświadczonemu dziecku, jak dorośnie to zaprzestanie rozgrzewać kręglami. Ale należy nam się kawa, idźmy powiedzieć dzień dobry Jejmości.

Wszystko w tym domu tchnęło prostotą, rozumem i szczerością; a o ile szlachcic krzykała zadziwiał czasem wybuchami rubaszności, o tyle pani domu zachwycała łagodnością. Pośród nich zapomniałem wkrótce, że w obcym jestem domu; przedzi-

wnym, tylko szlachetnym umysłom udzielonym instynktem, odgadli, że człowiek, który długie lata pomiędzy obcemi strawił, musiał przywyknąć do samotności, polubić ją i jéj potrzebować. To też, gdy czasem pośród wesołéj zabawy, lub nic nieznaczącéj rozmowy myśli jakiéjś smętnéj lub poważnéj chmurka zaszła na moje oblicze, gdym się oddalił do ogrodu, lub pobiegł na kopiec, lub też do pracy w moim pokoju przysiadł, wówczas nie zrywano się, żeby mi towarzyszyć i uszanowali gościa swego *dziwaczność*. Nie naglono mnie także żebym pił do upadłego, lub brał udział we wszystkich szulerskich i hucznych zabawach, których nieraz z przyczyny gości często przybywających, dwór Harklowski był widownią. Ha! to prawda! nieraz pito okropnie i grano w karty do białego dnia, ale na szczęście moje pito węgrzyna, któregom wówczas jeszcze się nie nauczył znieść wiele, i grano w preferansa i w taroka, dwie gry do dziśdnia jeszcze mi zupełnie nieznane.

Więc mnie nie naglono ani do hulatyki, ani do gry, nie gwałcono mi także mego *sanctum sanctorum*, mojéj izdebki, gdym się do niéj cofnął jak Agamemnon pod namiot, i dlatego też gościnność doznana w Harklowy wpisała się w pamięć moją trzeźwemi niezatartemi głoskami, i może przetrwa w duszy méj dłużéj—i kiedyś okaże się wdzięczniejszą.

Pani domu, matka ośmiorga żyjących, dorosłych, a jeszcze na chléb niezarabiających dzieci, dziwném się nieraz patrzała okiem na te huczne a nieustające biesiady; nieraz może w jéj szlachetne serce zakołatały jakieś troski na widok owego grosza z taką trudnością zbieranego a z taką szybkością rozchodzącego się, ale oblicze polskiéj matrony nigdy nie wyjawiło najmniejszego niezadowolenia, a chociaż jéj posag, jéj posag był węgielnym kamieniem, na którym wzrósł byt męża i polegała przyszłość dzieci, *ona* jednym giestem nie wyjawiała nigdy mężowi, że w wieku, w którym tyle mnożyło się próżniaków, a jedynie tylko egoizm kwitnął, należałoby powściągać dawnéj nieoględnéj gościnności wodze.

Ale szlachcic, lubo się diablo musiał wysilać, żeby wyciągnąć cóś z tego nieurodzajnego gruntu podtatrzańskiego, nie pojmował innéj gościnności jak zupełną, huczną, wesołą, krzykliwą i przymusową. W czasie lata kiedy się wałęsali pod różnemi pozorami podróżni po téj krainie, codzień prawie klucznik Tatrów wydawał rozporządzenia jak stary miecznik Malczewskiego:

„Skoro dom mój uczciło takie lube goście,
I w kielich się uderzy i nie będziem w poście,
Gospodyni w przyjęciu niechaj się nie leni,
Suto stoły zastawia, nie szczędzi korzeni."

Byli tacy sąsiedzi, którzy szlachcica upominali, i przytaczali mu wiérz sowizdrzała:

„że tak przez swą dobrotę,
dobrze pasie hołotę";

ale to nic nie pomagało, szlachcic wzrósł w świadczeniu gościnności, i w wierze, że się chojnemi ludźmi patronowie Polski szczególnie opiekują.

Dotychczas, Bogu niech będą dzięki! Święci patronowie Polski nie zawiedli wiary szlachcica, umiejącego pielęgnować tak starannie cnoty przodków; żyje jeszcze, chleba mu starczy dla siebie, przyjacioł i gości, żyje i szczęśliwszym się czuje od owych wyrodków, którzy za drogi piéniądz téj naszéj biednéj ziemi nauczyli się za granicą tyle złego, że już nie wierzą w cnotę i pogardzają ludźmi, w których odbłysk dawnéj słowiańskiéj życzliwości tkwi podziśdzień niezachwianie.

I cóż wam zastąpić może tę wiarę? Czy wasza ogłada powierzchowna zupełnie płonna, którąbyście i na suknie zarobić nie byli w stanie, gdybyście postradali majątki i stosunki wasze żebracze? Czy znajomość języków, owa niedokładna, którą już posiadają kielnerowie w hotelach europejskich? Czy téż chytrość i przebiegłość wrodzona duszom wiedzącym, że poczciwą pracą żadnegoby stanowiska w świecie osiągnąć nie zdołały? Aleć i zwyczajne żydy zakassowałyby was pod tym względem. Czy może wam starczy za brak cnoty i wiary w nią samą owa pewność, że nigdy nie będziecie ofiarami téj cnoty i wiary,—i żadnego zawodu? Bezczułością okupicie sobie spokojność; ale to i kamień potrafi, a z kamieni robią bruk....

Ale wróćmy do Harklowy, czyli raczéj do jéj kościoła, w którym obecnie jesteśmy z całą liczną rodziną Krobickich i z wszystkiemi gośćmi i święcimy Zielone Świątki d. 30 maja 1848 r.

Kościół to drewniany, jodłowy, fundowany w piérwszéj połowie XIV stulecia. Roku 1831 zgorzała plebania, a z nią i akta kościelne, co nieodżałowaną jest szkodą, bo w nich był dowód niezaprzeczalny, że w roku 1779 urodził się w Harklowy Józef Radecki, późniejszy hrabia Radetzky, feldmarszałek austryacki. Wielki wojownik, rodzony brat matki dzisiejszego

dziedzica Harklowy, naszego krzykały Krobickiego, wcale nie jest Czechem, jak głoszą niektórzy źle uwiadomieni bijografowie, i jak możnaby wnioskować z pisowni ostatniéj syllaby nazwiska zwycięzcy pod Nowarrą.

Alfreski na suficie kościoła Harklowy osobliwego są rodzaju, i przenoszą nas w czasy blizkie apostolstwa chrystyanizmu w Polsce, przypominają stare malowania w cerkwiach greckich. Alfreski na ścianach malowano roku 1738 za proboszczostwa księdza Onufrego Ochalskiego, jak świadczy napis nad drzwiami zakrystyi. Godne są uwagi stare rzeźby zdobiące ołtarze i obrazy w sposobie bizantyjskim wykonane przez Czeszacza z Waksmunda. Waksmund jestto nazwisko wsi leżącéj nad Dunajem pod Nowymtargiem. Wprzódy, póki był piéniądz w kraju i duch religijny w ludzie, mieszkało w téj wsi kilka pokoleń Czeszaczów bardzo znamienitych rzeźbiarzy; ostatni dwaj Czeszacze zwąchali nadchodzącego wieku szlachetność, i jeden został traktyjernikiem a drugi kupcem bławatnym.

W środku kościoła, tam gdzie podczas podniesienia starsi z bractwa świecowego klęczą z gromnicami, leży kamień grobowy z napisem już przytartym:

Heu Viator!
Hic est peccator
Priviatus vita
Sepultus ita
Orate pro eo
Ut sit cum Deo.
Obiit anno 1715.

Jaki to grzesznik zmarły tam pochowany, tego się już nigdy nie dowiemy; bo księgi kościelne zgorzały, a z trumny cynowéj srebrodajnéj jakiś z dobroczynnych parochów kazał ulać żydom lichtarze i kandelabry kościelne.

Nie od bardzo dawna dbają w kraju naszym o pamiątki starożytności. Aby było jakotako na obecną chwilę, co tam sobie głowę zaprzątać tém co kiedyś było, lub téż myśleć o przyszłości.

Ale może późnéj inaczéj będzie, bo tu czują potrzebę nauki: przy kościele tutejszym jest szkółka parafijalna, uczą w niéj języka polskiego religii i rachunków; i nie żali się ani dziedzic, ani proboszcz na brak gorliwości uczniów, bo sami, nie lękając się oświaty, naganiają dzieci do szkoły.

Lud w kościele przyzwoicie ubrany, piękny i pokaźny. Nowotarzanie mieszkając po największéj części w równinie, zachowali pomimo tego wszystkie cechy goralskiego rodu, gdyż dolina Nowotarska, w któréj leży nasza Harklowa, położoną

jest w odstępie gór prawdziwych i należy całą przyrodą swoją jeszcze do krainy górskiéj.

Znamy ich i tu w Warszawie tych dobrych Nowotarzan, wędrują oni za zarobkiem szeroko po świecie i przybywają do najodleglejszych okolic Polski, Węgier i Pruss Dolnych.

Tylko nie każdego, który w Warszawie garnki drutuje, i polewa, i mysie łapki sprzedaje, bierzmy za Nowotarzanina: są to w teraźniejszym kwitnącym stanie przemysłu najczęściéj górale z ulicy Solec i Rybaki.

Ale pomiędzy pobożnym ludem zebranym w kościele Harklowy było i mnóstwo Podhalan, których siedziby od Północy oddziela tylko pasmo wapiennych skał i rzeka Dunajec od doliny Nowotarskiéj. Mała różnica w kraju, a wielka w ludziach. Dumny to ród, ma się za najszlachetniejszy góralski, i za taki jest uważany przez innych górali. Podhalanin w obcéj stronie zapytany: Zkąd góral? dumnie poderwie głowę i odrzeknie: „A z Hala!"

Wincenty Pol utrzymuje, że Podhalanie są właściwie rodem alpejskim, który kiedyś osiadł północną pochyłość Tatrów, aż po dolinę Nowotarską. Podhalanki także są czarnookie, hoże, i wysmukłe jak Tyrolki,—tylko na szczęście dłuższe noszą spódnice, nie grają na harfie i nie śpiewają w piwnych ogródkach po niemiecku.

Już wychodziemy z kościoła, i miła panna Gucia, córka kollatora, rozdaje ubogim w kruchcie pieniądze wygrane od gości ojca w kręgle.

A tak przyznajemy, że Harklowa i całe sąsiedztwo jest błogosławionym kącikiem, do którego jeszcze nie wtargnęły nowoczesne wady, do którego schroniły się gościnność, braterstwo i poczciwe uczucia. Tu jeszcze bywa młodzież co się nie wstydzi ani skromności, ani serdeczności; tu dobroczynność nie jest pustą gazeciarską chełpliwością; tu przyjaźń zna i pełni obowiązki swoje, a obmowa posłuchu nie znajduje, bo dzieci Tatrów za świętą uznają powinność, sławy swojéj przestrzegać wzajemnie.

Prawda, że dolina Nowotarska leży na pograniczu Węgier, i dzielnych ma sąsiadów.

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Międzymorze Suez (z mappą). — Wydobywanie z ciała ludzkiego metalów za pomocą elektrochemii. — Leczenie głuchoniemych i projekt nowéj dla nich grammatyki, przez p. Rémi-Valade. — Nasiona roślin pożywnych przywieziono z Chin do Francyi. — Fenomen widziany na morzu Indyjskiém. — „Złota przepaska" komedya we trzech aktach Emila Augier. — „Miss Fauvette." — Świat ptasi przez p. Toussenel. — Przegląd muzyczny. — Wiadomości literackie.

Przygotowują się obecnie dwa olbrzymie przedsięwzięcia, które wykonane, zmienią dotychczasowe stosunki handlowe i morskie. Przekopanie międzymórz Suez i Panama, uwolni żeglarzy od długiego i niebezpiecznego opływania Afryki i Ameryki, a żeglugę sprowadzi od biegunów do stref umiarkowanych.

Pustynia Suez mało jest znaną, bo w jednym tylko kierunku przebywaną bywa przez podróżników, udających się z Egiptu do Palestyny. Kraj nizki rozciąga się na wschód do górnych płaszczyzn Jerozolimy, na zachód małemi wzgórzami i żyzną doliną Nilu przerwany, niknie aż w Saharze. Prócz ruchomych piasków, prócz małych krzaków kępami rozrzuconych gdzieniegdzie, spotykasz niziny lub miednice wyschłych jezior; woda dochodzi do nich z morza przez wsiąkanie (lub przez włoskowatość jeśli są wyżej od poziomu morza), waporuje przy skwarze, zostawiając skorupy soli, które błyszczą od słońca, a zdala wydają się jako warstwy płynu; tu i owdzie rosną palmy, przy piaskowych wzgórzach chroniąc się od wiatru. Trzecia część najmniejszéj szerokości międzymorza tworzy zaklęsłość, którą

Gorzkiemi jeziorami zowią; zapewnę w odległéj przeszłości przesmyk ten łączył morze Śródziemne z Czerwonem, tworząc cieśninę, którą wschodnie wiatry piaskiem zasypały. W stronie północnego-zachodu piaski prawie bez przejścia znikają, i zaczyna się Delta.

Przekopanie Suezu nie jest nowym pomysłem; według Strabona, już na 1840 lat przed Chrystusem, a więc przed wojną trojańską, pod panowaniem Sezostrysa, probowano spławnym kanałem połączyć dwa morza. Wszakże inni twierdzą, że projekt zaczęto wykonywać pod Nekosem synem Psammeticha, a dokonano w sto lat późniéj za rządów Daryusza. Podług tego podania, które się opiera na powadze Herodota, ślady kanału które dziś widać od miasta Suez do Gorzkich (słonych) jezior, datują na 500 lat przed Chrystusem. Kanał ten Nekosa nie przecinał międzymorza od południa na północ, jak to proponuje pan Lesseps, ale (jak to można widzieć na dołączonéj mappce) szedł od miasta Suez, dawnego Arsinoe, do Bubast nad Nilem, a ztamtąd łączył się z morzem Śródziemnem przez odnogę Nilu Peluza. Kanał wyrestaurowany za rozkazem Ptolomeusza-Filadelfa był późniéj starannie utrzymywany przez Arabów, dopiéro Rzymianie zaniedbali go. Odgrzebany na nowo przez kalifa Omara i nazwany Kanałem królów, dotrwał do panowania el-Mansura, który go kazał zasypać w 767 roku naszéj ery.

Od téj epoki pod powiewem piasczystego wiatru, znikały ślady tego pomnika starożytnéj cywilizacyi. Generał Bonaparte zostawszy panem Egiptu nakazał inżynierom poszukiwania potrzebne do odbudowania kanału. Późniéj Mehmet-Ali bardzo czynnie zajmował się projektem.

Obecnie Said Pasza upoważnił pana Lesseps, byłego konsula francuzkiego, do utworzenia kompanii, mającéj dostarczyć kapitały potrzebne do zbudowania kanału.

Na dwa projekta dzielą się prace inżynierów: piérwszy o którym już wspomnieliśmy, wykonany przez pp. Lesseps i Linant, przecina międzymorze w prostéj linii 18 mil długiéj od południa na północ, łącząc miasto Suez z miastem Tineh (po dawnemu Peluza). Kanał tak prowadzony byłby najkrótszy, a przecinając wzdłuż jeziora gorzkie Temsah i Ballah, najmniéj wymagałby ko-

sztów. Różnica poziomu dwóch mórz, którą dotąd za starożytnemi oceniano na 15 łokci nie jest prawdziwą, bo nowe niwelacye okazały, że poziom wód Czerwonego morza jest tylko $1\frac{1}{2}$ łokcia wyższy od Śródziemnego. Projekt z wymienionych względów bardzo korzystny, ma niedogodną stronę: przy Tineh, Nil zamulił brzegi i formować lądu nie przestaje, a mielizny ciągną się na milę od brzegów. Potrzeba byłoby wysunąć w morze dwa wały na milę długie, aby pogłębiwszy między niemi koryto, dać okrętom przystęp do kanału; praca dziś olbrzymia, byłaby pracą bez końca, bo w miarę formacyi lądu przez napływy Nilu, trzebaby się z wałami ciągle w morze zagłębiać, jeżeliby zbyt słaby prąd kanału nie wyżłobił koryta.

Aby tę przeszkodę ominąć, póki plan nie jest ostatecznie zatwierdzony, inni inżynierowie drugi projekt wygotowali. Na tych brzegach Afryki, Alexandrya sama ma port bezpieczny i obszerny; sądzą zatém, że korzystniéj będzie rozwinąć kanał na mil 45, prowadząc go do już gotowego portu, aniżeli z ogromnym kosztem tworzyć port niepewny. W téj myśli nakreślają kanał Suezu do Kairu, a z Kairu do Alexandryi; oba działy kanału zasycane byłyby wodami Nilu z punktu obranego powyżéj stawideł (sławny barrage na Nilu). Kanał taki, który Francuzi zowią à point de partage dlatego, że wody z jednego punktu upuszczone rozchodzą się w prawie przeciwnych kierunkach, miałby za jednę gałąź sam Nil lub kanał, toczący się po naturalnym spadku doliny Nilu, do utworzenia zaś drugiéj gałęzi posłużyłyby dobrze 20 stóp różnicy poziomu między Kairem a Suezem. Za tym projektem przemawia ta ważna okoliczność, że kanał byłby zasycany słodkiemi wodami, równie sprzyjającemi żegludze i irygacyi.

Którykolwiek z tych planów wejdzie w wykonanie, droga do Indyi skróconą zostanie o mil tysiąc pięćset. Korzyść ta ma odpowiednie trudności. Wziąwszy na uwagę naturę pustyni, te zaspy piasku tylko wolą wiatru kierowane, powietrze naprzemiany skwarne i wilgotne, wreszcie co historya o tém dziele nas uczy: to pokaże się, że nie wykonanie, ale utrzymanie kanału będzie największą zagadką.

MORZE SRODZIEMNE
DAMIETTA
Kanał Sałtański
Kanał delty
Jezioro Menzaleh
Menzaleh
MANSOURAH
Mendes
Nizina Dagheliah
Mahalet el Kebir
Samannud
Ruiny Tmuis
Abuzir
MANSOURAH
Ruiny Tanis
ROWNINA PELUZYI
Ruiny Peluzy
Granica Piaskow
Ruiny Faramadi
Qatieh
Zrodło
Magdolum
Zrodło
Zrodła
Zrodła
Tukazarla
Granica Piaskow
Kajatw
Bir Makdal
MIEDZYMORZE SUEZ
Karaun
Aboû Kachab
Ruiny Bubasty
Thaubathum
Abbaseh
Bir Mavrah
Hero vel Pithum
Ruiny Serapeum
Belbeis
Vicus Judaeorum
Droga z Belbeis do Suezu
El Deir
Menaie
Granica Piaskow
Droga którą szedł Jenerał Bonaparte 30 Grudnia 1798
El Kanguh
Qelub
Ruiny Heliopolis
Droga z Kairu do Suezu
Matarieh
Zamek i Studnia Ayeroûd
Bulak
Arsinoe vel Cleopatris
KAIRO
Gizeh
SUEZ
Droga mało uczęszczana z Kairu do Suezu
Studnia Gandeli
Góra Attaka
WADI TIEL (Delta Obsolete)
Maasarah
Szawbak
Droga z Kairu do Suezu
MORZE CZERWONE

Znany w świecie uczonym professor chemii pan Dumas, przedłożył Akademii nader ważne odkrycie, dokonane przez dwóch ludzi, których nazwiska po raz piérwszy obiły się o uszy tutejszych uczonych, a niezadługo zapewne, skoro ich wynalazek się rozpowszechni pp. Andrzej Poey, i Maurycy Vergnès, policzeni zostaną w rząd dobroczyńców ludzkości.

Wynalazek zależy na wydobyciu z ciała ludzkiego za pomocą elektro-chemii zabójczych części rozmaitych metalów, które człowiek przez zażywanie merkuryuszu lub innych mineralnych lekarstw, albo przez prace w kopalniach, w sobie nagromadził. Ze wszystkich cudownych zastosowań elektro-chemii, to jest niezaprzeczenie najśmielsze i najużyteczniejsze.

Pan Poey bierze pacyenta stoczonego ołowiem, merkuryuszem, lub jakimkolwiekbądź metalem, i wsadza go w metalową wannę nie mającą styczności z ziemią. W tej wannie leczący się siada, wyciąga nogi horyzontalnie na drewnianéj desce, także nie łączącéj się z wanną, którą napełnia woda cokolwiek zakwaszona, dochodząc aż po szyję pacyenta. Kwas zmienia się wedle wypadku: Do wydobycia z ciała merkuryuszu, srébra i złota, używa się rozczynu kwasu saletrzanego; do wydobycia zaś ołowiu, siarczanego. Zaprawiwszy stosownie wodę i posadziwszy w niéj chorego, lekarz kładzie biegun ujemny stosu w zetknięciu z wanną, a biegun dodatni w ręce pacyenta. Wtedy rozpoczyna się dzieło oczyszczenia. Prąd elektryczny wnika w ciało człowieka, szpera w nim aż do kości, goni i chwyta najdrobniejsze atomy metalu, wraca im piérwotną formę, wyprowadza z istoty organicznéj, i składa na brzegach wanny, gdzie gołém okiem dojrzeć je można,

Po dokonaniu powyższéj operacyi, chemik Moisant rozebrawszy 912 gramów wody, z któréj wyjęto pacyenta, w ciągu trzech minut ujrzał sformowaną na powierzchni świecącą kulkę merkuryuszu, mającą średnicy dziewięć dziesiętnych milimetra.

Inną znów razą tenże chemik otrzymał dwie kulki ołowiu, które wyraźnie gołém okiem można było rozpoznać.

Przypadek, jakto najczęściéj bywa, grał główną rolę w nowém odkryciu. Jeden z wynalazców pan Ver-

gnès, trudnił się srébrzeniem i złoceniem galwanicznem. Ręce jego zostające w ciągłéj styczności z rozczynami rozmaitych kwasów, oraz złota i srébra, skutkiem nagromadzonych w nich części metalicznych, okryły się wrzodami. Pewnego razu przyszła mu myśl zanurzania chorych członków w kąpiel elektro-chemiczną, w zetknięciu z biegunem dodatnim stosu. W kwadrans, z wielkiém zadziwieniem obecnych, płyta metalowa długa 163 milimetry a 109 szeroka, połączona z biegunem ujemnym, pokryła się cienką warstwą złota i srébra wydobytego z rąk robotnika, których najenergiczniejsze leki oczyścić nie mogły. Takim sposobem wielkie to odkrycie zostało dokonane 16 kwietnia 1852 roku.

Panowie Pocy i Vergnès używają zazwyczaj stosu z trzydziestu elementów Bunsena, żeby węgiel i platyna wchodziły do jego kompozycyi. Każda para elementów ma 40 milimetrów średnicy, na 217 milimetrów wysokości. Ilość elementów przy początku operacyi użytych zależy od temperamentu pacyenta i natury choroby jego. Tak więc człowiek delikatnéj budowy i bardzo nerwowy, poddany jest początkowo działaniu dziesięciu do dwunastu par elementów, których liczba powiększana jest co pięć minut.

Ludzie krwiści lub flegmiści znieść mogą nierównie więcéj elektrycznego płynu. Taż sama miara stosuje się do ilości kwasu, którym kąpiel jest zaprawiona; potrzeba go daleko mniéj dla osoby nerwowéj niż krwistéj.

Atomy metalu wydobyte z ciała osiadają na całéj powierzchni wody we wannie, głównie jednak gromadzą się naprzeciwko części ciała z któréj wydobyte zostały. Co do wielkości bulek metalicznych tworzących się na powierzchni, te bywają rozmaitych rozmiarów: jedne mikroskopicznie małe, inne jak ziarnka grochu; najpospolitsze są wielkości łebka od śpilki. Pan Poey powiada w raporcie swoim, że po kąpieli pewnego człowieka, który narzekał na ból w ręce skutkiem zażywania merkuryuszu, ujrzał rysującą się na płynie przy biegunie ujemnym rękę chorego, uformowaną z osiadłych tam atomów, które z tejże ręki wydobyte zostały.

Jeszcze jedno doświadczenie uczynione w obec członków fakultetu medycznego paryzkiego.

Choremu przepisał doktor nacieranie merkuryalne, które przez tydzień codziennie powtarzał, poczém wziął kilka ciepłych kąpieli dla oczyszczenia skóry. Mimo kąpieli, merkuryusz w ciele jego pozostał i szkodliwie działał. Chory sprobowawszy bezskutecznie wszelkich leków, opuszczony od doktorów, poddał się kuracyi elektro-chemicznéj, która odrazu na wierzch wody zabójczy metal wyciągnęła, i po kilku kąpielach schorowany człowiek dawne siły odzyskał.

Ważne ulepszenia widzimy także w zakładach urządzonych dla kaleków z urodzenia, jakoto ślepych, idyotów, obłąkanych i głuchoniemych; mianowicie téż ci ostatni są celem usilnych dociekań tutejszych lekarzy. Dwaj doktorowie Blanchet i Houdin, którzy specyalnie poświęcali się oddawna badaniu przyczyn głuchoty i niemówienia, wielkie poczynili w téj gałęzi odkrycia. Téj zimy udało im się wyleczyć dwoje dzieci uważane za głuchonieme. Chłopiec mówi, dziewczyna słyszy i mówi. Cud ten sprawdzany był temi dniami przez Akademią.

Anusia od urodzenia za głuchoniemą w domu rodzicielskim uznana, bo nigdy jednéj zgłoski nie wymówiła, nic nie słyszała, i tylko na migi wyrażała swoje potrzeby, oddana została przed półrokiem na kuracyą doktorom: Blanchet i Houdin. Dziś skutkiem ich starań słuch odzyskała prawie zupełnie. Zwyczajnym głosem prowadzoną rozmowę słyszy wyraźnie. Słownik dość obszerny wyrazów potrzebnych w codziennem życiu umié napamięć, wymawia dobrze i posługuje się nimi jak należy; wyśpiewa także siedm tonów gammy, a skoro jéj każą dostroić głos do tonu fortepiana, bierze nutę odrazu i niefałszywie.

Zdaje się, że skoro dwie największe trudności w téj chorobie, tojest: funkcyonowanie organu głosowego, a nawet śpiewnego już są przełamane, całkowita kuracya niezawodnie nastąpi. Pan Houdin ma nadzieję, że za dwa lata dziewczynka będzie mogła uczęszczać do szkoły, i tam wraz z innemi dziećmi pobierać nauki, z małém atoli uwzględnieniem nauczycieli.

Chłopiec imieniem Albin mający ciotkę i wuja głuchoniemych, sam także pozbawiony był słuchu i mowy. Za pomocą środków chirurgicznych odzyskał nieco słuch, ale nie mówił, i rozmowy zwyczajnym prowadzonéj głosem nie słyszał. W takim stanie wziął go w kuracyą pan Houdin. Po jedénastu miesiącach, przez któryto przeciąg czasu doktór nieustannie zatrudniał się pacyentem, Albin odzyskał mowę; każde słowo wymawia wyraźnie bez wysilenia, oraz czyta gładko wszystko, co mu kto napisze. „W szkole do któréj teraz chodzi, mówi doktor, zowią go gadułą: tak lubi mówić nie mogąc się nacieszyć tą nieznaną dotąd władzą. Słuch wszelako ma tępy, ale po ruchu ust mówiącego z łatwością nawet cicho wymówiony wyraz odgaduje.

Mimo te dwa przykłady cudownéj prawie kuracyi, nie można twierdzić, że wynaleziono nieomylny sposób leczenia głuchoniemych; sam doktor Houdin przyznaje, że takie szczęśliwe kuracye są wyjątkowe, i też same środki rzadko którego głuchoniemego uleczą. Ponieważ więc nie można myśleć o radykalném lekarstwie na to przykre kalectwo, potrzeba się starać o ile podobna osłodzić los tych nieszczęśliwych; przez ułatwienie im sposobów wymiany myśli wcielić ich niejako w rodzinę ludzkości, od któréj w smutném odosobnieniu zostają. W domu rodzicielskim czy w szkole, głuchoniemy zawsze na uboczu, sam jeden, pogrążony w nieświadomości tego co się wkoło niego dzieje, oderwany od wszelkiego ruchu i życia, wlecze smutny żywot... Fatalne kalectwo pozbawia go możności rozwinięcia umysłu, i zapełnienia nauką téj próżni, którą wokół siebie widzi, a któréj niestety, prawie nigdy podzieloném uczuciem nie zapełni. Głównem zadaniem polepszenia bytu głuchoniemych jest więc uzdolnienie ich do korzystania z dobrodziejstw społecznych, skutkiem czego zająćby mogli miejsce użyteczne w rodzinie ludzkiéj.

Potrzeba więc przedewszystkiém uprościć im metodę uczenia, tojest, ułożyć dla nich słownik i grammatykę osobną, zupełnie niezależną od skomplikowanéj i trudnéj grammatyki języka francuzkiego, na któréj oparł język migowy twórca jego ksiądz Sicard.

Mając tę ważną reformę na celu, pan Rémi Valade, niezmordowany opiekun głuchoniemych, wydał dzieło pod napisem: Etudes sur la lexicologie et la grammaire du langage naturel des signes, w którém podaje sposoby zbadania języka gestów wrodzonych, i proponuje podłożenie pod takowy form gramatykalnych tak uproszczonych, żeby każde dziecko w domu rodzicielskim nauczyć ich się mogło jak syllabizowania zwyczajnych głosek, nie potrzebując na to szkół umyślnych, których bardzo daleko szukać częstokroć potrzeba.

„Nie wątpię, mówi autor Studiów, że przy środkach jakie podaję, głuchonieme dziecko będzie się mogło kształcić w rodzinnéj wiosce wraz z innemi dziećmi. Nie jestto ani złudzenie, ani utopia. W każdéj gminie można prawie zawsze rachować na poświęcenie dwóch ludzi: proboszcza i nauczyciela; potrzeba tylko napisać i złożyć w ich ręce słownik i grammatykę znaków, oraz objaśnienie praktyczne lekcyi racyonalnie stopniowanych, którego trzymać się mają. Główną zasadą dzieł tych powinna być jak największa treściwość, w zakresie któréj dotąd zamknąć się nie umiano. Wtedy co dziś mienimy niepodobieństwem, stanie się rzeczywistością. Biedne niemowy nie będą pozbawiane tak drogiéj dla siebie macierzyńskiéj pieczy, pozostając przez sześć lat zdala od domu rodzicielskiego, do którego powracają zazwyczaj prawie obce; rząd zaś będzie się mógł ograniczyć bez niczyjéj krzywdy na utrzymywaniu kilku zakładów nauk wyższych dla głuchoniemych."

Pan Rémi Valade uczynił w tym przedmiocie wszystko, co może zrobić człowiek prywatny: nakreślił plan dzieła i pokonał trudności, któreby wykonaniu jego przeszkodzić mogły; zbogacił lingwistykę znakomitą książką, i uczynił łatwemi dalsze postępy. Spodziewać się należy, że przedsięwzięcie, które usuwa głuchoniemym zaporę dzielącą ich od społeczności, znajdzie niezadługo gorliwych wykonawców.

Na ostatniém posiedzeniu towarzystwa zoologicznego, jeden z członków czytał raport o kulturze na-

sion, które przywiózł do Francyi z Chin pan Montigni, wysoki urzędnik francuzki tamże wysłany.

Nasiona te roślin pożywnych przedtém nieznane w Europie są: 1) trzy gatunki ryżu: ryż tak zwany suchy, rosnący na górach chińskich, ryż kantoński, i angorski. 2) Rodzaj małéj fasoli niezmiernie plennéj i pożywnéj. 3) Tak zwany alpist. 4) Olbrzymia kukurydza. 5) Dwa gatunki groszku olejnego.

Towarzystwo zoologiczne chcąc doświadczyć, gdzie ziemia i klimat będą nasionom wymienionych roślin najprzyjaźniejsze, uprawiało je naraz w kilku punktach Francyi, jakoto: w Lotaryngii, Bretanii, Burgundyi, Szampanii, Owernii, i na południu. Oto główne wypadki z téj uprawy, wymienione w raporcie:

Uprawa suchego ryżu największe obiecuje korzyści; nie wymaga on jak ryż zwyczajny umyślnego i kosztownego przyrządu gruntów, rośnie bez wody, nawet na piasku, można go uprawiać na górach tak dobrze, jak na dolinach; gatunek jego jest lepszy i plenniejszy od innych, a do tego nie większéj od zwykłego żyta wymaga uprawy.

Co najważniejsza, że ta pożyteczna roślina kwitnie, owocuje, i dojrzewa pod niebem francuzkiém. Zasiany bardzo późno w Szampanii, ryż suchy wykłosił się we wrześniu, kłosy miał bujne, a choć nie dojrzał, to widoczną jest rzeczą, że zasiany we właściwéj porze dojrzeje tak dobrze we Francyi, jak w Chinach: co spowoduje wielkie a pożądane zniżenie ceny ryżu, który jest głównem pożywieniem ludu francuzkiego.

Fasola jest bardzo drobna, w smaku podobna zarazem do grochu i ryżu, niezmiernie plenna i nie pnąca. Zasiana w polu wielkie przyniesie korzyści. Obfity jéj zbiór w roku 1854 świadczy, że się odrazu aklimatowała.

Alpist wysoko jest ceniony od gospodarzy; ziarno téj rośliny wybornie tuczy woły, świnie i drób, a przymieszane do owsa daje koniowi siłę i nie rozpala go jak goły owies. Zbiór alpistu w departamencie Mozeli był nader obfity; gospodarze wyrywają sobie strączki téj dobroczynnéj rośliny.

Olbrzymia kukurydza wyrasta przeszło trzy metry i wypuszcza sześć a często ośm kłosów, kiedy zwy-

czajna nie przechodzi metra, i daje najwięcéj dwa kłosy. Pień jéj jest grubości sporego drzewa, a liście mają przeszło metr długości. Jestto zarazem roślina strojna i pożywna. Uprawa jéj aczkolwiek zupełnie inna od zwykle pod kukurydzę używanéj, nie jest przecież ani trudna, ani kosztowna. Olbrzymia kukurydza najlepiéj udała się w Bezansonie, gdzie doszła wysokości $3^1/_2$ metra.

Groch olejny w dwóch gatunkach uprawiają na wielką skalę w północnych Chinach; stanowi on tam znakomitą gałąź handlu. Chińczycy wytłaczają z niego za pomocą bardzo złych narzędzi 17 do 20 części na 100 oleju daleko lepszego niż z kolzy i zwykłego rzepaku. Kuchy z tego grochu nadzwyczaj są zdrowe i pożywne dla bydła; lud żywi się niemi w Chinach, ugotowane mają smak nader miły i słodki, lepszy od zwyczajnego grochu. Zasiany we Francyi przeszłego roku wydał obfite plony, stosunkowo do małéj ilości zasiewu. Żeby nie czekać długo na rozmnożenie się téj ważnéj rośliny, towarzystwo zoologiczne sprowadza z Chin ogromny zapas tego grochu, który wedle słów sprawozdawcy, odda ogromne usługi Francyi.

Piérwszego czerwca 1854 roku wydarzył się na morzu Indyjskiem niedaleko wyspy Christmas, dziwny fenomen, który opowiada obecny wtedy na okręcie uczony francuzki pan Chapman.

Niezwykłe znaki na niebie i morzu, a mianowicie odmienny kolor wody, dziwił i trwożył załogę statku; ponieważ jednak wiatr był przyjazny i niegwałtowny, okręt płynął daléj w swoję drogę. Wtém przelękniony majtek wbiega do kajuty i donosi kapitanowi, że statek płynie na piaskową ławę.

„Wmgnieniu oka byliśmy wszyscy na pokładzie, powiada pan Chapman, ale woda już inną przybrała postać: miasto ławy piaskowéj ujrzeliśmy na horyzoncie długą jasną linią, która szła ku nam z szybkością wichru. Myśleliśmy, że to nawałnica, a sądząc ze strasznego pędu z jakim na okręt biegła, pewni byliśmy, że go zgruchocze jak orzechową łupinę.

Tuman corazto stawał się bielszy; ledwie ubiegła minuta, morze zaczęło się pienić wokół statku jak woda salcerska, i zbielało jak mleko na całéj przestrzeni, którą okiem zasięgnąć było można.

Wiatr ustał zupełnie, głęboka cisza zaległa dokoła. Na pokładzie każdy oniemiały z podziwu i przerażenia, ani słowa wymówić nie śmiał: tylko strwożony kapitan biegał niespokojny.. klął, i wołał: „Co to jest? co to ma znaczyć? nie rozumiem .. nie pojmuję!“ Tymczasem okręt corazto wolniej się posuwał po mlecznéj przestrzeni, wreszcie stanął w miejscu. Zjawisko trwało przy grobowém milczeniu.

Białéj szyby na któréj okręt stanął jak zaklęty, najlekszy wietrzyk nie muskał; księżyc w pełni świecił nad nami, i słał jasne strugi światła jakby po śnieżnéj pustyni; nigdzie ruchu, nigdzie głosu: rzekłbyś, że skamieniało wszystko morze, niebo, i ludzie. Wtém wietrzyk powiał lekko... ruszył się okręt i najpiękniejszy widok jaki wymarzyć można przedstawił się oczom podróżnych. Każde trącenie statku o falującą się powierzchnią wody, wydobywało z niéj fosforyczne światła, od których łuna jasna i żółta jak płynne złoto rozlewała się po morzu białém i nie-przezroczystém jak śniegi! Około trzeciéj z rana zjawisko znikło nagle, i wszystko zapadło w noc ciemną, jak po ugaszonym pożarze.“

Cóż to jest? cóż to ma znaczyć?—zapyta czytający, jak pytał kapitan. Rozwiązanie tego fenomenu w dzień i na zimno, tak jest prozaiczne, jak rozwiązanie wszystkich prawie ziemskich fenomenów i zagadek, które wpółcieniu i tajemnicy wyobraźnia nasza na olbrzymów przerabia, a rozebrane z maski z pogardą odpycha. Może byłoby lepiéj nie kalać wrażenia mlecznego morza i cudownych jego fosforescencyi niemiłém objaśnieniem; ale, ponieważ rzeczywiste zdarzenie piszę, nie poemat, powiem bez dalszych ustępów, że kiedy wyciągnięto z morza pełne wiadro, znaleziono w niém jakby żywy makaron na gęsto ugotowany. Byłyto poprostu obrzydliwe robaki fosforyczne, na trzy cale długie, których nieprzeliczona massa zagęściła cały horyzont morski.

„Dobre imię (opinia) więcéj warta, niż złota przepaska“ mówi francuzkie przysłowie. Święta to i niezaprzeczona prawda, czemuż niestety tak częste znajduje zaprzeczenie w życiu praktycznem. Iluż zacnych i szanowanych ludzi żyło w nędzy, a umarło gorzéj niż w nędzy, bo w zapomnieniu i samotności tak wielkiéj, że ich nawet pies wierny na miejsce wiecznego spoczynku nie odprawadził! Smutno byłoby zaprawdę rozmyślać nad tą codziennie się powtarzającą na ziemi niesprawiedliwością, gdyby nie wiara w świat przyszły, i w te słowa Chrystusa: „poniżeni będą wywyższonemi.“ Ale pan Emil Augier nie czekając sądu ostatecznego, w komedyi swojej pod tytułem „Złota przepaska“, któréj sens moralny na ludowém oparł przysłowiu, za życia karze pogardą ludzką bogacza niecnotę, który na cudzéj krzywdzie dorobił się fortuny.

Pan Russel brudny dorobkowicz nie jest szczęśliwy, choć swych dostatków używa, choć mu się kłania zgraja, bo ma córkę anioła czystości i dobroci, co rozkwitła przy nim jak róża na śmiecisku, nie wié z czego wyrosła, a różane oblicze nieustannie do nieba i słońca podnosi. Każde słowo, każdy czyn córki jest jakby wymówką, jakby wyrzutem ojcu, którego rani bezwiednie swoją niepokalaną czystością.

Kalixta odmawia konkurentom znęconym jej wianem, i nie chce słuchać korzystnych propozycyj zamęścia, które jéj od rana do wieczora przekłada troskliwy o dobro jedynaczki ojciec. Idealna i młoda, marzy o prawdziwéj miłości, pragnie być kochaną i poślubioną dla swych własnych przymiotów. Nie zna ona wcale źródeł ojcowskiego majątku; gdyby je znała, musiałaby pogardzać ojcem. Czuje to Russel, i mocno cierpi na nieubłaganéj prawości dziecka swego; Kalixta jest bezwiednie uśmiechającą Nemesis téj złotéj świątyni.

Jak to czytelnik sądzić może z zaczęcia, Złota przepaska jest głośną protestacyą przeciw tak powszechnéj, a często nieprawej żądzy dostatków, i z tego powodu za nieprawdziwą lub przesadzoną uznana, dość zimno była przyjęta przez tych nawet, co pretensye swoje do moralności i cnoty ustawicznie na świeczniku stawiają. Dla tych atoli, co prawdziwie czują, co kochają sercem nie głową, Złota przepaska jest więcéj

niż obrazem z życia zdjętym: jest pięknym wzorem do naśladowania. Obaczmy jak się daléj rozwija:

Kalixta kocha pana Trelan, człowieka rzadkiéj cnoty, dla którego wszystko złoto Kalifornii i Australii nie przeważyłoby jednéj uncyi niesławy. Trelan kocha także Kalixtę, ale nazwiska swego nie chce położyć za szyld niegodziwie zebranego majątku. Z rycerską więc dumą, jak na prawdziwego szlachcica przystało, odmawia rękę bogatéj dziedziczki.

Biédna dziewczyna dotknięta do żywego tą odmową, któréj powodu odgadnąć nie może, cierpi i płacze widząc rozwiane najdroższe marzenie swéj duszy. Życie nie ma już dla niéj powabu, czuje że serce jéj raz tylko kochać zdolne. Ojciec widząc nieszczęście córki wpada w rozpacz, poznaje nakoniec że złoto nie jest wszystkiém jak dotąd mniemał: dostatki nie mogą uszczęśliwić jedynaczki, więc i jemu obmierzły. Gniewnie patrzy na swą ulubioną skrzynię ze złotem, którą dawniéj wielbił jako arkę przymierza, i ze złości targa bezsilne banknoty.

Trelan niechcąc miękkiego serca na niebezpieczne wystawiać proby, postanawia uciec od kochanki aż do Persyi. Przychodzi więc ją pożegnać; Kalixta patrzy nań ze łzami: sądzi że jéj nie kocha, skoro odrzucił jéj rękę. Na wyświecenie téj tajemniczéj miłości autor poświęcił drugi akt, mojém zdaniem najładniejszy. Scena naprzykład w któréj kochankowie wyznają sobie miłość wzajemną, nie wypowiedziawszy jéj słowami, jest dziwnie piękna i czysta. Mimo to, ten pieściwy obrazek misternie, z miłością i subtelném kobiecem czuciem oddany, przeszedł prawie niepostrzeżony: nic dziwnego, publiczność potrzebuje jaskrawych dekoracyi.

Kalixta przekonawszy się o wzajemności kochanka, nie czując w sobie żadnéj winy, bo czysta jest jak biała lilia zanim słońce z jéj śnieżnego kielicha rosę wypije, z jasnowidzeniem miłości odgaduje przyczynę, dla któréj dwie istoty, zda się dla siebie stworzone, połączyć się nie mogą. Oczy jéj szukają ojca, i na nim zatrzymują się z wyrazem bolesnego wyrzutu. Wtedy ów lichwiarz bez czci i wiary, który nigdy światła bożego do sumienia swego nie dopuścił, spostrzega je na

raz w oczach córki, patrzącéj nań z tym wyrazem, z jakim Chrystus spoglądał na handlujących w kościele. W téj chwili solennéj miłość ojcowska zwycięża w nim wszelkie inne uczucia: zrzeka się dostatków, któreby musiał zbyt drogo opłacić. Ubóstwo nie jest dowodem prawości człowieka, ale może być jéj oznaką: wzywa go więc, w niém oczekując chrztu dla swéj pogańskiéj duszy, która dotąd tylko Plutusa wielbiła.

Ten krzyk serca nagły, niespodziany, ogromne czyni wrażenie; kto go nie rozumié, i tylko deklamacyą w nim widzi, kto sądzi, że zatwardziały grzesznik nie może się nawrócić promieniem łaski z nieba mu zesłanéj, wart ze wszech miar litości.

W téj sztuce pan Augier wyżéj stanął niż w poprzednich swoich utworach; szkoda tylko, że z tak poważnéj treści, zamiast komedyi nie ułożył dramatu. Nie wpadając w tak zwane moralne a niestosowne wykrzykniki przeciw bogactwu, które uczciwie nabyte i dobrze używane jest bardzo chwalebne; autor wystawił człowieka zbogaconego oszustwem, milionera ukaranego tąż samą bronią, którą grzeszył: pieniędzmi. Napisał przestrogę dla zbyt chciwych ojców, którą można streścić w tych słowach: kiedy was pragnienie zysku piecze, pomyślcie, że kiedyś własne dziecko wasze może was zapytać: zkąd wzięliście złota, którém je obsypujecie?

Zabawna jest treść jedno-aktowéj operetki, grywanéj teraz w operze komicznéj, pod tytułem: Miss Fauvette.

Lord Tristan, długi i splenniczny Anglik, nie może sypiać budzony ustawicznie wesołym śpiewem sąsiadki Lizety. Noc i dzień łamie tedy głowę, jakby się pozbyć świergotania, które jak perłowy sznurek snuje się bez przerwy z giętkiego gardziołka dziewczyny: bo trzeba wiedzieć, że lord Tristan nawet śpiewu słowika znosić nie może.

Mylord ma ogromnego lokaja, który wszystkie wolne chwile poświęca literaturze i kieszenie miewa zwykle wypchane książkami. Poważny filozof monosyllabami odpowiada na zapytania pańskie. Lizeta, którą

zniecierpliwiony Anglik przezwał panną Zięby, trudni się sprzedawaniem kwiatów; białe jéj rączki prześliczne z nich układają bukiety. Krewny jéj Robin, codzień dostarcza kwiecia: w koszu znosi ogrodniczce co rano mchowe róże napół rozkwitłe, wonne tuberozy, żorzkile, najrzadszych kolorów hiacynty i tulipany. Anglik zauważał, że skoro Robin przybywa, kawatina Lizety zmienia się na duet, co go do ostatniéj passyi przywodzi, i gniewem zapala przeciw wesołéj parze.

Pewnego dnia lord wymyślił sposób uciszenia krzykliwéj Zięby: kupuje od niéj sklep za pięćset gwineów. Ale zawistne losy jego chciały, że dziewczyna ma naprzeciwko starego stryja kalekę, którego dłużnicy z mieszkania wyrzucają; za pieniądze Anglika odkupuje biedaka, wprowadza się do niego, i śpiewa jeszcze głośniéj.

Wytrwały Trystan niezrażony niepowodzeniem, radzi się dykcyonarza Akademii. Pod literą A znajduje definicyą miłości: powiedziano jest wyraźnie w dykcyonarzu, że miłość nieszczęśliwa rodzi melancholią... Właśnie Lizeta z Robinem śpiewali duet... Anglik zatyka uszy dla zebrania myśli i usnuwa plan czarny: zaprasza ogrodnika na obiad, i po dwóch butelkach szampana powiada mu, że jest oddawna kochankiem Lizety.

Tą razą udało mu się wybornie: para kochanków oniemiała. Lament i zamieszanie w izdebce ogrodniczki, przycinki i dąsy nieustanne, ale śpiew zda się wygnany niepowrotnie.

Anglik widząc żal tak wielki, ruszony wyrzutami sumienia chce powrócić zachwiane szczęście ogrodniczéj parze. Oświadcza Robinowi, że kochankiem Lizety nigdy nie był, na co wzywa świadectwa lokaja filozofa, który prawdę słów pana stwierdza z tak wielką szczerotą, że najmniejsza wątpliwość w umyśle ogrodnika nie pozostaje. Pogodzeni kochankowie śpiewają duet, a rozochocony Anglik wtoruje im jak może: tojest tak fałszywym głosem, żeby nim samego czarta pod ziemię wpędził.

Muzyczka dość ładna przygrywa téj treści, która z dodatkiem ubiorów i mimiki, jest tak zabawna, że chcąc czy nie chcąc śmiać się trzeba.

Le monde des Oiseaux. Druga część ornitologii, jeden dział seryi, której całość stanowić będzie dzieło zupełne, pod tytułem: l'Esprit des Bêtes.

Książka ta napisana jest w sposób tak przystępny i zajmujący, że nawet ludzie, których sam tytuł naukowy odstrasza, czytali ją z przyjemnością. Autor, pan Toussenel z pewną afektacyą wypiera się nauki, chcąc żeby wszystko co opowiada, przypisane było jego własnym spostrzeżeniom, zawdzięczone badawczemu wzrokowi, jakim śledził naturę. W stylu i sposobie zapatrywania się na ptasie obyczaje, pan Toussenel także starannie wszelkiéj erudycyi się wypiera, i to właśnie, coby zgubiło człowieka z mniejszym talentem, jemu udało się wybornie.

Czytając go, zdaje ci się, że leżysz przy ognisku gdzieś na stepie, czy w lesie, i słuchasz opowiadania starych myśliwych, lub budników, co całe życie w kniejach strawiwszy, prawią długie legendy, nieraz zadziwiające trafnością spostrzeżeń.

Jestto przyroda w lot pochwycona z najdrobniejszemi szczegółami; znać, że pan Toussenel wiele przestawał z naturą, rozmiłował się w niéj całą duszą, i w zamian za to szczere przywiązanie, posiadł niejednę jéj tajemnicę. Toussenel jest zoolog-poeta: wiele ma czucia i nauki niemało, choć jéj się tak starannie wypiera. Jeżeli sobie lekceważy książki, klassyfikacye i uczone nomenklatury, to wcale nie dlatego, że ich nie zna, ale że w nich widział częstokroć fałsz i przesadę: więc wolał popaść w drugą ostateczność—udawać prostaczka.

W miejsce klassyfikacyi przyjętéj, Toussenel podaje inną opartą na nowych całkiem podstawach, którą Akademia zowie niegruntowną, o co się autor nie gniewa, poprzestając na podrzędném miejscu, w kole spółczesnych pisarzy.

Mimo tak skromne pretensye zawdzięczy mu historya naturalna wiele ciekawych a nieznanych przedtém epizodów z życia ptasiego, które dotąd może za seryo opowiadali uczeni. Poetą trzeba być koniecznie, żeby zrozumieć ptasi charakter i ptasie obyczaje, żeby się wtajemniczyć w ich pocieszne rady, sejmy, gwary, i tak

się w nich rozmiłować i opisać jak ów, co wołyńskie ptastwo tym pamiętnym unieśmiertelnił wierszykiem:

„Patrząc na te ptasze zwady,
Tak się dziwnie w myśli plecie,
Tak się tonie w ptasiéj wrzawie,
Iż przepomni człek o świecie;
Wstyd to mówić, lecz żal prawie,
Że człek ptakiem sam nie żyje:
Takie szczęsne te bestye!"

Na licznych koncertach wokalnych i instrumentalnych, któremi więcéj niż kiedy zajmowano się téj zimy w Paryżu, pojawiło się kilka utworów nieznanych, dawnych i nowych kompozytorów.

Na koncercie w sali św. Cecylii, wielka symfonia Mendelsohna Cisza morska, pełna poetycznéj zadumy i niebiańskich objawów, wykonaną była z rzadką doskonałością i wiernem zachowaniem wszystkich najdrobniejszych odcieni, któremi mistrz myśl swoję uplastycznił.

Przepyszny menuet Mozarta, niemniéj dobrze wykonany, ogromne sprawił wrażenie. Mozart w wielkiéj teraz modzie w Paryżu: często bywają koncerta, wyłącznie jego dziełom poświęcone.

Grano także wyjątki z Rosemundy Schuberta, z których najwięcéj podobała się fantastyczna ballada, śpiewana przez pannę Montigni, uczennicę tutejszego konserwatoryum muzycznego.

Na koncercie uczniów konserwatoryum, wielkie zyskała pochwały niewydana dotąd symfonia Karola Gounod, dedykowana młodym artystom. Solo na oboi, które prześlicznie odegrał pan Barthelemy, znakomitym jest wstępem do tego dzieła, ze wszechmiar zasługującego na uwagę lubowników muzyki. Pan Gounod znany w Paryżu jako bardzo utalentowany kompozytor, między innemi napisał ładną operę: La Nonne Sanglante.

Andante następujące po introdukcyi na oboi, rozpoczyna się pianissimo na bardzo tajemniczy temat; szepce najprzód ledwie dosłyszane tony coraz wyraźniéj, coraz to głośniéj, aż w końcu przeszedłszy crescendo do silnéj i wyraźnéj pieśni, rozłamuje się na kwartet ogromny, od którego zda się wiele tchnie-

nie Haydna lub Mozarta. Znakomite to dzieło niezadługo wyjdzie na świat z teki autora.

Wywoływanie czarownic z scenu Reyera, wykonane przez orkiestrę i chóry, oryginalnością swoją wielki sprawia efekt. Panna Wertheimber, bardzo ceniona od znawców śpiewaczka, niezmiernie podnosi tę jedyną w swym rodzaju scenę recitatívem, które z właściwą sobie sztuką oddaje.

Karnawał rzymski Berlioza, rzęsiste pozyskał oklaski. Niektórzy krytycy wyżéj go cenią niż Karnawał wenecki.

Henryk Herc wydał Studia biegłości poprzedzone przegrywkami. Dzieło to przeznaczone dla uczącéj się młodzieży, bardzo odpowiada celowi; niepodobna nadać powabniejszéj formy, suchéj, nużącéj i czysto mechanicznéj pracy.

Karol Delioux napisał ładną kompozycyą na fortepian pod nazwą Strumyk. Jestto jakby bukiecik polnych kwiatów woniejący łąką i lasem; po salonach tutejszych grywany bywa często, i lubiony bardzo dla kontrastu.

Minister oświecenia złożył Cesarzowi piérwszy tom Katalogu Biblioteki cesarskiéj, obejmujący tytuły rozdziałów w następującym porządku:

Wiadomości przedwstępne, historya epokami i panowaniami, aż do śmierci Ludwika XIII.

Piérwsze rozdziały w następujących tomach poświęcone będą dziennikom i wydawnictwu peryodycznemu. Daléj spisane będą dzieła dotyczące historyi świętéj, historyi instytucyi politycznych, prawodawstwa, administracyi, dyplomacyi, wojskowości, obyczajów i zwyczajów, archeologii, numizmatyki, historyi miejscowéj (prowincyi, departamentów, miast, gmin, kolonii), historyi szlachectwa, genealogii, nakoniec bibliografii francuzkiéj.

Wyszły dwa ostatnie tomy (Vty i Vlty) Pamiętników Verona. Autor rozbiera w nich bardzo szczegółowo rządy Ludwika Filipa, rewolucyą lutową, prezydenturę

rzeczpospolitéj, w końcu wstąpienie na tron prezydenta.

Szósty tom obejmuje same dokumenta historyczne dotąd drukiem nieogłoszone. Są tam rzeczy ciekawe, chociaż pod obecnym rządem trudno przypuszczać bezstronność, zwłaszcza w ostatnich rozdziałach.

Ernest Legouvé autor Medei, napisał dla teatru francuzkiego komedyą we trzech aktach pod tytułem: Georges Bernard, ou le nom du Maris. Sztuka została jednogłośnie przyjęta na radzie teatralnéj, role już są rozdane; mówią, że autor obiecuje sobie sowicie powetować klęski, niepowodzenia, i upokorzenia jakich doznał z powodu nieszczęśliwéj Medei.

Michelet wydał świeżo ważne dzieło: Histoire de France au seizième siècle.

Trudno poznać w nowéj powieści, któréj całą okrasą świetny koloryt, mocne i na efekt obrachowane cienie, sławnego autora Żyda wiecznego, który w swoim czasie tak ogromne na całym świecie sprawił wrażenie. Widocznie spełnił on już missyą swoję, powiedział ostatnie słowo na jakie go stać było. Teraz pisze z przyzwyczajenia. W rozrzuconych tu i owdzie obrazach, znać jeszcze pendzel mistrza, ale natchnienie uleciało. Brak myśli pokrywa on sztucznie kwiecistym stylem, a chcąc koniecznie być oryginalnym, wpada często w niesmaczną przesadę. W Lorecie naprzykład, gdzie szkicuje życie tych istot naprzemiany ze złota i błota utkane, opisuje orgią w sławnym Maison dorée, którą tak przeładował potwornym zbytkiem, którym Francuzi bynajmniéj nie grzeszą, że nauka, jakto mówią poszła w las, bo nikt na tych Heliogabalskich ucztach siebie nie poznał.

W ogóle, i mistrz i liczna szkoła jego skończyła już swój zawód; ale powinna zejść z pola zadowolona, bo panowanie jéj było długie i świetne. Może żaden powieścio-pisarz głębszych po sobie nie zostawił śla-

dów. Sue przyniósł wiele dobrego, ale i wiele złego ludziom; teraz może spoczywać w Bogu, bo inne nastały czasy.

Przyjęcie pana Berryer do Akademii było świetne i tłumne; zbiegli się do Instytutu nietylko uczeni i ciekawi, ale i politycy, bo pan Berryer zawsze i przedewszystkiém jest człowiekiem politycznym.

Naczelnik stronnictwa legitymistycznego, nawet swéj akademickiéj przemowie nadał dążność polityczną: gorąco bronił swych zasad, a choć nie wygrał sprawy, podniósł ją i utrzymał na wyżynach dyskussyi.

Pan Berryer jestto typ nowoczesnego mówcy; potężna jego głowa, szlachetny wyraz twarzy, śmiałe wejrzenie, cała postawa imponująca: zdradzają silną i nie zwykłą indywidualność. Nawet na milczących ustach jego widać zawsze gotową wytrysnąć wymowę, nawet w spokojnie założonych rękach przeczuwasz drzémiący piorun. Godny następca Mirabeauta, nie czytał ale improwizował swoją mowę, patrząc słuchaczom w oczy; miał wprawdzie w ręku manuskrypt, ale doń nie zaglądał wcale. Mowa odpowiadająca ze wszechmiar przepisom krasomówstwa, miała tę tylko wadę, że była zadługa.

Pan Berryer zastąpił w Akademii miejsce zmarłego członka hrabiego de Saint-Priest, który urodzony z księżny Galicyn, był wychowany w Rossyi. Alexy Saint-Priest pobierał nauki w Odessie, młodość spędził w Rossyi; pod koniec życia dopiéro powrócił do Francyi, gdzie umarł mając 46 lat. Zostawił po sobie między innemi dzieło o królewskości, nad którém szeroko rozwodził się pan Berryer, oraz książkę pod napisem: Upadek Jezuitów, którą nowy członek tylko z tytułu wymienił.

Pan Salvandy odpowiedział panu Berryer długą przemową, którą można streścić w tych słowach: miałeś pan zaszczyt nastawać na rząd, którego ja mam zaszczyt bronić, E sempre bene.

SPRAWOZDANIE
Z PODRÓŻY NATURALISTÓW
odbytéj w r. 1854 do Ojcowa.

W początkach lipca opuściwszy Warszawę, przybyliśmy koleją żelazną do Częstochowy, do tego właśnie punktu, w którym się kończy owo pasmo skał wapiennych gruntu juraicznego, ciągnące się od Karpat przez Kraków i Ojców. Tu już uderzyła nas odmienność geologicznego i mineralogicznego stanu okolicy: ta mnogość żółtawych krzemieni rozrzuconych po polach tutejszych i ten bielejący się wszędzie wapień, w miejscu naszych granitów narzutowych, których granicę już o parę mil ztamtąd zostawiliśmy za sobą. Taką tedy okolicą zwróciliśmy nasz kierunek na Olsztyn, gdzie niektórzy z towarzystwa naszego, po raz pierwszy tam przybyli, dłużéj zatrzymali się nad zwiedzaniem skał i jaskiń olsztyńskich, nim naostatek wszyscy połączyliśmy się w Potoku Złotym, koło Janowa, przyjęci najgościnniéj w tém siedlisku i osobliwości przyrodzenia tak zajmujących naturalistę, i mieszkańców tak szanujących historyą naturalną krajową, a przeniknionych życzeniami i gustem dostojnego okolic tych dziedzica.

Odtąd podróż nasza stawała się coraz ciekawszą: nowe zwierzęta, nowe rośliny, nowe widoki martwéj natury, nie dozwoliły żadnego uczuć trudu idącym pieszo od skały do skały ku Żarkom. Ufni łaskawemu poleceniu nas opiece wszelkich władz w gubernii, które nas czyniło pewnemi wszelkich ułatwień w przypadku ich potrzeby, spokojnie

odbywaliśmy podróż, którą umilała pogoda, uprzyjemniała za każdym krokiem nowość dla badawczego umysłu, już w samym Potoku zajętego tylu widokami, zacząwszy od jaskini z kośćmi przedpotopowych zwierząt, niedawno odkrytéj, aż do innéj Ostrzeżnikiem zwanéj.

Już w Potoku zaczyna być czynnym pogląd naturalisty na wszystkie części historyi naturalnéj krajowéj. Bukowe i jaworowe lasy na górach, w nich i na polach skupienia wapiennych skał, właściwą sobie wegietacyą pokrytych, skał różnych wysokości i różnych postaci, niekiedy powydrążanych w jaskinie; pola bez rozrzuconych granitów, lecz w miejscu ich kamieniem wapiennym i krzemieniami obsiane: wszystko to zapowiada nową letęę, nową florę, nową faunę. Geolog przybywający w te strony, poznaje chciwym wyrozumienia umysłem, że przekroczył niedaleko zakres téj przestrzeni, na któréj się znajdują narzutowe granity, i stanął u ciągu tych skał wapiennych, który we wszystkich jego zakrętach, od Częstochowy przez Kraków aż do Karpat, śledzićby pragnął. W Potoku nie ma już narzutowych granitów na polach, ale one są jeszcze w niektórych do niego należących folwarkach od północy, jakoto od strony Przyrowa, w któremto miasteczku, nawet znacznéj objętości głazy granitowe widzieć się dają. Droga z Janowa do Żarek przechodząc przez Potok, ciągnie się doliną i rozdzielona jest na dwa biegi pięknym strumykiem, tamże początek biorącym i nad którym wieś jest zbudowaną, a nawet swoje nazwisko mu winna. Lewy bieg wypadł u samego podnóża gór lesistych, z których gdzieniegdzie wysterczają nagie skały wapienne malowniczych kształtów, przez co ta droga dla oka podróżnego wiele rozmaitości przedstawia. Najpierwszą z tych zajmujących skał jest ta, w któréj odsłonięto niedawno jaskinię z kośćmi przedpotopowych zwierząt. Dochodzi się do niéj zbaczając z drogi nieco pod górę; a postąpiwszy cokolwiek wyżéj jeszcze i na lewo, przybywa się do rozkopanéj mniejszéj jamy, w któréj także znajdowały się kości zwierząt ssących. Z rozkazu światłego dziedzica, większa jaskinia starannie jest wyczyszczona: wybrano z niéj wszystek muł kościowy (*limon ossifère*) i wapno, któremi niemal całkowicie zatkana była, i użyto tych minerałów na wyrównanie

miejsca przed jaskinią i wyporządzenie drogi i przystępów do niéj; to samo uczyniono i z przyległą jamą. Podczas tych robót, któremi tak umiejętnie kierował miejscowy rządca dóbr p. Kotarbiński, najstaranniéj wydobyto wszystkie kości: tylko jakby na świadectwo i pamiątkę że się tam znalazły, jeden piszczel mammuta zostawiono w ścianie jaskini, korzystając z jego położenia, które tam miał: jednym końcem utwierdzony w niewzruszonéj opoce, drugim zachodzący w muł, a po odgarnięciu jego odsłonięty dla oka zwiedzających wnętrze jaskini, która jest widną. Wydrążenie w skale, tę jaskinię tworzące, nie jest wielkie i wyraźnie świadczy, iż to był meat, którym gwałtowny wód potok szorując tamtędy dla dojścia i wylania się do innych wodozbiorów, w szalonym swym pędzie niósł co zdołał porwać: muł, złomy skał, połamane drzew gałęzie, porozrywane trupy zwierząt, a najwięcéj jaskiniowego niedźwiedzia *(Ursus spelaeus)*, i te tłoczył do koryta ścianami skały ściśniętego, dopóki go tym sposobem całkowicie nie zatkał. Wydrążenie wstępne, stanowiące właściwą grotę, jest jednokształtném, półkulisto sklepioném; lecz w stronę prawą, dokąd ów potok się skierował, coraz się zwęża a zarazem na dół spada, tworząc coraz ciaśniejszą i ciemniejszą czeluść o licznych i rozmaitych załamaniach *(sinuosités)*, okazujących wszystkie zboczenia kierunku, którym woda wśród pędu nurtowała. Wszystkie te biegi i załomki międzyskalnego koryta, potrzeba było wyprzątać usuwaniem materyału naniesionego, który od przedhistorycznego czasu tu leżąc ucisnął się, ujednił skutkiem rozkładu a bardziéj połączenia chemicznego, i stosownie do natury ciał zatykających, różnego nabył skupienia, tak, iż w niektórych miejscach, tylko z pomocą oskarda, jak w kopalniach soli, mógł być rugowanym. Mimo to, wszędzie się on po samym stopniu skupienia odróżnić daje od minerału stanowiącego właściwą skałę. Robotnicy, kierowani przez p. Kotarbińskiego, prowadzili swoje dzieło według pewnego planu: przy jednéj ścianie jaskini zostawili część zatykającego ją materyału, obrobioną w kształt angielskiéj kuchni; daléj ku stronie prawéj, gdzie twardszy materyał otoczony był miększym, po wybraniu ostatniego zostawili piérwszy, i ten tworzy dziś filar, podpierający w tém miej-

scu sklepienie jaskini. Otworzoną i wyprzątniętą w ten sposób kościodajną jaskinię, zaludniają już niedoperze z gatunku, który się utrzymuje w jamach skał przyległych, a o którym zaraz mówić będziemy.

Postępując daléj tymże biegiem drogi do Żarek, spostrzegamy nad nią inne skupienie skał, z których dwie, jakby wśród wywrotu sparte o siebie w kształcie litery A, wązkim odstępem tworzą głęboką ściankę, w głębi ciemną, będącą głównem w tych miejscach schronieniem podkowca *(Rhinolophus unihastatus)*, gatunku niedoperza, właściwego całemu pasmu tych skał, od Krakowa tędy idącemu. Pomieniona droga przecina je z ukosa, a idąc ciągle kierunkiem strumyka, który zostaje na prawo, zakrąża około samego podnóża lesistych gór, wznoszących się ze strony lewéj, gdzie coraz inne skały wśród gęstwy leśnéj, lecz zawsze blizko drogi, ukazują się oku podróżującego. Jakoż, minąwszy skałę niedoperzów, przybywa się niebawem do nader ciekawego skupienia, nieco ukrytego w lesie: podróżny tam podstąpiwszy, widzi się być otoczonym wyniosłemi ścianami olbrzymich kamieni, nakształt amfiteatru w okrąg ustawionych, co zwłaszcza przy ponurém ocienieniu staremi bukami, uroczysty sprawuje widok. Trudno wytłumaczyć przyczynę takiego ustawienia się skał, dosyć często spostrzeganego w górach. W tém miejscu taka była dążność do tego, że udawszy się wyżéj na lewo, ścieszką utorowaną pod górę dla wyjścia na wierzchołek skupienia, spotyka się znowu podobny w niém amfiteatr, lubo daleko mniejszy i mniéj prawidłowy. Pomieniona ścieszka wywiedzie wreszcie na sam szczyt skupienia, zkąd się otwiera widok na piękny krajobraz okolicy, rozciągającéj się po drugiéj stronie strumyka i drogi. Kto wszedł na tę wyniosłość, znajdzie niedaleko wśród leśnéj zarośli ślad roboty w odległych wiekach ludzką wykonanéj ręką: podwójne obwałowanie miejsca, a nawet szczątki murów, tamte odwiecznemi bukami zarosłe, te pozapadane w ziemię, dziś wywyższającą się nad nie. Skały te amfiteatru przedstawiają różne jamistości i kręte przechody na wylot, o gruncie piasczystym w którym lisy, tam zachodzące, wykopują sobie liczne schronienia podziemne.

Zaraz za skałami amfiteatru inne mniejsze, kształtu i wielkości stogów siana, ciągną się ponad drogą, która nieco daléj jeszcze przechodzi tuż obok jednéj wyniosłéj, powierzchnią zwróconą do drogi przypominającéj facyatę kościoła PP. Wizytek w Warszawie. Troskliwy o upiększenie okolicy dziedzic, kazał na wierzchołku téj skały utwierdzić krzyż żelazny z wyzłoconym wizerunkiem Chrystusa, co dla każdego z przejeżdżających tą drogą, uświęconą od niepamiętnych lat pobożnemi wędrówkami do Częstochowy, wspaniałość widoku powiększa, a na płaskiéj ścianie od strony drogi, wykuć artystycznie swój herb rodzinny, co właśnie w zeszłym roku wykonane, przywłaszczyło i nam pamiątkę, jaką dawne rodziny, wpośród Pirenceów hiszpańskich, na wielu miejscach pozostawiały.

Z tą skałą krzyża kończą się już osobliwe widoki po lewéj stronie drogi, która ciągnąc się daléj lasami, wnet doprowadza do rozkosznych i godnych widzenia źródeł, po prawéj stronie położonych. Sąto źródła téj wody, która tworzy pełen powabów strumyk przez Potok przechodzący; a jeżeli czystemi są wody w całéj rozciągłości jego, przy samém źródle nic z czystością ich porównać się nie da. Zygmunt i Elżbieta są tych źródeł nazwiska, przez dzisiejszego dziedzica im nadane. W punkcie Zygmunt jest ich więcéj niż w oddalonym Elżbieta, od którego wody płyną kierunkiem przeciwnym tamtemu. Źródła Zygmunta są liczniejsze, wypływają zpod ziemi, z gruntu będącego niezawodnie przedłużeniem skał poblizkich, lecz ukrytego pod ziemią, w którym szerokie powyrabiały sobie przechody. Gdyby wyschły, przechody te stałyby się jamami w skale, podobnemi zamieszkiwanym dziś przez niedoperze; lecz dotąd są schronieniami pstrągów *(Salmo fario)*, które zawsze można widzieć licznie zebrane w najgłębszéj odnodze, przybliżając się z ostrożnością do wysokiego jéj brzegu. Lękliwe, na widok człowieka pędem pioruna w podlądowe czeluście, któremi woda przypływa, uciekają i giną. Są one mieszkańcami całego strumyka płynącego przez Potok, a który żywią i inne źródełka tu i owdzie we wsi spotykane. Piękność tych źródełek każdego miłośnika natury przywabia i zatrzymuje; wszystkich kotlina i koryto zaścielone jest, jak zwykle, piaskiem, ale tak cienko, że zaraz pod jego

warstewką czuć skałę, na której, jak na talerzu utrzymuje się woda, ustawicznie nalewająca się nietylko przez ujście główne z boku, ale i przez małe otwory w dnie, ze spodu. Takich małych ujść bywa czasem po kilka na spodzie źródła, a trafiają się i w oddaleniu od źródła, na dnie głównego koryta, którém strumyk płynie. Woda przypływająca niemi czyni to z siłą, którą można ocenić po wysokości do jakiéj w tych punktach wypycha ciągle piasek dno zaścielający, a co w przezroczystości źródła bardzo wyraźnie widać. W jedném miejscu, na główném korycie strumyka, tak silnie zpode dna uderza, że jest fontaną do wysokości stopy nad poziom strumyka wyrzucającą słup wody, który, chodząc ponad strumykiem, zdaleka już widzieć można. We wszystkich tych źródłach utrzymuje się mnogość kiełżów *(Gammarus pulex)* i wypławek *(Planaria torva)*; pierwsze do małych raczków, drugie do małych pijawek podobne. Obojgiem tém żywi się głównie pstrąg, jak się o tém upewnić łatwo przeglądając kanał pokarmowy téj ryby. Uderza także naturalistę niezwykła w tychże źródłach mnogość różnych ciekawych, a gdzieindziéj nieznanych chróścikowatych owadów *(Phryganides)*, których gąsienic oprzędy, z poskupiania kamyków złożone, do każdego niemal ciała w wodzie zanurzonego, są po kilka a czasem i po kilkanaście przywarte.

Droga do Żarek idzie prosto od źródła Zygmunt; lecz udawszy się od tego miejsca nieco na prawo, przybywamy wkrótce do granicy dóbr Potoka, którą przekroczywszy jesteśmy u źródła przerywanego *(fons intermittens)*. Źródło to jednych lat jest tylko studzianką czyli dołem napełnionym stojącą wodą; drugich woda przelewa się z dołu i rozlana wzdłuż przyległéj drogi, zamienia ją w biegnącą rzeczkę, która dopłynąwszy aż do źródeł Zygmunta, dodaje wód strumykowi początek z nich biorącemu. Okoliczny lud jest tego mniemania, że gdy pomienione źródło nie płynie, należy się spodziewać urodzaju, a tem większego nieurodzaju, im obficiéj się wylewa. Śledzenie go pod ziemią doprowadziłoby, według wszelkiego podobieństwa, aż do niedalekiego ztamtąd skupienia skał, w którém się otwiera piękna, przestronna i widna jaskinia. Nazwisko *Ostrzeżnik*, służące zarówno tym skałom, jako też jaskini i źródłu, nie pocho-

dzi, jak niektórzy sądzą, z własności ostrzegającéj źródła, ale raczéj, jak uczą archeologowie, ztąd, że skały służyły kiedyś za podstawę wysokiéj baszcie, z któréj, w przypadkach niebezpieczeństwa, dawano ostrzeżenia do zamku, a ten wznosił się zapewne przy skale amfiteatru. Jakoż i przy skale Ostrzeżnika dają się postrzegać w szczątkach ślady murowania dawnego.

Na polach dóbr Potoka wszędzie są rozrzucone skupienia skał, a osobliwie od zachodniéj strony, gdzie oraz są najwyższe i najrozmaitsze. W jednym folwarku do tych dóbr należącym, Siedlec zwanym, w skalistéj górze, niedaleko od folwarcznych zabudowań położonéj, jest osobliwa jaskinia czyli jama, widocznie dawny przechód potoku do podziemnéj przepaści nurty swe prowadzącego. Przyszedłszy do tego miejsca wśród zarośli się ukrywającego, postrzegamy wielki otwór w ziemi; a gdy na dno jego zstąpimy, mamy przed sobą wielkie sklepienie z skały, i pod niém ujście niezgłębionego lochu, które dokoła obejść można po wązkim tarasie, przedłużającym dno otworu. Loch idzie najprzód prawie prostopadle w ziemię, tak, iż dla zstępowania do niego musiano zrobić schodki drewniane; potém zwróciwszy się ukośnie, coraz mniejszemi spadzistościami i krętym kierunkiem zachodzi w ziemię do głębi, któréj nikt jeszcze nie wymierzył, bo kanał coraz węższy i coraz ostrzejszemi sękami skały wewnątrz najeżony, postęp w téj ciemnicy utrudza. Loch ten zarzucony był mnóstwem odłamków skały, które dzisiejszy dziedzic nakazał uprzątnąć, co już w części wykonaném zostało.

Wapień i krzemienie są dwa minerały rozrzucone aż do uprzykrzenia po polach w Potoku. W różnych miejscach dają się postrzegać łomy pierwszego, nietylko do wypalania na wapno, ale i zamiast cegły do murowania w okolicach tych używanego. Krzemienie zamiast szabru kładą na bite gościńce: droga uścielona niemi jest mocna, ale nader trzęsąca. Tak w wapieniu jako i krzemieniach często postrzegają się rozmaite skamieniałości: w całym jednym łomie wapienia widzieliśmy rozrzucone tak nazwane *kamienie żydowskie* czyli kolce echynitów z rodz. *Cidaris*: w krzemieniu podjętym na polu, znalazł się doskonały wycisk całéj skorupy z tegoż rodzaju i obok wyciski kamieni żydow-

skich, ułożone przy niéj jakby umyślnie na dowód że były częściami do niéj należącemi. Najlepsze na wapno odmiany kamienia są te, które krystalicznem ziarnem zbliżają się do spatów i do marmuru rzeźbiarskiego *(calcaire saccharoide)*. Bardzo rzadko trafia się na polu znaleźć kwarc albo agat, chociaż łożyska strumyków, osobliwie przy źródłach, gęsto są uścielone kwarcowym żwirem, różnéj grubości. W roku 1853, poszukując kamiennego węgla, wybito w jednem miejscu z piasczystym gruntem wśród sosnowego lasu głęboki szyb (sążni $13^{2}/_{3}$), przez warstwę iłu i łupku glinianego ciągnący się, w którym natrafiono w głębokości $5^{1}/_{3}$ sążnia od powierzchni gruntu, warstwę krystalicznego węglanu wapna i w nim siarczyk żelaza, czyli piryt krystalizowany, odmiany białawéj, o kryształkach w kule różnéj wielkości skupionych. Szyb ten wkrótce woda zalała. Na powierzchni gruntów na innych folwarkach do Potoka należących (Zalesice) w stronie wschodniéj, znajdują się głazy kwarcowe kształtów kulistych, jakby kul pozlepianych w różne dziwne postacie (1), tudzież ruda żelazna, również kulista.

Już pomiędzy Olsztyńskiemi skałami botanik z zajęciem poznaje gatunki roślin, które na równinach widywał rzadko, lub ich tam nigdy nie znajdował. Pospolitemi na tych skałach są: *Saxifraga aizoon*, *Erysimum hieracifolium*, *Teucrium botrys*, *Stachys germanica*, *Asperula cynanchica* i t. d. Na każdéj skale, osobliwie ze skupień wśród pola stojących, dostrzeżesz malowniczo niekiedy i w różnéj wysokości od ziemi, wydobywające się ze szpar dwie drobne, ale ładne paprocie: *Asplenium trichomanes* i *Asplenium ruta muraria:* na ich widok przypominają się te rośliny, którym podobne tylko w cieplarniach oko widzieć przywykło: jedna przymila się nader prawidłową pierzastością delikatnego liścia, druga w rzeczy saméj przypomina rutę, lecz obudwu zieloność modrawa, obudwu sadzenie się tylko na ścianach skały nagiéj, ostrzega, że to nie są zioła ze zwyczajnych dzierżaw naszéj krajowéj Flory.

(1) Łudzące niekiedy podobieństwem do połamanych bałwanów z czasu pogaństwa. Kilka takich do Warszawy sprowadzonych, widzieć można w ogrodzie przy pałacu JW. generała hr. Krasińskiego.

Dwie te skrytopłciowe roślinki utrzymują się na wszystkich skałach pasma, które przez Olsztyn i Potok przechodzi. Lecz i inne skrytopłciowe rośliny, osobliwie z rodziny mchów, w zastanawiający sposób przyodziewają krostowatą nagość tych głazów. Skałę amfiteatru w Potoku wyściela piękna *Neckera viticulosa*, i w mniejszéj ilości *Jungermannia viticulosa*; w podobny sposób ściany innych skał tamecznych, nadewszystko w miejscach cienistych, odziewa *Bryum cuspidatum*, z czego do złudzenia powstają kobierce miękkie, obfite, dozwalające wygodnie usiąść nawet na najkrawędzistszym i najguzowatszym starym złomie skały: kobierce, które niekiedy uśmiech obudzają patrzącego na tę dążność przyrody, jakby podrzeźniającéj nasz przemysł w zdobieniu ich deseniem, gdy czasem inna, *Neckera undulata*, rozpuszcza po nich swoje zieleńsze gałązki. Ale łudzimy się, bo to nie przyroda od nas—my od niéj bierzemy wzory. Kto wejdzie piérwszy raz do jaskini *Ostrzeżnik*, z zadziwieniem ujrzy się w sklepionéj celi, na któréj sklepienie i ściany tajemnicza ręka nalepia w cichości piękne, gałązkowate obicie. Ta samato *Neckera (Hypnum undulatum DC.)* pokrywszy tam odrzwia, gdy rośnie daléj, co inna roślina wysięgałaby na zewnątrz, ona jakby przed światłem uciekająca, czołga się gałązkami w głąb ścian i sklepienia, i stroi je tym sposobem w deseń, który przeniesiony na papier, najpiękniejsze utworzyłby obicie. W jaskini *Siedlec*, inna botanikowi osobliwość się przedstawi. Powiedzieliśmy że ta głęboka jama w ziemi, jest zrazu szerokim, nienakrytym dołem, który podchodzi w części pod skaliste sklepienie: pod tém dno dołu rozczepia się w czeluść węższą, otoczoną dokoła tarasem: przez czeluść jest zejście do jamy w głąb ziemi idącéj. Dno dołu, jako nienakryte, zatém widne, dozwala okryć się bujnéj i gęstéj wegietacyi, wśród któréj dostrzedz się daje *Mercurialis perennis*, *Brachypodium sylvaticum (Bromus pinnatus* var. *sylvatica)*, i t. d. Lecz na tarasie wiecznie ocienionym, bo podchodzącym pod skałę jakby pod sklepienie, z którego ustawicznie kroplami ściekająca wilgoć upada na taras i czyni go mokrym, pod wpływem tych dwóch smutnych a nieustających warunków, cienia i mokrości, powstaje i utrzymuje się inna wegietacya: wilgotna *Marchantia polymorpha* i *Marchantia conica*,

która innego rodzaju kobiercem zaścieła taras, płasko rozesłanym, modrozielonym, dziwny tworzącym widok, osobliwie w porze kwitnienia rośliny.

Niektóre skały na polach Potoka, w wielkich nadewszystko szczerbach na ich szczycie, inny jeszcze okrywa kobierca gatunek. Puszcza się na nich *Sempervivum hirtum* tak gęsto, tak nabito, że te zielone szyszki są jakby bogatém ukamieryzowaniem powierzchni, na którą noga idącego z obawą i żalem się stawi, ażeby stąpając nie nadwerężyła kunsztownego dzieła natury. Ta wegietacya pokrywa nawet czuby skał podziemnych, wytykające się w kształcie guzów nad ziemię, zaraz za pałacem w Potoku, na którego dziedzińcu podwórzowym chwastem jest *Verbascum lychnitis*. Ale postąpmy do tych skał zapomnianych, w głębi bukowego lasu ukrytych. Jakże tam malowniczo oblepił niektóre bluszcz *(Hedera helix)* od spodu, gdy od wierzchołków zwiesza się po spadzistościach długiemi rozłogami kamionka *(Rubus saxatilis)*. Na tychże skałach rośnie porzeczka górna *(Ribes alpinum)* i dziki agrest *(Ribes uva crispa)*. A za skałami, błądząc po gęstych lasach, spotyka się ciekawe z różnych rodzin gatunki: *Veronica montana*, *Actaea spicata*, *Epilobium villosum*, *Melampyrum vulgatum*, *Lychnis sylvestris*, *Isopyrum thalictroides*, *Arenaria serpyllifolia*, *Orobus vernus*, *Orobus niger*, *Botrychium lunaria*, *Erysimum cheiranthoides*, *Dentaria bulbifera*, *Cardamine impatiens*, *Lonicera xylosteum*, *Galium boreale*, *Asperula odorata*, *Epipactis nidus avis* i t. d. wszystkie te rośliny tam zwyczajne. Na otworzystém miejscu, przed samą jaskinią kościodajną, rośnie obficie hebd *(Sambucus ebulus)*, a tuż przed jaskinią *Ostrzeżnikiem*, w zacienionem bukami i świerkami miejscu, obrał sobie siedlisko *Galanthus nivalis*, którego znajdowaliśmy owoce, po zniknieniu w téj porze rośliny leżące na ziemi i wskazujące punkta, z których na wiosnę kwiat się wydobywał. Lasy w Potoku zalecają się jeszcze mnóstwem pięknie w nich rosnącego jaworu *(Acer pseudoplatanus)* i bzu koralowego *(Sambucus racemosa)*. Pomiędzy temi drzewami i krzewami znachodzi się tamże dzika czereśnia *(Cerasus avium)*, która nad drogę wysadzona, w piękne i cieniste rozrasta się drzewo, zdolne pod tym względem z klonami iść w zapasy. Mieliśmy tego widok

w pięknéj alei od pałacu do kościoła, po gruncie skalistym wiodącéj, z tych tylko czereśni i z klonów złożonéj.

Łatwo się domyślić, że w takich miejscach i królestwo zwierzęce przedstawia odcień innéj niż zwyczajnie barwy. Już czyniącemu piérwsze kroki na drodze pod skałami i lasem, zalatuje największa z naszych rusałek, *Vanessa populi*, która mu tam odtąd wszędzie towarzyszy; to padnie prawie przed nogami jego i szerokie skrzydła rozłoży, jakby ucieszona że znalazła komu główną ich krasę pokazać, to znowu, jakby i z lotu zalecić się chcąca, jak strzała wzniesie się nad lasy; on, gdy już jest pewny że zginęła, postrzega ją przed swemi oczyma na skale, te same skrzydła prostującą. Jednocześnie, wielką, prawie czarną gąsienicę tego motyla, spotykaliśmy tam na całym ciągu drogi przez Potok koło skał wiodącéj. Na starych dębach w ogrodzie można było każdodziennie zastać tak samce jako i samice jelonki *(Lucanus cervus)*. Często w bukowym lesie, na zsypach liścia przeszłorocznego, zwłaszcza po przyskalu, daje się zoczyć *Carabus cyanus*, żyjący szafir tych okolic; a pod skupieniem krzaków na polu, tuż za pałacowym dziedzińcem, znaleziony był mniéj piękny od niego, ale rzadszy *Carabus catenulatus*, w trawie się ukrywający. W takichże miejscach na okolicznych polach, jest *Carabus arvensis*, i wielkością i kolorem podobny do miłéj szczypawki Linneuszowéj *(Carabus Linnaei)*, wcale nierzadkiéj w Potoku, lecz ukrywającéj się w głębszych i ciemniejszych częściach bukowego lasu, pod wiorami drzewa tam ociesywanego. Żyje z nią prawie spólnie w tych miejscach wytworny i poszukiwany *Cychrus attenuatus*. Czy tamże, czy nawet gdziekolwiek w tym lesie, za rozgrzebaniem liści aż do wilgotniejszéj ich warstwy, znajdą się łatwo *Abax striola*, *Abax metallicus* i najliczniejszy *Abax ovalis*, prócz wielu jeszcze tak z tego, jako i z innych rodzajów szczypawkowatych, których nie wymieniamy, ponieważ chcieliśmy wymienić te tylko, które koło Warszawy wcale się nie znajdują. Dołączyć trzeba do nich i wspaniałą złotą szczypawkę, *Carabus auronitens*, którą znaleziono na jednym z odleglejszych od Potoka folwarków, należącym do niego.

W istocie, fauna równie jak i flora w Potoku, nie jest to fauna i flora, która się po całym kraju naszym rozciąga;

jest ona tak wyjątkową, jak skały i buki w Polsce. W jaskini mamy tak osobliwe, nieznane gdzieindziéj niedoperze z rodzaju podkowców *(Rhinolophus)*, przed jaskinią postrzeżemy na drzewie połchę, największego gatunku koszatkę *(Myoxus glis)*; a niżéj postraszy się lękliwa kopciuszka *(Sylvia thitis)*, nie odlatująca daleko od swego gniazda w skale. Tu można zoczyć skalnego drozda *(Turdus saxatilis)*, nowość dla oka; owdzie usłyszyć cienki dźwięklivoświegotliwy głos kulczyka *(Fringilla serinus)*, tego europejskiego kanarka, stadami tam na brzegu lasów bawiącego. Wszędzie przed idącemi drogą zrywa się pliszka wolarka *(Motacilla boarula)*, lubiąca blizkość tych ponętnych strumyków przy skałach, w których niekiedy zatrzymuje oko tak rozmaita i pełna powabu pstrągów *(Salmo fario)* barwa. W wilgotnéj porze, po długich deszczach przechodząc te lasy górzyste, wszędzie się z zadziwieniem spotyka olbrzymiego pomrowia *(Limax maximus)*: wyciągnione na spadłych liściach do całéj długości to lipkie ciało. Tak ogołoconemu ze wszystkiego pozostała jeszcze rozmaitość barwy: są bowiem czarne, białe, białe z podłużnemi pręgami czarnemi, żółtawe, zielonawe, niebieskawe, czasem zupełnie niebieskie. W téjże porze czołgają się po ścianach skał zwierzęta miękliwe skorupne różnych rodzajów: *Clausilia*, *Bulimus*, *Helix* i t. d. a nadewszystko owe pręgowane gatunki *Helix nemoralis*, *H. hortensis*, które między temi skałami są bardzo pospolite i przedstawiają różne, częstokroć uderzające powabem odmiany.

Z Potoka do Ojcowa byłaby najkorzystniejszą i najwłaściwszą dla nas droga w kierunku ciągnącego się tamtędy skał pasma. Mniemał tak i doradzał prof. Jastrzębowski, który już poprzednio znał te miejsca, i poszliśmy za jego radą: lecz pomyślenie, że na krótko tylko do Ojcowa wybranych niecofnięte termina wiążą do powrotu ztamtąd, kazało raczéj czas podróży o ile można skracać, ażeby go jak najwięcéj na pobyt oszczędzić, i zwróciliśmy z wioski Trzebniowa, za Potokiem, przez Żarki do Myszkowa, ażeby z idącéj tamtędy kolei żelaznéj korzystać. Przybyliśmy więc niebawem do Strzemieszyc, zkąd gdy połowa towarzystwa naszego zboczyła na prawo do Dąbrowy, ciekawa obejrzéć górnictwo tameczne, tymczasem inna udała się

niezwłocznie przez Sławków i Olkusz do Pieskowéj Skały, i na trzeci dzień potém ujrzeliśmy się wszyscy w Ojcowie.

Wiadomo, że ten juraiczny grunt, który się w naszym kraju od Krakowa na północ, aż do Widawy ku Kaliszowi i Sieradzowi ciągnie, powystępował w niektórych miejscach w górujące nad ziemię wapienne skały, których widzieliśmy przerywane pasmo koło Olsztyna i w Potoku. Ale nigdzie te skały nie wydobyły się więcéj, nigdzie nie zebrały się liczniej i nie ustawiły groźniéj, nigdzie wyższemi nie są, jak w odwiecznej sławy dolinie Ojcowskiéj. Dolina ta, jestto olbrzymi wąwoz, ciągnący się takim kierunkiem, jakim i rzeczka nim płynąca, Prądnik nazwana, idzie: rzeczka zrazu nieznaczna i powolna, a coraz wyraźniejsza i szybsza nim do Wisły wpadnie (1); dolina zrazu płytka i mało wydatna, potém coraz spadzistsza i głębsza, „gdyby w ziemi ukryta, na całą milę", mówi Staszic. Ciekawy jest jéj ciąg od Pieskowéj Skały przez Grodzisko do Ojcowa, ale najciekawszy od Ojcowa prostym ku Krakowu na południe kierunkiem biegnący. Jestto niby ulica wielkiego miasta, z obudwu stron ściśle zabudowana wysokiemi kościołami, poza któremi wyżéj wznoszą się gdzieniegdzie góry, a jeszcze wyżéj i wszędzie jodłowe lasy, wytykające się jeden zza drugiego, bez żadnéj przerwy. A jakkolwiek ograniczające go dwa szeregi skał są równoległe, trafia się jednak tu i owdzie rozstęp, tworzący wielki plac, na którym niekiedy wypadła skała odosobniona od innych. Na takiéj zbudowany jest sławny zamek ojcowski, wznoszącéj się na obszernym placu, na którym dziś dwór i wszystkie zabudowania dworskie rozłożone zostały. Jego starożytna baszta, pobożną dziedzica ręką dziś odnowiona, nad wszystkie okoliczne wyniosłości wspaniale góruje.

Do tego wyprostowanego ciągu doliny Ojcowskiéj, wszędzie zabudowanego tartakami, młynami i t. p. domami, mającemi, jak gdzieindziéj po wsiach, swoje podwórza, pa-

(1) Malowniczo jéj bieg przedstawia Staszic w tym ustępie (O ziemior. Karpat. Rozpr. I.): „I ten ponik, co z początku ledwo sączył się pomału; co jeszcze nie chrzczony, bez nazwiska bieżał, tylko rolniczych osad imiona przywłaszczał; już i on, ledwo dwie góry obiegł, tu bystry prąd mruczy, po opokach warczy, a dobrze znane w dawnéj naszych królów stolicy przybrawszy sobie *Prądnik* imię, pieniąc się, hucząc rwie, rozwala skały, i rumowiska ich starłszy mieliznę, wynosi szumiąc do Wisły całą rzeką."

sieki, sady, wpadają z boków, jakby uliczki mniejsze, od różnych stron wjazdy, tojest drogi i dróżyny nadzwyczaj przykre, wpośród okolicznych lasów z góry na dół utorowane. A nawet, zaraz za Ojcowem, odgraniczająca posiadłości jego, wpada od zachodu mniejsza podobna dolina Sąspowska, podobnież wpośród skał przerznięta i którą także przepływa strumyk, mniejszy od Prądnika, do niego swe wody toczący, i przez miejscowych ludzi także nazywany Prądnikiem. Jak jeden tak i drugi płyną po swoich dolinach równowązkich, kierunkiem tak krętym, że już trzymają się środka, już obmywają podnoże skał pobocznych, lecz nigdzie nie są tak głębokie, żeby się wbród przebyć nie dały: chyba w kanałach sztucznych, które napełniają wodą w celu fabrycznym wstrzymaną. Dolina Ojcowska idzie ciągle z Prądnikiem na południe, skręcając się naostatek w lewo, tam, gdzie się zakończa las na lewym rzędzie skał wzniesiony, bardziéj dębowy niż jodłowy, i wyrażeniem „*na Prądniku*" odznaczany, ponieważ w tém miejscu doliny wieś leżąca, Prądnikiem się nazywa.

Ale idąc tą spadzistością doliny Ojcowskiej, tojest zapuszczając się w jéj coraz głębszą zapadłość, jakże majestatyczne spotyka się skał widoki! Są one uszykowane jedna za drugą i jedna przy drugiéj, a przecież w tym kolosalnym murze rozróżnić można pojedyncze, i niektórym ponadawano nawet szczególne nazwiska, wzięte od rzeczy z któremi podobieństwo ich upatrzono. Wystąpiły dwoma szeregami, jakby olbrzymie wojsko, a im niżéj z biegiem Prądnika doliną się postąpi, tém one sroższe, gęściejsze; ściskają się w oddzielne skupienia, tworząc to widowisko wspaniałych rozwalin, to puste zabudowania niby dworu, dziedzińce i bramy do nich. Te wyszły z lasu i na dolinie samotnie stanęły, tamte się w las zapędziły i idą szeregiem znikającym w gęstwinie jego. Podróżny widział już je w Olsztynie, w Potoku; lecz tam tylko kopki, tu całe stogi, tam kapliczki, tu kościoły; tam jakby gdzieniegdzie tylko po zburzeniu miasta dom ocalony, tu miasto od wieków zabudowane dobrze: ulica i place w jednéj z piérwszych stolic: Ale te gmachy pozasklepiane, głuche; kto ich mieszkańcem?—jedno tylko echo. Niepodobna wyrazić uczucia w jakie dusza wstępuje na widok tych miejsc zaczaro-

wanych, gdy się je zwiedza wśród pogodnéj nocy, blaskiem pełnego księżyca oświecone.

Gdy z naszych piaszczysto-wzgórkowatych pól od strony wschodniéj do Ojcowa się przybywa, ostatnim kresem téj drogi jest gęsty las jodłowy: liczne w nim wyrwy i wąwozy rozmaitéj głębokości odkrywają grunt juraiczny, który się wznosi w pagórki znacznéj wysokości, a nawet objawia porozrzucanemi tu i owdzie w lesie skupieniami skał, czasem malowniczych: to przedstawiających niewielkie pieczary, niby mieszkania Faunów i Sylwanów, to jak rozwaliny, jedna na drugą zepchniętych, że trudno dostać się na każdą; to okrążających rozległą dolistość, pełną wegietacyi, w którą zstąpiwszy, różne i różnie skierowane odkryjemy czeluście; czasem postrzeżemy zuchwałego lisa, nielękliwie kroczącego tamtędy, a jest jedno takie w ciemnym lesie skupienie, które lud miejscowy nie bez przyczyny Wilczą skałą nazwał. Tak, od skały do skały, chodząc po tym jodłowym lesie, postrzegamy, że wstępujemy coraz wyżéj na górę, że w kierunku na północ i południe, obok takiéj góry jest w sąsiedztwie inna, za tą następna i t. d., tworzące małe pasmo czyli łańcuch, za którém las się rozjaśnia: graniczy on tam z przepaścią i „niespodzianie, jak mówi Staszic, odkrywa się wielka i rzadka dolina"; zejść na nią tamtędy ani podobna: każdą ona górę w tém pasmie od wierzchołka aż do podstawy prostopadle przerznęła, i temi to przerznięciami są wysokie skały z dwóch stron ogradzające dolinę, zwrócone do niéj pionową jak mur płaszczyzną przerznięcia, po któréj częstokroć niepodobna ani wchodzić ani schodzić; tylko kręty i spadzisty wąwoz pomiędzy jedną a drugą górą, jestto droga z lasu na dolinę: wyszorowana, po każdéj powodzi wyrywana i złomami skał zasypywana. Zatem dolina Ojcowska, jestto zapadłość na kilkadziesiąt stóp niżéj naszego poziomu, który prawie tam zostawiamy, gdzie zszedłszy na dół, widzimy wznoszące się wysokich skał szczyty.

Ale cóż przerznęło tę massę gór wapiennych i drugie ich połowy spłókało, uniosło? Powtórzymy tylko za geologiem naszym: „Wędrownik, jak one osłupiały, nie pojmuje jakby ten, nawet w porównaniu z dzisiejszą ich wielkością nic nieznaczący strumyk, mógł rozwalić, rozburzyć

tak twardą i razem się trzymającą skałę!" W istocie dzisiejszy Prądnik jestto już owa mrówka, która przechodzi rozgałęzieniami jamy wykopanéj niegdyś przez lisa. Niech wszakże wolno nam będzie olbrzymią siłę wód przedhistorycznych, na tém samém miejscu w którém tak głębokie ślady ich działania zostały, wymierzyć siłą dzisiejszych gdy wzburzone zostaną, tém bardziéj, że szczęśliwém wydarzeniem dla nas, byliśmy w Ojcowie świadkami nadzwyczajnego wzburzenia Prądnika i wściekłości tych potoków, które wszystkiemi drogami z przyległych gór lesistych w dolinę pędziły. Dnia 21 lipca powódź ta do najwyższego punktu srogości swéj doszła. Od godziny 2ᵉʲ po północy do 9ᵗᵉʲ rano, nieustanne wód strumienie lejące się z obłoków, dostawały się przez dachy do mieszkań górnych, gdy dolne zajęła woda, tak potokami z przyległych skał spadającemi rozszerzona, że złączywszy się z Prądnikiem, utworzyła w dolinie jednę niejako rzekę nadzwyczaj bystro płynącą, znoszącą mosty, zagrażającą domom, podmywającą i walącą mury, wyrywającą drzewa z korzeniami, zawalającą drogi naniesionemi złomami i okruchami skał i zrządzającą najsmutniejszą klęskę w polach i w ogrodach. Mieszkańcy doliny zapewniali, że temu już lat 60, jak coś podobnego wydarzyło się w Ojcowie. We trzy dni potém nie znaleźliśmy już téj drogi, którąśmy tu z Pieskowéj skały przybyli; kilkadziesiąt wierzb starych, z korzeniami wyrwanych i głazy naniesione, które na tysiąc fór obliczano, zwalony i zgruchotany długi mur, który przyległy sad odgraniczał i poprzerzynane głębokie rowy na spadzistości góry skalistéj, po któréj szła wyborna przed trzema dniami droga, wszystko to uczyniło to miejsce niedostępném, zrazu nawet dla piechotą idących niepodobném do przejścia, tak przemienioném, że za niemożność uznano przywracać mu stan dawny, i postanowiono zupełnie innego dla drogi kierunku szukać. Podobne zaszły przemiany na całéj długości doliny Ojcowskiéj; w miejscu niektórych dróg spadzistych z lasu tam prowadzących, powstały wyrwy na wzrost człowieka głębokie. Kto wówczas te spustoszenia i przeistoczenia świeżo zaszłe oglądał, ten zaiste niemało się objaśnił w wyrozumieniu, jak mogły potopowe wody poprzerzynać Ojcowską i przyległe jéj doliny.

Wody przezroczystego Prądnika, po najmniejszym deszczu stają się mętnemi, nakształt naszéj wody wiślanéj, co nie następuje w strumyku przez Potok płynącym. Idąc ponad brzegami téj krętéj rzeczki, spotyka się nad nią to sianożęcia, to pozagradzane pola, to ogrody i sady: ścieżki powydeptywane i dróżynę utorowaną pod prawym skał rzędem, ledwie dla wózków włościańskich dogodną. Czarujący jest widok z wierzchołka gór niektórych na te plantacye wiejskie, na te drobne pola na pochyleniach gruntu pod skałami, każde odmiennéj barwy; na te trzody pasące się na pochyłościach podskalnych, na te wąwozy, tę wężowatość rzeczki i rozrzucone nad nią domostwa; osobliwy obraz w osobliwych ramach: wszystko ściśnięte osiwiałemi skał ogromami i jakby ukoronowane kilkokrotnym lasem, jeden z za drugiego dojrzéć się dającym. Ale korzyści w plonach z pól i ogrodów w téj pięknéj dolinie, muszą być zależnemi od szczególnego klimatycznego jéj stanu. Słońce ledwie przez połowę dnia na tameczną wegietacyą działać może: przed południem tylko na stronę skał zachodnią, a po południu tylko na wschodnią; późno wschodzi, a prędko zachodzi. Lecz o ile traci się na słońcu, o tyle zyskuje na ubezpieczeniu przed srogością wiatrów zimnych i suszących. Urodzajom w takich miejscach zawsze zagraża ulewa, cały od razu zasiew zniweczyć mogąca. Byliśmy tych smutnych wypadków naocznemi świadkami; żadne gradobicie na równinie nie zostawi okropniejszego widoku. Pomimo to, wszelkie gatunki zbóż sieją się na tych pochyłościach tak wysoko jak tylko pług przejść może. Płaszczyzny zbytnie pochyłe pozostają pastewnikami, na które drapią się owieczki, świnie a nawet krowy, nieraz narażając się na gwałtowny upadek w dolinę, życia je pozbawiający. Pomyślniejszy był stan mieszkańców doliny Ojcowskiéj, póki się w niéj utrzymywały zakłady fabryczne. Nawet i ten ruch jaki dotąd spostrzedz między niemi można, obudzają jedynie tartaki, papiernia, młyny. Rolnictwo samo nie może tam zakwitnąć: jest ono zatrudnieniem biédaka, skazanego niekiedy na długie niewidzenie kawałka chleba, czego i sami długo naocznemi byliśmy świadkami i uczestnikami.

Jeżeli plony zasiewów, które człowiek téj ziemi powierza, nie są tyle co ona nadzwyczajnemi, plony siejącéj natury bogactwem i rozmaitością zastanawiają naturalistę. Pomiędzy te głębokie rozpadliny skał od ich wierzchołka, pomiędzy ich szczyty zbliżone do siebie, pomiędzy skałą a skałą jedna do drugiéj zbliżoną, pannjące nad niemi lasy całe i okoliczne zarośle, wszystek swój liść corocznie tracony, ładują niezmiernemi massami, z czego się tworzy za czasem ta ziemia dziewicza, wilgocona mchem i deszczami, a temi ostatniemi do najciaśniejszych szczelin wprowadzana, ziemia prawdziwie żyzna w któréj się utrzymuje taka rozmaitość roślin ciekawych, w któréj na skałach krzewy bujają, a nawet buki potężnego wzrostu dochodzą, w któréj naturalista wdarłszy się na skałę, porusza grzebiąc miryady stworzeń dla jego oka niezwykłych, tam się lęgnących, tam całe swe życie przepędzających i tylko tamtym okolicom właściwych. Flora i fauna skał ulega częstokroć warunkom jakie nie wydarzają się na równinach: nieraz blizko siebie są najzupełniejsze sprzeczności: przed skałą zawsze południe i słońce, za skałą wiecznie północ i cień. Wązka dolina Sąspowska, prawie prostopadle z Ojcowską się schodząca, w całéj swojéj długości tę sprzeczność przedstawia; jedna jéj strona, południowa, nie może tych samych co druga przedstawiać zjawisk wegietacyi i życia. Niektóre skały w skupieniach górujących nad doliną Ojcowską, tak względem siebie stanęły, że otoczyły pewne przestrzenie ziemi, *ogrojcami* zwane, pełne wegietacyi lecz niedostępne dla nóg człowieka, który je tylko z wysokich szczytów tych skał oglądać może, jeśli u któréj stóp nie wynajdzie krętéj i ciemnéj jamy, labiryntowo tam wprowadzającéj. Podobne miejsca, lecz tylko wpół otoczone, przedstawiają podnoża całego ciągu skał nad Prądnikiem; te kąty zasypane są zwykle ich złomami i złomkami ciągle się tam staczającemi, niby kupami gruzu, w którym się zwykle ukrywa nierzadki tam gatunek węża *Coluber laevis*, po deszczu zstępujący niżéj, na część zieloną wzgórzystości, na którą wychodzą żaby znad Prądnika, jego pożywieniem będące.

Idąc od Ojcowa kierunkiem którym Prądnik płynie, gdy przekroczymy strumyk z prawéj strony Sąspowską do

niego przypływający doliną, jesteśmy u podnóża góry *Chełm* zwanéj, najwyższéj z tych gór lesistych, które nad Ojcowską doliną panują. Odosobniona w tém miejscu skała, do wielkiego kopca podobna, od wszystkich okolicznych niższa, zwana *Janaszowką*, tylko przez położenie swoje każdego przechodnia uwagę zwraca. Gdyby kiedyś przyszło do wykonania myśli, która każdemu Ojców zwiedzającemu zamarzyć się musi, myśli wzniesienia pomnika królowi, założycielowi sławy tego miejsca, z tejby on skały najwymowniéj do dalszych pokoleń przemawiał. Stroma i niedostępna od strony, z któréj każdemu z przechodniów w oko wpada, Janaszowka co święto, w dni pogodne powołuje wszystkie dzieci z okolicznych domów na swój wierzch płaski, murawą zarosły i dosyć przestronny na ich pląsy, a na który nie trudno dostawać się od strony wschodnio-południowéj. Tamtędy i podróżni zwykli na tę skałę wstępować. Z żadnego punktu Ojców korzystniéj się nie wyda; ztąd też pospolicie malarze i rysownicy biorą widoki na zamek ojcowski, lubo ten wspaniały krajobraz nie natrafił jeszcze na talent, któryby wyrównał godności przedmiotu i wiernie go przedstawił.

Wedle Janaszowki przechodzi droga, którą podróżni zwyczajnie udają się, gdy na górę Chełm wstępują. Do grzbietów téj rozległéj góry należą różne skupienia skał, równie jak i wierzchołek jéj, ukrywających się wśród jodłowego lasu, wyjąwszy najpiérwsze od Sąspowskiéj doliny skupienie, *Zamczyskiem* zwane, z obudwu dolin bardzo widoczne, ponieważ leży na pochyłości północnéj, prawie ogołoconéj z lasu. Widok z Zamczyska na dolinę Ojcowską jest rozleglejszy jeszcze, ale mniéj dla malarza korzystny niż z Janaszowki, która ztamtąd tylko swą wierzchołkową płaszczyznę przedstawia patrzącym, niby tonąca w dolinie. Są miejsca, z których widok na dolinę Ojcowską daleko więcéj zachwyca, niżeli z wierzchołka góry Chełm, zkąd tę dolinę tylko zpoza drzew i w położeniach zasłaniających się wzajem widać. Ciekawszy ztamtąd widok na Karpaty i Kraków, który powoduje wielu przybywających do Ojcowa, że z lunetą na Chełm wstępują.

Zstępując z góry Chełm po jéj spadzistości zachodnio-północnéj, idzie się ku niedaleko ztamtąd i w tym samym

lesie położonemu skupieniu skał, wsławionemu jedną z najrozleglejszych w kraju naszym jaskiń, a której niejednostajne nadają nazwisko. Zowią ją to *Czajowicką*, z przyczyny że grunt na którym się znajduje, do wsi Czajowic należy; to *Królewską* albo *Łokietkowską*, idąc za utrzymującém się w ustach okolicznego ludu podaniem, że w XIV wieku królowi Władysławowi Łokietkowi, ukrywającemu się w tych stronach, jaskinia ta za główne służyła schronienie. To pewna, że w różnych trwogach krajowych, jakoto w czasie napadów Tatarskich, w czasie wojen Szwedzkich, a nadewszystko w czasie morowego powietrza, kiedy lud przerażony częstemi śmierciami w domach, do lasów uciekał, kryła ona lękliwych, i od tychto zapewne epok spoczywają na dnie jéj pierwszéj komory zakopane kości ludzkie, całe czaszki lub dolne szczęki z doskonale zachowującemi się zębami. Głębsze komory téj jaskini na coraz niższym leżą poziomie, tak dalece, że do jednéj z nich, rozległością już nie izbie, ale świątyni podobnéj, po długiéj drabinie schodzić potrzeba. Jąto podanie przekazało nam jako komnatę zamieszkiwaną przez króla tułacza, którego nawet łóżkiem mianują przewodnicy jednę głęboką, naturalną framugę w jéj ścianie. W téj saméj komorze, mającéj dalsze jeszcze i głębsze ujście i zakręty (1), leży na spodzie niewyczerpnięty dotąd zbiór kości zwierząt z przedhistorycznych czasów, a w szczególności jaskiniowego niedźwiedzia (*Ursus spelaeus*), wymiarów większych niż w kościodajnéj jaskini w Potoku, i zachowane inaczéj, ponieważ są

(1) Karpiński (Podróż do Krakowa) pisze, iż w téj jaskini chodząc więcéj godziny ze swém towarzystwem, końca znaleźć nie mógł. O dwóch w Ojcowie jaskiniach podaje już wiadomość Piskorski, *Flosculi sacrae eremi Beatae Salomeae Virginis*, przytocz. w Rzączyńskiego, *Auctar. hist. nat. Pol.* pag. 28, 29, w wyrazach: „O pół mili od Skały, miasteczka w wdztwie krakowskiém, znajdują się dwie jaskinie, z których piérwsza leży w granicach zamku Ojcowskiego, na krańcu bardzo wysokiéj skały nad rzeczką Prądnik, druga na przeciwnéj stronie w lasach wsi Czajowice, królewską nazwana. Do téj wszedłszy przy zapalonych kagańcach, ujrzysz doskonałéj okrągłości salę, i uczujesz krople jakby pocącéj się skały, które kamienieją. W téjże saméj jamie dojdziesz daleko dziwniejszego natury dzieła, podobnież okrągłéj ale obszerniejszej sali, wpośród któréj wznosi się filar, wielkiéj i zupełnéj półkolistości, zewsząd podpierający sklepienie. Ztąd rozciąga się dalszy krużganek, prawie na 60 kroków, przedstawiający okrągłe pokoiki, tymże kształtem wybornie sklepione, z których środkowy i wysokością i pięknością celuje."

całkowicie stalagmitami oblane. Mówimy, że zbiór ich jest niewyczerpnięty, ponieważ od dawnego czasu, kto tylko zstępuje do téj głębokiéj ciemnicy, wynosi z sobą pomienione kości, a nawet przewodnicy na każde zażądanie dostarczają ich ztamtąd. Pozostały one z trupów tych zwierząt wpędzonych tam siłą gwałtownego potoku, który przez następne ujścia i węższe zakręty, dziś tak niedostępne, daléj uchodził.

Ale z tych miejsc ciemnych i samotnych wróćmy się do Janaszowki nadół, i postępujmy daléj na południe doliną Ojcowską. Coraz ją osobliwsze i gęściéj ustawione z obudwu stron ograniczają skały; niektóre szczególnemi nawet oznaczono nazwiskami: *Rękawica*, *Ptak*, *Skała Twardowskiego* i t. p. (1). Rękawica w lewym, tojest wschodnim mieszcząca się szeregu, pięciopalczasta, olbrzymie palce jak wieżyczki do góry wznosząca, skazowką jest tego miejsca, w którém wąwozami, ścieszkami dosyć kręto pod górę wiodącemi i po schodkach powycinanych w ziemi, na przykrzejszych pochyłościach miejsca, dochodzi się do poziomu owych olbrzymich palców Rękawicy, na które nawet pragnący tego, wedrzeć się może, i zajrzeć ztamtąd w głąb jednego z tak nazwanych ogrojców, jeśli się nie odważa wejść do niego z dołu, przechodami ciemnemi i tak nizkiemi, że zupełnego czołgania się wymagają. W temto zbiegowisku skał rozmaitych leży przez każdego zwiedzana, niemałéj także rozległości jaskinia *Ojcowska*, którą, według Staszica, zowią jeszcze *ciemną*, lubo takie nazwisko i do wszystkich tamecznych zarówno należeć może. Podróżni zwiedziwszy ją, udają się zwykle wyżéj jeszcze, ażeby przez kręte i spadziste ścieżki wyjść na sam skalisty szczyt góry, która tę jaskinię w łonie swojém mieści, i która jest najwyższą po Chełmie. Gęste i liczne krzaki dębiny świadczą, że kiedyś stary las dębowy całą tę wyniosłość okrywał. Stanąwszy w dniu pogodnym na cyplu którejkolwiek z tych skał wierzchołkowych, nie można się napoić wspaniałością widoku na Karpaty, na okolice Ojcowa, i na dolinę która z żadnego innego miejsca nie przedstawia się ciekawiéj. Cóż za krajo-

(1) Autorowie Starożytnéj Polski (T. II str. 77) podają innych nazwiska: „Kopuła, popiersie Wreborza, Szabelka, Łaskawiec, Pilarzowa skała."

braz te wszystkie zakręty Prądnika, doliny samej, tyle w niéj domków, ścieżek, poruszających się ludzi i trzód, z góry i wprost widziane, otoczone skałami, górami, na których pochyłości leżą różnobarwne jak wstęgi, pola, nakoniec lasy nad lasami!

Jeżeli znowu w dolinę zstąpiwszy, przeprawimy się na drugą stronę Prądnika, ażeby wyjść na drogę koło zachodniego szeregu skał wiodącą, i tą udamy się daléj na południe, przejdziemy koło skały *Ptakiem* zwanéj, i dojdziemy do suchych dolin licznie odgałęziających się na zachód, gdzie mnogie skupienia skał i skały pojedyncze najdziwaczniejszych kształtów, tu w rząd, tam w okrąg poustawiane, nowe tworzą ulice, dziedzińce, bramy, to niby dawnych wodociągów rzymskich ruiny, to amfiteatra, zwaliska zamków z wieżami, stare dwory i różne przy nich budowle; to znowu jakby kapliczki otoczone nadgrobkami i t. p. tak, iż kto pierwszy raz tam zajdzie, długo nie może wyjść z zadumienia, i w świątobliwém milczeniu cuda natury rozgląda. Jedno z wysokich w téj stronie pasm nazywaliśmy *Marymonckiem*, dlatego, że uczniowie Agronomicznego Instytutu Marymonckiego, znajdujący się tam pod przewodnictwem prof. Jastrzębowskiego w r. 1842, odważyli się wchodzić na same wierzchołki tych skał wśród lasu, i przejść przez okno ręką przyrody wykute w cyplu najwyższéj. W pasmach i skupieniach niższych, na gruncie który zwykle bielą zowiemy porozrzucanych, każda niemal skała przedstawia trzy, a niekiedy cztery i pięć głazów, nakształt wielkich wańtuchów jeden na drugim położonych. Szczeliny poprzeczne, przez całą grubość skały idące, podzieliły ją na tyle części; pęd wody tu jako na spadku doliny, obfitszéj a może i dłużéj się utrzymującéj, poobmywał głębiéj te odłomy, lubo nie zawsze zdołał je pozrzucać. W jednem pasmie tych skał za lasem, przy Sąspowskiéj dolinie, jest jedna wzdłuż roztrzaskana, któréj połowy tak oparły się o siebie, iż ztąd powstała głęboka trójkątna jama, nakształt jaskini, zamieszkała dziś przez ten sam gatunek niedoperza z rodz. podkowców (*Rhinolophus*), który widzieliśmy w Potoku.

Jeszcze daléj Ojcowską doliną postępując, spostrzeżemy w lewém, wschodniém uszeregowaniu skał jednę, na któréj wierzchołku utrzymuje się krzyż drewniany. Tu

w dolinie jest wieś nazwana Prądnikiem, i ztąd okolica oznacza się wyrażeniem „Na Prądniku.” Jest ona odmienna od innych nadewszystko w tém, że panująca nad nią góra pokryta jest samym prawie dębowym lasem. Zaraz za nią, tak dolina jako i Prądnik, załamują się pod kątem prawie prostym, i odtąd na wschód biegną.

Od skały zwanéj Janaszowką, udawszy się przez las drogą po wschodniéj pochyłości góry Chełm utorowaną, przybywamy do wsi Czajowic, i nieco daléj do Bębła, gdzie wielkich skał skupienie i znaczne wzgórza skaliste wznoszą się na otwartém polu. Wzgórze od wzgórza rozdzielają tu rozległe wrzosowiska, dla naturalisty nader zajmujące. Tu zaczyna się wspaniała dolina Bentkowska, podług niektórych, wyniosłością i malowniczością skupień, wszystko w tych stronach przewyższająca. Ale dla nas najważniejszą było rzeczą zwiedzić na polach przed Bębłem wznoszącą się nakształt olbrzymiego wału skalistą górę, która w swojém łonie mieści największą w okolicach Ojcowa jaskinię. Jaskinia ta, zwana *Jerzmanowicką* albo *Xiężą*, bo leży na polu do wsi Jerzmanowic należącém, na gruncie probostwa, dawniéj nikomu nie znana, dopiéro od r. 1848 przez uczonych wędrowników uczęczczaną być poczęła. Mówią, że przedtém tylko chłopcy wiejscy, trzodę w okolicy pasący, wiedzieli o wstępie do niéj. Przez gęstą zarośl dębiny, buczyny i innych drzew przedarłszy się pod ścianę południową skupienia, postrzedz można na prawo czeluść, zkąd ciemnym korytarzem wchodzi się do wielkiéj sklepionéj izby, mającéj przez boczne czeluście związek z innemi podobnemi, naokoło ją otaczającemi, a z których każda znowu do sąsiedniéj połączający kanał przedstawia. Słowem, jestto cała góra wydrążona, któréj wydrążenie podpierają ściany i filary ze stalagmitów i dzielą ją na długie ciągi komór, istne wyobrażenie labiryntu, w którym, po zgaśnieniu światła lub odłączeniu się od przewodnika, łatwo zabłąkać się można. Zaraz w piérwszéj, wstępnéj izbie jaskini Jerzmanowickiéj, dają się widzieć na ścianach jéj i na sklepieniu różnokształtne czarne plamy: szmer i szelest osób do jaskini wchodzących i z niemi światło wniesione, sprawiają wnet, że tym wielkim plamom po kawałku coraz się więcéj odrywa, i okazuje się wreszcie, że plamami są niedoperze wiel-

kiego gatunku (*Vespertilio murinus*), przyczepione do ściany tak gęsto, iż nieledwie jeden na drugim leży, a co który zbudzi się i odczepi, widać go na powietrzu pod sklepieniem krążącego. Im dłużéj w jaskini trwa pobyt ją zwiedzających, tem liczniéj te niedoperze, jak złe duchy, kręcą się piszcząc ponad ich głowami, a jeśli się rozlegnie w tych podziemiach huk wystrzału z rusznicy, roje ich nie mogąc się już pod sklepieniem mieścić, sięgają swém krążeniem coraz niżéj, tak, iż bojaźliwego przychodnia wnet wypłaszają z jaskini. Nie można dojść, co tym zwierzętom przewodniczy w wyborze miejsc na sklepieniu do skupienia się codziennego: miejsca te zdają się być stałemi, ponieważ każdemu na dole odpowiada wielka kupa gnoju, nie już z wielu dni, lecz może i z wielu lat zebranego.

Wszystkie trzy wspomniane tu jaskinie w okolicy Ojcowa, są jednakowego usposobienia i podobne do siebie. Do wszystkich wejście jest dosyć wązką i nizką czeluścią. Kanał, do którego bezpośrednio wprowadza, równie jak i przejścia z komory do komory, są tak nizkie, że przebywając je, mocno pochylonym być trzeba. Sklepienia komór na kilkadziesiąt stóp się wznoszą. Komory te mają wiele podobieństwa do owych wielkich sal podziemnych w kopalni soli w Wieliczce, ztąd o parę mil odległéj: przeto zastanawiającemu się nad ich powstaniem mimowolnie ta myśl przychodzi, czy i ich nie wypełniał kiedy materyał rospuszczalny, który potém przez wodę zabrany i uniesiony został? (1) W tych ponurych podziemiach zbiera się ciągle obfita wilgoć na ścianach i sklepieniu; ta kroplami na spód ścieka i ulatnia się, zostawiając po sobie wapno, z którego od wierzchu sople (stalaktyty), od spodu nacieki (stalagmity) nieustannie się tworzą, a za czasem jedne stykają się z drugiemi kształcąc tym sposobem filar podpierający sklepienie. Wewnętrzna ścian i sklepienia jaskini powierzchnia, jest pełna guzowatości, gdzieniegdzie dołów i zawsze chropowata; przeto wilgoć nie rozlewa się po nich jednostajnie, lecz spływając do kończystości, ścieka z nich na ziemię, i w miej-

(1) Wszystkie przypuścić się dające przyczyny, z jakich jaskinie w skałach powstać mogły, wyłożone są jasno we Wspomnieniach z podróży p. Ludomiła Jastrzębowskiego (*Roczniki gosp. krajow. tom XXV. str. 342*).

scu tego ściekania tworzy się u góry sopel, u dołu zaś stożkowata bryła nacieku. Takie stożkowatości utrudzają bardzo chód w jaskini, w której dotego, wszystko: sklepienie, ściany, dół, są mokre (1). Przewodnicy wchodzą tam z pochodniami, które dymiąc nie dozwalają długiego pobytu w podziemiu, a zarazem sklepienie, ściany i dno sadzami okrywając, czynią wnętrze jaskini niemiłém i nieczystém.

Powierzchowna barwa nagich skał, tak w Potoku jako i w Ojcowie, jest płowa; strony barwy gliniastéj są, jak się zdaje, powierzchnią późniejszego odłamu. Taką jest południowa strona wielkiéj skały, na któréj wznosi się Zamek Ojcowski: niewątpliwie usiłowanie ręki ludzkiéj dołożyło się do tego, że jest z téj strony tak stromą i niedostępną. Podobnież sławna maczuga w Pieskowéj Skale, zdaje się być tylko resztą skały, po odjęciu jéj wielkich odszczepów bocznych. Barwa biała na powierzchni skał niektórych, nie jest barwą kamienia ale porostów go okrywających, jakoto *Verrucaria calciseda*, *Variolaria lactea* i *V. dealbata*. Malowniczość skał podwyższa rosnąca nawet na ich cyplach trawa *Festuca glauca*, do naszéj koziéj brody (*Aira canescens*) podobna. Często gdy skała przedstawia zdaleka fantazyjną postać jakiego potwornego zwierzęcia albo posągu, trawa ta dorabia mu brwi albo brodę. Po każdym deszczu występują tu, równie jak i w Potoku, na powierzchnią skał dwa mianowicie gatunki ślimaków, *Helix nemoralis* i *Helix lapicida*, niezmiernie tu pospolite; tudzież rzadki gdzieindziéj wij *Polydesmus stigmatosus*, którego nie znajdowaliśmy około Potoka. Na takich powierzchniach skały których deszcz nie dosięga, np. w samorodnych niszach u góry, w małych jamach u ich sklepienia, na spodniéj powierzchni skały, jeśli ona tak jest wspartą bokiem, że podejść pod cały niemal jéj spód można, obiera siedlisko nie znajdujący się gdzieindziéj motylek nocny *Nudaria senex*, tamże i jaja swoje znoszący.

Prof. Jastrzębowski, który już szesnasty raz te piękne okolice zwiedzał i mianowicie florę tameczną badał, był nam przewodnikiem do każdéj rośliny ciekawszéj: podziwialiśmy jego pamięć z którą tak łatwo do każdéj miej-

(1) Karpiński zapewne myli się podając (w Podróży do Krakowa), że ściany i grunt Czajowickiej są wszędzie suche.

scowości trafiał, i tak niemylnie przypominał nam każdego gatunku nazwisko. Za nim tylko idąc moglibyśmy trafić do miejscowości w której przedstawiły się oczom naszym krzaki paproci *Scolopendrium officinale*, tak uderzające w naszéj florze, iż zdaje się, jakby z któréj cieplarni przeniesione tu zostały, pomiędzy przepaściste cyple jednego skupienia skał, na północnym spadzie góry Chełm położonego. Prof. Jastrzębowski znajdował w okolicach Ojcowa i inną rzadką z należących do flory naszéj roślinę, *Conyza squarrosa*. Niedaleko od góry Chełm, w różnych stronach lasu, buja, do znacznéj wysokości wzrastając, *Atropa belladona*. W cienistych miejscach lasów Ojcowskich spotyka się osobliwe *Geranium phaeum*, pospolitsze jeszcze w lasach przy Pieskowéj Skale. Inne jeszcze w tych lasach gatunki roślin, *Laserpitium latifolium*, *Cytisus capitatus*, *Hypericum hirsutum*, *Trifolium rubens* i *Trifolium flexuosum* i t. d. nie wszędzie się znajdujące, tudzież rzadkie u nas paprocie: *Asplenium viride* i *Polystichum aculeatum*, zastanawiały uwagę naszą. Godne i to wspomnienia, że pomiędzy Olkuszem, Rabsztynem i Ojcowem wszędzie w allejach i po ogrodach, widzieliśmy wielkolistną lipę *(Tilia grandifolia)*. Pamięć okolic Olkusza głęboko wrażają w umysł botanika: *Colchicum autumnale*, *Pinguicula vulgaris*, *Drosera anglica*, *Tofielda alpina* (między Bolesławem a Olkuszem). Galmanowe grunta pomiędzy Olkuszem a Rabsztynem, okrywa *Reseda lutea*, a na zwaliskach Rabsztyńskiego Zamku, jako chwast, rośnie *Erysimum hieracifolium* i *Athamantha libanotis*. Nad samym Prądnikiem w dolinie Ojcowskiéj, wilgotnawe miejsca niektóre zarasta *Tussilago petasites*, z liściami dochodzącemi wielkości łopianowych, po których przechadza się w dni pogodne największy nasz europejski gatunek wołka *Molytes fuscomaculatus*. Po wielkiéj powodzi d. 21 lipca, prawie ślad nie został ani téj rośliny, ani jéj owada. Pochyłości skał w Ojcowie, aż ku ich wierzchołkom dosyć bujna i rozmaita wegietacya okrywa. Na wiecznie cienistych, skałami zastąpionych przed słońcem, znajdowaliśmy *Arum maculatum*. Pochyłość południowéj góry, po któréj mieszkańcy doliny wdzierają się prosto na Zamek, przedstawia pospolite tam jak chwast, lecz gdzieindziéj mało znane ro-

śliny: *Salvia verticillata*, *Nepeta nuda*, *Prenanthes muralis*, *Chenopodium bonus Henricus*, *Carlina acaulis* i t. d. Nie ma nic znamienitszego, jak kiedy ta ostatnia na pochyłości wału jakiego zakwitnie. Mieliśmy rzadki tego widok na drodze z Czajowic do Bębła, nad którą grunt górujący, ukośnie ścięty i zarosły murawą, przystroił się nagle w te błękitno białe kokardy, jakby przyszyte do ziemi, i których dotknienia broni naokoło gromadka liści tejże rośliny od ostu kolczystszych. Na wyniosłości skał pod wysoką górą, w której się rozciąga jaskinia Ojcowska, jest jedno miejsce które polubiła osobliwa trawa *Stipa pennata*, wielka, znakomita swą pierzastą wiechą, tam tylko rosnąca. Pochyłość wszystkich skał na ich wschodnim ciągu w dolinie Ojcowskiéj, zachodniém oświecaną słońcem, gdzie nieco wilgotniéj pokrywa *Epipactis palustris*, gdzie sucho *Cynanchum vincetoxicum*. Ta ostatnia jest ulubioném siedliskiem najrzadszych i najrozmaitszych owadów; na niéj żyją ciekawe gatunki z rodz. *Chrysomela*, *Cryptocephalus* i t. p. z muchowatych piękne z rodz. *Trypeta*, z świerszczowatych różne, mało jeszcze poznane pasikoniki *(Locusta)*, z pluskwowatych okazały *Lygaeus equestris* i inne, tudzież bardzo osobliwe i rzadkie skoczki z rodzaju *Cixia* i t. d. Od Ojcowskiego zamku roślina ta ciągnie się pod lewym skał rzędem aż na Prądnik, gdzie znowu przemaga, rzadko jéj zrazu towarzysząca, *Cerinthe minor*, zwracająca w sierpniu uwagę swoim niebieskawo-zielonym kolorem liści i osobliwém ukształceniem koron żółtych. Słowem flora skał Ojcowskich zasługuje na osobne zbadanie i opisanie: miejscowość tak różniąca się od reszty kraju, pociąga różnice i w roślinach, nawet gatunków wszędzie pospolitych. Kruszewina *(Rhamnus frangula)*, suchodrzewka *(Lonicera xylosteum)*, trzmielina *(Evonymus europaeus)*, krzewy tak znajome, w tłumie tamecznych zarośli, przedstawią nieraz tak niezwykłą barwę albo wielkość liścia, że zastanowić się potrzeba, ażeby w nich to czém są uznać. Pozioma kamionka *(Rubus saxatilis)* naszych lasów, tam stała się krzewiną z jeżynami czasem o wzrost walczącą. Nigdzie nie rodzi obficiéj i dłużéj poziomka *(Fragaria vesca)*, ta skał miłośniczka: okrywając ona skałę naokoło, stosuje się z dojrzałością owocu do położenia, które jéj wypadło: tak, iż

przed ścianami od północy, we wrześniu jeszcze dorodnych jagód nazbierać można. Jeżyna obficie rosnąca na haliznach lasów tutejszych, większa od naszéj *Rubus fruticosus*, jest gatunkiem osobnym, jednym z tych, które u systematyków pod nazwę *R. glandulosus* przypadły. Koralowy bez (*Sambucus racemosa*), zachodząc aż na urwiska skał wysokich, jakże malowniczo je przystraja ognistą czerwonością swych jagód. Nie mogliśmy oderwać oczu od jednego, gron pełnego krzaka téj rośliny, który obrał sobie niedostępne siedlisko na wierzchu wysokiéj arkady, wznoszącéj się wśród gruzów spustoszałego dziś zamku w Pieskowéj Skale, jakby chciał nagradzać swą barwą zniszczone malowidła tych ścian okazałych, płowiejące jeszcze pod otwartém niebem.

Lesiste góry, pod któremi dolina Ojcowska na wschód się skręca, wywiodą do okolic, w których brzezina pomiędzy drzewami przemaga; i tu na odosobnionych gliniastych pagórkach dadzą się widzieć gaiki sławnéj brzozy ojcowskiéj, uchodzącéj od czasów Bessera, za gatunek oddzielny, przez niego *Betula oycoviensis* nazwany: lecz który może jest tylko miejscową odmianą, tyle odstępującą od zwyczajnéj brzozy, co *Pinus mughus* karpacki, od sosny zwyczajnéj. Na dębinie pokrywającéj najwyższe wzgórza koło Ojcowa, żyją dwa skoczkowate gatunki, *Ledra aurita* i *Issus coleoptratus*, na bukach *Tettigometra obliqua*, a na jałowcach bardzo tam pospolita *Tettigometra virescens*. Jeszcze w końcu lipca znaleźliśmy w dolinie pod skałą, żywą samicę jelonka (*Lucanus cervus*). Ze szczypawek są w okolicznych lasach: *Procrustes coriaceus*, *Carabus violaceus* ze wszystkich tam najpospolitszy, *Carabus auronitens*, *C. Linnaei*. P. Taczanowski znalazł w samym zamku Pieskowéj Skały, szczypawkę rzadką *Carabus catenulatus*. Ponad małemi łąkami w dolinie Ojcowskiéj, przez które kręty Prądnik przepływa, wzlatują za każdym krokiem dwa dzienne motyle: *Hipparchia sibilla* i *Satyrus stygne*, ostatni nie wymieniony między motylami gór szlązkich. W miesiącu lipcu widać tamże piękny żyłkoskrzydły owad z pstremi skrzydełkami, *Osmylus maculatus*, szukający pożywienia wieczorem na ostach w dolinie rosnących, a dla

spoczynku zalatujący ciężkim lotem albo na wysokie skał ściany, albo na drzewa po dolinie rozrzucone. Bliżéj brzegów strumyka, wzlatują ponad roślinami wodnemi piękne odmiany łątki *Agrion virgo*. W wodach Prądnika, oprócz pstrągów *(Salmo fario)*, pospolitemi są rybkami, tak zwane przez mieszkańców pałosze *(Cottus gobio Lin.)* i szczebla *(Cyprinus phoxinus)*, obiedwie od ludu do jedzenia używane. Przy źródełkach zpod skał wypływających, które Prądnik zasilają, znaléźć można piękny mały gatunek ślimaka: *Helix rotundata*. Na grzbietach skał okolicznych, poruszając pulchną brunatną ziemię, z gnicia tam liści powstającą, pomiędzy tysiącami jestestw żywych, schronienie w niéj mających, wynaléźć można prawie wszystkie gatunki wijów naszych, ponieważ prócz tych, które wszędzie się znajdą, natrafiały się często: *Geophilus electricus*, *Polyxenus lagurus*, *Polydesmus stigmatosus*, *Craspedosoma polydesmoides*, *Iulus unciger*, *Iulus dispar*. Tamże i ze skoczogonnych często się napotyka mało dotąd poznany *Campodea staphylinus* Gervais, indywidua wzrostu częstokroć niepospolitego i głębszéj żółtości, jakim podobne znaléźć można i w Potoku, pomiędzy liśćmi obok skał gnijącemi. Wpośród tych wijów i owadów żyje rzadki w naszych stronach pająk, *Trogulus nepaeformis*, tam pospolity i do znacznego dochodzący wzrostu. Tą zupełnością wzrostu, jako rozwijającego się pod wpływem wygód i spokojności, odznacza się tamże *Iulus sabulosus* i *Glomeris pustulata*, któréj wszelkie odmiany na skałach się znajdą. W miejscach wcale innéj natury, bo zacienionych, do których ledwie promyk wschodzącego słońca dochodzi, w ziemi wilgotnéj i czarnéj, prof. Waga odkrył w Ojcowie nowy z tego ostatniego rodzaju, drobny gatunek, który pod nazwiskiem *Glomeris costata*, następnie ze szczegółami opisze. Nie można téż pominąć wzmianki i o dżdżownicy *(Lumbricus)*, gatunku jednym z najokazalszych w tym rodzaju, nie objętym monografią W. Hoffmeistera, a bardzo pospolitym w ciemnych lasach Ojcowa, gdzie się utrzymuje w próchnie wilgotném pod korą na butwiejących pniach jodeł. Gatunek ten, należący do największych naszych, ozdobiony jest w całéj długości ciała czerwonemi obrączkami na tle cielistém. Prof. Waga natrafiono raz, już pod noc, liczne

indywidua jego do ręki biorąc, postrzegł, że te pierścienice za ujęciem ręką, wydają mocne fosforyczne światełko; włożone zaś do spirytusu, całą jego massę oświecają tak, iż to oświecenie trwa przez kilka minut, w ciemności widoczne.

Zpomiędzy ptaków, drozd zwyczajny *(Turdus musicus)*, ożywiał swoim śpiewem lasy Ojcowskie przez cały czas pobytu naszego w Ojcowie: głos jednego, mającego swe gniazdo na sąsiedniéj mieszkaniu naszemu skale, dniem i nocą wokoło nas się rozlegał. P. Taczanowski znajdował i skalnego *(Turdus saxatilis)*, tak na Ojcowskich jako i w większéj jeszcze ilości na Jerzmanowickich skałach. Czarnogłową pokląskwę *(Saxicola rubicola)*, któréj ten ornitolog przez całą podróż naszą upatrywał, znalazł dopiéro w dolinie Ojcowskiéj, a następnie i w całéj téj okolicy ku Jerzmanowicom i Szklarom. Pliszka wolarka *(Motacilla boarula)*, jest w tychże okolicach bardzo pospolitym ptaszkiem, a nadzwyczajnie licznie w nich znajduje się kulczyk *(Fringilla serinus)*. Rzecz szczególna, że ani w dolinie Ojcowskiéj ani w jéj rozgałęzieniach nie utrzymują się wróble domowe *(Fringilla domestica)*: słyszeliśmy od mieszkańców, iż tylko w zimie tam zalatują. P. Taczanowski znalazł w Ojcowie gniazdo pokrzewki zwanéj kopciuszką *(Sylvia thitis)*, ptaszka, który tylko tych skalistych trzyma się okolic.

Gatunki zwierząt ssących wszystkim naszym lasom właściwe, znajdują się i koło Ojcowa: tu nawet bezpieczniejsze niżeli gdzieindziéj. Na ostatecznych cyplach skały *Rękawicą* zwanéj, postrzegaliśmy ślady zająca: mocno nas zastanowiło, że to zwierzę tak wysoko załazi, ale nas upewniano, że zające w Ojcowie uciekają przed psami wprost na skały, nawet najwyższe, i kryją się do jam i szczelin w tych skałach, dla psów niedostępnych. Ztąd też niektóre późnéj tam dochodzą starości. Mówiono, że raz ubito jednego, który wszelkie cechy zgrzybiałości przedstawiał: między innemi, miał mieć całkowicie zużyte zęby; ale nie można było całkowicie ufać temu podaniu, bo zającowi zęby, w miarę zużywania się, ciągle odrastają. Zachodzi w dolinę Ojcowską i wilk, pospolity w okolicznych lasach. Przy jednem skupieniu skał przepaścistych w lesie, widzie-

liśmy lisa; widokiem człowieka bynajmniej się on niezrażał, jako pewny bezpiecznego tuż obok siebie schronienia w niedostępnych załomach skały, w których się też i ukrył zwolna, gdyśmy coraz bliżéj przystępowali do niego. Byliśmy także obecni i śmiałemu napadowi wilka na trzodę pod lasem, niedołężnie przez dziecko pilnowaną, z któréj barana porwawszy, zniknął z tą zdobyczą w głębi skalistego lasu.

Lecz przystąpimy teraz do szczegółowego opisania postrzeżeń naszych nad zwierzętami rzadszemi, któreśmy w téj podróży znajdowali.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA LITERACKA.

ESTETYKA I POEZYA.

1) *Estetyka czyli Umnictwo piękne, przez* Karola Libelta. *Tomów* 2. 1854.
2) *Senatorska zgoda tradycya szlachecka, opowiedział* Wincenty Poll. 1854.
3) *Urodzony Jan Dęboróg, dzieje jego rodu, głowy i serca, przez* Władysława Syrokomlę. 1854.
4) *Tomira Misterium, przez* Deotymę. 1854.

Mamy przed sobą kilka pism z ostatnich r. z. ogłoszeń, a które wszystkie, powiédzmy to z góry, nietylko ze swego zadania ale i ze swéj istoty, do oddziału piękna należą. Piérwsze z nich poświęcone jest wyszukiwaniu i oznaczaniu pierwiastku piękna w ogóle, trzy drugie są uosobieniem tego pierwiastku w kształcie poezyi. Podajemy tu każdego z tych pism krótką treść i krótką charakterystykę.

Dwa tomy *Estetyki* p. Libelta stanowią część IIgą i IIIcią estetyki jego wydanéj przed kilką laty, jako tom 2gi *Filozofii i Krytyki*, a poświęconéj ogólnéj teoryi sztuk pięknych. Estetyka, ta nauka tak nowa, utworzona bowiem dopiéro w połowie wieku zeszłego, dla oznaczenia w encyklopedyi filozoficznych nauk oddziału *pojęcia piękna*, nie ustaliła jeszcze nawet swego przedmiotu i nie przestaje rozszerzać swych ram. Piérwsze niegdyś estetyki zajmowały się prawie wyłącznie rozbiorem i ocenianiem piękna w sztuce *słowa* (wymowie i poezyi), następne w ogóle *sztuk pięknych*, w ostatnich wreszcie latach, dopuszczono i wzięto pod rozbiór: byt piękna, w ogóle *natury* stworzonéj, i ten to ostatni zwrot jest właśnie przedmiotem zadania tych dwóch nowych tomów estetyki.

Wykład swój piękna natury, autor umnictwa pięknego, oparł na wydanym przez siebie przed parą laty *Systemie umnictwa*. Pierwiastkiem *idei* (ducha) jest, według tego systemu, nietylko jak to utrzymywała filozofia niemiecka: *myśl*, czyli *rozum*, ale trzy, jakkolwiek zawsze spółbytne lecz różne pierwiastki, *rozum*, *wyobraźnia i wola*. Te trzy pierwiastki w rozwinieniu się swojém, odbiciu, tworzą trzy odpowiednie sobie oddziały: *prawdy*, *piękna i dobra*. Piękno to twór *wyobraźni*, a więc idei na stanowisku *dwójcy*, nie jest to przeto odbicie się owéj niemieckiéj tylko *idei* (myśli); ale *kształtowanéj idei*. Mieści się ono nietylko w *treści* ale i *formie*, nietylko też w *sztuce* (utworze *myśli)*, lecz i w *naturze*. Piękność oceniamy *pojęciem*, natura, jestto rzec można, uważa autor, sztuka piękna samego Boga i piękność jéj może jedynie pojąć sam Bóg, ztąd też dla nas ta piękność jest niższa niż w sztuce, wszakże jakkolwiek niższa, pięknością jest rzeczywistą, natura bowiem, to odbicie się *ducha* żywego, który jest *i w człowieku*. Trzy pierwiastki *prawdy*, *piękna* i *dobra*, które odbite w sztuce, przedstawiały się jako *treść*, *forma* i *rzeczywistość*, w naturze odbijają się i przedstawiają: jako *rozmiary*, jako *kształty* i jako *wyraz* (koloryt); trzy te względy, tworzą też trzy odpowiednie sobie oddziały estetyki p. Kar. Lib., a mianowicie *architektoniki* natury, *skulptury* natury i *malarstwa* natury.

Co do *kriteryum* piękna, autor podaje zasadę: iż piękno w naturze jest wtenczas, gdy twór jéj jaki jedną z właściwości swoich uwydatnić może (jak np. drzewo na wiosnę); uwydatnienie bowiem to *właściwości*, jest uwydatnieniem się *duchowości* (ideału Bożego), a ztąd wrażenie estetyczne (czyli wrażenie piękna) na nas sprawia; i opierając się na téj zasadzie, rozważa po kolei pod każdym z powyższych oddziałów szczegóły piękna natury.

Pod oddziałem *architektoniki*, autor określa i ocenia ogólne powierzchnie ziemi i różne rodzaje ich; a mianowicie: najprzód takie, które odznaczają jedynie kontury i linie, jakoto pustynie, stepy, lody, pasma gór, morza i t. d., i oddział ten mianuje architektoniką *właściwą;* następnie utwory takie, które wprawdzie nie są już tylko konturem, ale kształtem swym (korzeniem) przytrzymane są jeszcze do ziemi, jako porosty, mchy, minerały, kryształy, a nawet rośliny i drzewa, których *owoc* dopiéro oddziela się i formuje odrębny kształt, i oddział ten zowie architektoniką *ornamentalną*.

W przedstawieniu tych wszystkich szczegółów architektoniki natury, zwłaszcza *właściwéj*, autor poprzestaje na samém prawie skreśleniu istoty ich i mało czyni wniosku co do głównego przedmiotu swego, t. j. tkwiącego w nich pierwiastku piękna, a zwraca tylko uwagę, iż celów czyli właściwości tych utworów Bożych, poznanie ludzkie najmniéj zdolne pochwycić na ludzką skalę i mało na pozór nawzajem zdają się należéć do siebie. „Natura, mówi, mało się troszczyć zdaje o rozwój dziejowy na

ziemi. Dzień po dniu, noc po nocy, piękności swoje roztacza, mało dbała czego i jakie pokolenia w urocze oblicze jéj patrzą. Architektonika natury, musi być obsłoną wyższéj idei niżeli jest idea ducha nieśmiertelnego *ludzkiego*." To zbliżenie natury z człowiekiem i zrozumienie jéj przez człowieka, zdaniem autora w przyszłości dopiéro nastąpi, gdy jego duch się podniesie. »Przeznaczeniem człowieka, uważa, jest zrobić sobie z czasem z tego tutecznego pobytu raj ziemski i sprawić, iżby się wola Boża na ziemi jak na niebie spełniała, wtenczas też dopiéro (kiedy królestwo niebieskie na ziemi zapanuje) rodzaj ludzki wejdzie w ściślejsze połączenie z Bogiem i ziemia w architektonicznéj piękności swojéj, stanie się nietylko symbolem przytomnego w niéj Boga ale i człowieka, co się do Boga podniósł i duchem ją swoim napełnił."

W oddziale następnym *Skulptura natury*, aut. rozważa piękno na stanowisku *kształtów* i przegląda różne proporcye i formy oddzielnych kształtów w naturze, zacząwszy od *skamieniałości* i *zwierzokrzewów* do istot *ludzkich*. Oddział ten w estetyce autora jest najcharakterystyczniejszym i najszczegółowiéj wyrobionym. Aut. rozważa w nim świat piękna, w sposobie jak ten z chaosu się wydobywał, zastanawia się nad kształtami różnych utworów ziemskich w téj prawie kolei, jak ukazywanie się ich wymienia *Genesis*, i rozwija tu tę zasadę i spostrzeżenie: że w kształtach tych daje się widzieć stopniowe doskonalenie się *form* czyli *ciała*, aż się to w końcu uczyniło godném stać się mieszkaniem ducha nieśmiertelnego.

Przytaczamy tu główne rysy tego oddziału, zaczynając od punktu zwrotu do zwierząt pacierzowych.

Piérwsze próby pacierzowych zwierząt, uważa autor, natura robiła jakby w chowaniu, w wodach, w różny sposób probując układać przyszłe ich formy. Głowa zwłaszcza „ta panująca część ustroju wyższych jestestw", i położenie oczu, „które się miały stać oknami duszy i są znowu panującą częścią głowy" były tu przedmiotem najrozmaitszych prób kształtowych. Oczy te ukazują się tu (t. j. u *ryb*) już na wierzchołku czaszki, to niżéj skrzeli, to z obydwóch boków, to z jednéj strony i t. p. „Po tych doświadczeniach czynionych w żywiole wody, skulptura natury posuwa się o stopień wyżéj i wysadza na ląd wodne twory swoje," kształty te nader dalekie jeszcze od form człowieczych, ich godłem więc szpetność, brzydota, „która tém obrzydliwsza, uważa autor, że występuje na jaśnią świata słonecznego." W ruchach *płazów* natura wahała się między płetwą i nogą, płazy zdają się pływać po ziemi. „*Owady* i *ptaki* robią estetyczne wrażenie bardziéj w gromadzie jak pojedyńczo; są to jeszcze ślady roślinnego charakteru, gdzie dla braku samoistnego tworu, ich mnogość zastępowała jednostkę i układała się w formy piękne;" doskonalszość budowy widna jednak i pojedyńczo, zwłaszcza u ptaków. „Przednia para płetw wyrosła w skrzydła, tylne płetwy, które jak u żaby zmieniły

się w parę nóg do skakania, u ptaków wyrosły na nogi do chodzenia, łuski rybie zamieniły się w pierze." Typ wreszcie *zwierząt ssących* odział się w nieskończenie wyższe piękności, których ptastwu nie dostawało; „aby dojść stopniami do rąk i ramion ludzkich, jako najzdolniejszych narzędzi przyszłéj intelligencyi człowieka, trzeba jéj było (naturze) nawrócić do czworonożnych płazów, nogom nadać silniejszą i piękniejszą budowę i zwolna przez zwierzęta siadające na tylnych nogach, i daléj ród małpi, *prostować kość pacierzową*." Znikła *łuska i pierze*, a miejsce ich zastąpiło pokrycie z *delikatnych włókien* wełny lub sierci. Stopniowe rozwijanie się cech może też być ocenione nietylko zmysłem oka ale i słuchu; „niemy był świat rybi, dukający i rechcący świat płazów, grzmiało powietrze wrzawą śpiewaków leśnych, zwierz ssący wydaje głos równie, ale nigdy jako śpiew, głos jego jest wyrazem obudzonego uczucia." Najpodobniejszym wreście utworem do człowieka jest *małpa*, autor wszakże dodaje, iż utwor ten mimo to nie przedstawia w swych kształtach piękna rzeczywistego, a to z powodu, iż te nie obejmują zarazem téj właściwości, która być winna ich celem. „W uczuciu piękna, uważa, leży jakieś głębokie poczucie form i właściwości, tak tych które są wyrazem duszy zwierzęcéj, jak tych w które się duch nieśmiertelny obleka. Ztąd przerzucenie tych form na niewłaściwe treści, sprawia odrazę mimowolną." Podobieństwo kształtów fizycznych rodu małpiego autor kładzie za źródło istnącéj w nich chęci i do duchowego naśladownictwa. „Małpy pod psychicznym względem stanęły na samym zrębie zwierzęcości i poglądają ciekawie w ludzką krainę ducha; co tam widzą, radeby sobie przyswoić i przyswajają przez naśladownictwo, ale z czystéj ciekawości, *nie przez popęd do kształcenia się*, którego nie mają. „Małpa i człowiek w takiéj są odstani od siebie, jak niebo i woda, chociaż w zwierciedle wody całe niebo z słońcem i wszystkiemi gwiazdami się odbija." Przechodząc wreszcie do człowieka, autor raz jeszcze zwraca uwagę, iż w budowie tego utworu wszystkie poprzednie kształty spostrzegane w składzie istot zwierzęcych, a mianowicie kości pacierzowéj, głowy, narzędzi zmysłów i ruchu, doskonałość i estetyczne ukształcenie się swoje znalazły; dodaje wnet jednak, iż to co głównie stanowi tę doskonałość, t j. nadaje piękność rzetelną tym formom, nie jest to tyle ich zewnętrzność jak raczéj ich wewnętrzność, t. j. spoczywająca w nich zdatność, lub jeszcze krócéj i jaśniéj, *duch* ludzki. „Trup przestaje być przedmiotem piękna natury dlatego, że przestaje być wyrazem ducha." Ciało znowu uśpione, lubo jeszcze wyraża życie, „ale życie nie ducha, tylko duszy; jakby piękna roślina rozciągnięta bez rozumu i woli." Porównywając dwie płcie, autor w jednéj znich widzi ostateczny wyraz rozwinienia się wewnętrznego, a w drugiéj zewnętrznego piękna natury. Dowód tego znajduje nawet w powodach wzajemnego upodobania. Rzecby można, uważa, że w niewieście odsłania się jeszcze piękno natury w całéj swojéj plastycznéj świetności, zaś w mężczyznie

już z form natury prześwietla idealne piękno ducha. Stąd to mężczyzna w kobiecie zawsze kocha naturę i jéj wdziękami usidla się, przeciwnie kobieta nie szuka w mężczyznie piękna natury, ale kocha się więcéj w ideale ducha jego." „Jako najwyższy stopień wyrazowego piękna (człowiek w ogóle) przerzucić się musi w idealne piękno natury, a jako duch nieśmiertelny położy fundament do piękna moralnego." Autor określa daléj i rozważa piękność t. j. rozmaitość cech piękna ludzkiego pod względem różności wieku, charakterów, temperamentów, stanów, zajęcia się, ras, rodów i wreszcie narodowości; te ostatnie uważa nie jako państwa ale jako fizycznie i moralnie oddzielone familie społeczeńskie, i w ustępie tym taką między innemi pod względem swego przedmiotu (t. j. estetycznym) zapisuje uwagę. „Te familie (narodowości) są to pojedyncze czynniki w dziejowéj pracy, rzec można ponaciągane strony na lutni człowieczeństwa, na których niewidzialna ręka sprawiedliwości i konieczności wydobywa hymn chwały Boga wiekuistego, a brzmienia tego hymnu nieraz rażące straszliwemi dyssonansami, dopiero w wiekach do zgodnéj i wdzięcznéj harmonii układają się."

W trzecim i ostatnim oddziale *malarstwo natury*, autor rozjaśnia piękność natury pod względem jéj *wyrazu*. „Wyraz jestto *wygląd* z czegoś, jestto *wyjawienie się* treści z jakiejś formy, jestto *tchnienie życia* z jakiegoś przedmiotu." Wyraz pewien tkwi równie i w konturach i kształtach jak barwie, ztąd téż *malarstwo natury* dzieli autor na *rozmiarowe, kształtowe i wyrazowe*, i określa je w szczególności: w *światłach* (niebieskich i ziemskich), *cieniach* (które ma za przeczenie bytu, życia i światła, ztąd za źródła smutku dla uczuć), *kolorach* i *farbach* (przyjmując tu między innemi za zasadę: „w pięknym kształcie jest piękne ubarwienie, niejako w pięknem ciele piękna dusza"), i wreszcie oznacza *piękno wyrazowe* w odniesieniu do rzeczy kopalnych, roślin, zwierząt i człowieka. Kończąc wykład swój i zwracając uwagę na przebieżone przez siebie zadanie, na cel swéj pracy, cel swéj nauki, autor między innemi mówi tu: „co w Piśmie św. powiedziano, iż są ludzie, co mają oczy ku widzeniu a nie widzą, uszy ku słyszeniu a nie słyszą, to się w całéj rozciągłości tego znaczenia da do piękna natury zastosować. Tysiące i miliony ocz na nią patrzą a nie widzą, tysiące widzą a nie pojmują." „Estetyka wnika w piękność i opisuje ją." O pracy zaś swojéj w szczególności ten skromny dodaje sąd: „Czujemy dobrze, iż praca którą podjęliśmy nader daleką jest jeszcze od wyczerpnięcia przedmiotu którego dotknęła, iż jest ledwie: słabém światełkiem ku rozświeceniu piękna natury, które się rozlewa przez nieskończoność przestrzeni, przez nieskończoność kształtów i przez nieskończoność kolorów i świateł. W pokorze ducha powtarzamy z Psalmistą i Ekklesiastykiem Pańskim: „wszystko co jedno chciał Pan uczynił na niebie, na ziemi, na morzu, i we wszystkich przepaściach." „Któż wystawi możności Pańskie? da w posłuch wszystkie chwały Jego."

W opieraniu się o te punkta i w takich ramach rozwiniętym jest wykład piękna natury w obecnéj Estetyce.

Nie na wszystko zapewne w wykładzie tym moglibyśmy przystać, nie wszystko możemy uznać za krok posługujący do trafniejszego rozpoznania piękna w naturze; lecz w nauce o któréj podobno rzec nawet jeszcze nie możemy, iż już stawia piérwsze swe kroki, a tylko, iż dopiéro się narodziła iżby je z czasem stawiać, żądać nieomylności byłoby to żądać z góry rzeczy przeciw naturze, przeciw téj piękności natury o któréj mowa.

Jak nieustalonym jest jeszcze sam przedmiot estetyki, i ztąd wykład jéj być musi ruchliwy: sam to najlepiéj czuć może, i sam to uczucie właśnie poświadczył autor obecnéj estetyki, gdy w krótkim przeciągu czasu, po trzykroć dotykając tego przedmiotu, po trzykroć, z gruntu rzec można sposób zapatrywania się nań przemieniał. Pierwszém w tym względzie pismem autora był *Wstęp do Estetyki* (umieszczony w *Bibliotece Warszaw.* z r. 1842), a wstęp ten, naśladowanie Wstępu do Estetyki Hegla był téż odbiciem i powtórzeniem zasad tego autora w uznawaniu istoty piękna, t. j. w oglądaniu go w *Idei bezwzględnéj*, przychodzącéj w rozwiciu się swojém do stanu piękna przez dzieła *uznającego się w sobie ducha* (ludzkiego). W estetyce stanowiącéj tom 2gi *Filozofii* i *Krytyki* autor uważał już piękność nie jako przeglądanie idei Heglicznéj *(myśli)*, lecz jako twór *wyobraźni* (oddzielnego pierwiastku od myśli), zawsze jednak oglądał ją tylko w dziełach ducha ludzkiego (sztuce). W obecném wreszcie piśmie, jak właśnie widzieliśmy, dopuścił i oceniał piękność nawet w naturze t. j. *bezwiednym* przedmiocie.

Mówiąc o ogólném stanowisku autora, powiédzmy tu najprzód: iż nie mamy mu wcale do zarzucenia téj przemiany ram i widoków, są to bowiem owszem świadectwa nie samolubnéj, ale rzetelnéj prawdy, szukającéj rozwagi; i owszem mamy raczéj do zarzucenia utrzymywanie się niekiedy mimo zmianę tych ram, przy niektórych założeniach i zdaniach raz niegdyś wyrzeczonych, jedynie jak się zdaje dlatego, że już raz wyrzeczone zostały; a takiemi np. są myśli dotykane i rozwijane w obecnéj estetyce (wstęp 1—35), iż sztuka »sama w sobie jest celem" iż »piękność w sztuce wyższa jest niż piękno w naturze" i t. p.

Że sztuka sama sobie jest celem, było to zdanie przypadające dość trafnie, a nawet wypływające koniecznie z systematu Hegla, gdzie określeniem gałęzi sztuki było, iż jest to »idea w objawie swego piękna", gdzie zatém za jedyną jéj istotę, a ztąd i cel, należało uważać piękno; lecz zdanie to usunioném być mogło z *Estetyki* autora (części ogólnéj), gdzie sztuka nieuważaną już była, jako wyłącznie twór konieczności; dziwacznem zaś jest zupełnie w swém ponowieniu w obecnéj estetyce, gdzie się dopuszcza: że piękność jest równie w naturze jak w sztuce, a więc: że sztuka nie jest *wyłącznie* uosobieniem piękna, iż *piękno*

jest w niéj tylko jednym z *pierwiastków* jak wszędzie, nie zaś *istotą* jéj.

Twierdzenie: że piękność sztuki jest wyższą niż piękność natury, jestto także skutek niewolnictwa niejakiego dla wyobrażeń zrazu dzielonych o piękności i sztuce. System Hegla nie dozwalał oglądać piękna, jak dopiéro wspomnieliśmy w naturze martwéj jako martwéj, niektórzy estetycy nowi, lewi Hegliści (jak Arn. *Ruge*, Fryd. *Vischer* i t. p.) odważyli się jednak, mimo ramy systemu, uznać byt tego pierwiastku w naturze, twierdząc tylko, iż jest on tu na stopniu *zarodku*, a przychodzi do zupełnéj swojéj doskonałości dopiéro w *Sztuce* (utworach ducha), lecz oto autor estetyki, o któréj mówimy, opiera się na systemacie własnym, natury nie ma bynajmniéj za *przedmiotową* konieczność, ale za utwór *woli* Ducha Bożego, „sztukę piękną samego Boga" (I. 2); dla czegoż więc piękność jéj ma za niższą niż piękność dzieł ludzkich? „Dlatego, twierdzi, iż nie jesteśmy zdolni *objąć* piękności téj." Lecz oto twierdzenie takie, jest to inaczéj następne: pojęcie doskonałe uważa dany przedmiot za piękny, pojęcie niedoskonałe nie uważa tego przedmiotu za piękny; prawdą więc jest to, co mówi pojęcie niedoskonałe. Natura jest dziełem ducha Bożego, sztuka ludzkiego, piękność tych dzieł tak się więc ma do siebie, jak ich pierwiastki. Cechą najdoskonalszego dzieła ludzkiego, zawsze będzie ułomność, brak życia. I Salomon w swojéj ozdobie nie był tak pięknie ubranym jak jedna lilia. „Teorya pięknéj natury, mówi autor, stanowi jakby tylko rozległe *przysionki* do saméj teoryi sztuk pięknych, które są jakby świątynią, mieszczącą w sobie jakby *sanctissimum* naszego nieśmiertelnego ducha", jeżeli jednak ważną jest ta świątynia, która mieści w sobie sanctissimum ducha *ludzkiego* (sztuki), tym ważniejszą być musi ta, która mieści sam ludzki duch, jego *całość* (*Ciało* ludzkie, natura). W duchu tym ludzkim nadto, którego pierwiastkiem, według założenia samego autora, jest nietylko *twórczość* ale też *mądrość*, *miłość (wola)* i t. p. nie rozumiemy nawet dla czego jedynie twórczość (pierwiastek zamknięty w sztuce) miałby stanowić jego *sanctissimum*. Jałmużna przez biednego rzucona, noc poświęcona choremu, więcéj może w swéj treści mieszczą świętości niżeli Wenus Medycejska.

Co do szczegółów estetyki autora, zwrócimy tu bliższą uwagę na *ramy*, w których ją rozwinął, zasadę czyli *kryteryum* uznania piękna w naturze, którą przyjął i wreszcie na niektóre szczególne twierdzenia w wykładzie i cel ogólny.

Jak w obraniu przedmiotu, tojest wzięciu pod rozbiór pierwiastków piękna w naturze, tak też w przedstawieniu niektórych części tego przedmiotu, autor wyszedł mianowicie z *Estetyki* Fryd. *Vischera* (professora estetyki i literatury niemieckiéj w Tubindze, jednego z główniejszych siedlisk lewego Heglizmu); ale oprócz dodania licznych spostrzeżeń, już własnych, już zkądinąd czerpanych w wykładzie szczegółów natury, odróżnił się też autor od swego źródła, użyciem *ram* innych do tego wykładu i oznaczeniem innego kryteryum w ocenieniu istoty piękna.

Dla czego mianowicie *Estetyka* o któréj mówimy, żywotniejszą jest od Estetyki Fr. *Vischera*, wnet niżéj powiemy; lecz autor myli się twierdząc, iż główna poprawa jego w ocenieniu piękna natury, spoczywa w przyjętych przezeń ramach wykładu. Ramy przez autora przyjęte, tojest upatrzenie w szczegółach natury różnic pod względem *rozmiarów*, *kształtów*, *wyrazu*, i przedstawienie w tych oddziałach jéj szczegółów, nie wpłynęły bynajmniéj na bliższe objaśnienie piękna natury. Podział ten odpowiadać mający trójcy duchowéj, *rozumu*, *wyobraźni i woli*, zdaniem naszém, próżnobrzmiącym tylko jest formalizmem. Jeżeli wykład autora, mimo przyjęcie tych ram, nie stracił na interessie i na wartości, to właśnie dlatego, iż autor nie zważał na nie, ale w rozwinieniu swego przedmiotu dawał nam szczegółowie po kolei wykład cech estetycznych różnych oddziałów natury, nie ścieśniając się żadnemi granicami w ich oznaczaniu. Oddział naprzykład *architektoniki* czyli *rozmiarów*, jeżeli jest zajmującym i pięknym w estetyce, to dlatego, iż autor w rozważaniu odniesionych tu szczegółów, jako gór, pustyń, roślin, drzew i t. p., nietylko określał rozmiary czyli *kontury* i *linie* tych szczegółów, ale téż i ich *kształty* i *wyraz*; oddział *skulptury* czyli piękna *zwierząt*, iż nietylko określał szczegółowie ich kształty, ale téż i ich wyraz, koloryt, cechy nawet najrozmaitsze *wewnętrzne* (zwłaszcza w rozwadze człowieka) (1) i t. p. Oddział wreszcie ostatni, czyli *malarstwa* natury, jest zajmującym, iż autor mówi w nim o kilku szczegółach nowych, lecz wyrozumowanie potrzeby tego oddziału wyraźnie jest wysilone. O czémże mówić miał oddział mający rozjaśniać *wyraz*, *koloryt* utworów ziemskich, kiedy wyraz i koloryt wszystkich tych prawie utworów, określone już zostały w poprzednich oddziałach? Potrzebę tego oddziału usiłując autor usprawiedliwić, mówi między innemi: „iż *wyraz* tak się ma do *formy*, jak naprzykład *pałac* do jego *modelu*", lecz oto owe góry, przepaście, krajobrazy, rośliny, ptaki, czworonożne zwierzęta, ludzie i t. p., określane ze wszystkiemi szczegółami ich cech tak zewnętrznych jak i wewnętrznych w oddziałach *architektoniki* i *skulptury*, były to już najmniéj owe wykonane pałace, nie ich modele. Rozwinięty tu wykład szczegółów ogniów ziemskich i ogniów niebieskich, powinienby się był raczéj, tojest: mógłby

(1) W rozwadze różnych *narodowości charakterów*, *rodów* i t. p. istoty człowieka, autor wyłącznie prawie zajmował się *wewnętrznemi* cechami. O cechach naprzykład charakterystycznych mieszkańców Polski autor tak tu mówi z kolei: „ród lechowy rolniczy i wojenny, ma złożony charakter i fizjognomią z tego podwójnego usposobienia. Spokojny, ale rwisty. Skory do uniesień szlachetnych bez wytrwałości—pracowity bez rządności—hulaszczy *(sic)*, i wytrzymały na wszelkie znoje i trudy—dumny w powodzeniu -płaszczący się w nieszczęściu—czuły bez granic na honor i sławę i lekkomyślny bez miary, odważny w boju—potulny w domowém pożyciu, w ogóle, wielkie zdolności—ale i wielkie przywary. Płeć żeńska więcej ma trwałego uczucia, więcéj stałości charakteru". Takie i tém podobne określenia, oczewiście prędzéjby mogły należeć do oddziału *wyrazu*, jak do oddziału *kształtów*.

równie dobrze znaléźć w oddziale piérwszym, czyli owych konturów, gdzie określane były: powierzchnie, wody i t. p.; opowiedziane zaś następnie w oddziale tym „piękno *wyrazowe* rozmiarów i kształtów" czyli królestwa minerałów, roślin, zwierząt i t. p., jest tylko powtórzeniem skróconém tego, co już powiedzianém było wyżéj, rzeczywiście nawet *mniéj wyrazem*, albowiem mniéj zwracaniem uwagi na szczegóły.

Co do *kryteryum* oceniania istoty piękna w naturze, Autor zdaniem naszém, istotnie poprawił stanowisko swych poprzedników, nie w tém jednak co sam podaje za tę poprawę. Jakie jest rzeczywiście kryteryum, czyli sposób oznaczenia tego co jest pięknem w naturze, lub co niém nie jest? Ogólne w tym względzie twierdzenie wszystkich prawie estetyk niemieckich, ile je znamy, jest: iż piękność jest tam, gdzie okazuje się widocznie Idea bezwzględna. Było to kryteryum Estetyków, którzy nazywani byli Estetykami Młodych Niemiec (*Wienbary*, *Mundt*, *Laube* i t. p., którzy właśnie przed laty dziesięciu, jak u nas w tymże czasie autor o którym mówimy i *Listów z Krakowa*, do suchości dyalektycznéj Hegla, dodali téż byli ozdobność słowa i stosowanie); a między którymi Mundt naprzykład mówi: „Piękność jest to *idea sama*, ukazująca się w swojéj *rzeczywistości*" („Die Schönheit ist die als Wirhlichkeit gestalltete *Idee selbst*") i daléj: „Piękność, to anioł lecący Idei Bożéj, który posłany jest, aby do wszelkich drzwi kołatał, i ową ideę wnosił do pałaców i chatek." Jest to kryteryum także Estetyków dzisiejszéj lewéj Heglicznéj, którzy jak *Vischer* naprzykład mówią: iż piękność jest tam, gdzie *sam subjekt* w objekcie się ukazuje. Te jednak i tym podobne *kryterya* czyli teorye, jest to określanie tylko raczéj co jest piękność (djalektycznie) nie zaś *na czém zależy* (praktycznie); twierdzić naprzykład: iż piękność w naturze jest tam gdzie się okazuje *sam subjekt*, jest-to inaczéj mówiąc objaśniać małe *x*, przez wielkie *X*; uczucie to właśnie niedostateczności teoryi w tym względzie, było jak się zdaje źródłem ogłoszenia ostatniego w literaturze niemieckiéj, jakie znamy, a dosyć szczególnego zawarcia pisma w rzeczy teoryi piękności; autor jego (professor Rozenkranz) aby zapewne zbadać tym pewniéj, co w sztuce jest piękném, poświęcił oddzielne pismo badaniu tego co nie jest niém; i dla rozjaśnienia nauki piękności, wydał *Estetykę szpetności* (*Aesthetik der Hässlichen v. Kar. Rosenkranz* 1853 r.); w piśmie tém wszakże, rozwijającém zkądinąd po raz piérwszy szczegółowiéj sferę szpetnego, jako naprzykład tego, co *dzikie*, *wstrętne*, *ohydne*, *obmierzłe* i t. p. ogólny autora wniosek: iż „*absolutnie szpetne*, *to piękne*, gdyż przez *komiczność* przechodzi w kraj duchowości," kwestyą o któréj mówiemy, zatrzymuje na stanowisku dawném pod względem praktyki. Autor *Umnictwa piękna*, dopuściwszy na wzór Vischer'a bytność piękna w naturze, dodał wyraźnie: iż co do oznaczenia tego pierwiastku nie podziela kryteryum tego Estetyka. Vischer schodząc do praktyki twierdził: iż piękność w naturze jest wszędzie tam „gdzie *przypadek nie wtrąca szpetności*." Autor *umnictwa* twierdzi: iż „*przypadki* nie

istną nigdzie, nawet w naturze", i poprawiając regułę Vischer'a podaje następną do rozpoznania piękności: „Piękno w naturze, jest to objawienie się idei piękna w jéj *dodatniości*, a niepiękno, objawienie się owéj Idei w jéj *negacyi*" reguła ta, nie jest zupełnie fałszywą, ale pod względem praktycznym odpowiada zupełnie owéj o szukaniu subjektu w objekcie, i dlatego powiedzieliśmy, że to co autor sam w swoim wykładzie uważa za poprawę w określeniu kryteryum, nie jest rzeczywiście poprawą. Nader praktyczniejszemi są wszakże reguły szczególne, które autor po odłożeniu na bok teoryi ogólnéj, podaje w ciągu wykładu, a o których wspominaliśmy. Jedną naprzykład z tych reguł, jak widzieliśmy, jest: iż „utwór tym więcéj jest pięknym, im więcéj oznacza swoją właściwość;" na wniosek ten, wprawdzie nie możnaby się zgodzić bezwarunkowie, twór który odznacza dobrze swoją właściwość jest raczéj *doskonalszy*, a niekoniecznie piękniejszy, równie dobrze naprzykład odznacza swoją właściwość kwiat *ostu* jak i kwiat *róży*; ale zdaje się, że rzeczywistym celem autora, było tu raczéj wyrazić: iż twór témwięcéj jest pięknym, im więcéj *zgadujemy* jego właściwość; mówi bowiem *np.* wciągu wykładu: „natrafiamy w gatunkowym kształcie zwierząt na dziwotworne, kapryśne postacie, które wydawać się nam będą tém potworniejsze, że nie zgadujemy celu i myśli które wyobrażają" i w inném miejscu: „gdy odjęte zostaną pieczęcie z tajemniczych ksiąg natury, i myśl Boża jasno się uwyraźni pojęciu ludzkiemu, to przed tą wydatną treścią znikną w wyobraźni potworne formy." Te twierdzenia nader są praktyczniejsze i bliższe prawdy, lecz oto i w tym razie za wadę tego wykładu musimy uznać to, co uważaliśmy już jako ujemność w treści *systemu umnictwa* autora, tojest: iż w uwagach swych w wykładzie rzeczy stworzonych, zdaje się niedopuszczać, lub raczéj zapominać, na istnące w naturze: *upadek*, byt *złości* i t. p. Może niepowinniśmy dopuszczać, z Fryderykiem *Schleglem (Filozof. Hist:* T. I.) iż rodzaj małp jest utworem szatana na ironią najdoskonalszego dzieła Bożego na ziemi postawionym, ani z *Genesis* Zoroastrową *(Zendawesta)* iż *Aryman* ujrzawszy piękny utwór *Ormuzda* ziemię, potworzył na niéj przez zawiść, niedźwiadki, jaszczurki, zwierzęta i zioła szkodliwe i t. p.; wszakże tak lub inaczéj, wzgląd na zło rzeczywiste w naturze, wpływać winien koniecznie na wykład w teoryach rzeczywistości. Najtrafniejszą zapewne regułą autora, a która téż jest przewodniczką w całym wykładzie, jest owa: iż miarą piękności *kształtów* w utworach ziemskich (zwierzętach) jest miara przybliżania się do kształtów ciała ludzkiego, dodajmy tylko mówiąc o znaczeniu téj reguły w ogóle, iż kryteryum to, musi jeszcze dopuszczać byt (potrzebę wynalezienia) podrzędnych kryteryów, nie możemy bowiem *np.* (praktycznie mówiąc) zaprzeczyć, iż budowa zwierząt ssących doskonalszą jest niż ptaków, iż budowa owadów i płazów, bliższą jest budowy człowieka, niż ryb i roślin; a jednak nie możemy także zaprzeczyć, iż nie jeden ptak, piękniejszym się nam widzi, od wielu czworonogich, kwiat od owadów i płazów, i t. p. Rozwiązanie

zagadek tych, nie może nastąpić inaczéj, jak z *czasem*, tojest: zbliżając się do niego stopniowo, a to już kształcąc kryteryum piękna, w duchu wyłącznie prawdy teorytycznie, już upatrując i zapisując jakieś doraźne reguły i kryterya, zgodne także ze szczerą prawdą, empirycznie. Takich podrzędnych reguł i zdań mnogość właśnie jest w piśmie autora, dodać wszakże musimy, iż obok wielu, nietylko pomysłem świetnych, lecz i żywotnych, są także lub bezdowodne, lub jawnie mylne, a które przeto nie mogą mieć znaczenia prawd owych cząstkowych, służyć mających stopniem, do zbudowania kiedyś, jednéj ogólnéj. Wskażemy tu dla przykładu na kilka.

Mówiąc o wyższości budowy ciała ludzkiego nad budowę kształtową innych utworów, autor między innemi, jako na cechy téj wyższości, wskazuje bytność przy budowie głowy *podbródka*, brak w tylnéj stronie *ogona*, niemożność obracania głowy wokoło i t. p.; dla czego cechy te mają być wyższością, nie jest dowodnie wsparte; uznając jednak fakt a priori jako prawdziwy, tojest: przyjmując z góry za zasadę, iż wszystko czém się różni budowa istoty ludzkiéj od innych, jest wyższém, zwrot uwagi na fakta te, mógłby istotnie rozjaśniać drogę do szukania nowych kryteryów.

„Zwierzęta im daléj są od światła, w wodach, błotach, tém są brudniejsze, *czarniejsze*", uważa autor. Kryteryum to, mylne jest wyraźnie, przynajmniéj co do ostatniéj barwy; utwory najbliżéj znające się z ogniem i słońcem są najbardziéj poddane barwie czarnéj, takiemi są np. owady najbliższe pieców, między ptakami *orły*, między ludźmi *murzyni* i t. p.; między ziemno-wodami i rybami, nie znajdujemy nawet ściśle czarnych.

„W pięknym kształcie, podaje autor regułę, jest piękne *ubarwienie*.... dlatego smukła jaszczurka, piękniéj ubarwiona, niż niezdarna, odrażliwa ropucha", jestto reguła, która zdaniem naszém, samym przykładem nie jest usprawiedliwiona, kolor brudnéj przędzy pająka, jaki ma zwykła jaszczurka, nie wiemy dla czego miałby być piękniejszym od koloru lasów i łąk (między kształtami żabiemi, są i zielone?), w jednych gatunkach zwierząt, piękniéj są ubarwieni samce, w innych samice; kształt nie zdaje się być żadném źródłem takich lub innych barw.

„Z natury rzeczy wypada, mówi autor, że kształty *przechodnie* (jak płazy, ziemnowody), dlatego, że według dwóch osobnych typów postaciują się, muszą być karykaturą jednego i drugiego". Któryż kształt jednak, biorąc ogół stworzeń, nie jest przechodnim? sam człowiek jest tylko przejściem do duchów czystych, *któryż* więc za karykaturę *którego*, uważanym być winien?

W oddziale *wyrazu* czyli *kolorytu*, autor czyni następny wyrozumowany wywód przyczyny cienia. Ciało świécące, nazywać się może męzkiém, a oświecone żeńskiém; „kiedy więc ciało ciemne, przyjmując światło, staje się samo świécącém, przy zapłodnieniu jego, musi zachodzić process tajemny, mocą którego, ciemność jego oddziela się od niego i objawia jako cień", przyczém zapisuje autor następny wniosek w kształcie obrazu: „cień

jest dziecięciem światła, z ciemności spłodzoném, z ciemném obliczem matki słoni się poza jéj postać, kryjąc się przed promieniejącém obliczem ojca, rośnie i olbrzymieje w oddaleniu od płodzącego go światła, aż zniknie w cieniu matki ziemi, jeżeli go blade światło na nowo nie zrodzi, ale już w gigantycznych przedpotopowych kształtach". Jestto zapewne estetyczny, dowcipnie skreślony obraz, lecz nie odpowiada bynajmniéj analogii praw znanych; w całéj żywéj naturze, na wszystkich jéj szczeblach, nie znajdujemy przykładu, iżby przedmiot zrodzony od rodzącego, dziecko od ojca, wprost i we wszystkiém co do najdrobniejszego szczegółu swego, były odmienne; byłby to chyba (ów cień) wypadek jakowéjś zdrady małżonki światła, i dlatego tylko ukrywałby się przed obliczem swojego ojca.

Na takie i tym podobne szczegóły, niekiedy jeszcze, jak widzimy, lub mylne, lub przynajmniéj dwuznaczne, natrafiamy pośród licznych uwag i zdań, żywotnie zkądinąd i pierwotnie czynionych i zapisywanych przez autora, dla wyszukania kryteryum piękna w naturze; i takie są w ogóle: stanowisko, ramy i sposób rozwinienia przedmiotu w obecnéj Estetyce, czyli, jak mniéj trafnie przezywa po polsku autor: *Umnictwie pięknem* (1). Pod każdym z tych względów, obok wskazania istoty, wyraziliśmy kilka zarzutów, wszakże dodajemy, iż mówiąc w ogóle: w miarę zalet książki, jéj żywotności, zarzuty te, są to nader małe zarzuty.

Autor, zauważaliśmy, nie określił w niéj jeszcze dokładnie istoty *piękna*, ale istota *piękna* w świecie duchowym jestto jak owe *światło* lub *ciepło* w świecie materyi, których istota mimo tysiąc teoryj, mimo zbadanie i zastosowanie tysiąca z treści jéj faktów, sama w sobie dotąd jest tajemnicą. Zarzuciliśmy przyjęty *formalizm*, lecz ramy te, powtarzamy, nie przeszkodziły wcale autorowi do wyrażenia w porządku i dobitnie wykładu szczegółów drabiny piękna w naturze; uczyniliśmy wreszcie zarzut z kilku wniosków, postrzeżeń szczególnych, wszakże nie możemy zaprzeczyć, iż jakkolwiek są to jeszcze nieraz nieudowodnione, są to wszakże zarazem śmiałe (niekiedy nawet rzec można zuchwałe) kroki, stawiane dla przedarcia się w tajemnice natury, te tajemnice, których, jak dobrze wyraził niegdyś sam autor w *Systemie Umnictwa*,

(1) Niektórzy nasi pisarze już od lat kilkunastu, chcą brzmieniu *um*, przypisać znaczenie pierwiastku moralnego *twórczości*, czyli *fantazyi*; ztąd też autor o którym mówimy, system swój *wyobraźni* czyli twórczości, nazwał *systemem umnictwa*, a estetykę, jako naukę poświęconą twórczości pięknéj, nazwał *umnictwem pięknem*. Powtarzamy tu jednak co już mówiliśmy dawniéj, że to użycie wyrazów nie jest zgodném z duchem języka polskiego. Powtarzamy to teraz tem śmielej, gdy jest sprawdzoném: że mimo znajdywanie się tego wyrazu na tytule pisma peryodycznego (*przegląd Warsz*: 1841—1846 Literaturze i *umnictwu* poświęcony), co zwykle najprędzéj rozpowszechnia nowość, i mimo używanie tego wyrazu przez pisarzy téj powagi jak autor, brzmienia te nietylko u nas dotąd do mowy potocznéj nie przeszły, ale nawet przez nikogo z mówiących językiem polskim, w znaczeniu jakie im przypisane, nie są dotąd rozumiane.

mimo wszystkie odkrycia najnowszych czasów i milionowéj cząstki dotąd nie znamy.

Co wszakże i nadewszystko nadaje żywotność i zaręcza trwałość estetyce o któréj mówimy, jestto zdaniem naszém ogólna jéj zasada i cel. Autor który w obiorze przedmiotu, poszedł za estetyką Fryderyka *Vischera*, tém też między innemi, nader różnym jest od Vischera, iż nie użył swéj nauki za środek do tworzenia, szerzenia „nowéj teologii krytycznéj" (1). jak ten Estetyk, lecz przeciwnie, naukę swą młodą oparł na owéj starej, w prawdzie swéj, już wiekami wypróbowanéj. Przy wzmiance niegdyś w tém piśmie o *Systemie Umiictwa*, wskazywaliśmy na niektóre twierdzenia tam wyrażone, jako odstępne od nauki chrześciańskiéj, a przynajmniéj katolicko-chrześciańskiéj, jako: na dopuszczanie odwieczności ziemi, oddzielnych pokoleń ludzkich od początku i t. p, te jednak i tym podobne twierdzenia, autor w obecném piśmie jawnie odrzucił. W opisie formowania się tworów ziemi, zachował, jak uważaliśmy, porządek wskazany w Genesis Mojżeszowéj, mówiąc o formach człowieka, objaśnia iż opisuje jako ten ulepiony został z mułu ziemi (II. 22); w przypisku do str. 83 T. I, usiłuje nawet objaśnić, iż i w poprzednich pismach nie wyrażał rzeczywiście przekonań o odwieczności ziemi, a w mowie o rasach czyli pokoleniach ludzkości, zmieniając dawne twierdzenie o konieczności kilku pierwotnych ras, dodaje: iż godząc się z opowiadaniem Mojżesza, możnaby dopuścić, iż ród ludzki w dzieciństwie swojém, giętszéj był natury, a ztąd łatwiéj uległ wpływowi różnych stref i klimatów, w których osiadł (II. 40). Całe wreszcie tło owe, upatrywania i oznaczania w składzie utworów ziemskich, podobieństw do utworu człowieka, jako ostatecznéj korony ich, nie jest zapewne bynajmniéj, jak się może z pozoru wydawać, anti-chrześciańskiém. Estetyka autora pod tym względem jest owszem, rzec można, sprawdzeniem i rozszerzeniem tylko tego zdania *świętego Augustyna* w dziele jego o *Mieście Bożém*, o stosunku natury do człowieka, i które właśnie sam autor w piśmie swém (II 7). podjął i przytoczył: „w człowieku znajduje wszystko stworzenie model swój, on jest najwyższém dziełem Stwórcy, ku któremu w całéj naturze wszystko zmierzało, a co po innych częściowo tylko było rozrzucone, znalazło się w człowieku i społem przy sobie."

Dostrzeżenie w składzie tworów natury podobieństw do składu człowieka, było niedawno hasłem do zaprzeczania nauce o wyższéj zacności człowieka, nauka o przedmiocie tak na pozór oderwanym, jak o istocie piękna, rozszerzana i rozwijana. widzimy, że do wprost przeciwnych prowadzi wniosków. Czytając

(1) Zasada wskazana jawnie przez samego Vischera przy otwarciu kursu Estetyki. (*v. Akademische rede zum antritte des Ordinariats am 21 Novemb: 1844, zu Tubingen gehalten v. Dr. Vischer 1854*, rozprawa, która ile przypominamy dała następnie powód do kilkoletniéj polemiki w literaturze religijno-racyonalnéj niemieckiej).

Estetykę autora, zdaje się nam co chwila, iż czytamy te słowa pisma: „I widział Bóg, że to było dobre". „Uczyńmy człowieka... a niech przełożony będzie rybom morskim, i ptastwu powietrznemu, i bestyom, i wszystkiéj ziemi, i nad wszelkiemi płazy, którzy się płaza po ziemi." *(Genesis* I. 26. 31. i t. d.—) i t. p.

Opieranie danéj nauki na nauce, któréj trwałość tak już i dowiedziona i zaręczona, musi też nadać trwałość, albo inaczéj żywotność, saméj nauce téj, jéj dociekaniom. Jakoż naprzykład, samo owe kryteryum użyte przez autora obecnéj Estetyki, opierające się na nauce pisma o stosunku stworzeń ziemskich do Stwórcy i do człowieka, okazało się już i najpraktyczniejszém ze wszystkich, i z prawami saméj natury zgodném, i rozbiór jéj w danéj gałęzi, o krok w kierunku saméj prostéj prawdy posuwającém.

Czytaliśmy wprawdzie zdania, iż Estetyka ta o któréj mówimy, jest „niekatolicka i niechrześciańska" (1)—lecz powodu tych

(1) *Gazeta Warszawska* z roku 1854 nr. 160 i 161. artykuł *A. Nowos.* Jest to prawdziwą szkodą dla literatury—powiedzmy to z okoliczności—iż pismo tak upowszechnione, i które pierwszym u nas przykładem doszło téj dokładności, iż o każdem nowem ogłoszeniu krajowém z literatury i sztuki, zawiadamia swych czytelników (Gazeta Warszawska), nie zważa jeszcze na jedność charakteru oraz gruntowność ogłaszanych przez siebie zdań. P. *A. N.* główny sprawozdawca Gazety, jest jak najmniéj usposobionym na urząd krytyka. Zdatny ten, ale jak się zdaje młody pisarz, za zbyt jeszcze zajętym jest zawsze sobą, iżby się mógł zajmować innym jakim przedmiotem. Objawiwszy on przystępując do szeregu sprawozdań w gazecie w *liście wstępnym (1854 r. n. 48* i *49)* (*) zasadę krytyczną, jeżeli nie nową (bo przez wszystkich prawie krytyków od początku krytyki zawsze zapowiadaną), ale dobrą: iż pismo każde ocenianém być winno zewnętrznie i wewnętrznie, w licznych ogłoszonych następnie zdaniach, w tem się chyba odróżnił od ogółu swych poprzedników, iż gdy ci mimo zapowiedziane dwa względy, zawsze zazbyt przeważnie opierali się tylko na jednym a zapominali na *drugi*, p. A. N. zawsze zapominał na *oba*. Każde prawie zdanie jego o danem piśmie, było tylko jakiś upatrzony, lub raczéj dorobiony na prędce ogólnik, aby powiedzieć: iż pismo dane jest liche. Jakoż w artykule naprzykład o *Estetyce* o któréj mówiemy, czytelnik czytał rozprawę w dwóch ciągach, o książce jednak saméj tyle się tylko dowiedział, iż ta jest „niekatolicka i niechrześciańska" i że źle czyni, iż „czerpie z Estetyk niemieckich", (co?)—nie poznał jednak bynajmniéj ani przyczyny tych twierdzeń, ani treści książki, ani nawet przekonał się, czyli ją znał sam recenzent. Rzecby można, iż p. N. czyniąc sprawozdanie z téj książki poprzestał na uformowaném poprzednio zdaniu o jéj autorze, z dodaniem odczytania jéj *spisów*, i może karty.

(*) We wstępie tym, przypominamy, ubolewa także recenzent, iż krytyka jego liść będzie z Mazowsza, i uspokaja swych czytelników, iż będą mogli rzec wkrótce: „co było a nie jest" i t. d. Przypomnienie to, każe nam tu dodać jeszcze jedną uwagę. Od lat już kilkunastu, a w ostatnim czasie częściéj niż kiedy, zdarza się nam spotykać pod piórem różnych pisarzy wyrażenie wypisywane wyraźnie z niejaką pogardą: „Krytyk warszawski", „Krytyka warszawska". Miasto wszelkie, czylito Warszawa lub inne, zbiorom jest zawsze w sobie nader różnych zdolności, licznych indywidualności, jest przytém wyrażeniem takiego albo innego znaczenia dziejowego w swym kraju; używanie więc nazwiska miasta z jakichbądź względów w znaczeniu ujemnym, nie uprzedza, powiedzmy to z góry, na stronę jasności sądu wyrażających. Powód znalezienia się wyrażenia owego w naszéj literaturze, jest oczewiście następny: Przed dwudziestu lub więcéj laty, nader znakomity poeta nasz, a pisarz litewski, mając swe powody, ogłosił

zdań, jaknajzupełniéj nierozumiemy, chociażby nawet ze względu na uczynek autora jako autora (człowieka). Uskuteczniać podobną pracę jest to owszem, sprawiać wyraźnie podniesienie o stopień podziwienia i czci dla Stwórcy, jest to rzec można, czynić modlitwę godną ludzkiego ducha, i jest to słowem lepiéj zapewne wypełniać życie, niżeli powtarzać co chwila ów rozkaz: „Kochaj Boga *ze wszystkich sił swoich*"; i tylko *powtarzać*.

Estetyka o któréj mówimy, jestto śmiało powiedzieć możemy, jedna znajpiękniejszych spółczesnych nam publikacyi. Jestto książka żywotna, jak to widzieliśmy ze względu na tło swe ogólne, cel i zasadę czyli swój *duch*;—wychodząc harmonijnie z ostatniego momentu poprzedniego w swojéj gałęzi, i o krok posuwając go, żywotną jest racjonalnie, czyli ze względu na *myśl*:— i wreszcie wyrażoną będąc zewnętrznie nietylko jasno, ale pięknem, właściwém autorowi swemu i godném Estetyki *słowem*, żywotną jest ze względu nawet swéj *formy* (swego jakoby *ciała*).— Jest znakomitym przybytkiem w naszéj literaturze w szczególe, i w ogóle w swojéj gałęzi. *T.*

(*Dokończenie nastąpi*).

był na czele nowego wydania swych utworów, przemowę poświęconą wyłącznie wzmiance o krytyce warszawskiéj, a zdanie tam nader niepochlebnie dla krytyki téj wypadło. Byłoto w czasie, kiedy hasłem polemik w literaturze, była głównie poezya, a w poezyi wyrazy *klassyczność* i *romantyczność*; i autor dowodził tam: iż „kiedy już cała kula ziemska zmieniła wyobrażenia o sztuce; jedna tylko Warszawa stoi jak na kotwicy". Wymówka była niesłuszna; wyobrażenia nowe o sztuce, które przechodziły na ówczas do wszystkich krajów, jednocześnie weszły były i do Warszawy; jeszcze w innych stronach krajowych i od zachodu dalszych i od zachodu bliższych, wychodzące literackie pisma czasowe (jako Dziennik i Tygodnik *wileńskie*, Pszczoła *lwowska*, Mrówka *poznańska* i t. p.) nie powiedziały były słowa o nowym zwrocie, kiedy *Pamiętnik Warszawski* ogłosił był obszerny i dotąd cenny artykuł K. Brodzińskiego: o *Romantyczności* i *Klassyczności*, a wnet, nowo powstałe pisma: *Biblioteka Polska*, *Gazeta Literacka*, *Dziennik Warszawski*, nowy zwrot ostatecznie przyjęły i upowszechniły. Napad więc był, mówimy, niesłusznym. Poecie jednak wybaczonym był jako poecie, a nadto był usprawiedliwionym z pewnéj strony wyznaniem krytyka, iż „daleki od miejsca sprzeczek, zdania o sobie, czyta w lat kilka po ich ogłoszeniu", a zatém iż pisał o przedmiocie już od lat kilku dawnym; i wreszcie, okupiony był talentem słowa, oraz tym względem, iż przemówienie mieściło niejedno spostrzeżenie żywotne i nowe, zwłaszcza dla prowincyi, gdzie za literaturę miano jest (jak się zdaje i dotąd), tylko bellestrystyka. Ale naśladownicy, jak zwykle naśladownicy, z zarzutu tego zachowali to tylko, co było najłatwiejszem, i przy lada powodzie do niezadowolenia, wnet wyrażają się; „Warszawski krytyk, Warszawska krytyka". Mówiąc o dzisiéj, nie powiemy zapewne, iżby krytyka literacka peryodyczna, była u nas ideałem krytyki należytéj, a to mianowicie dlatego, iż nie mamy krytyki *stałéj*, tojest takiéj, któraby z właściwym sobie charakterem i jednością, wszystkie utwory, chociażby tylko jednéj gałęzi literatury, stale oceniała; nie zaprzeczymy nawet, iż pisma nasze codzienne, zobowiązano zapełniać kolumny swoje codziennie, przymuszone są nieraz potoczerować wartości artykułów (tak to wszędzie gdzie wychodzą pisma codzienne, i zyskuje nieraz stosownych sędziów; w Nrze np. 27 str. z roku bieżącego *Gazety Augsburskiéj* w korrespondencyi literackiéj z Paryża, z okoliczności artykułu o jakiejś sztuce teatralnéj, czytaliśmy takie zdanie: „wiadomo powszechnie (?) iż nie ma miasta na świecie, gdzieby krytyka tak nizko upadła jak tu"). kiedy jednak porównywamy historyczność krytyki literackiéj w Warszawie, z krytyką innych miast kraju, kiedy wspominamy np., iż założycielami krytyki historycznéj byli tu: *Naruszewicz*, *Czacki*, *Lelewel*, *Surowiecki*; prawoznawczéj, tenże: *Lelewel*, *J. W. Bandtke*; lingwistycznéj: *Linde*, *Mroziński*; wymowy i poezyi: *Brodziński*, inni; kiedy nawet zwracając uwagę na czynność spółczesną, widzimy w pismach ukazujących się codziennie, lub w niedługich odstępach, a poświęconych różnym przedmiotom piśmiennictwa, jak: *religii*, naukom *historycznym*, *sztuce*, *rolnictwu* i *ekonomii*, *sztuce lekarskiéj* i t. p.; objawiane sądy i zdania przez pisarzy po większéj części znanych już z pism oddzielnych i z swéj zasługi (że wspomnimy tu np. o saméj gałęzi badań *dziejowych*, należą tu dziś pisarze: *Bartoszewicz*, *Kucharski*, *Lewestam*, *Lipiński*, *Maciejowski*, *Przezdziecki*, *Rastawiecki*, *Rogalski*, *Sobieszczański*, *Stronczyński*, *Szwajnic*, *Szulc*, *Wejnert*, *Wójcicki* i t. p.); tedy musimy wyznać: iż nie rozumiemy zupełnie na jakiéj się opiera zasadzie, poniżanie z powodu objawianych zdań piśmiennych w tém mieście, nazwiska miasta, lub raczéj nie możemy się dosyć wydziwić stopniowi téj lekkości lub braku dobréj wiary, z jakiemi przez pomiatania podobne, nie wahają się zdradzać ci, którzy się podają na sędziów zasług krajowych.

ROZMAITOŚCI.

Wiadomości o starostwie Rabsztyńskiém.

W wiekach przeszłych, kiedy mniéj drukowano, był przynajmniéj chwalebny zwyczaj zapisywania ważniejszych pism w jednę księgę, dla przekazania następcom znakomitych wypadków, odznaczających czynów, główniejszych postanowień i t. p. Tym sposobem powstawały tak zwane dzieje domowe, dzieje zgromadzeń zakonnych, zbiory odpisów, przywilejów, nadewszystko zaś duchownych i dla kościołów, wiadomości lub wyciągi z lustracyi dóbr, z wizyt różnych rewizyi świątyń Bożych, które częstokroć nader ciekawe szczegóły obejmują.

Doszedł rąk naszych, jeden taki kopiarz, z czasów Jana III, niegdyś własność ks. Wawrzeńca Strzeżowskiego filoz. Dra, kantora u św. Floryana na Kleparzu, a proboszcza olkuskiego, przez niego uzupełniany, który prywatną spadkobierców jego stał się puścizną.

Rękopis ten, w książce oprawnéj in 4to o 366 stronnicach, zawiera wyciągi z rewizyj kościołów miasta Olkusza, począwszy od dopełnionéj przez Długosza w r. 1488, z oryginalnego opisu tego, do dziś dnia zachowanego w archiwie biskupów krakowskich, znanego *Liber beneficiorum Dioecesis Cracoviensis*, daléj rewizye ks. Kazimierskiego z r. 1598, biskupa Bernarda Maciejowskiego z r. 1603, biskupa Tylickiego z r. 1611 i innych aż do r. 1663; oraz odpisy kilku dyplomatów odnoszących się do fundacyi klasztoru Augustyanów i kościołów miasta Olkusza z lat 1377, 1473 i 1488.

W dalszym ciągu zapisane są niektóre testamenta, uposażające probostwo olkuskie, ręką własną ks. Strzeżowskiego, który także sam testamentowo przekazał fundusz na utrzymanie spowiednika dla górników olkuskich (poenitentiarius), przy kościele

farnym, przez króla Sobieskiego d. 30 września 1676 roku zatwierdzony.

Między innemi zabłąkał się na str. 218, z osnową zbioru tego nie będący w związku, wypis z ksiąg starostwa Rabsztyńskiego pod Olkuszem z r. 1534, za dzierżenia starostwa tego przez Seweryna Bonara, a odnoszący się do włości tegoż starostwa, który zawiera mnóstwo szczegółów mniéj znanych o różnych wsiach okolicznych i dlatego godzien, aby w ukryciu dłużéj nie zostawał.

Pismo to jest następujące:

Villa Głogowek antea, nunc Pomarzany dicta ex eo, quia tempore pestilentiae, omnes homines mortui fuere, tribus nisi relictis, in mysterium SSmae Trinitatis (1).

Pomorzańska Włość.

W imie Pańskie Amen.

Ja Seweryn Bonar. Gromado Głogowska. Nazwali Was Pomorzanami. Jako Bóg wszechmogący uhaftował niebo gwiazdami, wszelkiemi obrotami, także też Państwa Wysokie y Księstwa, y Pospolitéj rzeczy; Ja też wam o Starostwie Rabsztyńskim opisuję. Wszystkie obroty, jako Bóg sam Wszechmogący rozkazał, y od Senatu, y od K. J. M. pomazańca y od Pospolitéj rzeczy, za uproszeniem tey ruiny opowiedam wam wszelkie obroty co przynależą; bo Pan po Panie nastąpi: przyjdzie każdy, będzie się chciał dowiedzieć kędy o jakim zwyczaju wszędy y kędy się cokolwiek obraca; boście wy są iako zamkowi mieszczanie, powinniście przestrzedz, opowiedzieć wszędy, y kędy się co obraca; boście wy nablizsi Zamku y Starostwa tego iako gromada, przestrzegać gruntow wszędy, kędy przynależą, bo tu zamieszana rzecz: tu Żupa y Miasto zasiadło na ziemstwie. Woluntarstwo K. J. M. ś. pamieci Kazimierz na ziemstwie wydzielił: Na Gruncie Rabsztyńskim Żupa, y Woluntarze nie maią nic do zamku, ani zamek do nich. Trzy rzeczy się tu zachowują: zeglownicy, którzy na wodzie żeglują: drudzy co stawy stawiają, trzeci kopacze, ci nad sobą Woluntarzów maią, chyba co K. J. M. zwieszchnosc podaje na nie y maią te wolnosc kopać wszędy, tylko pieca nieruszać i stołu drugiego. A zaś kędykolwiek będą kopać (z owych gruntów powinni płacic) nad ich wydział: tak na wschod iako na południe, y na zachod. Kędy wierzchne grunty będą wierzchnie powinni nagradzać: a kędy wespodek, tam skarbów szukać maią wolnie. Na to także

(1) Wieś Głogowek przedtém, teraz Pomorzany zwana, ztąd iż w czasie pomoru, wszyscy ludzie pomarli, i tylko trzech pozostało, jak w tajemnicy Przenajświętszej Trójcy.—Uwaga ta nie podaje roku tego pomoru. Bywały pomory często dawnemi czasy, a jest ślad w aktach górniczych o pomorze w r. 1518.

mają w Murze, bo Mury gołe gdzie są na ten czas, a od Muru maią prawo wydzielone od wału na trzy strony, cztery dwadzieścia Łatrów. Jedna część przypada od Parczowskey strony naprzeciw Sławkowskey stronie: także y pod Wschod słonca, także też za klasztorem, także y od południa zaraz isć do koła na trzy części Na przeciw Sławkowskey Bramie od drugiey Baszty od Parcz cztery dwadzieścia Łatrów, (1) kędy przypada wymiar scian. Takze y od drugiey za Farą 24 Łatrów od kazdey Baszty narożne To idzie sciana zaraz wymierzona od Parczowskey kędy Baszta przypada naroznia od Sławkowskey Bramy, co idzie prosto sciana na Zachod słonca a że kędy stare było Miasto. 3cia idzie prosto ciągnąć się do kopca Bolesławskiego sciana. Woluntarstwa podle Uykowa. Także Woluntarski ten Wydział zupy na przeciwko Kubuczkowskey scianie, Sławkowskey mianując. Pole przypada zaraz podle Olinowa który Olinów teraz nazwano Starczynowem; która sciana przypada podle niego. Jest tam Ilkusz nazwano kędy grunt własny woluntarski; y to Miasteczko kędy zburzone co się Głogowek położył teraz miedzy Miasteczkiem. a miedzy Rabsztynem; boć dopiero ci przyszli Wardeiowie z zimnego Zachodu y potym przyszli od Bitomia Bitomczycy znami za temi Skarbami. I nazwano Ilkusz, bo na ten czas strzelano z kusz; y po tym przy nich P. P. Rabsztinscy zmocnili się, y zostali w pustych krainach, założyli Rabsztyn: słowo to Niemieckie jest. Także ograniczeli sobie y z Koziogłowami; bo taki wiek ma Rabsztyn Krakowa miasta stołecznego pultrzecia set lat. Ale to swoje Panstwo za grzech utracili; y wzięto na pospolitą rzecz; y uczynione Starostwo, przyczyniwszy do ojcostwa Rabsztynskie Panstwo: Bo na pierwsze iest położone przy ojcowstwie Rabsztynskie Panstwo. A że takie są opisany sciany, y ia opisuję Wam wszystko Głogowianie, boscie napierwsi przy zamku. A Dębno drugie było, które zburzono, kiedy y Miasto stare kilka chałup przy Rabsztynie. Potym który był zasłużony P. Parczewski szlachcic przy Zamku będąc, zasłużył sobie iż P. Jarosz (2) mu wydzielił gruntu y lasu abo puszczy kawałec. Na zasługę P. Jaroszowi Parczowskiemu który był rodzic z Parczowa za Lublinem. Służył także temu P. Parczowskiemu powoznik Olieś, co go woził który także prosił Pana swego aby mu udzielił gruntu, kędy teraz Olelin. Był także klucznik Janusz kędy sobie uprosił na fundunek, y udzielono mu kędy teraz kluczo są y wioska zbudowana. Także Boguta Szymon co Wrotnim bywał przy zameczku kędy ptaki ławiał, tamże też sobie założył chałupkę kędy teraz Bogucin. Idzie także Granica miedzą, między Parczowskiego wydziałem, kędy sobie P. Parczowski wyprosił począwszy, na kluczewskiey górze niedaleko Pomorskiey góry.

(1) Łatr, miara górnicza ma stóp 7.

(2) Jarosz czyli Hieronim Szafraniec z Pieskowéj Skały, SSta Chęciński, Ojcowski i Rabsztyński w początku XVIgo wieku.

Z Zamku droga idzie y do Zamku insza iest tam droga Krzyżowa, przy którey iest Kapliczka założona niedaleko, pod tytułem Tysiąc dziewicz. Jest y droga zaraz od tey Kaplice, ciągnie się do Parczowskiego Gruntu. Grunt takze Pomorzanski droga dzieli, y od tey kaplice idzie miedzy Parczowskim rozdział, to iest droga aże ku miastu do muru niedochodzi na 24 Łatrów, iako Miasto wydzielono: bo był występek Wałowi uczynił, kiedy miasto Woluntarzom wydzielał gdzie zaraz z gruntu Parczowskiego ksobie udawszy się, podle muru 24 Łatrów, ku wschodowi Słońca; y zaraz od tey Baszty, kędy przy Klasztorku iest po wschód słońca zowią niedaleko Baszty 20 Łatrów ustępek. Idzie od tey Baszty góra którą zowią Praedium Warler. Idzie z Parczowskiego Gruntu przodkiem gory y zowią Słowikiem pod wschód Słonca zimnego, I są tam dwa szyby zbite po niżey słowika, które szyby budowali ludzie z Gwarkami którzy byli zli Duchowie jeszcze za Poganstwa. Sikorka góra która idzie na północy od Słowika w stronie Zamku także Parczowskiego Grunt wydzielony: także się pomieszał z Gruntem Zamkowym.

Parczowskiego potomków troje zostało, które dzieci będąc w sieroctwie po przodkach swoich: Pierwszy potomek cząstkę swoją darował do spitala. Drugi do klasztoru zakonnikom. Trzeci Bonarowi do Grodzieńca zaprzedał; iako Nam Bonarom. Ale będąc ubogie Starostwo myśmy zakupieli. Dla tego za czasem na Bożą chwałę ostać się może, bo to wielka rzecz slachcicowi przeszkoda przy takich miejscach; zwłaszcza lubo przy zupie lubo też z kąd to wyszło tam też może się zostać. Opisałem ci miła gromado sciany twoje. Opisuje przytym Starostwa Rabsztynskiego, dla potomnej pamięci. Od Olinowa iest tam stok przed nim kędy woda wypada z niego. Idzie na Zachód pod ten Oleinów vel Starczynów kędy zaraz tam Cieszkomska droga przychodzi aże po dębinę. Idzie na pulnocy sciana przez ten Woluntarski wydział, aże pod kościołek kędy Jana S. założenie, Rabsztynski a ciągnie się aż do źródeł ku chechłu. Te zródła zowią Biała; ciągnące się przez wodę Przemszą aze do chechła kędy u kosciola w Chechle Narożnik Rabsztyński idzie precz począwszy ku Wschodowi Letniemu Godawica, która przez rzeczki przypada do Stoków Granice: od Ryczowa znowu od Godawice pod Wschód pod Bydluz Gołcowice kędy okoleby idzie Gura miedzy Cieślinem kędy przez rzekę idzie do Cieślina przypada pod Golczaną górą, idzie pod południe, udawszy się Chrząstczowska która woda przypada od słońca Wschodu, to przez nie miedzą idzie, sama sciana przez Chrząszczowskie aże pod południe Chrząstczowskim padołem kędy wypada woda z Stoku; mianują ją Jastrząbka kędy sztok jest przy Księski drodze należący, do Księska droga tam idzie ku Zamkowi co księża nią jezdzili zakonnicy Augustynianie kędy budowali, y poniżey, aż księża zbudowali sobie wlesie kaplicę. Z tego stoku wypada

woda do padołu, tamże padołem idzie sciana podle lasu za Jastrząbka aże do Troxa; który Trox upadł na Rabsztyńskim gruncie kędy Szołtysz w Troxu. Aleć Biskup księdza prosił z Zwierzyńca za Pannami Zakonnicami y zaraz od Troksa Kormalowskiego do stoku także do drugiego stoku naprzeciwko Zimnodołu trzy narożnie są Rabsztyński, Zimnodolski, y Żuradzki. Tamże ciągnie się pod Stok Rury aże do drogi Żuradzky idą aże za kościołek; Kędy te stoki ciągną się przy drodze od Żurady w podolinie na przeciw kościołkowi Stanisława S°. Ciągnie się tu pod południe na staianie od Stoku Jedzina Sciana. Leży miedzy temi stokami droga y przypada do Olinowskiego stoku. A tu masz obraz miła Gromado Państwa Rabsztyńskiego. Teraz wiedząc kędy grunty do Rabsztyna należą kędy koło murów, koło miasta gołe mury niemasz nic jeszcze na ten czas iako wam opowiadam. Kto kędy kolwiek budować się będzie kto sobie prawa wyjedna, lub od Zamku lub od K. J. Mci. Będziecie wiedzieć kędy grunty należą. Bo nie masz nikędy, tylko kędy mury stoją. Miejciesz tedy wiadomość o tym. Bo za czasem będziecie upatrować, y prosić iżby miasto było zamkowe; boć zamek bez pożytku Miasta nie może być. A wy; za uproszeniem bedziecie mieszczanie zamkowi, podlegli Woluntarzom etc. etc.

Rok, którego ten Regestr z ksiąg podany jest Pomorzanom 1534.

Do pracujących w chemii.

Piérwszym warunkiem aby naukowa praca pożyteczną być mogła, jest zrozumiałość dla wszystkich, którzy chcą z niéj korzystać. Największe trudności w zupełném korzystaniu z prac chemicznych do naukowego, przemysłowego lub rolniczego użytku, w polskim języku ułożonych, znajduje czytająca publiczność w dwóch rzeczach. Najpiérw w słownictwie, a następnie w systemie, który jako najwięcéj u nas używany w pisaniu dzieł chemicznych wybrać wypada. Możnaby dodać jeszcze trzecią, nader wielką przeszkodę, która nie pozwala, aby polskie dzieła naukowe, przyniosły należyty pożytek, a tą jest brak wydawców łaskawszych dla naukowo pracujących autorów, niżeli są nasi panowie księgarze.

Najlepszym dowodem, że dzieła chemiczne są u nas pożądane, jest to, że w braku polskich znajdujemy i kupujemy co rok w księgarniach krajowych niemieckie, francuzkie i angielskie dzieła chemiczne. Gdyby zatém czytelnicy nasi zagranicznych dzieł chemicznych, wiedzieli tak dobrze o wychodzących lub do druku gotowych dziełach polskich, i chcieli mieć tyle li-

tości nad niemi, ile są skorzy do kupienia obcych dzieł chemicznych, natenczas zaprawdę obeszlibyśmy się, jeżeli nie z większą korzyścią, to przynajmniéj z zadosyć uczynieniem naszéj godności narodowéj, bez znacznéj części obcych dzieł chemicznych, zastąpionych natenczas polskiemi umyślnie do naszych potrzeb wypracowanemi. Zdarza się, że polskich dzieł naukowych wyszłych w Warszawie, nie ma w księgarniach krakowskich, ani w ich katalogach, i nawzajem trudno tych dzieł dostać w Warszawie, które wyszły w Galicyi lub w Poznańskiém.

Chemia położyła wielkie zasługi dla przemysłu, stała się ważną pomocą w nauce i praktyce zarówno lekarskiéj, jak i rolniczéj. Pożyteczność chemii dla wszystkich nauk przyrodzonych i dla wielu zawodów praktycznych nie podlega żadnéj wątpliwości, i nie potrzebuje być dzisiaj na nowo udowodnioną. Ciągły postęp i wielostronność chemicznéj umiejętności, opierają się najsilniejszéj pamięci i największéj pilności. Chemicy z zawodu, nie są w stanie spamiętać nazwisk i przymiotów rozlicznych, to dawniéj, to nowo odkrytych połączeń, które im trzeba albo rozeznać od innych, albo użyć do jakiegokolwiek celu. Dzieła chemiczne, obejmujące teoryę téj umiejętności lub zastosowanie do téj lub owéj gałęzi przemysłowéj, do rolnictwa, do sztuki lekarskiéj i t. p., są niezbędną potrzebą. Powstaje téż i wychodzi drukiem w każdym kraju zachodniéj Europy co rok, po kilka i kilkanaście dzieł chemicznych teoretycznéj i zastosowanej treści.

Szczególnie wygodne są słowniki chemiczne. Mniéj zależne od systemów, niżeli inne dzieła, mają jeszcze tę dogodność, że łatwiéj jest w nich szukać objaśnień chemicznych, niżeli w dziele, trzymającém się pewnego systemu lub zastosowania, którego jest opisem lub treścią. Tak jednak związaném przez system lub zastosowanie chemii jest każde inne, niż słownik, dzieło teoretyczne lub opiewające chemię zastosowaną. Użyteczność słownika chemicznego jest jeszcze dlatego powszechniejszą, niżeli innego dzieła chemicznego, bo łatwiéj da się w słowniku umieścić nietylko co teoretyka obchodzi, ale i wiadomości ważne dla praktyków, a mało lub wcale do chemii nie należące. Do takich liczy się wiele kwestyi fizycznych, mineralogicznych, technicznych, rolniczych i t. p.

Polski słownik chemiczny F o n b e r g a, jest dziełem znakomitém i był w swoim czasie dziełem zupełnie odpowiedniém potrzebie krajowéj i stanowi umiejętności. Od czasu jednak wydania słownika Fonbergowego, przybyło najmniéj drugie tyle połączeń organicznych i poznano lepiéj wiele już dawniéj odkrytych połączeń mineralnych. Niemniéj postąpiła wiadomość zastosowanéj chemii w rozmiarze znacznym; trzeba nam zatém nowego polskiego słownika chemicznego.

Najpożyteczniejszym zdaje się, byłby słownik opiewający w krótkości tyle o każdym przedmiocie chemicznym lub do prac chemicznych niezbędnym, a to o czynności chemicznéj, sprzęcie, przetworze chemicznym i t. d., ile potrzeba do zrozumienia, jakiéj natury jest ten przedmiot? Z czego się składa? W co się przemienia pod wpływem zazwyczaj używanych czynników chemicznych? Jakie są jego własności fizyczne? Kto pracował głównie nad tym przedmiotem? Jaka jego użyteczność w praktyce, lub jaka szkodliwość?

Polski słownik chemiczny, zdatny do użytku teoretycznego i praktycznego, jest tak bardzo potrzebny, że zapewnie już kto z naszych chemików zamierzył i począł układać go.

Dla porozumienia się w téj mierze i wiedząc że każda naukowa praca, tém zupełniejszą być może, im więcéj specyalnych zdolności przyczyniło się do jéj wykonania, oświadczam wszystkim oddającym się chemii, mineralogii lub fizyce, że jestem gotów pracować z każdym, ktoby układ polskiego słownika chemicznego rozpoczął, lub materyały do niego był zebrał. Zacząłem układać polski słownik chemiczny powyższéj treści, proszę zatém każdego ktoby pracował w tym samym zamyśle, aby raczył porozumieć się ze mną. W razie, że ktoś nie chce należéć do całéj pracy, ale raczyłby przyczynić się do tego słownika pojedynczemi artykułami odpowiednio do granic słownika wypracowanemi, przyjmę je z wdzięcznością. Artykuły te będą miały jako obca własność, każdy na końcu nazwisko swego autora. Wynadgrodzenia za nie, zaraz przy otrzymaniu ich nie obiecuję, gdyż sprzedaż rękopisu naukowego jest bardzo trudna, a słownik ten może nie znajdzie nakładcy, i będę natenczas zmuszony wydać go w sposób taki, że niezmiernie małe wypadłyby wynagrodzenia dla współpracowników, mniejszy udział w ułożeniu słownika biorących. W razie zaś, jeżeli będę mógł sprzedać rękopis tego słownika, obowiązuję się zapłacić każdemu współpracownikowi część ceny na niego wypadającą. W wszelkim względzie jestem gotów do zgody, która pożyteczną być może do jak najzupełniejszego wypracowania tego słownika, i przystanę chętnie na te same przezemnie położone warunki z każdym, kto już pracuje nad polskim słownikiem chemicznym i mnie do téj pracy przyjąć zechce.

Korrespondencye w tym celu przyjmuję franko na ręce księgarni pana Wildta w Krakowie.

J. B. Rogojski.

WIADOMOŚCI
na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

O *wypadkach doświadczeń w przedmiocie przechowania mięsa w stanie świeżym*, przez M. G. Hamilton'a. Powyższe poszukiwania przedsiębrane były w celu wykrycia sposobu sprowadzania wołowego mięsa w stanie świeżym, z Ameryki południowéj. Doświadczenia uskuteczniano wkładając mięso wołowe w butelki zawierające następujące gazy: chlor, wodoród, saletroród, amonią. W skutku tego okazało się, że tylko dwa ostatnie gazy posiadają własność opóźniania zgnilizny. Mięso wołowe zostawione w gazie niedokwasie węgla przez trzy tygodnie: znaleziono zupełnie świeżém i pięknie czerwoném. Niedokwas drugi saletrorodu może ochronić mięso wołowe od zgnilizny najmniéj przez pięć miesięcy, w ciągu których mięso to zachowuje swoją barwę i zbitość naturalną. Piekąc tak przechowane mięso, spostrzegano w niém smak nieprzyjemny; gotować zaś je potrzeba daleko dłużéj, niż mięso świeże.

Z okoliczności powyższych, zawiadomił p. Calvert, że miał sposobność przekonać się o własnościach sprzeciwiających się zgniliznie gazu kwasu węglowego; przytacza zaś na poparcie swych uwag, że trup koński zostawiony przez czas cztero-letni w tym gazie, nie uległ zepsuciu. Zaleca przeto ten środek do przechowywania ciał zwierzęcych, ponieważ przez to nie psuje się tkanka ciała, i nie tracą barwy organa. *(L'Instit. 6 Dec. 1854).*

* *Zastosowanie benziny do wywabiania plam; przez P. Calvert professora chemii w Manszester.* „Wykryłem (mówi P. C.), że czysta benzina tak jak i niektóre ciekłe węgliki wodorodne, powstające z suchego przepędzania bituminowych węgli kamiennych, które również w sobie benzinę zawierają; w wysokim stopniu posiada własność rozpuszczania w sobie ciał tłustych

i oleistych, i ztąd radzę do powyższego celu używać benziny; ta bowiem:

1. Służy do wywabiania plam utworzonych z ciał tłustych i oleistych, smoły, farb olejnych, wosku i żywicy; z tkanin bawełnianych, wełnianych i jedwabnych, bez pozostawienia na nich śladu ani też udzielenia im zapachu.

2. Do oczyszczania z ciał tłustych i oleistych włosów, futer, piór i wełny, oraz wyrobionych z nich rzeczy.

3. Do odłączenia tłustości, którą zwykle wełna zawiera.

4. Do wypłókania z wełny smoły, farb olejnych, oleju i t. p., któreto ciała używają się zwykle do znaczenia owiec.

5. Do wyprania odpadków bawełnianych z machin, z oleju i smarowidła.

Przy powyższych zastosowaniach postępuję zaś (słowa są P. C.) w ten sposób: przedmioty niewielkie pocieram benziną; wielkie zaś wkładam w stosowne naczynie, wlewam na nie benziny, i po upływie kilkunastu godzin, ściągam z nich ciecz, poczém wyciskam między walcami lub w prasie, aby odebrać znaczną ilość benziny, w któréj farby olejne, smoła, smarowidło, olej lub innne tłustości zostały rozpuszczone. Powyższa benzina oddziela się od obcych ciał przez przepędzanie, a pozostałe wtedy tłustości mogą być użyte do smarowania machin.

Oprócz tego, używam benziny do zrobienia ciasta służącego do oczyszczania mebli: w tym celu ogrzewam 1 część wosku z 1 częścią żywicy i z 2 częściami benziny, aż do zupełnego rozpuszczenia; po ostudzeniu ciasto jest gotowe. (Treść z pisma *Politechnisches Journal z r. 1854).*

Uwaga. Benzina, ważne ciało pod względem przemysłowym, jak to widzieliśmy; znajduje się do nabycia w Warszawie w aptece assesora farmacyi m. Warszawy, Teofila Lesińskiego.

J. B...a.

PRZEMYSŁ I RĘKODZIEŁA.

Paliwo sztuczne, zastępujące koks, węgiel kamienny lub węgiel drzewny przy wytopie rud, wynalazku pp. Dehainin i Hamoir.

Wiadomo, że wprowadzone przed kilką laty użycie węgla kamiennego surowego zamiast koksu w wielkich piecach szkockich, przyczyniło się do znakomitych w tychże hutach oszczędności w kosztach wytopu surowizny, które stanowczo oddziałały na postęp przemysłu żelaznego w tym kraju.

W ślad za hutami szkockiemi poszły niektóre angielskie, mianowicie w Wallii, a okoliczność ta łącznie z małemi kosztami wydobycia rud, przyczynia się dziś do taniéj produkcyi hut żelaznych Wielkiéj Brytanii.

Francya i Belgia starały się także naśladować wyspiarzy; lecz nadaremnie probowano surowego węgla bez poprzedniego koksowania czyli zwęglania używać do wielkich pieców, a powodem tego, iż zagłębia węglowe tych krajów nie posiadają tak dobrego węgla kamiennego jakim jest np. Newcastelski i t. p. Chciano cel ten osiągnąć biorąc dla pieca wielkiego same węgle grube, w własnościach najwięcéj do angielskich zbliżone, lecz przytém potrzebaby mieć inne korzystne przeznaczenie dla reszty węgla, a tak znika cała zaleta oszczędności, jaka przy węglach angielskich otrzymuje się, gdzie wszystkie węgle zarówno są przydatne i użyteczne.

Na koksie więc i węglu drzewnym, jak szły tak idą huty na lądzie stałym, a hutnicy tych krajów kuszą się o wynalezienie tańszego jakiego paliwa, aby sprostać w spółubieganiu hutniczym przemysłowcom Anglii.

PP. Dehainin i Hamoir zamierzyli przysposabianiem sztucznego węgla, osiągnąć i zastąpić to, co natura dała już gotowe Anglii i Szkocyi. Pomysły swe zwrócili na spożytkowanie drobnych węgli i miałów, tworzących się w wielkiéj ilości przy wydobywaniu węgla kamiennego w kopalniach francuzkich i belgickich, obliczywszy, że koszt przyrządzania jego pokrytym zostanie, ze względu na małą wartość jaką miał w handlu, mieć może.

W tym celu czynili przedewszystkiém rozmaite poszukiwania nad naturą i własnościami miałów pochodzących od rozmaitych gatunków węgli kamiennych, t. j. tak zwanych węgli tłustych, półtłustych i chudych, z uwagą na następne użycie ich do przetopu rud w wielkich piecach.

Drobne węgle i miały oczyszczali następującemi działaniami:

przez rafowanie i płókanie,

przez doprowadzanie ich do jednakowéj wielkości ziarn,

przez mieszanie miałów od rozmaitych gatunków węgla w różnych stosunkach,

przez skupianie ich w massę za pomocą smoły, smoły węglo-kamiennéj, lub tym podobnych ciał lepkich,

następnie przez wygniatanie ich w formach cegiełek, nadając im kształt, ściśliwość i objętość, najdogodniejsze w użyciu ich, jako paliwa;

wreszcie przez suszenie a nawet prażenie wyrobionych cegiełek, aby były i suche i twarde.

Tak wyrobione paliwo pp. Dehainin i Hamoir, ma te zalety, iż jest czyste, jednorodne, jednostajnéj gęstości, dogodnego kształtu, co wszystko jest ważne w użyciu przy wytapianiu surowizny.

Zastosowanie jego według miejscowości, a głównie według natury węgli kamiennych z których pochodzi, wymagać może pewnych zmian w wymiarach wielkich pieców; uważano bowiem, iż z największą korzyścią używa się go w wielkich piecach z szerokim wylotem gichty (otworu wierzchniego, gdzie się zasypuje węgiel, ruda i roztop), z obszerną skrzynią w zaprawie (u spodu pieca gdzie się zbiera surowizna), przy zmniejszeniu jéj wysokości, i że skutecznie działają na przetwarzanie (reduk-cyą) rud, przy użyciu ogrzanego powietrza z miechów.

Uważano że paliwo to sztuczne, które bardzo tanio przypada, ma nadto tę własność, iż tyle wywiązuje cieplika, że go w mniejszéj nieco ilości jak koksu zasypywać potrzeba.

Paliwo to użyte do opalania kotłów parowych, z powodu iż zawiéra w sobie więcéj węglanu, bardzo do tego użytku jest przydatném i oszczędném.

W wyrabianiu cegiełek tego paliwa, wielką przywiązują wagę do tego, aby były silnie wygniatane; tym bowiem sposobem otrzymują się one twarde i niekruche, a ztąd możność przewożenia ich nawet dość daleko, i zapewnienia nań odbytu w takich okolicach, gdzie paliwo wszelkie jest drogie.

PP. Dehainin i Hamoir wzięli patent we Francyi na swój wynalazek pod d. 23 maja 1853 r., lecz wypadki powyższe świeżo dopiéro ogłosili.

Sposób podany przez p. Malberga, *przywracania własności stali przepalonéj.*

Skutkiem licznych doświadczeń czynionych celem wynalezienia sposobu, aby przywrócić stali spalonéj jéj własności, prof. Schnederman podał w r. 1850 dwa środki, przypisując użycie jednéj z dwóch mieszanin, które zaraz poniżéj przytoczymy, radząc zanurzanie w nich stali przepalonéj, któréj dobre własności przywrócić pragniemy, po poprzedniém rozgrzaniu jéj do czerwoności; następnie po ostudzeniu nadać tylko pozostaje téjże stali twardość czyli hart, zwykłemi sposobami.

Dwa przepisy na owe mieszaniny prof. Schnedermana były następujące:

Iszy: 500 gramów łoju, 125 gram. smoły szewskiéj, 375 gr. salmiaku, 130 gr. prussyanu potażu, 50 gr. pieprzu czarnego, 30 gr. mydła zwyczajnego, i garść soli morskiéj. Te ciała, któ-

re są twarde potłuc drobno należy, a następnie wymieszać i razem stopić.

2gi: 500 gramów żywicy, 250 gr. tranu wielorybiego, 100 gr. łoju i 12 gr. assafetydy.

P. Malberg zastanawiając się nad przepisem p. Schnedermana, przypisał skutek nie mieszaninie ciał użytych, lecz temperaturze jaką takowa miała podczas zanurzania w niéj ogrzanéj do czerwoności stali, a która jak wiadomo w tym stopniu rozgrzania dochodzi do 1000° cent.

Tą myślą powodowany rozpoczął szereg doświadczeń, używając w zamierzonym celu, już nie żadnéj mieszaniny, lecz prosto wody, ogrzewając takową do stopnia blizkiego wrzenia, to jest do 90 lub 95° cent. W téj wodzie zanurzał trzy do czterech razy stal ogrzaną do czerwoności, i przekonał się, iż takowa tym sposobem odzyskiwała, swą własność kowalności. Do doświadczenia tego użył stali w pręcikach 1″ (czyli 25 milimetrów) w kwadrat, i takowe rozgrzewał dopóty, dopóki się stal przy końcach topić nie zaczęła. Tak przepalony pręcik, uderzony o brzeg kowadła przedstawiał w złamie złożenie (textum) gruboziarniste. Tenże sam pręcik stali przepalonéj, kilkakrotnie ogrzewany, lecz już tylko do czerwoności i zanurzany w wodzie wrzącéj, odzyskał swe poprzednie własności: albowiem rozgrzany w końcu raz jeszcze do czerwoności i zanurzony w wodzie zimnéj czyli na 15 do 16° cent., odzyskiwał twardość czyli hart, ziarna jego stały się drobnemi i nabitemi, i był zdatny na wyrób wszelkich narzędzi ostrych.

Środek ten nader prosty i niekosztowny, może być wykonany przez każdego rzemieślnika wyrabiającego narzędzia stalowe, a doświadczenia powtórzone przez p. Malberga w instytucie sztuk i rzemiosł w Berlinie, okazały całą skuteczność tego sposobu, w przywracaniu własności stali w narzędziach ostrych przepalonych użyciem, jakiemi były różne: dłuta, rery, dłubacze, nożyce, świderki, dłutka sztycharskie, rylce do gwiloszowania i t. p.

Kit zastępujący minią, do łączenia rur parowych, wodnych i innych, przez p. Chatigner.

Jak ważną jest szczelność w łączeniu rur przewodowych pary, wody, gazów i t. p. zbytecznem byłoby dowodzić. Kit w tym celu użyty, powinien być wytrzymały na gorąco i na wilgoć, a temu ze wszystkich używanych najwięcéj odpowiadała dotychczas minia.

Kit który przyrządza p. Chatigner w zarobieniu jest miękki, wystawiony na działanie ciepła i wilgoci, twardnieje i służy

do dokładnego uszczelniania, a co więcéj zaledwie kosztuje połowę tego co minia.

Skład tego kitu jest następujący: miesza się w równych częściach co do wagi: wapno, cement rzymski, glinę tłustą i glinę ceglarską; poprzednio należy je wysuszyć, zemleć, starannie przesiać, i w końcu dobrze wymieszać, poczém dodaje się oleju lnianego czyszczonego w stosunku 1: 6 wagi kitu.

Jeżeli kit ma służyć do łączenia rur wodnych, można stosunek cementu rzymskiego powiększyć; tym sposobem staje się wytrzymalszym na działanie wody.

P. Chatigner wziął na swój kit patent w Paryżu pod d. 8 marca 1854 r. *(Le Génie industriel).*

Wydobycie węgla kamiennego w Wielkiéj Brytanii.

Obecnie w połączonych królestwach wydobywa się węgli kamiennych 37,000,000 ton (tonna po 20 cent. ang. czyli po 62½ puda), z wartością onych na saméj kopalni 10,000,000 funtów szterlingów, lecz po doliczeniu kosztów przewozu, ładunku i t. d. węgle te w miejscu zużycia przedstawiają wartość 20,000,000 funtów szterlingów. Kapitał obiegowy do kopalni węglowych przywiązany czyli stale w nich krążący, wynosi również przynajmniéj 10,000,000 funt. szt.

Same wielkie piece, których w Anglii i Szkocyi jest 400, idących na węglu kamiennym lub koskie, zużywają 10,000,000 ton węgla kamiennego;, w nich przetapia się 7,000,000 ton rudy żelaznéj, i wydają 2,500,000 ton surowizny (62,500,000 centnarów stofuntowych surowizny!) z wartością 8,000,000 funt. szt.

Samo zużycie węgli kamiennych do opału i fabryk w mieście Londynie, spożywa 3,600,000 ton; w rozmaitych portach Anglii naładowano w ciągu r. 1850 dla rozwiezienia na zużycie w kraju 9,360,000 ton, wywieziono zaś do kolonii angielskich i zagranicę 3,350,000 ton węgla.

Kopalnie węglowe angielskie zatrudniają ciągle 160,000 robotników. *(Mechanics Magazine, marzec 1854).*

Wydobycie złota w Rossyi w 1853 r.	pudy	funty	zol.	dol.
Z zakładów ałtajskich	878	26	75	48
— nerczyńskich	171	17	11	2
— uralskich	348	18	6	66
Odciągnięto od srebra ałtajskiego i nerczyńskiego drogą mokrą	34	29	43	39
razem złota	1433	2	40	59
więcéj jak w r. 1852	23	15	49	71.

(Sächsische Bergwerks Zeitung).

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

P. Walenty Rafalski ogłosił prospekt na ozdobne wydanie: „Powieści poetycznych Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj." 4 tomy w małéj 16ce. W zbiorze tym mieści: Zagrodę domowę, Dwa Dwory, i Powiśle: wszystkie drukowane poprzednio w naszem piśmie: czwartą p. n. Córka wdowy: nieogłoszona dotąd drukiem.

— J. F Piwarski przygotowywa drugi zeszyt swego Kramu malowniczego. Zeszyt ten, składać mają: portrety Kopernika i Kazimierza Brodzińskiego, ostatniego, wizerunek zaleca się szczególnym podobieństwem owego łagodnego i pełnego melancholicznego wyrazu oblicza. Rysowany był z natury, przed samym wyjazdem poety do wód zagranicznych, zkąd już więcej nie wrócił. Dalej: Wylew Wisły w r. 1841, czyli Warszawskie Rybaki. — Chwila z pokrzyw literackich ś. p. Wilkońskiego: Kubuś przeciera się: gdy młody utracyusz pierwszy wexel podpisuje. Słyszeliśmy, że szanowny wydawca ma zamiar do każdego zeszytu, dodawać po jednéj tablicy kostiumów, tak włościan naszych, jak i starożytnych ubiorów polskich, i te mają być kolorowane. Śliczna to myśl, a wykonana, zjedna niewątpliwie ogólne współczucie dla Kramu znakomitego naszego artysty.

— Na wzór naszéj „Tabelli miast i wsi" w królestwie polskiém, wychodzi teraz Alfabetyczno-tabellaryczny spis wszystkich miast, miasteczek, wsi i osad Szlązka. Autorem jest p. Behurek w Steinaw.

— Jan Nepomucen Kamiński, o którego zgonie donieśliśmy, zostawił dramat historyczny w 5 oddziałach z powieści hr. Rzewuskiego (Listopad) napisany, p. n. „Listopad czyli bracia Strawińscy" który ma być przedstawionym na teatrze krakowskim.

— M. B. Wolff wydał w Petersburgu nowy poemat Wincentego Pola, a zapowiedziany dawniéj „Sejmik:" Alexandra Grozy „Obrazki Ukraińskie:" i kilka zeszytów Skarbczyka arcydzieł. Przekład historyków polskich z textu łacińskiego, przygotował w kilku tomach.

Petersburg. W dzienniku Literacko-artystycznym „Panteon," w pierwszym zeszycie r. b. P. Drewlański umieścił: „Żarysy Żmudzi" opisanie tego kraju, jego zwyczaje, język i pieśni ludowe; w końcu r. z. p. A. Popów wydał broszurę p. n. „Poselstwo rossyjskie w Polsce w latach 1673—1677." Wydawca ułożył to sprawozdanie z listów stolnika W. Tiapkina posła rossyjskiego przy dworze Jana III Sobieskiego, do Matwiejewa bojaryna pisanych, które zachowane były w archiwum spraw zagranicznych w Moskwie. Prace te zasługują na przekład polski. — „W Wojennym Żurnalu" 1854 r. (zeszyt VI) znajdujemy opis bitwy pod Warną d. 12 listopada 1444 roku stoczonéj, a pamiętnéj zgonem Władysława III Jagiellończyka króla polskiego i węgierskiego.

— Na kontraktach kijowskich pokazały się literackie nowości, których Warszawa dotąd jeszcze nie zna: zwykle bowiem pp. księgarze i nakładcy, najprzód do Kijowa spieszą, a co tam nie zbędą, przysyłają dopiéro do nas. B. M. Wolff dostarczył swego nakładu: W. Pola: „Sejmik w Sądowéj Wiśni;" Skarbczyka poezyi polskiéj 11 zeszytów, gdzie mieszczą się utwory poetów: Brodzińskiego, Bielowskiego, Magnuszewskiego, Siemieńskiego.

— Zawadzki w Kijowie drukuje powieść Ant. Nowosielskiego w 2 tomach p. n. „Dwie siostry."—W Wilnie wyszła znana powieść J. I. Kraszewskiego w drugiem wydaniu, przerobionéni przez autora: „Djabeł." Powieść „Ulana" w drugiem wydaniu już jest pod prasą.—T. Glücksberg

wydał nowe wydanie „Pamiętników Paska" z litografiami M. Fajansa. Myśl do tych rycin i cały układ wziął p. Fajans z illustracyi Paska przez Lewickiego.—Z nakładu Wolffa, pokazały się i przekłady historyków polskich: jak Fredry, Rudawskiego, Sulikowskiego i Łasickiego.

— Najnowsze dzieło Karola Szajnochy: „Jadwiga i Jagiełło" tom 1, już nadeszło do Warszawy: tom 2 pod prasą drukarską. Wydanie piękne i ozdobne.

— Do ważnych a bogatych zbiorów rękopismów dotyczących dziejów naszych, należy zbiór p. Wacława Dembowskiego. Przejrzawszy go uważnie, podamy spis wierny tego skarbcu; a badacze sami uznają jego wartość. Na czele położymy rękopism w 7 tomach in folio p. n. „Dzieje polskie, czyli przypadki znaczniejsze od czasu Interregnum po śmierci Augusta III króla Polskiego, oraz za panowania N. Stanisława Augusta króla Pols. W. Ks. Lit. zdarzone." Tom I zaczyna się od zamieszania w kraju przez rozróżnienie familii: zjazdu panów na reassumcyą trybunału piotrkowskiego w r. 1763 celem zerwania onegoż, co wstrzymują na wiadomość o śmierci Augusta III; tom 7 kończy się na opisaniu sejmu 1782. Rękopism ten był własnością niegdyś Dembowskiego, kasztelana Czechowskiego. Położyliśmy go naprzód, jako zabytek więcej opracowany i gotowy do druku. Pismo pokazuje, że był pisany w ostatnich latach przeszłego wieku, lub w pierwszych obecnego; nie pomylemy się, gdy podamy lata 1798—a 1803. O ile przypominamy sobie, takiż sam rękopism widzieliśmy w księgozbiorze ś. p. Józefa Dzierzkowskiego we Lwowie, ale zupełniejszy, bo był i tom 8my, a zatem pełniejszy, i zamykający w całości panowanie Stanisława Augusta. Wymieniemy teraz chronologicznie zbiór rękopismów:

1670—1732. „Negocyacye z dworem berlińskim." (Są tu autografy, jak Szembeka biskupa i w. i.). Rękopism po łacinie, a w części po polsku.

1686. „Negocyacye z dworem rossyjskim, z Portą Ottomańską i z Hanem tatarskim ab Anno 1686." (Rękopism wybornie zachowany, obejmuje po większej części wierzytelne kopie tranzakcyi, jak listów i uniwersałów. Wiele ciekawych korrespondencyi Hana tatarskiego i Porty).

1686—1714. „Protocollon variorum Miscellaneorum in politicis et curiosis." (Głównie zawiera materyały do panowania króla Jana IIIgo).

1701. „Rękopism bez napisu do dziejów Augusta IIgo i Jana IIIgo."

— „Miscellanea, folio, oprócz mów i listów wiele materyałów do panowania Stanisława I (Leszczyńskiego)." Jest tu opisanie Rossyi, i dużo szczegółów do Dymitra Samozwańca.

1711. „Protocollon różnych interessów pruskich tyczący się." fol

1711 i 1712. „Protocollon negocyacyi J. L. wojewody inflandzkiego. Anno 1711 w Wiedniu i 1712 w Frankforcie." Fol. (Zanotowano, że oryginał tych tranzakcyi oddany do metryki koronnéj, wraz z dyaryuszem negocyacyi wiedeńskiej).

1713—14. „Protocollon variorum Ecclesiae Negotiorum ac praecipue Episcopatuum Livonensis, Piltinen. atq. Vendensis item Querellae Dissidentium et Responsa. Viennae sub tempus Legationis Illustrissimi Szembek Episcopi Livoncen; in Anno 1713 et 1714." Fol.

1716—21. „Miscellanea Servants au protocol de l'Année 1716—1717", jako ciąg dalszy: „Miscellanea Servants au protocol de l'Année 1717—1718". —Dalszy ciąg: „Journal od 1717 miesiącami utrzymywany do 1721.—„Expedycye różne Annorum 1718—1719", obejmujące materyały dyplomatyczne. Fol.

„Dyaryusz negotiatiey traktowanéj, zaczętej w Lublinie d. 12 Junii 1716, a skończonej sejmem walnym w Warszawie d. 1 Februarii An. 1717." Fol.

1718—19. „Dyaryusz dwóch sejmów: jednego Grodzieńskiego, zaczętego 8bris A. 1718; drugiego z limity Warszawskiego zaczętego 30 Xbris A. 1719". Fol.

1720. „Expedycye różne An. 1720". Fol.
1721—27. „Zbiór pism różnych politycznych od 14 Febr. 1721 do 10 Febr. 1727". Fol.
1720-33. „Dyaryusz sejmu An. 1720. Item dyaryusze sejmów Annorum: 1722, 26, 29, 30, 32 i 33". Fol.
1722 „Zbiór różnych pism politycznych od d. 2 maja 1722 do 1737" (z autografami).
1721—22. „Expedycye różne Annorum 1721—1722". Fol.
1725. „Konferencye z ministrami postronnych potencyi, także negocyacye z dworem wiedeńskim i szwedzkim 1725". Fol. (Kopie wierzytelne).
1726. „Zbiór różnych pism politycznych od r. 1726 do 1737". Fol. (Z autografami).
1727. „Zbiór różnych pism publicznych od r. 1727 do 1730". Fol.
1732. „Traité de la Republique de Pologne pour servir d'Instruction à la noble jeunesse l' An. 1732". Fol. (Jestto rękopism przygotowany do druku z dokładnemi rycinami sal: poselskiej i senatorskiej; oraz pola elekcyi, szopy i otaczającéj ją szlachty pod chorągwiami swoich województw).
1731—34. „Acta 1731 do 1734"; (Zbiór różnorodnych materyałów, są i wiersze: pożegnanie króla Stanisława Igo stanów skonfederowanych w Królewcu i t. p.). Fol.
1734. „Acta et scripta in scissione. Anno 1734. (Fol. w połowie druki, w połowie rękopisma).
1731—1733. „Akta publiczne" fol. Takiż zbiór aktów idzie przez lata 1733 Acta et scrypta sub tempus interregni An. D. 1733; z r. 1737 „Zbiór mów różnych 1733—1752," obejmujący wiele materyałów do dziejów i do życia domowego; z lat 1745 do 1749 (z autentykami), „Miscellanea ab Anno 1737—39, oraz z dyaryuszem sejmu 1738—et Senatus Consilium An. 1739. Z lat 1739 do 1743. „Akta publiczne od r. 1740 i dawniejsze".— „Dyaryusz sejmu ordynaryjnego sześcio-niedzielnego z przypadającej alternaty prowincyi litewskiéj w Grodnie odprawionego, a zaczętego d. 5 Octobris Rp. 1744". Dyaryusze z lat 1746 i 1748. „Akta za panowania N. króla Augusta IIIgo od r. 1734 do 1736", (mieszane druki i rękopisma). „Akta publiczne od 1750 do 1759" (z autografami). Bogaty zbiór materyałów do panowania Augusta IIIgo i Stanisława Leszczyńskiego. Do dziejów tegoż Stanisława Igo są dwie księgi rękopismów, jedna do dziejów jego panowania, druga tycząca się dóbr Leszczyńskich.—„Historya śmierci Adama Tarły wojewody Lubelskiego 1744. Formularum atq. Digestorum titulo Curlandica", cztery tomy folio.—Tu należy: „Protocollon rerum et Transactionum in negotio Ducatum Curlandiae, 1719, fol.—Z r. 1733. „Protocollon in negotiis publicis co do granic królestwa 1733". „Status Dioecesis Plocensis. An. 1744". „Relacya o akcie wesela i przenosin N. króla Augusta, a teraz króla Pol. i W. Ks. Lit." „Akta publiczne. 1754." (Głównie tyczące się ordynacyi ostrogskiéj"). „Dyaryusz sejmu niedoszłego An. 1738". Fol. „In negotio Thorunensi ac aliorum Dissidentium 1771". Fol. „Zbiór różnych czynności i negocyacyi od r. 1734." „Targnienie się kapituły krakowskiéj na swego biskupa w r. 1782". Wspomniem tu o rękopismach z dawniejszéj daty. „Lustracya województwa krakowskiego z księgi skarbowéj 1564 wypisana". „Zbiór różnych listów i tranzakcyi z początku panowania Augusta IIgo. 1704. W ostatku wymienić musiemy dwie księgi w rękopiśmie pięknie pisane, obejmują one prace prawnika naszego Adama Zydowskiego p. n.: „Controversiae Causarii Juris selectiorum," jedna księga in 4to druga in folio. Mikołaja Dembowskiego biskupa kamienieckiego, nominata arcybiskupa lwowskiego; rękopism folio p. n.: „Uwagi i dowody przeciw żydom, poganom i ateistom, oraz o sekcie Filipowców; A. 1756." Jestto ten sam biskup Dembowski, po którym przechowano po większej części wspomniane przez nas rękopisma. Oprócz tak bogatego zbioru rękopismów, posiada p. Wacław Dembowski i piękny księgozbiór, który

troskliwie uzupełnia i zbogaca. Oprócz rzadkich wydań kronikarzy i dzieł starożytnych, ma piękny zbiór „Kuryerów polskich", wspominamy o nim, bo to już dziś jest rzadkością. Zbiór ten składają lata 1730—32, od 1739 do 44, od 1749 do 51, od 1755 do 1757.

— J. K. Gregorowicz, ma drukować w Gazecie Codziennéj powieść ludową w 2 tomach p. n. „Różne różności, opowiadane przez Janka z Bielca."

— J. Korzeniowski pisze nową powieść: „Wyprawa po żonę."

— J. I. Kraszewski w 4 tomach ukończył powieść: „Dwa światy." którą ogłasza Gazeta Warszawska.—Drugie wydanie powieści tego pisarza: „Komedyanci" we czterech tomach (dwa nowe) idzie pod prasę drukarską.

— Nakładem G. L. Glücksberga ma wyjść w r. b. powieść w 4 tomach A. Niewiarowskiego: „Synowie obywatelscy" a nakładem Bernsteina w kilku tomach tegoż pisarza: „Pamiętniki obywatela miasta."

(Wyjątek z listu Wł. Syrokomli do K. Wł. W.) „Waszego opisu Powązkowskiego cmentarza jeszcześmy nie widzieli w oczy: nasi biblio-pole wtej porze roku, szlą naprzód swe nowości do Kijowa, dając nam z nich korzystać wtedy już, gdy Ukraińcy niemi się nacieszą. Myśl to piękna. Groby wielkich i zasłużonych ludzi uzacniają ziemię, na której się znajdują. Album grobowe, jest świętym relikwiarzem kraju, to było moje zawsze przekonanie. Mamy i my tu na Litwie piękne kollekcye nieboszczyków: tu w Wilnie cmentarze Bernardyński, Missyonarski, Protestancki i Ruski, miałyby co powiedzieć gdyby się rozgadały. Ja ominioną jesień przepędzając w mieście, chodziłem schorzały na cmentarze, rysowałem nagrobki, spisywałem ważniejsze napisy, słowem, gotowałem się do utworzenia podobnej książki. Chłód i rozwijająca się choroba, nie dozwoliły ciągnąć daléj przedsięwzięcia, które podobno skończy się na niczem. Całą więc korzyścią moich wędrówek na cmentarze Wileńskie zostało to, że wybrałem dla siebie miejsce na grób, jeśli mi da Bóg złożyć kości w ziemicy Palemona. A czuję, że to niezadługo nastąpi!.. Po kilko miesięcznym pobycie w Wilnie, znowum się schronił na wioskę, dla snadniejszego pracowania. Piszę poemat p. t. Najmłodszy z Toporczyków, i porządkuję moje letnie wycieczki po powiecie Trockim, które wkrótce wyjdą u Zawadzkiego. Przygotowałem trzeci poczet Gawęd, które w tych dniach idą pod prasę: zasiadam do kontynuacyi Dziejów literatury."

— Znany ornitolog Kazimierz hr. Wodzicki przygotował do druku: „Historyą sokolnictwa w Polsce, sposób łowienia i karmienia ptaków, a nareszcie spis dokładny i szczegółowy wszystkich gatunków używanych do tych łowów." Ważna to i ciekawa dla nas praca: wiadomo bowiem, że u nas polowanie z sokołami jest pamiątką historyczną, i dziś jeszcze do zaprowadzenia możebną. Życzyćby należało, ażeby rękopism hr. Wodzickiego jak najrychléj drukiem ogłoszony został.

Kraków. (Z listu). J. B. Rogojski znany chemik w naszém mieście wytłumaczył i objaśnił sławne dzieło chemiczno-rolnicze Stoskarda, które ma drukiem ogłosić.—J. Wildt, księgarz tutejszy wydał kalendarz powszechny z drzeworytami na r. b.—Dr. Józef Jakubowski b. protomedyk i professor Uniwersytetu Jagielońskiego, ofiarował ogromną swoją bibliotekę lekarską, jakiéj, zdaniem znawców szukać drugiéj w Polsce, co do ilości, doboru i rzadkości dzieł, Uniwersytetowi naszemu.—Teofil Żebrowski wypracował krytycznie i bibliograficznie Dzieje matematyki w Polsce. Jest to ważny ustęp dla historyi literatury naszéj.—Księgarnia katolicka wydała „Małe Album Krakowa" pod tytułem Kościoły krakowskie, w 48 stalorytach z opisem owych po drugiéj stronie ryciny: nakładem téjże księgarni wydano Noworocznik katolicki dla dam. Oprócz części gospodarskiéj, zawiera i część literacką."

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Luty, 1855.

Luty 1855. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser-**

watoryum Astronomiczném Warszawskiém.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1g. 14m.45s.,7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz.wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god.w.	10 god.w.	deszczu	śniegu
1		750.76	750.08	748.94	750.75	— 19°.7	— 18°.8	— 14°.4	— 14°.9		pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	W.	PnW.		
2	☽.	753.90	756.04	750.80	757.15	— 20.9	— 21.7	— 16.4	— 17.0		pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	PnZ.	Z.	Z.		
3		756.34	757.34	756.97	756.44	— 14.1	— 11.2	— 8.5	— 8.3		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PdW.		
4		751.27	749.23	746.53	744.36	— 10.6	— 9.5	— 7.5	— 8.0		napół pog.	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	—		
5		740.52	739.94	736.73	735.47	— 7.6	— 5.9	— 3.7	— 4.6		pochmurny	pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	W.	W.	PdW.	W.		
6		733.90	734.21	735.44	737.81	— 2.7	— 0.4	— 1.5	— 3.3		pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	W.	W.	Z.	PnZ.		7.0
7		739.81	741.50	743.75	746.75	— 5.2	— 4.2	— 5.0	— 8.2		pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		6.8
8		749.08	751.09	752.91	755.24	— 8.9	— 9.3	— 13.1	— 20.0		poch. śnieg	pochmurny	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	Pn.	PnW.		3.6
9		758.05	759.32	758.47	757.08	— 25.2	— 24.1	— 17.8	— 23.6		pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		
10	☾.	752.33	749.95	745.96	745.05	— 28.8	— 26.7	— 19.5	— 25.5		pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	Z.		
11		744.28	744.60	742.67	742.09	— 28.8	— 26.9	— 15.1	— 13.1		pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	—	Pd.	Pd.	—		
12		741.66	741.06	737.48	734.98	— 10.9	— 8.0	— 7.3	— 10.3		pochmurny	śnieg prus.	pochmurny	poch. śnieg	Pd.	Pd.	PnW.	PnW.		
13		736.97	739.69	740.68	740.09	— 15.1	— 16.5	— 12.0	— 12.6		pochmurny	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Pn.	Pn.	PnW.		1.8
14		736.13	734.50	732.29	729.41	— 11.2	— 9.6	— 8.7	— 8.3		pochmurny	śnieg prus.	poch. śnieg	śnieg	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		2.8
15		727.23	729.11	732.87	737.19	— 9.2	— 9.3	— 8.7	— 10.9		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		5.0
16	☽.	741.56	742.39	744.02	745.94	— 13.4	— 12.2	— 12.2	— 13.6		pochmurny	pochmurny	śnieg	pochmurny	Pn.	Pn.	PnZ.	PnZ.		4.0
17		746.73	747.38	747.21	747.47	— 14.2	— 15.4	— 10.1	— 10.9		lek. pochm.	pogodny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	Z.		2.2
18		747.43	748.43	749.25	750.15	— 12.8	— 10.2	— 12.6	— 12.2		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	PnZ.	Z.	Z.		
19		751.44	752.95	754.39	757.03	— 12.9	— 10.8	— 9.7	— 11.0		pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	pr. pogodny	PnZ.	Pn.	Pn.	PnZ.		
20		759.78	760.23	758.85	757.77	— 15.8	— 12.3	— 8.7	— 14.7		pochmurny	pr. pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	PnZ.	Z.	PdW.		
21		754.59	754.02	752.72	753.52	— 17.2	— 12.9	— 10.3	— 17.0		pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	W.	—	—		
22		753.44	753.58	752.56	752.28	— 21.2	— 18.5	— 14.5	— 17.6		mgła	pogodny	pogodny	pogodny	W.	—	Z.	—		
23	☽.	750.94	750.91	750.70	750.54	— 21.6	— 14.2	— 9.6	— 8.6		pogodny	napół pog.	pogodny	pochmurny	Pd.	Pd.	PdZ.	Z.		
24		749.88	750.23	750.70	750.84	— 11.6	— 8.6	— 9.9	— 13.8		pr. pogodny	lek. zamat.	pogodny	pogodny	—	Z	Z.	Z.		
25		747.15	745.91	741.06	738.75	— 8.6	— 3.1	+ 0.6	— 0.6		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	Pd	PdZ.		2.0
26		737.67	738.47	739.09	740.22	+ 0.4	+ 1.9	+ 1.3	+ 0.3	98.2	pochmurny	pochmurny	poch. mgła	mgła	PdZ.	Z.	Z.	Z.		
27		742.54	744.12	744.94	746.44	— 0.5	— 0.0	+ 0.6	— 5.4	89.3	pochmurny	lek. pochm	lek. zamat.	pogodny	PnZ.	PnW.	PnW.	—		
28		747.77	749.06	750.56	753.61	— 8.7	— 4.3	— 2.4	— 8.6		pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	pogodny	PnW.	—	PnW.	PnW.		
Śre.		746.541	746.976	746.377	746.944	— 13°.46	— 11°.53	— 9°.21	— 11°.51											35.2

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	740.709	27	7.013
Najwyżej barometr dochodził d. 20 o g. 10 r.	760.23	28	1.007
Najniżej — — d. 15 o g. 6 r.	727.23	26	10.378
Średnia zmiana dzienna barometru	5.481		2.430
Największa zmiana dzienna barometru d. 15—16 o g. 6 r.	14.33		6.352
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	3.230		1.432
	749.939	27	8.445
Średnia temperatura lutego wynosi:	— 11°.43 C.	—	9°.14 R.
i ta jest niższa o	8.45 „		6.76 „
od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	— 2.98 „	—	2.38 „
Największe ciepło było d. 26 o g. 10 r.	+ 1.9 „	+	1.52 „
Największe zimno było d. 10 i 11 o g. 6 r.	— 28.8 „	—	23.04 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	4.222 „		3.378 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 11—12 o g. 10 rano.	18.9 „		15.12 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 2°.2 R. d. 26 i 27 po połud.
Minimum: —26°.5 „ d. 11 między 7 a 8 godz. rano.

Dotąd ani razu w lutym nie było tak nizkiéj średniéj temperatury i ani razu nie było tak wielkiego mrozu jak w d. 11.

Ilość wody spadłéj z śniegu wynosi co do wysokości: 35.2 mil. czyli 15.60 lin. par.; ilość ta wody jest większa o 1.91 lin. par. od téj jaka średnio u nas w lutym spada.

Dni pogodnych było 6, napół pogodnych 5, pochmurnych 17.
— deszczu 1 (d. 26).
— śniegu 12 (d. 5, 6, 7, 8, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 24, 25).
— mgły 2 (d. 22, 26).
Wiatrów mocnych 1 (1 Pn.).

Wiatr panujący zachodni, częste były także północne i północno-wschodnie

Luty r. b. był pogodny, w śnieg obfity, nadzwyczaj mroźny, o sześć i pół stopnia R. zimniejszy niż zwykle, o 3.81 stop. R. zimniejszy od stycznia r. b. a o 12.04 stop. R. od stanu średniego najcieplejszego tego miesiąca w r. 1843. Pod względem temperatury najwięcéj zbliżał się do stanu lutego w r. 1799, wszakże i od tego miesiąca był o 0.97 stop. R. zimniejszy. W żadnym roku tak w teraźniejszym jak i w przeszłym wieku miesiąc ten nie był tak mroźny jak w r. b. Dnia 11 w obserwatoryum w miejscu zwykłych postrzeżeń mróz dochodził 25 stop. R.; o kilka stóp nad ziemią 26.5 stop. R. za miastem w Marymoncie 27 stop. R. jestto największa granica mrozu jaki dotąd w Warszawie postrzegano. W r. 1799 d. 8 lutego mróz dochodził 26 stop. R., a zatém takiż sam jaki w obserwatoryum uważano. Oprócz dwóch dni 25 i 26 cały miesiąc był mroźny; najzimniejsze dni były: d. 1, 2, 9, 10, 11, 20. Zmiany temperatury były znaczne; największa zmiana dzienna dochodziła 15.12 stop. R. d. 11—12 z rana. Pod względem stanu nieba, luty r. b. był nieco pogodniejszy niż zwykle. Elektryczność atmosferyczna przy znacznych mrozach była nader silna.

D. 10, 11, 17, pokazywały się plamy na słońcu.

STAROSTWO RATEŃSKIE.

WYJĄTEK Z HISTORYI OSAD WOŁOSKICH W POLSCE (*).

PRZEZ

J. T. L.

W rateńskich lasach król Władysław a przed nim książęta Włodzimirscy po kilka tygodni każdorocznie spędzali, bawiąc się łowami. Dwie rzeki przez starostwo płyną, łącząc się pod Ratnem: Prypeć i Wyżwa; trzecia Turya od wschodu je odgranicza. Rozległość wynosiła naokoło mil polskich 30; ziemia przesycona wodą: źródła się wydobywają za najlżejszém dotknięciem rydla, zda się iż zpod kopyta spłoszonego zwierza woda tryska. Łownych jezior 28, 9 niełownych; a gdzie jezior nie ma, tam błota, bagna, trzęsawiska; jezioro z jeziorem łączą się pomiędzy sobą nieprzerwaną siecią odnóg, rzeczułek, oparzelisk. Rzeka płynie leniwie; z trudem rozpoznasz w którą stronę prąd. Gdzie nieco ziemia stwardniała, rośnie dąb, grabina, sosna. Wśród tego jakby zatopionego świata, tu i owdzie piasczyste wyżyny podnoszą żółtawe siodła; zlekka trawą gdzieniegdzie upstrzone piasczyste pagórki, tyleż co i woda

(1) Szacowna praca, z której ten wyciąg udzielony nam został, historycznie wystawia koleje wszystkich u nas osad na prawie Wołoskiém, i zmianę ich bytu w różnych epokach z ekonomicznego stanowiska ocenia. Jestto więc przyczynek do dziejów téj klassy narodu, którą zowiemy gminem, a której cnotom i zasługom tak niesprawiedliwą obojętnością dozwalamy ginąć w zapomnieniu. *P. R.*

ruchome. Po cmentarzach, białe deski trumien wygrzebane działaniem wiatrów, po dwóch leciech na wierzchu już sterczą. Pośród jezior i trzęsawisk tak nazwane ostrowki, pławią zielone brzegi w zarosłéj, martwéj wodzie.

Samo miasto Ratno rozłożyło się na równi z wodami rzek je otaczających: zmiękła ziemia ulega ciężarowi murów. Zamku na sypanym kopcu za Zygmunta Augusta wystawionego, w kilkadziesiąt lat późniéj i szczątek nie pozostał. Stefan Czarnecki na bitych palach mury wyprowadzał; a już w następnym wieku tylko stare, drewniane domczysko pośród zapadłych wałów sterczało. Woda aż do drzwi każdego domu podmywa, i nędzarz starozakonny siedząc na progu zarzuca wędkę, a śmielszy chłopiec, mieszczanin z więcierzem, chude kolana zatapiając w wodzie, po łąkach drobną rybę łowi.

Za zbliżeniem się wieczora, mgły wieszają się nad okolicą, i jeszcze długo po brzasku słońca nie ustępują, wilgocąc przez szarą koszulę nędzne ciało włościanina.

Bo i pośród tego zapadłego kraju poddany założył osady: każda wieś, czyli raczéj z kilku chałup sklecone dworzyszcze, miało na wschód słońca jezioro, na zachód drugie, a często trzecie i czwarte. Unikając wody i bagnisk, wsie osiadały na jałowych, piaszczystych wybrzeżach; wieś ze wsią rzadko łączyły się drogą; najczęściéj grobelkami żerdziastemi; woda je podmywająca, moczyła łapcie poddanego, z jednéj żerdzi na drugą przeskakującego.

Dziwny lud dla wytrwałości, powagi i cnoty: praca jego żywiołem; urok powagi, jakby smutna przepowiednia trudu i boleści, nędzy i modlitwy, już lśni na pacholęcia czole. Włos czarny, twarz ściągła, budowa smagła i ciałem nieobarczona, głowa mocno osadzona, nieco pochylona ku ziemi; uśmiech rzadko na ustach. Zawżdy milczący, jakby duch wnętrzny nieustannie mu szeptał o majestatyczności życia. Oko napróżno szukać zechce na twarzy znamion przeszłości, połysku nadziei, pochwycić rdzeń duszy; jak powierzchnia błyszczącéj stali, zimna postać odbije promienie oka.

Tu było państwo pszczół; każden gospodarz opodal, koło wsi, swój „zachód" miewał: ogrodzona przestrzeń

w samym gąszczu: płot przedzierał się pomiędzy pniami dębów i sosen, w zachodzie chałupa nizka, chędoga, po ławicach narzędzia bartnicze: piesznia żelazna lub drewniana, leziwo rzemienne, ściana zastawiona korabami, w nich plastry. Nieco daléj las rzednieje; polana i łąka; obok chatki starzec, u nóg dymi się spróchniałe drzewce; oczy jakby rosą namaszczone: znak człowieka co myślą żyje; ruchy powolne. Włosy długie to zbroja starca; przypada pszczoła, plącze się; a on rad kiedy zmyślne stworzenie, nie mając w czém samobójczego żądła utopić, powraca nieuszkodzone do roju.

Bartnictwo dziwnie służyło do kształcenia ludu: praca fizyczna bez przeciążenia, czujność bez przerwy, oko i słuch natężone, czuwające nad oddzielaniem się rojów. Wzrok, dochodzący po promieniach słońca czerwcowego do téj pracowitéj zgrai, co w swoim małym obszarze, jakby całego świata dziwy skupiała, nieraz odkrywał starcom obszerne widokręgi moralne. Bezczynnie nie można zostać z natężoną myślą na zgromadzone przed oczyma cuda świata: promienie słońca roztryskują się po trawach, po sośninie, po ułach i wszystko ożywiają; tak i myśl starca powinna była roztryskać się w duszy i wydobywać z niéj tajemnice pozaświatowe. Podrostkiem będąc stawiał narzędzia na lisy i kunice; młodzieńcem upędzał się z rusznicą za łosiem i sarną; w pełnéj sile wieku z oszczepem u dębu szedł w zapasy z niedźwiedziem; pod starość, szukając rozprzestrzenienia przedziału między życiem a śmiercią, udawał się do pasieki. Błogie czasy, kiedy szesnastogodzinowa pańszczyzna i jéj następstwo, gorzałka, nie zabijały jeszcze człowieka; a on przeszedłszy kolej życia, ukazaną wyżéj świeżą duszę, nie rzadko wonną jak miód lipcowy, do Boga zanosił.

Ziemia zmarzła lub zmiękła, szaty nędzne, pokarm mało żywiący, powierzchowność zimna a wyobraźnia i serce mieszkańca wrzące, niby rozżarzony węgiel: w jego pamięci, jak na jedwabiu wstążki, iskrawo obrazy przeszłości wytkane. Lud w zatraconych nizinach mieszkający, a dzieje całéj ojczyzny są mu obecne. Opowiadanie przeistoczone, a przecież zachowujące w swym zmienionym kształcie cały wdzięk, który historyczność zdobi.

Nasyp w długości kilkudziesięciu łokci, to grobowisko olbrzyma któren tę ziemię kiedyś posiadał. Daléj wskazują na dziewicze mogiły: to pamiątka wojen, w których udział same niewiasty miały. Pamięć podstępem zdobytego Iskorościa przez Olgę, żyje w zamku między błotami; zamku, zdobytym kiedyś za pomocą ptaków z przywiązanemi knotami zapalonych konopi. W różnych miejscach po kilkadziesiąt razem usypanych kurhanów, to pamiątka najścia Awarów: Bojan, „szeludiwy Bojan", usypywał kopce tam, gdzie noclegi i przystanki miewał. „Korolewskie, kniaże horki", pagórki na których odpoczywał Jagiełło. Murża tatarski pędził za dziewczyną: dla ocalenia czystości prosiła Boga, aby się nagle bryłą kamienną stała; i dotąd dwie bryły, jedna obok drugiéj stoją. Bo pomimo swéj nędzy, starostwo nie uchodziło napadu Tatarów: „Tur, Kremno, Zalesie spalone; ludzie ztamtąd wybrani przez Tatarów tegoż samego roku, w którym oni Brześć spalili". Zasieki, okopy przy mostach, brodach z czasu najazdów, kiedy szlachcic z szlachcicem, z rusznicą i kordem w ręku, spory rozstrzygał: spory o łąki, o barcie; osobliwie od Litwy zabierali kopice siana, odbierali kosy, kalety, siermięgi chłopom, podwiki, chusty białe kobietom; przekopywali drogę, zrzucali mosty; nieraz przestraszony chłop z miodem jadący, widząc powieszonego poddanego na drzewie w miejscu pogróżki, spieszył na gwałt, ażeby uszedł podobnego losu. A mało na tém: „Dziewieccy wypalili całą wieś Kremno" (1). Nareszcie powieść o Witenie, któren z prostego chłopa stawszy się królem, zwalczył wszystkich wrogów; a gdy podeszłych lat doszedł, położył się do grobu, rzekłszy do otaczających panów, iż gdyby na ojczyznę ostatnie niebezpieczeństwo nastało, wtedy tylko mają go z grobu powołać. Panowie nie dowierzali temu rzkomo snowi bohatera, a chcąc doświadczyć, udali najście nieprzyjaciela, i wkoło grobu strzelać poczęli. Ocknął się bohater, a przekonawszy się o podstępie, rzekł: „Teraz umrę i już nie przyjdę. Przez wasze niedowiarstwo stracicie kraj, i tylu was z ręki nieprzyjaciela polegnie, że i psy żarłoczne

(1) R. 1510.

z wstrętém odwrócą się od trupów waszych", mieszając w cudownéj składni początek i upadek dziedziny Piasta i Witolda, Wiena i Jana Kazimiérza.

Mocno są tu wytłoczone główne zwroty dziejów: olbrzymy i amazonki; Herodotowskie czasy, w których ciemni sam historyk z trudem kroczy: napady Awarów; wiek Warago-Russów: przedłużone łowy Jagiellonów; najazdy Krymców; rozpadnięcie kraju podczas wzmagania się władzy Sejmów. Wątek historyi kraju, przez nas w krótkości dotknięty, rozciągle przez lud opowiadany, obfitujący w szczegóły, w przerażających rozmiarów dramata, w rzewne opowieści.

Widać z tego, iż wszystkie koleje ziemi są świeże w ich pamięci. Historya wierniéj formę, datę, imię przechowała, lecz treść ludowéj legendy równie nadobna, równie pouczająca, równie wierna w swych głównych zarysach.

Lecz porzucając te fantazyjne ustępy, których ogniem ogrzewają się jeno starcy i dzieci, my przejdziemy do potocznego życia, do téj prawdziwéj poezyi, gdy w niéj pewnikiem jest praca, wytrwałość i poświęcenie.

Urząd trudnił się tylko gospodarstwem leśném i rybném (1). Gospodarstwo rybne zajmowało 27 jezior, na których miano 170 toni „niewodu wielkiego:" najgłówniejsze jezioro Byle, na którém toni 40; na jeziorze Orzechow, 28; na jeziorze Tur, 20; na innych od 12 do 1 toni. Rybołostwo nieszłuczne wypadkowym niepowodzeniom ulegało: na 9 lat przypadało w przecięciu 2, że zupełnie ryb nie było „bo zima nie potemu."

Towary leśne wyrabiano od r. 1545 pod dozorem Wawrzyńca, budnika z Wieluńcz. Rok rocznie do 100 łasztów popiołu i po 2 zechciki (2) wanczosu czyli 12,000.

Łowy na zwierzęta dawniéj stanowiły ważną gałęź przemysłu: król Daniel zbierając zapasy na wyprawę, sam bijał dziki na ostępie; król Władysław przez zimę, poprzedzającą Grunwaldzką wyprawę, kazał po starostwach bić zwierza, a mięsiwa spuszczano Wisłą. Poddanym pozwoloném było polować na zające, lisy,

(1) Do r. 1528.
(2) Z niemieck. *sechzig*, po naszemu kopy.

kuny, wiewiórki; dla pewnego młynarza rozciągnięto pozwolenie do sarn i łosi (1). Kiedy nieprzyjaciel plądrował w XVII wieku chałupy poddanych, w protestacyach szkody obliczając, wymienili zabranie „rogu tura“ któren przechowywał się, jako drogocenny zabytek po ojcach. Słowem gospodarstwo starościńskie drobną gałęź i niewielką cząstkę zasobów starostwa składało. Całe zaś starostwo wydzierżawione było za opłaty pieniężne, dań i poczęści roboty, 278 spółkom. Spółki były różnego kształtu: „Masło cum affinis, Błyźnij cum progenie, Jurko cum collega, Josko Piotruchowicz cum suis poymyenniki.“ Inne spółki stały nie na pokrewieństwie jak Masło, Błyznji a po części i Josko, nie na równém podzieleniu plonu i powinności jak Jurko, ale na osobnych zasadach. Tak „Choten Kulbayowicz cum połowinniki“ lub we wsi Wieluncze „Charyton cum suo połownik Koczanko.“

Połowinniki byli tém, co w południowych starostwach nazywano podsadki, w naddnieprsko-litewskich siabry, połużnik, przyjmujący u gospodarza zamożniejszego grunt, z którego połowę plonu temuż gospodarzowi oddawali, nie ponosząc żadnych innych ciężarów i nie mając żadnych stosunków z urzędem. Połowinniki byli to ludzie, mający mały kapitał lub żadnego. Dla małéj rękojmi, którą dawali urzędowi w wypłacie czynszu i dani, urząd nieochotnie wchodził z niemi w umowę; oni zaś ze swéj strony również nieochotnie wchodzili w bezpośredni stosunek z zamkiem, obawiając się wpaść w długi i stracić prawo do „wychodu“.

Gospodarze dawniéj zamieszkali, brali w dzierżawę, „ziemię“ kilka, kilkanaście i kilkadziesiąt włók wynoszącą, wydzierżawiając już od siebie kęsy połowinnikom. Gospodarze był to rodzaj poddzierżawców, których zyski opierały się na następném obrachowaniu: gospodarz Choten Kulbayowicz brał w dzierżawę od urzędu ziemię, do któréj należały role, barcie, błota, jeziorka, ogrody; trzecią część plonu urzędowi składał, a zachowując część ziemi na swe bezpośrednie użytko-

(1) R. 1456.

wanie, resztę jéj pomiędzy połowinniki rozdawał i z téj rozdanéj brał już połowę plonu. Różnica zachodząca między trzecią częścią plonu oddawanego a połową od połowinnika braną, stanowiła czysty dochód poddzierżawcy, za kredyt, za rękojmię, którą za połowinnika dawał.

Wieś lub kilka dworzyszcz, pisały się pod imieniem jednego gospodarza, a kilkudziesięciu było w niéj połowinników. Gospodarze mieli uznane swoje stanowisko, jeżeli nie prawne, to społeczne. Tytułowano ich nie „pracowity" jak innych poddanych, ale „opatrzny", co stawiło ich na równi z ciwunem, kniaziem i wójtem nie szlachtą.

Ponieważ przytwierdzenie miało charakter bardziéj rzeczowy, dotyczący się kapitału do człowieka należącego, nie zaś saméj osoby, zatém tylko gospodarze poczytywani byli za przytwierdzonych, i to z prawem „odkłonu"; połowinniki zaś, podsadki, poymienniki, była wolna część ludności, która i bez opowiedzenia wynieść się mogła: urząd bowiem żadnego nie miał interesu do ich przytwierdzenia.

Gospodarze przytwierdzeni, była to część ludności nieruchoméj, zachowawcza kapitału, trzymając go na dorędziu dla drugiéj połowy ludności rolniczéj nie przytwierdzonéj, ruchoméj, która przenosiła się z miejsca na miejsce, kędy nastręczała się praca.

Tym sposobem strumień łagodzonéj swobody przeciekał pomiędzy pokładami ludności rolnéj i wżdy zostawiał otwory do należytego rozłożenia bogactwa. Leżały téż na podoręczu sposoby na dochodzenie mienia, bez udawania się pod zgubną zapomogę do folwarku; którego zasoby dawaniem zapomóg, albo wprędce wyczerpywały się, albo dla niedopuszczenia tego, folwark musiał wynagradzać się przez przesadzony rozwój robocizn, graniczący z uciemiężeniem i nędzą.

„Hultaj", bo tak nazywano człowieka, który nie trzymał gruntu i robił za dzienną płatę, brał kęs ziemi jako połowinnik; przez pewny czas wstępował do jakiéj innéj wspólki włocznéj we czworgu lub w pięciu, na początek biorąc tylko ósminę lub ćwierć. Jeszcze pewny czas upłynął, a jego ruchomy kapitał powiększył się i dozwalał mu odtąd wziąć z drugim na spółkę całą

już włókę; nim nareszcie przyszło do tego, że mógł ją trzymać sam na siebie, rozdając z swojéj ręki połowinnikom pomniejsze jéj działy.

Niejedna szlachecka familia poczęła się z protoplasty połowinnika: znamy pewną, któréj przodek był siabrem, potém ćwiertnikiem, syn włocznym, dwuwłocznym i wójtem, wnuk dzierżawcą kilku wsi, potém administratorem téj saméj królewszczyzny; nareszcie pozwał hetmana W. X. L. na Trybunał wileński i otrzymał na nim wyrok odsądzający od czci i wywołujący z kraju.

Same spółki, był to już rodzaj drobnéj gminy; zwięzłość ich mogła stawać na przeszkodzie mocnemu rozwojowi gminy większéj, a pomimo tego są poznaki skupienia dworzyszcz w gminę.

Kilka dworzyszcz jednéj wsi lub cała wieś wspólnie (communatim) znosiły pewną dań, rozkład jéj już sami pomiędzy sobą czyniąc: Wieluncze, Głuchy, Samarowicze i inne składały wspólnie „woźczemnego", Zamszany zaś „łowczego" i „ognijczego" (1). Wspólnie także dawały wsie, stacyą.

Życie gminy wyrażało się jeszcze bardziéj w „wieczach". Sprawy drobniejsze rozstrzygały się na wieczu dwóch wsi przez pośredników, wybieranych zpomiędzy chłopów; sprawy ważniejsze wnoszono na wiecza kilkunastu wsi. Wyroki wiecz były ostateczne; apellacyi przeciw nim nie dopuszczano (2). Podstarości był obecnym sądzeniu; zapisywał winy przez pośredników wyrokowane i wybierał je na starostów. Oprócz podstarościego i pisarza, zamkowych urzędników na 17 wsi, było: jeden ciwun i jeden dziesiątnik.

Summa win wynosiła od 30 do 40 fl. rok-rocznie: godzący się bez udawania się do sądów składali „zmyerszczizne"; poszukiwający złodzieja i skradzionéj rzeczy, składał „poiemszczizną". Wygrywający sprawę, składał „pomocne", jeden grosz na urząd, a jeden na osobę sędziego, pośrednika.

(1) Odpowiedniéj nazwy szukać należy w dawnym ustroju Ruskiego społeczeństwa.
Akt. Ist. I, 2
Połnoje Sobranie Rus. Liet. III.
Prawda Ruska, Rakowieckiego. Sołowiow, Ist. Rusk. I.
(2) Metryka litewska ks. 37. R. 1538.

Twierdzenie, że ten ustrój swym kształtem sięga pierwocin historycznych czasów, popieramy samą osobliwością form późniejszemu prawodawstwu nieznanych; powtóre, iż na 278 spółek, ani jednéj nazwy kobiety wymienionéj nie ma, a wiadomo jak kobiety w dawnym ustroju w oddaleniu od spraw utrzymywano; nareszcie, iż nazwom powinności i dani odpowiednie tylko w Nestorze i Ruskiéj Prawdzie znaleźć możemy.

Miód był piérwszym i głównym zasobem. Dań miodowa połowę pieniężnych płat wynosiła (1). Każda spółka składała od dwóch do pięciu lipieczeń miodu „dannego", od jednéj do dwóch miodu „lipcowego." Oprócz miodu dawano lisy (ziemie, z których się taka dań składała, nazywano lisowszczyznami), biełki czyli wiewiorki, gronostaje (aspergillum), kunice, czerwiec, jastrzębie, len, konopie, powrozy łyczane do sieci.

Dotąd dań. Płaty pieniężne każda spółka od 1 do 2 grzywien pod różnemi nazwaniami: „poboru" „spisnego po dani" „spisnego po lipcu" „bobrowniczego" czyli „dochód od błot" „pochlebnego" „stróżnego" (custodie) „uroku" (czyli czynszu) (2).

Stacya była czterech rodzajów: „poliudzie" (poczesne) przypomina przejazdy Igora po kraju w Xtym wieku; druga stacya „ognijczego" na drużynę książęcą; trzecia „ tywuniego" na ciwunów i pomniejszysh urzędników, nareszcie stacya na starostę, po miarce żyta i owsa, ser, masło, jałowice, wieprze, siano, na Wielkanoc „krasne jaja", „tempore rzuye „po 10 bochnów chleba, temuż staroście miodu „rewczego": co mają znaczyć ostatnie dwa wyrazy, nie wiemy.

(1) Dochód od czynszów grzywien 512, od miodowéj dani grzyw. 244.

(2) Wieś Kortilesy. „Panyecz Manczycz, Panyecz Marko, Panyecz Jakim. Isti tres lypczu 1 lypieczna mellis pro censu. Post lypiecz 1 gr. Dacie 9 lypieczen mellis pecc. Id. Panyecz Manczycz. Poludzy 2 lipieczne mellis pecc. Slvt. Bobrowniczego 2 gr. 10 garbas lini. Poboru 21 gr. et 1 byelcam. Panyecz Marko. Poludzii 2 lipieczne mellis pecc. solvt. Bobrowniczego 2 gr. et 10 garbas lini. Poboru 21 gr. et 1 byelcam. Panyecz Jakim. Poludzy lipiczne mellis pecc. solvt. Bobrowniczego 2 gr. et 10 garbas lini. Id. isti tres de terra Nyemyatowskiey. Poludzij 2 lipieczen mellis pecc. Poboru 21 g. et 1 byelcam. Id. de eadem terra Niemyatkowskiey isti tres uroku mrcam. Custodie 6 gr. Summa horum trium fratrum marc. 5 gr. 28. Iwanyecz Manczycz de terra Konyatynskiey; hanc terram Malysz tenet et de ea uroku marcam solvt. *Reg. de ann. 1510.*

Wszystkie wsie obowiązane były do robót tylko przez mężczyzn odbywanych. Dawały powóz z rybą lub miodem do Lublina, posyłały do ostępu i do niewodu na jeziorach między wsiami leżących: lewe skrzydło wyciąga jedna wieś, prawe druga, trzecia suszy i układa. Przez lato wierszami lub „quocumque modo". Pozwalało się łowienie poddanym za opłatę „ale z tego letniego połowu więcéj szkody niźli pożytku", przeto częstokroć wzbraniano.

Oprócz ostępu, niewodu i powozu wsie miały sobie poleconą osobną, według zwyczaju feudalnego rozłożoną robotę: Głuchy darcie dranic i wożenie gliny do lepienia zamku; Samarowicze powóz gdy dań wybierają; Zdomyśle wożenie podstarościego w obrębie granic starostwa; Tur drew przywożenie; Wielunecze robienie statków, beczek, koryt, niecek; Dalyn i Synow naprawianie mostów na Wyżowcu i Rymaczu, i dostawianie po 2 drzewa na zamek: Wiątły, Szczodrohoszcz, Powiecze, Kortylesy, koszenie siana przez sześć tygodni i przywiezienie z Żupy 30tu beczek soli; Wydranica chodzenie na sioła i dawanie służby do zamku.

U mieszkańców spółek, władza rodziców jeszcze niezachwiana: pięciu, sześciu braci razem mieszkających rzecz zwyczajna. Rozwody „dochód niepewny" powiada urzędnik, gdy na południu „pożitek dobry" według słów podstarościego Rohatyńskiego, a w Kijowie żadna dziewica in statu virginitatis za mąż nie wychodziła, jeśli można wierzyć podaniu Herbersteina. Za najlepszy dowód wiary u naszych poddanych posłużą jeszcze słowa urzędnika: „Dochód powiększył się" powiada: „ponieważ wybierano nie według rejestrów ale ze słów samych poddanych" (1).

Rzemiosł prawie żadnych, każdorocznie posyłano po sieci aż do Torunia. Po wsiach dwa kowale a w Wielunczu spółka garncarska, z dwudziestu pięciu garncarzy złożona.

Zpomiędzy napojów piwo było najulubieńsze, potém miód: na początku tego wieku nie było żadnego kotła gorzałczanego, dopiéro w pięćdziesiąt lat późniéj wódka stała się niezbędnym szynków udziałem. Po-

(1) R. 1545.

zwoloném było każdemu poddanemu wyrabianie wszelkich napojów za opłatą od waru lub od kotła. Zamożniejsi mieli swe słodownie, także kotły, których było dwa, a trzeci spółkowy, włościański na zamku.

Na siedmnaście wsi było ośm cerkwi, z których dwie puste (1). Parochowie zostawali wżdy pod szczególną opieką królów: Zygmunta I i Zygmunta Augusta. „Słyszeliśmy", pisze pierwszy (2) „iż Jakób Sieklucki starosta rateński, bardziéj przemocą niźli według sprawiedliwości przyniewolił do składania po kopie groszy i po jednym wiardunku od każdéj cerkwi; chcąc zaś ich ubostwu ulgę przynieść znosimy to postanowienie, zastrzegając jednakże i nadal składanie poczty na Wielkanoc po jednéj skórce owczéj, po jednym groszu i dzbanie warzonego miodu." Jego następca w te słowa pisze: „uwzględniając koszta, które przodkowie popa Iwana w wystawieniu cerkwi ponosili, ponieważ ciągłym spadkiem ojciec, dziad, pradziad cerkiew w Wiątłach posiadali, zachowujemy do żywota pomienionego Iwana przy tejże cerkwi".

Nie wiemy którego roku założona plebania i kościoł katolicki. W r. 1500 już kilka spółek oddawały swoję dań miodową plebanowi. W r. 1504 plebanii nadano kilka gruntów na własność; w r. 1624 osiadła na nich wieś dla plebanii, potwierdzona przywilejem króla Zygmunta III. Razem z tém postanowiono, ażeby odtąd po wsiach żadnego nie naznaczano parocha „nisi fuit unitus cum Ecclesia G. U." Lecz nawrócenie szło z oporem. W r. 1648, pleban ledwie życie uniósł: kościół zrabowano, ołtarz spalono, figury świętych porąbano, z ich głów dzieci naigrawały się. Poddani, wypadłszy z zasadzki, zabrali kilka wozów z kosztownościami kościelnemi, przez organistę do Lublina wiezionemi.

Życie rozwijało się: nowe wsie, nowe spółki zakładano: Synów przez Wasila, nieco późniéj Datin, Zdomyśle przez Paszka z dwojgiem braci (spółka Bojarska), Postupla przez szlachtę, trzech braci Ziemlicow; Wydranica przez niejakiego myśliwego. Poborca 1510 r. wniósł do skarbu pobór z 75 łanów; we 30 lat późniéj,

(1) R. 1510. (2) R. 1519.

250, a koło r. 1576, trzysta łanów opłacało pobór; chociaż przysporzenie łanów policzyć trzeba raczéj na karb odstąpienia innych gałęzi przemysłu a obrócenia się do rolnictwa, niźli na odpowiednie pomnożenie ludności, bo pomiędzy r. 1510 a 1592 ludność powiększyła się o $^1/_7$, a liczba łanów we czwórnasób. Taki był stan starostwa pod wyłącznym zarządem prawa Ruskiego.

Lecz wybijała ostatnia godzina dla gospodarstwa pszczelnego, dla sądów na wieczu, dla pośredników, dla spółek. Przyspieszyli jéj wybicie i ludzie i okoliczności.

Przez wyrób towarów leśnych, przez rozkopywanie pól, lasy i barcie niszczały, nawet pomimo nieustannych zastrzeżeń Zygmunta Augusta, który rozkazywał (1) „branie zakładu od Datynian i Synowian, ażeby już więcéj w lasy nasze nie wdzierali się.” W kilka lat późniéj (2) pisze: „co do ludzi Zastawskich, jeżeli już nie ma sposobu na utrzymanie ich od czynienia szkód w lasach, lepiéj znów przenieść ich na dawne miejsce, gdzie przedtém zamieszkiwali.”

„Zwierz wypłoszał” powiada urzędnik zamkowy, „czerwiec już nie popłaca w Gdańsku,” (3) „jastrząb jednego razu nie podobał się, dają pieniędzmi” (4), „a także i za wiewiorki.”

Urząd korzyści upatrzył w usunięciu poddzierżawców i pociągnieniu zarówno połowinnika jak i gospodarza do bezpośredniego uiszczania się dworowi. Rozumowanie tylko na pozór przekonywające, przyniosło skarbowi tylko chwilowy dochód, a następnie pociągnęło ruinę i skarbu i poddanego. Dla naszego rolnictwa ta kombinacya była jak kopalnie w Potosi dla Hiszpanii, co ją na chwilę bogacąc, na kilka stuleciów do ruiny przyprowadziły.

Zygmunt August pisze do starosty: „o robotach poddanych do zamku Rateńskiego sądzimy, iż każden według tego jak swój chleb je, roboty nasze i inne ciężary nam od nich należące, tak powóz jak i ostęp ponosić ma, nie zaś według przodków swoich, ze swoich jak je nazywają, ojczyzn... względem sądzenia się zaś

(1) R. 1542. (2) R. 1548. (3) R. 1556. (4) R. 1569.

ludzi pomiędzy sobą, rozumiemy, jeśli tak dotąd zdarzało się, Wierność twoja takowe sądy ma zabraniać, a jednakże ażeby według dawnego obyczaju, w miejscu i czasie zwyczajnym przez ustanowionych sędziów, takowego rodzaju sądy odprawiać się mają; jednania się i ugód, które oni zlecają pośrednikom z pośrod siebie wybranym, Wierność twoja nie ma wzbraniać; zastrzegając tylko przytém, ażeby należne nam winy wybierano... O zakładach sądzimy, iż któren nie zapłaci do 3go dnia, ma dać zakład, i czasu zimy, według widzimi się urzędnika, ma zwrócić koszta wyżywienia wyłożone od dnia trzeciego po wzięciu zakładu, do dnia wyzwolenia."

R. 1564 „rozkazał pan starosta zaniechać zmiersczizny (jednania)", jeszcze w 1548 zachowane poczerewizne, kunice, wychodne, a to „jako niepobożnych poborów", a z poborem ustało i prawo.

I tak nieledwie jednocześnie zniesiono poczerewiznę (1), wychodne, zmiersczyzny (jednania się), i rozczłonkowano spółki (2).

Połowinniki, obróceni w zagrodników i komorników, podciągnięci do bezpośredniego stosunku z urzędem, przeszli do klassy przytwierdzonych, przeto tak korzystne rozdzielenie na ruchomą i nieruchomą ludność przestało być rzeczywistością. Odtąd Polska dawała do wyboru albo przytwierdzenie bezwzględne, albo wywołanie z kraju: ci to wywołańce połowinniki rozłożyli ogień w pustyniach przydnieprskich, żarzewo, które przy podkładaniu potężnych budulców, niebo całéj Polski okryło.

Spustoszenie lasów, upadek leśnego gospodarstwa źle przygotowało na nieurodzaje między 1538 a 1551 rokiem. Były wsie, których połowa gospodarzy rozbiegła

(1) R. 1510. „Poczerewizna, pobrzuchowszczyzna, *jus primae noctis pro d. Capitaneo* g. 2." 1545 „dają ci, którzy żony z pod drugich panów biorą" jak kunicę od tych co do cudzych dóbr dziewki oddawają.

(2) R. 1564. „Każdy człowiek któri sie na swoi chlieb oddzieli, chociasz na jednem dworziszczu na kthorem ich hendzie czasem i sześć, każden daje pochlebnego których zowią pochlebnikami als. komornikami" 1592. „Tam są ludzie co pochlebnikami zowią, co się rozumie komornicy, którzy chleba swego gospodarza za najmem swem jedzą; ci ludzie często rozbiegają na wolni." Kiedy ostatecznie sądy referendarskie nakazały uczynienie pomiaru, odkryło się, iż Bojarska spółka w Zdomyślu, założyła na swoich gruntach trzy wsie połowinników!

się: „aufugit aufugit" lub „mortuus mortuus non ita pridem" pisze podstarości. „Nimia siccitas" (1) dotknęła zarówno zboża i rybołówstwo; a zasobów żadnych jak po innych starostwach już rozwijających folwarczny system, przeto będących w stanie rozdać między poddanych po 100 i 200 kłód różnego zboża. Podstarości zmuszony do postępowania z wszelką oględnością „przymuszać", powiada „do opłaty na ostęp i wybierać pobór niepodobna, ponieważ z tego urosłaby wielka strata dla skarbu i krzywda dla poddanych."

Poddani, jak na bolesném łożu leżący, nie wiedzieli kędy ratunku szukać. Gdy zasłyszeli, że król jest w Lublinie, cztery wsie powiatu wiątlańskiego poszły ze skargami na urząd (2) i pozyskały zapewnienie „zostania przy dawnych zwyczajach."

Krótkie zadowolenie; zaślepiała tu ich miłość ku dawnym zwyczajom, ta wydatna cecha zacności duszy. Nie chcieli widzieć, że nikt się nie kusi o usunięcie z powierzchni biednéj okolicy zwyczajów po ojcach odziedziczonych; że to warunki pod któremi zachowanie tych zwyczajów możliwém było, ginąc, pociągają za sobą i zgubę samych zwyczajów; iż nastał czas pożegnania leśnego gospodarstwa a wzięcia się do rolnictwa.

Już nie jedna ojczyzna (ojcowizna) odbieżona, nie jedna chałupa połowinnika stoi pustką, i głód doskwiera ludności.

Natenczas król i starosta (Jan Sieklucki) użyli sposobu jaki im nastręczała ekonomika i doświadczenie ich wieku; udali się do prawa wołoskiego i do folwarcznego systematu, tamtemu poddając cztery wsie Wiątlańskie, temu trzynaście pozostałych.

Jednego i drugiego zastosowanie nie okazało się trafiającém do celu.

Rozumiano, iż ustrój gminny, właściwy osadom wołoskim, pomyślnie skupi rozpojedynkowane dworzyszcza ruskie, iż obszerne tutejsze łąki dozwolą rozwinąć chów owiec, wyłączne zajęcie osadników wołoskich; iż przedsiębierczy kniaziowie, przy mocnych przywilejach, dźwigną wsie z niedoli.

Łąki okazały-się błotnistemi, zabójczemi dla trzody, „przez robactwo w trawach żyjące."

(1) R. 1545. (2) R. 1542.

Przywilejów napróżno jęliśmy się, by szukać; poddani zapytywani później, odpowiadali że „spaliły się podczas nieprzyjaciela." Nie znajdujemy żadnych kniaziów: na spisach gospodarzy stoją wójci, ale to byli tylko wójci robotni, nie mający praw ani opartych na przywilejach jak wołoskie, ani na zwyczaju, jak ciwunowie ruscy, u których syn po ojcu następował „si aptus fuit" wójtowie zaś robotni mogli w każdéj być chwili zrzuceni, za lada obrażenie namiętności urzędnika.

Ale ustrój wołoski miał we względzie prawnym wpływ na los poddanych: jemu winni byli, iż we czterech wsiach na prawie tém zostających, role uważano jako zakupne, z których bez dozwolenia królewskiego i bez wynagrodzenia według taksy za budynki i ulepszenia, nikt poddanego rumować nie mógł. Poddani mogli zaciągać pożyczki na grunta. Całą błogość tego systemu każdy łatwo oceni. Do wszystkich wsi rozpostarła się z czasem. W r. 1654 jeden poddany z Jakusz zeznał przed podstarościm zastawę na części gruntu, którą potomek jego wykupił w półtora wieku później (1).

Dla jakich wszakże przyczyn wołoskie prawo nie powiodło się w ogólności?—Pierwsza była w charakterze ludu. Warunkiem powodzenia się wołoskiéj gminy, była dzielność kniazia; ustrój zaś dworzyszcz ruskiego prawa nie dopomagał wysnuciu się mocnych pojedynczych charakterów, jakie wydało Stryjskie, Sanockie, Samborskie, w całym szeregu kniaziów-osadców, lub w osobach prostych poddanych, jakimi byli Ferens Kibult w drugim, Alexy Tuła w piérwszym. Życie wiedzione w zaciszu domowém, ściśnięte do spółki, a odosobnione gęstwinami sosen i dębów, sprawiło, iż w XVI wieku żyli tu jeszcze ci sami Słowianie, co tak potulnie przyjęli władztwo Waregów.

Drugą przyczyną była miejscowość. Rozpojedynkowane dworzyszcza ruskie mogły pod ster jednéj woli skupić siły robocze, dla działania na przestrzeni włók kilku lub kilkunastu. Inna była natura ustroju gminy wołoskiéj; tam skupione kilkadziesiąt dworzyszcz, mogły już działać na przestrzeni włók kilkudziesięciu. Wszakże i to było niczém w kraju zatopionym, kędy ażeby

(1) R. 1789.

uzdalnić kilka morgów do przyjęcia zasiewu, potrzeba było osuszalne roboty na przestrzeni kilkuset włók przedsiębrać. Tu było potrzebném skupienie sił roboczych, któreby ogarnęło całą przestrzeń starostwa, sił rachowanych nie według drobnéj uprawy upostaciowanéj w ruskiém dworzyszczu, nie według średniéj w gminie wołoskiéj, ale według wielkiéj folwarcznego gospodarstwa.

Skromne były początki téj uprawy, która z upływem czasu pochłonąć miała i drobne i średnie. W r. 1528 obsiano kilka włók dworskich pod zamkiem, które w r. 1545 ledwie wystarczały na wyżywienie podstarościego, pisarza, kucharza, słodownika, piekarza, wrotnego i dwóch stróżów.

Jan Sieklucki rozszerzył folwark zamkowy i założył drugi w Dubecznie (1). Zbierano do 400 kóp żyta.

Lecz i zatrzymano się na tém, a nawet nieco wstecz się cofnięto. W r. 1564 zboże stanowiło $^1/_5$ ogólnego dochodu ze starostwa; w r. 1622 jednę dziesiątą.

Wielka uprawa, nakładu, pokoju i czasu potrzebująca, nie mogła rozwijać się wśród nieszczęść, z brzaskiem XVII wieku Polskę trapiących. Były niemi: rokosz, zaciężny żołnierz, napady Tatarów, a szczególnie wypadki pomiędzy rokiem 1648 a 1662; takich burz nie mogła wytrzymać żadna uprawa, a tém bardziéj wielka.

Liczba poddanych do trzeciéj części zmniejszyła się, liczba łanów do piątéj i szóstéj. Nędza natarczywiéj jeszcze niż śmiertelność postępowała. W Powieczu bywało 20 ojczyzn, zostało 5; w Turze włók 64, zostało 10; w Zamszanach 31, zostało 7; w Kortylesach w piérwszéj ćwierci wieku było 80, w drugiéj 66, w trzeciéj zostawało 16. Jak łuny pożarów wieszały się nad starostwem Kozacy, Tatarzy, niepłatny żołnierz. Najstaranniéj chowany sprzęt „koszula dla umarłego" nie uszły przed łupieztwem. Chciwość nieprzyjaciela, niedostatek i nędza żołnierza i z tych grobowych szat pobożną ręką zszytych, nieraz poddanego wyzuwały. Położenie poddanych w r. 1685, tak owoczesny głos przed zgromadzonemi stanami wyraża: „Obnażeni mizeryami, zwłaszcza przy teraźniejszym nieurodzaju, poddani nasi naśladują krokodylów, którzy mają oczy do

(1) R. 1551.

płakania, ale nie mają języków do uskarżenia się" (1). Roku 1688 „do takiego lud pospolity przychodzi ubóstwa, o jakiém w Moskwie wspomina historya: „tanta inedia hominum ut passim proclamarent: da quod manducem, et postea interfice me." W ośm lat później, r. 1696, „milczy ich język, ale oczy mówią, a z nich wychodzą grandia vocis, vocis pondera do uszu sprawiedliwości Boskiéj... które podnosząc się od ziemi, densentur in nubes, ignescunt in fulgura, caduntur in fulmina." Z brzaskiem XVIII wieku nowe rozsterki, nowe konfederacye, nowe zaburzenia: tak dociągniemy do drugiéj ćwierci stulecia, kiedy kommissarze, zesłani do najznaczniejszéj z królewszczyzn na Rusi, te wyrzekli słowa: „Teraz sprawdziło się dawne przysłowie: Polonia est infernus rusticorum."

Przebrnąwszy nieszczęścia od Jana Kazimiérza do połowy panowania Augusta III (przysłowie bowiem za Sasa było po pasa sklecone przez szlachtę, chłopu obce), naród począł koło siebie ozierać się.

Lecz ograniczając się do działań w przedmiocie poddanych naszych, wymienimy zajęcie się robotami na Polesiu około połączenia Prypeci z Muchawcem, ułatwiającemi odpływ wód i osuszenie kraju. Na tę okoliczność wskazują mianowicie lustratorowie z r. 1789.

W ciągu niesłychanych nieszczęść, które, jak wyżéj powiedzieliśmy, przez półtora wieku trwały, wielka uprawa spoczywała w uśpieniu; wolano raczéj liczyć na małą, z którą łatwiéj przebrnąć przez spustoszenia i wszelkie dolegliwości. Pod wpływem téj zasady fundowana wieś Charki, przez Charkę z Zabrudzia (2), miała płacić 10 fl. czynszu z włóki i 14 dni odrabiać do roku; wieś Kraskawola, za starosty Ludwika Pocieja (3), 400 złł. czynszu, miodu, i zawieźć dwie belki do portu; lecz z tym rokiem i kończy się drobna uprawa. Rozpoczęty w XVI wieku zawód folwarcznéj uprawy, a zaniechany w XVII, powstaje w drugiéj połowie XVIII, i dochodzi do takich rozmiarów, o jakich zapewnie ludzie

(1) Mowy sejmowe A. Chr. Załuskiego, w Kaliszu 1718.
(2) R. 1654. (3) R. 1725.

XVI wieku i marzyć nie mogli. Wieś Huta (1) obowiązana była do dwóch dni z włóki na tydzień, późniéjszego zaś założenia wieś Teklin (2), po wysiedzeniu 6ciu lat swobody, miała służyć już 2 dni z ćwierci t. j. z włóki 8 dni, do czego dodawszy 4 dni tłók podczas żniwa, 13 dni szarwarków z chałupy, uczyniło do 200,000 dni roboczych na rok, urzędowi należnych.

Powtarzamy: Dekret sądów referendarskich z roku 1594, miarkując robociznę, nakazał sześciu wsiom z liczby ośmnastu, odbywać na tydzień po 2 dni z łanu. Po lustracyi z r. 1765, wszystkie 27 wsi (9 nowych osiadło) zniewolono do 2 dni z ćwierci, czyli 8 dni z łanu.

To skupienie sił roboczych w biegłych rękach Józefa Sosnowskiego, starosty po Alexandrze Lubomirskim, posłużyło do rozwoju folwarcznéj, wielkiéj uprawy.

Wtorując przedsięwzięciu kopania kanałów na Polesiu Pińskiem, u niego w starostwie w przeciągu 7 lat wykopano rowów długości 65,000 łokci: usypano 20,000 łokci tam, przeszło 70,000 łokci grobel (czego wszystkiego przynajmniéj trzecia część miała 12łokciową szerokość). W tym samym przeciągu czasu wysiew folwarczny z 90ciu korcy wzrosł na 800 oziminy (z któréj 56 pszenicy). Poddani już mieli 1000 par wołów i 200 koni na 1400 gospodarzy (w r. 1592 na 300 spółek było 250 soch). Ogólny dochód powiększył się do 100,000 zł., czego $^1/_{20}$ stanowiło rybołowstwo (w roku 1510 $^1/_3$ dochodu przynoszące).

I wszystko to trudem chłopów dokonane. Wszystkiemu nowe życie nadano: porobiono mosty; rzeki, jeziora uczyniono spławnemi; „sama natura niejako przeistoczona. Okolica ta przedtém cała dla miejsc bagnistych niedostępna, dziś ma przejazdy ułatwione, w zboża, lepszego gatunku siano, obfitująca:" przytaczamy słowa naocznego widza. „Przedtem lasy przedstawiały opłakane widowisko spustoszenia, zczerniałych pniów, uschłych, podciętych drzew, a w teraźniejszym czasie zapuszczone; widać znaczne i piękne tychże lasów odmłodzenie" (używam słów tegoż świadka).

(1) R. 1747. (2) R. 1782.

Widzieliśmy dotąd co wykonywała wielka uprawa, na 27 wsiach działająca; tuż obok, w Wiątłach (właśnie w dawném ognisku ruchu prawa wołoskiego), folwarczny system odbywał się z siłami wsi jednéj. Będziemy najprzód świadkami jednego z tych najazdów co odnosi Polskę XVIII wieku do Szkocyi XVI, kiedy klan na klan, szlachcic na szlachcica, każden z poddanemi, zbrojno najeżdżali; ogniem i kordelasem, przy dźwięku klajmora lub trąbki myśliwskiéj palili i pustoszyli jeden drugiego siedlisko, i bydło zabierali. Trwała dawna waśń między Orzeszkami z Pińskiego a Wilgą dzierżawcą Wiątlańskim, o barcie, o leśniczych, o poddanych. Razu jednego (1) wszystko co konia u Orzeszków dosiąść mogło, i leśniczy i stangreci, doszczuwacze i budnicy z rusznicami, korbaczami i kijmi, z rana pod folwark podjechali. Sto siedmdziesiąt sztuk bydła uprowadzili, a skacząc gromadnie przez przysiołek, poddanych chaty ze wszystkiego co jeno było obrali: pozabierali siekiery, świdry, soszniki, czapki, sukmany, radła, skrzypce, kożuchy, płótna, wełnę, sukna, chléb w bochnach, koszule, pasy i t. d. Lecz te gorączkowe wybuchy życia, mając swą złą stronę, były chwilowemi. Na nieszczęście uprawa folwarczna w małych rozmiarach, innego rodzaju niszczący wpływ wywierała. Naoczny świadek wyżéj przytoczony, tak opisuje Wiątły: „pola w znaczniejszéj części piaszczyste a w niższych miejscach mokre, jak są przyczyną nieurodzaju zboża, tak ztąd idzie niedostatek poddanych, który w biednych odzieżach i pod oczy podpada; łąki i pastwiska między bagnami i zaroślami położone, dla złego gatunku siana i obfitości robactwa, bydlętom na pastwisko szkodliwego, nie wspierają niedostatku poddanych, zbożem swoim wyżywić się nie mogących, a każdéj wiosny litością possessora w ich niedostatku wspieranych."

Nie trudno rozstrzygnąć, czemu piérwszeństwo należy: czy folwarcznéj uprawie na wielką, czy na małą skalę prowadzonéj? Pozostaje nam bliżéj dotknąć złe strony jednéj i drugiéj, a uczuwszy je, pojmiemy dlaczego serce ściska się żalem że spółka czyli dworzysz-

(1) R. 1789.

cze feudalnego prawa zniszczone, a gmina wołoskiego nie doszła należytego rozwoju.

Rozwój bowiem wielkiéj uprawy, głęboko zmienił stosunki chłopów w domowém pożyciu.

O ile rozwijało się wielkie folwarczne gospodarstwo, o tyle zmniejszały się gospodarstwa poddanych. Tak w ostatniéj ćwierci XVI wieku (1), 350 gospodarzy zajmowali 300 łanów; w ostatniéj ćwierci XVIII wieku (2) 1400 gospodarzy zajmowało 217 łanów; liczba gospodarzy w przeciągu dwóch stuleci powiększyła się we czwórnasób, ilość zajmowanych gruntów zmniejszyła się o $^1/_3$. W XVI każdy gospodarz miał pod sobą $^6/_7$ łanu, w XVIII $^1/_6$.

Uderzało współczesnych to straszliwe drobnostkowanie gospodarstw. Zapobiegając mu, postanowiono (3): „Gdy gospodarz będzie wydzielał syna lub brata, ciągłéj ćwierci dzielić nie powinien, lub czynszowy lub iskopny oddać w proporcyę potrzeby" ale wbrew postanowieniu, w pięć lat późniéj było do 300 gospodarzy na ośminach, bo natura folwarcznego ustroju, przy zasadzie „de pane non de patrimonio" swój wpływ wywierała.

Drobnostkowaniu gruntów towarzyszyło drobnostkowanie familij. Na 1,400 było 900, w których ojciec z jednym synem razem mieszkali, a tylko 400 w których nierozdzielnie mieszkało dwóch braci; sto było zupełnie pojedynczo mieszkających. Gdzie te czasy, kiedy w spółkach po 6 domów pod jednym gospodarzem żyło, lub ta sławna spółka Mielechów, Bojarów, 3 wsie i kilkudziesiąt ludzi licząca! Iż ta podzielność wypływała z rozwoju robocizn, upatrujemy z następnéj okoliczności: w r. 1772 we wsiach jeszcze pozostających na czynszach, liczba dorosłych synów, którzy nierozdzielnie przy ojcach zostawali, przechodziła liczbę ojców gospodarzy; w robotnich zaś przeciwnie.

Szczodrohoszcza,	wieś	czynszowa,	gospodarzów	36,	synów	41.
Wydranica	—	—	—	53,	—	60.
Wieluncze,	wieś	robocza	—	88,	—	57.
Samarowicze	—	—	—	46,	—	27.
Datyń	—	—	—	67,	—	47.

(1) Od r. 1570—1600 (2) R. 1784. (3) R. 1784.

Przebiegliśmy skromne dzieje poddanych, dotknęliśmy innych praw, o ile one wskazują stanowisko wołoskiego, pomiędzy dawném pół daninowém, pół roboczém, a nowém czystoroboczém; pomiędzy drobną uprawą piérwszego a wielką drugiego. Mieliśmy sposobność przytem wskazać dogodności i niedogodności każdego. Nie ujęliśmy rezultatom i folwarcznego gospodarstwa, niezaprzeczenie wielkim, ale z drugiéj wykazaliśmy jego oddziaławcze wpływy gospodarstwa poddanych, na podzielność gruntów, na podzielność familij; a rozwiązanie węzłów familijnych ileto cnot i szczęścia, ileto rzewnych każdodziennych uśmiechów, gorących uczuć, zdławiło, zgniotło, z wiatrem puściło.

Po tak mozolném ślęczeniu po zakątach wioszczyn nie przedstawujących ani pięknych widokręgów przyrodzenia, ani świetnych pojedynczych charakterów, ani wyników pracy umysłowéj, wszystkiego tego, co ożywia ślęczący umysł, wydobywszy się zpośród bagien i lasów, szarwarków i pańszczyzn, dani i czynszów, wyjdźmy na oświetloną słońcem majowém polanę i usiłujmy odsłonić moralną stronę tych skarg, tych trudów, tych boleści, tych łez, tych jęków. Przebrnąwszy z poddanemi trzy wieki, patrzymy, czy postęp jaki uczynili? Postęp wyrażający się w obszarze pracy materyalnéj, wydoskonaleniem narzędzi, ułatwiających pracę; a w obszarach duchowych usunięciem przeszkód, mogących tamować rozwój duszy.

Cerkwie czarne, belczaste, sklecone jakby na prędce, z dzwonnicą na czterech słupach, z drewnianym krzyżem na kopule; nieznajomy kraju pomyślałby, że przez nowotną osadę lub przez niemających ustalonego bytu mieszkańców wystawione; cmentarze bez ogrodzenia: wolny do nich przystęp dla wiejskiéj trzody; już ostatniego pokolenia zeszłego groby z krzyżem, z którego część poprzeczną wiatr i śniég na ziemię zrzuciły.

Gdzieniegdzie może wierzą jeszcze w czmychania, zamawiania, zażegnywania, gusła pogańskiego rodowodu, przeciwko którym tak powstaje Nestor. Ale z drugiéj strony widok rozrzuconych figur po rozdrożach, przy wejściu do wsi, dowodzą iż tu zamieszkał lud głęboko chrześciański, który jeżeli nie zebrał się

na wystawienie gmachów, któreby nie świadczyły ubóstwa, jednakże liczbą wystawionych przekonywa, iż minęły czasy kiedy modlił się pod „owinem" (1).

Dawne „igrzyszcza" i porywanie dziewic, według słów kronikarza ustały; sakrament uświęcił pożycie domowe; znajomość Pisma świętego upowszechniały ustne podania: na zebraniu się kilkunastu starców, mało która karta nowego i starego testamentu pozostałaby bez opowiedzenia: niektóre ustępy, jak naprzykład o Jobie i Łazarzu, w kształtne kantyczki ułożone, były wszelkiemu wiekowi znane. Może potajemne uczucie naszeptywało zastosowanie ich do własnego położenia. Przez te X wieków chrześciaństwa głęboka jak morze wiara lud ogarnęła, i ona coraz głębsza: zda się, jakby nowe pokolenia wzbogacały się i swojém i zgasłych mieniem.

Nie ma już „styp, tryzn, igrzyszcz", ale są karczmy przy każdéj wsi bez wyjątku: znaczniejsze przy gościńcu z zajazdem, piec kaflowy, drzwi na biegunie z klamką żelazną: pokątne zaś, które Zygmunt August tak potępia w ustawie włócznéj, to prosta chata chłopska, kurna, ze drzwiami o drewnianéj zakrętce, w oknach szybki różnego gatunku lub deszczułki; ławic dwie; stół karczemny na nogach krzyżowych, podłoga z ubitéj gliny; oto widownia godów ludowych. Te to ściany chłodne i obnażone, zastąpiły gościnne ściany dawnych dworzyszcz, gdzie zaiste nie wyrzekano się wesołego spełniania dzbanów; lecz jaka różnica między biesiadą gospodarza na dworzyszczu, a biesiadą w karczmie! Gospodarz rozsycał sobie miód, warzył piwo i gorzałkę w pewne uroczyste dni dla wsi, dla niego; czy stałe, jako dzień patrona miejscowego, dzień wychodu na ś. Jan lub ś. Jerzy: czy przypadkowe jak małżeństwa, chrzciny. Teraz sprzedaż skupiona w karczmie, przez rok ciągle trwająca, nieprzerwanie i to jednę wódkę rozlewała pomiędzy ludnością. Między tém a piérwszém przedział, jaki jest między użyciem a nadużyciem.

Czy rozpowszechniły się rzemiosła?—Znajdujemy tych samych kowali i garncarzów; przybyło kilku tka-

(1) Owczarnia.

czy; innego postępu nie dostrzeżemy. Używano tych samych narzędzi rolniczych i domowych, co w XVI wieku.

Feudalne, rzkomo barbarzyńskie prawo, nie poważyło się pędzić na dworską lub zamkową robotę kobiet, oprócz niewolnic; jedni mężczyzni wszelkie posługi odbywali. Teraz powołano kobietę z początku do żniwa, do sprzętu siana; nareszcie do kopania rowów i kanałów. Długosz powiada, iż wody dwóch tutejszych jezior mają własność, w miesiącach marcu i kwietniu, barwienia na czarno ciała ludzkiego. Uczony dziejopis mylił się: ten czarny kolor jest znamieniem choroby, gatunku elephantiasis, pochodzącéj z długiego zostawania w błotnistych wodach. W saméj rzeczy nieraz ta choroba dotykała ludność, szczególnie słabszy organizm kobiety. Po kostki ona w zmarzłéj ziemi, łapcie i przegniłe płótno oskorupia boleśnie kał na jéj nogach; poddanka przykuta do roboty, kiedy jéj dziecko, w krobce lipowéj położone na grobli, płacze wrzaskliwie. Z tego steku nędz nędzne pokolenia wyradzać się muszą. Jakaż niezłomność praw natury, że kobieta zdołała rodzić, żyć i karmić, mimo wsteczne usiłowania.

Faktem psychicznym jest ścieśnienie woli i samoistnéj odpowiedzialności poddanego. Jeżeli dadzą się ująć wywody duchowne w modło liczbowe, powiemy iż w wieku XVI odpowiedzialność i wola poddanego były o $^5/_6$ większemi, niźli w XVIII, kiedy przymus i odpowiedzialność, wzięta na siebie przez urząd, zastąpiła, co piérwéj zostawione było obmyślaniu pojedynczych poddanych. Sam przymus przybrał charakter nagły i surowy: kara, jego narzędzie, zamiast dotykania jak przedtém mienia, dotykała tego, co dla człowieka najbliższém jest po duszy, ciała.

Co do podzielności familij, złe namiętności po chatach wtorowały w wieku XVIII zamiarom urzędu. Co dawniéj każdy członek familii karcił swe namiętności w obliczu starszego domownika, teraz lada podrostek chciał się już prowadzić o swym chlebie; przez dziwną sprzeczność natury ludzkiéj, wołał on poddać się urzędowi i urzędnikom aż do upośledzenia, niźli posunąć posłuszeństwo względem ojca lub starszego brata do pokory i uległości. „Dzieci o szczepki, a matki o dzie-

ci" w rozpaczliwy sposób członkowało familie. Urząd przeszłowieczny upatrując w tém swą korzyść, pobłażliwie patrzył jak podzielający się poddany marnował siłę, klecąc kilka żerdzi nad stodołą, windując kilka naręcz spróchniałéj słomy nad chałupą, rozprowadzając smutny ogień w chłodnym piecu; jak na miejsce porządnego gospodarza jednego, tworzyło się dwóch nędzarzy.

Zatém poddani przez te trzy wieki, t. j. XVI, XVII i XVIII, stracili: zabezpieczenie od kar cielesnych; wyłączenie kobiet od robót dworskich; wolność warzenia napojów; sądy; wybieralnych sędziów; samobytną uprawę; możność dochodzenia do majątku przez pracę.

Kończąc zapytamy, czy ludność rolnicza zawsze kroczyła ku postępowi, ku lepszemu?

KOMEDYA.

DRAMAT

Apollona Korzeniowskiego.

AKT III.

(Przy podniesieniu zasłony w salonie na kanapie siedzą: Lidia i Basia. Prezes na krześle ze strony Basi, Dutkiewicz koło niego. Po stronie Lidii, trochę o podal, oparty o poręcz krzesła, stoi Henryk i patrzy z niespokojnością na smutek i bladość Lidii, która utkwiła oczy w Prezesa.

SCENA I.

PREZES, DUTKIEWICZ, HENRYK, LIDIA, BASIA.

Prezes *(zwrócony do Lidii, mówi poważnie).*

Tak! o! tak, moje dziecię! Dziś moja opieka,
To tego, swych praw wszelkich zupełnie się zrzeka:
Kiedy o los twój chodzi, usuwam me zdania,
Me zasady, pojęcia, nawet przekonania.
Niech twoje własne serce wybiera i sądzi.
Za sercem idź, me dziecię; bo serce nie błądzi.
O! tak! o! bardzo rzadko!
(chrząka i pokazuje na marszałka).
Marszałek, *to tego,*
Wybrał mię na tłumacza uczucia swojego.
Nie taję, że mu sprzyjam; a szczerze sprzyjając,
Radbym mu schylić niebo, ciebie mu oddając;
Ale w téj sprawie, moje podrzędne są chęci;
Wyrzuć je, moje dziecię, ze swojéj pamięci:
Tembardziéj, że ja także waham się w téj dobie.
(pokazując na Henryka)
Gdyż inny zacny człowiek poleca się tobie;

Pan Henryk. Przeciw niemu ja nic nie mam także.
Radź, radź się swego serca! Jako ojciec wszakże,
Bo mi nazwać się godzi tém słodkiém imieniem;
Czuję się w obowiązku, mojém doświadczeniem
Oświecić dla cię wybór. O! łatwą mam drogę,
Bo tylko ich zalety wyliczać ci mogę
Jeden i drugi, chociaż tak różni od siebie,
Zacni, i jedném słowem, oba godni ciebie!
(pokazując na marszałka)
Pan marszałek przezemnie o twą rękę prosi,
I robiąc nam ten zaszczyt, w ofierze przynosi
Majątek równy twemu. To właśnie dowodzi,
Że mu o posag wcale, *to tego*, nie chodzi.
Wspomniałem o majątku dla téj to przyczyny,
Bo to nie najcelniejszy przymiot, nie jedyny;
Jego stan, wychowanie, odpowiedne twemu
Imię piękne! A umiał imieniowi swemu
Dać rozgłos, który tylko echo pochwał budzi;
Przyjąwszy je, zdobywasz znaczenie śród ludzi!
Lecz nad wszystko, *to tego*, i to oczywista,
Miłość jego ku tobie stateczna i czysta,
Na dar twojego serca w pełni zasługuje.
(pokazując na Henryka)
Pan Henryk, gdyż się równie w obowiązku czuję
Nie przemilczyć i o nim.

Henryk *(przerywa gestem prezesowi).*

O! przepraszam pana!
Ma miłość sercu pani jeśli nie jest znana,
Pan ją nie odmaluje słowy wymownemi;
Ale ja, nic, nic nie mam na téj całéj ziemi!
Przez pana obraz dany, we mnie się nie ziści;
Co jest we mnie i moje, nie niesie korzyści!
(do Lidii)
Nad mą dumą zapewne litować się trzeba?
Sam i biedny, na ziemi, zapragnąłem nieba!
Lecz by na nie zasłużyć, ja tylko umiałem
Wymarzone me szczęście kochać. O! kochałem!
I me serce, którego stałaś się świętością,
Pojęło jaką szczytną trza jaśnieć zacnością,
W jakich uroków blaski opromienić siebie,
Jak trzeba wznieść się bardzo; by być godnym ciebie!
(biorąc jéj rękę)
Dziś modlę się do pani.

Lidia *(powstaje zimna, obojętna i usuwa swą rękę).*

Niech pan puścić raczy

Moją rękę!

(z ironią)

Ten piękny frazes pewno znaczy:
Kocham panią nad życie?!

(po chwili milczenia)

Wierzę i dziękuję!
Lecz tak szczytnéj miłości godną się nie czuję.
Więc, że jéj się wyrzekam, pan pewno pozwoli?

(Henryk patrzy na nią w niemém osłupieniu. Lidia zwraca się do Marszałka z uśmiechem dobroci)

Gdy wujaszek zostawił wybór mojéj woli;
Gdy muszę serca mego ogłaszać wrażenia;
Niech pan przyjmie wyrazy szczere dziękczynienia!
Być celem zacnych uczuć, to dumną być można,
Ja nią jestem, prawdziwie.

Głos służącego *(za drzwiami).*

Powiadam nie można!

Głos sekretarza *(za drzwiami).*

A ja nie myślę prosić!

(Wszyscy zdumieni. Prezes zerwał się niecierpliwie; Dutkiewicz ogląda się ciekawie; Basia marszczy czoło. Lidia jakby rada temu, usuwa się trochę i swobodnie oddycha. Henryk zaś stoi nieruchomy i w myślach zatopiony. Sekretarz wbiega do salonu, odtrącając służącego).

Sekretarz *(do służącego, który został za drzwiami).*

E! pójdźże precz z drogi!

(zbliża się do obecnych z rezolutną miną, ale odwaga go opuszcza, przybiera zaraz pokorną postawę, i kłania się wkoło).

Prezes *(z gniewem do sekretarza).*

A Acan tutaj po co?

Sekretarz *(uniżenie).*

Ucałować nogi
Wszystkich państwa.

(kłania się)

Mam interes mały.

(do Henryka).

Za panem ja, jak waryat, biegam ranek cały.

Prezes *(do sekretarza).*

Czyś upił się? czy wściekł się? Acan tutaj czego!
No! wynoś się! Bo każę wyrzucić, *to tego,*
Słyszysz! Wypchnąć cię każę!

Sekretarz

Źle się bardzo stanie,
Gdy mię pan wypchnąć każe! Dalibóg że, panie!
(z cicha do prezesa).
Powiém, com wczoraj pisał.
(Głośno i pokornie).
Niech pan mi przebaczy,
Niech pozwoli powiedzieć!

Prezes (*wzruszając ramionami*).

No! Mów! co to znaczy?

Sekretarz (*zbliża się do Lidii i zafrasowany).*

Tego to, ja się żegnam!
(Żegna się, Lidia patrzy nań zdziwiona).
Niech nie myśli pani,
Że to robię przez bojaźń, nie! Przez cześć mą dla niéj.
Raz to piérwszy, że mówić do niéj się ośmielę
Przez wdzięczność.

Lidia.

Wdzięczność dla mnie? Cóż zrobiłam?

Sekretarz.

Wiele!
O! tak wiele, że Pan Bóg robić to pozwala
Tylko tym, których kocha. W skrytości i zdala
Zwykle anioł, co zostać niewidzialnym może,
Wspierałaś pani biédną!

Lidia.

Kto? ja?

Sekretarz.

O! mój Boże!
Co w mém sercu wdzięczności, *tego to*, o! ile
Ja wiem! Lecz wypowiedzieć napróżno się silę;
I słowa mi się plączą w jakiś nieład tłumny!
(wzdycha).
Bóg nie na to mię stworzył, abym był rozumny!
Chciałbym mówić, napróżno, *tego to*, się męczę!
(rezolutnie).
Niech mi pani pozwoli ucałować ręce;
A mnie zdawać się będzie, żem wszystko powiedział!

Lidia.

Ja nie rozumiem pana.

Prezes.

I ja radbym wiedział?

Basia.

Cóż znowu za komedya?

Dutkiewicz (*pokazując na Lidię z przyciskiem do sekretarza*).

Pani, nie rozumié?

Sekretarz (*do Lidii*).

A wspierać moją matkę od lat dwóch, to umié?
A niewidzialną nad nią rozciągać opiekę?
A przysyłać doktora? A płacić aptekę?

Lidia.

Kto? ja?

Sekretarz (*rozczulając się*).

Pamiętać nawet o jéj przyjemnościach?
Ja nie znam się na świata żadnych układnościach.
Może ja niedorzeczność, at! zwykle gbur, robię?
Lecz gdym wdzięczny za matkę, czuję serce w sobie!
I na głos tego serca, z tém sercem się stawię,
I *tego to*, po prostu, panią błogosławię:
Niech Bóg ziści jéj szczęście!

Lidia.

Ja powtórzyć muszę,
Że nie rozumiem pana. O! radabym z duszy
Zasłużyć na dziękczynień słowo święte, rzewne;
Na to błogosławieństwo!

(*smutnie*).

Ach! ono zapewne
Przyniosłoby mi spokój! Lecz mi nie należy,
Ani wdzięczność, ni szczęście. Niechże pan mi wierzy;
W téj chwili, może więcéj niż kiedybym chciała
Słyszéć błogosławieństwo!

(*na stronie*).

O! mniejbym cierpiała.

(*głośno*).

Nie mnie to pan winieneś;

Sekretarz.

Mówisz pani, wierzę!
Chciałbym być wdzięczny pani, dalipan, że szczerze!
Bo ją na to Bóg stworzył.

(*po chwili milczenia*).

Lecz tak być nie może.
Ja nie kłamca! I zaraz tu dowody złożę!
Ale cóż to, ja sobie próżno głowę łamię?
Jest świadek!

(*do Henryka*).

Niech pan powié, czy ja tutaj kłamię?

Henryk *(budząc się z zamyślenia).*

Ja? Nie wiem o co idzie. Nie słuchałem prawie.
Nie znam pana? I pan mię nie obchodzi wcale,
Ani też jego sprawa!

Sekretarz.

A to doskonale!
Tego to, rzecz wyborna, wyśmienita, nowa!
Mówił pan i powtarzał i pisał te słowa:
„Proszę mi nie dziękować, ja spełniam rozkazy;
To panny Lidii dobroć"; ile tylko razy
Przysłał pan, lub się zjawił z pomocą, z pociechą,
Jakby anioł, pod biednéj mojéj matki strzechą;
Czy nie tak? Niech pan powié!

Henryk *(niecierpliwie).*

Mój kochany panie,
Nie wiem kto pańska matka i gdzie jéj mieszkanie!
(z goryczą).
Ja, dla siebie tu
(ukazując na serce)
nie mam ni łzy, ni pociechy;
A szedłbym je rozrzucać pod obce mi strzechy?
I koić cudze bole, sam cały skrawiony?!
(gwałtownie).
A jeżelim to robił, to byłem szalony
Niechże pan mię nie dręczy. Spokojność mi droga;
Nic panu nie winienem!

Sekretarz.

A! na miłość Boga!
Lecz ja przecie nie kłamię?
(do Lidii)
Niech mi pani wierzy!
Za szczęście pani, tyle, och! tyle pacierzy
Moja poczciwa matka ze łzami mówiła!
Pan Henryk się zapiera, jednak rzecz tak była,
Że to w imieniu pani on nam łzy ocierał!

(Henryk odwraca się. Lidia po chwili walki z sobą, zbliża się nieśmiało do Henryka)

Lidia *(do Henryka).*

Czy pięknie, aby pan się przedemną zapierał
Szlachetnego postępku?

Henryk *(wzruszony).*

Niech pani przebaczy!
Sądziłem, że uczynić nie mogłem inaczéj,

Nie jeden, dar odrzuca; umrzeć zgłodu woli.
Od pani zaś jałmużna pociesza, nie boli!
Pożyczyłem jéj imię; niech pani daruje!

Lidia.

Darować? więc pan nie wié jak ja szczerze czuję
Tę dobroć pana dla mnie? Powiedzieć nie umiem.

Prezes (*przerywając*).

To tego, istna bajka!

Basia (*szyderczo*).

Rozumiem, rozumiem!
Bardzo biegle, dowcipnie rzecz ta ułożona:
Poetycznie! To szkoda, że jest przesadzona,
Dlatego z niéj nie długą można mieć pociechę!
(do Henryka pokazując na sekretarza)
Wiele mu pan zapłacił, za tę czułą strzechę?

Henryk *(spogląda z pogardą na Basię, a mówi do Lidii)*.

Widzi pani, że miałem powód się wypierać?!

Sekretarz *(ze złością do Basi)*.

Fe! Pani! Fe! To brzydko wszystko poniewierać,
Można skłamać rzecz brudną, ale nie rzecz świętą!

Basia *(do prezesa)*.

Niech stryj precz mu iść każe!

Prezes (*do sekretarza*).

Precz! z mową najętą!

Sekretarz *(patrząc w oczy prezesowi)*.

Takto? Dobrze, i owszem!
(uśmiecha się. Do Henryka)
Gdy pan się zapiera;
(do Lidii)
Kiedy pani nieufnie dokoła spoziera;
(do marszałka)
Gdy pan marszałek ziewa; widać się nie bawi?
(do prezesa i Basi)
A państwo się gniewają, i tak niełaskawi
Że aż mię chcą wytrącić?
(kłaniając się)
Kłaniam się niziutko!
Żegnam! Lecz przed odejściem, bajeczkę malutką,
Maciupenieczką powiem;

Prezes *(w złości woła).*

Héj! Czy jest tam który?
(Sekretarz zbliża się do prezesa, szepcze mu coś na ucho; Prezes hamuje swą niecierpliwość, i ze stłumionym gniewem mówi do sekretarza)
No! mów już tam do licha!

Sekretarz.

Był sobie Lew chory,
Tego to, ale piérwéj był zdrów. Owóż tedy;
Nie; nie tak! A! Lew pewien doznał wielkiéj biédy,
I nie wiedział co robić! Et! pamięć przeklęta!
Wiém, że tytuł: *Lew* i *Mysz.* Mysz przegryzła pęta
Lwa. Nie! Lew myszy wyświadczył usługę;
No! już nie wiém, choć wiersze to wcale niedługie.
Dość, że z téj bajki, widać wyraźnie i jaśnie
Że maleńki i biedny, o tak, jak ja właśnie:
Może ludziom poczciwym i pełnym litości,
(do Lidii i Henryka)
Nibyto pan i pani, wyświadczyć z wdzięczności
Usługę znakomitą!

Basia.

Jak na mękach plecie!

Sekretarz.

Państwo edukowani, a bajek nie wiecie;
A może nie lubicie? A więc prawda teraz:
(poważnie do Henryka)
Za to że pan sam biedny, a pomagał nieraz
Biédniejszym, i miał litość,
(oddaje mu papiery)
Niech pan to przeczyta.
Dowie się pan, że u nas na sprzedarz kobiéta.
To targ o pannę Lidię.
(Marszałek przerażony; Basia gryzie wargi; prezes chce przeszkodzić sekretarzowi, ten go gestem usuwa)
(do Prezesa)
Przepraszam!
(do Lidii)
A pani!
Za to że piękne czyny robiły się dla niéj;
Że pani godna tego; ma pani te karty!
Powieść pana Henryka. Ztamtąd list wydarty,
Zfałszowany przezemnie: to z jéj wuja woli!
Ten list pewno przy pani, pali ją i boli!
(do prezesa)
A co? piękna bajeczka?

Prezes (*ze wściekłością*).

A! Łotrze przeklęty!

Sekretarz (*szyderczo*).

Tak, to prawda.

Prezes.

Złodzieju!

Sekretarz.

Nie przeczę.

Prezes.

Szpiegu! Najęty

Sekretarz.

Zaiste, prawda.

Prezes.

Nikczemny niecnota!

Poczekaj! (*grożąc*)

Sekretarz.

Czekam, czekam.

Prezes.

Przejdzie ci ochota

Do kradzieży. Do turmy wpakuję za zdradę!

Henryk (*biorąc prezesa za rękę*).

Nie pozwalam go krzywdzić.

Sekretarz (*obojętnie*).

O! ja sam dam radę!

(*do prezesa*)

Tak! tak! tak! Ja nikczemny! Tak! Ja łotr niegodny!
Tak! Ja skradłem papiery! Sługa nieodrodny
Ja Jaśnie wielmożnego pana Dobrodzieja!

(*po chwili milczenia*)

Kto zemnie zrobił łotra, fałszerza, złodzieja?
Kto? Pan! pan! pan! raz jeszcze i jeszcze sto razy!

(*szyderczo*)

Ale pan za to czysty, niewinny, bez skazy!

Prezes.

Milcz łotrze! Precz mi z oczu!

Sekretarz.

O! raz powiem przecie,
Co mi tu, kością w gardle, i dławi i gniecie!

Nie służę już u pana! komu się zdarzyło
Raz odetchnąć szlachetniéj; temu bardziéj miło
Będzie umierać z głodu, niż służyć u pana!
(*po chwili namysłu*)
Wszakto ja ręka pańska prawa, pobrukana!
Ile razy trza było zrobić coś nikczemnie,
A sprytnie, a bezkarnie, to wszystko przezemnie.
By późniéj, na wypadek odpowiedzieć śmiało:
(*udając głos prezesa*)
„To sekretarz mój łajdak, łajdak jakich mało!
Ta klassa z moralności, *to tego*, wyzuta,
Jak honor kocham, z gruntu, o! z gruntu zepsuta!"
Któż ją zepsuł? Wy sami! A pan, to na czele!
Za ten kawałek chleba gorzki, wiele, wiele
Wymagał pan poniżeń? A sam pan prowadził
Za rękę w każde błoto; sam uczył i radził;
Sam psuł; sam toczył zdrowe i serce i duszę
Jak robak! Za to wszystko podziękować muszę!
(*z uniesieniem*)
I dziękuję! dziękuję! dziękuję! przeklinam!

Basia (*z oburzeniem*).

A to rzecz niesłychana!

Sekretarz (*do Basi z ironią*).

Ja się zapominam!
Prawda pani!? przepraszam! Między uczciwemi
Dla mnie miejsca już nie ma! *Tego to*, przed nimi,
Ja, jakby okradziony!
(*pokazuje na prezesa*)
On tak mię obrukał!
Poczernił! oplugawił! Że dziś będę szukał
Po turmach godnych siebie!
(*z żalem*)
Serce mi się kraje!
Bo przesiąkłem nim strasznie! Gdy przed lustrem stają,
Widzę, żem mu podobny, *tego to*,
(*z komiczną rozpaczą*)
Ot proszę!
I te: *tego to* nawet, to jego ślad noszę!
On na mnie swém *to tego* zblakował w rozmowie!
I ja, jak fixat, głupiec, powtarzam przysłowie.
O! sam sobą się brzydzę!
(*do Lidii smutnie*)
Prawdziwie! Wié pani,
Że ja, com mniemał tyle wdzięczności mieć dla niéj,

Nie śmiałem jéj dziękować, ni do niéj się zbliżyć,
Ni spojrzeć, by spojrzeniem mojém nie ubliżyć
Pięknéj duszy i sercu!
(pokazując na prezesa)
To jego robota!
(z żalem i rozpaczą)
Wszystko, co czarne we mnie, ile tylko błota
W mém życiu, jemum winien! A państwo nie wiecie,
Jak się można zarazić! Kiedy biéda gniecie,
I popycha i kusi! A szatan potrąca
I wskazuje byt znośny, lub nędzę bez końca!

Lidia *(z cicha)*.

Biédny człowiek!

Sekretarz.

Dziękuję! o! dziękuję pani!
O! za to jedno słowo, w ogień skoczę dla niéj!
(spokojniéj do prezesa).
A Jaśnie Wielmożnego Pana żegnam teraz.
Choć mi pan prorokował tak stanowczo nieraz,
Że zakończę na stryczku! Bo nic do stracenia
Ja nie mam: ani wiary, ni czci, ni sumienia!
Choć przez pana winienem podłości nie jednéj,
Dziś wiem: że nie łotr jestem, ale człowiek biédny!
(do Lidii).
Pani to powiedziała, a ja, aż wyrosłem!
Przepraszam, że się przed nią tak bardzo uniosłem
Ale i biédni czują! Jeśli żal co znaczy,
Żałuję i powiadam:
(pokazując na prezesa).
Niech mu Bóg przebaczy!
(po chwili milczenia).
Idę teraz, gdzie? Niewiem.
(zabiera się ku wychodowi).

Prezes *(pół głośno)*.

Ruszaj na złamanie
Karku!

Henryk *(podaje rękę sekretarzowi)*.

Idź do mnie! proszę! Wiész gdzie mo mieszkanie?
(Sekretarz podaną rękę ciśnie, nagle całuje ją i wybiega).

SCENA III.

CIŻ SAMI BEZ SEKRETARZA.

(Wszyscy zaambarasowani, zostają jakiś czas w milczeniu.—Lidia z zeszytem w ręku, stoi bolesnie zamyślona.—Basia i prezes spoglądają na siebie niespokojnie.—Marszałek szuka kapelusza i czeka sposobnéj chwili aby się wymknąć.—Henryk w głębi sceny, zbliża się przy pierwszych słowach Lidii).

Lidia.

Z kim jestem? Co mię tutaj okropnego czeka?
(pokazując na prezesa).
To wuj!
(na Basię).
To krewna blizka!
(wstrząsając zeszytem).
A to, ich opieka!
On nazywał się ojcem; ona siostrą lubą!
(z boleścią).
Miłość ojca i siostry miała mi być zgubą!
To okropnie, okropnie!

Prezes *(do Lidii).*

To tego, me dziécie.
Jeszcześ zanadto młoda. Nie wiész, że na świecie,
Co złém się nam wydaje, a dobre jest potém.
Późniéj, ze krwią zimniejszą pogadamy o tém.
(do marszałka).
Pana, przepraszam bardzo, że głupim wypadkiem
Téj nieroztropnéj sceny, musiał pan być świadkiem!
Na osobności panu ja tę rzecz wyjaśnię!
(marszałek sunie się ku drzwiom, a prezes mówi do Henryka).
(z ironią).
Pan, co taki litośny, masz powody właśnie,
Zająć się niegodziwcem. Musisz pan się spieszyć,
By łzy jemu ocierać, wspomagać, pocieszyć?
A więc, nie zatrzymuję. On na pana czeka;
Niezatrzymuję pana!

Henryk *(spostrzegłszy że marszałek chce wychodzić, nie odpowiada prezesowi, ale zatrzymuje marszałka).*

Niech pan nie ucieka!

Dutkiewicz *(z powagą).*

Mój panie!

Henryk *(spokojnie).*

Cóż, mój panie?

Dutkiewicz.

Dziwie się, dlaczego
Pan chcesz mię tu zatrzymać?

Henryk.

Mam powód do tego.

Dutkiewicz.

Téj racyi nie pojmuję?

Henryk.

Tak, jak wiele rzeczy!
Niepojętności panu nikt tu niezaprzeczy!

Prezes (*do Henryka*).

Tego to, bardzo pięknie! Jakto? W moim domu?

Henryk.

Cóż daléj? W moim domu?

Prezes (*poważnie*).

Uchybiać nikomu
Nie pozwolę! Nie lubię hałasu i krzyku!

Henryk (*z oburzeniem*).

Jak pan śmiesz się odzywać!

Lidia (*do Henryka*).

O! panie Henryku?!
(*Henryk usuwa się w milczeniu.—Lidia mówi do prezesa*).
Prawda! Przed chwilą jeszcze nadto młoda byłam;
Lecz przez te pół godziny, ja lata przeżyłam.
Dzięki wam, jużem wyszła z mych marzeń odmętu.
Serce krzepnie ze wstydu, dusza drży ze wstrętu;
Nie zdziwię się, gdy ujrzę me włosy zbielałe!!
Struliście przeszłość moją i me życie całe!
(*z ironią*).
W najrozsądniejszych ludzi znakomitém gronie,
Mam prawo dziś głos zabrać, bo chłód ze mnie wionie!
(*po chwili milczenia*).
Skrywać co, lub się srożyć, już nie ma przyczyny.
Możem mówić otwarcie, jak pośród rodziny.
Wszyscy zostać winniśmy, choć z powodów różnych.
(*coraz bardziéj unosząc się*).
Dosyć zdrad i tajemnic i wybiegów próżnych!
Ze zwyczajnych kolei gwałtownie wyrwana;
Chcę! Żądam!
(*spokojnie do prezesa*).
Proszę wuja!
(*do Basi*).

I panią!
(*do marszałka*).
I pana!
(*do Henryka*).
Zwłaszcza pana! By zostać tu raczyli wszyscy!
(*do prezesa i Basi, ze smutkiem*).
Wam piérwszeństwo. Niestety! wy moi, wy blizcy!
Cóż wam winna sierota, że tak bez litości
Targaliście jéj serce? Z rachuby, z chciwości;
Newet nie wiém już z czego! Z krwią zimną kramarzy,
Na każdą świętość uczuć, okropnéj potwarzy
Nałożyliście maskę! Ocóż wam chodziło?
Mój posag? Me pieniądze? Ależ trzeba było
Otwarcie ich zażądać? Z rozkoszą, z radością,
Wszystkobym wam oddała; by zostać z ufnością,
Z wiarą w ludzi szlachetność, w wasze przywiązanie!
(*do marszałka*)
I pan, z jakich powodów,

Dutkiewicz.

Ja pani?

Lidia.

Tak panie!
Chciałeś kupić sierotę,

Dutkiewicz.

Niech pani pozwoli,

Lidia.

Czyn pana mię zasmuca; lecz wcale nie boli?
(*z ironią*)
Nie mężny handlarz z pana: targ odbył w skrytości;

Dutkiewicz.

Ja tak mało winienem!

Lidia.

A! nawet śmiałości
Nie masz pan swoich czynów! Nie pojmuję tego.
Spojrz pan na moją krewną i na wuja mego;
On, zawsze godny, nigdy niczém nie wzruszony!
Ona, szyderczą, zimna!

Dutkiewicz (*na stronie*).

Muszę być czerwony
Jak burak! Djabla sprawa!

Basia (*do Lidii z szyderstwem*).

Zabawka malowania portretów skończona:
Każden z nas żywcem zdięty! Rzecz to dowiedziona,

Pojęła, nieodmienna dowcipna i miła,
Przyjemna i pocieszna! Lecz jeszczeby była
Przyjemniejszą i milszą; gdyby się skończyła.
Przyznam się, to mię nudzi!

Prezes (*do Lidii*).

To tego, zaiste!
Z twéj strony zapomnienie, tak, tak, oczewiste.
Chybiasz mi, chybiasz siostrze, chybiasz marszałkowi!
Za wiele na tak młodą. Nie wiem co świat powie?
Byłem dotąd cierpliwy.

Lidia.

Jeszcze nim być trzeba!
O! tylko małą chwilkę! Wytrącona z nieba
Najdroższych uczuć moich, a przez was, jedynie;
Gdy za me przywiązanie, znajduję w rodzinie
Nienawiść; gdy na serca mego szczere bicie,
Przez was mi tylko wstrętem odpowiada życie;
Gdyście mię potrącili w światy mi nieznane
Fałszów, brudów, oszczerstwa; gdy serce stroskane
Cierpi, drży i rozpacza; gdy dokoła widzi,
Albo to czém pogardza, lub to, czém się brzydzi;
Gdy na ból i na gorycz tym jękiem się skarży:
Wy, z uśmiechem pogody w oku i na twarzy,
Chcąc światowością nie wiem kogo tutaj łudzić,
(*do prezesa*)
Pan, skargę zwie: uchybiać!
(*do Basi*)
Pani ją zwie: nudzić!
Żal więc mój i mą boleść ja w sobie zagrzebię!
Lecz nim dom ten opuszczę,

Prezes.

Niepojmuję ciebie!

Basia.

Będzie to ładny wyskok!

Lidia.

O! te wasze rady!
Dosyć ich mam, o! dosyć! Poniosę ich ślady
W zobojętniałém sercu na wszystkich, na wszystko!
Niestety! Nadto długo, o! zanadto blizko
Przy was byłam; by wierzyć w godność moją własną!
(*po chwili milczenia*)
Tak! Nim dom ten opuszczę, myśl lepszą i jasną
Chcę unieść w sercu, w duszy; by mieć przekonanie
Że mam serce i duszę!
(*do Henryka*)

Gdy winy wyznanie,
Jeśli smutek głęboki, żal niewysławiony,
Mogą zgładzić postępek oszczerstwem natchniony;
Gdy przebaczenia dobre i szlachetne słowo
Może zmyć plamę, i duszę rozjaśnić na nowo,
A serce wyrwać z nocy straszliwéj rozpaczy;
Ja pana proszę, błagam: niech pan mi przebaczy!

Henryk.

Ja? Pani?

Lidia.

Czułam zawsze! Dziś czuję goręcéj,
Wiém: że panu przystało być szlachetnym więcéj
Im większa boleść moja! Przebaczenie pana,
Biédnemu sercu będzie to ręka podana,
Wróci mu wiarę w siebie, dźwignie z poniżenia!
Błagam pana! Zaklinam, na czyste wspomnienia
Niepobrukanych światem dawnych dni tak błogich;
Na świętość uczuć pana, dla mnie wiecznie drogich!
Żałującemu sercu, niech serce bez skazy
Przebaczy w obec świadków téj gorzkiéj obrazy,
Jednem słowem: przebaczam!

Basia (*z cicha*).

Aż wstydzę się za nią!
Szczególne poniżenie!

Henryk (*do Lidii*).

Klęczący, przed panią,
Winienem słów tych słuchać! Ich to lube brzmienie,
Widok pani, lub myśli jéj pięknéj wspomnienie,
Prowadziły me życie, przez nędzę i troski,
W kraj uczucia i natchnień, w kraj cudny, w kraj boski!
W mego serca tajniki, ile tylko razy
Spojrzę: panią tam widzę jasną i bez skazy!
Jéj to promienie biją z duszy méj głębiny,
Rozjaśniają me słowa, me myśli, me czyny!
Więc tylko wdzięczność święta i wieczysta dla niéj!
Za cóż ja mam przebaczać? Lecz, ażeby pani
Nie myślała, że w sercu przez nią zachwyconém,
Mógł najlżejszy cień zostać; z czołem pochyloném
Mówię z duszy: przebaczam!

Basia (*z cicha*).

I pięknie! I mile!

Lidia (*do Henryka*.

O! dziękuję! A teraz!
(*po chwili milczenia*)

Tak, są w życiu chwile,
Gdzie wszystko nas z codziennych kolei wyrywa;
Gdzie światowych zwyczajów ogłada fałszywa
Milczéć musi przed serca i uczucia głosem:
Taką, obecna chwila; kiedy smutnym losem,
Blizcy mię, mnię zdradzają; ja siebię nie zdradzę:
Słucham własnego serca, a Boga się radzę;
I wierzę, żem jest taką, a raczéj być żądam,
Jaką w cudownéj myśli pana ja wyglądam.
Niechże mię pan zachowa w sercu i natchnieniu,
W przeszłości i na przyszłość, w całém swém istnieniu;
A, by nic mną nie chwiało na tym szczęścia szczycie,
Daję panu me serce, mą duszę, me życie!
(*Podaje Henrykowi rękę, którą on z rozrzewnieniem bierze i całuje*)

Prezes.

To czyste oświadczenie; *to tego*, jak widzę....

Basia (*ze złością*).

A, to jest obrzydliwie! Ja słuchać się wstydzę!
(*wychodzi z gniewem*)

SCENA IV.

CIŻ SAMI OPRÓCZ BASI.

Henryk (*do Lidii*).

O! przyjmuję to niebo;
(*opuszczając jéj rękę*)
Lecz jako wspomnienie.

Lidia (*na stronie*).

O! Boże!..

Henryk.

Jak talizman, który życia cienie
Rozbłogosławi dla mnie w urok czysty, święty.
Z nim idąc, pójdę śmiało w życia tego męty!
Samotny, jak sierota; biedny, odrzucony,
Jeszcze będę szczęśliwy, a wiecznie natchniony.
I dusza wierzyć będzie, gdyż już wierzyć może,
Że Bóg rzucił ją z nieba, na życia bezdroże,
Z celem wyższym, szlachetnym, bo patrząc dokoła,
Najpiękniejszego w pani ujrzała anioła.
Może go czcić i wielbić, w tym jasnym zachwycie,
Co na świętość zamienia najnędzniejsze życie.

Biblioteka Sejmu Śląskiego

Kocham panią! od kiedy?... próżno pytam siebie:
Ma dusza ją kochała będąc jeszcze w niebie;
Tą miłością jest piękną, tą miłością świeci,
I na jéj skrzydłach kiedyś do nieba uleci;
Miłość moja to każde serca uderzenie;
Każdy czyn, każde słowo! Wiara, i natchnienie,
I zacność. O! ja zdawna w modłów uniesieniu,
Zawsze prosiłem Boga, by być w Jéj sumieniu
Wyżéj; o! wyżéj nawet niźli w sercu pani.
Niech modlitwa ma kłamstwem ust nie pozostanie.
Pani mi niebo daje! To serce rozdarte
Kona, lecz się wyrzeka: bo nie jest go warte:
Gdyż pani mię nie kocha, nigdy nie kochała!

Lidia.

Niech pan tego nie mówi!!

Henryk.

Tak pani mniemała;
Lecz oplątana w fałszów i wybiegów sidła,
W oszczercze, brudne, zwykłe światowe mamidła,
Zaparłaś się uczucia. Ceniłaś mię pani,
Myśli me nie raz były, miłe, lube dla niéj,
Gdyż ich natchnieniem samaś tylko pani była;
Lecz nie kochałaś nigdy; kiedyś uwierzyła,
Że ten, który w jéj serca pragnął zostać niebie,
Mógł, dla zbawienia nawet, plamą skazić siebie!
Teraz, teraz, przyczyna jéj dobroci inna:
Szlachetna i litosna, jakąś być powinna
Widząc moje cierpienie, straszne, niesłychane;
Chcesz pani koić boleść i zagoić ranę.
Tak pani! Tyś aniołem, ale nie miłości:
Oddajesz mi swe życie przez nadmiar litości;
Uczucie ja przyjmuię. Lecz nie chcę ofiary;
Niech pani mię zrozumie!

Lidia.

Różne prawdy miary:
Pan jéj więcéj zapewne zdobył w swojém życiu.
Ja zaś mam miarę prawdy, w mego serca biciu.
Ono boleśne, tęskne, przeczy słowom pana.
Zwątpieniem zawiniłam, niewiarą skarana,
Cierpię; ale nie powiem, że niesłuszna kara;
W zamęcie téj boleści, zostaje mi wiara;
I tę wiarę przeszłości, składam w pana ręce:
Niech dziś będzie, jak żądasz.

Henryk (*na stronie*).

O! milcz moje serce!

Lidia.

Ach! słowa me nie były litością raniącą;
Lecz mową serca, duszy, szczerą i gorącą.
Ja chcę pana przekonać; że przekonam, czuję;
Własne postanowienie pana boli, truje,
To widać. A więc prawda jest tylko w cierpieniu?
W dumném, chociaż z szlachetnych powodów, milczeniu?
Czyż czyn, który oddaje dwa serca boleści
Niezasłużonéj, gorzkiéj, prawdę w sobie mieści?
Mogłoż go natchnąć czucie i rzewne i święte,
Szlachetne? Niech pan powié?!

Henryk (*na stronie*).

Milcz serce przeklęte!

Lidia.

Pan milczy! Tak! Pojmuję! W téj zbudzonéj chwili,
Słowo, natchnione nawet, losu nie przesili.
Jego dźwięk często, często, uludny fałszywy;
Krzyż pana z mojéj winy i pan nieszczęśliwy.
O! serce mi to mówi. A dla szczęścia pana,
Wszystko, wszystko uczynię! Tém czuciem owiana,
Czuję balsam kojący słodkich nadziej czarów,
I nie cofam słów-moich, ani mych zamiarów
Nie wyrzeknę się nigdy! Czasowa rozłąka
Ni mego, ni pańskiego serca nie obłąka:
Moje, ze świętą stróżą drogiego imienia,
Czekać będzie cierpliwie, póki chmur tych cienia
Nie rozchwieją się w błękit.

Henryk.

Czyż nie czuje pani,
Że dobroć jéj mię boli, jéj słodycz, mię rani?
Że to się równa śmierci, gdy powiedzieć trzeba:
Widzę ją, lecz niegodny jestem tego nieba;
Żegnam panią na zawsze! Pani, cudna droga:
Pogodna, czysta, jasna; idź nią w imię Boga!
A ja, w twe imię pani, choć cierpię niezmiernie,
Pójdę w pielgrzymkę życia, deptać ziemi ciernie;
Nie oglądaj się na mnie!

Lidia (*z uniesieniem*).

Ja, pana aniołem.
O! pan mi to powiedział; a ja, z dumném czołem,
Jako godło dni przyszłych, to imię przyjmuję;
Wierzę głosowi duszy. A dusza ma czuje,
Że ma droga uczucie; z zacną pańską drogą
Kiedyś u wspólnych kresów zejdą się, zejść mogą.

A póki pan dla serca własnego okrutny,
To ja, choć anioł pana, będę anioł smutny,
I tęsknv, i bolesny!

Henryk.

Nie: dobry, i tkliwy;
Co nad szaleńcem nawet, kiedy nieszczęśliwy,
Lituje się i czuwa myśli swojéj tchnieniem;
Będziesz nadzieją raju, i raju wspomnieniem;
I siostrą natchnień moich!

Lidia.

Pewno?

Henryk.

Z anieloną!

Lidia.

Jedyną?

Henryk.

O! jedyną! Jak bóstwo wielbioną!

Lidia.

Na zawsze?

Henryk.

Tu, na ziemi, na wieki, na wieki!

Lidia.

I nie zrzeczesz się nigdy uczuć mych opieki?

Henryk.

Wzywać cię będę zawsze, i wiecznie i wszędzie,
A wiem, że moje życie zacne, wyższe będzie.

Lidia.

Pamiętaj pan! Ja wierzę!
(z zapałem)
A teraz, mój Boże!
Już w téj chwili rozstania, widzę witań zorzę:
(podaje Henrykowi rękę)
Oto jest moja ręka. Ten uścisk ostatni,
Smutny przy pożegnaniu, choć tkliwy i bratni,
Niech mu będzie pamiątką, a mnie przekonaniem;
Że kiedyś, w obec siebie insi, czulsi staniem!
Wierzę głosowi serca!

Henryk.

Życie go zagłuszy.
Błogosławiąc ją, żegnam!

Lidia (*odchodząc*).

Ja, z nadzieją w duszy!
(*wychodzi*).

SCENA V.

CIŻ SAMI, BEZ LIDII.

(Henryk patrzy za odeszłą Lidią, zamyślony głęboko).

Prezes (*z cicha do marszałka*).

To tego, prawdę mówiąc, co to im tam w głowie?

Dutkiewicz.

Ja nic nie zrozumiałem.

Henryk (*nagle się zbliża*).

A teraz, panowie,
Z wami sprawa:
(*Prezes i marszałek cofają się*)
(*z ironią*)
A! niech się panowie nie straszą;
Nie wyzwę; nie zabiję. Jeźli bronią waszą
Były wybiegi czarne, plugawe i niecne,
Kłamstwo z miedzianém czołem, oszczerstwo bezecne,
I jad, co wszystko zacne i szlachetne truje;
Moją bronią— pogarda; i nią was piętnuję!
(*do prezesa*)
Pan powinien się cieszyć, opiekun troskliwy,
Że go wybieg niewinny i fortel szczęśliwy,
Uwolnił od nieszczęścia mieć mię swoim krewnym.
Nie zagrażam tém panu, niech pan będzie pewnym.
Szukaj pan męża, według swojéj myśli jasnéj:
Bałwochwalcę obiadu, kramarza czci własnéj,
Służalca dostojeństwa, majątku, znaczenia,
Znanego w każdém błocie herbu i imienia,
Któryby światowości olbrzymim pomyxem
Zacierał brud na sobie. I takim fenixem,
Który z waszych popiołów krociami się rodzi;
Niechaj się pańska starość ożywi, odmłodzi
I tryumfuje, widząc, że świat się nie zmienia!
(*do marszałka*)
A pan? Pan może ziścić prezesa marzenia:
Cóż mu brak? Urząd piérwszy w powiatowym świecie;
Znaczenie, cenią ludzie! kucharz, wiedzą przecie!
Rozum, udać nie trudno! I maniera sama
Zastąpi go! A resztę? kup pan! wszakże mama

I papa pański, pewno uczyli go przecie:
Ażebyś wierzył w pieniądz. On wszystkiém na świecie.
Nie trzeba go wydawać: dość mieć go w kieszeni;
A każdy uniewinni, wyniesie, oceni.
Słuchaj pan papy, mamy! Bóg da długie lata!

Dutkiewicz (*do prezesa z cicha*).

A może ja go wyzwę?

Prezes (*ściskając ramionami*).

(*zcicha*)
Chyba na śmiech świata!

Henryk.

Dumni pajace życia, światowi kuglarze,
W ciele pyszni i wielcy,—a w duszy nędzarze!
Ideały trującéj tu wszystko obczyzny;
Cudzoziemcy wylęgli z tuziemnéj zgnilizny;
Z pozorem życia, ruchu, myśli działalności,
Wy, zgalwanizowane trupy od chciwości.
Nie dziw, że społeczeństwo, co was w sobie mieści,
Mydlaną bańką będzie i formą bez treści!
(*po chwili milczenia*)
Dosyć. Was nie poprawią nawet plagi Boże:
Cóż więc słowo biednego w duszach waszych może?
Niezachmurzoném życiem, jak ślimaki, żyjcie;
Frymarczcie i handlujcie: jedzcie, pijcie, gnijcie.
Płaszczcie się przed bogatszym a depczcie nędzarze.
Złotu wznoście świątynie, rublowi ołtarze;
Uczcie dzieci i młodszych, że tylko blask zimny
Jest wszystkiém! Reszta w życiu, tylko przesąd gminny.
Kupujcie, sprzedawajcie; i wznoście fabryki!
Od współczesnych wam sława, oklaski, okrzyki.
Po śmierci zaś potomność, na świetnéj mogile
Wzniesie pomnik z napisem: „Że miał chłopów tyle;
I że na wielkich drogach wcale nie rozbijał,
Wznosił przemysł krajowy, a handlowi sprzyjał;
Lecz nie kradł—więc cnotliwy! I to oczewista.
A jeżeli miał duszę, światłość wiekuista
Niech jéj świeci na wieki!"
(*do siebie*)
Precz ztąd! precz na długo!
Tu trza być dumnym panem, albo podłym sługą!
Pójdę szukać śród ludzi i czekać odżycia
Dla zranionego serca, spokoju, ukrycia.
A jeźli go na ziemi nie wynajdę sobie,
To Bóg jest miłosierny, i da mi go w grobie!
(*wychodzi*)

SCENA VI I OSTATNIA.

PREZES I DUTKIEWICZ.

(Patrzą na siebie w milczeniu, kiwają głowami z politowaniem i zaczynają śmiać się).

Prezes.

Coto on tutaj naplótł? To waryat, i kwita.
Gotowy pensyonaryusz do ogrodu Wita (1):
„Opiekun: *mama*, papa, pobrukane imie;
Trup chodzący; a groził coś Jerozolimie;
Cudzoziemcy; zgnilizna!"

Dutkiewicz.

Ręczę, że nie umie
Po francuzku!

Prezes.

To tego, kto go tam zrozumie,
I kto tam sens wynajdzie w takiéj mieszaninie?
Fabryki i nagrobki; ruble i świątynie;
Chłopi i światłość wieczna? A wszystko to gniewnie.
Źle skończy, źle *to tego*! Rozpije się pewnie,
Lub w łeb sobie wypali!

Dutkiewicz.

Jednakże, prezesie,
Ja niespokojny trochę. Gdy się to rozniesie
Po świecie, ludzie zaraz,

Prezes.

Pluń pan na to wszystko!
Ja żyję z tymi ludźmi sześćdziesiąt lat blizko.
Opinia najzacniejszych przy nas zawsze stanie:
Gdy, *to tego*, dam obiad, a pan polowanie!
Lecz, à propos, obiadu. Dzisiaj będzie suty;
Może ze mną. *to tego*, pójdziesz do Koruty?
(*Bierze go pod rękę i wychodzą*).

(1) Ogród *Wita* w Kamieńcu, posiada dom obłąkanych.

KONIEC.

D. 3 grudnia 1854 r.
Niemuszek na Podolu.

KŁOPOTY STAREGO KOMENDANTA (*).

PAN MARSZAŁKIEWICZ.

Opowiadanie.

I.

Było to może czwarta godzina po południu; słońce listopadowe chować się zaczynało za góry sterczące smutnie za Wisłą, jakaś ponura cisza owiała całą naturę, jakby przeczuciem zbliżającéj się zimy. W pokoju sypialnym porucznikostwa, siedział gospodarz pod piecem, na ogromnym kufrze kobierczykiem nakrytym, założył nogę na nogę, oparłszy rękę na kolanach i ćmił sobie powoli z ulubionéj fajeczki. Cała jego postawa zgarbiona: głowa pół łysa, z zaczesanemi na wierzch kosmykami siwych włosów; nos wyciągnięty ku brodzie i siatka marszczek narzucona po twarzy, wskazywały już kilka lat więcéj w jego życiu, od czasu jakeśmy go ostatni raz widzieli. Cera twarzy, nie była jeszcze téj pargaminowéj zgrzybiałości starca oznaką; owszem miała kolor brunatno-rumiany, kolor zdrowia w całéj sile i czerstwości. Pod oknem prawie wprost niego, siedziała kochana jego Zosieńka, również naznaczona czasem, który nie zważając na gniewy i dąsania się ludzi, idzie sobie zawsze jednakowo, zawsze ryje swe ślady przechodu, tak na twarzy bogacza, jak i nędzarza. W pobladłych już oczach porucznikowéj, błyszczał jeszcze przelotny ogień; włos choć dobrze przerzedzony i szpakowaty,

(*) Obacz Bibl. Warsz. zeszyt z miesiąca września 1854 r.

gładko jakoś i lśniąco osłaniał poszczerbiony owal twarzy, a skromnie zarzucony perkalowy biały czepeczek, zręcznie ukrywał łysinę przebijającą się nad środkiem czoła.

Postawy obojga choć znacznie zmienione, jednakże nie przedstawiały odrażających skutków kaprysów losu, nie miały w sobie nic niemiłego lub odpychającego; owszem starość ta była im nawet do twarzy, bo nadawała rysom pewną powagę nakazującą szacunek, jak oblicza świętych przedstawianych w obrazach, gdzie rozlana słodycz, łagodność i spokojność, pociągają ku sobie; a wzrok zdaje się ścigać nas, w którąbądź zwrócimy się stronę, nie daje się wymazać z duszy, i przenikać do dna najskrytsze tajniki serca. Wzrok ten taką ma władzę, że myśląc źle, lękamy się jego świadectwa, i nie śmiemy obejrzeć się za siebie, by nie spotkać srogiego jego wyrzutu.

Oboje siedzieli milcząco, porucznik tylko pukając ustami przy każdém wypuszczeniu dymu, przerywał tę ciszę, a ona poprawiając kiedy niekiedy szyjącą się suknię, zaszeleściła krochmalnym muślinkiem. Nareszcie porucznik widać zniecierpliwiony, poprawiając się na kufrze, przemówił dość kwaśno:

— A mogłabyś też już skończyć to szycie, ciemno w pokoju, szkoda oczu!

— Zaraz mój kochany, tylko dokończę falbanki.

— Zawsze te falbanki! a coto potém?

— Przecież muszę dokończyć jak się należy; wiesz, że jutro jedziemy.

— Oh! wiem, aż nadto dobrze wiem! — przemówił westchnąwszy—wy zawsze jednakie: ciekawym, czyby to się nie mogło obejść bez tych djabełków?! naszywane wasze gałganki jak dach chiński: szeroko, bufiasto, spiczasto, strzępiasto!..

— Mój kochany, ty się nie znasz na tém a gderasz! dla czego ja się do twojéj węgierki nie wtrącam, ani do mundurów?!

— Jeszcze czego, do munduru?! A boto imość nie wiesz, że jak świat światem, mundur mundurem jeden, a wasze suknie z powiewem wiatru się zmieniają.

— Bo są lekkie—odpowiedziała lakonicznie.

— Ot wtémto i bieda moja imość, że u was wszystko lekkie: i rozum, i serce, i głowa, i suknia, wszystko to niucha tabaki nie warte!

— Mój kochany, palże sobie spokojnie a mnie daj pokój, bo ściemni się a nie skończę; po co się to mieszać do tego, czego nie rozumiesz!

— Jakto nie rozumiesz?—zawołał porucznik podnosząc głowę i widocznie hamując uniesienie. Cóżto sobie myślisz, że ja zawsze przy piecu siadywał i fajkę palił, hę? Oho nie tak bardzo moja pani! bywało się i tu, i tam, i widziało się więcéj, niż imości śnić się o tém mogło!

— Tém bardziéj, bo mogłeś się przekonać, że nie my piérwsze tak postępujemy.

— A nie zaprzeczam, nie, broń Boże. Wy sobie takie kopie od stworzenia świata, że istotnie djabeł wie kiedy, i gdzie był oryginał. Wszystko małpować tylko: dobre niedobre, złe niezłe, dziwaczne niedziwaczne, tak mieszacie jak groch z kapustą; bo proszę ja np. po co u licha te wiewające rękawy? Żebyto jeszcze za lejki służyły, pół biedy; ale tylko zamiatacie niemi stoły, mieszacie zupy i nic więcéj! Niech sobie tamte panie co nic nie robią chodzą i bez rękawów, i bez staników, lecz wy mosanie do pracy stworzone, powinnyście ubierać się uczciwie, byle czysto, schludnie....

Porucznikowa zajęta robotą, nie zważała wcale na podobne dowodzenia, krzywiła tylko ustami, gdy przyszło mocniéj nacisnąć igłę dla przeszycia twardszego ściegu, a porucznik nie mając przeciwnego zdania do dalszéj sprzeczki, pomruczał trochę, pokiwał głową, i znowu wpadł w zadumkę.

Upłynęło kilka minut; porucznikowa skończyła szycie, podniosła się z krzesła, strzepnęła uszytą suknię, a oglądając ją z pewném zadowoleniem, i trzymając igłę w ustach, zabierała się do wyjścia.

— Nie chodźno Zosiu, szara godzina, pogawędzimy trochę!.....

— Dobrze — odpowiedziała kładąc na łóżko robotę, i przysunęła się do kufra, siadając około męża.

— Cóż mi dziś tak nudny jesteś, mój Jędrusiu!—mówiła patrząc mu w oczy.

— Eh tak sobie; jakieś mię przykre myśli opanowały, że im się nie mogę opędzić.

— Cóż znowu takiego?—zapytała z uczuciem.

— Tak, nic; myślę sobie o biedzie.

— Nie majacz też mój drogi, nie przypuszczaj sobie do głowy podobnych myśli, cóż ci to złego?

— Oh dużo! dużo!—odrzekł westchnąwszy, stawiając fajkę przy piecu. Jak człowiek zacznie dumać i dumać o różnych rzeczach, jak sobie przypomni swoje położenie, zajrzy w siebie, pomyśli o przyszłości, to jakoś tęskno się zrobi na sercu, boleść pewna owionie duszę, i zlęknie się samego siebie; wiesz imość, żebyto można nie myśleć!?

— Mój kochany Jędrusiu — przemówiła porucznikowa biorąc go za szyję, i patrząc na niego z współczuciem—cóż ci takiego dokucza?

— Ot widzisz, przebiegałem myślą całe życie, wspomniałem wszystkie utrapienia, trudy, pracę, łzy, niedolę, i doszedłem do takiego rezultatu, że pomimo to, biedny jestem i kwita!

— A cóżeś ty chciał majątku, co?

— Choćby i tak!

— Bredzisz mój drogi! a cóżto nędzarzem jesteś? Czyto nie masz dostatniego bytu, nie masz zdrowia, nie masz kochających i dobrych dzieci...

— A właśnie o te dzieci mi idzie.

— Cóż im brakuje?—Jaś już na swojém gospodarstwie, prowadzi się dobrze; Julka tak dobra, poczciwa dziewczyna, nigdy swojém postępowaniem przykrości nam nie robi, i cóż chcesz więcéj?

— Ale biedna!—dorzucił żywo porucznik.

— To bagatela mój kochany, ma ona większy skarb niż wszystkie skarby świata: ma cnotę.

— To mało, moja imość.

— Mój kochany zkąd ci podobne myśli wyroiły się w głowie, nic podobnego nie słyszałam nigdy?

— Bo widzisz, pomyślałem sobie, żeśmy już starzy, nie długo nam tu popasać, a sierota bez pieniędzy, bez posagu..

— Ma brata i bratowę; nie bój się, nie zapomną o niéj przecie, znajdą jakiś kącik dla siostry—mówiła porucznikowa ze łzą w oku i widocznem wzruszeniem.

— Otóż że w tém bieda moja Zosiu! skwaśnieje przy nich, zestarzeje się, a nikt tego nie weźmie; i właśnie dlatego mi żal, że poczciwa dzieweczka, a musi zmarnować życie jak ten zagraniczny kwiatek w piwnicy, co i owocu nie wyda, i oka nie popieści a zwiędnie bez słońca i ciepła na zawsze!

— Tak źle nie będzie Jędrusiu! Bóg opiekuje się biednemi, prędzéj czy późniéj, nagrodzi ubóstwo lepiéj, niż my przewidzieć to możemy.

— Wszystko dobrze, pięknie, ale... ale dziewczyna 18 lat kończy, a tu o zamęzciu ani słychu.

— Eh! kłopoczesz się na próżno mój kochany, i nabijasz głowę zmartwieniem przedwczesném! A cóżto kobieta stara w 18 roku?

— Wprawdzie nie, lecz blizko tego...

— Myślisz jak drudzy Jędrusiu, lecz to błędna maxyma; przeciwnie ja utrzymuję, że kobieta w 18 roku życia, dziecko jeszcze. Bo ileż to czasu mogła żyć prawdziwie na świecie? najwięcéj dwa lata, i gdzie jeszcze? w domu rodziców, pod opieką matki i ojca pod kierunkiem ich myśli i woli. Gdzież ona miała czas rozpoznać to życie, pojąć obowiązki swoje jako człowieka, jako kobiety, jako żony, jako matki!? Wierzaj mi, to naprawdę i 6 lat zamało?

— A nie wieszto imość—przerwał śmiejąc się porucznik— że kobiety wcześnie dojrzewają, że czego nie nauczą się, to przeczują trafnie; ot perorujesz mi imość jak filozofka: Cóżto, każda taką być ma? czy to nie potrafi sobie późniéj wyrobić swego zdania, swojéj woli, hę?

— Może być, przyznaję—odrzekła porucznikowa—lecz widzisz mój kochany, to zawisło od wielu a wielu okoliczności. Często, zwłaszcza u biedniejszych, młoda mężatka odrazu wprzęga się w jarzmo pracy, że nie ma nawet czasu zastanowić się nad tém; często, przekona się za późno, gdy skutków cofnąć nie podobna; często znowu, zepsuta pobłażliwością, lub niewiadomością oddanego dla niéj męża, nabierze pewnéj zarozumiałości o swoim rozumie. A tu nikt nie sprostuje krzywéj drogi, bo matka daleko lub w grobie, bo każden boi się napominać mężatkę choćby ona 19 lat miała. Mężatka u nas, to kobieta skończona, doskonała, która chce uczyć drugich, a nie ta którą uczyć potrzeba.....

— No już skończyłaś?— przemówił oddychając śmiejąco się porucznik— dalibóg, ksiądz dziekan niech się schowa ze swoją nauką; a to ja ani przypuścić mogłem, żeby moja imość tak sobie nabiła głowę podobnemi maxymami.

— Fe, nie żartuj Jędrusiu, to co ci mówię, wysnuwam z méj duszy jak pająk z swych wnętrzności pajęczynę; w tych słowach, mieści się trzydziestoletnia mozolna walka braku z pracą, a ty.....

— Wiesz co, Zosiu—przerwał żartobliwie — jak patrzę na ciebie teraz, i słyszę cię perorującą z takim zapałem, zaraz sobie przypominam ową dykteryjkę o chłopku ruskim i o cyganie.....

— Jakażto dykteryjka?

— Ot widzisz: chłop złapał w swoim ogrodzie cygana kradnącego jabłka; w piérwszym zapędzie, chciał go zmierzyć potężną łagą, gdy przelękniony cygan jak go zacznie błagać, prosić, aby robił z nim co mu się żywnie podoba, ubił, zabił, byle za płot nie przerzucił; bo mówi, cyganie wypędziliby go nazawsze ze swojéj bandy. Chłopek kij opuścił, podumał trochę i porwawszy w pół winowajcę, śmignął go mosanie za płot krzycząc: „czort tebe bery"!. Tego téż trzeba było cyganowi, rozśmiał mu się przed nosem i poszedł sobie z Bogiem.

— To jakież tu podobieństwo z mojém dowodzeniem?

— Hę, więc imość jeszcześ nie zrozumiała?

— Doprawdy że nie.

— Eh, otóż acani jesteś tym cyganem, a ludzie i ja i Julka, tym chłopkiem; nie prawda?

— Jakim sposobem?—zapytała oburzona porucznikowa.

— Kiedy mię już tak ciągniesz za język, moja pani, to ci powiem, że gadasz aby gadać, ot tak sobie z książek i kwita; a jakby się dziś zdarzył jaki uczciwy człowiek, jutrobyś pojechała do Krakowa po wyprawę, rozumiesz, hę.

— A to pięknie mój mężulku, to komplemencik dla żony; no, nie wiedziałam?

— Daj pokój imościnko, ty swoje, ja swoje; jak się trafi jaki, wydam mosanie! Cóżto ja wieczny, czy co? wolę jak bądź, tak bądź zabezpieczyć przyszłość, niż żeby się potém moje grzeszne prochy wstrząsały jéj lamentem. Ale o tém potém; a teraz daj pani kolacyę, bo mi się porządnie jeść chce.

Milcząc, trochę i zagniewana, wyszła porucznikowa do kuchni, a on tymczasem powstał z kuferka, fajkę wytrząsnął, postawił w kącie, i przeciągając się jakby po znużeniu mówił do siebie: „prawda jest, nie ma nad czem głowy łamać; co ma być to i będzie; dziéwczyna gładka, trochę trzpiot, lecz się to ustat-

kuję mosanie, i ja taki byłem za młodu, a przeciem nie żaden raptus."

Nie można zaprzeczyć, że pora jesienna, lub też smutek jednych osób, wywierają zwykle podobne usposobienie na drugich; a nawet serce młode, pełne różowych snów przyszłości, do których życie jeszcze uśmiecha się czarodziejsko, których niewinną myśl nie zakłóca żadna dotykalna troska, wszelako nie mogą się oprzeć jakiéjś niewypowiedzianéj tęsknocie, za czemś nieznaném, nieprzeczułem nawet. Ni ztąd ni z owąd, wymknie się ciemny obłoczek z zakątka duszy; przybliżając się rośnie coraz bardziéj, olbrzymieje, a w końcu zamgli swobodny umysł tak, że przez niego, nie można dopatrzyć się przed chwilą jaśniejącéj swobody. Bardzo często się zdarza, iż człowieka z najweselszém usposobieniem, nawet wśród grona bawiących się przyjaciół, jedno słowo, jedna myśl nadspodziewanie zrodzona, zmienia do niepoznania; jakiś niesmak owionie całą jego istotę, wysnuje z siebie myśl więcéj poważną, rzewliwą, żałosną; przykre wspomnienie przeszłości, lub przykrzejsze jeszcze niewiadoméj przyszłości, uporczywie przylgnie do serca, i z niém spoi się tak szczelnie, iż żadna moc wtedy, nie zdoła ich rozerwać.

Otóż i tego wieczora, podobnie melancholiczne usposobienie udzieliło się wszystkim osobom, składającym rodzinę porucznika. On sam, choć przymuszał się do wesołości, choć przy kolacyi prawił pocieszne anegdotki, jednakże widoczném było, że myśl jego czém inném zaprzątnięta. Żona znowu, już nie mogła, a może i nie chciała pozbyć się przykrych wrażeń, wywołanych poprzednią rozmową; siedziała milcząco, chociaż porucznik napomykał o zabawie u państwa Lińskich dać się mającéj, a na którą wszyscy zostali zaproszeni; chociaż i panna Julia nie mogła się nachwalić pięknie uszytéj sukni, i starała się ile możności rozbrajać kwaśny humor mateczki.

Ta panna Julia, którąśmy przed kilku laty małą Julką widzieli, dziś już była dorosłą i wcale przystojną panienką. Zupełnie podobna do matki: smagła, zwinna, fertyczna, z czarnym włosem, i czarném, powłoczystém okiem, z twarzą przejrzystéj białości, okraszoną lekkim rumieńcem, z figlarném spojrzeniem i wiecznie uśmiechniętą twarzyczką, przypominała porucznikowi młodość ukochanéj Zosieńki. To go tylko martwiło, że nie miała takich niebieskich oczu, jak niegdyś panna pułkownikowna

Stefcia, „żebyto mosanie oko inne, oko! byłaby jak raz pułkownikowna" mawiał; wszelako kochał ją bardzo, i kto wie czy nie na równi z Stefcią, która chociaż dziś była jego synową, choć mieszkała o kilka mil z swym mężem, jeszcze nic a nic nie straciła w jego sercu z dawnéj miłości i uszanowania. Zawsze witał ją żołnierskim sposobem, zawsze była mu pułkownikowną, i trzeba było widzieć, z jakąto gracyą stary całował ją w rękę, jakto wycierał wąsy, gdy mu przyszło złożyć ojcowski całusek na czole, z jaką to nieśmiałością przepraszał za pokłucie delikatnéj twarzy ostrosterczącym włosem swéj brody. Zresztą stary porucznik jeszcze wynalazł jednę między niemi różnicę: synowa była szczupłą, giętką jak trzcina; gdy tymczasem Julka, miała pulchną, pięknie zatoczoną, lecz nie tak zgrabną figurę. Codziennie męczył matkę i córkę czemuto nie starają się przerobić ten, jak mówił, niezgrabny wałek, nacoś powabniejszego: „boto mosanie nic się nie starają! ot tak aby było; chłast, włoży suknie Bóg wie po jakiemu; a dlaczegoto tamta prościutka jak struna, wcięta jak osa, a moja acanna jak jak... dalibóg że już nie powiem.

— Proszę cię, mój Jędrusiu, dziwaczne masz żądania; trudno, już taką ją Pan Bóg stworzył!—inną nie będzie.

— Coto nie będzie, musi być! Asani pleciesz sobie koszałki opałki; a nie wieszto jak robią w wojsku, hę? nie wiesz? Z draba mosanie wystrużą lalkę chłopaka; a nie przypominasz sobie naszych oficerów, jakto się ściągało, fiokowało? ale co tu daleko szukać, ja naprzykład....

— O już ty to byłeś szczupły? przerywała poruczuikowa, miałeś półtora łokcia obwodu.

— Pół łokcia chciałaś powiedzieć?

— Hm zapewne!?

— No jeżeli mi imość nie wierzysz, to sprobójmy jeszcze teraz; a zobaczysz, żem szczuplejszy, niżeli wy obiedwie razem!

I rozpinał węgierkę, dobywał skórzanego paska, ściskał się tak mocno, że twarz mu siniała, a żona musiała prosić żeby przestał.

— Dajże pokój!—mówiła żartobliwie—popuść przez litość, bo się przetniesz!

Lecz on nie zważając na to, zapinał sprzączkę, naznaczał miejsce, a odpiąwszy, mierzył do figury córki, ściskając ją tak dalece, iż nieraz ledwo można było odpiąć.

— To jeszcze nie tak jak u Stefci; tamtéjto figura mosanie, tamtéj ha!—mówił znacząco, dając swym palcom głośnego smakowitego całuska.

Z tych może powodów, panna Julia nie miała téj śmiałości do ojca, z jaką okazywała się dla matki. Stary porucznik idąc za dawnym trybem wychowywania, kochał ją bardzo, i byłby nie wiedzieć co zrobił dla niéj wrazie potrzeby, lecz nie przypuszczał nigdy do zbytniéj z sobą poufałości: „dzieci, mosanie, powinny znać mores; wszelkie cackania psują ich tylko! Proszę ja, co mi to za ojciec, którego córka lub syn w twarz całują?—a zasie od tego moja panno, w rękę pozwalam, i to w dowód szczególnéj łaski; hm, co im się zachciewa? jakby to ojciec był z przeproszeniem taki smarkacz, jak piérwszy lepszy koleżka; ja się tak chowałem a dobrze!"

I panna Julia nasłuchawszy się podobnych rozpraw, miała dla niego najwyższe uszanowanie, cześć prawie nadludzką i miłość najgorętszą: każde jego słowo było dla niéj wyrokiem, każde życzenie rozkazem, a każdy rozkaz świętym, niewzruszonym....

Matkę zaś kochała inaczéj, bo kochała ją raz jako matkę, drugi raz jako przyjaciółkę, jako ochmistrzynię i lekarkę, która zna wszystkie tajniki jéj serca, czuje z nią razem, i potrafi wlać w jéj młodocianą duszę, piękne szlachetne, i pełne miłości uczucia; w któréj, na każde zmartwienie znajdzie skuteczną pociechę i lekarstwo, a w nieszczęściu—wielką, bezprzykładną pokorę i rezygnacyę.

Jednakże pomimo tyle zniewalającéj miłości dla matki, gdy nastąpiła jakaś sprzeczka między rodzicami, ona stanowczo była za ojcem; porucznik zawsze zdawał jéj się więcéj pewnym siebie, więcéj imponującym, bo dowodził żywo, stanowczo, gdy tymczasem matka, znając dobrze jego porywczość, powoli tylko i systematycznie musiała go przekonywać. Mimowolnie więc energia mężczyzny, dawała jéj więcéj zaufania.

Co do porucznikowéj, ta starała się ile możności utrzymać ją w dotychczasowém przekonaniu o ojcu; każdy błąd jego umiała zręcznie wytłumaczyć, pokrywając płaszczykiem przypadku konieczności, temperamentu; każde zaś dziwactwo uczynić nic nieznaczącém. Przeciwnie najmniejszą zaletę, tak podnosiła, tyle nadawała jéj ważności, uroku, szlachetności, dobroci, iż panna Julia nie widziała nic złego w swym ojcu, a tém sa-

mem zapał uwielbienia dla niego, nietylko nie ostygał, ale więcéj się wzmagał.

Dotąd życie jéj zbiegło jak jeden dzień wiosenny, pośród róż i bławatków splecionych miłością dwóch serc dla niéj bijących; czasem tylko, delikatny kolec zadrasnął niewinną myśl dziéwczęcia, lecz że ból jego był tak mały, trwał tak krótko, więc znikał bezpowrotnie, jak fale szybko płynącéj wody. Jednakże w miarę rozwijających się władz umysłowych, w miarę coraz jaśniejszego zapatrywania się na świat i ludzi, myśl więcéj poważna zakołatała do duszy, zażądała dokładniejszego wyjaśnienia, i więcéj pewnych wyobrażeń. Modlitwa, miłość rodziców, spokój domowy, już nie wystarczały budzącemu się sercu, które chciało przedrzeć się z tajemniczéj obsłonki teraźniejszości, wylać się daléj poza obręb zwyczajnych wypadków patryarchalnego prawie żywota. Dlatego rozmowy jéj z matką bywały coraz dłuższe, bardziéj wymagające, więcéj tęskne. I tego dnia właśnie, gdy po kolacyi oddaliły się z matką do swojéj sypialni, jéj tęsknota, może podsycana smutkiem rodziców, przybrała większe rozmiary. Porucznikowa nie przemówiwszy ani słowa, zabierała się do spoczynku, gdy Julka usiadłszy na owym kufrze przy piecu, z okiem utkwionem w jedno miejsce, zatopiła się w niezwykłém dumaniu.

— Co ci jest moja Julciu—przemówiła rzewliwie matka, całując ją w głowę—czego tak się zamyślasz, kochanie, bądź spokojna, smutek nasz jest małoznaczącym, urojonym.

— Moja mamo droga!—zawołała ze łzami woczach, chwytając porucznikową za szyję—moja kochana, serdeczna mamo, ja sama nie wiem co się ze mną dzieje! Tak mi coś tęskno na sercu, tak smutno w duszy, tak chciałabym się wypłakać a nie wiem z czego i dla czego.

— Uspokój się moję dziecię, to minie; rozrzewniłaś się patrząc na nas, otrzyj łzy kochanie, nie potrzebnie się martwisz.

— Ależ moja mamo to ciągle tak mię dręczy ten smutek, modlę się, pracuję, odpędzam go, wszelako nie chce mię opuścić. Powiedz mi proszę cię kochana mamo, co to być może? Czy doświadczałaś tego kiedy, może ty wiesz co to jest? może to choroba jaka?

— Nie moja Julciu, to nie choroba, ale przebudzenie się duszy; to zbytek czucia, któremu ciasno tutaj, to, początek życia.

— Więc nasze życie tyle jest smutném?—przerwała naiwnie córka.

— Smutném nie; smutném, drogie dziecię, bo to należy od sposobu zapatrywania się na niego, od wpojonego w siebie przekonania, że tak być powinno a nie inaczéj, i od zrozumienia warunków, celu istotnego, téj doczesnéj na ziemi pielgrzymki. Inaczéj na nie spoglądać będzie chłopek, inaczéj ty, inaczéj bogacze: to czém piérwszy się kontentuje, tobie wyda się małém, majętnemu drobnostką. Żądze ludzi są tak różne, tak sprzeczne, tak dziwaczne, jak różne są ich twarze, różne uczucia, różne potrzeby.

— Więc, moja mamo, nigdzie nie ma szczęścia na ziemi?

— Tak, nigdzie!

Dziéwczę opuściło smutnie swą główkę, łza znowu zabłysła pod powieką, a żal potrząsł zranioném sercem.

— To i pocóż żyć na świecie?—zapytała po chwili z goryczą. Ja tyle sobie marzyłam szczęścia, tak piękne układałam projekta, tak cudnie patrzałam w przyszłość, a ty kochana mamo zniszczyłaś jedném słowem wszystko to, com ja lata skwapliwie budowała. Och to zanadto przykro!

— Poczekajno moje dziecię, nie przesadzaj tylko, wszystko to da się pogodzić, tylko nie marzenia. Myśl sobie, bujaj, bo to władza ducha, lecz nie przywięzuj nigdy żadnéj wagi do tych marzeń, nie łącz ich z rzeczywistością, gdyż srogo zawieść się możesz. Widzisz moja córko, obiecując sobie mniéj, nie stracisz na tém, jeżeli otrzymasz więcéj, bo to właśnie stanowi szczęście; lecz gdy twe nieziemskie marzenia wiatr piérwszy rozwieje, a rzeczywistość sucha, naga, zimna, stanie ci przed oczyma, uczujesz w tedy zawód, niejaki żal, a ztąd i troska cię otoczy. Po cóż więc samochcąc przyczyniać sobie umartwień, gdy same okoliczności ich nie skąpią? Całe życie powinnaś sobie wmawiać, że nie ma nic stałego, nic szczęśliwego na téj ziemi, bo i tak jest rzeczywiście; ale gdy chwilowo uczujesz się zadowolnioną, to radość podobną czuć będziesz dokładniéj, gdyż jéj się nie spodziewałaś, gdyż jéj nie znałaś wprzódy, nawet w myśli twojéj. Zresztą powiem ci prawdę, że szczęście pojedynczego człowieka, nie jest jeszcze istotném szczęściem. My wszyscy jesteśmy jedném tchnieniem Boga, jedną téż duszą być powinniśmy; więc myśl podobna o własném szczęściu, byłaby egoistyczną, cieszyć się wtenczas gdy inni cierpią, nie jest to

uczuciem wypływającém z miłości chrześciańskiéj. Inne jest nasze przeznaczenie, inna dążność, które zasadzają się na tém, aby drugim szczęścia przyczynić. Ty, moja córko, w swém życiu napotkasz wielu a wielu przeciwnych temu, lecz nie zrażaj się ich zaprzeczaniem, nie zapatruj na ludzi jakiemi są, a wyobrażaj sobie takiemi, jacy być powinni!

Teraz idź spać kochanie, pomódl się szczerze, a modlitwa cię pokrzepi; odrzuć próżne marzenia, zajmij się pracą, to i tęsknota minie. Najcięższa piérwsza chwila; jak tę się przebrnie szczęśliwie, reszta już nie tyle straszną. Oto jutro pojedziemy do państwa Lińskich, tam się rozerwiesz trochę.

— Wie mama, że teraz zupełnie nie mam ochoty do zabaw.

— Dla czego?

— Bo raz, że mnie nudzi tamtejsze towarzystwo.

— A! fe, jak można tak mówić?

— Tak jest, kochana mamo: ci państwo Lińscy tyle są ceremonialni, panny jakieś dziwaczne, wyobrażeń zupełnie innych, że wcale mi się nie podobają, i żeby to od mojéj woli zależało, nigdybym do nich nie pojechała.

— No patrzajże moja Julciu, zaraz pokazuje się, że tylko myślisz o swojéj własnéj przyjemności. Chciałabyś żeby ciebie bawiono, a nie chcesz z siebie nic a nic poświęcić dla drugich. Darmo kochana córko! darmo, tak być nie może na świecie; jedni dla drugich żyjemy, jaki bądź jest dom państwa Lińskich, kiedy są ludzie uczciwi, i kiedy proszą trzeba im zrobić podobną usługę; a jeżeli ci to jakąś przykrość sprawia, niech ci się zdaje, że robisz dla nich ofiarę z swych przyjemności, a to już hojnie wynagrodzi ci wszystko!

II.

W miasteczku powiatowém, o dwie mile tylko od mieszkania porucznika odległém, przebywają obecnie państwo Lińscy. Dziś właśnie imieniny saméj pani domu, więc salon ich przepełniony gośćmi płci obojéj, różnego wieku, stopnia i majątku. Gospodarstwo bowiem koniecznie chcą uchodzić za popularnych; przyjmują wszystkich bez różnicy, pomimo widocz-

nych niechęci córek, a mniéj widocznych innych gości, mających się za coś lepszego, od pospolitéj miastowéj gawiedzi.

We drzwiach samych, pan Ludwik Liński już podstarzały, dobrego wzrostu i tuszy mężczyzna, dziwnie różowego koloru twarzy, z włosem szpakowatym na dużéj nieco pochylonéj głowie, we fraku nie ostatniéj mody, i nie piérwszéj świeżości, ochoczo wprowadza kobiety, zdejmuje płaszcze, ośmiela młodzież, starych częstuje tabaką, którą wiecznie nosi w jednéj ręce, a w drugiéj czerwoną fularową chustkę. Chustka ta nazywa się *na czysto* i przy gościach wyłącznie pełni swój obowiązek, albowiem pan Ludwik ma i inną *brulionem* nazwaną, którą zwyczajnie gdzie w bocznéj kieszeni fraka umieszcza.

Pani Ludwikowa, kobiéta może pięćdziesięcioletnia, szczupła, piękna tą pięknością starszéj już osoby, którą wybornie można przyrównać do kawałka zszarzanéj materyi, kiedyś kiedyś bardzo pięknéj i kosztownéj, a teraz przekonywającéj, tylko o téj świetnéj niegdyś przeszłości. Na ustach jéj, osiadł wieczny uśmiech, ale to uśmiech pochodzący już z układu twarzy, dlatego osoby piérwszy raz ją widzące, nie mogą się wydziwić tak wesołemu usposobieniu pani Ludwikowéj, która choć płacze, to z uśmiechem na ustach. W całéj na pozór imponującéj postawie, widać pewien przymusowy układ, jakąś sztywność, grzeczny chłód i prawdziwie naśladowany ton arystokratów. Z ujmującą grzecznością wita kobiéty, usadza w miarę godności na kanapie, fotelach, sofach, kozetkach; mężczyznom dość zręcznie podaje rękę do pocałowania, lecz we wszystkich tych zabiegach i prośbach, czuć można tylko ceremonię, ale serdeczności ani za szeląg.

Dwie bardzo przystojne nawet panienki, uwijają się w innym znowu pokoju, zajęte przyrządami do herbaty. Starsza może 18-letnia blondynka, z małemi niebieskiemi oczkami, w których przebija się utajona filuterya, z małym również noskiem, nadzwyczaj delikatną cerą twarzy i pięknym regularnie zatoczonym stanikiem, podobna zupełnie jest do ojca, tylko rozróżnia ją dziś wiek i delikatność kobiéca. Ruchy ma żywe, wejrzenie śmiałe i pewne, uśmiech na pogotowiu, koniec końcem, panna Helena jest wcale ładną i mogącą się podobać dziéwczyną. Druga nieco młodsza, a poważniejsza brunetka, podobna znowu do matki, jestto panna Emilia Lińska. Uważając na powierzchowne wdzięki, ta jest daleko piękniejszą od

starszéj siostry: śliczny owal twarzy osłaniają dwa sploty ciemnych włosów, zaczesanych w duże nioby; nosek zgrabniutki; oczy duże, czarne, przenikające, ociemnione długą rzęsą; usta małe: zęby jak kość słoniowa; wzrost więcéj niż średni, a figurę, zda się dłonią można objąć. Obie w białych zgrabniutkich sukienkach, przepasane niebieską szarfą, wyglądały bardzo korzystnie i wzbudzały powszechną adoracyę, tak mężczyzn jak i kobiét. Ubrania tylko na głowach trochę za wielkie i niezbyt gustowne; rączki i nóżki nie tak bardzo małe, jak się wymaga od pięknéj kobiéty, mogłyby spowodować przyganę jakiego z wielkiego świata wykwintnisia, lecz że na tym wieczorze żadnego nie było, to panny Lińskie niezaprzeczenie królowały.

Obejrzyjmy teraz umeblowanie salonu, które już w części, nosi na sobie piętno charakteru gospodarstwa. Pokój obszerny jak rynek małego miasteczka, niekształtny, bo z dwóch pokoi mniejszych przez wyjęcie środkowéj ściany utworzony, mieścił w sobie wszystko to, co tylko miał dom państwa Lińskich. Spojrzawszy na wielką ilość obrazów, zegarów, mebli, kwiatów i innych bez liku drobnostek, i do tego poustawianych bez najmniejszéj symetryi, zdawało się, że to jest magazyn rozmaitości, a nie pokój mieszkalny. Każdy sprzęcik tam umieszczony, miał wielką wartość i znaczenie w przekonaniu gospodarstwa, i niechnoby kto zapytał o co pana Ludwika, niechnoby pochwalił siatkowe domowéj roboty firanki, lub jednę z poduszek na kanapie, już nie łatwo mógł się wydobyć ze szponów jego gadatliwości. Szanowny gospodarz, z całym zasobem krasomówstwa i rozwlekłości, opowiadał dzieje każdego przedmiotu, zkąd go wziął, gdzie on dawniéj był, co kosztuje, ile lat służy, a na dobitkę wszystkiego, zdejmował ze ścian, wydobywał z szuflad lub serwantek, pokazywał; kazał dotykać i przekonywać się o prawdziwości jego dowodzeń. We framugach okien, drzwi, za piecem, po ścianach, wszędzie wisiało mnóstwo pooprawianych rycin, obrazów olejnych i krzyżową robotą; medali gipsowych i metalowych; na stołach znowu, komodach, szafkach i tam gdzie można było tylko coś postawić, umieszczano figurki z gliny nie gliny, z papieru nie papieru, fajansu, porcelany, kwiatów. Na stole nawet prezydyalnym, przed główną kanapą, porozrzucano obdarte książki, jakieś albumy, rękopisma, ryciny, pomiędzy niemi kilka starych romansów francuzkich, bo tak pani sama widziała u państwa tych a tych i tak powinno być w salonie. Wsze-

lako mimo takiéj obfitości przedmiotów, wskazującéj na oko zamożności państwa Lińskich, rozpatrzywszy się dobrze, można było dostrzedz największe skąpstwo, połączone z chęcią błyszczenia. Wszystko, począwszy od krzeseł, aż do piórka od zębów, leżącego poważnie na ogromnéj marmurowéj paterze, było zbieraniną różnego kalibru i czasu, było po części swojskim wyrobem ładnych rączek pani saméj i córek, po części zaś nabyte za półdarmo, po licytacyach, lub darem od znajomych, o co tak pięknie a nieśmiało cała familia umiała się przymawiać.

Na głównéj kanapie wprost drzwi wchodowych, siedziało kilka poważnych matron, najczystszéj miastowéj arystokracyi; z jednéj i drugiéj strony, sznurkiem mieściły się dziewice skostniałe od zimna, gdyż pan Ludwik licząc na zmęczenie się tańcem, nie kazał ogrzać salonu. Daléj ku oknom, bliżéj znajomi, dlatego mniéj traktowani, zabawiali się jak mogli, gwarząc to o tém, to o owém; starszyzna zasiadła do preferansa, przy dwóch stolikach ustawionych za piecem. Proszę się tylko nie śmiać, że mówię za piecem, bo jak wyżéj nadmieniłem, salon był zrobiony z dwóch mniejszych pokoi, więc ogromny piec kaflowy, pozostawszy w miejscu, dobrze wystawał od środkowéj ściany, a tém samém tworzył prawie oddzielny pokoik. Całe towarzystwo wówczas tam znajdujące się, podobnie jak przedmioty salonu, było najrozmaitszą mozajkowaną zbieraniną; albowiem państwo Lińscy, przyjmując zwykle osoby, od których niezawodnie czegoś potrzebowali, lub zamierzali potrzebować, nie mieli stałych gości, a zwłaszcza tańczących. Więc jak wypadła potrzeba, sprowadzali na ten raz kogobądź, aby tylko zapełnić pokoje, i aby potém mówiono iż 60 lub 90 osób u nich było na wieczorze.

Panny Lińskie, chociaż ubierały się w długie sukienki, wszelako w przekonaniu rodziców uchodziły za dzieci, i ciągle pobierały nauki, mające podnieść ich umysłową a raczéj światową wartość. Cała ich edukacya wypływała z dobrowolnych składek ludzi młodych, shołdowanych przez ojca. Spotkał gdzieś rozsądnego i trochę lepiéj ukształconego chłopczynę, już przylepił się do niego jak smoła, ściskał jak równego, zapraszał do siebie na herbatę i po kilku takich wizytach, powoli, niechcący, projektował uczenie *dzieciaczków*. Naturalnie, że młody człowiek ujęty taką szczerością sentymentów, nie śmiejąc odmówić przystawał na wszystko, raz że pan Ludwik obie-

cywał każdemu niesłychaną protekcyę, powtóre, że tak pięknie uśmiechały się dziewczęta i mama, więc zakołatało serce biedaka, i nolens volens wykładał kurs literatury lub innego przedmiotu, z jakie pół roku lub dłużéj, w miarę energiczniejszego lub słabszego charakteru improwizowanego professora. Sama pani, była nadzwyczaj muzykalną, tylko na nieszczęście nie była obdarzona pedagogiczną cierpliwością, bo nic a nic nie mogła córkom udzielić z téj trudnéj nauki. Ale mężulko za to był nie w ciemię bity: jak tylko zasłyszał gdzie o jakim nauczycielu muzyki, pisał do niego zachęcając do osiedlenia się w tém mieście, sprowadził go, karmił, poił u siebie, starał się o lekcye dla niego, rekomendował, oprowadzał, dość że ten na tyle starań i zabiegów, poczuwając się do wdzięczności nie chciał przyjąć żadnego wynagrodzenia, i znowu czas niejaki musiał odpokutować swoje powodzenie. Najmniejsze zniechęcenie lub zaniedbanie ze strony ułowionego professora, sprowadzały groźną burzę na biedną głowę: najprzód sypały się niesmaczne przyjęcia, potém lekkie wyrzuty niewdzięczności, a w końcu niezmordowane zabiegi szkodzenia mu, tak dalece, że biedak porzuciwszy wszelkie okoliczności, widoki i względy, musiał drapnąć z kąd przyszedł.

Zjawia się w mieście artysta z chęcią dania koncertu, już pan Ludwik rekomenduje mu się w zajeździe, wylicza swoje dobrodziejstwa, które innym artystom wyświadczył, ofiaruje tak życzliwe swe usługi, że zniewolony tém przejeżdżający, przyjmuje opiekę i daje mu się powodować. Nasz niezmordowany dobrodziéj, wynajmuje salę, robi bilety, sprzedaje takowe, pożycza fortepianu, wynajduje akompaniamenta, zaniedbuje swoje obowiązki, jedynie dlatego, żeby jego dzieciny i żona mogły bezpłatnie bywać na koncertach, żeby coś skorzystały z gry jego, bo ma się rozumieć zaprasza go jeszcze do siebie na herbatkę, każe grać do upadłego, a potém szczyci się tém, że u niego bywa ten a ten artysta, że on go protegował i pomógł mu do zyskania takiego stanowiska, jakie późniéj zajął w świecie artystycznym.

Choćby to był drugi Paganini, Liszt, Szubert, choćby jego sławę cały świat głosił, jeżeli tylko odrzucił protekcyę państwa Ludwikostwa, już zagniewani nie pójdą na koncert, tylko spacerując niby koło okien sali, gdy koncert się odbywa, ganią na zabój grę, kompozycyę i zarozumiałość dumnego artysty.

Państwo Lińscy chociaż nie zbyt dawno przebywali w tém mieście, dokąd ich urzędowanie samego pana przyciągnęło, jednakże prawie wszyscy dawniejsi mieszkańcy znali ich wybornie, i po roku zabrakło gości w salonie naszych dobrodziejów. Lecz pana Ludwika nie ustraszała podobna niechęć; on zawsze wynalazł coś nowego z przejeżdżających lub interessantów biórowych, których podejmował hojnie, aby potém gdy przyszedł obrachunek kosztów, nie odważyli się targować z tak uprzejmym gospodarzem. Każdy, którego stopa raz tylko postała w ich domu, zaciągał względem nich nieprzeliczone obowiązki wdzięczności i jakimbądź sposobem musiał się z nich wywiązać, gdyż pan Ludwik wcale nie przebierał. I tak, zdarzy się posłaniec z listem, pan Liński częstuje go wódką, raczy śniadaniem, rozmawia po przyjacielsku, każe czekać kilka dni na odpis, a przez ten czas żeby się człowiekowi nie nudziło, dostarcza siekiery, wytacza dwa lub trzy potężne kloce drzewa, i ten biedak pocąc się od rana do zmierzchu, musi rąbać ani pisnąwszy, bo zaraz obsypie gradem dobrodziejstw, których wartość potroi wyświadczoną usługę.

Sama pani, kobiéta wielkiego świata, zawsze uśmiechnięta, zawsze znudzona i małomówna, wtedy tylko się ożywia, gdy kto jéj nieznacznie pochlebi adorując córeczki, lub wspomni o jéj familii. Natenczas małomówność znika, oko się rozpromieni, dowcip nawet się pokaże; i tylko proszę słuchać z jaką to nieukrytą radością zacznie rozpowiadać o owéj madam, u któréj była na pensyi w Krakowie, jakto ona bywała u hrabioswa P., jak ta madam miała dwa łokcie prawdziwie brabandzkiéj koronki, jak to hucznie żyli jéj rodzice, jak wujeczny dziadek był biskupem i t. p. Mało, i to uprzywilejowanych osób arystokratycznego pochodzenia, posiadają jéj bezinteresowne względy, innych przyjmuje grzecznie, lecz chłodno, jest im życzliwą, o ile coś z nich spodziewa się skorzystać.

Biorąc miarę z podobnego usposobienia obojga małżonków, którzy dziwnie z sobą harmonizują pod względem świadczenia dobrodziejstw, tudzież zważając na składkową edukacyę córek, o tych ostatnich moralnéj wartości nie wiele zostaje do powiedzenia. Starsza, coto już po kilka miesięcy bawiła u ciotek, wujów, stryjów i tym podobnych kuzynów, otrzaskała się nieco ze światem i manierami więcéj eleganckiemi. Umié prowadzić dość gładko, choć rozwlekłe salonową rozmowę, byle nie zbyt często z jedną osobą, gdyż prędko wyczerpuje cały zasób

przedmiotów i musi zacząć powtarzanie. Piérwszy raz widząc jaką osobę, już staje się jéj dobrze znajomą, życzliwą, uprzedzającą, przyjacielską, lecz na tém koniec; daléj, nie podobna postąpić w jéj względach.

Z całego jéj postępowania wiał taki chłód, czczość, brak czucia i serca, że pomimo widocznych narzucań się, pomimo nadobnéj powierzchowności, już po trzeciéj wizycie każden z młodych ludzi odchodził widocznie zawiedziony w swych mniemaniach lub zamiarach, przy piérwszém spotkaniu powziętych.

Młodsza Emilia, zupełnie jak to mówią surowa, umiała się tylko śmiać, tańczyć, stroić, haftować, i nic więcéj. W rozmowie ani rusz; prócz *tak* lub *nie* trudno było więcéj wydobyć z téj ślicznéj maseczki. Helenka przynajmniéj zajmowała się całém gospodarstwem domowém, robiła za wszystkich, pamiętała o wszystkiém, snać wrodziła się w ojca, a młodsza ulubienica mamy, chciała podobnie jak i ona, korzystać tylko z cudzych zabiegów i pracy. Ztąd wyradzały się między obydwiema siostrami ciągle niesnaski, jakieś dąsy, a czasem i żywsze wymówki; mama zwykle ujmowała się za młodszą, łajała Helenkę, a ojciec znowu bronił jéj o tyle, o ile mógł się uzbroić w cywilną odwagę, sprzeciwić się ukochanéj żoneczce. Późniéj, gdy już panna Helena poznała, że kłótnie wcale nie przystoją dobrze wychowanéj panience, i gdy przekonała się, iż panowie nigdy się nie gniewają, tyle potrafiła skryć się w sobie saméj, iż z niezwykłą i prawie niewolniczą pokorą znosiła wszelkie wyrzuty matki lub siostry, i z uśmiechem na ustach a łzą w sercu, dogadzała wszystkim zachceniom i kaprysom samowładnych despotek familijnych. To może jeszcze bardziéj uczyniło ją skrytą, niedowierzającą, obłudną i wywołało w późniejszém życiu następstwa o których się dowiemy. Cała familia kochała się jak gołąbki z jednego gołębnika: wszyscy płakali, gdy jedno zapłakało, wszyscy chorowali, gdy ktoś zachorował, wszyscy się cieszyli, gdy którego z nich szczęście spotkało, słowem pojmowali się tak doskonale, tak wybornie odgrywali komedyę czułości między sobą, że nigdy żadnemu z nich ani przez myśl nie przeszło, sprawdzić tę miłość, lub zwątpić o szczerości uczuć drugiego.

Teraz znając po trochu całą familię wróćmy do salonu.

Tańce już się rozpoczęły, lecz jakoś nie idą ochoczo; gromadka młodych ludzi stoi przy drzwiach milcząco, wszyscy

piérwszy raz znajdują się w tém towarzystwie, więc nie mają co z sobą do pomowienia, zresztą większą połowę składają dopiéro ze szkół wyszli młodzieniaszkowie, prawie ubodzy, nie oswojeni z formułkami salonu, czerwieniący się na każdą zaczepkę kobiét, tańczący niezbyt wprawnie, więc szczęśliwi bardzo, iż stać sobie mogą swobodnie. Jest tam i kilku śmielszych, lecz i im jakoś dowcipu zabrakło: jedni śmieją się z ich wysilonych konceptów, drudzy się krzywią zwyczajnie jak między osobami, których się nie zna nietylko z charakterów ale i z osób. Panny wysoko o sobie trzymające widocznie nie chcą tańczyć z mniéj porządnie ubranym młodzieńcem, zdaje im się, że podobna łaska, mogłaby ubliżyć jéj godnościom; a zatém zabawa idzie leniwo, pomimo gorących zachęcań gospodarza, który nieustannie wywija z panienkami i starszemi już mężatkami, rozmawia, ośmiela i stara się ożywić swą wesołością. Pomiędzy tańczącemi jeden szczególniéj młody, ale nie bardzo przystojny mężczyzna, pracuje za wszystkich; najczęściéj wybiera córki gospodarstwa, a tańczy doskonale; pan Ludwik przyklaskuje mu co chwila, i cieszy się niewymownie, iż jego dzieciny coś korzystają od niego, gdyż to jest metr tańców, którego jedynie dla nauki zaproszono.

Pomiędzy grającemi w preferansa zobaczymy dawniéj nam znajomego majora Wolickiego, który tu zjeżdża zawsze na większe uroczystości; nie zważa wcale na interesowność gospodarstwa, bo on przywykł bawić się wszędzie gdzie tylko dają jeść i pić dobrze, a o resztę nie dba. Tą razą jednak wyświadczył niemałą przysługę gospodarstwu, przywożąc z sobą nową i wcale nie znaną osobę.

Jest to majętny bardzo kawaler, podobno marszałkowicz, który przed miesiącem może, nabył majątek w tych stronach, a mając listy rekomendacyjne od jakiegoś pułkownika z Ukrainy, zapoznał się z Wolickiem. Nasz major nie omieszkał zaznajomić go z sąsiedztwem, i dziś właśnie zaprezentował go w domu państwa Lińskich.

Spojrzyjmy więc na tego ukraińskiego marszałkowicza, który właśnie prowadzi rozmowę z panią Ludwikową. Jestto może czterdziestoletni mężczyzna, wysoki, szczupły, dość jeszcze przystojny, a sztywny jakby laskę połknął; włos szpakowaty, krótko przystrzyżony, pokrywa dużą z odstającemi uszami głowę; wąsów nie nosi wcale, tylko jak dwa płatki szaraczkowego suk-

na przylepione po obu stronach twarzy, rysują się faworyty. Ubiór jego wytworny, od *a* do *z* paryzki; mowa wolna, napuszona, uśmiech głupowato-ironiczny, oczy zmrużone, ruchy wyrachowane, na pierwszy rzut oka zdradzają wielkiego pana i zdaleka już wraz z paczulowym zapachem odstręczają każdego otwartość lubiącego człowieka.

Jednakże pani Ludwikowéj nadzwyczaj się podobał: z podwójnym już uśmiechem słucha opowiadań jego o Francyi, i długoletnim w Paryżu pobycie; każde słowo zdaje się pochłaniać, każdy wypadek przyswajać.

— Bo proszę zważyć, łaskawa pani, stajemy w Wersalu do kontredansa, królowa nie ma pary, ja siedzę sobie swobodnie pod oknem, aż tu przybiega adjutant, że Jéj Królewska Mość prosi mię do kontredansa.

— Jakto pan marszałkowicz tańczyłeś z królową?

— Tak pani, jak z nią obecnie mam honor rozmawiać.

— Ależ to szczególniejsza łaska!

— Zapewne pani, lecz ja znanym już byłem Jéj Królewskiéj Mości z salonów księżnéj D., gdzie miałem to szczęście być jéj przedstawionym.

— Ach jakże zazdroszczę panu téj przyjemności — przemówiła z niezmyślonym żalem pani Ludwikowa:— ja wprawdzie nie byłam tak daleko, lecz u wód w Karlsbad miałam sposobność poznać ten wielki świat paryzki.

— A w którym roku raczyłaś pani podróżować? — zapytał żywo pan marszałkowicz.

— W 1827—odrzekła zaraz gospodyni, gdyż tak dla niéj ważną datę pamiętała wybornie.

— Byłam z moją ciotką, która należała kiedyś do dworu Imci królowéj Saskiéj, jako najulubieńsza jéj frejlina. Wystaw sobie panie marszałku....

— Marszałkowicz, do usług pani.

— Ależ to wszystko jedno, zawsze ojciec pana był marszałkiem, i pan zapewne nim będziesz.....

— Gdybym się nie przeniosł w te strony, to nie zaręczam czyby mię podobny zaszczyt nie spotkał; lecz słucham pani.

— Otóż ta ciotka, potém bardzo źle wyszła. Na dworze przyzwyczaiła się do pańskości, więc poszedłszy za mąż za hrabiego M. żyła prawdziwie po królewsku. Pamiętam co tam była za wystawność, co to tam gości przewinęło się każdodzien-

nie, jakie to zaprzęgi, konie; służba, wszystko proszę pana marszałka od złota. W parę lat mąż umarł, majątek zostawił obdłużony i biedna kobiéta w szale zapomnienia, poszła za jakiegoś ex guwernera, ex księdza, ex doktora, czy ex urzędnika, bo już doprawdy nie pamiętam, lecz wiem że miał coś z ośm exów. Proszę pana ja wówczas już byłam za moim mężem, i jak się dowiedziałam o tém skandalicznym związku, tak się *rozżaliłam*, że kilka razy zemdlałam i trzy tygodnie odchorowałam wstyd familijny.....

— Ach żal mi serdecznie pani, zaraz znać kobiétę i kobiétę z sercem...

— Tak, panie marszałku; to nieszczęśliwa nasza natura; i córki moje także...

— Ach, przepraszam panią, lecz muszę jéj powinszować tak pięknych córek.

— Zbyt pan marszałek łaskaw na nie, to dzieciaczki nieśmiałe...

— Daruj pani, lecz o ile mogłem sądzić z rozmowy panny Heleny, najpiérwsze salony warszawskie mogłyby się nią poszczycić.

— Żartuje sobie pan marszałek z moich parafianek.

— Słowo honoru daję pani, że znalazłem je kompletnie dobrze; potrzeba tylko oswojenia się z wyborowém towarzystwem, trochę śpiéwu, trochę znajomości krajów... a zaręczam pani, wyrównają paryżankom.

Pani Ludwikowa spłonęła z radości potężnym rumieńcem jak panna piętnastoletnia, gdy ją zobaczą piérwszy raz w długiéj sukience; już chciała coś serdecznego odpowiedzieć, gdy przerwała jéj Helenka, donosząc o przybyciu porucznikostwa. Przeprosiła więc uprzejmie marszałkowicza, i niechętnie podniosła się z krzesła, powitać nowo przybyłych.

— A! szanownego pułkownika—zawołał pan Ludwik, spostrzegłszy wchodzącego porucznika w mundurowym fraku z zakręconym wąsem i dziarską miną; objął go serdecznie rękoma, ucałował po kilkakroć, potém przywitał porucznikową, mlasnął w czoło zachmurzoną Julkę i porwał ją ex abrupto do tańca.

— Jak téż państwo na nas niełaskawi, tak późno przybyli— przemówiła niby z wyrzutem gospodyni.

— Ach to pani dobrodziejko—odrzekł całując ją gracyonalnie w rękę porucznik—Bóg widzi, spieszyłem jak mogłem,

szkapy zgrzały się jak nieboskie stworzenia, tylko imość z córką tak się fiokowały, stroiły, że ledwie o ósméj mogliśmy wyruszyć.

— Siadajcież państwo, bardzo proszę; może herbaty?

Jeżeli łaska to proszę pani dobrodziejki, zmarzłem jak kość słoniowa mosanie...

— Jak się masz Wolisiu! — krzyknął komendant, spostrzegłszy grającego majora—a czy cię tu licho przyniosło, czy co?

— A ciszéj przecie, Jędrusiu, nie zapominaj się!—szepnęła żona.

— Co to, ciszéj; czyto nie w przyjacielskiém kółku, mosanie, a pójdźno majorze, niech cię uściskam!

— A cóżto za krzykliwy oficer?—zapytał Kozłowicz pani Ludwikowéj, gdy ta usiadła znowu na dawném miejscu.

— To stary komendant weteranów z sąsiedniego miasteczka—odrzekła krzywiąc się gospodyni—zwyczajnie jak parafianin; ale cóż robić, trzeba znosić wszystko dla miłéj spokojności; nie przyjąć go, to okrzyczą arystokratami, dumnemi...

— Prawda i to—odrzekł ścigając wzrokiem Julkę—a ta przystojna bruneta, zapewne to córka?

— Tak jest, córka jego konfidencyonalnie naiwna i trzpiotowata do niegrzeczności; a sama pani, ta w brunatnéj sukni staruszka, nieznośna pedantka i nauczycielka dziwacznéj moralności.

— Żałuję bardzo panią, że żyć możesz w takiém towarzystwie, jednakże racz mię im przedstawić, nie wypada bowiem pozostawać tu dłużéj obcym; trudno, potrzeba znieść wszystko, ofiarując na chwałę Bożą.

— Panie kapitanie! przedstawiam panu marszałka Antoniego Kozłowicz; a to, pan kapitan R. nasz przyjaciel!

— Bardzo mi to przyjemnie—wymówił pan Kozłowicz podając rękę.

— Przecież téż poznałem pana dobrodzieja—odezwał się wesoło porucznik ściskając dłoń jego—ten djabeł Wolicki, tyle mi nagadał o panu różnych przeróżnych rzeczy, że dalibóg gdyby nie dzisiejsze spotkanie, sambym pojechał do niego...

— Nieskończenie zobowiązany za taką życzliwość, nieskończenie...

— Tylko bez tych ceregieli, panie marszałku dobrodzieju; ot tak sobie pogadajmy po ludzku: ja mosanie, prosty sobie czło-

wiek nie ociosany, jakim mię Bóg stworzył, lubię otwartość z kopyta. Powiedział mi Wolicki, iż wasp.... a przepraszam, pan marszałek, jesteś człowiek uczciwy i nabożny, więc tedy myślę sobie, wartałoby poznać, poprosić do siebie i kwita; hę nie prawda?

Porucznik mówił to najszczerzej, gdyż był w istocie nadzwyczaj lgnący do ludzi. Skoro mu kto ze znajomych powiedział, iż ten a ten człowiek jest porządny, uczciwy, pobożny, już odrazu chciał mu się wylać cały, chciał mieć w nim nieznajomego a przyjaciela; i jak raz powziął o kim korzystne przekonanie, nie prędko dał się rozczarować. Tak też się stało i z panem marszałkowiczem: zaraz go usadził przy sobie, bawił, wypytywał, nie zważając na widoczne marszczenia się tegoż, gdy porucznik machając rękoma, ośmielił się dotknąć jego wykwintnego ubioru, który nasz elegant zaraz otrzepywał chustką prostując zagięcia. Przedstawił mu żonę, córkę, dodając téj ostatniéj przydomek trzpiota.

— Bo to mosanie swojskiego chowu dziewczyna, żywe jak ogień, a śmieszka jaka? dwa dniby się chichotała, gdyby miała kompanię. Potém rozpoczął z nim religijną dysputę, przedstawiając ulubioną sobie kwestyę: „czy dzicy ludzie nieznający wiary Chrystusa, mogą być zbawieni"? Marszałkowicz choć udawał religianta, nie wdawał się jednak w podobnego rodzaju dysputy; zbywał więc porucznika potakiwaniem, a ten mając wolne pole przed sobą, rozwodził się szeroko i głęboko nad tą kwestyą. Naraz jednak, jakby sobie coś przypomniał, zapytuje pana Kozłowicz.

— Proszę cię, mój kochany panie, dla czego spadłeś tu do nas w Krakowskie jak z nieba? Bywałem ci ja na Ukrainie po rejmonty, ziemia tam jak w drugim raju, pieniędzy wprawdzie nie wiele, lecz chleba huk; i u nas prawda go nie brakuje, ale to nie Ukraina mosanie!

Zaczerwinił się po uszy nasz marszałkowicz, milczał przez chwilę szukając zapewne jakiego wykrętu w swéj głowie, nareszcie jąkając się odpowiedział:

— Prawda to panie majorze, lecz widzisz lud tam bez żadnéj pobożności; dręczyły mię ciągle podobne bezprawia, więc zagniewany, przeniósłem się aż do was.

— O, co miałeś racyą szanowny panie, to miałeś: u nas mosanie, to ludzie jak aniołowie, a żebyś znał jeszcze naszego

dziekana, jużbyś nie wychodził od niego; święty to człowiek mosanie, z duszą, z ciałem, z kościami, dopierobyście dysputowali oba!

W tém miejscu przerwała z niecierpliwiona gospodyni rozprawy religijne, i rozłączyła obu; snać ten pan marszałkowicz zanadto ugrzązł jéj w głowie i już już zagięła parol na niego.

Porucznik tymczasem wmięszał się między tańczących; swoją naturalną wesołością ożywiał towarzystwo, ośmielał bojaźliwą młodzież, dyrygował, ustawiał, dość, że zabawa przybrała inny kierunek. Pan Kozłowicz przechadzając się sztywno po sali ciągle jakoś obserwował Julkę, któréj niezwykła wesołość, przytém ładna twarzyczka i ognistè spojrzenia zhołdowały go widocznie. Kilka razy przybliżał się do niéj, kilka razy chciał olśnić ją swym ciężkim dowcipem, elegancyą, pańskością; lecz na nieszczęście ona tak mało uważała na niego, tak trafnie zbijała go z tropu zaczętéj rozmowy, że biedak złościł się niesłychanie, przygryzał wargi, a wszelako nie mógł pozbyć się wrażenia zbyt natarczywie wciskającego się do duszy.

Pani Ludwikowa, najprzód dostrzegła to jego zajęcie się córką porucznika; więc wszelkiemi sposobami starała się go zabawiać, zwracać ku córkom, szczególniéj ku Helence, któréj co minuta wydawała stosowne instrukcye. W godzinę po kolacyi, przy któréj cała familia gospodarstwa jemu tylko usługiwała, zawsze jeszcze obrażony, pożegnał towarzystwo i odjechał, nie zważając na usilne prośby gospodyni, śliczne uśmiéchy panien, i głośne uściski pana Ludwika. Za nim jakoś i inni zaczęli się rozchodzić, a zabawa skończyła się o drugiéj, chociaż w programie gospodarstwa 8a godzina nazajutrz miała być na to przeznaczoną.

My zostawmy na chwilę innych gości odpoczywających po tak hucznéj zabawie, a udajmy się za panem marszałkowiczem. Przyjechawszy do domu, znudzony, zagniewany, przez długi czas nie mógł odzyskać swego zwykłego humoru: ani słowa nie odrzekł na zaczepki ulubionego kamerdynera, zaniedbał zwykłéj porcyi koronek, pacierzy i modlitw, lecz milczący, skwaszony udał się na spoczynek.

Widzieliśmy go już w towarzystwie, znamy jego powierzchowność, słyszeliśmy go mówiącego, a teraz zapoznajmy się

nieco z charakterem tego szczególnego w swoim rodzaju człowieka.

Pomimo szumnego tytułu marszałkowicza, pomimo półmilionowego majątku, i pomimo tańczenia z królową kontredansa, pan Kozłowicz nie był arystokratą. Był to sobie tylko oszczędny aż do skąpstwa, wymuszony aż do śmieszności, pobożny aż do bigoteryi czterdziesto-letni samolub. Bez wyższego ukształcenia, bez iskierki uczucia w sercu, przebiegły spekulant, wszystkie swe czyny, myśli i słowa, redukował do liczb. Dniem i nocą pracował w swéj nowo nabytéj wiosce, pilnował, przemyśliwał, lecz jakoś nie szło mu tak, jak sobie życzył, albowiem posiadał dwa dopiéro warunki zrobienia majątku: prace i skąpstwo, a brakło mu najważniejszego:—rozumu.

Od lat dwudziestu kandydat do stanu małżeńskiego, z jeździł całą Ukrainę, Podolę i Wołyń, a nie mógł wynaleźć takiéj, którąby chciała połączyć z nim swoje doczesne życie. Warunki z jego strony nie były wprawdzie zbyt uciążliwe, bo on wymagał tylko pieniędzy, i która z panien posiadała ten talizman, w jego umyśle już była piękną, edukowaną, cnotliwą, a nawet bogobojną. Probował wszędzie i wszędzie mu odmawiano, gdyż tak bezczelnie objawiał swoje zamiary, tak prędko dał poznać cały zasób spekulacyjnych usposobień i miernoty umysłowéj, iż nawet najbardziéj interesowane domy, wahały się powierzyć mu swoje kapitały wraz z córką. Jednakże niezrażony podobnemi odmowami, dotąd jeszcze miał się za pretendenta do żeniaczki. Formalista drobiazgowy, już dawniéj ułożył sobie kompletną ustawę postępowania: rozmawiał w towarzystwie li tylko z najdystyngowańszemi osobami, i tak stopniowo, że ze służącym wtedy, kiedy we dwóch się znajdowali; inaczéj nie słuchał niczyich próśb, a na pytania wcale nie odpowiadał. Do kościoła jeździł regularnie trzy razy w tydzień, dawał na mszę z wyraźném zastrzeżeniem, aby dla niego jedynie odprawioną była. Biedny, nie mógł w żaden sposób pojąć istnienia prośby powszechnéj! On miał inne potrzeby, żądania, nadzieje, a chłopstwo wcale inne; gdzież więc jemu razem się modlić z tą zgrają obszarpańców!? Religia jego zasadzała się na wiernem i skrupulatném wypełnianiu form zewnętrznych; myśl, nie chciała, a może i niepotrafiła przestąpić progu zmysłowości: po całych dniach klepał pacierze, posty najregularniéj zachowywał, do spowiedzi co 3 tygodnie uczęszczał, w kościele całe godziny krzyżem leżał,

przed Wielkanocą jeździł do Reformatów na rekolekcye, i był pewny wiekuistego zbawienia; lecz jak przyszło tę religię wprowadzić w czyn, choćby z najmniejszym uszczerbkiem swéj kieszeni, tu już innego trzymał się systematu. Obrażony, długo pamiętał wyrządzoną krzywdę, i nie opuścił żadnéj sposobności wywdzięczenia się swemu nieprzyjacielowi. Zemsta taka była powolna, drobiazgowa, pokryta maską przyzwoitości, lecz niemiłosiernie gryząca.

Mając rozłożony czas zatrudnień całodziennych, godzinę przed spoczynkiem poświęcał rozmyślaniom, których najulubieńszym przedmiotem było małżeństwo. Zwykle siadał w fotelu, zakładał nogę na nogę i zaczynał z sobą głośną rozmowę.

„Wiesz co panie Antoni, trzeba żebyś się ożenił! Będziesz miał śliczną, bogatą żonkę; przyszedłszy do domu znajdziesz kogoś co cię oczekiwać będzie; z kim porozmawiasz, pośmiejesz się, a czasem dla strawności pokłócisz; otoczy cię grono dziatek, które tak milutko wołać będą: tato! tatko! tateczko! Życie twoje upromieni gwiazda obowiązku, słowem odżyjesz!... No, ożeń się tedy panie Antoni!" I potém monologu uśmiechał się szczęśliwy, zacierał ręce i czas niejaki tonął w marzeniach o bogatéj i pięknéj żonie. Lecz po chwili, jakby duch temu przeciwny, jakby drugi pan Antoni odzywał się do niego:

„A co ci to potém, panie Antoni! nie szaléj stary!? a naco ci to brać taki ciężar na głowę? Za żoną idą wydatki, idzie niewola; za dziećmi idą hałasy, których nienawidzisz. Ty masz obrażliwe usposobienia, powie ci co żona, ty się zgniewasz, zgryziesz, a zdrowie masz słabe, jeszcze zachorujesz. Żona nasprowadza ci gości, musisz ich karmić; zjedzie się familia, będzie ci kotłować nad uszami; nastaną płacze, obraza Boga i całe życie zejdzie na niczem; nie żeń się panie Antoni, mówię ci, nie żeń się!"

I znowu podumawszy chwilkę lecz wcale z inną miną nasz bohater mówi już cicho do siebie; liczy, waży, odmierza, potrząsa głową, przymruża okiem, i wstaje nagle z fotelu powtarzając głośno: „ha! to się i wstrzymaj jeszcze!"

I z tym wyrokiem udaje się na spoczynek. Nazajutrz powtarza to samo i powtarza już od lat sześciu, tojest od czasu jak zaniechał widocznych starań o małżonkę.

Tą razą więc wróciwszy z owego wieczoru, gdy już uspokoił się nieco, siadł na zwykłém miejscu i słowo w słowo odbył

wyżéj opisaną dysputę. Lecz przy końcu, gdy wymówił: „to się i nie żeń panie Antoni", jakoś nie kwapił się z wstawaniem, lecz siedział dumając i bił się z myślami. Właśnie przyszła mu na pamięć zachwycająca i trzpiotowata porucznikówna: wzrok jéj ognisty ścigał go, usta koralowe tak śmiały się naiwnie, pierś tak namiętnie folowała, dowcip naturalny tyle mu dokuczał, że mimowolnie rozkoszował się podobnym obrazem i w miarę owych imaginacyjnych pieszczot z nadobną Julką, poprzednio ułożywszy wyrok, coraz bardziéj tracił na swéj mocy obowiązującéj.

— Wiész co panie Antoni, choćbyś ty.... i zamilkł wstydząc się wygłosić to, czego rozum nie pozwalał; biédna, daliby ci ją z ochotą....

— Ot i to że biédna!—odpowiedział po chwili.

— No, ale ty masz majątek.

— Tak, prawda że mam i za wiele mam, wszelako.... to córka porucznika! Fe, do czego to podobne panie Antoni, familia ciebie by się wyrzekła, daj pokój!

— Ale jaka ładna, jaka ponętna! Co tam będziesz zważał na ludzkie gadania; czy ty potrzebujesz co od kogo, a skoro ci się podoba to dosyć.... I znowu czas niejaki siedział bezwładnie w krześle marząc o przyszłości. Nareszcie zerwał się prędko, westchnął głęboko i wyrzekł: daj pokój stary, nie szaléj, wyrzuć te głupie myśli!... Potém rozebrał się szybko, głowę poduszką przyłożył, oczy zamknął, chcąc przemocą prawie odpędzić natarczywe myśli, cisnące się gwałtem do serca; mylę się, nie do serca, lecz do wzburzonéj i zmysłowością tchnącéj imaginacyi. Jednakże nie pomogła ciemność, nie pomogły poduszki, bo obraz wesołéj dziéweczki, jakby czarodziejską mocą wyrastał przed oczami marszałkowicza, nęcił, dokuczał, igrał z myślą i głową, że długo, długo nie pozwolił mu usnąć; a potém we śnie jeszcze nie opuścił, bo nazajutrz zdawało się panu Antoniemu, że czuje serdeczny uścisk przedmiotu swych marzeń, a z pod ręki, tylko tylko co wysunął się zgrabniutki a uroczy stanik świeżutkiéj dziéweczki.

Nic tu nie pomogły wieczorne monologi, kończące się jak zwykle wyrazami: „to się i wstrzymaj panie Antoni!" nie pomagała uciążliwa praca, nie ulżyło czytanie, bo z każdéj stronnicy patrzały duże czarne oczy Julki, bo każda piątka lub siodemka w regestrach, rysowała nadobną postać dziéwczęcia.

Pan marszałkowicz jak mógł kłamał przed samym sobą tłumacząc owe dziwne uczucie, rosnące w jego duszy; przymuszał się do zapomnienia, lecz cała energia rozbijała się stanowczo, na samo wspomnienie porucznikowny.

Trzeciego dnia zaraz po owym balu u państwa Lińskich, wybrał się z odwiedzinami do Wolickiego, i przed nim tak obojętnie niby, wygadał się o oczkach porucznikowny, że mu się podobały bardzo; nawet ów krzykliwy kapitan zrobił się już uczciwym człowiekiem, a sędziwa kapitanowa, wcale rozsądną i czcigodną matroną. Wolicki frant co się zowie, prędko jakoś odgadł co się w tém święci; a że był jednym z najszczerszych i najlepiéj życzących przyjaciół komendanta, więc poszedł do głowy po rozum, i w jednéj chwili, powziął zamiar skojarzyć małżeństwo. Znając pana Antoniego li tylko powierzchownie, i polegając na rekomendacyi dawnego kolegi pułkownika, przytém wiedząc że jest bogatym, myślał, iż wielką przysługę odda porucznikowi sposobiąc mu takiego zięcia. Przeczuwał on wprawdzie niechęć matki, lecz znał jéj dobrą stronę, był pewnym, że rozpoznawszy wszystkie korzyści podobnego związku, da się łatwo poprowadzić. O pannie ani pomyślał: to dziecko poczciwe, potulne, co rodzice każą wypełni akuratnie.

Więc nie przestawał namawiać pana Antoniego, do odwiedzenia porucznikostwa; jemu tego też tylko brakowało; zaraz przystał z największą ochotą, a nie zwlekając, wsiedli do powozu i ruszyli ku miastu.

Tymczasem, pan komendant ani pomyślał o wizycie świeżo poznanego panicza.—Ho bo!—mówił na drugi dzień do żony—harda to jakaś sztuczka; bogaty wprawdzie, nie głupi, religiant, lecz za nizkie nasze progi na jego nogi, mosanie.

— Wiesz co Jędrusiu, ten człowiek mi się zupełnie nie podoba.

— Bo djabełby imości kiedy się podobał! jeszcze się ten nie urodził, coby babom dogodził:—odpowiedział prędko porucznik.

— No, widzę przylepiłeś się do niego, ty zawsze po swojemu.

— Bo jest do czego, moja imość; człek poczciwy, honorowy, Wolickiego przyjaciel, to dla mnie dosyć; zresztą już i ja sam wybornie znam się na ludziach: raz spojrzę, jedno słowo posłyszę—już go mam!

— Tak tak—odrzekła śmiejąc się żona—jak i owego wędrownego zegarmistrza—pamiętasz?

— Ależ nulla regula sine exceptione—raz się omyliłem, bo człek zawsze człowiekiem moja pani.

— I mnie się nie podoba—wtrąciła Julka — taki nadęty, sztywny....

— Ho ho! a kto się acanny pyta czy jéj się podoba? jeszcze czego, jeszcze czego! Pięknieby rodzice wyszli spuszczając się na gust córek! Acanna nie masz tu zdania; co rodzice powiedzą, to świętém być powinno!

— Ja też się nie upieram, proszę ojca, tylko tak sobie mówię; mama może radzić, bo jéj wolno, a skoro mama to samo w nim widzi.....

— Matka nic nie widzi i kwita! — zawołał zakładając ręce—upór babski i nic więcéj; piérwszy raz człowieka widzą, gadały z nim dwa słowa, a już im taki, owaki; zwyczajnie aby pleść bez sensu. I skończył rozmowę, wyszedłszy do drugiego pokoju.

Właśnie pod ten czas, gdy para siwoszów wiozła w ładnym koczyku naszych gości do miasteczka, komendant wziął się do ulubionéj od niejakiego czasu roboty. Niezmordowana jego czynność, wynajdywała co dzień nowe zajęcia, i teraz właśnie przyrządzał lampę przed obraz Bogarodzicy, wiszący nad jego łóżkiem.

Z wielkim trudem a niezwykłą cierpliwością, zrobił już z drutu łańcuszek, ten rozdzieliwszy na trzy równe części przymocował do okrągłéj blaszki, i urządzoną tym sposobem podstawę jak owe lampy kościelne, zawiesił u powały wprost przed obrazem. Chodziło tylko o samo naczynie w którém miał się palić oléj, a które trzeba było osadzić na téj blaszanéj podstawie. W tym celu wybrał najlepszą szklankę, nalał weń oleju, oprawił knot w pływającéj na koreczkach blaszce, zapalił, i stojąc zdaleka, oczekiwał skutku swéj pracy. Ale jak na złość, lampa coś nie dobre dawała światło, więc zdjął znowu węgierkę i zabrał się do reperacyi. Dziesięć razy poprawiał, dziesięć razy zapalał lub gasił, a zawsze źle się paliło; cierpliwość szanownego mechanika już już wisiała na włosku; zaczął furbeczkować, mantyczéć, przywoływać żonę i córkę do narady, pytał się ich, a nie słuchał wcale, tylko po swojemu majstrował.

— Dobądźno Julka tego knotka ze szklanki, masz mniejsze palce, to ci będzie łatwiéj.

— Kiedy, proszę ojca, powalam się.

— Widzisz ją jaka mi grafini, boi się powalać, a ojciec mosanie starszy, i może się *babrać* od godziny; dostań zaraz!

Wtém zasztukotało przed sienią, rozległ się głośny trzask bicza, i naraz wtacza się do pokoju uśmiechnięty Wolisio, a za nim sztywny wyfraczony pan Kozłowicz.

Porucznik otoczony radcami płci żeńskiéj, i trzymając zdaleka ręce powalane olejem, tak sobie roznegliżowany, nie wie co z sobą zrobić.

— A czy ich tu djabli teraz przynieśli, czy co?—mruczał ocierając wąsy kułakiem. Zosiu! Małgosiu! sprzątnij co duchu te preparaty.... A dajno niech się obetrę..... czego uciekacie do milion furbeczek!.... węgierkę moją.... mundur.... i nie mogąc się doczekać ręcznika chwycił uciekającą Julkę za fartuszek, obtarł gwałtownie ręce, gdy obaj nowo przybyli czekali z powitaniem.

— Nie rób sobie subiekcyi panie majorze — przebąknął marszałkowicz przykładając do nosa pachnącą rękawiczkę, i krzywiąc się po pańsku—nie przeszkadzamy, bynajmniéj.

— Daj mu pokój — odezwał się wesoło Wolicki—czy chcesz by nas *uszlachcił* olejem, to majster.

— Przepraszam szanownych panów, przepraszam najmocniéj—mówił całując obu serdecznie—ot dłubałem sobie jak to z nudów w partykularzu; siadajcie, proszę; a czemuż mam przypisać te odwiedziny kochanych sąsiadów?

— Chciałem złożyć uszanowanie jako sąsiadowi—odrzekł pretensyonalnie pan Antoni oglądając pokój, do którego wprowadził ich porucznik.

— Za wiele łaski mosanie na moją ubogą chatkę, za wiele! — powtarzał ucieszony szczerze komendant, sprzątając co chwila różne przybory majsterki porozstawiane wszędzie, i kłopocząc się tém, iż nie zdjęto pokrowców z mebli na przyjęcie tak znakomitego gościa. Niebawem pokazała się i gospodyni z córką, usadowiono się przy okrągłym stoliku w bawialnym pokoju, i poczęła się ceremonialna rozmowa najprzód o pogodzie, potém o sąsiedztwie, potém o wieczorze u państwa Lińskich, a porucznik przywdziawszy tymczasem swój mundur, z jaśniejącém okiem i niezwykłą wesołością, przyłączył się do ogólnéj gawędy.

Pan Antoni coraz bardziéj pochłaniał wzrokiem nadobną Julkę, coraz to więcéj odkrywał w niéj przymiotów na korzyść jéj powierzchowności, a rozmowa do tyla go zajmowała, iż co chwila winszował porucznikowstwu tak pięknie wykształconéj córeczki.

— Ale co tam, ale gdzie tam?—odpowiadał śmiejąc się gospodarz,—za wiele tych pochwał panie marszałku dobrodzieju! Co ona tam umie, co zna? Zwyczajnie swojskiego chowu dziéweczka, bo gdyby to człowiek był w stanie, inaczéjby było! Ot i na fortepianieby zabrząkała; ale....

— Rozumiem kochanego pana — przerwał pan Antoni— w takiém ustroniu i fortepianu kupić nie ma gdzie, a z Warszawy.....

— Nie o to tu idzie mosanie; gdyby pieniądze były, instrumentby się znalazł; póki pułkownikowna zamąż nie poszła, to grała na jéj fortepianie, a od czterech lat chyba gdzie u łaskawych sąsiadów do tańca, jaką starzyznę wybębni.

— A na cóż jéj to mój Jędrusiu—odezwała się porucznikowa—ona nie stworzona na panią, bo jakkolwiek muzyka potrzebną jest dla kobiéty, jednakże kogo nie stać na to.....

— A gdybyście szanowni państwo nie odmówili méj prośbie—odezwał się nieśmiało pan Antoni, to ja mam niepotrzebny fortepian, i mógłbym....

— Wszakże ja go nie widziałem u ciebie—przerwał Wolicki.

— Mam, mam, tylko opakowany jeszcze — odpowiedział czerwieniąc się pan Antoni, bo nie miał wcale fortepianu, a tylko postanowił kupić umyślnie, żeby się przysłużyć pannie Julii.

Porucznik uradowany chciał już przyjąć, gdy żona dziękując najuprzejmiéj, stanowczo odmówiła. Podano kawę i domowéj fabryki ciasteczka; pan Antoni i tu znalazł pole do rozwodzenia się z pochwałami, a jednak można było dostrzedz pewien przymus przy każdém niesieniu do ust filiżanki. Zwyczajnie jak pan, chwalił z przywyknienia. Dalsza rozmowa szła jakoś tępo i nieśmiało; sam porucznik tak żywy, naturalny, tą razą nie pojmując siebie, dobierał wyszukańszych wyrażeń, wymawiał niby delikatniéj, a jąkał się tylko; rozpoczynał to o tém, to o owém, tarł czuprynę, kręcił się niecierpliwie na krzesełku, i skrępowany widocznie sztywném obejściem się i ceremonialną grzecznością gościa, nie mógł ożywić rozmowy. Dopiéroż gdy obaj zWo-

lickim wysunęli się do drugiego pokoju, gdy mu zaczął pokazywać swoje biórko świeżo odpoliturowane i opowiadać wszelkie szczegóły téj pracy, rozruszał się nieznacznie, i z lepszym humorem powrócił do gości. O czémto tu nie mówiono!? i o polityce, i o sąsiedztwach, i o zajęciach i o naukach; bo poruczniková chcąc bawić pana Antoniego, co chwila zaczynała z innéj beczki, a po kilku słowach urywał się wątek, gdyż on najczęściéj potakiwał jéj zdaniu, lub jeżeli zaprzeczał, to tak imponująco i stanowczo, iż biedna kobiéta nie śmiała mu się opierać. Wolicki co chwila ziewał straszliwie, to się przechodził po pokoju, snać gniewała go podobna etykietalność sąsiada, który pomimo to ani myślał o odjeździe. Julka za to, nie tracąc nic a nic ze zwykłéj sobie żywości i swobody, dość trafnie zbijała każdy czuły frazes pana Antoniego; śmiała się najserdeczniéj gdy potrafiła zakłopotać nadętego galanta, a tém samém dała mu poznać, że i tu są ludzie, o których naukowéj i światowéj wartości, nie można zbyt lekko sądzić.

— I nie nudzi téż panią ta jednostajność—mówił marszałek, gdy Wolicki z matką się zagadał.

— Przyznam się panu, ja nie widzę tu żadnéj jednostajności: z każdą chwilą płyną dla mnie nowe zajęcia, nowe myśli, nowe uczucia....

— Och! podobno te uczucia tylko mogą rozerwać—przerwał śmiejąc się znacząco pan Antoni.

— Może, alem ja dotąd nie zważała na nie.

— Pokazuje się więc, że wszystkie kobiéty sobie podobne; wzbudzać uczucia im łatwo, a widzieć je...

— Och! ja aż nadto je widzę, bo przedmiotów moich uczuć mam tak wiele, a dowodów ich czułości jeszcze więcéj, że prawdziwie byłabym niewdzięczną, gdybym o nich miała zapominać.

— To winszuję pani tego rozdziału uczuć i bardzo radbym wiedzieć jak téż te przedmioty jéj uczuć wyglądają: czy pod postacią brunetów, czy blondynów?

— Nie zgadłeś pan—mówiła poruszając figlarnie główką—ja mam szczególniejszy gust, wszystko lubię białe, siwe, a najwięcéj kasztanowate!

— Czy tak?—zapytał głaszcząc rudą perukę pan Antoni—przyznam się dobry masz pani gust; widać, rozsądek i powaga więcéj u niéj znaczą, niż trzpiotowata wesołość.

— Przeciwnie, panie, moje przedmioty uczuć muszą być żywe, pieszczotliwe, a nie poważne; wszystko sensowate a poważne, odpycha mię od siebie.

— Istotnie, nie pojmuję téj sprzeczności, i dlatego mogęż panią zapytać jak daleko mieszkają te przedmioty, bo choć niedawno jestem w tych stronach, wszelako znam całą okoliczną młodzież..

— Ha ha ha! więc pan to do młodzieży stosował?

— Naturalnie.

— Otóż muszę panu oznajmić, iż jestem zbyt wielką egoistką i nie pozwalam moim ulubieńcom się oddalać: jednego mam u siebie w pokoiku, a drugich w kuchni i innych w ogrodzie.

— I cóż to być może?

— Pan się nie domyśla?

— Tą razą zupełnie nie.

— Trudno, więc muszę się wydać, iż podeszły, szpakowaty artysta: milutki kanarek, jest jednym.

— Wolne żarty pani?

— Doprawdy, ja nie żartuję—mówiła śmiejąc się Julka—trzy kasztanowate czubajki są w kuchni; a duży brytan Marengo w ogrodzie na łańcuchu.

— Niepodobna!—zawołał trochę obrażony kawaler—żeby do tego czasu nie zapukało serduszko mocniéj na widok....

— Och co to—przerwała mu Julka—bardzo często mi się przytrafia; jak tylko się zmęczę, lub ile razy zacznie mdleć nasza prezydentowa, tak się przelęknę, iż oddechu mi zabraknie, a serce bije jak młotém.

Uśmiechnął się ironicznie pan Antoni i mruknął sobie pod nosem:—albo frant dziewczyna, albo kompletnie głupia—i skierował rozmowę do swojéj osoby. Zaczął od podróży: przebył Niemcy, Szwajcaryą, Włochy, napomknął dwójznacznie o różnych miłosnych awanturach, wyjechał do Paryża, przetańczył kontredansa w Wersalu; potém nieznacznie skręcił do ubioru swego, koni, szkatułki, ludzi, gustów, humoru, pobożności, a w końcu westchnął gwałtownie, że podotąd nie znalazł jeszcze osoby, którąby zechciała podzielić z nim to wszystko, czém Bóg w swéj szczodrobliwości raczył obdarzyć mizernego sługę swego.

— Widać pan marszałek nie chciał szukać, lub źle szukał —odezwała się porucznikowa.

— Ba—wtrącił porucznik—niby to tak łatwo znaleźć żonę, którąby nas zrozumiała bez grymasów. Teraz mosanie świat bardzo zepsuty; fochów w głowie więcéj niżeli czego; aby się ubrać, trwonić, hulać, ot i wszystko!

— Zgadłeś panie kapitanie — odpowiedział pan Antoni— szukam już od lat dziesięciu, a wszelako kawalerem jestem do usług państwa.

— Otóż my tu ożenimy kochanego sąsiada— mówi Wolicki—i spojrzał nieznacznie na Julkę.

— A gdzież panie majorze znajdziesz w naszéj okolicy stosowną partyę dla pana marszałka?—zagadnęła gospodyni.

— Nie będzie wybredny, zaręczam; niech tylko znajdzie uczciwą, pobożną.....

— Tra la la, tra la la, niby to dosyć, Wolisiu; a to?— zawołał porucznik uderzywszy się po kieszeniach.

— Pan sąsiad dość sam już bogaty.

— Od przybytku, panie, głowa nie boli; nie.

I tak rozmawiając od tego do owego zeszli jakoś do wojen Napoleońskich; porucznikowi w to graj! Zaraz wystąpił z opowiadaniem różnych, przeróżnych zdarzeń: prowadził za sobą słuchających po całych Niemczech, Hiszpanii i Włoszech; bił, mordował, siekał, aż włosy na głowie stawały. Tu kule jak grad się sypały, tam jazda rąbała nielitościwie, piechota szpikowała na bagnety; gdzieindziéj znowu zdobycz brzęcząca i lśniąca, w postaci dukatów i kosztownych drobiazgów, upychała w kieszeniach i tornistrze.

— W Hiszpanii mosanie, przy zdobyciu Saragossy—mówił w największym zapale porucznik—stałem przy jednéj kamienicy przylepiwszy się do ściany, bo to wychudłe tałałajstwo waliło z okien, skoro się który z naszych pokazał w ulicy. Stoję tedy z Karpińskim, aż tu wysuwa się z bocznéj bramy jakaś gromada i chyłkiem, chyłkiem mosanie do ogrodu: „Wiész Karpiński, mówię do towarzysza, pójdźmy za niémi!" A pójdźmy, odpowié; i trop w trop skradamy się przez mur do ogrodu. Pistolety w ręku, mina dobra, krew młoda mosanie, to się na nic nie zważało. Czajemy się więc koło muru i za nimi; aż tu po kwandransie owego pochodu, gromada staje, kilku dobywa

rydli i kopią. „Wiész Stachu, mówię po cichu, niezawodnie kogo chować będą"? „Ech! powiada Karpiński, to piéniądze chyba; ale sza, bo spostrzegą." Więc czekamy i czekamy, a ci kopią; nareszcie zapalili latarki i przy blasku światła, ujrzeliśmy potężny kufer, okuty mocno żelazem, który trzech ludzi zaledwie wpakowało do dołu; potém zasypali, darniną przykryli, drewek nałożyli, a zapaliwszy, poszli sobie z Panem Bogiem.

„Zobaczmyno, mówi „Karpiński." „Daj pokój, teraz może pilnują, jeszcze będzie czas, uważajmy tylko miejsce, a trafimy przecie jutro"; bo zresztą kto tam dbał wtedy o piéniądze!

— A, marnotrawstwo mój panie—przerwał pan Antoni—jakby się to teraz zdały!

— Prawda, prawda—mruknął porucznik—tak sięto mówi teraz, ale wtedy inna rzecz. Tu człowiekowi śmierć nad karkiem stoi; zmęczony jak nieboskie stworzenie, ledwie nogami powłoczy, i gdzie mu tam gadać o piéniądzach; plunie mosanie i na brylanty. Kawałek chleba więcéj znaczy, niż kufry złota!

— I cóż daléj?—pyta zainteresowany pan Antoni.

— To proszę kochanego pana, że na drugi dzień biliśmy się od świtu do zmierzchu, i wyparowali z téj części miasta Hiszpanów.

— A kufer?

— Zaraz zaraz, muszę porządkiem opowiadać: otóż na trzeci dzień to samo; mnie kulka prześwidrowała nogę i to szczęście że przeszła przez ciało tylko. Karpiński bo to sztuka gorąca, przychodzi tedy do mnie wieczorem i mówi: „a kufer, Jędrzeju, w ogrodzie; pamiętasz?

— A niech go tam milion furbeczek weźmie, odpowiem; lecz on koniecznie nalega: „pójdź, pójdź, schowamy gdzieindziéj, możeto co dużo tego, szkoda zaniedbywać"; dość, że dałem się namówić i wziąwszy rydle saperskie pod pachy, marsz do ogrodu. Nie długo znaleźliśmy ognisko, odkopaliśmy kufer, a że dom był zupełnie już zrujnowany i nasze placówki co chwila się odzywały, więc nie obawiając się niczego, dalejże odbijać. Po godzinnéj morderczéj pracy, otworzyliśmy zamek, i wystawcie sobie państwo: od góry do dołu pełno złota, brylantów i innych kosztowności, choć kąp się w nich to wystarczą! Myślemy sobie, brać to ani sposób...

— Jakto nie wzięliście panowie?—zawołał z iskrzącém okiem pan Antoni.

— Powoli, proszę mojego pana, dojdziemy do tego. Brać mówię ani sposób, ciężar wielki; więc Karpiński po konie i musztuczki, przywięzujemy między nimi kuferek, rydle na ramiona, i marsz za miasto w góry. Obraliśmy miejsce, kopiemy dół w zaroślach, ładujemy kieszenie, a resztę sakum pakum i zasypujemy. Potém zwalamy kupę kamieni, aby trafić, znaczymy miejsce i do obozu.

— To musiałeś, panie poruczniku, zabrać tego z kwartę?— zapytał marszałkowicz.

— Ale, z garniec mój panie! bo pamiętam jadąc napowrót, djabelnie ciężyły mi w kieszeniach; lecz że wtedy drogość była niesłychana, bo za kieliszek wódki płaciło się po dwa i po trzy dukaty....

— Nie może być?—przerwał znowu rozogniony kawaler— a to ja, co spodziewam się wypalić ze 6,000 garncy okowity, miliony, bym zebrał.

— Ma się rozumiéć, ma się rozumiéć. Nasze wiwandierki potém wsie kupowały, jeżeli kulka ich oszczędziła. Jednę, pamiętam pod Mozajskiem jak gwiznął granat w same piersi, to i strzępków z baby nie zostało; rozniesło to precz, a dukaty jak grad sypały się na wszystkie strony. Druga znowu....

— Dokończże panie kapitanie o tym kufrze, cóż się z nim zrobiło?

— Co się zrobiło? a spoczywa sobie zapewne do tego czasu w ziemi, bo wątpię czyby go kto znalazł!

— Więceście go nie wydobyli panowie?

— Ma się rozumiéć że nie; bo gdybym go dziś miał, cały powiat mosanie zakupiłbym z kretesem. Ale jakto na wojnie: zawołali „marsz"! i człowiek wziąwszy karabin na ramię, poszedł w świat, a mój kuferek doczeka się pewno dnia sądnego.

— A czemużeś panie nie pojechał po wojnie?—zapytał pan Antoni.

— Czemu?— odrzekł śmiejąc się porucznik— bo dobrze że człowiek ma za co kupić kawałek chleba, a na podróż do Hiszpanii tysięcy potrzeba mosanie.

— Alebyś trafił w to miejsce?

— Jak w tém pokoju, mój łaskawco; i zaręczam, że sobie jeszcze spoczywa, gdyż miejsce to było niedostępne, skaliste, krzakami porosłe....

— Hm, szkoda, mój kochany poruczniku, szkoda—mruczał zamyślony marszałkowicz—skoroby się trafiło.... i powiadasz panie, że to kufer żelazny?

— Nie, lecz mocno okuty, a miał w sobie ze dwa korce!

— No no, co się to na świecie zdarza; a szkoda, kto to wie... zobaczymy!

— Panie sąsiedzie komu w drogę to i czas! zawołał zrywając się z krzesła Wolicki, który historyę o skarbach słyszał już z dziesięć razy, i prawie umiał na pamięć.—Jedźmy!

Więc chociaż niechętnie, i pan Antoni się podniósł, ucałował serdecznie kapitana, ukłonił się zdaleka gospodyni, a pannę pożegnał słodkiém spojrzeniem i dość napuszonym komplementem. Porucznik odprowadził ich ze świecą aż przed sień, i gdy usiedli do powozu, pan Antoni jeszcze wychylił głowę i zapytał:

— A z tym Karpińskim co się stało?

— Z jakim?—odparł gospodarz.

— Z tym, z tym w Saragossie.

— Aaa, z tym; umarł już dawno biedaczysko.

— No, to do widzenia panie kapitanie, polecam się jego pamięci.

— Do widzenia—powtórzył porucznik, a gdy powóz ruszył, powrócił do pokoju.

— No i jakże Zosiu?—zapytał wesoło żony zacierając ręce—nie tęgi, nie grzeczny, hę?

— Sknera jakiś i chciwy; boję się go.

— Masz tobie więc, już strachy mosanie — cóż on to *rorog* jaki, czy co?

— Powoli tylko, mój kochany, powoli; nie zapalaj się, a lepiój mu się przypatrz. Czy nie uważałeś jak się zajął skarbami, jak pochłaniał każde słowo twoje, jak się wypytywał.

— Ha, ha, ha moja imość, co ci się widzi znowu; gadałem porządnie, i słuchał z uwagą.

— Dobrze, dobrze, myśl sobie po swojemu, ja po swojemu.

— A z tobą o czém mówił, Julka? Prawda że tęga głowa mosanie; umie pomówić i o tém i owém; podróżował wiele, czytał wiele, zna świat jak na dłoni;—to mi praktykant dopiéro! Niech się schowają wszyscy tutejsi panicze, coto trzech zliczyć nie umieją, tylko o hulankach, o psach i polowaniu pełno wyrazów....

— Zanadto śmiały jak na piérwszy raz, proszę ojca.

— Wy, to tam zaraz znajdziecie skazę i na politurze. Cóżto acanna chciałabyś żeby ci rok stękał, nimby słowo przemówił, co? lub żeby dwie godziny gadał o expedycyach jak nasz sekretarz? Człowiek światowy, bywalec, to tak jak wojskowy: raz, dwa, trask; i rzecz skończona! A jaki grzeczny, widzisz, chciał ci fortepianu pożyczyć!

— Już to bez tego możemy się obejść swobodnie—dorzuciła żona—cudzych łask nie potrzebujemy, bo wywdzięczyć się nie potrafimy, zwłaszcza takiemu panu.

— I to prawda mosanie, ale szkoda nauki; bo choć to pan, Zosieńku, lecz bardzo uczciwy i grzeczny.

— Jak każdy pan.

— Nie jak każdy, przepraszam asanią dobrodziejkę; bo znałem ci ja tak dumnych, co i spojrzéć na człowieka nie chcieli, a ten sam przyjechał....

— Pewno nie bez interesu.

— Ale co znowu—mówił śmiejąc się porucznik—na cóż ja mu się przydać mogę?

— No, no, zobaczymy, tylko proszę cię ostrożnie z nimi, to nie zawadzi.

— Eh! co mi tam imość plociesz; cóż ja taki już ograniczony, żebym się dał złapać? Przyjechał to i ja pojadę, a tymczasem przyjmować go serdecznie; jeżeli chcecie, żebym wam nie furbeczkował.

Lecz porucznikowę bynajmniéj nie przestraszały podobne groźby. Ona wyuczona doświadczeniem, przywykła zastanawiać się nad każdém postępkiem ludzi i lubiła dociekać najskrytsze onego powody. Tak gwałtowna chęć zaznajomienia się Antoniego z ich domem, szczególniéj zwróciła jéj uwagę. On, pan jakiś, niby marszałkowicz, wykwintniś, który w Wersalu tańczył kontredansa z królową, miałby znajdować przyjemność w ich towarzystwie, tak prostém, a nawet niewykształconém, pomyślała sobie udawszy się na spoczynek, to niepodobna; w tém musi być cóś innego, co go tu sprowadza. Ma przecież i u nas świat wielki, czemuż się do niego nie uda? przyjęliby go z otwartemi rękami. Jego znajomość dla nas, nietylko nie sprawia nam żadnéj przyjemności, lecz owszem przyczynia kłopotów w przyjęciu, uczy pewnego przymusu, bez którego obejść się możemy. Zupełnie innych wyobrażeń, innego sposobu zapatrywania się na rzeczy: nudzi tylko swą obecnością, poniża pańskością, każe się

adorować nie wiem za co i po co? Muszę ja go tu odstraszyć tak powoli tylko, bo przeczuwam jakieś nieszczęście. Jędruś poczciwy wprawdzie, dobre człeczysko jak nikt może w świecie, i dlatego czasem głupstwa robi; widzę, że się przylepił do niego, bo się z nim nie spiera w dysputach religijnych, bo go całuje w oba policzki, i że mu Wolicki powiedział, iż jest człowiek porządny. Lecz to jeszcze nie dosyć: gdyż z całéj jego rozmowy, widzę tylko próżnię w sercu, próżnię w głowie, przytém łakomstwo, zarozumiałość i żądzę hołdów; religia jego, to bigoterya dla zamydlenia oczu! niepokoi mię ta znajomość i muszę powiedzieć Wolickiemu, aby go tu więcéj nie przywoził.

Co do panny Julii, ta ani pomyślała o marszałkowiczu; dla niéj był on zupełnie obojętną osobą, o któréj się nie myśli wcale. Mówiła z nim jak z każdym innym mężczyzną, ubiór nie zwracał jéj uwagi, wymuszoność nawet nie zrażała widocznie, bo nie umiała jeszcze stosować się do cudzych myśli. Każdy przedmiot rozmowy był dla niéj zajmującym; wynurzała swe zdanie bez żadnych krępowań, ot tak sobie prosto lub żartobliwie, stosownie do humoru. Marszałkowicz bawił ją swą pretensyonalnością, to téż odpłacała mu naiwną niewiadomością, z któréj nie prędko mógł się coś dowiedzieć; a jego uprzejma grzeczność i nadskakiwanie, zdawały się zbyt udanemi, aby jaką bądź wiarę do nich przywięzywać mogła.

Zostawmy więc na chwilę w podobnych usposobieniach familię porucznika, a podążmy za naszym marszałkowiczem, który przez całą drogę ciesząc się najlepszym humorem, dziękował Wolickiemu za tak przyjacielską usługę zaznajomienia go z domem porucznikostwa. W saméj rzeczy, myśl o skarbach hiszpańskich górowała tu przedewszystkiém. Dotąd zamysł żenienia się z porucznikowną, rozbijał się stanowczo o jéj ubóstwo i wstyd przed familią, którąby mu nigdy tego nie darowała, jak mógł się splamić wprowadzając do domu jakieś tam żołnierskie pachołę. Teraz wcale co innego: on bogaty, może jechać do Hiszpanii, odszukują skarby, i temi zatka usta wszystkim marszałkom i marszałkównom wołyńskim. Wprawdzie wybieg ten był za zbyt błahym, oddalonym i zanadto niepraktycznym, lecz wybornie posłużył do usprawiedliwienia przed samym sobą innych dążeń i zamysłów, rozbudzonych niepokonaną namiętnością. Teraz więc uczepił się całą siłą téj myśli, nie wchodząc w jéj prawdopodobieństwo; bo to już jest słabością każdego

wahającego się charakteru, że stara się wynaleźć jakibądź pozór tłumaczący niby jego zamiary, który przyjmuje za pewnik, i na nim buduje cały gmach przyszłości.

Jedyny powiernik jego sekretów stary lokaj, lis, jakich mało, nie mógł się wydziwić zmianie nastąpionéj w skutek ostatnich odwiedzin. Różowy humor pana Antoniego, niezwykła gadatliwość, i zaniedbanie wieczornych dyalogów, kazały się domyślać czegoś nadzwyczajnego. Mało się już zajmował gospodarstwém, coraz, to sprowadzał nowe drobnostki, mające upiększyć jego wiejskie mieszkanko; często wysyłał bileciki do porucznika, załączał książki, nowalie z ogrodu, kwiaty i t. p. drobnostki, któremi się pospolicie zjednywa względy ludzkie. Wolicki stał się teraz najulubieńszym gościem w jego domu, porucznik najbardziéj pożądanym. Państwu Lińskim oddał ceremonialną wizytę i nie szczędząc pochwał coreczkom, zjednywał sobie coraz większą ich życzliwość, a saméj pani dał wiele do myślenia. Taki zięć jak pan Antoni, w jéj mniemaniu, przedstawiał wszystkie warunki, odpowiadające górnym wyobrażeniom pani Ludwikowéj. Ona już sobie ułożyła cały plan postępowania, i stosownie do tego kierowała mężem, córkami, a nawet i okolicznościami, mogącemi urzeczywistnić powzięte zamiary.

Dlatego téż przenieśmy się znowu do ich mieszkania i przypatrzmy się nieco trybowi ich zwyczajnego życia.

III.

Godzina czwarta po południu: pan Ludwik zmęczony całodziennem próżnowaniem, odpoczywa sobie leżąc na sofce w jasnym kropkowanym szlafroku, a przy nim siedzi starsza córka Helenka czytając głośno gazetę. Pani Ludwikowa w drugim pokoju z uśmiechniętą twarzą, w ogromnym fotelu, czerwonym safianem wybitym, robi pończochę dość prędko i milczy; bo to już takie ma przyzwyczajenie, że przy robocie nigdy nic nie mówi, a że robi zawsze, więc trzebaby nadzwyczajnego wypadku, lub dystyngwowanego gościa, któryby poruszył ją z krzesła, lub zmusił do rozwiązania śmiejących się usteczek. Obok niéj młodsza córka, z podobném że usposobieniem, również zajęta jest jakąś robotką. Godziny tak prze-

siedzą nie przemówiwszy słowa do siebie, jakby ich życie umysłowe tak dalece wpoiło się, a raczéj przekształciło w ruchy mechaniczne, iż prócz gry na fortepianie, i robotek kobiécych nie znają innych zajęć, nie mają innych potrzeb. Jeżeli czytają, to każde dla siebie i to córki; bo mama nadzwyczaj drażliwych nerwów, nie może znieść głośnego czytania. Ona myśli tylko, ale co myśli i jak myśli, trudno odgadnąć. Patrząc na ich ubiór, tyle różny od wykwintnych sukienek balowych, dopiéro można pojąć nadzwyczajną oszczędność, podejmowaną dla chwilowego również nadzwyczajnego błyszczenia. Wszystko to stare, wytarte, ordynaryjne, ciasne; meble i zwierciadła ponakrywane, wszelkie kosztowniejsze sprzęty, jakby czarodziejską siłą gdzieś przepadły, a miejsce ich zajęły zwyczajne połamane, nadtłuczone, lub zniszczone użyciem. Wszedłszy tam, ogarniało cię przykre uczucie opuszczenia, jakby nikt tu nie mieszkał, a tylko istniała monumentalna pamiątka, szanowana ręką troskliwych dozorców.

Panna Helena dość płynnie czyta onegdajszą gazetę, bo tatka zwykle zajęty, odkłada lekturę na późniéj; a że chce wszystko znać i wiedzieć, nie daruje żadnego numeru, i spodziewa się kiedyś go dokończyć. Nieprzezwyciężony ma pociąg do robienia tego wszystkiego, co go nie obowiązuje. Całe życie jego jest tylko ciągłą przekorą, nieustanną walką z powinnościami, których ile możności unika. W biórze przychodzi interes jakiś pilny, który trzeba natychmiast odrobić, on podwaja w swoim umyśle jego ogrom, zraża się nim, zniechęca i odkłada na bok. Ktoś ma nadzwyczajną prośbę do niego, on wysłucha i zamiast decyzyi, opowiada najrozwlekléj swoje zdarzenia, żadnego związku z tém nie mające; częstuje tabaką, prosi siedzieć, gdy interesant jak na szpilkach przebiera nogami z niecierpliwości, a nie może się wydobyć z tak drażliwego położenia. Tu żona chora, a pan Ludwik śpiéwa z amatorami próbę mszy wykonać się mającéj w kościele. Nut wcale nie zna, ryczy prawie a nie śpiéwa, wszelako drze się tam koniecznie, gdzie właśnie szczęśliwiby byli bez niego. Przytém jeszcze pretensyą ma do dowcipu; stare kalendarzowe dykteryjki, lub żywcem brane z Momusa, odgrzewa, przyprawia za swoje, i nudzi niemi całe godziny ofiary, które potrzeba lub wypadek napędzą w jego serdeczne sieci. Proszę go zobaczyć w towarzystwie męzkiém w handlu naprzykład, gdzie jest zwykle

uczestnikiem ale tylko do jedzenia i picia, a nie do płacenia, jak on to stara się bawić swych kolegów, jakto głaska chłopców usługujących, jak opowiada zdarzenia swoje z osobami, których zna tylko nazwiska; nawet wiersze wiwatowe układa tak coś: łyku, łyku, panie Ludwiku! i t. p. Wszystko wie, wszystkich zna, wszystko umie: o muzyce, śpiewie, literaturze, gospodarstwie i Bóg wie nie o czém rozprawia do upadłego; samochwał jakich mało, zawsze nibyto skromnie wtrąci słówko, które podnosi jego wartość w oczach nieznajomych. Kobietom nadskakuje do zmordowania, starszych nie wie gdzie posadzić, równych adoruje, a z niższemi za panie brat.....

I teraz co zacznie mu córka czytać, usypia; ta słysząc chrapanie ojca, przestaje i chce odejść, lecz on niekołysany dźwiękiem budzi się zaraz i prosi:

— Moje życie! czytajno jeszcze!

Ta zaczyna w dalszym ciągu, ale ojciec natychmiast przerywa mówiąc:

— Nie słyszałem poprzedniego, moja dziecino, zacznijże z początku.

Więc posłuszna córka czyta znowu początek gazety, on słucha, każe sobie powtarzać, i w minutę, usypia. Ta chce odejść; on się budzi, i podobna lektura trwa ze dwie godziny poczém ktoś przyjdzie, lub nadejdzie czas wyjścia z domu, a oni przeczytali 15 wierszy z początku.

— Schowajże moja Helenko ten numer— mówi do niéj— bardzo jest zajmujący, późniéj skończymy.

Tymczasem redakcye jak na złość co dzień przysyłają nowy numer, stos ich się powiększa, pan Ludwik marszczy się że tyle ma do czytania, i postanawia już na seryo wziąć się do nich, lecz na nieszczęście usypia znowu, i tym sposobem w ciągłéj walce z zaległościami upływają dnie, miesiące i lata.

Żona znając dobrze jego charakter, gdy chce skłonić go do jakiego zamiaru swego, a mianowicie dostać pieniędzy, musi długo czekać, nim pan Ludwik się zdecyduje. Zawsze odwleka, zawsze jeszcze się nie namyślił, zawsze zajęty, dość, że zamiar się rozchwieje. Często używa jakiego podstępu, a mianowicie choroby. Wówczas pan Ludwik obliczając koszta doktora, apteki i inne, i wiedząc, iż one niezawodnie przeniosą ilość

żądanéj kwoty, decyduje się prędzéj i przychyla się do jéj prośby. Często znowu, przedstawiając mu dalekie a znaczne korzyści, zdoła wreszcie tak go ukołysać, iż zezwoli na wydatek, który ma się rozumieć potraja się potém.

Otóż po kilku wizytach pana marszałkowicza, gdy pani Ludwikowa ułożyła sobie ożenić go z jedną z swych córek, starała się ile możności poznać usposobienie, humor i żądania nowego konkurenta. W tém celu, niby polegając na jego znajomości świata, radziła go się o dalsze ukształcenie córek, potakiwała jego zdaniu, a tém samém wyrozumiała jego żądania względem przyszłéj swéj małżonki. Po takich egzamenach, zadekretowała stanowczo, iż dla dokończenia edukacyi córek, wypadało koniecznie udać się do Warszawy, bo pan marszałkowicz szukał żony z wielkiego świata, modnie wychowanéj, a w takim partykularzu jak powiatowe miasteczko, w żaden sposób takich przymiotów nabyć nie można.

Projekt był gotów, wszystko w nim przewidziane i obliczone, chodziło tylko o wprowadzenie go w czyn. Udana choroba jakoś w oczach szanownego małżonka zbyt spowszedniała i trzeba było uderzyć w inną strunę. W tym celu obserwując kilkodniowe usposobienie humoru pana Ludwika i przemyśliwając nad sposobem wybrnięcia z téj trudności, tego samego dnia o którym wspomnieliśmy, pani Ludwikowa uczuła jakieś uderzenia nerwowe i położyła się w łóżko. Mąż jéj przeczuwał wymierzony cios na jego kieszeń, lecz ogromu jego ani się spodziewał. Wszelako chodził na palcach, przestrzegał dzieci i sługi, aby jak najciszéj się sprawiali, bo przez to spodziewał się wzbudzić jéj dyskrecyę. Lecz wszystko to na nic się nie zdało. W pół godziny może, budzi się chora, siada na łóżku i zaczyna najrzewniéj płakać, akompaniując sobie głośném łkaniem.

— Co ci jest moja Teosiu?—woła zatrwożony małżonek, klękając przy łóżku.

— Co to jest mamie!—pytają już skłonne do płaczu panienki.

— Co się stało!—krzyczy nadbiegając służba i w mgnieniu oka zapełniają pokój sypialny, otaczają płaczącą, z któréj prócz głośnych i przenikających łkań, nic wydobyć nie można. Nareszcie po długich korowodach, błaganiach, całusach, dowiadują się przecie, iż pani domu miała okropny sen i ten jest przyczyną

jéj rozrzewnienia. Pan Ludwik odetchnął, służące wróciły do kuchni, a córeczki zaczęły prosić o opowiedzenie szczegółów tego okropnego wypadku.

— Zaledwie usnęłam—mówi wzruszona pani Ludwikowa—aż tu staje przedemną nieboszczka matka w téj czarnéj sukni, w któréj jest pochowana; och!... i tu znowu płacz przerwał jéj mowę.

— Cóż daléj moja Teosiu droga, uspokój się kochanie, sen mara, Bóg wiara! i ja onegdajszéj nocy tak się przestraszyłem, bo zapomniałem wam powiedzieć, miałem także okropne widzenie. Zdawało mi się, że jestem w szkołach....

— Poczekajże Ludwiku niech skończę—przerwała pani, widząc że się to zanosi na długą gawędę.—Zdrętwiałam spojrzawszy na jéj twarz ponurą i zdaje mi się, że dotąd czuję to srogie, pełne wyrzutu spojrzenie, gdy się odezwała: „źle moja Teosiu! zapomniałaś o Bogu, zapomniałaś o Jego Najświętszéj Matce Częstochowskiéj! popraw się! krzyknęła rozkazująco: oddaj Jéj cześć przynależną, ofiaruj się jechać do ulubionego Jéj grodu, bo całe twe życie, będzie jedną nieuleczoną chorobą!!"

— I nic więcéj?—zapytała po kilku minutach przerażenia Helenka!

— Nic, bo zniknęła zaraz, a jam się rozżaliła okropnie i przebudziła natychmiast.

— Eh! to przywidzenie Teosiu, pewnoś sobie nabiła głowę Częstochową, to ci się przyśniło.

— Ależ nie mój Ludwiku, ani mi przez myśl to nie przeszło.

— No to uspokój się: sen mara, sen mara; ja to co innego: byłem niby to w szkole w Bydgoszczy, w W. księztwie Poznań....

— Ach! ten wzrok, ten wzrok!—zawołała zanosząc się od płaczu—Boże mój Boże, matko kochana, przyrzekam, że zaraz pojadę do Częstochowy tylko sił mi przybędzie! — i spojrzała czule na męża.

— A i cóż moja Teosiu, jedź, jedź, kiedy to ma cię uleczyć....

— To i my pojedziemy! — wyrzekły prawie jednocześnie dziewczęta.....

— I wy, i wy, moje dzieciny — powtórzył zamyślony pan Ludwik oddalając się z pokoju. Jutro, lub jak czas sobie wynajdę, pomyślimy nad tém; a teraz moje życie nie płacz już

więcéj, bo twój płacz rozdziera mi serce. Ucałował więc żonę, pożegnał ją pocieszným żarcikiem i wyszedł do miasta.

— To połowa!— szepnęła sobie pani Ludwikowa, patrząc za odchodzącym—już pójdzie chwała Bogu! Helenka będzie marszałkową.

Łatwo sobie wyobrazić, że tą razą nie pozwolono panu Ludwikowi namyślać się długo. Pomimo jego oporu, pomimo zajęć, słabości nawet zębów, głowy i żołądka, ubito rzecz za świeżéj pamięci; ułożono rachunek wydatków, czas pobytu, i na drugi dzień posłańcy rozbiegli się na wszystkie strony po wsiach: ten do porucznika o konie, drugi do innego o powóz, trzeci o walizy, czwarty po owies, piąty po kurczęta i t. p.; słowem nie zapomniano nikogo, prócz pana Antoniego, którego sama pani na grubszy interes zachowała.

Dotąd była mowa tylko o Częstochowie, lecz dłuższe przygotowania, pakunki większe, mogłyby kazać myśléć inaczéj. Oszczędna gospodyni nic nie zaniedbała, coby umniejszyć mogło koszta, zabrała i samowar bez szklanek, pieczenie i rądle nawet; pan Ludwik tego nie widział wcale, więc można sobie wystawić jego zadziwienie i rozpacz, gdy w wigilią odjazdu przyszło do wyliczenia pieniędzy, żona zaprojektowała jeszcze małą wycieczkę do Warszawy.

— Widzisz mój Ludwiku, trzeba pamiętać o dzieciach: jak dziczki jakie siedzą tu na prowincyi, a myślę że dobrze im życzysz, i nie chciałbyś aby jaki kancelista z niemi się ożenił.

— Ależ na miłość Boską, droga żoneczko, cóż tak gwałtownego? przecież Helenka dopiero ma lat 18?

— Czém wcześniéj tém lepiéj, mój drogi! Pamiętasz nieboszczkę Józię? z tęsknoty biedaczka dostała suchot; ach mój Boże, mój Boże, ileż ja mąk przebyła patrząc na ten więdnący kwiatek?! o moja Józia, moja Józia kochana!—I rozpłakała się tak serdecznie, tak rozczulająco, że sam pan Ludwik dobył chustki z bocznéj kieszeni, tarł oczy szczątkami tabaki, a łzy jak perły sypały się na lica.

— To już i jedźcie moje drogie, tylko przez litość oszczędnie się zachowujcie; ja już dokładam 500 złotych.

— Chyba żartujesz mój Ludwiku?

— Czy za wiele moje życie? no, to resztę obróć na przyjemnostki, skoro się na taką summę zdecydowałem....

— Ależ mało, mało!

— Co znowu—odrzekł niechętnie pan Ludwik—ja kiedym chodził na uniwersytet w roku 1826, choćto była drożyzna jakiéj nie pamiętam, za 400 złotych żyłem wygodnie rok cały w Warszawie..... A muszę ci też opowiedzieć, jakto ja stałem u jednéj staruszki poczciwéj jak Cyncynat; biedactwo schorowane....

— Już wiem, słyszałam, mój Ludwiku, dokończysz potem, a teraz dodaj na miłość Boską, bo i panienki się wydarły, trzebaby co sprawić.....

— Tu u żydów tańsze, a lepsze.

— Dość tego, dość; otóż kiedyś tyle nie domyślny, powiem ci otwarcie: że mam w tém pewien interes, który nas wszystkie zadowolni.

— Naprzykład, co takiego?

— Uważałeś pana Kozłowicza?

— Uważałem; sknera, nic z niego nie dobędziesz!

— Mówię ci, że wszystko.

— Jakim sposobem?

— Znasz Helenkę? przemówiła uśmiechając się znacząco żona.

— Którą, naszę?

— Tak jest, a podobała mu się.

— Acha jużem w domu! tylko to za wielkie ryzyko.

— Jam obliczyła i musi pójść dobrze; widzisz, on ceremoniant, na powierzchowność uważa, trzeba więc ogładzić trochę dziéwczęta, kazać je nauczyć śpiéwu, muzyki, trzeba żeby poznały świat większy, a bez Warszawy....

— Więc ty moje życie chcesz jechać na dokończenie edukacyi córek?

— Ma się rozumieć mój Ludwiku.

— A to musiałabyś siedzieć tam z pół roku; z kądże ja wezmę pieniędzy?

— Co znowu, pół roku, to za wiele; dwa miesiące aż nadto, zobaczysz ja poprowadzę ich jak najlepiéj; dwa tysiące na wszystko wystarczy.... Mam tam dawne znajomości, panią hrabinę K. panią L. państwa R. a przytém uprosiłam porucznika naszego o list polecający do jakiegoś jego znajomego emeryta, który może nas i przyjmie na mieszkanie, a przynajmniéj będzie bardzo pomocnym. I cóż ty na to Ludwiku?

— Eh, ja tak od razu nie mogę tego pojąć, jak się namyślę...

— Kiedy jutro konie przychodzą.

— To się je zatrzyma moje życie; zabiłaś mi takiego klina do głowy, że doprawdy ani wiem jak tu sobie poradzić. Uważasz kochanie, czybyto nie lepiéj było odłożyć to na karnawał....

— Ja w karnawał myślę ukończyć wszystko, a ty mi radzisz odkładać! Alboto nie wiész, jak u nas trudno o dobrą partyę: zabierą marszałkowicza, a Helenka pójdzie za jakiego dependenta.... śliczna przyszłość!

— Zawsze odłóżmy to do jutra: moja, żoneczko droga.

— Dobrze, tylko pamiętaj, że jak się rozchoruję ze zmartwienia, ty będziesz temu winien.

I rozeszli się do siebie, pani pakować a pan liczyć. Córeczki klaskały w ręce myśląc o Warszawie, każdemu nowowchodzącemu wyśpiéwały tę ważną nowinę, że jadą do Warszawy na dokończenie edukacyi. Przygotowania się podwoiły, całą garderobę, wszystką bieliznę i różne przeróżne drobnostki pakowano przez noc całą, a wszystko to na rachunek biednych koniąt porucznika, ktory nie mogąc się wymówić od sąsiedzkiéj i przyjacielskiéj usługi, choć zawołany amator koni, choć sam bardzo rzadko niemi jeździł, wszelako zrobił tę ofiarę, i na dzień oznaczony przysłał żądaną furmankę.

Nareszcie po wielu korowodach, płaczach przy pożegnaniu i upominaniu oszczędności, wyjechała pani Ludwikowa najprzód do Częstochowy, a ztamtąd już koleją żelazną miała się dostać do kresu najgorętszych życzeń i najpiękniejszych nadziei, tojest do Warszawy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

BABUNIA.

GAWĘDA.

Gadu, gadu, każdy swoje,
I gawęda gładko rośnie,
Ba! i cóż ztąd, że te zdroje
Wylanego słowem deszczu,
Brzmią mi w uszach tak rozgłośnie,
Słyszę w słodkim serca dreszczu,
Gdy to, co się w mózgu kręci,
Płynie w myślach, szumi w głowie;
Mam w mém sercu, mam w pamięci,
A mój język niewypowié!
Oj, pamięci! ty jak trunek,
Którym sobie człek podchmieli,
Przędziesz z przeszłéj nić kądzieli,
Stawiasz w oczy wizerunek
Tych, z którymi grób nas dzieli.
A gdy w tamten czas i stronę,
Myśli rzucą się tułacze;
I z ram wyjdą ożywione
Dawnych ojców stare twarze,
Te czupryny podgolone,
To niechaj mnie Pan Bóg skarze,
Człek raz rzewny, raz ochoczy,
Ledwie z skóry niewyskoczy.

Któż wartując własną kartę,
W swojém gnieździe nie napotka,
Jakichś przodków, lub choć przodka,
Którego mu pamięć słodka,
A wspomnienie czegoś warte?

Wiek był inny, ludzie szczersi,
Któż więc o nich w głębi piersi,
Rad nie ryje pamiętniki?
Chyba jaki pogan dziki!

Zapamiętam jeszcze z dziecka
Moją babkę; o! była to
Postać czysto-staroświecka,
Dziś o takich ani słychu.
Chociaż sama, rodu trafem,
Była z hrabiów zacnych domem,
I nie z takich, co wnuk grafem,
A dziad wprzód gdzieś ekonomem;
Jak ród własny, męża imie,
Miała w sercu i estymie.
Toż z powagą godną cześci,
Kto ją tylko znał, ten powie
Przez niemało lat trzydzieści,
Przenosiła czepiec wdowi.
Boć to umysł był niewieści,
Tęgiéj jak stal woli, hartu,
Z nią nie było, panie, żartu;
A bez szumu i bez huków,
Tak umiała w twardéj dłoni,
Trzymać męża, potém dzieci,
A potém nas swoich wnuków;
Że drżę dzisiaj myśląc o niéj,
Ale niech jéj Bóg tam świeci!
Ba, że truchlał pod jéj rządem
Dom, rodzina, niedość na tém,
Trzęsła jeszcze całym sądem,
Sejmikami i powiatem.
Okoliczna szlachta wszystka,
Gięła przed nią gęstą minę,
Chłop, ksiądz, magnat, czy jurzystka,
Znali panią chorążynę!
Pan chorąży choć otwarcie
Dźwigał jarzmo jejmościne;
W jedném wszakże stał uparcie,
I zmógł taki chorążynę:
Bo i wola magnifiki
Nie pomogła tam nic a nic:
Oto lubił hulatyki,
I tak lubił je bez granic,
Że, gdy przyszły czy sejmiki,
Zjazdy, w domu imieniny,
Ba, czy nawet bez przyczyny,
Tygodniami się hulało,

Nieraz beczki szły z węgrzynem:
To też, Boże odpuść, z winem
Pół fortuny się wylało!

Była trójca w okolicy,
W któréj domu jak z krynicy
Lały się wciąż winne strugi.
Tam bywało kielich krąży
Od waszeci do waszeci:
Jednym z tych był pan chorąży,
Wojewoda Wilga drugi,
A kasztelan Młocki trzeci.
Do każdego z tych trzech dworów
Po kolei zajeżdżano;
A hulanoż tam, hulano!
Zdrowie panów senatorów,
Zdrowie rzeczypospolitéj,
Zdrowie szlachty, i w sufity
Szły za każdym „wiwat!" czapki.
I dopóty bratnia rzesza
W dom drugiego nie pospiesza,
Póki z beczek, kuf, gąsiorów
Nie wycedzi aż do kapki.

Ha, wiek każdy ma swe piętno;
Dawniéj trzeba było w winie
Kąpać afekt swój koniecznie:
Źle to było, choć serdecznie,
Boć nie w winie, ale w czynie,
Takich uczuć bije tętno.
Dziś nie słychać aby chętnie
Brzmiał wiwatem kielich w ucho:
To też dziś, i w gardle sucho
I na sercu obojętnie!

Gdy bywało, w jakie święta,
W dzień imienin, lub w fest inny
Zjedziem w babki dom gościnny:
O! pamiętam, bo pamięta
Całe życie wiek dziecinny;
Jejmość w krześle siedzi dużem
A sza wkoło, jak w świątyni,
Na paluszkach staréj służym.
O! bo wielki strach był przy niéj!
Wszak nie każdy nawet z gości
Śmiało usiadł przy jejmości.
Do obiadu suną pary,
A co potraw przy obiedzie!

Łysy Daniel, Godfryd stary,
Nim półmiskiem stół obwiedzie,
Cierpliwości uczy świętéj;
A tak zwany koniec szary,
Ledwie liznął tylko szczęty.
Lecz umiano mu w przygodzie
Wynagrodzić z lichwą w zysku;
Bo gdy korpus posiłkowy,
Kluski z serem, lub schab w miodzie
Brak zastąpił na półmisku:
Nie bolały z czczości głowy,
Ni wstał z miejsca kto o głodzie.

A na owym szarym końcu,
Lśnią mi dotąd w oczach świeże
Dwie postaci, jak przy słońcu
Dwa na wieżach złote krzyże:
Jedną z tych był sługa boski,
W stan duchowny całkiem przelan,
Ex-unita, ksiądz Paszkowski,
A miejscowy dziś kapelan.
Stary jak świat, to też w świecie
Niepoślednie miał zasługi;
Z nosem dużym, i sam długi
Jak i długie w alfabecie.
A do pary z kapelanem,
Druga postać przyjacielska
Obok niego, panna stanem,
A nazwiskiem Pogorzelska.
Takiemi się do posługi
Dawne tylko czasy szczycą:
To też takiéj dzisiaj drugiéj
Już nie znajdziesz i ze świécą.
Jak w tym dworze była dawno
Illulatka? Dość powiedzieć.
Że jejmości rówiennicą,
Najprzód panną jéj wyprawną,
Potém, a potrzeba wiedzieć,
Że z waszecia była rodem,
Z łask do łaski idąc nowéj,
Doszła jakoś mimochodem
Aż do panny respektowéj.
W dom, jak drzewo stare wrosła,
A co tylko z tego domu,
Czy błysk szczęścia, czy cios gromu,
To w grunt życia swego wniosła.
O! dziecinne nasze głowy
Wyciągały się wciąż do niéj,

Bo w szafarskiéj był jéj dłoni
Od apteczki klucz domowéj.

Przy niedzieli, po obiedzie,
Gdy się cały dwór rozprasza,
A i sąsiad nie zajedzie,
Jedna stara drugą wiedzie,
Zasiąść z sobą do maryasza.
I posłuchać było warto,
Jak za każdą dobrą kartą,
Żart i dowcip po dowcipie
Z ust rozumnych jejmość sypie;
Jaka rada, gdy co chwila
Skupić uda się panfila,
I schylonéj do kart smutnie,
Pogorzelsi dubla utnie.

Niech w czas letni, po dnia skwarze,
Chmura w oknie się pokaże,
A choć jeszcze nie nad dachem,
Kary bożéj grozi strachem;
Jak kolumna przyjacielska
Idąc w odsiecz krwawéj bitwie,
Ciągnie panna Pogorzelska
I obiedwie już w modlitwie
Zbiegły wiarą się jednaką.
Jejmość żegna karawaką
Zawieszoną ponad lasem
Czarną chmurę; a tymczasem
Druga korne chyli czoło,
I z gromnicą w jednéj dłoni,
Dom obchodząc naokoło,
Loretańskim dzwonkiem dzwoni.
I zaprawdę, duch pokory
Nieraz od klęsk dach uchroni,
Chmura pójdzie gdzieś na bory,
Gdy ją babek dłoń przeżegna.
Wiara przeszłych znać nieuków,
Prędzéj od strzech grom odegna,
Jak dzisiejsze konduktory,
Jak dzisiejszy rozum wnuków!

O wieczornéj często dobie,
Babka nas do siebie bierze,
Każe klęknąć, i przy sobie
U nóg, mówić w głos pacierze.
Po pacierzu szła nauka,
Po nauce, w dobréj wierze,

Klęczącego jeszcze wnuka:
— A kto—pyta—waści rodzi?
A kto ojca? a kto dziada?—
I pytaniem tém obchodzi
Od sąsiada do sąsiada.
I klęczący nie powstanie,
Póki z swego pochodzenia
Nie odpowié na pytanie
Do czwartego pokolenia.
Tak u dawnych, pamięć rodu,
Imię przodków i krwi związek,
Przechodziły już za młodu
W religijny obowiązek.
Toć jeżeli nie z ochoty,
Nie dla siebie, z dobrych środków,
To przez pamięć swoich przodków
Nie schodzili z toru cnoty.
O! niegodzi się nam sądzić,
Co w przechodnich czasów cieku,
Dobrem wzmocni, złem zaślepi:
Wsądzie błędów łatwo zbłądzić:
Człowiek tchnie tchem swego wieku
A Bóg tylko wié co lepiej!

Warszawa,
d. 17 sierpnia 1854 r.

Henryk Cieszkowski.

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Kilka słów o obrazach na wystawie powszechnéj.— Bitwa pod Chocimem: obraz pana Rodakowskiego.— Méry: Proba małżeństwa, komedya przez tegoż. — Wesele weneckie, dramat w pięciu aktach.—Wiadomości literackie.— Posąg dziewicy Orleańskiéj.

Zamiast opisywać przygotowania do wystawy powszechnéj, powiemy anticipando słów kilka o obrazach na wystawę przyjętych.

Müller dał ogromne płótno, epopeję staréj gwardyi, scenę z roku 1814. Owi żelazni ludzie, którzy przebiegli całą Europę krokiem szturmowym, wracają do Paryża. Nie odróżnisz tu oficera od żołnierza. Trudy ciężkiéj rossyjskiéj kampanii; bitwy, które trzeba było staczać żeby się przebić przez nieprzyjacielskie wojska, poszarpały na szmaty świetne dawniéj mundury; ale losy przeciwne nie zamąciły spokoju na tych męzkich twarzach: zgadujesz z jakim jeszcze ogniem te stare wiarusy pójdą umrzéć pod Waterloo. Artysta zręcznie ugrupował figury: trudność była nielada postawić ich dwieście na jednym planie i uniknąć monotonii. Znawcy wyżéj cenią ten obraz niż poprzednie dzieło tegoż artysty, głośno podziwiane przed trzema laty: Apel ofiar terroryzmu, które jest ozdobą luxemburgskiego muzeum.

Klesinger, zięć pani Sand, na swojéj wyspie des Cygnes niedaleko pola Marsowego, pracuje jeszcze nad statuą kolosalną Franciszka Igo, która po wystawie ma stanąć na dziedzińcu w Luwrze. Franciszek I siedzi na koniu, na głowie ma nie hełm bojowy, ale czapkę królewską; jedną ręką trzyma cugle, drugą czyni gest

wyrazisty. Artysta chciał przedstawić nie Franciszka Igo z pod Marignan, ani tego co połamał dwa miecze w bitwie pod Pawią, ale Franciszka Igo protektora sztuk pięknych, przyjaciela Benvenuta Cellini i wszystkich artystów, jakich wydała świetna epoka odrodzenia. W Luwrze posąg taki będzie bardzo na swojém miejscu. Koń jest przepyszny. Rzęd ze złota i dyamentów przystoi królowi-artyście, rycerskiemu monarsze, który się pokazuje ludowi swemu w jasny dzień świąteczny.

Pan Klesinger dwa lata pracował, zanim ulepił tę olbrzymią formę. Model jest z gipsu: marmuru tak wielkiego nie znaléźć ani w Paros, ani w Carara, więc z bronzu będzie statua. Artysta włożył w nią cały swój zapał, wytrwałość i talent, nawet część życia i zdrowia. Klesinger stracił wzrok prawie nad tą pracą. Odprysk z kamienia zranił go w lewe oko; dziś oko to już zgasło. Sztuka jest także placem boju: i ona ma swoje niebezpieczeństwa i swoje tryumfy.

Eugeniusz Delacroix wystawił trzy obrazy. Filip Rousseau cztery wielkie pejzaże. Diaz, Corot, Meissounier, Français, Gleyre, Barye, Barre, Cavelier, Jérôme, cała falanga malarzy i rzeźbiarzy wystąpiła nadzwyczaj świetnie.

Hamon, autor owego ślicznego obrazu Niemej siostry, który w swoim czasie uzyskał tyle pochwał, dał na wystawę trzy płótna; Ricad siedm portretów. Chwalą bardzo gruppę Caveliera, wyobrażającą Kornelią wśród dwóch synów swoich Grachów; niemniéj kolosalną twarz Cristopha: „Boleść".

Conture wyłącznie zajęty wykończeniem swoich robót w kościele świętego Eustachego, nic nie dał na wystawę; ale że kaplica, którą maluje będzie skończona na piérwszego maja: publiczność przeto obaczy jednocześnie trzy wielkie freski w kaplicy Panny Maryi, freski rzadkiéj mocy i wdzięku.

Pan Rodakowski Galicyanin, uczeń Conieta, znany artysta, którego utwory nieraz już w kraju i za granicą podziwiano, wymalował obraz przedstawiający bitwę chocimską. Długość tego olbrzymiego obrazu wynosi 16 stóp, szerokość 10.

Plan boju skalisty stok góry; na szczycie, daleko, szarzeje ledwie widzialny Chocim. Ztąd w prawo ucię-

ta skała, stromo kilku szczeblami spada do Dniestru; rzeka w dole jasna, czysta, małym tylko skrętem wychyla się z za ramy.

Niebo szaremi chmurami zasute; słońce tu i owdzie przeziera blado.

Na pochyłości skały od lewéj ku prawéj ręce, długim, szerokim, różnobarwnym szlakiem las proporców: pancerni, dragonia i rajtary, jak wicher lecą pod górę. Szumią skrzydła husarzy, pohaniec spłoszony; wszystko co chciało stanąć wpoprzek, zmieciono, strącone w przepaść wiesza się tylko, ratuje po ciemnych skały żebrach: konie, wielbłądy, namioty, kobiéty haremów, wszystko tu w nieopisanym nieładzie.

Na wyżynie tylko bisurman dotrzymuje placu; gęste padają tam strzały i dym w słońcu błękitny, długim tumanem płynie po tle szarém obłoków. Na samym zrębie skały miga czerwona chorągiew, i jeden z towarzyszów, pohańca kopią zwala w otchłań.

Gdzież Sobieski?—Tam wpół drogi na lewo, twarzy jego nie dojrzysz: po postawie tylko i po blasku słonecznym jaki nań bije, poznasz bohatera. Koń pod nim biały, szkarłatem okryty. Bokiem, mimo wodza pędzi rycerstwo; on z miejsca swego okiem ogarnia wszystek plac boju.

Oto ogólna myśl obrazu.

Popatrzmy teraz bliżéj. Na piérwszym planie na lewo kilku pohańców w rozsypce odcina się jeszcze na wale; tu szlachcic w koszuli drucianéj i drucianéj czapce, krzywą szablicą zamachnął się na bisurmana; koń jego po przykrym, ślizkim głazie rwie się pod górę; daléj towarzysz lewą ręką sparł się na koniu, a prawą wnet straszny cios zada żelaznym buzdyganem. Obok trębacz w zielonym kubraku i w niebieskiéj, okrągłéj z futrem czapce, z całych płuc trąbi na gwałt, opóźnione w biegu roty zwołując. Jednato z najwydatniejszych figur na obrazie.

Za trębaczem, czerwonym znakiem wieje chorąży.

Obok tarzają się w prochu powalone Turków ciała... połamane leżą buńczuki.

Ztąd trochę na prawo, na drugim już planie, zacięta jeszcze trwa walka; jeden z rycerstwa pieszo, z odkrytą

głową, lewą ręką ściska wydartą Turczynowi zieloną w półksiężyce chorągiew, prawą, zdajesz się widzieć jak płatnie na odlew, i choćbyś nie poznał po kontuszu, nie poznał po głowie podgolonéj, poznasz po zamachu! Niewiernych garstka tu wszakże mała: jedni gryzą już ziemię, inni wiszą nad przepaścią i Dniestrem, inni przodem uciekli.

Odwróćmy jeszcze oczy na prawo, gdzie na piérwszym planie jeńcy tureccy, biedny może jaki chłop z Podola i kobieta z dzieckiem na ręku, boso, w koszulach tylko z powrozem na szyi, modlące ręce wyciągają ku swoim... Widzą ich, choć zdaleka, z za skały jak tam lecą skrzydlaci... i tętent ich koni słyszą.

Uderza w obrazie pejzaż wspaniały, prawda historyczna, i talent z jakim artysta odtworzył te dawne typy i stroje. A pięknežto stroje, piękne! Co tu ruchu, zgiełku i wrzawy! Jak pan Rodakowski maluje konie, to już osądzili znawcy.

Ztémwszystkiém obrazu pana Rodakowskiego na wystawę nie przyjęto; zarzucono mu, że niedość wykończony. My jednak pochwał naszych nie cofamy, choćby nam przyszło uchodzić za nieuków.

Są jednak trzy dawne obrazy pana Rodakowskiego na wystawie, między któremi portret matki jego, i portret pana Villot dyrektora muzeum obrazów w Luwrze.

Jeden z najdowcipniejszych pisarzy francuzkich, ulubieniec Paryżanów, Méry, napisał jedno-aktową komedyą „l'Essai du Mariage", która od początku do końca jest nieustannym fajerwerkiem przedziwnego dowcipu.

Czytając Mérego mimowolnie nasuwa się pytanie: czemu rozliczne pisma jego tak małéj używają wzięto-ści za granicą, kiedy inne, nieskończenie niższe utwory, a nawet śmieci literatury francuzkiéj, znajdują w reszcie Europy licznych lubowników, a nawet tłumaczy. Przyczyna tego w tém chyba leży, że Méry jest Francuz par excellence, jest pisarz tak narodowy, że aby go zrozumiéć i ocenić, niedość umieć po francuzku jak dziś wszyscy prawie umieją, tojest znać słownikowe wyrazów znaczenie. Ażeby zrozumiéć subtelność, lotność

i przedziwne zwroty tego pióra, co się nieustannie ludzkim słabostkom przekomarza, wyśmiewa wady, igrając z nimi jak wietrzyk z łąką, co jéj wnętrze odkrywa do głębi, a przecież tak delikatnie, że powalony gniewać się nawet nie może; ażeby, mówię, zasmakować w takim sposobie pisania, potrzeba się wtajemniczyć w ducha języka, w ducha narodu, żyć z Francuzami, ich charaktery studyować na miejscu.

Najwięcéj w pismach Mérego uderza to, że łączy humor z uczuciem, że ma zasady i świętości, których śmiechem nigdy nie dotknął, chociaż tak się śmiać lubi. Nie jest on jak Safir lub Heine dowcipnisiem bez czci i wiary, który wolałby raczéj zabić przyjaciela, niż połknąć złośliwy a zręcznie wymyślony kalambur. Moralny bez morałów, w pismach i w życiu, Méry ciągnie ku sobie przykładem i wdzięczną formą; pobłażający i sprawiedliwy w swym sądzie o ludziach, więcéj niezawodnie nauczy, niż niejeden pedagog lub moralista z profesyi.

Méry należy do rzadkiéj liczby ludzi, których wszyscy lubią, nie dlatego, żeby wszystkim schlebiał, ale dlatego, że choć innych głową przerasta, nikogo wielkością swoją nie przygniata, nikomu ani doskonałością, ani talentem nie chce imponować. Każdy pisarz francuzki mówi o nim z uwielbieniem; każdy utwór jego przyjmowany tu bywa jak ulubiony artysta, co ledwie że się pokaże na scenie, zanim usta otworzy, już go grzmot oklasków wita. Nawet Mirecourt, ów zjadliwy spółczesnych pisarzy biograf, który nikomu nie darował, o Mérym, przyjacielu Wiktora Hugo, mówi z odkrytą głową.

Prócz wielu pięknych poematów jakoto: Héva, Floryda, La guerre de Nizam, i Bataille des Pyramides, która się głównie do sławy jego przyczyniła, Méry napisał mnóstwo ładnych komedyj i romansów; a powróciwszy z Włoch, zbogacił ojczystą literaturę znakomitą książką: La Juive au Vatican, która jest najdokładniejszym i najartystyczniejszym opisem Włoch, jaki kiedy wyszedł w języku francuzkim.

Talent jego wszechstronny nie cofa się przed żadną formą, każda jest mu zarówno przystępna; łatwość mówienia i pisania posiada także w równym stopniu. Ba-

jeczne przytaczają dowody jego talentu; jeden między innemi taki:

Raz na wieczorze u pani de Girardin mówiono o Lukrecyi Ponsarda, którą grać miano w Odeonie. „Wielka mi sztuka ułożyć klassyczną tragedyą, powiada Méry, któż tego nie potrafi? Nie znam wcale téj, o któréj mowa, ale zakładam się z państwem, że w niespełna dwóch godzinach napiszę wierszem piérwszy akt Lukrecyi. Możecie go późniéj porównać z tym, jaki Ponsard napisze."

Przyjęto wyzwanie.

Pani de Girardin zamknęła w swoim gabinecie poetę, który w dziewięćdziesiąt dwie minuty potém powrócił, trzymając w ręku zegarek i obiecany piérwszy akt Lukrecyi.

Niedosyć na tém, bo pisanie pisaniu nierówne. Obecny téj improwizacyi redaktor dziennika Globe, porwał ją, i umieścił nazajutrz w swoim dzienniku, jako próbkę tragedyi Ponsarda.

Kiedy przedstawiano Lukrecyą w Odeonie, ktoś pyta Karola Nodier: jak mu się sztuka podoba?

— Niezła — odpowiada Nodier— szkoda tylko że obcięto co było najlepszego.

— Cóż takiego?

— To, co czytałem w Globie przed tygodniem.

Nie porównywając dwóch dzieł, można zupełnie na sądzie Nodiego polegać.

Niezła jest charakterystyka Mérego, którą Dumas w swoich pamiętnikach umieścił:

...„Méry, mówi Dumas, umié wszystko lub powié wszystko, czego nauczyć się można: zna Grecyą jak Platon, Rzym jak Vitruvius, umié po łacinie jak Cicero, po włosku jak Dante, po angielsku jak Lord Palmerston.

„Każdy, najdowcipniejszy nawet człowiek, ma dnie szczęśliwe i nieszczęśliwe, doznaje ociężałości, lub lekkości mózgowéj: Méry nigdy nie jest zmęczony, nigdy wycieńczony; jeżeli milczy, to nie dlatego, żeby odpoczywał, ale dlatego że słucha; jeżeli nic nie mówi, to nie ze znużenia, ale dlatego, że mu się tak podoba. Chcecie żeby przemówił? Przysuńcie ogień do lampy, Méry zapali się natychmiast. Wtedy już mu nie przerywajcie: a czy rozmowa toczyć się będzie o filozofii,

o literaturze, o polityce; czy o podróżach, czy będzie mowa o Sokratesie lub Kuzenie, o Homerze czy Viennecie, o Herodocie czy panu Cottu, usłyszycie najpiękniejszą improwizacyą, jakąście kiedykolwiek słyszeli.

„Méry jest uczony jak Nodier, większy poeta niż my wszyscy razem; matematyk jak Newton, leniwy jak Figaro, a dowcipny.... jak Méry."

Teraz poznawszy się z autorem, przejrzyjmy ostatnie jego dzieło: l'essai du mariage. De toutes les bouffonneries, la plus sérieuse est le mariage, powiedział Beaumarché. Gmin jeszcze gorzéj o małżeństwie trzyma; dowodem owo smutne a powszechne porównanie, iż żenić się, jestto toż samo, co włożyć rękę w worek, gdzie zamknięto dziewięć żmij a jednego tylko węgorza. Niemniéj czarno pojmują małżeństwo Lady Lawinia i pan Lucy; mimo to sceptyczna para pragnie połączyć się z sobą dozgonnemi śluby, z tym atoli warunkiem, żeby się piérwéj mogła dokładnie poznać.

Poznać! Łatwo to mówić; ale któż kogo poznał przed ślubem?

W Anglii jest kompania stręczycieli, którzy za złoto podejmują się dostarczyć chcącemu się ożenić kawalerowi tak zwaną drapery-miss; ubogą ale piękną pannę, któréj wdzięki spekulanci podnoszą we trójnasób, stroiąc ją w pożyczone na czas konkurencyi aksamity, koronki, dyamenty, i t. d.

Ta rażąca spekulacya albiońska nie jestże tylko przesadzoném nieco odbiciem zabiegów, powszechnie poprzedzających małżeństwo? Czyż młoda dziewczyna w obec narzeczonego nie bywa prawie zawsze ustrojona w niedzielną suknię i pożyczany charakter? Ten wzrok słodko ku niebu zwrócony; ten głos na misterną nastrojony gammę; to za każdém spojrzeniem kochanka, lekkie drżenie ramion, z których zda się anielskie skrzydła wytrysną; te muśliny białe, w które osłoniona dziewica tonie nieujętna jak we mgle księżycowéj: nie sążto fizyczne i moralne draperye, kryjące częstokroć rzeczywiste ubóstwo: brak czucia i brak myśli?

Po ślubie dopiéro dowiadujesz się, że ów biały anioł, którego zawsze spotykałeś z nabożną książką w ręku, najbardziéj lubi czytać romanse; że owe białe ząbki, co z takim wdziękiem skubały róże, łakomie gryzą jak ty

i ja niepoetyczny bifstek; że te wdzięczne usteczka zamiast wysyssać rosę z kwiatów, piją wino i piwo, mniej więcéj jak każdy śmiertelnik; że ów harmonijny głos śpiéwa czasem wrzaskliwie i fałszywie w małżeńskim duecie: słowem, mgły księżycowe, co okrywały twój ideał niewieści znikają, nagle tchnieniem rzeczywistości rozwiane, a natomiast ideał potrzebuje ziemskich draperyi, tojest modnych sukien, kapeluszy i szalów, które na kupieckim rachunku o wiele przenoszą cenę Rusałkowych przyborów. Ale żeby się o tém wszystkiém dowiedzieć, potrzeba się ożenić.

Mężczyzna zmienia się także: pełen czułych uprzedzeń i miłosnéj wymowy kochanek, staje się milczącym lub zrzędnym mężem, z najniższego sługi, panem. Wygnana na czas konkurencyi fajka, powraca z tryumfem, i zaraz po obiedzie pana do snu kołysze. Przedwczesna tusza psuje dawniéj gibką postać Filona, a dawne eleganckie fraki i kamizelki wiszą zapomniane w garderobie, bo pan ubiera się wtedy tylko, kiedy z domu wyjeżdża.

Cóż dziwnego, że tak opłakane a powszechne mając przed oczyma przykłady, młoda para chce przed zawarciem ślubu odbyć probę małżeństwa?

Na ten cel państwo-młodzi najmują sobie dwa pawilony w pięknym ogrodzie, w którym dnie całe z sobą spędzają, starając się poznać gruntownie. Na téj prostéj kanwie osnował autor swą komedyjkę. Zacząłem pisać to sprawozdanie z myślą wyjęcia z niéj kilku ustępów, ale mi żal rozkruszać tego prześlicznego brylancika, tak wykwintnéj formy. Wolę raczéj podać go w całości czytelnikom naszym, choć czuję, ile w tym przekładzie z blasku swego utraci.

OSOBY.

RUDOLF de LUCY.
MISTRISS LAWINIA FETTYPLACE.
WINCENTY, służący.
KLOTYLDA, służąca.

Rzecz dzieje się w Anglii.

Teatr przedstawia ogród angielski. Na prawo i lewo dwa pawilony z wyjściem na scenę; przededrzwiami obu pawilonów kanapki i stoliki. Na stole po lewéj stronie stoi bukiet kwiatów, leżą książki i dziennik.

SCENA I.

WINCENTY I KLOTYLDA.

Klotylda przygotowuje dwa nakrycia do herbaty po prawéj stronie. Wincenty wychodzi z głębi.

Wincenty *(całując Klotyldę).*

Dzień dobry żoneczko!

Klotylda.

Dzień dobry Wicusiu; dobrze ci się spało?

Wincenty.

Wybornie; a tobie?

Klotylda.

Ja czytałam głośno romans do drugiéj w nocy; pani Lucy nie mogła zasnąć, chciałam ją uśpić, i sama w końcu zasnęłam.

Wincenty.

Pan Lucy nie potrzebuje na sen drukowanego opium: jak zacznę gadać zaraz usypia.

Klotylda.

Jużto nie ma co mówić, małżonkowie co się zowie oryginalni. Młodzi oboje, bogaci, niedawno się pobrali i zamykają się w tych dwóch pawilonach na wsi; cały dzień bawią z sobą grzecznie i pięknie, a po zachodzie słońca każde idzie w swoję stronę jak dwoje dobrowolnych rozwodników.

Wincenty *(tajemniczo).*

Wiész ty coto sekret, Klotyldo?

Klotylda.

Jakżeż nie! Jestto rzecz, którą się powiada do ucha każdemu.

Wincenty.

Jeżeli tak, to ci mego nie powiem.

Klotylda.

A ja powiem wszystkim, że ty masz sekret:... najprzód pani... *(idzie podedrzwi na prawo).* Słyszę szelest, pani wstaje, zaraz pewno zadzwoni.

Wincenty *(zatrzymuje ją).*

Pamiętaj, żebyś nie gadała!

Klotylda.

To ty powiédz! Mój Wicuńciu, widzisz jak mi kto mówi, że wié sekret, a powiedzieć nie chce jaki, tottak mi jest, jakby mi rakietę pod nogami zapalił!

Wincenty.

No, czekaj, już zagaszę tę rakietę. Ale jeśli ci miła twoja służba jak mnie moja miła, to piérwszy raz w życiu musisz dochować tajemnicy. Mój pan i twoja pani nie są ożenieni.

Klotylda.

Doprawdy?

Wincenty.

Wczoraj to odkryłem.

Klotylda.

Jakim sposobem?

Wincenty.

Takim, jak się wszystko odkrywa—przypadkiem. Przeczytałem list otwarty na kominku.

Klotylda.

Wstydź się Wicuniu, to bardzo brzydko czytać cudze listy.

Wincenty.

Nie chciałem go czytać, dalibóg, ale zdarzają się listy, co tak się roztwierają niedyskretnie, póty człowieka kuszą, aż w końcu na nie okiem rzucić musi.

Klotylda.

Cóż począć, stało się, nie ma o czém mówić; ale powiédz od kogo był ten list?

Wincenty.

Od pani Lucy.

Klotylda.

Do?

Wincenty.

Do pana Lucy!

Klotylda.

Podpisany?...

Wincenty.

Lawinia, wdowa Fettyplace.

Klotylda.

A data?...

Wincenty.

Wczorajsza, 24 czerwca 1854.

Klotylda.

Jesteś bardzo niedyskretny Wicusiu... ale stało się, nie ma o czém mówić.

Wincenty.

To nie mówmy.

Klotylda.

Spamiętałeś co z tego listu?

Wincenty.

Pamiętam cały; nie był długi.

Klotylda.

Mógłbyś mi go powtórzyć bez niedyskrecyi?

Wincenty.

Z niedyskrecyą mogę... List był taki... Sam nie wiém, jakim sposobem nauczyłem go się napamięć. „Kochany panie! Daję ci dwadzieścia cztery godzin na odgadnienie winy, którąś popełnił dzisiaj w czasie naszego spaceru do kolei birminghamskiéj.

Lawinia, wdowa Fettyplace."

Klotylda.

I poznałeś pismo pani?

Wincenty.

A jakże! Oni nie są po ślubie, to rzecz pewna.

Klotylda.

To i cóż z tego? Czy to w czém pozycyą naszę zmienia?

Wincenty.

Zapewne. Jesteśmy silniejsi.

Klotylda.

Jakto?

Wincenty.

Mamy w ręku tajemnicę naszych państwa, a oni nie mają naszéj; możemy im przewodzić jak należy: wszakżeż to nasi państwo. W czémże cały powab biernego posłuszeństwa, jeżeli nie w przyjemności oszukiwania?

Klotylda.

Ukrywajmyż dobrze przed nimi nasze małżeństwo.

Wincenty.

Nic łatwiejszego; tylko się nigdy przy nich nie kłóćmy, a nigdy nie uwierzą żeśmy małżonkowie.

Klotylda.

Zgoda! *(idzie na lewo).*

Wincenty *(bierze ją pod rękę i chodzi z nią).*

A teraźże żoneczko, cóż mi dasz w zamian za to, żem ci sekret powiedział?

Klotylda *(myśli).*

Cóżby tu...

Wincenty.

Pomyślno...

Klotylda.

Kiedy nic nie wiem.

Wincenty *(staje).*

Niewdzięczna żono! godziż się miéć tajemnice przed mężem? Na szczęście, nie potrzebuję twoich oczu ażebym widział; moje za cztery starczą.

Klotylda.

I cożeś widział swojemi czterema?

Wincenty.

Słuchaj. Wczoraj, kiedyśmy pojechali z panem na zwykły spacer...

Klotylda.

To co?...

Wincenty.

Jakiś człowiek wszedł tam, do pawilonu *(pokazuje pawilon Lawinii)*, a tam jak wiész, sam pan nigdy nie wchodzi.

Klotylda *(udaje zadziwienie).*

Nie może być!

Wincenty.

Nie udawaj próżno; znam ja się na tych figlach.

Klotylda.

Któż widział tego człowieka?

Wincenty.

Moje własne oczy.

Klotylda.

Kiedy ich nie było w domu.

Wincenty.

Dwa zostawiłem tutaj.

Klotylda.

Niech się dzieje wola Boża; zrobiłam moję powinność, a o resztę nie pytam. Nie mylisz się: przyszedł tu jakiś mężczyzna w niebytności pana Lucy. Pani zakazała powiadać o téj wizycie Wincentemu, ale wszakże jestem jéj posłuszna, powiadam tylko mężowi.

Wincenty.

Rozumié się, żona nic przed mężem kryć nie powinna.

Klotylda.

Mianowicie jeżeli mąż wié już, co mu żona chce utaić. Ale jakżeś odkrył wizytę tego jegomości?

Wincenty.

Bardzo prostym sposobem. Ponieważ mi chodzi o to, żeby być panem mego pana, chwytam każdą sposobność dowiedzenia się jego sekretów. Ilekroć wychodzimy, nie omieszkam posypać żółtym piaskiem ścieszki, która prowadzi do pawilonu pani. Otóż wczoraj powróciwszy, zobaczyłem na moim piasku ślady potężnych butów, należących niezawodnie do rodzaju męzkiego.

Klotylda.

Jakże się to dzieje, że moja pani, która jest rodem z Anglii, a wychowała się w Paryżu, zatém na dowcipie zbywać jéj nie może, nie przewidziała żółtego piasku?

Wincenty.

A tyś go przewidziała?

Klotylda.

Ależ ja mój kochany nie odebrałam edukacyi: mnie wcale nie wychowano.

Wincenty.

Widziałażeś tego człowieka?

Klotylda.

Tego, co miał nogi w butach?

Wincenty.

A jużci.

Klotylda.

Wpuściłam go sekretnemi drzwiami, alem go tylko z boku widziała.

Wincenty.

Wysoki?

Klotylda.

Wysoki.

Wincenty.

Młody?

Klotylda.

Niebardzo.

Wincenty.

Piękny?

Klotylda.

Brzydki. Żebyś ty się za pana ubrał, tobyś rychtyk tak wyglądał jak on.

Wincenty.

Otóżto dla jakiego człowieka lady Lawinia poświęca pana Lucy, wzór żurnala paryzkiéj mody. Oh! kobiéty, kobiéty! Klotyldo, przysięgam na twoję głowę, że jeżeli kiedy Bóg pozwoli mi owdowiéć, już się nigdy nie ożenię!

Klotylda (*uderza go po ramieniu*).

Skończże proszę swoje miłe przysięgi.

Wincenty.

Cicho! Oto pan nadchodzi... pracujmy.

Klotylda.

Lepiéj udawajmy, że pracujemy.

Wincenty.

To wszystko jedno.

Klotylda.

Tak, ale się człowiek mniéj męczy.

Pan Lucy staje we drzwiach swego pawilonu z otwartym listem w ręku. Wincenty i Klotylda rozchodzą się, udając zatrudnionych w ogrodzie.

SCENA II.

RUDOLF LUCY *(duma nad listem).*

Lawinia pisze, żem coś przewinił na stacyi .. Daremnie rekapituluję wszystkie wypadki naszéj wieczornéj przechadzki, nic nie znajduję... Przechadzka była co się zowie przykładna. Jeszcze raz przejdźmy rzeczy porządkiem. Młoda, ładna, bardzo jasna blondynka wysiadła z wagonu; nie powiedziałem broń Boże: Ah! jaka piękna blondynka! Lawinia jest brunetka, byłbym studenckiego strzelił bąka. Obowiązkiem moim wiecznie nienawidziéć blondynek. W Anglii rodzą się same brunetki... nie inaczéj; na tośmy się zgodzili z Lawinią: nawet tylko jedna tam jest brune-

tka—Lawinia. Rozmowa toczyła się o drobiazgach: nic ją zranić nie mogło. Opowiadałem jednę z moich paryzkich przygód, która mi się wydarzyła w mym wieku złotym; miałem wtedy lat ośmnaście... w całym wypadku nie było ani cienia miłości, ani cieniu cienia! Potém spojrzała na kwitnący kosacz nad strumykiem; wzrok ten był prośbą, usłuchałem zanim rozkazała: zerwałem kwiatek i uśmiech dostałem w nagrodę... Potém rozmawialiśmy o miłości: przedmiot tak bogaty, że przez 6,000 lat nie wyczerpał się w dyalogach; udało mi się nawet odkryć w nim rzeczy nowe... przecież to aby nie zbrodnia! Ach zapomniałem; Lawinia wychwalała z zapałem młodego Karola naszego sąsiada. Mogę sobie oddać tę sprawiedliwość, nie obawiając się zaprzeczenia, że jestem zazdrosny jak mur haremu. Byłbym pewnie wynalazł zazdrość, gdyby mnie był Kain nie uprzedził wtedy jeszcze, kiedy świat miał tylko trzech mieszkańców. Mimo to, z nieustającym uśmiechem słuchałem pochwał Karola. Kobiéty pozwalają sobie zazdrościć, ale mężczyznom surowo tego zakazują. Wycierpiałem więc wszystko w skrytości serca: nie można doprawdy dać większego dowodu delikatności. Cóż to więc być może? Gubię się w domysłach! A jednak Lawinia nigdy się nie myli... Wzrok jéj do dna duszy przenika.... musi mieć słuszność; zagadka musi mieć klucz, ale go nie znajduję.

SCENA III.

RUDOLF, KLOTYLDA, LAWINIA.

Rudolf.

Ale otóż i ona... (*podbiega i ściska ją za rękę; Lawinia zdaje się smutna*).

Klotylda.

Proszę pani, herbata już na stole.

Rudolf (*do Klotyldy*).

To dobrze, możesz odejść.

Klotylda (*na stronie*).

Mają sobie jakieś sekreta do gadania: wyraźnie nie są po ślubie. (*Oddala się*).

Rudolf i Lawinia siadają przy stole z herbatą. Wincenty i Klotylda nikną w alejach parku.

Lawinia (*nalewając herbatę*).

Jakże, odgadłeś pan swoję winę?

Rudolf.

Nie, pani, chociaż długo szukałem; ale za to odkryłem inną, któréj nie szukałem.

Lawinia.

W sobie?

Rudolf.

Nie, pani.

Lawinia.

A więc we mnie?

Rudolf.

Używając mego prawa.

Lawinia.

Słusznie, tym sposobem oboje jesteśmy wierni naszéj umowie. W czémże przewiniłam, słucham.

Rudolf.

Ostrzegam panią, że będę surowy.

Lawinia.

Powetuję to sobie z procentem.

Rudolf.

Wstałaś dziś pani smutna jak zachód zimowego słońca. Takie melancholiczne poranki bez powodu, bywają nieustanną przyczyną do kłótni między małżonkami, i aż do nocy zwykły spokój szczęścia domowego zakłócać. Mąż pyta żony o przyczynę rannego smutku; żona odpowiada, że nie ma żadnego powodu, i utrzymuje melancholicznie, że jest bardzo wesoła. Mąż nalega, żona milczy. Wtedy oboje mają powód do smutku i stronią od siebie jak zapowietrzeni. Przeciwnie, jaką radość w domu zwiastuje na dzień cały rozpromienione oblicze pani. Młoda kobiéta, która z uśmiechem na ustach pokazuje się z rana mężowi, jest żyjącym obrazem wiosennéj jutrzenki: rozjaśnia horyzont małżeńskiego dachu, powleka lazurem szare ściany domostwa, wszędzie rozlewa pogodne blaski. Uśmiech poranny zwiastuje całodzienne szczęście.

Lawinia.

Odpowiedź moja pewnie pana zadziwi.

Rudolf.

Niechybnie, jeźli mi pani zaprzeczy.

Lawinia *(wyciąga ku niemu rękę).*

Nie przeczę, masz pan słuszność.

Rudolf.

Pewny tego byłem.

Lawinia.

Jednakowoż czasem poranne smutki mają ważne powody: dzisiaj, często się gniewa na wczoraj.

Rudolf.

W takim razie trzeba się wytłumaczyć. Przystąpmyż do mojéj wczorajszéj winy.

Lawinia.

Więc jéj pan nie odgadłeś?

Rudolf.

Daremnie noc całą jéj szukałem.

Lawinia (*z westchnieniem*).

Mój Boże! jakżeż mężczyzni mało na szczegóły zważają! Wczoraj wieczorem byłeś pan najmilszy z ludzi; słowa jego zdradzały najżywsze uczucie: głos twój był nastrojony na słodką nutę, która tak lubo wtoruje zwierzeniom wieczornym, kiedy dwoje kochanków po tychże samych kwiatach stąpa pośród wiosennego krajobrazu. O téj godzinie, o któréj pierwsza gwiazda wschodzi, wieś jest jakby koncertem przepełnionym daleką harmonią: a jednak ja jéj nie słuchałam. tylko pana, bo głos płynący z serca jest najpiękniejszą muzyką... Nagle, w najczulszéj frazie zatrzymałeś się pan, i wykrzyknąłeś z wyrazem zagorzałego botanika: „Ach! cóż to za prześliczne drzewo, jakiż dąb wspaniały!" W rzeczy saméj, dąb obok któregośmy przechodzili był przepyszny, przyznaję, ale moment wydał mi się bardzo nieszczęśliwie wybrany do podziwiania cudów roślinności. Niestety! zapomniałeś pan o mnie tylko na chwilę, ale ta chwila wydała mi się bardzo długa, bardzo bolesna! Zapomniałeś o mnie dla drzewa! Tkliwe serce nie rozbiera, ale czuje. Zraniłeś mnie pan; wszystkiego co mówiłeś potém kiedyś znów do mnie powrócił, już nie słyszałam; oczy moje nie mogły się oderwać od tego dębu tak nie w porę chwalonego, i z tego wieczornego spaceru przyniosłam tylko gorzkie wspomnienie, które mnie nawet ścigało we śnie, i aż do rana przetrwało.

Rudolf (*wstaje i kłania się*).

Korzę się przed tobą pani, wynalazłem nową zbrodnią w miłości: błagam o przebaczenie.

Lawinia (*śmieje się i wstaje także*).

Ależ zapominasz pan o naszéj umowie: nic panu nie mam do przebaczenia, wszakże to tylko proba małżeństwa. Umówiliśmy się, że wzajemnie strofować się będziemy, wytykać błędy nasze z chrześciańskiém miłosierdziem i największą szczérością: słowem, że zrobimy niejako zobopólną wystawę charakterów naszych w tym nowicyacie, a pobierzemy się w końcu, jeżeli po długiém badaniu nie odkryjemy w sobie wad nieuleczonych.

Rudolf.

W istocie taka była nasza umowa; przystałem na nią, tylko nowicyat wydaje mi się nieco przydługi.

Lawinia.

Życie małżeńskie daleko dłuższe. Przed ślubem czynimy to, co inni czynią po ślubie. Na naszém miejscu jakże robią inni? Przebierają się, maskują, malują, oszukują, pokazują zalety, kryją błędy. To też po ślubie małżonkowie nie poznawają już w sobie kochanków: znikły zalety, wady wyszły na wierzch; i Bogu tylko wiadomo, jaka przyszłość brzemienna małżeńskiemi kłótniami czeka ich po miodowym tygodniu. Otóż tego chcemy uniknąć. Więcéj niż ktokolwiek potrzebujemy téj proby nowicyatu. Pan jesteś Francuz, ja Angielka; zatém musimy mieć wady krajowe, właściwe narodom naszym, nadto wady uniwersalne, wspólne całéj ludzkości. Lista ich jest długa. Dotąd drobne tylko przywary dopatrzyliśmy w sobie, ich okruchami zasypaliśmy drogę, która nas do ołtarza prowadzi; mimo to dalecy jeszcze jesteśmy od doskonałości względnéj, wierzaj mi pan. Nie skracajmy nowicyatu. Przypadkiem oto spostrzegłam wczorajszy błąd pański, i gdybyśmy byli już po ślubie, to nieszczęsne drzewo byłoby się dla nas w czarną puszczę zmieniło, w któréj błąkalibyśmy się wiecznie. A tak jednym zamachem wyrwałam drzewo z korzeniami, nawet rodzaj jego zaginie. Oto korzyści nowicyatu i proby małżeństwa. Idźmy dalej.

Rudolf.

Czy długo jeszcze? Myślałem, że będę szczęśliwy jutro.

Lawinia.

Tak .. Człowiek proponuje, a kobieta dysponuje.

Rudolf.

Sądzisz pani, że będzie jeszcze wiele drzew do wyrwania?

Lawinia.

Karczowanie bardzo już postąpiło.

Rudolf.

Grunt zdaje się już dość gładki.

Lawinia.

Uważaj pan, żebyś się nie pośliznął.

Rudolf.

Wszakże mi pani poda rękę?

Lawinia.

Zapewne... ale jeżeli upadek jest nagły, ręka przychodzi zapóźno.

Rudolf.

Pani więc sądzi, że mamy jeszcze do odkrycia w sobie niemało przywar?

Lawinia.

Gdyby jedna tylko była, to i to za wiele. Wczorajszéj nocy odkryto nową planetę. *(bierze dziennik ze stołu).*

Rudolf.

Mikroskopiczną.

Lawinia.

Są wady także mikroskopiczne.

Rudolf.

Takie nie są niebezpieczne.

Lawinia.

Ale rosną z czasem, a w końcu roku można je gołem okiem dopatrzyć.

Rudolf.

Co do mnie tracę nadzieję, żebym mógł w pani odkryć jaką niedoskonałość. Potrzaskałem mój teleskop.

Lawinia *(siada po lewéj stronie stołu).*

Nadto grzeczny z pana astronom; nieszczęściem nie mogę mu oddać tą razą wet za wet. Doświadczenie nabyte za piérwszym mężem czyni mnie oględną. Pan co innego, jesteś jeszcze w złotym wieku kawalerskim, i sądzisz małżeństwo z ostatniéj sceny piątego aktu w komedyi: nigdyś pan nie widział szóstego, ja zaś go widziałam. Romeo i Julia wpadli na szczęśliwy pomysł śmierci, inaczéj po ślubie nie byliby poznali w sobie kochanków. Wskrzesiłam ich ze sto razy, żeby widzieć oboje po czterdziestoletniém pożyciu. Puszczyk byłby śpiewał po skowronku... Ach jacyż oni szczęśliwi, że pomarli w paroxyzmie miłości!

Rudolf *(zapalając się w miarę jak mówi).*

Widzę, że się pani podoba nasz dzisiejszy stosunek, i przedłużasz go ze sztuką godną uwielbienia; pewnie go zechcesz przeciągnąć aż do późnéj starości. Wszystko panią żywo obchodzi w tym dramaciku, który odgrywamy między dwoma pawilonami, wszystko bawi, prócz rozwiązania, którego się lękasz. Nowicyat już trwa sześć miesięcy. Oznaczyliśmy już wszystkie skały na mappie małżeńskiéj; czarnym atramentem nakreskowali wszystkie Harybdy i Scylle miłości, wszystkie rafy o które się szczęście rozbija. Niejednę noc w gorączce nad tą pracą spędziłem. Zrobiłaś pani ze mnie Tantala miłości małżeńskiéj; teraz chciałbym żyć: jestto zapewne słuszna chęć konającego. Nie mam już siły grać roli małżonka w dzień biały, a utrapień celibatu mego opowiadać gwiazdom: błagam o rozwiązanie. Znosiłem aż do téj pory z re-

zygnacyą te excentryczności angielskie; zasłużyłem na inny los. Dosyć teoryi, weźmy się do praktyki: idźmy do ołtarza.

Lawinia

Znasz pan historyą kommodora Jeffersona?

Rudolf.

Zapomniałem wszystkich historyi odkąd we własnéj ugrzązłem.

Lawinia.

Muszę ją panu opowiedzieć. Odważny ten marynarz cztery lata podróżował po morzu, i oznaczył wszystkie nieznane wyspy na Oceanie Spokojnym. Cały Londyn oczekiwał go niecierpliwie gotując wawrzyny, któremi sławę jego chciał wieńczyć. Wyobraź pan sobie, okręt nie dobił do portu; kommodor utonął w Tamizie około Gravesant.

Rudolf.

Ja także natrafiłem na skałę w Tamizie.

Lawinia.

Odrzuci pana na powierzchnią. Jefferson nie był tak szczęśliwy.

Rudolf.

Przez litość wytłumacz się pani.

Lawinia (*wstaje*).

Wykraczasz pan przeciw artykułowi jedénastemu naszego traktatu; przytoczę go panu z pamięci: Mistriss Lawinia oznaczy sama, arbitralnie koniec nowicyatu. Wżadnym razie pan Lucy nie będzie się mógł skarżyć, ani narzekać. Możesz pan o wszystkiém zapomnieć, byleś artykuł jedénasty pamiętał.

Rudolf.

Moja wina!

Lawinia.

Oto dwa najpiękniejsze słowa w ustach mężczyzny.

Rudolf.

Czy mnie wyrzuciły na powierzchnią?

Lawinia.

W dodatku. Z pomyślnym wiatrem.

Rudolf.

A czy są jeszcze skały podwodne między Gravesant a londyńską wieżą?

Lawinia.

O są! Kapitan Smith rozbił się w Blake-Hall.

Rudolf.

Biédny kapitan Smith!

SCENA IV.

LAWINIA, WINCENTY, RUDOLF.

Wincenty *(podaje list Rudolfowi na tacy).*

Rudolf *(zaktopotany idzie ku Wincentemu).*

Cóż to jest?

Wincenty.

List.

Rudolf.

Pewnie nie do mnie; czekam tylko listu od matki, który przyjdzie poste-restante; nikt nie wié mojego tutaj adresu.

Wincenty *(czyta).*

Pan Rudolf de Lucy, poste-restante w Starfford.

Rudolf.

Jakże się więc stało, że mi go przynoszą?

Wincenty.

Listonosz powiada, że widział pański adres i chciał panu oszczędzić fatygi...

Rudolf *(przerywa i bierze list).*

Dobrze, dobrze!

Wincenty *(na stronie).*

To ma znaczyć: że źle...

Rudolf *(do Lawinii).*

Pani pozwala? *(odpieczętowuje list).*

Lawinia *(z ironią).*

Czytaj pan list od matki poste-restante. *(na stronie wychodząc).* Biédny Jefferson! *(wchodzi do swego mieszkania).*

SCENA V.

RUDOLF, WINCENTY.

Rudolf *(przeczytawszy list, ogląda się, a nie spostrzegłszy Lawinii przechodzi na prawo i woła):*

Wincenty!

Wincenty.

Co pan każe?

Rudolf.

Dam ci na drogę i wracaj do Paryża.

Wincenty.

Pan mnie odprawia?

Rudolf.

Nie... będziesz podróżował moim kosztem. Weźmiesz dziś miejsce na stacyi, a jutro zajedziesz do Paryża.

Wincenty.

I tam zostanę?

Rudolf.

Jak ci się podoba. Możesz być gdzie chcesz, byleś tutaj nie był. Jesteś nadto niezgrabny z listonoszami.

Wincenty.

A Klotylda?

Rudolf.

Pani jest z niéj zadowolona, więc zostaje.

Wincenty *(udaje czutego).*

Otóż ja także jestem zadowolony z mego pana i nie opuszczę go; nie przyjmuję odprawy.

Rudolf.

Nie stawiaj mi się hardo głupcze! Pamiętaj, że nie jesteśmy w Paryżu, ale w Anglii, kraju wolnym dla panów.

Wincenty *(tajemniczo).*

A gdybym tak panu powiedział sekret, od którego pańskie szczęście zawisło?

Rudolf.

Co za sekret?

Wincenty.

Sekret, o którym nikt prócz mnie nie wié.

Rudolf.

Strzeż się! Nadto rachujesz na moję dobroć.

Wincenty *(tajemniczo).*

Rachuję na usługę, którą oddam memu panu. Odprawiłeś mnie pan, to dobrze; więc już nie jestem w jego służbie, jestem obcy; ale opuszczając pana, spostrzegam, że się pański dom wali: ostatni mój obowiązek ostrzedz o tém kogo należy. Jak powiém, pewny jestem, że mi pan podziękuje i w swojéj służbie zachowa.

Rudolf *(zniecierpliwiony).*

Cóż więc?... gadaj.

Wincenty.

Nie mogę! Tak ważną tajemnicę nie jest bezpiecznie powierzać obok pawilonu, w którym dwie kobiéty mieszkają: mury mają uszy, okna są uszami murów; okno jest otwarte ucho, mianowicie wtedy, kiedy zamknięte! Chodź pan ze mną do parku. *(wychodzą).*

SCENA VI.

Lawinia (*staje we drzwiach pawilonu*).

Każdy list wymaga odpowiedzi; pan Lucy będzie miał swoję, muszę mu dać nauczkę.

SCENA VII.

KLOTYLDA, LAWINIA.

Lawinia.

Słuchaj, oto jest list, który mi oddasz przy panu Lucy; przy panu, rozumiész?

Klotylda.

Rozumiem.

Lawinia.

Powiédz mi Klotyldo, co ty myślisz o Wincentym, kamerdynerze pana?

Klotylda (*zafrasowana*).

Myślę, że to poczciwy człowiek, bardzo... wierny...

Lawinia.

Wierny, komu?

Klotylda.

Jużciż swemu panu... (*na stronie*). Czyby się domyślała, żeśmy małżonkowie.

Lawinia.

Jakże trzymasz o jego charakterze?

Klotylda.

Mało z nim mówię, proszę pani, jestem jeszcze zamłoda, żeby studyować kamerdynerów... Jednakowoż sądzę, że pan Wincenty ma charakter bardzo dobry.

Lawinia.

Poszłabyś za niego?

Klotylda *(zdziwiona).*

Za niego?

Lawinia.

Tak jest. Wzięłabyś go za męża bez wstrętu?

Klotylda.

Prawdę powiedziawszy, nie jestem od tego.

Lawinia.

To dobrze, wydam cię za niego... dam ci porządną wyprawę; obaczysz, że będziesz kontenta. Zresztą dawno już uważałam, że żyjecie w wielkiéj zgodzie z Wincentym: nigdy jedno na drugie nie skarży. To rzecz rzadka taka harmonia między panną a kamerdynerem.

Klotylda.

Prawda, że na oko mógłby kto myśléć, żeśmy małżeństwo.

Lawinia.

A potém, czy żylibyście zgodnie jak teraz?

Klotylda.

Rozumié się. Alboż to mąż z żoną się kłóci.

Lawinia.

Czasem.

Klotylda.

Ależ zgodę zawsze mają na pogotowiu; od czegóż małżeństwo?

Lawinia.

Masz słuszność. Więc Klotyldo rób tylko co ci każę, a nagroda cię nie minie. Nie zapomnij o liście i wprowadź pana Gipson sekretnemi drzwiami jak wczoraj.

Klotylda.

Dobrze pani. Będę czekać na sposobną chwilę w ogrodzie. *(odchodzi).*

SCENA VIII.

LAWINIA, PÓŹNIÉJ RUDOLF.

Lawinia *(bierze książkę i zabiera się do czytania).*

Odbywać probę małżeństwa, jestże to rozum, czy szaleństwo? — sama nie wiem doprawdy. *(Rudolf pokazuje się w głębi, idzie ze spuszczoną głową i założonemi rękami).* Trzebaby chyba

probować całe życie: mężczyzni nigdyby na to nie przystali. *(Siada po prawéj stronie i czyta).*

Rudolf *(wchodzi i mówi na stronie).*

Jakiś mężczyzna wszedł do tego pawilonu.. Trzeba przyznać, że z Wincentego wyborny służący. Muszę go wynagrodzić. Proszę, jaka zadumana; człowiek nie jest zrodzony do małżeństwa, to rzecz pewna. *(Do Lawinii)* Cóż za piękną książkę pani czyta?

Lawinia.

Szekspira.

Rudolf *(na stronie).*

Szekspir wielki poeta; wynalazł Otella! Otello to mi mąż, co zrobił prawdziwą probę małżeńską, jedyną probę rozsądną: dwa pchnięcia sztyletu, jedno dla żony, drugie dla męża. *(Pokaszluje i porusza się na krześle, żeby na siebie ściągnąć uwagę Lawinii).*

Lawinia.

Co pan sądzisz o Otellu, panie Lucy?

Rudolf.

Że jest arcydziełem.

Lawinia.

Ze stanowiska literackiego; ale ze stanowiska małżeńskiego?

Rudolf.

Jest straconą przestrogą, jak wszystkie przestrogi.

Lawinia.

Straconą dla mężów... bo Dezdemona niewinna.

Rudolf.

W tém właśnie cała mądrość przestrogi. Otello zabija Dezdemonę niewinną, cóżby dopiéro z nią uczynił, gdyby była występna? Dlatego wszystkie kobiéty winne czy niewinne, powinny drżéć po przeczytaniu Otella, i zamknąć się pomiędzy czterema murami tak, żeby ich żaden Yago oszczerca nie wypatrzył.

Lawinia.

Czemu nie? Gdyby mężczyzni także się z niemi zamknęli w tychże samych czterech murach, bez Yaga.

Rudolf.

Mężczyzni mają do spełniania obowiązki obywatelskie: mają wybory, sądy przysięgłych, politykę, bursę, gwardyą narodową. Kobiéty są wolne, więc je można zamykać na trzy spusty.

Lawinia *(śmieje się).*

Są wolne, więc powinny być niewolnicami.

Rudolf.

Tak jest, na to, żeby uniknęły Yagów.

Lawinia.

Ależ Yagowie są kłamcy!

Rudolf.

Nie wszyscy.

Lawinia *(wstaje)*.

Szekspirze bądź błogosławiony!... Bez ciebie bylibyśmy popełnili okropne głupstwo.

Rudolf.

Jakie?

Lawinia.

Bylibyśmy się pobrali nie zgłębiwszy teoryi małżeńskiej w rozdziale o zazdrości, rozdziale najważniejszym! Panie Lucy, widzę w panu wyraźną skłonność ku zazdrości; w téj chwili to spostrzegłam i to mnie przestrasza... Pan milczysz?...

Rudolf.

Nigdym pani nie dał powodu, ażebyś...

Lawinia.

Bez wykrętów! Odpowiédz pan wprost, jesteś zazdrosny czy nie?

Rudolf.

Nie.

SCENA IX.

RUDOLF, KLOTYLDA, LAWINIA.

Klotylda (*przynosi list na tacy*).

Proszę pani jakiś list przyszedł. Na wiérzchu napisano: *bardzo pilno*, po angielsku: *in great haste*.

Lawinia *(bierze list)*.

Dobrze.

Klotylda.

Dlatego się ośmieliła przerwać pani rozmowę...

Lawinia.

Dobrze, mówię ci. *(udaje że adres ogląda pilnie)*.

Klotylda *(na stronie)*.

Burza nadchodzi, chrońmy się co żywo! *(wychodzi)*.

SCENA X.

RUDOLF, LAWINIA.

Lawinia (*otwiéra list*).

Pan pozwalasz? *(Rudolf się kłania widocznie pomieszany).* Ach! to list od mego plenipotenta.

Rudolf (*z ironią*).

Tak mu pilno.

Lawinia.

Tym ludziom zawsze pilno: chcą nam tym sposobem odjąć rozwagę. *(kładzie list za gors).* Ale ja zawsze namyślam się dwadzieścia cztery godzin zanim podpiszę.

Rudolf (*pomieszany*).

Nigdym jeszcze nie widział pisma angielskiego plenipotenta.

Lawinia.

Nie inne jak każde; pan wié, że u nas wszystkie pisma do siebie podobne: każdy Anglik pisze jednakiém piórem, jednakim stylem, na jednakim papierze.

Rudolf.

To nie przeszkadza, żebym zapłacił drogo za autograf tego plenipotenta i oddałbym te pieniądze na szpital niewidomych w Straffordzie.

Lawinia.

Straffordzki szpital niewidomych bogato uposażył książę Lankaster: ma dziesięć tysięcy funtów szterlingów dochodu, a obecnie tylko trzech ślepych. W ogóle ludzie mają wzrok bardzo dobry w naszym kraju.

Rudolf.

Spostrzegam to w téj chwili. Miałaś pani słuszność przewidywać, że w porcie utonę.

Lawinia.

To tak się pan usprawiedliwiasz?

Rudolf.

Jakto?

Lawinia.

Jużeś pan zapomniał o czém była mowa?

Rudolf.

Wytłumacz się pani, proszę.

Lawinia.

Tak, tak... mężczyznom wszystko wolno, kobiétom nic:—oto wasz kodex cywilny w dwóch słowach. Dziś rano odebrałeś pan jakiś list rykoszujący; poste-restante jakoś się pomyliła. Milczałam przecież i uwierzyłam na słowo. List jestto tajemnica pod kopertą; szanowałam ją. Nie dałeś mi pan żadnych objaśnień; to panu wolno, to przywiléj płci waszéj. Z kolei ja odbieram list, i wnet zły humor pański wybucha w mglistych frazesach, które dla mnie przecież są bardzo jasne. Ja nie mogę mieć tajemnicy, to mi jest zakazano.... Powinnam się wytłumaczyć, bo taki jest przywiléj płci mojéj. Czy pan sądzisz że to sprawiedliwie? Panie Rudolfie, zaufanie zaufaniem się płaci: taka powinna być dewiza małżeńska, a my dopiéro probę odbywamy! Cóżto będzie potém, skoro wymówię sakramentalne: *tak.*

Rudolf.

Słuszność uporczywie zostaje po stronie pani, co mnie do rozpaczy przywodzi! Oto mój list poste-restante, czytaj go pani. Matka donosi mi dobrą nowinę, że małżeństwo projektowane dla mnie w rodzinie już zupełnie zerwane .. Czytaj pani, proszę.

Lawinia (*odsuwa list*).

Wierzę panu.

Rudolf (*na stronie*).

Swego listu mi nie daje!..

Lawinia.

Ale ta sprzeczka zmieniła zwykły tryb życia; przyzwyczajenia są elementem szczęścia. Zapomniałeś pan o swojéj konnéj przejażdżce.

Rudolf (*jakby zbudzony nagle*).

Przejażdżka... Ach prawda!.. pojadę jutro.

Lawinia.

Nie, pojedziesz pan dzisiaj.

Rudolf (*na stronie*).

Widocznie ma schadzkę. *(głośno)* Żądasz pani żebym jechał na spacer?

Lawinia.

Nieinaczéj, mam w tém przyczynę.

Rudolf (*na stronie*).

Ach! żółty piasek! *(głośno)* Masz pani powody ażebym....

Lawinia.

Pocóż ta mina tragiczna? Naturalnie że mam. Przeszłego miesiąca takżeś pan jeden dzień opuścił i nazajutrz koń pana ponosił.

Rudolf.

Troskliwość pani do głębi mnie porusza: jadę natychmiast.

Lawinia.

Dobrze. W nagrodę pańskiego posłuszeństwa idę zaraz do siebie, i zajmę się szczerze naszą przyszłością. Więc proszę o mnie także nie zapominać i nie zachwycać się nadto pięknością drzew, które przy drodze napotkasz. *(wchodzi spiesznie do pawilonu).*

SCENA XI.

RUDOLF (*sam, patrzy za odchodzącą*).

Chytrość! oszustwo! hipokryzya! O jakże słusznie kollekcyą tych wad przysądzono płci niewieściéj! I ja miałem się ożenić z tą kobiétą... miałem związać życie moje z tym ósmym grzechem śmiertelnym, pomnożonym przez dziesięć złamanych przykazań! Spytajmy serca, czy ja ją kocham jeszcze? Nie, nienawidzę jéj z rozkoszą! Na szczęście nienawiść jest córką miłości. Ale mi niedość na tém że jéj nienawidzę, muszę ją ukarać, przygnieść ciężarem jéj własnego wstydu, jeszcze przed nocą, wśród dnia białego, żeby się przekonać, czy jeszcze zarumienić się zdolna. *(woła)* Wincenty!!

SCENA XII.

WINCENTY, RUDOLF.

Rudolf.

Okulbaczone konie?

Wincenty.

Wszystko gotowe, zgaduję myśli pańskie.

Rudolf.

Zgadujesz?

Wincenty.

Przekona się pan. Pojadę z parą koni i narobię hałasu za cztery.

Rudolf.

Wybornie, przeszedłeś swego pana.

Wincenty.

Cóż, kiedy noszę liberyą.

Rudolf.

Mój kochany, my wszyscy nosimy liberyą. Ja sam jeszcze dziś rano nie byłżem lokajem kobiéty? Frak czarny to jest prawdziwa liberya. Ty nosisz ubiór niepodległości! Słuchaj. Oddałeś mi ważną przysługę; nie jestem niewdzięczny, dziś jeszcze zajmę się twojém szczęściem, bo jutro byłoby może zapóźno. *(wyjmuje pugilares)* Masz, weź to. To jest szczęście w biletach bankowych.

Wincenty (*uradowany bierze pugilares*).

Panie, mój dobroczyńco!

Rudolf.

Jestto tylko zaliczka na zapis; nie zapomnę o tobie w testamencie poczciwy sługo.

Wincenty.

Pieniądze nie dają szczęścia, ale nie ma szczęścia bez pieniędzy.

Rudolf (*wskazuje Wincentego*).

I ona takich ludzi zowie Yagami!

Wincenty (*oburzony*).

Oh!..

Rudolf.

A wiész ty, co to jest Yago?

Wincenty.

Nie wiem, panie.

Rudolf.

Tém lepiéj. Bogdajbyś nigdy się o tém nie dowiedział!

Wincenty.

Nie wiedziéć, bardzo łatwo.

Rudolf.

Ażebyś wiecznie był szczęśliwy, daję ci te piéniądze i zapis pod jednym warunkiem, łatwym do przyjęcia.

Wincenty.

Jakiż to warunek mój dobroczyńco?

Rudolf.

Musisz mi przysiądz solennie, że się nigdy nie ożenisz.

Wincenty (*cofa się o dwa kroki*).

(na stronie) Święty Jacku!

Rudolf.

Wahasz się?

Wincenty.

Miałbym się wahać? Nie znasz mnie pan! Przysięgam, że od dziś dnia nigdy się nie ożenię.

Rudolf.

Pamiętaj, nigdy.

Wincenty *(na stronie).*

Raz aż nadto!

Rudolf.

Teraz jedź na spacer z końmi.

Wincenty.

Nahałasuję za cały szwadron. *(wychodzi).*

SCENA XIII.

RUDOLF *(sam).*

Teraz ukryjmy się i patrzmy. *(Ukrywa się w klombie po lewéj stronie pawilonu).* Gdybym był zazdrosny, gdybym kochał, pozycya moja byłaby okropna w téj chwili. Na szczęście, jestem tylko ciekawy obserwator.

SCENA XIV.

RUDOLF UKRYTY, KLOTYLDA.

Klotylda (*otwiera ostrożnie drzwi pawilonu i patrzy w ogród).*

Już pojechali.... Słyszałam tętent koni. Trzeba otworzyć furtkę od ogrodu *(wychodzi).*

Rudolf (*ukryty słucha*).

Furtkę od ogrodu! Drżę, jakbym był zazdrosny. Oto podła rola jaką odgrywają subretki. Wielkie panie i subretki łączą się w nierozerwaną ligę, kiedy idzie o oszukanie męża lub kochanka. *(patrzy w ogród)* Jakiś mężczyzna! Drżę, jakbym kochał...

SCENA XV.

RUDOLF UKRYTY, KLOTYLDA.

Klotylda.

Udało się wybornie... Pani będzie ze mnie kontenta. *(Bierze tyczkę i kładzie na ramię jak karabin)* Stoję na stanowisku i dam się zabić na usługach miłości!

Rudolf *(ukryty).*

Nie mogę wytrzymać... krew mnie zaleje!.. Muszę wybuchnąć! *(wybiega z kłombu, Klotylda krzyczy, rzuca tyczkę, i ucieka do parku).*

SCENA XVI.

RUDOLF, LAWINIA.

Lawinia *(otwiera nagle drzwi od pawilonu).*

Cóż się tu dzieje?.. Jakto, jużeś pan powrócił ze spaceru?

Rudolf.

Jeśli to pani nie na rękę, to nie wróciłem.

Lawinia.

I bardzo nie na rękę.

Rudolf.

Ot to szczerość co się zowie!

Lawinia.

Nie lubisz pan szczerości? Doprawdy nie rozumiem, co te słowa znaczą... a nieszczęśliwa mina pańska zdaje się nieuleczona, co mnie do rozpaczy przywodzi!

Rudolf *(na stronie).*

Co za bezczelność, jaka zimna krew!

Lawinia.

Wybacz pan, zdaje mi się, że mówisz coś na stronie, jakby w komedyi: monologi nie uchodzą kiedy się jest we dwoje.

Rudolf.

Daruj pani, mam powody unikania wszelkich explikacyi; ale upewniam panią, że umiem szanować zawsze to, co długo kochałem.

Lawinia.

Miéj się pan na baczności! Zbytek szacunku jest obrazą zażyłéj przyjaźni.

Rudolf.

Pani!

Lawinia.

Widzę, żeś ugrzązł na nowo w podejrzeniach.

Rudolf.

Pani, życiebym dał za podejrzenia.

Lawinia.

Wątpisz pan o mnie?

Rudolf.

Krwiąbym okupił wątpliwość!

Lawinia.

Wybornie! Coraz to lepiéj; jeszcze jedno wspaniałomyślne wysilenie, a rzecz wyjaśni się zupełnie. Obraza blizka już obelgi.

Rudolf.

Mam tylko jednę winę.

Lawinia.

To i tak dosyć.

Rudolf.

Powinienem był nie widzieć, a widziałem.

Lawinia.

Dokończ pan.

Rudolf (*na stronie*).

Jéj śmiałość dodaje mi odwagi. (*głośno*) Pani nie byłaś sama w tym pawilonie. Wszakże jasno się tłumaczę?

Lawinia (*udaje pomieszanie*).

Panie Rudolfie...

Rudolf.

Oddaliłaś mnie pani z obłudną zręcznością, chcąc sobie zapewnić godzinę. Nie czekałaś nawet jutra, wysłałaś mnie dzisiaj na spacer. Otóż właśnie to naleganie obudziło we mnie podejrzenia; sądziłem, że mam prawo czuwać nad własném szczęściem i uwolniłem się z niepewności. Widziałem te drzwi, które zawsze szanowałem, otwierające się przed rzeczywistością w czarnym fraku.

Lawinia (*udaje pomieszaną*).

Jesteś pan pewny, że to nie była illuzya?

Rudolf *(z przymuszonym śmiechem)*.

Illuzya!.. Anglik z Lankastru!.. Ogromny Anglik... piękna mi illuzya, która zostawia ślady swoich nóg potężnych na piasku!

Lawinia.

Czy wiész pan, jak się nazywa obecne pańskie rzemiosło?

Rudolf.

Nowicyat małżeński. Stowarzyszyliśmy się oboje do jednego rzemiosła. Każde z nas jest w swojém prawie: pani wyśledziłaś moje wejrzenia miłosne na drzewo, ja wyśledziłem schadzkę pani z illuzyą.

Lawinia.

A jeżeli się pan mylisz?

Rudolf.

Jeżeli pani pozwoli, pójdziemy razem do tego pawilonu.
(czyni krok ku wejściu).

Lawinia *(zatrzymuje go)*

Za pozwoleniem: rozmówmy się piérwéj. Dałeś pan swój szacunek, zaufanie i miłość kobiécie, uznałeś ją godną swego imienia i nagle strącasz ją obelżywém podejrzeniem do rzędu istot najpodlejszych... I serce twoje nie chce zadać fałszu oczom. Oczy mylą się czasem, serce nigdy.

Rudolf.

Ależ pozory... pozory niemylne...

Lawinia.

Otóż to wielkie słowo: czekałam na nie. Pozory! Więc pan, co się zaciągnąłeś do małżeńskiego nowicyatu, nie spodziewałeś się napotkać pozorów w długiém pasmie małżeńskiego pożycia? Ależ na Boga, czyż nie wiész, że wszystko co się dzieje przy nas, obok nas, zdala od nas, jest jednym ciągiem pozorów. Złudnę wizye przepełniają nietylko pustynie, ale i miasta. Trzeba długo badać i zgłębiać, zanim wydamy oczom naszym wiarogodne świadectwo... Nieraz mary wstają w samo południe... A pan, pan tak zacny i rozsądny, rozbijasz szczęście własne, znieważasz kobiétę, plamisz godność szlachecką dla wizyi, która ci wzrok zaćmiła wśród jasnego poranku. Znać, żeśmy daleko od Francyi, a raczéj że mimo długich podróży nie wyjechaliśmy z koła przywar ludzkości.

Rudolf.

To zrób pani cud, dowiedź mi jasno, żem nie widział tego, co widziałem, a padnę do nóg twoich.

Lawinia *(z ironią)*.

Doprawdy? Zdobyłbyś się pan na taki heroizm, żebym tego cudu dokazała? Panie Rudolfie, ja się więcéj po delikatności pańskiéj spodziewam. Cuda zostawiam Bogu, od człowieka wymagam ślepéj wiary.

Rudolf *(napół zwyciężony)*.

Pani!

Lawinia.

Oto piérwszy krok w dwóch syllabach: idź pan daléj.

Rudolf.

Ach! Taki słodki głos nie może oszukiwać! *(pada jéj do nóg)*. Jeżeli nie ma przebaczenia za taką obrazę, nie podnoś mnie pani, pozwól mi umrzéć u nóg swoich!

Lawinia.

Powstań, i niech to będzie ostatnia lekcya twego nowicyatu. Idź do pawilonu i przynieś mi co ci poda ręka illuzyi. *(Rudolf się waha)*. Idź pan.

Rudolf.

Pani każe?

Lawinia.

Proszę. *(Rudolf wchodzi do pawilonu)*.

SCENA XVII.

LAWINIA *(sama)*

Wierzy, więc kocha: wiara jest miłością.

SCENA XVIII.

WINCENTY, LAWINIA.

Wincenty *(spostrzegłszy ją cofa się)*.

Lawinia.

Jużeś powrócił?

Wincenty *(zakłopotany)*.

Tak pani... powróciłem. Pan został w tyle. Koń jego taki kontent że się na pole wyrwał, że chciał jeszcze z kwandrans pobiegać... Biédne zwierzę!... *(widząc wchodzącego Rudolfa)*. O! głupie zwierzę!...

SCENA XIX.

WINCENTY, LAWINIA, RUDOLF.

Rudolf (*do Lawinii*).

(*Trzyma papiér w ręku.*

Pracowałaś nad szczęściem naszém, tyś anioł, a ja niewdzięcznik!

Lawinia (*do Wincentego, który stoi zmieszany*).

Spodziewam się, że to będzie twoje ostatnie kłamstwo!

Wincenty.

I piérwsze... (*na stronie*). Dzisiaj.

Lawinia.

Przebaczam ci, zawołaj Klotyldy. (*do Rudolfa*). Przeszłość nie istnieje: zapomnijmy o niéj. Jakże ci się podobał mój notaryusz, pan Gipson?

Rudolf.

Nadzwyczaj miły!

Lawinia.

Oddał ci kontrakt, który nas czyni właścicielami téj posiadłości?

Rudolf.

O czarodziejko! Nigdym cię bardziéj nie kochał! Ten notaryusz pisze stylem nieporównanym! Słuchaj pani, czy może być piękniejsza składnia. (*Czyta*): „Nieruchomość z ruchomościami, przyległościami, folwarkami, przypadłościami, dochodami, mająca rozległości tysiąc morgów"... Taki styl zaginął! Dzisiaj już tak nie piszą!

Lawinia.

Póki pamiętam. Przyrzekłam nagrodę Klotyldzie.

Rudolf.

Słusznie. Wynagrodzony chętnie wynagradza.

Lawinia.

Wydaję Klotyldę za Wincentego.

Klotylda.

Oto mi nagroda!

Wincenty.

Możesz nas pani uważać za małżeństwo.

Rudolf (*do Wincentego*).

Zwalniam cię z przysięgi.

Wincenty.

Dzięki ci wspaniałomyślny panie! (*Na stronie do Klotyldy*). Prawo nie broni dwa razy się z jedną żenić.

Klotylda (*do Wincentego na stronie*).

Powinnoby nawet dozwalać przysięgać na wierność żonie dwa razy.

Wincenty.

I pewnieby nikt pozwolenia nie nadużył...

Rudolf (*do Wincentego i Klotyldy*).

Po gruntownéj rozwadze dajemy wam sześć miesięcy czasu na probę małżeństwa.

Lawinia.

Nie inaczéj. Trzeba rozpowszechniać wynalazek.

Wincenty.

Proba niepotrzebna. Moja żona idzie za mnie ze swemi błędami, ja się z nią żenię z mojemi; kto ich ma więcéj, będzie pobłażał drugiemu (1).

KONIEC.

Pośród mleczno-wodnistych dramatów modnych, pojawiła się nie wiem jakim przypadkiem na paryzkiéj scenie sztuka żywego kolorytu i śmiałych zarysów, przypominająca nieco płomienne utwory Wiktora Hugo. Tą razą rzecz nie dzieje się w ciasnym pokoju wyklejonym ziolonym papierem w żółte kwiatki, pośród zacnéj episierskiéj rodziny, prawiącéj sobie nawzajem długie kazania, których słuchając zdrzymnąć się można stojący. Weneckie Wesele autor oprawił w weneckie ramy; tajemnicze a strojne gruppy puścił w gondolach po lagunach i wielkim kanale, dramat swój zawiązał w pałacu Duków. Malownicze obrazy pełne południowego życia, gromadzą się na Piazzecie wysłanéj marmurami, o które wietrzyk fale Adryatyku roztrąca..... Nocne schadzki, co się przed ludzkim wzrokiem kryją

(1) *Proba małżeństwa* była piérwszy raz przedstawioną w Théâtre-Français w Paryżu 6 marca 1855 roku. Dotąd nie była drukowana osobno. Obecnie drukuje się w Mousquetairze, dzienniku literackim Dumasa.

w czarne kapiuszony, migają w cieniu, i nikt ich nie widzi prócz lwa skrzydlatego ze szczytu swéj granitowéj kolumny. Gondole kładą długie szyje na marmurowych schodach, jak oswojone łabędzie na bassenowym obrąbku, lub przepływają pod mostem Rialto, gdzie Szekspirowski Szylock mieszkał, i ostrzył nóż co miał z piersi Bassania ów funt mięsa wykroić. Tu i owdzie widać balkony w maurytańską koronkę wystrzygane, na których tęskna Dezdemona śnieżne wspierała dłonie; tu i owdzie wiją się wązkie uliczki, co jeszcze białe burnusy Maurów pamiętają. Ach! śliczne, śliczne to są ramy dla malarza poety!

To też autor pan Wiktor Sejour zużytkował całe bogactwo materyałów, jakie mu do dzieła wenecka historya i weneckie zwyczaje nastręczały, a czerpał w tych skarbach pełną ręką: nie pominął ani rady dziesięciu, ani zamaskowanych zbirów, ani pojedynków, ani trucizny, ani drabin sznurowych, ani paszczy bronzowéj, ani mostu westchnień, ani kanału Orfano. Dotknąwszy Wenecyi, przedmiot do dna wyczerpał, i ułożył posępny dramat, mający wiele wartości dla artystów pod względem miejscowego kolorytu, zajmujący dla ogółu z powodu strasznych obrazów, na które ludzie zazwyczaj radzi patrzą.

Naczelnik rady dziesięciu Orseolo, jest jednym z tych typowych starców spalonych ogniem nienawiści, jakich nam przedstawiają dzieje z czasów rzeczypospolitéj weneckiéj. Angelo tyran padewski powiedział, że każdy z rodu Malipierów musi kogoś nienawidzieć; otóż rodzina Orseolów takąż samą dzikością natury się odznacza. Kiedyś rywalizowała o piérwszeństwo z rodem Falierów, i tak jéj ta nienawiść w serce się wpiła, że zastarzałych uraz i zemsty, jakiemi ku Falierom pałali Orseole, nie zgasiła nawet krew ściętego doży. Stary Orseolo żałuje, że zabrakło Falierów zemście jego; patrząc na pustą ramę, czarną krepą okrytą, która zastępuje miejsce straconego między portretami dożów, stary tygrys potrząsa siwą głową... i z goryczą duma o nienawistnym rodzie, co dziś rozproszony albo wygasły, wymyka się z jego szponów.

Nienawiści familijne zdarzały się bardzo często w średniowiecznych Włoszech, przechodziły z pokole-

nia w pokolenie, a kończyły nie piérwéj, aż na zwycięztwie zupełném jednéj z dwóch rodzin. Każdy wielki dom miał rachunek bieżący, na którym równoważyły się zabójstwa z zawsze krwi głodną zemstą. Po śmierci swego wroga zwycięzca pisał na karcie i wrzucał pomiędzy zapłacone kwity te proste słowa: „ha pagato"!

Długo oczekiwana sposobność zemsty zjawiła się wreszcie. Orseolo chwyta ją chciwie. Jakiś rycerz awanturnik, imieniem Galieno, odniósł zwycięztwo na Turkach, za co serenissima respublica daje mu szlachectwo, 500 dukatów pensyi, i łańcuch złoty. Wtedy Galieno oznajmia, że jest potomkiem Marino Faliera, a ponieważ zdaje mu się, że sławą swoją zmył zbrodnią naddziada: żąda, żeby zdjęto czarne opony z portretu ściętego doży, i zmazano fatalny na obrazie napis. Senat już się przychyla ku jego żądaniu, ale Orseolo głos zabiera i tak silnie przemawia przeciw rehabilitacyi Faliera, że rycerz odmowną dostaje odpowiedź. Widząc ukrytą wściekłość Galiena, Orseolo napawa się cierpką rozkoszą nienawiści: oczy jego tygrysie ciskają płowe błyskawice z pod brwi siwych i najeżonych, uśmiech nerwowy wałęsa się po bladych jego wargach, ręce drżą poruszane gorączkową radością.

Albona, córka Orseola, nie podziela uczuć ojcowskich względem młodego rycerza; piękność i odwaga młodzieńca, mocne czynią na niéj wrażenie. Jak Julia na widok Romea, tak ona od piérwszego wejrzenia pokochała potomka Falierów. W tém miejscu dramat zawiązuje się na dobre. Galieno zagniewany opuszcza Wenecyą, poprzysięga jéj nienawiść, i łączy się z korsarzami na wyspach Adryatyku. Ale Orseolo raz uchwyciwszy zdobycz nie tak łatwo ją puszcza: do boku młodzieńca przydaje czarta kusiciela w osobie kurtyzanki Morosiny, dawniéj możnéj pani, która teraz szpiegostwem i umizgiem odbudowuje utraconą fortunę. Lecz Morosina zamiast naganiać młodzieńca w fatalne sieci, zakochała się w nim szalenie.

Pewnego dnia korsarze powracają z wyprawy, przywożą łupy i jeńców, a pomiędzy nimi Albonę, przedmiot miłości Galiena. Albona trzeźwi w sercu

kochanka zatrutą gniewem miłość kraju, naprowadza go na szlachetniejszą drogę, i powraca z nim do Wenecyi.

Orseolo, któremu Galieno straconą córkę oddaje, nienawiści ku niemi pokonać nie może: czuje wroga, i krąży koło niego jak lew z zakutą paszczą. Wié, że Albona kocha rycerza; żeby więc wydrzeć to serce nienawistne, potrzeba zabić własną córkę. Napróżno probuje groźby i perswazyi; kiedy ją chciał z innym połączyć, uciekła od ołtarza i ledwie jéj czarę trucizny z ręki wytrącił: chciała się otruć wraz z kochankiem. Starzec po długiéj walce zezwala wreszcie na ich związek, Albona idzie za Galiena, ale starzec umiera z rozpaczy błogosławiąc córkę, a przeklinając zięcia.

Charakter Orseola narysowany jest nadzwyczaj śmiało. Serce starca, którém naprzemiany miota straszna nienawiść i tkliwość ojcowskiego przywiązania, dostarczyło autorowi niewyczerpaną minę kontrastów, z których korzystać umiał. Zresztą bogactwo ubiorów, dokładność dekoracyi, sprawiają wyborne złudzenie i cofają widza w świat średniowieczny, dziki, namiętny, ale malowniczy i dramatyczny do najwyższego stopnia.

Wyszło czwarte wydanie Historyi francuzkiéj od najdawniejszych czasów aż do roku 1789, przez Henryka Martin. Ważne to i obszerne dzieło jest owocem pracy całego życia. Martin, członek Akademii, otrzymał tak zwaną nagrodę Gobert, udzielaną za prace historyczne; prócz tego był cztéry razy wieńczony przez Akademią. Nigdy zapewne honory i pieniądze nie były słuszniéj przysądzone. Historya Francyi Martena jest zapewne najpopularniejszą we Francyi; nauczyciele publiczni i prywatni najchętniéj ją dają do czytania młodzieży, ponieważ celuje pomiędzy wszystkiemi bezstronnością i umiarkowaniem, pisana jest bez żółci i wykrzykników, a mimo to znać wszędzie, że duch nieposzlakowanéj prawości prowadził pióro autora. „Nie przedstawiajmy historyi jako niemiłosiernéj bogini, powiada w przedmowie do czwartéj edycyi, jako fatum nieubłaganę; piszmy dzieje w tym duchu, w ja-

kim Thierri napisał podbicie Anglii przez Normandów, a nadewszystko strzeżmy się pozbawiać historyi światłości bożéj, która najgrubsze chmury nieprawości ludzkiéj przebija."

— Pan Barante napisał Historyą Dyrektoryatu. Baron Barante były ambassador francuzki, zanim rozpoczął zawód dyplomatyczny poświęcał się pracom historycznym; wyszedłszy z urzędowania znowu do pierwotnego powołania powrócił. Barante jestto jeden z tych historyków modnych a chłodnych, którzy nie mają żadnych namiętności tylko nieco przesądów. Na pozór umiarkowany i sprawiedliwy, w sądach swoich bywa bardzo uparty i stronniczy: znać, że zanim przystąpił do badania rzeczy już ją z góry osądził bez apelacyi. Autor historyi Dyrektoryatu dawniéj napisał był historyą książąt burgundzkich; za dewizę dzieła położył: Scribitur ad narrandum, non ad probandum; dzięki zapewne téj dewizie, książka znalazła wielu zwolenników, bo sztuka dla sztuki była wówczas teoryą modną. Barante więc że opowiadał dla opowiadania, dostąpił wielkich zaszczytów, i został przyjęty w grono akademików. Były to czasy wielkiéj czczości literackiéj i próżni w dziedzinie myśli; głos, któryby nam się dzisiaj brzęczeniem komara wydawał, wtedy rozlegał się jak grzmot potężny.

W roku 1848 pan Barante wydał Historyą Konwencyi, i odstępując od dawnéj dewizy, nie opowiada już dla opowiadania, ale dowodzi i chce przekonać każdego, że rząd przez niego zalecany jest ideałem rządów.

Historya Dyrektoryatu, któréj dopiéro dwa tomy wyszły, jest napisana w tymże samym duchu co historya Konwencyi. Trzeba oddać słuszność panu Barante, że bardzo zręcznie wybrał i ułożył dokumenta potrzebne na poparcie swego twierdzenia; ani mu téż zaprzeczyć nie można piękności stylu i formy. Ale oprócz tych zalet, innych jeszcze potrzebuje historyk: poczucie głębokie prawdy, i przenikliwy rzut oka na wszystkie strony, są dwa niezbędne warunki do napisania głębiéj jakiegokolwiekbądź dziejowego ustępu; na nichto panu Barante zupełnie zbywa. Dlatego dzieła jego chociaż pięknie napisane, są jakby nie z tego świata. Muza je-

go zamiast być kapłanką przeszłości i Sybillą przyszłości, jest tylko dowcipną i dobrego tonu Dueryerą.

— Wielu ludzi znanych od półwieku na tutejszéj widowni politycznéj, których tyle kroć razy malowano pochlebnie lub w karykaturze, których żywota z pochwałami lub naganami kreślono wedle pojęcia téj lub owéj partyi, sami dziś głoszą historyą swego życia i spowiadają się przed publicznością. Oczywiście jakaś mania spowiedzi głośnych napadła wielkich i małych, jakby fałsz chcieli zadać słowom Jana Jakóba, który twierdził, że nikt po nim spowiadać się nie będzie. Przy tak gwałtownéj potrzebie spowiedzi, domyślaćby się należało szczerego żalu za grzechy, wielkiéj chrześciańskiéj pokory; tuszyć, że wybiła nareszcie godzina królestwa Bożego na ziemi. Kto tak mniema w prostocie ducha swego, niech się strzeże, żeby która z owych spowiedzi w ręce mu nie wpadła, bo zaprawdę naraz wszystkie złudzenia utraci; dowié się, że ci wszyscy domniemani pokutnicy na to się oskarżają i wywnętrzają z udaną dobrodusznością, żeby uchodzić za co innego niż są w istocie. Jednakowoż niezawsze im się to udaje: baczny czytelnik nieraz dopatrzy na tych obrazach wilczą łapę z pod baraniéj skóry.

Między wieloma kandydatami do spowiedzi, pan Guizot zapowiedział swoje pamiętniki, a pan Dupin starszy ogłosił już swoje drukiem. Połowę piérwszego tomu poświęca adwokackim wspomnieniom, i te są najciekawsze. Świetny swój zawód prawniczy za czasów restauracyi opisuje szczegółowo, wymienia nieomal wszystkie sprawy jakich bronił wtedy. Wielka szkoda, że sławny adwokat nie tak dobrze pisze jak mówi, i nieraz w najciekawszém miejscu zbywa czytelnika ogólnikami, nie dając mu jasnego pojęcia ani o swych klientach, ani o oskarżycielach, ani o owéj epoce. Niemniéj żałować przychodzi, że tak krótko opowiada najpiękniejszy ustęp swego życia. Znać bardzo mu było pilno przejść od kratek do polityki, tak pilno, że jednym skokiem od restauracyi przeniósł się do wypadków 1848 roku, i wyłącznie o polityce traktuje.

— Pochodzenie Werthera przez Armanda Baschet, są to ustępy z młodych lat Goethego. Autor Francuz, zbierając materyały do dzieła, długo pozosta-

wał w Niemczech, a przeczytawszy świeżo ogłoszone w języku niemieckim listy Goethego do Charlotty, i Alberta Kestner, które wnuk ich wydał, umyślił opisać tajemnice młodości owego męża, którego świat cały zwykł podziwiać w olimpijskim blasku sławy jego.

Przytaczam z tego dzieła list przebłagalny Goethego do małżonków Kestner, napisany po wydrukowaniu Werthera, w którym poeta, jak się pokazuje, prawdziwy dramat pod ich dachem odegrany opisał, i wydał na pastwę publiczności.

„Przyjaciele moi, przyjaciele zagniewani, piszę do was dlatego, żebym sobie nie miał nic do wyrzucenia. Stało się! Dzieło wydrukowane: jeśli możecie przebaczcie mi! Nic nie mówcie, nic, zaklinam was, dopóki powodzenie poematu nie osłabi przesadzonéj obawy waszéj, dopóki samo dzieło nie uzyska od serc waszych przebaczenia za mieszaninę kłamstwa i prawdy. Ty Kestnerze, jak dawniéj tak i teraz sądzić mnie będziesz z pobłażaniem.

....„Wolę milczéć; nadmienię tylko o mojém szczęśliwém przeczuciu. Mam nadzieję, że wyroki Opatrzności pozwolą mi na nowo zacisnąć węzły, które nas łączą. Tak drodzy przyjaciele, jestem waszym dłużnikiem, chcę być nawet dłużnikiem waszych dzieci, ażeby nagrodzić złe godziny, które moja... nazwijcie ją jak chcecie, na was ściągnęła. Kestnerze, Charlotto, zostańcie jakimi was dawniéj znałem... Ojcze Przedwieczny! wszakże mówią, że wszystko na téj ziemi ku dobremu prowadzisz!—Goethe".

Książka jest zajmująca i napisana z czcią, jaka przystoi opisowi lat młodzieńczych geniusza: i młodość bowiem wielkich ludzi jest święta. Wszakże starożytni bóstwa swoje u źródeł wielkich rzek stawiali.

— Villemain wydaje daléj swoje Souvenirs Contemporains; nowo wydrukowany tom zajmuje cały historya Stu-Dni. Francuzi nie mogą się nachwalić piękności stylu, dowcipnych zwrotów, i wybornie narysowanych portretów jakie na każdéj karcie napotkać można w tém dziele; jakoż rzeczywiście na dowcipie mu nie zbywa, ale taki sposób pisania historyi, nam ludziom północy, wydaje się zamało poważny.

— Pamiętniki Lady Blessington świeżo wydane w Londynie, budzą ciekawość powszechną. Anglicy uważają je za pendant do pamiętników pani Sand. Obejmują wiele zajmujących listów Byrona, Moora, Southeya, Bulwera i t. d.

Oto bilecik lorda Russel, którego lady Blessington prosiła o artykuł do Keepsaka wydawanego przez nią corocznie:

„Kochana lady Blessington! Jakkolwiek jestem w opozycyi (5 lutego 1838) tak mam głowę roztrojoną polityką, że nie mogę od niéj oderwać umysłu i skierować go w sfery wyższe i przyjemniejsze. Czuję się więc zupełnie niezdolny do współpracownictwa w pięknéj księdze, będąc zdegradowany do roli zwierzęcia.... (de la bête). Patrz pani, co to jest zaprządz się do wozu państwa."

— A propos passażu Radziwiłła, (który jak wiadomo przez niego w Paryżu zbudowany, dotąd imię księcia nosi) w pisemku miesięcznem o którém w Paryżu nikt nie wié, choć Causeur universel, tytuł dość szumny, odkopaliśmy obok Kauczukomanii tłumaczony ustęp z Pamiątek szlachcica litewskiego: „Nocleg Karola Radziwiłła w klasztorze Bernardynów w Nowogródku.

Panie Kochanku tłumaczy się tu „Monsieur mon chéri". W ogóle przekład nie ze wszystkiém dokładny, i nic dziwnego: bo jak tu tłumaczyć naprzykład one trepki Ojca Idziego, albo Augustówkę księcia w pojedynku z panem Tryzną, albo ono litewskie: to ja taki pacierza mówić nie będę i t. d. Zgorszyło nas najbardziéj, kiedy tłumacz Radziwiłłowskie: „co tobie klechu", oddaje przez animal, jakby szlachcic czy książę polski mówiąc do Bernardyna, mógł mu ubliżyć tak dalece. Ten jeden wyraz całkiem wykrzywia i charakter porywczy, ależ nie szalony księcia wojewody, i uszanowanie jakiego taki pan nawet nigdy nie mógł zapomnieć dla duchownéj w Polsce osoby. Jednak, mimoto wszystko, szczerze mówiąc, spotkanie takie nawet w Causeur Universel przyjemną było dla nas niespodzianką.

— Alexander Dumas fils napisał pięcio-aktową komedyą pod tytułem: Le Demi-Monde. Mimo, że ta

sztuka przed parą dniami piérwszy raz przedstawiona w teatrze Gymnase, niesłychane zyskała tu powodzenie; zdawać sprawy z tego przepsutego pół świata nie będę, bo dzięki Bogu niktby go z Polaków nie zrozumiał.

Wspominałem dawniéj czytelnikom naszym o posągu dziewicy Orleańskiéj, nowém arcydziele pana Foyatier, słynnego twórcy Spartakusa. Posąg ten olbrzymi, rzadkiéj piękności, będzie inaugurowany w Orleanie 8 maja. Miasto Orlean przygotowuje wspaniałe uroczystości, mające trwać dni kilka. Piérwszy to posąg Joanny d'Arc, w który natchniony artysta wlał potężnego ducha pasterki; ducha, co raz wyrwawszy się z ciała, bujał w błękitach nieuchwycony dłutem ani pędzlem, a na ziemi żył tylko w cudownéj legendzie. Wielu sztukmistrzów kusiło się wykuć z marmuru formy czarodziejki, lub je pędzlem oddać; ale daremnie: duch dziewicy wyraźnie stronił od nich, aż się zjawił rzeźbiarz pasterz, z tejże wioski co ona rodem, prosty jak ona, nie nauczny, lecz kochający. Ten zapragnął wznieść posąg pasterce, i... o cuda!... duch jéj ożywił bronzy.

W roku 1845 skoro Foyatier swój zamiar oznajmił, po całéj Francyi poczęto zbierać składki na posąg Joanny. Rząd dał na ten cel 9,000 franków, i nakazał wydać artyście na jego żądanie z arsenału Douai potrzebną liczbę dział angielskich i francuzkich, do ulania z nich statuy. Po ukończeniu, statua długo musiała czekać na piedestał, którego wykonanie nowe znów koszta pociągało. Na ten cel urządzono loteryą, z któréj dochody pozwoliły wreszcie dokonać dzieła, i dziś wszystko gotowe czeka na dzień inauguracyi.

Prawie równoczesne otwarcie wystawy powszechnéj, oraz łatwość przewozu, jaką dostarczy administracya kolei żelaznych, spowoduje, że Orlean ósmego maja nie pomieści licznych gości, którzy ze wszech stron Francyi dążyć będą z winnym hołdem dla swéj bohaterki.

Program uroczystości ułożony jest z wielką znajomością historyi i sztuki przez pana Dellon, architekta, któremu powierzono odnowienie orleańskiego ratusza.

Nie będzie to zwyczajna inauguracya posągu, jakie widzieć można często; jedna z owych bezdusznych ceremonii, do których zawsze też same chorągwie i herby służą. Orlean gotuje prawdziwie średniowieczną fetę, urządzoną wedle zwyczaju piętnastego stulecia, z historycznym orszakiem rycerzy, duchowieństwa; z całym przepychem, towarzyszącym owczesnym obrzędom narodowym, znanym nam tylko z tradycyi. Legenda Joanny d'Arc będzie przedstawiona w obrazach żyjących: rycerze co pod jéj bokiem walczyli, herby miast przez nią oswobodzonych, dawne zbroice i rynsztunki wojenne: wszystko przedstawione będzie ze czcią religijną. Na czele pochodu powiewać będzie owa chorągiew, którą dziewica powiewała wśród bitew, i w dzień sakry także miała w dłoni, mówiąc: „Elle a été a la peine, il est juste qu'elle soit á l'honneur".

Plac na którym ma stać posąg, cały ozdobiony będzie w guście XV wieku. Ogromne dekoracye porozwieszane na nowych budowlach, przedstawiać mają ze skrupulatną dokładnością starożytne domostwa, których opisy znajdują się w archiwach miasta. Będzieto ciekawy i jedyny w swoim rodzaju widok dla artystów i dziejopisów: średniowieczna uroczystość przedstawiona nie na teatrze, ani w ciasnych szrankach hipodromu, ale pod gołém niebem, na obszernym placu wśród pięknego miasta, z religijną powagą, na témże samém miejscu, gdzie niegdyś przed czterystą laty powiewała zwycięzka chorągiew dziewicy Orleańskiéj.

Wieczorem, po inauguracyi, panna Rachel obiecała wystąpić w Orleanie w pięknym dramacie Joanna d'Arc.

SPRAWOZDANIE

Z PODRÓŻY NATURALISTÓW

odbytéj w r. 1854 do Ojcowa.

(Ciąg dalszy).

Gdy kilku naturalistów spolną podróż odprawia, zapatrują się oni zrazu na ogół przyrody w miejscu do którego pierwszy raz przybędą; lecz wkrótce każdy z nich pojedynczo zwraca uwagę na to, co należy wyłącznie do części, którą sobie obrał, pragnąc nietylko zupełniéj ją poznać, ale i w jakimkolwiek stopniu przyłożyć się do jéj postępu. W naszém gronie ta wyłączność uważania rozdzielała się trojako pod względem zoologii: uważane były zwierzęta ssące, ptaki, i zwierzęta niższych gromad.

ZWIERZĘTA SSĄCE.

Zoolog, który w ciągu podróży naszéj tę gromadę zwierząt na szczególnym miał względzie, następujące ze stanowiska swojego czyni uwagi:

„Bogactwo i osobliwość fauny zwierząt ssących, nie mogły być w dolinie Ojcowskiéj dostatecznie zbadane w ciągu tak krótkiéj wycieczki, zwłaszcza że prawie nieustannie panujące deszcze, utrudniały zapoznanie się z okolicą, a między wieśniakami nie można było wynaleźć ciekawego i dobrze miejscowość znającego myśliwca, któryby potrafił łatwo do każdego żądanego zwierzęcia doprowadzić. Lud

tutejszy mało ruchawy, że nie powiem umysłowo niedołężny, nie wiele zwraca uwagi na żyjącą przyrodę, a i o tém nawet co mu prawie codziennie pod zmysły podpada, z trudnością od niego coś dowiedzieć się można. Tu więc naturalista, który przedsięwziął do samych zwierząt ssących badania swoje ograniczyć, zostawiony sam sobie, nader małe dla nauki czynić może zdobycze, bo taki, więcéj niż którykolwiek inny, zależy od pomocy miejscowych myśliwców.

Wycieczka téż tegoroczna w dolinę Ojcowską nic nowego dla téj części zoologii krajowéj nie przyniosła; pozwoliła tylko wiadomym już zkądinąd zwierzątkom bliżéj się przypatrzyć i dokładniéj je poznać.

Najciekawsze z nich są niedoperze. Okolica skalista, liczne, obszerne a po większéj części mało dostępne jaskinie i mnogość znajdującego się tutaj owadu, sprzyja niewymownie ich utrzymaniu. Niktby téż nie uwierzył w jakiéj znajdują się mnogości, chociaż dotąd oprócz najpospolitszego *Vesp. serotinus*, w wieży Ojcowskiéj żyjącego, dwa jedynie gatunki między niemi upatrzyć się dały.

N. myszak (*Vespertilio murinus* Lin.) największy z Europejskich niedoperzy, przebywa licznie w oddzielnéj jaskini przy dolinie Bentkowskiéj położonéj, do wsi Jerzmanowic, klucza Ojcowskiego należącéj, u ludu tutejszego *Księżą jamą* zwanéj. Obrzydliwość jéj wnętrza, gnojem tych zwierzątek zanieczyszczonego, ich pisk nieustanny i woń odrażająca, istny obraz przedpiekla, dziwne na zwiedzającym robią wrażenie, a dla naturalisty stanowią szczegół nader ciekawy, bo go nie łatwo gdzieindziéj znajdzie. Przeszedłszy kilka wązkich ganków, ujrzeliśmy na stropie obszerniejszego wydrążenia gniazdo myszaków, do kilkuset sztuk liczyć mogące. Wszystkiemi czterema nogami częścią do skały, a częścią jedne do drugich poprzyczepiane, tworzyły one ogromną ciemną plamę na tle białawego sklepienia groty. Za zbliżeniem światła i dymu poczęło się roić to plugastwo, mocniéj żarem dotknięte, po jednemu odczepiały się z miejsca, szukając bezpiecznego przytułku w dalszych rozgałęzieniach jamy. Wkrótce jednak usiłowały do pierwotnego siedliska powrócić, w skutek czego, taki ruch powstał w téj podziemnéj osadzie, że w ciaśniej-

szych przejściach niedoperze, w jedną i drugą stronę latające, o nas się potrącały. W krótkim czasie dostaliśmy ich dwadzieścia kilka sztuk już zupełnie starych, już też jak się zdaje zesiłowanych, i dalszego zaprzestaliśmy niepokojenia.

Stare matki, częścią już wykocone, częścią jeszcze ciężarne, różniły się od innych znacznie większym wzrostem i sierścią bardziéj żółtawą, mianowicie na wierzchu ciała. Niektóre wielkością małemu kretowi równały, a w siągu skrzydeł rozpoztartych, do 17 wymierzały cali. Nabrzmiałość gruczołów mlecznych u wykoconych samic, świadczyła, że jeszcze były karmicielkami swych dzieci, tych jednak nie miały uczepionych przy sobie, jak to powszechnie utrzymują naturaliści. Jałowe samiczki i wszystkie samce, miały kolor sierści myszaty, tojest brudno popielaty z wiérzchu a białawy od spodu, któreto barwy tém były wyraźniejsze im zwierzątko samo młodszém się wydawało. Zpomiędzy dwudziestu kilku sztuk, jeden tylko samczyk mógł być tegorocznym; widać to było po krótszych stosunkowo skrzydłach, grubszych stopach, krótszéj głowie i szerszym pysku, lubo i ten już się był odchował i dobrze o swoich siłach latać umiał; wszystkie inne były jak się zdaje przynajmniéj zeszłorocznemi, młode zaś ostatniego pomiotu, mocno widać w szczelinach groty siedziały.

Myszak jest pomiędzy niedoperzami bardzo łatwym do rozpoznania, i kto mu się raz dobrze przypatrzył, ten się pewno w tym względzie nie pomyli. Jednakże trudno właściwe jego cechy opisać, bo polegają nie tyle na kształcie, ile na stosunkowych wymiarach pojedyńczych części ciała. Jakoż ze wszystkich gatunków tego rodzaju, ma pysk stosunkowo najdłuższy, oczy najwydatniejsze, i najsilniejsze zęby, tak dalece, że wyraz twarzy jego, wilczą paszczę nieco przypomina. Uszy także są u niego dłuższe i więcéj błoniste niż u zwyczajnego niedoperza (*Vespertilio serotinus* L.), a podobnie siatką muskułów opatrzone i w skutek tego skręcać się dające jak u niedoperza uszaka (*V. auritus* L.). Ustawnie też niemi porusza w locie, a w stanie spoczynku nakształt baranich rogów zwinięte trzyma.

Najłatwiéj poznać go można po ubarwieniu. Jest ono płowe albo myszate z wiérzchu, a od spodu białawe, zawsze

przy jasno-brunatnych błonach, kiedy wszystkie inne, wielkością do niego zbliżone niedoperze, mają włos mniéj więcéj kasztanowaty a błony lotne czarne. Oprócz tego, włos na myszaku jest nierównie mniéj połyskujący i rzadszy jak u tamtych, a twarz i kark zwłaszcza u młodych, prawie całkiem nagie. Rzadkość ta włosa, w wielu miejscach gołe ciało widzieć dająca, oraz mnóstwo żyjących na tym gatunku pasorzytów, czyni go więcéj nad inne obrzydliwym.

Żaden bowiem z niedoperzy nie podlega tyle pasorzytom co myszak. Na częściach włosem porosłych, żyje u niego szczególny owad bezskrzydły *(Nycteribia)* temu tylko rodzajowi zwierząt właściwy, a na błonach lotnych oddzielne także pajączki z rodzaju *Caris*. Piérwsze niezbyt liczne ale zato wielkie, w ilości pary a najwięcéj kilku sztuk na jednem zwierzęciu, z zadziwiającą szybkością przesuwają się pomiędzy włosami, od których trudno je oderwać; drugie, w liczbie niekiedy kilkudziesięciu, podobnież tak silnie błony się czepiają, że choć na niéj w ustawicznym są ruchu, przecież za życia ani się strząsnąć ani zmieść nawet nie dadzą. Zdaje się, że głównym powodem takiéj ilości powyższych pasorzytów, jest nieczystość miejsca, w którém przebywają myszaki i tak liczne ich w jeden punkt nagromadzenie, że z czasem gnojem swoim utworzyły kopiec kilkanaście fur obejmować mogący. Bez najmniejszéj przesady widzieliśmy ich kilkaset sztuk w jednéj tylko części groty, a i to jeszcze nie może być równane z liczbą, w jakiéj młodzież marymoncka, przed kilku laty Księżą jamę z professorem Jastrzębowskim zwiedzająca, te niedoperze znalazła. Jeszcze one wówczas nie były przez nikogo niepokojone. Jeszcze wśród indywiduów pełnego życia używających, można było widzieć w tém skrzydlatém plemieniu resztkami sił goniące i dogorywające stada, a nawet już nieżywych szkielety, czego dziś w głębszych chyba i mniéj dostępnych częściach jamy, szukaćby było potrzeba. Nasz ornitolog hrabia Wodzicki, naoczny tego stanu rzeczy świadek, opowiadał, że dopiéro za kilkakrotnie powtórzonym w jedno miejsce strzałem, potrafił skałę z przyczepionych do niéj niedoperzy oczyścić, i to w takiéj tylko dało się zrobić przestrzeni, jaką mógł pokryć wyrzucony ze strzelby nabój. Pewnie w tém samém miejscu przebywały

one, mnożyły się i ginęły od lat niepamiętnych, zanim je ciekawość podróżującéj młodzieży po raz piérwszy odkryła i przez to raz na zawsze zakłóciła ich spokojność. Teraz w Księżéj jamie rok rocznie kilkaset sztuk myszaków pada ofiarą ciekawości albo prostéj swawoli podróżnych, a pomimo tego dziś jeszcze ta jedna jaskinia mogłaby nasycić żądania wszystkich na całym świecie zoologicznych gabinetów.

Myszaki w obyczajach swoich więcéj od innych niedoperzy okazują dzikości. W niewoli w jedném miejscu zamknięte, kąsają się wzajemnie, kaleczą, kości w członkach sobie łamią a nawet na śmierć zagryzają. Zaopatrujący się w nie dla zrobienia gabinetowych preparatów, o téj ich właściwości zapominać nie powinni, jeśli chcą z nich dobre przygotować okazy. Zdaje się jednak, że w stanie wolnym żyją wyłącznie owadem, a przynajmniéj w ich gnoju śladu żadnego innego pokarmu napotkać nie można. Ciągłe deszcze nie pozwoliły nam przekonać się o jakim czasie wylatują ze swych kryjówek, mniemać jednak wypada, że bardzo późno; również i to zdaje się pewném, że się do miejsc zamieszkałych niechętnie zbliżają, a przynajmniéj w takich miejscach żadnego z nich widać nie było.

Drugim gatunkiem Ojcowskich niedoperzy jest:

Podkowiec mniejszy *(Rhinolophus bihastatus Et. Geoffr. (1) Vespertilio hipposideros* Bechstein), zwierzątko nietylko z powodu rzadkości alei z powodu budowy osobliwe, a ztąd bliższego zastanowienia godne.

Podkowce ukształceniem ciała na piérwszy rzut oka niedoperzom podobne, w systemacie Linneusza jeden z niémi rodzaj tworzyły. Mają jednakże pewne odmienności w budowie, które po bliższém dopiéro przypatrzeniu się dostrzedz w nich można. Pomijając chrząstkowatość kości między-szczękowéj, krzywość przedramienia i nadzwyczaj-

(1) W poprzedzającym ciągu naszego sprawozdania, (str. Bibl. Warsz. 145) poprawić należy tę nomenklaturę. Synonimy tego gatunku, przez autorów przytaczane, idą w takim porządku: Bull. *le petit Fer-à-cheval.* Bechst. *Vespertilio hipposideros.* Montagu *Vespertilio minus.* Herm. *Rhinolophus hippocrepis.* Fréd. Cuv. *Rhinolophus bifer.* Etienne Geoffr. i Temm. *Rhinolophus bihastatus.* Nazwisko *unihastatus* należy do drugiego większego gatunku, z którym ten pomieszany był u autorów pod nazw. *Vespertilio ferrum equinum.*

ną szczupłość miednicy, jako szczegóły anatomów więcéj obchodzące, każdego uderzy osobliwsze urządzenie nosa u tych zwierzątek. Nie mają bowiem nozdrzy na końcu pyszczka, jak zwyczajne niedoperze i jak większa część zwierząt ssących, ale te umieszczone są u nich na wierzchu i otoczone chrząstkowato-błonistą narośla w kształcie końskiéj podkowy. Końce błony tę narośl tworzącéj, łączą się z sobą nieznacznie i przedłużają w kształt listka, który pod samém czołem sterczy, a jest jeszcze podparty z przodu osobnym chrząstkowatym słupkiem. Takie urządzenie nosa, zmysł powonienia u podkowców podnoszące, ułatwia im wyszukiwanie zdobyczy i wynagradza drobność oczu, które mianowicie w nocnéj ciemności niewielką im usługę pełnić mogą.

Wiadomość o podkowcach żyjących w okolicy Ojcowa, przywieźli po raz piérwszy do Warszawy, podróżujący w tamtych stronach przed dwoma laty professorowie tutejszego gimnazyum realnego, Alexandrowicz i Jurkiewicz. Sprawdził w roku zeszłym to ich spostrzeżenie p. Władysław Taczanowski, lecz w oznaczeniu gatunku miał jeszcze wątpliwość, którą tegoroczna dopiéro wycieczka usunęła.

W rzeczy saméj, w dwóch miejscach mieliśmy sposobność uważać tego roku podkowce. Najprzód w Potoku w dobrach J. W. generała adjutanta hrabi Wincentego Krasińskiego, a następnie w jednéj z dolin Ojcowskich. W Potoku na lewym brzegu strumienia, który zasilają dwa obfite źródła w tamecznym lesie początek biorące, znajdują się podobne jak nad Prądnikiem, lubo mniejsze wzgórza i wywyższenia skaliste, a w nich tu i owdzie mniéj więcéj wyraźne jaskinie. Nie mogą one iść w porównanie z Ojcowskiemi pod względem obszerności; są szczupłe i bardziéj zasypane ziemią, mieszczącą wiele cało dochowanych kości zwierzęcych. W trzeciéj z tych jaskiń, rachując w górę strumienia, na niewielkiém nad poziomem wody wzniesieniu będącéj, ujrzeliśmy podkowce. Grota w któréj się znajdowały, jest raczéj głęboką rozpadliną zacieśnioną w niektórych miejscach oberwanemi bryłami kamienia, tak jednak, że pomiędzy niemi niedoperz może nietylko łatwo przelatywać, ale się nawet i na wolne powietrze wydostać, gdyż się przez nie gdzieniegdzie światło dzienne przebija.

W głębi téj rozpadliny wisiały nasze zwierzątka w liczbie około 60 sztuk, tylnemi nóżkami do skały jedne obok drugich przyczepione, tak że ciałem swojém tworzyły ciemny krąg mniéj więcéj wielkości zwyczajnego sita.

Gdyśmy wszedłszy ostrożnie w to miejsce, poczęli im się przypatrywać, odrywały się pojedynczo, ulatując w głębsze ukrycia, tak że ów krąg po chwili znacznie się zmniejszył. Dla dostania okazów i z obawy aby się całkiem nie rozproszyły, daliśmy do nich ognia półnabojem drobnego śrótu, w skutku czego dostaliśmy ich na raz 16, nie licząc tych, które zaginąć mogły w grubym pokładzie liści rozpadlinę naszą zalegających.

Huk strzału poruszył wszystkie odrazu. Spłoszone poczęły latać w różnych kierunkach, niektóre zbliżały się do zewnętrznego otworu groty, żaden jednak nie wyleciał poza jéj granicę, ale raczéj wracał do środka i krył się w ciaśniejszych, a z tego powodu mniéj dostępnych szczelinach. Wkrótce pochowały się wszystkie, i cały ruch w jaskini ustał. Nazajutrz były nierównie ostrożniejsze i bardziéj jeszcze płochliwe: żaden nie siedział już na dawném miejscu; ale w innéj stronie sklepienia jaskini, mała jeszcze znajdowała się kupka, która na odgłos zbliżających się osób wcześnie ratowała się ucieczką, tak dalece, że jeden tylko strzału doczekał. W parę dni późniéj kilku zaledwie podkowców pokazało się w naszéj rozpadlinie, a i te nawet przez ukrycie się w głębszych szparach, wcześnie potrafiły niebezpieczeństwa uniknąć.

W okolicy Ojcowa żyją te zwierzątka w podobnéj zupełnie miejscowości. Grota w któréj się znajdują, nizka i mała ale rozgałęziona, a zarazem ciasne przechody mająca i dwa widoczne wyjścia, na zewnątrz zasłonioną jest podobnie jak w Potoku jodłowém i bukowém drzewem; przy samym wchodzie obszerniejszym, znajduje się na sklepieniu groty kilkanaście cali szerokie a 3 razy głębsze niby stożkowate wydrążenie, zapuszczające się w górę w kierunku zupełnie pionowym, miejsce zwykłego schronienia podkowców. Za zbliżeniem się naszém, poczęły podobnie jak w Potoku wylatywać z téj kryjówki, dążąc do głębszych i ciemniejszych ustępów, z których światłem i dymem wypła-

szane i za pomocą gałęzi na ziemię strącane, stawały się naszą zdobyczą. Dostawszy ich jedenaście, co nie dłużéj nad kwadrans trwało, pozostawiliśmy resztę w spokoju, chcąc je dla dalszych badań naturalistów zachować.

Trudno było dokładnie obliczyć ogólną ilość tych zwierzątek w grocie powyższéj napotkanych. Nie zdawała się ona zbyt wielka, do 50 atoli sztuk dochodzić mogła. Te któreśmy dostali, wszystkie żywe i w niczém nie uszkodzone, różniły się między sobą płcią a pewnie i wiekiem. Z pomiędzy samic, których się znajdowało nieco więcéj niż samców, duże były kotne, a te żyć przestały zanim je doniesiono do domu. Reszta samic były jałowe.

Linneusz, ojciec systematycznych naturalistów, oznaczył podkowce europejskie jedném tylko nazwiskiem *Vespertilio ferrum equinum*. Prawie spółczesny jemu Daubenton w uzupełnieniu dzieł Buffona rozróżnił ich 2 gatunki, które Gmelin w 13 wydaniu dzieł Linneusza zamieścił jako 2 odmiany pierwotnego gatunku tego naturalisty, przyczém powołał figury znanego dzieła Schrebera o zwierzętach ssących. Różnice między niemi zachodzące poczytują nowsi badacze za gatunkowe, ale ich opisy tak z sobą mieszają, że czytając je trudno częstokroć odgadnąć, o którym z podkowców chcą mówić. Takiego zamieszania najpewniéj jest powodem okoliczność, że każdy z nich miał przed oczyma te zwierzątka w pojedynczych okazach wiekiem i płcią odmiennych i to w różnych porach roku, a żaden nie miał ich pod ręką dostatecznéj liczby jednocześnie, aby jedne z drugiemi mógł porównać.

Chcąc więc naszym podkowcom naznaczyć właściwe gatunkowe stanowisko, trzeba było wrócić się do powołanych przez Gmelina Schreberowskich figur, z któremi porównane, okazują się niewątpliwie gatunkiem mniejszym, przez Bechsteina *Vespertilio hipposideros* oznaczonym. Gatunkiem *Rhinolophus clivosus* Cretzschm. być nie mogą, jak się tego w roku zeszłym domyślał p. Władysław Taczanowski, bo mają całkiem nagie błony, a to jest jedną ze stanowczych do rozróżniania niedoperzy wskazówek.

Wszystkie niemal podkowce znalezione w Potoku, były rude, na 15 bowiem sztukach jeden tylko samczyk miał włos popielaty, lekko brunatnym powleczony odcieniem,

a na drugim, zapewne w epoce linienia będącym, odzież w obu tych barwach była pomieszaną. Samice, których 3 tylko naliczyliśmy, nie różniły się barwą od innych samców, jednakże nieco większemi się wydawały.

Zeszłoroczne zpod Ojcowa podkowce, prawie o 3 część mniejsze od poprzednich i nierównie więcéj popielate, wydawały nam się na pierwszy rzut oka oddzielnym gatunkiem. Nowe ich w témże miejscu zdobycie przekonało nas dopiéro, że odmienności te nie wynikały z różnicy gatunku, ale z różnicy wieku, pory, a może innych jeszcze przyczyn. W rzeczy saméj, znaleźliśmy teraz między Ojcowskiemi podkowcami, jedne rudawe, inne całkiem prawie popielate; znaleźliśmy je we wszystkich barwach pośrednich, a nawet co do wielkości niejednostajne.

Szczególna jednak osobliwość daje się na tych zwierzątkach spostrzegać, która nam tłumaczy także, dlaczego ich opisy tak są niepewne. Uważane na wolności, wszystkie znacznie większemi się wydają; natychmiast ubite i preparowane, wymiary te zachowują i po śmierci, lecz w niewoli choćby parę dni tylko zamknięte, 3 część nieledwie swojéj objętości tracą. Ciało ich szczupleje, skóra się kurczy, nagie części nawet w skutek ściągania się tkanki, maleją i stają się ciemniejszemi. Dowodzą tego najlepiéj preparaty z tegoroczněj wycieczki przez p. Taczanowskiego przysposobione. Z Potockich bowiem podkowców jednym strzałem ubitych, są większe, z jaśniejszemi, bardziéj wietkiemi i przezroczystemi uszami i narośla nosową niż z Ojcowskich, które się żywo w nasze ręce dostały i przez parę dni żywo były trzymane. Jest mocny powód do mniemania, że okoliczność powyższa, wpływa także na zmianę barwy u tych zwierzątek, i że ona właśnie z jasno-rudéj więcéj popielatemi je robi. Nie podajemy jéj za pewność, ale zwracamy na nią uwagę badaczów, aby przy wydarzonéj sposobności sprawdzić jéj nie zaniedbali.

Opis naszego podkowca, jaki poniżéj zamieszczamy, nie jest czerpanym z dzieł zoologicznych, ale z naocznego przypatrzenia się dwudziestu siedmiu okazom, już żywym, już świeżo ubitym i porównania ich z siedmiu okazami, które w końcu września r. z. przywiózł z Ojcowa p. Taczanowski.

Podkowiec mniejszy (*Vespertilio hipposideros* Bechstein) odpowiada najbardziéj wzrostem niedoperzowi karlikowi (*Vesp. pipistrellus* Gm.) z wyjątkiem, że siąg jego skrzydeł jest nieco większym. U dorosłego bowiem skrzydło wyciągnięte przeszło 5 cali polskich wymierza, a wtedy długość zwierzątka, od końca pyszczka do końca ogona rachując, wynosi przeszło $3\frac{1}{2}$ cali. Włos na ciele długi i delikatny, zawsze jest ciemniejszy z wierzchu niż od spodu; gęstszym się wydaje za życia zwierzątka, niż po śmierci. Wierzchni jest dwubarwny, tojest przy nasadzie białawy albo popielaty, na końcu zaś popielato-brunatny lub jasno-rudy, prawie bez blasku, do niezmiernie delikatnéj bawełny podobny; spodni zawsze jednostajnie płowy albo białawy, cokolwiek jedwabisto się świéci. Części nagie na głowie i pyszczku płowe, przezroczyste; błony lotne wpół przezroczyste, brunatne, po śmierci przez ściąganie się tkanki ciemnieją i czarniawemi się robią.

Odmienność w kształcie i budowie nosowéj narośli, która ten gatunek od większego podkowca odróżnia, niełatwa jest do opisania, zwłaszcza gdy się tamtego nie ma pod ręką; u naszego liść przyczołowy jest włóczniowaty, na dwie połowy rozdzielony i w każdéj z nich dwa razy w poprzecz wyżłobiony głęboko. Chrząstkowaty słupek, który środkuje między tym liściem a samą podkowiastą narośla, z przodu lekką opatrzony wklęsłością, ma u góry błoniste słabo śpiczaste wywyższenia, a z boku drugie mniejsze, ostrzem naprzód skierowane. Ta część narośli, równie jak przyczołowy listek, posianą jest rzadkiemi włosami, pomiędzy któremi tu i owdzie dłuższe i ostrzejsze sterczą szczeciny. Górna warga zarosłą jest całkiem białemi, na dół spadającemi włosami, zasłaniającemi tak zwane wonne gruczoły, całéj rodzinie niedoperzy właściwe. Uszy nie mają wstawki, ale tylko z przodu szeroką, nieco od góry wyciętą, włosistą klapę, do zamykania w razie potrzeby otworu usznego służącą.

O ile myszak dzikiem i sprosnem że tak powiem wyrazem oblicza, a przytém nieochędożną powierzchownością, jest prawdziwie nieprzyjemnym dla oka, o tyle podkowce jeśli im się kto dobrze przyjrzy, odmienne zupełnie rodzą uczucie. Raz się pogodziwszy z niezbyt powabną wszyst-

kich niedoperzy postacią, można w nich nawet pewnego rodzaju piękność upatrzyć. Jakoż grube i nieco obwisłe wargi, kark i policzki napuszyste a przytém drobne oczy, nadają ich fizyonomii wyraz łagodnego a zarazem poważnego zadumania. Dodajmy do tego szczególną w całém ciele ruchawość, czystość i jedwabistą delikatność włosa, wysmukłość członków, i przezroczystość nieledwie błony lotnéj, która za życia zwierzątka do gęstéj pajęczyny jest podobną, a przekonamy się że mogą mieć niejakie do piękności w swoim rodzaju prawo.

Pod względem obyczajów zbliżają się najwięcéj podkowce do uszaków *(Vespertilio auritus* Gm.*)*. Na wolności nie używają innego spoczynku jak przyczepione tylnemi nóżkami, i z głową na dół wiszącą. To położenie, samo z siebie tak dziwne, jest im przecież najwłaściwsze. Nie zmieniając go wcale, wszelkie ruchy wykonywać umieją; podnoszą się i wykręcają dowolnie albo z miejsca w miejsce pieszo postępują, a to wszystko odbywa się u nich z podziwienia godną zręcznością. Uszy ich nabywają wtedy ruchawości szczególnéj: już się stulają na bok, już znowu wyciągają w górę, przyczém i narośl nosowa w ciągłém lubo nie tak widocznem jest poruszeniu. Wszelkie inne położenie, a mianowicie też spoczynek na poziomej powierzchni jest im niewygodny, z powodu zbyt szczupłéj miednicy; znalazłszy się w niém przypadkiem, co się tylko w niewoli przytrafić może, starają się zerwać na skrzydła, i do wyższego jakiego miejsca tylnemi nóżkami, według swego zwyczaju przyczepić. Sen dzienny odbywają otulone błoną lotną dokoła, tak iż im tylko końce pyszczka widać; ogon ich wtedy wykręcony jest w górę i tworzy wraz z błoną międzyudową rodzaj trójkątnéj klapki, dopełniającéj grzbietowego okrycia, które z powodu zbytnie wygiętych kości ramionowych, samą błoną lotną zamknięte być nie mogło.

Zwyczaj ten podnoszenia ogona, samym tylko podkowcom właściwy, i który w każdém położeniu ciała, a nawet w locie zachowują, odróżnia je od wszystkich niedoperzy, i pozwala je w powietrzu nawet w czasie lotu rozpoznać od innych.

Porównywając z sobą miejscowości w których znaleźliśmy nasze podkowce, okazuje się, że zwierzątka te lubią

groty pomniejsze, ale rozgałęzione, skryte przejścia do dalszych ustępów a w każdym razie dwa wyloty na zewnątrz mające. Podobna budowa w grocie pod Ojcowem jest widoczną, w Potoku nietyle, ale zapewniał nas przewodnik, że w téj rozpadlinie, w którejśmy je w przedpołudniowych godzinach widzieli, nie masz ich nigdy przed wieczorem, gdyż wtedy do wieczornego wylotu gromadzą się w innéj sąsiedniéj grocie, skrytym jak utrzymują kanałem z piérwszą rozpadliną połączonéj. Krótkość czasu nie pozwoliła nam sprawdzić tego ciekawego ze wszech miar spostrzeżenia.

Nie mieliśmy również sposobności oznaczyć ściśle czas wylatywania podkowców z ich dziennych kryjówek; miarkując jednak po ich ruchawości, szybkiém zrywaniu się do lotu, i niezbytniéj głębokości pieczar w których się chowają, wnosićby wypadało, że należą do wcześniejszych raczéj, niż do późno zbyt latających w téj rodzinie.

Pożywieniem ich są drobne zapewne owady, bo i otwór pyszczka mają mały, i zęby drobne, chociaż tak ostre jak śpilki.

Są jeszcze inne jamy w okolicy Ojcowa w których niedoperze widywano. Sprawdzenie tego i oznaczenie ich gatunku, zostawiamy do dalszych badań. Kilkodniowy pobyt, któremu ciągłe towarzyszyły deszcze, zaledwie wystarczył na zebranie tego co tu zamieszczamy.

Dla innych zwierząt ssących skalista Ojcowa okolica nietyle jest sprzyjającą. Ze szczurowatych mogą się tylko utrzymać wiewiórki, między któremi i czarna odmiana niekiedy spostrzegać się daje. Opowiadano nam, że jeden z miejscowych myśliwych, który te zwierzątka strzelał na futro, i który ich wciągu zimy przeszło 100 sztuk ubił, pomiędzy czerwonemi cztery dostał czarne wiewiórki. Jest to pewnie to samo zwierzątko, które Pietruski za osobną stałą rasę poczytuje i wiewiórką Karpacką nazywa. Nie widziawszy nawet futerka, nic o tém mówić nie mogę. Podobne wiewiórki widywałem w podróżach moich na Łysej górze, zawsze w jedném miejscu niedaleko od kościoła Św. Krzyża. Zdaje się zatém, że góry są w ogólności najulubieńszém pobytu téj wiewiórki miejscem.

Koszatek *(Myoxus)* tu wcale nie znają. Myszy nawet, z powodu skalistego gruntu i małéj w lasach tutejszych roślinności, nie są w nich widywane. Bliżéj Pieskowéj skały jednak, gdzie więcéj rośnie buczyny, i gdzie mnóstwo bukowych orzeszków na ziemię upada, muszą być pospolitszemi. Zające, pomimo tak nierównego poziomu, są pospolite, a toż samo i lisy.

Kretów jest w tych stronach nie wiele. Skalistość miejsc wzgórzystych i niewielka na nich osadzona ziemi roślinnéj warstwa, doliny zaś wylewom Prądnika corocznie ulegające, nie sprzyjają rozmnażaniu się tych szkodliwych zwierząt. Dla téj saméj przyczyny nie masz i borsuków w dolinach, w lasach jednak płaskowzgórza do Czajowic i Korzkwi należących, trafiają się niekiedy, a są podobno i sarny przechodzące, czemu przecież zaledwieby wierzyć można."

PTAKI.

Pod względem ornitologicznym, najusilniéj te okolice badał p. Taczanowski, który i przeszłego lata zwiedzał je w ciągu kilkotygodniowego pobytu w Ojcowie. Oto są postrzeżenia, które ten ornitolog godnemi zapisania uznał:

„Część południowo-zachodnia gubernii Radomskiéj, uważana pod względem ornitologicznym, zupełnie jest odmienną od reszty kraju. Powierzchnia jéj sucha i skalista, chociaż poprzerzynana częstemi rzeczkami i strumieniami, które po większéj części są bardzo płytkie, bystre, o dnach kamienistych i żwirowatych; uboga bardzo w łąki a pozbawiona zupełnie błot, stawów i wód stojących, niedogodną jest dla ptastwa błotnego i wodnego, które w innych okolicach najznakomitszą część téj gromady stanowi, jak równie i dla gatunków owadożernych i ziarnojadów, żyjących gdzieindziéj po trzcinach, błotnych zaroślach i wilgotnych lasach, a tych liczba jest także dość znaczna. Lasy tamtejsze, chociaż dosyć częste, nie są jednak ani tak rozległe, ani tak obfitujące w starodrzewia i gąszcze jak gdzieindziéj; sąto tylko drobne laski i gaiki, jodłowe i bukowe, dogodne dla niektórych gatunków ptastwa drobnego. Nie ma także w tych stronach rozległych równin, lecz tylko małe górzy-

ste pólka, lasami, dolinami i skałami poprzedzielane; nie ma zatém kilku gatunków polnych, wymagających miejsc otwartych i rozległych.

Czas w którym odbyliśmy wycieczkę, był krótki i niezupełnie właściwy do zbadania dokładnego okolicy pod względem ornitologicznym, a prócz tego ciągle przerywany niepogodą. Sądzę jednak, że sprawozdanie niniejsze dosyć jest dokładne, zwłaszcza, że okolica ta, uboga w gatunki, ma po większéj części ptaki miejscowe i z wędrownych takie, które na całe lato przybywają, a bardzo mało przelotnych, pomiędzy którémi najwięcéj jest gatunków rzadkich, zatém trudnych do postrzegania.

Zpomiędzy ptaków górskich jest tam pięć gatunków, które wyłącznie do téj tylko okolicy kraju naszego należą; bez względu więc na porządek systematyczny od nich zacznę, jako od cechujących te strony. Ptaki te w innych krajach europejskich są pospolitsze i dokładnie znane, z uwagi jednak, że my możemy je uważać za rzadkie, gdyż w innych okolicach kraju są nieznane, obszerniéj o nich rozpisać się wypada i podać przynajmniéj te wiadomości, które do poznania ich jako ptaków krajowych są potrzebne, a zarazem zwrócić uwagę na okoliczności pozostające jeszcze do zbadania. Po tych dopiéro pięciu gatunkach, przejdę porządkiem systematycznym wszystkie rodzaje ptaków krajowych.

1. Drozd skalny *(Turdus saxatilis)*, jest ptakiem najmniéj pospolitym z pięciu gatunków, które będziemy opisywali. Nie jest on właściwym, tak jak niektóre z nich, całéj okolicy, lecz tylko ma pewne miejscowości, których się trzyma, a przytém miejsca te są na daleko mniejszéj przestrzeni. Piérwszy raz spotkaliśmy je 6 lipca na zamku Olsztyńskim i okolicznych pomniejszych skałach; były tam dwa stadka młodych latających; oprócz tego widzieliśmy jeszcze kilka starych z robakami w dziobach, co oznaczało, że potomstwo ich po gniazdach jeszcze siedziało. Ulewne deszcze, które nas ciągle w tém miejscu prześladowały, nie dozwoliły korzystać z tego spotkania, i nie mogliśmy ani ptaków dostać, ani téż zająć się wyszukaniem ich gniazd. Drozdy te w tém miejscu są najobfitsze; nigdzie już daléj tak wiele ich razem nie spotkaliśmy. Między Mirowem

i Bobolicami, widzieliśmy starego samca; w dolinie Ojcowskiéj znajduje się między Prominkiem i granicą na odosobnionych bezleśnych skałach; miejsce zaś najkorzystniejsze na nie po Olsztynie jest między Jerzmanowicami i Szklarami: tam ich także po kilka par corocznie gnieździć się zwykło. Ukazują się także pojedyńcze pary na skałach rozrzuconych po polach jerzmanowickich, w okolicy jaskini z niedoperzami. Bez wątpienia ptaki te muszą się znajdować w wielu innych miejscowościach, których nie zwiedzaliśmy, a mianowicie około Ogrodzieńca. Nawet na zamku w Chęcinach, miejsce dla nich jest bardzo dogodne. Drozd ten, równie jak inne współrodzajowe ptaki, jest płochliwy i ostrożny; że zaś żyje wyłącznie na skałach, gdzie mu łatwo skryć się w szczelinach, lub ulecieć poza skałami, tak, że go śledzący dojrzéć nie zdoła: trudniejszym jest od innych do ubicia. Należy on do najlepszych śpiewaków europejskich, rzadko śpiéwa siedzący, lecz zwykle wzlatuje pionowo w górę i napowrót na toż samo miejsce, z którego się zerwał powraca; po chwili wypoczynku te same obroty powtarza. W Niemczech śpiewaki te są bardzo poszukiwane; na nieszczęście i do nas zamiłowanie to przechodzić zaczyna.

Jeden z miejscowych strzelców, który nas oprowadzał po okolicy, powiadał, że od młodości swéj, tojest od lat czterdziestu przeszło, zna doskonale te ptaki, i że dawniéj były one daleko obfitsze. Od kilkunastu dopiéro lat, gdy w Krakowie zaczęto kupować żywe i dobrze za nie płacić, gajowi i pastuchy chciwie śledzą ich gniazda i wybierają młode, a tym sposobem tak je niszczą, że skalne drozdy wkrótce mogą się stać bardzo rzadkiemi ptakami.

Jaja drozda skalnego, pod względem kształtu i wielkości, są bardzo podobne do jaj drozda zwyczajnego *(Turdus musicus)*, a pod względem koloru tém się tylko różnią, że są jednostajne, bez żadnych plam.

Mieszkańcy miejscowi nazywają drozda skalnego *skalniakiem* lub *rudkiem*.

2. Pokrzéwka kopciuszka *(Sylvia thitis)*. Gatunek ten zajmuje największą przestrzeń kraju, i można go za najpospolitszy uważać. Ze strony zachodniéj zaczyna się już

od Częstochowy: tam widzieliśmy samce śpiewające na ratuszu i gmachach klasztornych; daléj koło Żarek i Dąbrowy są bardzo pospolite; w Olsztynie jest ich mnóstwo w zamku i w samém miasteczku: słowem w całéj okolicy, gdzie tylko są skały, kopciuszki znaleźć można. Na wschód i północ nie znamy dokładnie granic ich pobytu; zdaje się więc, że pobyt tych ptaszków rozpoczyna się od granicy formacyi wapiennéj, która pomiędzy pasmem Łysogór a piérwszém pasmem Bieskidów czyli gór Karpackich, środkuje. Nietylko one zamieszkują skały i stare zamki, ale w samych wsiach i miasteczkach pomiędzy ludźmi przebywają.

Tak jak większa część skalnych mieszkańców, kopciuszki są płochliwe, i chociaż żyją po większéj części w bliskości mieszkań ludzkich, uciekają i kryją się przed człowiekiem. Pod względem obyczajów wiele mają podobieństwa do pleszki *(Sylv. phoenicurus)*: tak samo jak tamta potrząsają ogonkiem; śpiéw samców dosyć jest także zbliżony, lecz kopciuszki jest głośniejszy i więcéj chrapliwy. Gniazda ich są bardzo podobne i z tych samych materyałów usłane; mieszczą je po dziurach między skałami i wewnątrz budynków. Jaja ich są zupełnie białe.

W czasie naszéj bytności, młode z piérwszego pomiotu były już po większéj części na własnym chlebie, a niektóre samice siedziały na jajach powtórnie. D. 20 lipca znalazłem w Ojcowie gniazdko z trzema dopiéro jajami. Na starych nie było jeszcze śladów pierzenia, samce już jednak nie miały tak znacznych białych plam na skrzydłach, utworzonych przez białe brzegi lotek drugiego rzędu, jak na wiosnę, i w ogólności pierze nie było tak świeże. Nie znam dokładnie terminów wędrówek tych ptaków; dlatego téż polecam to dalszym badaniom. Toż samo ma się rozumiéć i co do innych gatunków.

Do nazwisk ludowych tego ptaka, zamieszczonych w przeszłorocznem sprawozdaniu mojém, dodaję: używane w Olsztynie *węgielnik*, nadane mu bardzo stosownie od zwyczaju zakładania gniazd na węgłach budynków drewnianych.

3. Pokląskwa czarnogłowa *(Saxicola rubicola)*, którą zaczęliśmy spotykać dopiéro przy dolinie Ojcowskiéj; w samej dolinie są tylko dwa miejsca, w których się te ptaszki

znajdują, tojest: wzgórza odkryte, zarośnięte jałowcem i drobną brzezinką koło Grodziska, a drugie między Prądnikiem i Korzkwią. Koło Minogi i miasteczka Skały, są bardzo pospolite; na stronie zachodniéj doliny spotykaliśmy je koło Czajowic, w Jerzmanowicach i Szklarach. Koło Częstochowy, Potoka i Olkusza, pomimo to że wiele jest miejsc dla nich korzystnych, nigdzie ich nie widziałem.

W kilku miejscach młode już latały, po większéj zaś części same tylko stare od dzieci. W ogólności pierze na starych było mocno zużyte, a niektóre już je tracić zaczęły. Obyczaje ich są bardzo zbliżone do pokląskwy białobrwistéj *(Saxicola rubetra)*, pospolicie klaszczem zwanéj; tak samo siadają po wierzchołkach krzaków, podobnie samce śpiewają, lecz są od tamtych znacznie ostrożniejsze.

Pospólstwo tamtejsze nazywa je *trakaczami*.

4. Pliszka wolarka *(Motacilla boarula)*, znajduje się wszędzie przy bystrych skalistych strumykach, lecz nigdzie nie jest tak pospolitą jak siwa lub żółta w innych okolicach. Widzieliśmy jednę pod Częstochową; w Potoku Złotym było przy zdrojach w lesie stadko młodych, lecz najliczniejsze są w dolinie Ojcowskiéj. Szczególniéj ulubione ich miejsce jest pod zamkiem Pieskowéj Skały; tam ich i w przeszłym roku i teraz kilka stadek ciągle przebywało. Nigdzie też miejsca tak dla nich dogodnego nie zdarzyło się nam spotkać: tam na przestrzeni kilkuset kroków strumień bardzo rozlany, płytki, z jednéj strony sączy się pod samym lasem, z drugiéj ma brzeg żwirowaty.

Pliszki te biegają nieustannie po kamykach nad wodą lub też wśród wody leżących; są bardzo zwinne i ostrożne, przed człowiekiem zdaleka umykają, i albo daléj uchodzą, albo też czepiają się po skałach, murach i gałęziach gęstych drzew; wkrótce jednak do wody wracają. W locie odzywają się podobnie jak inne gatunki, lecz głos ten jest mocniejszy i więcéj przeraźliwy. Na pierwszy rzut oka można gatunek ten odróżnić w locie od złotéj pliszki, po znacznie dłuższym ogonie, pręgach białawych przez skrzydła, i po nierówniejszym jeszcze locie.

Młode po większéj części zastaliśmy już lotne, w wielu jednak miejscach spotykaliśmy stare samice oddzielnie: tych potomstwo zapewne jeszcze po gniazdach zostawało. W połowie lipca przyniesiono nam parę młodych, wybranych

z gniazda. O stare samce w tym czasie bardzo trudno; żadnego spotkać nie mogliśmy. Samice które dostałem, nie okazywały jeszcze żadnego śladu pierzenia i odzież miały zupełnie jeszcze świeżą.

5. Łuszczak kulczyk *(Fringilla serinus)* przeważa we wszystkich dolinach mających związek z Ojcowską; wszędzie po sadach i brzegach lasów, o każdym czasie spotykać go można: można powiedzieć, że nigdzie nie widziałem tak gęsto makolągiew, które po wróblach są najpospolitszemi ptakami tego rodzaju, jak tam kulczyków. Samczyki przylatują ciągle na drzewa ogrodowe, siadają po suchych gałązkach przy wierzchołkach i nieustannie śpiewają głosem bardzo delikatnym, świergoczącym, który można z głosem potrzeszcza porównać.

Kulczyk jest najmniejszy z rodzaju łuszczaków; mniejszy od czyża, lecz że ma ogonek cokolwiek dłuższy, co do długości mu wyrównywa; dziób ma krótki, gruby, gilowaty. Dojrzały podobnym jest z ubarwienia częścią do czyża, częścią do trznadla, tojest: ze spodu do piérwszego, z wiérzchu do drugiego. Młode mają najzupełniejszą barwę młodych trznadlów. Sąto ptaszęta żwawe i ruchliwe; długo na miejscu posiedzieć nie lubiące, a przytém ostrożne, umykają gdy je człowiek śledzi, i nie pozwalają tak zbliżać się do siebie jak inne łuszczaki, które w ogólności są bardzo łaskawe: młode nawet wkrótce po opuszczeniu gniazda już są lękliwe, umykają zdaleka gdy się za niemi idzie. Samice mało się w tym czasie pokazywały, przebywały zapewne przy gniazdach, a stadka młodych w kilku dopiéro miejscach widzieliśmy. Z młodych, które we wrześniu roku przeszłego preparowałem, można wnosić, że niektóre samice na jajach siedziały, lecz z powodu ciągłych deszczów, nie można było zająć się ich wyszukaniem.

W miarę jak coraz więcéj młodych opuszcza gniazda, łączą się w coraz większe stada i razem na żer zlatują się na wzgórza zarośnięte piołunami i innemi roślinami, których nasiona dostarczają im obficie żywności. W tych, które tą razą preparowałem, wola były wyładowane rozmaitemi drobnemi niedojrzałemi nasionkami i nagiemi gąsienicami.

Mało już dostałem samców w świeżém pierzu, na wielu już było mocno zużyte, a żaden jeszcze pierzyć się nie zaczął.

Za granicami tych dolin, kulczyki są rzadkie, na kilka mil jednak od nich już się pokazywać zaczynają: i tak w Potoku Złotym zabiłem samczyka, a w Sławkowie słyszeliśmy śpiewającego w ogrodzie wśród miasteczka.

Ogólne ubóstwo ornitologiczne téj okolicy, pociąga za sobą rzadkość ptastwa drapieżnego; wiadomo bowiem, że ptastwo to najwięcéj się trzyma okolic błotnistych, w bliskości rzek, jezior i stawów: tam nietylko licznie gromadzące się ptaki, ale ryby i gady sprowadzają je ku sobie. Wiele téż gatunków zupełnie nie ma, a tych, które są, ilość jest bardzo ograniczona. Pod jesień nie zlatuje się tu ptastwo drapieżne, gdyż nie ma po polach tyle rozmaitych drobnych zwierzątek jak w innych żyznych okolicach. Nie mamy potrzeby wyliczać szczegółowo znajdujących się tam gatunków, gdyż wiadomości podane w Spisie ptaków ziemi krakowskiéj przez hr. Wodzickiego i przeze mnie w przeszłorocznem sprawozdaniu, są wystarczające.

Wszystkie gatunki kruków tak samo tam bywają jak wszędzie, z tą tylko różnicą, że kawki są pospolitsze, gdyż stare zamki po wysokich skałach, częste w téj okolicy, są dla nich do gnieżdżenia się bardzo dogodne.

Kraski, w téj okolicy rzadkie, na przelotach tylko bywają: nigdzie nie widzieliśmy miejsca, gdzieby się mogły gnieździć.

Wilgi nigdzie nie widzieliśmy; nie zdaje nam się, ażeby miała wcale nie bywać, ale nie jest pospolitą, gdyż przez kilko-tygodniowy pobyt, nie spotkałem tego ptaka.

Szpaków, w czasie w którym najwięcéj się pokazują, nigdzie nie było, a zatém wypada wnosić, że się nie gnieżdżą.

Rodzaj dzierzby *(Lanius)* w tych stronach bardzo ubogi; nie widzieliśmy wcale rdzawogłowéj *(L. rufus)*, a czarnoczelną *(L. minor)* rzadko. Cierniokręty *(L. collurio)* od innych pospolitsze, ale nie są rzadsze jak gdzieindziéj.

Z rodzaju drozdów oprócz skalnego, o którym mówiliśmy oddzielnie, znajdują się wszystkie gatunki krajowe, z tą różnicą, że kwiczoł *(Turdus pilaris)* nie gnieździ się (1); a zdaje się, że drozd obrożny *(T. torquatus)* powinien częściéj zalatywać jak w inne strony z gór Karpackich, gdzie się gnieździ i jest ptakiem pospolitym.

(1) Spis ptaków ziemi Krak. hr. Wodzickiego.

Z licznego rodzaju pokrzewki *(Sylvia)*, wielu gatunków krajowych brakuje; nie ma całego oddziału trzcionek *(calamodytae)*, których w kraju naszym liczymy ośm gatunków; nie ma nawet miejsca, w którémby te ptaki mogły się zatrzymywać. Słowik szary *(Sylvia philomela)* zastąpiony jest tam całkowicie przez słowika rdzawego *(S. luscinia)*, który także nie jest tak pospolitym jak w okolicach Radomia i w Sandomierskiém. Nigdzie także nie widzieliśmy pokrzewki jarzębatéj *(S. nisoria)*, czarnogłówki *(S. atricapilla)* i modréj *(S. suecica)*; zresztą zdaje się, że są wszystkie gatunki tego oddziału. Pleszka *(S. phoenicurus)*, dosyć pospolita po skałach, od kopciuszki jednak daleko rzadsza. Rudzik *(S. rubecula)* nie tak pospolity jak w lasach wilgotnych innych okolic. Gajówki są tak jak wszędzie.

Nie znamy okolicy w którejby strzyżyk *(Troglodytes vulgaris)* tak był pospolity; kupy kamieni, strumyki zarośnięte gęstemi krzakami, mostki w które ta okolica obfituje, przedstawiają tym ptaszętom na każdym prawie kroku nieporównane kryjówki.

Królik czubaty *(Regulus cristatus)* pospolity; co się zaś tyczy żniczka *(R. ignicapillus)*, nie mogliśmy przekonać się czy się znajduje.

Pokląskwa podkamionka *(Saxicola oenanthe)*, zamieszkuje bardzo obficie całą okolicę; najwyższe skały tych stron, stare zamki, drobne skały, kupy kamieni, zarośla po wzgórzach: słowem wszystkie miejscowości dla siebie dogodne zajmuje na lato; nierównie jest obfitszą od kopciuszki, gdyż żyje w takich miejscach, w których tamta już utrzymać się nie może. Drugi gatunek tego rodzaju P. pospolita *(S. rubetra)*, tak pospolita w całym kraju, jest tu bardzo rzadką. Trakacz *(S. rubicola)* ją w tych miejscach zastępuje.

Z muchołówek, szara *(Muscicapa grisola)* tak jest pospolita jak wszędzie; innych nie widzieliśmy.

Płochacz pokrzywnica *(Accentor modularis)* jak wszędzie, ma być pospolity na przelotach, a w czasie lęgowym rzadki.

Pluszcz *(Cinclus aquaticus)* jest rzadki ptak w całym kraju, czego najlepszy dowód, że dotąd widzę tylko dwa egzemplarze krajowe po zbiorach prywatnych: jeden znad

Wisły, drugi znad Bystrzycy. Nad Niemnem ma być pospolitszym; nad Prądnikiem jest miejscowy: kilka par corocznie się tam gnieździ i zimuje. Są także w Potoku Złotym przy zdrojach w lesie, ale już w mniejszéj ilości. Mówiono nam, że są nad strugą w Szklarach; zapewne one się znajdują w wielu innych miejscach tamtych stron, których nie zwiedzaliśmy, ale śmiało można powiedzieć, że jest w ogóle rzadkim, i że dolina Ojcowska najwięcéj ich posiada. Przebywa w tych samych miejscach co zimorodek, ale jest nieporównanie skrytszy; przez cały czas pobytu nigdzie go nie można było spotkać, pomimo to, że odwiedzaliśmy takie miejsca, gdzie je zwykle widywano. Siedzi ukryty pomiędzy korzeniami krzaków nadbrzeżnych, pewien, że go obok przechodzący człowiek nie zobaczy. Zimorodek w tym wypadku najczęściéj się zrywa. Ptak ten jest mnożny, a jednak tak rzadki; ma on zapewne nieprzyjacioł w norkach, gronastajach, szczurach wodnych, które miejsca takie lubią odwiedzać.

Miejscowi włościanie znają pluszcza pod nazwiskiem wodnéj kokoszki, a zimorodka nazywają zieloną kokoszką; jest to także dowodem, jak tam ptastwo błotne nieobfite, kiedy nie znają właściwych kokoszek, tak pospolitych gdzieindziéj.

Pliszki siwe *(Motacilla alba)* są pospolite, żółtych zaś *(M. flava)* wcale nie ma: zastępują je zupełnie wolarki *(M. boarula)*. Nie mogliśmy się dowiedzieć, czy nie zalatują w czasie wędrówek.

Świergotki polne *(Anthus campestris)* wszędzie w téj okolicy spotkać można po skałach, gdzie tylko nie są lasami zakryte; najpospolitszemi są po piaskach pod Olkuszem, Olsztynem, koło Potoka Złotego. Ptaki te w całym kraju są pospolite, na gruntach lekkich i piaskowatych. W Spisie ptaków ziemi krakowskiéj gatunek ten opuszczony.

Świergotki drzewne *(Anthus arboreus)*, wszędzie pospolite, gnieżdżą się po lasach i zaroślach; w téj okolicy usadowiły się po większéj części po skałach. Często widywaliśmy stare z robakami w dziobach, narzekające na przechodnia piskliwym i żałosnym głosem. Świergotki łąkowe *(Anthus pratensis)* bywają tylko na przelotach.

O skowronkach *(Alauda)* tyle jest do powiedzenia, że leśny *(A. nemorosa)* jest daleko pospolitszy aniżeli w równinach; lubi przesiadywać po skałach, a nawet zdaje się że gnieździ się na nich. Górniczek *(A. alpestris)* dotąd nie postrzegany.

Sikory jak wszędzie pospolite; sikora błotna *(P. palustris)* rzadsza niż w równinach. O remizie nie ma nawet co mówić.

Gile właściwe *(Pyrrhula vulgaris)* w porze zimowéj mają być bardzo pospolite; należałoby wyśledzić, czy się w tych stronach nie gnieżdżą, podobnie jak w wielu innych miejscowościach kraju naszego. Dziewonia *(P. erythrina)* wcale nie postrzegana, a o łuszczakach *(P. enucleator)* nic nie wiemy.

Z rodzaju poświerki *(Emberiza)* trznadel *(E. citrinella)* tak jest pospolitym jak wszędzie. Potrzeszcz *(E. miliaria)* bardzo rzadki; pojedyncze samce ortolanów zaczęliśmy spotykać po drodze z Olsztyna do Potoka Złotego. W miarę zbliżania się tam, coraz częściéj się odzywały, w okolicy zaś samego Potoka są prawie tak pospolite jak koło Warszawy. Wyszedłszy ztamtąd nigdzie już ich nie znaleźliśmy. Ptak ten opuszczony jest w Spisie ptaków ziemi krakowskiéj hr. Wodzickiego. Dla potrzosów *(Em. schoeniclus)* miejscowość jest zupełnie niestosowną; nie wątpimy jednak, że w przelotach jesiennych wiele miejsc odwiedzają. Śnieguły *(Em. nivalis)* w zimie zalatują w dość szczupłéj ilości.

Pominąwszy kulczyka *(Fring. serinus)*, którego wyżéj jako ptaka wyłącznego i właściwego téj okolicy opisaliśmy, o licznym rodzaju *Fringilla* wypada powiedzieć, że wszystkie gatunki gnieżdżące się w kraju, są tu równie pospolite, jak wszędzie. Czyże nawet *(Fr. spinus)*, które trzymają się zwykle wilgotnych olszowych lasów, po tutejszych jodłowych są dosyć pospolite. W przeszłym roku uważałem we wrześniu, że w całéj dolinie Ojcowskiéj i jéj odnogach nie było wcale wróbli *(Fring. domestica)*; gdy i tą razą nikt ich z nas nie widział, widoczna zatém, że te ptaki wcale nie gnieżdżą się w tych dolinach i przez lato nie bywają; na zimę dopiéro, jak miejscowi ludzie utrzymują, mają się zgromadzać. Zdaje się, że przyczyną tego jest dłuższe trwanie zimy w dolinach; wróble, tak wcześnie gnieżdżące się

ptaki, skoro tylko postrzegą i przeczują słońce wiosenne tuż za ich granicami, przenoszą się, i całe lato tam goszczą.

Mazurki *(Fring. montana)*, bardzo pospolite; wszędzie po skałach są ich liczne osady. Niewiadomo nam wcale, czy gatunki rzadkie, zalatujące wśród zimy z czeczotkami *(Fring. linaria)*: łuszczak żółtodzioby *(Fr. flavirostris)* i północny *(Fr. borealis)*, w okolicach tylko Warszawy dotąd postrzegane, zalatują także lub nie i w te strony.

Krzywonosów *(Loxia)* nigdzie nie spotkaliśmy; wiadomo nam tylko zkądinąd, że krzywonosy pospolite *(L. curvirostra)* są tu w niektórych czasach bardzo obfite. Co się zaś tyczy dwóch innych gatunków, te zapewne w zwykłych swoich tułackich wędrówkach, i tych okolic nie pomijają; śmiało wszakże powiem, że papużka *(L. pythiopsittacus)* nie może być pospolitą, gdyż ona potrzebuje starych sosnowych lasów.

Dzięcioły nie są świetnie reprezentowane; małe lasy a po większéj części złożone ze zdrowéj młodzieży, nie dostarczają im ani obfitego żeru, ani też stosownych drzew do kucia dziur, których na gniazda i kryjówki potrzebują. Wprawdzie gatunków mało brakuje, ale wszystkie stosunkowo są daleko rzadsze jak gdzieindziéj: brakuje tylko zupełnie dzięcioła białogrzbietnego *(P. leuconotus)*.

Krętogłów *(Yunx torquilla)* pospolity, kukułka *(Cucucanorus)* jak wszędzie.

Zimorodek *(Alcedo ispida)* znajduje się nad wszystkiemi strumykami całéj okolicy; nie można jednak powiedzieć, ażeby miał gdzie być pospolitym. Jest wszędzie, ale wszędzie nieliczny.

Dudki *(Upupa epops)*, pełzacze *(Certhia familiaris)*, kowaliki *(Sitta europaea)* są jak wszędzie.

Z rodzaju jaskółek nie ma wcale grzebiółki *(Hirundo riparia)*; dość jest widzieć miejscowość, ażeby o tém nabrać pewnego przekonania; oba inne gatunki są jak wszędzie. Jerzyki *(Cypselus apus)* przeważają między jaskółkami: wprawdzie dymówki rozsiane po wszystkich strzechach i kominach w całéj okolicy, ogólnie wzięte wyrównają, a może i przewyższą ich ilość, ale nigdzie ich nie ma takiéj mnogości razem, jak jerzyków, przy każdéj baszcie lub wysoko

sterczącéj skale. Niedługo tu goszczą: w połowie sierpnia już ich nie ma zupełnie.

Kozodój *(Caprimulgus europaeus)*, dosyć jest pospolity.

Zpomiędzy gołębi rzadkiemi są siniaki *(Columba oenas)*; lasy w okolicy nie są właściwe do gnieżdżenia się tym ptakom: zresztą turkawki *(Col. turtur)* i grzywacze *(C. palumbus)* są dosyć pospolite, lubią przebywać po skałach i starych murach, a nawet w wielu miejscach gniazda na nich zakładają.

Ptastwo grzebiące ogranicza się tylko na kuropatwach, które są dość obfite, przepiórkach, rzadszych jak w równinach, i małéj liczbie jarząbków po niektórych lasach.

Nakoniec przystępujemy do ptastwa błotnego i wodnego, tak ubogiego w tych stronach, że jedno i drugie tym samym tytułem objąć można.

Jednego tylko ptaka z rzędu brodzących, uważać można za tak pospolitego jak wszędzie, a tym jest siewka rzeczna *(Charadrius minor)*. Znajdowaliśmy ją wszędzie po piaskach, w bliskości wody znaczną ich ilość spotkaliśmy zaraz za Częstochową idąc ku Olsztynowi; były pod samym Olsztynem, w Potoku Złotym, i w wielu innych miejscach pojedyncze pary. Wszystko to były ptaki lęgowe.

Kulon piaskowy *(Oedicnaemus crepitans)* w niektórych miejscach także się gnieździ: w Potoku Złotym para kulonów corocznie się na piaskach wywodzi.

Z rodzaju bekasów słąka *(Scolopax rusticola)* gnieździ się, ale nie tak obficie jak koło Kielc, Samsonowa i w wielu innych miejscach. Na przelotach jesiennych często gromadnie zalatuje.

Chróściel *(Rallus crex)*, tak pospolity wszędzie, w tych stronach jest bardzo rzadkim: w czasie lęgowym, za przykład tego można podać, że w całéj dolinie Ojcowskiéj, w czasie naszego tam pobytu, jeden się tylko odzywał; po żniwach w czasie wędrówki więcéj ich na pola zalatuje.

Oto są wszystkie ptaki z wielkiego rzędu brodzących, które gnieżdżą się w tych stronach; inne, jak np. brodźce *(Totanus hypoleucos* et *ochropus)* i t. p. wypadkowo tylko mogą się zabłąkać, i to nie w same doliny Ojcowskie.

Bociany nigdzie nie gnieżdżą się w całéj okolicy, ale tylko w czasie przelotów jesiennych niekiedy na pole zapadają.

Z rzędu ptastwa wodnego nie ma ani jednego gatunku któryby się tu gnieździł, a zjawienie się gdzieś kaczki cyranki lub innego bardzo pospolitego ptaka, za rzadkość uważają. Mimo to jednak zdarza się, że ptaki morskie nawet, burzą w te strony przypędzane bywają, jak tego mieliśmy przykład w tym roku na niespostrzeganym dotąd gatunku w kraju, z rodzaju wydrzyków *(Lestris)*, którego we wsi Potoku, w dobrach JW. generała-adjutanta hr. Krasińskiego, ubito, a który, o ile szczątki z niego ocalone przekonywają, jest młodym ptakiem gatunku wydrzyka pasorzytnego *(Lestris parasitica)* (1)."

(Dokończenie nastąpi).

(1) O zabiciu tego ptaka doniósł Kuryer Warszawski (nr. 344 z r. z.) następujące szczegóły: „Pomiędzy należącym do dóbr Potoka folwarkiem, Żoraw zwanym, a wsią Mokrzesz, w dniu 20 września r. b. (1854), w którym panował mocny wiatr zachodni i trwał deszcz całodzienny, włościanin orzący pole ujrzał osobliwego ptaka, podobnego z lotu do jastrzębia gołębnika, a tak zmordowanego, że za każdem uleceniem upadał na ziemię. Włościanin pośpieszył za nim, i niemogącego się zerwać, kijem od bicza zabił. Okazało się, że to była dla naszych stron osobliwość nadzwyczajna: młody wydrzyk pasorzytny *(Lestris parasitica)*, ptak wodny, którego nie objął ani hr. Wodzicki swoim Spisem ptaków krakowskich, ani p. Taczanowski Spisem ptaków gub. lubelskiéj, ani też hr. Tyzenhauz nie podaje w swojéj Ornitologii, ażeby ten gatunek zalatywał kiedy z krajów polarnych Europy i Ameryki, w których mieszka." Tamże czytamy doniesienie o innym wodnym ptaku złapanym w Potoku, w słowach: „W dniu 2 z. m. (listop.) dziewczyna z kuźni tamecznej, czerpiąc z pobliskiego stawu wodę konewką, uczuła że jéj wpłynęło z pluskiem do konewki i zanurzyło się do dna coś nakształt wielkiej ryby. Natychmiast więc wróciła się z tą zdobyczą do kuźni, ale przyniosła nie rybę, lecz ptaka, który się okazał być młodym nurem z gatunku *Podiceps cristatus*. Mieści się on dziś w jednym z tutejszych zbiorów ornitologicznych."

KRONIKA LITERACKA.

ESTETYKA I POEZYA.

2) *Senatorska zgoda; tradycya szlachecka, opowiedział* Wincenty Poll. 1854.

3) *Urodzony Jan Dęboróg; dzieje jego rodu, głowy i serca, przez* Władysława Syrokomlę. 1854.

4) *Tomira. Misteryum przez* Deotymę. 1854.

(Dokończenie).

Przechodzimy teraz do utworów czystej poezyi. Piérwszym z kolei jest **Senatorska zgoda**, poemat przez *Wincentego Polla*. P. Wincenty Poll jest jednym ze *znakomitszych*, i którego zasługdze brak tylko większéj liczby i większego zakresu utworów, abyśmy mogli rzec: jednym *z najznakomitszych* naszych poetów. Uczucie rzetelnéj poezyi, wykończony smak estetyczny, miłość téj pięknéj natury, która otacza ludzi, i miłość ludzi, zarazem zaś niezależność zupełna w obiorze treści i formy dla swych utworów: to były już wewnętrzne już zewnętrzne cechy, które poezyom tego autora oddawna już u nas wziętość zjednały. Poemat *Senatorska zgoda* nie zaprzeczył żadnéj z tych cech: był jednak niejaką niespodzianką dla czytelnika. Kiedyśmy wzięli go w rękę, sądziliśmy, że spotka nas ów rytm lekki, malowny; rytm piosnek, które dotąd główną były właściwością pióra autora; a kiedyśmy ujrzeli napis: *Tradycya szlachecka*, „a téj szlachcie *znarowionéj*" tak jeszcze niedawno „rozumu *kmiecego*" życzył autor (1): sądziliśmy, iż w tytule (*zgoda*) tkwi ironia, i że jest tylko zapowiedzeniem nader smutniejszéj treści. Fakt jednak zupełnie jest inny. Jestto właśnie własnością

(1) „A téj szlachcie znarowionéj,
Gdyby Bóg dał rozum kmiecy."

pisarzy istotnie oryginalnych, iż w każdym nowym utworze dają nam zwykle z gruntu coś odmiennego od poprzednich. Zamiast szaty lekkiéj, ozdobnéj, spotkał nas w tym poemacie rytm długi, poważny, i raczéj rodzaj dydaktyki: w treści, obraz raczéj przyjaźni szlacheckiéj, (prawda że szlachty dawnéj) w miejsce goryczy.

Zawarcie poematu jest następne:

P. Benedykt Winnicki (którego przygody z lat młodych, na dworze nieświezkim dawniéj określał autor), opowiada tu urywek z życia towarzyskiego swéj okolicy (ziemi sanockiéj) z końca wieku zeszłego. P. Benedykt Winnicki wspominając na czasy swojéj młodości, gorszy się naprzód tak powszechnemi dzisiaj niepochlebnemi określeniami owych czasów; czyni więc prolog o istotnym ich charakterze, i lubo wyrazem gawędy staruszka, tojest trochę zamało żywo i zarozwlekle, jednak nie słowem prozy ujmuje się za ich stroną dodatnią:

„Śmiech mię bierze (czyni tu uwagę), gdy słyszę dziś o nas mówiących,
Lub co gorzej, gdy słyszę ciemięgów *piszących:*
Że możne domy stały tylko starostwami,
A szlachta dworską służbą za panów plecami.
O! co *tak długo stało*, to *stało posadą!*"

Za grunt téj posady (trwałości), autor naznacza bytność przymiotu, który staje się źródłem wszystkich przymiotów, tojest: istnienie w rodzinach i domach kraju całego *pobożności.* Przymiot ten sprawiał to mianowicie, iż gruntem uczuć krajowych było braterstwo, ztąd pomoc i opieka wzajemna, przysługi bezinteresowne i t. p. Poniósł, mówi, ktoś stratę, wnet zkądś znalazła się niewidoma ręka, która go wsparła; poniósł ktoś uszczerbek na sławie, a niewiadomy mu jakiś, sam gdzieś akta wydobył, świadków wynalazł i sławę powrócił; cóż dopiéro mówić o nieszczęściach bez winy niczyjéj, idących z położeń, płci, wieku słabego, jak wdów, sierot i t. p.

„Wdowa! to słowo było pobudką czułości!
I jak we łzach się zlewa żal wszystkich żałości,
Tak w tém słowie leżała serdeczna wymowa;
I było to zaklęciem, gdy kto wyrzekł: „wdowa!"
. . . . . .
Tak samo téż wierzono, że gdzie jest sierota,
Tam chleba nie zabraknie, choć nie będzie złota,
I takiemu domowi Pan Bóg błogosławi,
Co sieroty odedrzwi swoich nie odprawi....
Czasem, toś nie rozeznał nawet po pieszczocie,
Które dziecię przybrane, a które jest matki;
Bo się razem chowały i karmiły dziatki,
A gdy któremu dodać—to chyba sierocie."

(i temu obrazowi, dodajmy tu, nie śmie zaprzeczyć czytelnik, zwłaszcza gdy wspomni, że i najmniéj przychylni malarze naszéj przeszłości krajowéj, nie zaprzeczali nigdy istnienia w niéj *pobożności*).

Tak w pokoju i szczęściu żyło i Sanockie, kiedy nieprzyjaciołka ludzi, *niezgoda*, szukając od czasu do czasu wszędzie swych ofiar, i tu zawitała. Brak żywiołów i powodów do zajścia, znać był rzetelny w Sanockiem, kiedy powodem tym stał się mianowicie następny: Pomiędzy mieszkańcami ziemi sanockiej byli natenczas wśród innych: p. *Mniszech* starosta z Laszek i p. *Mniszek* chorąży przemyski z Krzeszowic; zdarzyło się, że p. podkomorzy *Bal*, sąsiad pana starosty miał wadę w mowie i wspominając o panu staroście, nazywał go raz nie Mniszchem lecz Mniszkiem. Obraza była istotna. Mniszech i Mniszek byłyto nazwiska podobne z brzmienia, ale nie z dziejów; przodkowie p. Mniszka, to szlachta, lecz *powiatowa*; p. starosta w liczbie swych przodków miał kasztelanów, wojewodów, a po kądzieli i wyżéj. Obraza zrodziła zwadę, ta, kłótnię. P. starosta miał swych przyjaciół, p. Bal miał swoich, i wkrótce całe Sanockie na dwa przeciwne sobie obozy rozdzieliło się. W tym stanie były rzeczy, kiedy dla odwiedzenia swego rodzinnego miejsca *(Dubiecka)*, zjechał w Sanockie gość znakomity, dygnitarz, przyjaciel królów, książę kościoła, i najpierwszy dowcip spółczesny kraju—*Ignacy Krasicki*. Dumne Sanockie, ucztami i biesiadami obchodziło tę uroczystość; wyżsi i niżsi, zamożniejsi i mniéj zamożni, na wyścigi ubiegali się, aby uczcić swego spółziomka. Ale Ignacy Krasicki nie poprzestał na tym tryumfie: wiedział on o potrzebach krajowych, o konieczności zgody w prowincyach, o rozdwojeniu jakie w Sanockiem zaszło, i postanowił zbliżyć zwaśnione strony. Pomysł zgody téj jest właśnie głównym przedmiotem opisu poematu, a rodzaj tego pomysłu był, można rzec, istotnie w duchu dowcipu Krasickiego. Na uczcie pożegnalnéj, którą sam u siebie wyprawił, a na którą ze wszystkich obozów strony sprosił, spółbiesiadnicy (znać stronnicy układu) opowiadają u stołu różne historyczne wypadki (anegdotki), a treść tych anegdotek była wyrachowana na efekt dla umysłów skłóconych. Więc naprzód pan sędzia Chojnacki opowiadał powiastkę o panu *Krupie* (potomku, jak objaśnił, owegoto Krupy, który dał niegdyś powód do znanego przysłowia: *„Król Jagiełło bił krzyżaki, i pan Krupa chce być taki")*; jako ten uniósł się był gniewem na biskupa swéj dyecezyi, iż jego plebana z którym żył lat czterdzieści w przyjaźni, i bez którego towarzystwa obejść się nie mógł, powołał na kanonika, i wszedł o to ze skargą na biskupa do papieża. Daléj znowu inne powiastki, a między innemi samego gospodarza o przodku pana Bala, o Gozdawicie, któremu król za męztwo tyle nadał ziemi, ile koniem na dobę objedzie; *(*powiastki te wyrażały: jak śmiesznym jest błahy powód do kłótni, jak nie samo dygnitarstwo nadaje imię i t. p.*)*. Ale koroną anegdotek i najprościéj trafiającą do celu była w końcu ostatnia, *(*także samego gospodarza*)*, o dwojgu szlachcie. Dwaj szlachcice jadący konno, zjechali się pod górą i zatrzymali się przy jednéj gospodzie. Opowiedziawszy sobie nawzajem swoje przygody i powód drogi, w końcu jeden drugiego zapytuje: jak honor jego?

„Ja? odpowiada piérwszy, Leszczyński." „Leszczyński,... a z których?" „Jakto z których?.. każdy Leszczyński, Leszczyński; różnica, że jeden był królem, a drugi być może; a jakżeż waćpan?" „Ja Popiel." „A jaki?" „Jakto jaki? przecież nie wszystkich myszy zjadły, jak waćpan widzisz." Poznanie się nawzajem było zaszczytne; dziedzice imion nie mogli się rozstać, aby nie uczcić chwili tego poznania i weszli do gospody.

„Hej! podaj żydzie wina do tego zawodu!"
Wina w karczmie nie było: „Ha! to daj nam miodu!"
Lecz i miodu nie było, a więc proces krótki:
Salvis juribus familiae, daj nam żydzie wódki!"

Ironia z chełpliwości rodowych była gorzka; kiedy więc wreszcie na zakończenie biesiady, gospodarz senator, w ręce pana starosty wniósł kielich zgody: przyjęcie było powszechne. strony zwaśnione zbliżyły się, urazy swe wzajemnie sobie odpuściły.

„I wróciła do ziemi znowu zgoda stara."

Taki jest powód nazwiska i taka jest treść poematu *Senatorska zgoda*. Ojczyzna Drużbackiéj i Krasickiego, ziemia Sanocka, w tych latach ostatnich stała się, że tak powiemy, lwem duchowym w naszéj poezyi; strona ta była i jest treścią wszystkich powieści p. Zygmunta Kaczkowskiego, i jest obecnego poematu. Poemat ten jest, jak widzieliśmy, z zadania dydaktyczno-opisujący, a jest barwy czysto-miejscowéj. Opisy w nim miejsc, okolic, głównych charakterów, szczegółów życia mieszkańców, ich waśni, ich zgody, łącząc w to mianowicie i duch wszystkich ustępków czyli wtrącanych w ciągu całego poematu anegdotek, dają nam całość rzetelnie krajowéj barwy, najściśléj oryginalną. Poemat ten, kreślący w ten sposób urywek z obrazu wewnętrznego życia strony krajowéj, czyli w ogóle kraju, jest też uczczeniem pamiątki jednego z najzasłużeńszych jego niegdyś mieszkańców, a dzisiaj w pamięci kraju nazbyt zacieranego. Charakter *Krasickiego*, który jest główną i najszczegółowiéj odznaczoną figurą w powieści, tak jak go znamy i z pism jego i podań, szczéry, kraj kochający, poważny, wesoły bez płaskości, satyryczny bez osobistości, przyjaciel w rozmowie towarzyskiéj anegdotek, (szczegóły biograficzne o nim w *Pszczole Lwowskiéj* z roku 1818), nader trafnie w opowiadaniu tém zachowany. Zdaje się nawet, iż autor chciał uczcić tę pamięć swego współziomka samą formą ulubionego mu wiersza, i dlatego użył w opowiadaniu rytmu jego *satyr* i *Listów*. Miara ta trafnie też przypadła do charakteru opowiadającego powieść, tojest, jak rzekliśmy, gawędy staruszka; wiersz bowiem w ogóle mało jest poetyczny, wszakże od prozy strzegą go wszędzie: *charakter wewnętrzny*, i ów smak estetyczny autora, który sprawia: iż żadna myśl próżna, żaden naciągnięty rym albo wyraz nie mają tu miejsca. Poemat *Senatorska zgoda* jest jednym z tego rodzaju utworów, które skoro się znajdą w literaturze, zdaje się, że już znane nam były, że już są w niéj oddawna, a co jest tyl-

ko znakiem: iż w niéj mają pozostać na długo, może nazawsze. Pomiędzy przypisami dołączonemi do poematu jest list autora do Stanisława Krasickiego, opisujący wspomnienie o *Zamku Liwskim*; wiersz tego listu jest takiż jak w texcie, ale zarazem żywość fantazyi i słowa są w nim o stopień wyższe. Piękny poemat *Senatorska zgoda* byłby w rodzaju swym arcydziełkiem, gdyby był tak cały pisany jak ten urywek o *Zamku Liwskim*.

Urodzony Jan Dęboróg, poemat p. *Władysława Syrokomli*, z wielu względów jest podobnym do poprzedniego. Jestto równie opowiadanie osoby trzeciéj o czasach ubiegłych, obraz z życia szlacheckiego powiatowego, kłótnia i zgoda; rzecz tylko dzieje się nie w Sanockiem, ale na Litwie.

Brochwicze i *Dęborogi* bylito właściciele posiadłości niewielkich, i graniczyli z sobą przez miedzę; lecz miedzy téj już od lat wielu żaden z nich nie przeszedł: „do końca świata żaden się Dęboróg z Brochwiczem nie zbrata," było to przysłowie i hasło obu stron. Jeszcze za Jana Kazimiérza, któryś Brochwicz ukrzywdził sąsiada Dęboroga zaborem morgu i odmówieniem mu panny; ale wśród wojny szwedzkiéj, rotmistrz Dęboróg uprzedził z powrotem sąsiada: za morg zajął mu dziesięć, spalił ślady dowodów, wygrał proces, i dopiéro przy zgonie, pod zbawieniem swém zastrzegł zwrócenie szkody. Ani syn jednak, ani wnuk, do ojca opowiadającego Jana nie powrócili szkody, chociaż proces wznawiany był, chociaż krzywda Brochwiczów była jawna, chociaż skrwawiony rotmistrz (którego ciało przez syna na fałszywéj granicy złożone zostało) ukazywał się od czasu do czasu dzieciom, to we śnie, to przy kurhanie, i powtarzał: „*redde quod debes*". O dziejach tych rodu swego nie wiedział jeszcze dobrze opowiadający je *Jaś*, kiedy po ukończeniu nauk u księdza *definitora* i w konwikcie, przepędzał dni na myślistwie, a w jednéj z tych wycieczek zabłądził do sąsiedniego dworku, gdzie poznał zamieszkujące matkę z córką. Byłato wdowa po ostatnim z Brochwiczów, i córka jéj Zofia. Poznanie to było stanowcze dla serca Jasia: bywał odtąd we dworku codzień, ale wiedział o woli ojca; przemógł się, pożegnał w końcu Zosię nazawsze—i oto, gdy właśnie wracając z tego pożegnania omijał kurhan, stanął przed nim skrawiony dziad rotmistrz i zawołał: „*redde quod debes*. Jaś wpadł w gorączkę; przywołany ksiądz definitor, który oddawna pracował nad pogodzeniem stron, ponowił namowę do zgody. Stary Dęboróg wzbraniał się, ale w końcu uległ. Ślub Jasia Dęboroga i Zosi Brochwiczanki zakończył nienawiść rodzin, graniczne kłótnie ich, i uspokoił duch rotmistrzowy.

Taka jest treść Dęboroga; treść, jak powiedzieliśmy podobna do poprzedniego poematu, lecz odznaczająca zarazem niejaką różność stron i obyczajów. Przedmiotem Dęboroga jest ró-

wnie kłótnia i *zgoda*, tylko nie *senatorska*, ale *szlachecka*. Na Litwie szlachta drobniejsza istotnie dzieliła się niekiedy na dwa obozy, przyłączając się już do tych, już do owych panów; ale sama nie kłóciła się z panami, a charakterystycznym powodem kłótni jéj między sobą, i do najnowszych czasów, nader powszechnym był zawsze proces graniczny.

Charaktery w powieści szczegółowie i dobitnie są nakreślone, a jakkolwiek według napisu, bohaterem powieści jest Jaś; dwie najwięcéj w opowiadaniu odznaczone figury są: ojciec bohatera stary *Dęboróg* i ksiądz *definitor*.

Ojciec bohatera powieści jestto jeden z typów krajowego charakteru szlacheckiego z ostatnich czasów. Charakter ten, pobożny ale prawie wyłącznie w praktykach, dbały o honor szlachecki, ale téż widzący go nieraz tam, gdzie go nie ma; ostry w władzy swéj rodzicielskiéj, stały w nienawiści, w ogóle silny, ale bez rozleglejszego widoku: w figurze starego Dęboroga (mającego téż tu przysłowie *proszę aspana*, i co chwilę na ustach *wojewodę trockiego*, u którego służył dworsko w młodości), dramatycznie i trafnie jest przedstawiony.

Jak dobrze naprzykład odznacza loikę charakteru, gdy zmuszony oddać syna do księdza definitora, którego szacował, lecz którego zasad co do wyobrażeń o jego procesie granicznym lękał się, przed odjazdem tak go o charakterze jego przyszłego mistrza uprzedzał:

„Ksiądz i poczciwy; lecz pożal się Boże,
Tak mu do grzbietu przyrosła sutanna,
Że o szlacheckim zapomniał honorze.
. . . . . .
Proszę aspana, toż minęły wieki:
Nie jam ukrzywdził, nie ja wynagrodzę.
. . . . . .
Może już dotąd gdzieś przed Panem Bogiem
Dawno się Brochwicz zbratał z Dęborogiem;
Lecz tu na ziemi—to wcale inaczéj,
Proszę aspana, i honor coś znaczy,
Honor szlachecki."

jak równie dobrze zachowany przy owéj zaraz probie, którą następnie zaraz przebyć musiał, tojest: kiedy ksiądz definitor przyjmując od niego syna, w obecności ojca do swego przyszłego wychowańca tak między innemi rzekł:

„*Chłopyśmy* i parobki przed Bożem obliczem!
Nikt cię tutaj nie będzie nazywać paniczem,
Jeść będziesz razem ze mną: *z nami czeladź jada*,
W zakrystyi wyręczać kulawego dziada,
Na *polu* mnie się w pracy nieraz dopomoże"....
. . . . . .
„Miłościwy księże!....
Na to, proszę aspana, nigdy się nie zgodzę"....

przerwał mu Dęboróg, „lepiéj niech już syn mój zostanie głupim, niż gdyby miał jeść z chłopami;" i opowiedział powieść o woje-

wodzie trockim, który kazał dać sto batów strzelcowi, który go wyratował z wody, iż ręką chamską śmiał za czub pański trzymać. Charakter ten jednak w gruncie pobożny, przy dobrym kierunku zawsze lepiéj kończył niż zaczął; dlatego téż zostawił w końcu syna u definitora, a przy końcu powieści uległ perswazyi tegoż, przystając na pojednanie dwóch rodzin.

Ksiądz *definitor* druga figura główna i podobno najgłówniejsza w opowiadaniu (a przynajmniéj najwięcéj oryginalna), jestto trafnie i żywo skreślony ideał dobrego plebana. Figura ta jest właśnie niejakim kontrastem z poprzednią. Dęboróg byłto typ pobożności z przesądami i biernéj; ksiądz definitor typ pobożności bez przesądów i czynnéj. Piękny obraz ogólny tego definitora (umieszczony w *Bibliotece* niegdyś jeszcze przed wyjściem poematu), znanym jest czytelnikom Biblioteki. Autor kreśli go daléj w powieści w jego stosunkach z uczniami, kmiotkami i sąsiadami, a zawsze jako pocieszyciela w nędzy, nauczyciela pracy, cnót, oświecenia, i jako tego, który się zaparł pokoju i wygód własnych, dla przyniesienia ich drugim.

Charaktery kobiét, Zosi Brochwiczanki i matki jéj, lubo okazują się na chwilę tylko i jako bierne, naturalne są jednak w swojém dotknięciu.

Figura *Jasia* Dęboroga, jéj losy, z samego zadania poematu są głównem źródłem rozdziałów: *wychowanie domowe, pobyt u definitora, nauki w konwikcie, odwiedziny dworku* na polowaniu: są to właśnie części składowe poematu. Wszystkie części te, a zwłaszcza druga, tojest: wychowanie u księdza definitora, szczegółowie i dosyć oryginalnie są rozwinięte: ale we wszystkich tych częściach (prócz chyba ostatniéj) Jaś dziecko, jako dziecko, jest figurą również bierną i tylko dającą powód do kreślenia, lub żywiéj odznaczenia innych.

Wiersz w poemacie nie jest równym i monotonnym, ale jest najrozmaitszych miar i toków, stosownie do zmiany przedmiotów; poważny naprzykład w opisaniu nauk i prac u definitora, jest pełnym lekkości i gracyi przy opisie wizyt we dworku; zarówno nigdy nadęty, jak nigdy trywialny, wiersz tego poematu jestto ów wiersz płynny, słodki i poetyczny, który niegdyś odznaczył, i jak widzimy charakteryzuje stale poetów szkoły litewskiéj.

Za stronę ujemną tego poematu może być wszakże uważaną jego kompozycya jako kompozycya. Poemat ten ściśle mówiąc, nie ma całości artystycznéj. Nieistnienie całości téj wskazuje najlepiéj sam napis, tojest: iż całość ta, którą autor idealnie w nim widział, nie istnieje w rzeczywistości. Według autora, treścią poematu są: *dzieje rodu, głowy i serca Jana Dęboroga*; lecz oto dzieje tego bohatera, jak dopiéro widzieliśmy, ograniczają się w powieści na jego zawodzie szkolnym i poczuciu piérwszéj miłości, a zatém na przedstawieniu czasu, kiedy jego głowa i serce dopiéro otwierać się zaczynały. Ustępy te o dziecińśtwie i piér-

wszych latach młodości Jana Dęboroga, sąto ustępy lat piérwszych życia większéj części ludzi żyjących, i dlatego są to, zdaniem naszém, położone tylko jeden po drugim ładne ustępy, ale nie żadna całość artystyczna.

Nie podzielamy zdania, iż jak w przedstawieniu wstrętu starego Dęboroga do chłopstwa, tak w wielkiéj przyjaźni dla téj klassy księdza definitora, tkwi przesada (1). Przesada niejaka w sztuce jest koniecznością, iżby zrównała effekt natury żywéj, a jakkolwiek zarówno jest obowiązkiem i miłość biednych i możnych, piérwsza jednak zbyt częściéj przypomnienia wymaga; lecz zdaniem naszém, jest niejaki anachronizm w tle tego poematu, który tém więcéj rozdziela owę całość. Według rysów, autor powieści miał, jak się zdaje, na celu, przedstawienie obrazu szlacheckiego z wieku zeszłego, a jestto powieść opowiadana mu, jak objaśnia, przez człowieka młodego, na popasie. więc rzeczywiście nam współczesna: ta niejako niełączność wykonania z pomysłem głównym, widna zaraz z początku opowiadania. Jan Dęboróg tak zaczyna powieść o sobie, wierszem zkądinąd gładkim i strojnym, jak każdy pióra autora:

„Pod niegminną i niepodłą
Urodziliśmy się gwiazdą;
Herb Dęboróg nasze godło,
Stary Poleś, nasze gniazdo.
Z dziadów, ojców, w naszym rodzie
Zawsze były łaski Boże;
Szlachta drobna, lecz zasobna,
Krzywo pisze—prosto orze,
Procesuje, strzeże kopców,
Lasy pali, Boga chwali,
I hoduje walnych chłopców."

Jestto rzeczywiście trafny opis ogólny drobnéj szlachty litewskiéj, ale niezupełnie właśnie stosowny do rodziny opowiadającego, niesłusznie krzywdzącéj sąsiadów; szlachta ta, jak wyjaśnia treść poematu, raczéj *prosto pisała*, a *krzywo orała*. Daléj mówi:

„..... Protoplasta
Od którego my pochodzim,
Za Chrobrego czy za Wazy,
Deputatem był dwa razy,
I *wileńskim* podwojwodzim."

Ta wzmianka o podwojwodzim wileńskim za *Chrobrego*, charakteryzować oczywiście miała ten mniejszy stopień wiadomości w opowiadającym, jaki przypisywać lubimy szlachcie dawnéj; lecz

(1) Zdanie to było wyrażone w recenzyi Dęboroga w *Dzienniku Warszawskim* z roku zeszłego; recenzyi, która zkądinąd była jedną z tych nielicznych z roku zeszłego, w któréj czytelnik wiedział o czém mowa, i która obejmowała postrzeżenia rzetelnie krytyczne. W téjże recenzyi dodany jest zarzut: iż figury staro-szlacheckie poematu były już nieraz kreślone, i że zadosyć już mamy tych obrazów przykrych przeszłości.—Co do nas, wolimy także tło poprzedniego poematu; wszakże pod względem sztuki zarzut ten jest raczéj tylko *uwagą*, a nie *zarzutem*.

rzeczywiście nieloiczną jest w ustach tego, o którym dowiadujemy się zaraz niżéj, że nie będąc nawet jeszcze w konwikcie, ale słuchając nauk księdza definitora „marzył nieraz o życiu Solona i Arystyda", a z dziejów swojego kraju o tém:

„Jak dziewica anielska,
Rękę przez Niemen podaje Jagielle."

Niejaka rozwlekłość czyli powtarzanie jednych obrazów i myśli coraz innemi wyrazami, ta wada wszystkich dawnych oryginalnych poezyi autora, w obecnym poemacie już prawie znikła; daje się jednak widzieć niekiedy, naprzykład w tymże ustępie o swoim rodzie, a więcéj jeszcze w opisie sposobu życia u definitora, gdzie (mianowicie w ustępie X.) autor próżno wprowadzeniem coraz nowych miar wiersza starał się monotonność raz już nadmienionego obrazu ożywić. Za wadę poczytujemy także w skreśleniu charakteru definitora opowiadanie przezeń snu Dęborogowi, określające szczegółowie wszystkie szczegóły nadużyć jego przodków, i historyą śmierci rotmistrza. Szczegóły te uważać się muszą za część organiczną powieści, lecz dozwalają téż (z powodu drobiazgowości swéj) wnosić, że sen ten był dowolnym pomysłem plebana, że tenże mógł być sprawcą i widma, które się okazało Jasiowi, i czystéj pobożności charakter tak dobrze prowadzony, zmienionym się przez to widzi na ów dwuznaczny, a mający za hasło: „mniejsza o środki, byle cel dobry."

Wszakże, uważany jako ustęp kroniki powiatowéj, jako zbiór opisów, obrazów; poemat Dęboróg jest to pełna uczucia i wdzięku kompozycya. W toku jego nie napotkamy wprawdzie niezwykłych przenośni, porównań, wyrażeń, niezwykłych myśli; lecz każdy znajdzie tu własnych swych myśli i uczuć upoetycznienie i odcienienie.

Przedśpiewek do litewskiego czytelnika, w którym autor rozmyśla o ujemnych i dodatnich stronach poetycznych swojéj prowincyi, położony na czele, jakby korona poematu, jest téż nią rzeczywiście pod każdym względem.

Ostatnim wreszcie, tojest najnowszym utworem, o którym rzec mamy, jest: **Tomira**, *Misteryum* przez *Deotymę*. Jestto utwór autorki *Improwizacyi i Poezyi*, o których właśnie rok temu, donosiliśmy.

W utworze tym, powiedzmy to z góry, autorka do owych niezwykłych cech daru poetycznego, które w niéj poznaliśmy, nową przydała. Jeżeli treścią poezyj jéj zeszłorocznych był głównie *liryzm* i liryzm najoderwańszy, w obecnéj jest sfera praktyki i najdobitniejszéj praktyki—*dramat*. Owe ogólne cechy, które odznaczyły były liryki, odznaczają téż i dramat autorki. I tu, jak w lirykach, w pomyśle, układzie i rozwinieniu swego przedmiotu, jest autorka z gruntu oryginalną; i tu jak w lirykach, od piérwszéj do ostatniéj stronnicy, każdy obraz, myśl, słowo, świeżość, a świe-

żość pierwotnéj poezyi odznacza; i tu wreszcie zostając śród sfery sztuki, autorka nie zapomina, iż istotném znaczeniem téj sfery nie jest wyłącznie sztuka. Jakkolwiek zajęta *chwilą*, widzi zawsze przed sobą nietylko chwilę, lecz *czas*; zajęta *punktem* na ziemi, nie traci z pamięci *ziemi*: słowem, nietylko *piękność* poezyi, lecz téż *żywotność* poezyi zawsze jéj celem. Cecha niezależności widna jest i w samych zewnętrznych ramach: dramat ma nazwisko *Misteryi* i podzielonym jest (w miejsce scen i aktów) na obrazy.

Czasem dramatu jest początek wieku jedénastego, miejscem jego, kraj nowonawrócony do chrześciaństwa Bolesława Chrobrego. Tomira córka rodziców pogan, utraciwszy w dniu jednym ojca z rozkazu bogów, i matkę (spaloną na stosie po mężu) z rozkazu kapłanów, przeklęła i swych bogów i swych kapłanów, i błądzi po dolinach i górach. U *Góry Łyséj* napotyka ją orszak myśliwski: byłyto łowy, które król Bolesław Chrobry wyprawił na pożegnanie *Emeryka*, syna króla węgierskiego Stefana, i byłato właśnie chwila, w któréj Emeryk usłyszał ów głos z nieba: „zostaw co masz najdroższego" (głos, który pociągnął za sobą podarunek przez Emeryka drzewa z krzyża św. i założenie na Łyséj-górze kościoła Świętego Krzyża i opactwa Benedyktynów). Tomira ujrzawszy cud Emeryka, zapragnęła podzielić i wiarę Emeryka. Emeryk i orszak królewski powierzają ją opiece i nauce najbliższych kapłanów. Tomira była katachumenką i miała już zostać chrześcianką, gdy nowy wypadek ją spotkał. Śród burzy, napotkał ją w górach człowiek, za którym także przemawiał głos z nieba. Byłto ów żyd wieczny tułacz, *Ahashwerus*, który za odmówienie odpoczynku idącemu śród męki Zbawcy, skazanym został na wędrówkę bez odpoczynku aż do dnia sądu, i za którym, ilekroć stanął, dawał się słyszéć głos: „idź a idź naprzód!" Człowiek ten nie przemówił do Tomiry tak jak Emeryk: wiarą i duchem, ale za to wiedzą i światem, i tém więcéj zawahał sercem dziewczyny. Ukochany, sam ją ukochał. Ostrzeżona przez Emeryka Tomira, kim istotnie jest nieznajomy, chce zerwać z nim; ale w dzień chrztu uwierzywszy, iż zbawi go jeźli z nim pójdzie, czyni z siebie ofiarę, wyrzeka się chrztu i spieszy za Ahashwerem. Emeryk przyzywa natenczas moc Bożą i Tomira upada na ziemię, w głaz przemieniona.

U stóp *góry Łyséj* jest dotąd postać kamienna kobiéty, i według wiary okolicznéj, posuwa się co rok w górę, a dzień w którym dojdzie wierzchołka, będzie dniem sądu ostatecznego.

W téj treści rozwiniętym jest dramat autorki. Dramat ten jest oparty na podaniu dziejowém i jest w części zbiorem figur dziejowych; lecz autorka dała mu napis *Misteryi*: musimy więc głównie go sądzić nie jako dramat historyczny, ale jako *Misteryum*.

Bohaterką i jedyną rzec można osobą tego Misteryum jest *Tomira*. Wprowadzeni tu także: król *Bolesław*, książę *Emeryk*, orszak królewski, wieśniacy, sam *Ahashwerus*, są to tylko lub

chwilowe zjawiska, lub fantastyczne pomoce, dla odbicia, rozwinienia i odkreślenia charakteru Tomiry. Wszystkie te figury w dramacie są jako podrzędne; dla rozwinienia jednak i przedstawienia charakteru głównego, niektóre z nich musiały być odkreślone więcéj, a mianowicie dwóch przeciwnych duchów Tomiry: *Emeryka* i *Akashwerusa*.

Obrazy *Misteryum* rozwinięte są w dyalogach, a wykonanie podobnego zadania, nie było to zapewne wykonanie pospolitego zadania dramatycznego. Charaktery, rozmowy i sytuacye, które w ramach tych przedstawiać i rozwijać wypadło, nie byłyto znane, codzienne spółczesnych nam dramatów: to niejakaś, naprzykład córka, zmuszona iść za bogacza: bankier, palestrant, wojskowy, lub inna jakaś podobna przedstawiała się do odkreślenia figura; ale charaktery innych uczuć, innego wieku, wiar innych, stosunki wreszcie lubo fantastycznie stworzone, ale raz w dramat ujęte na zasadzie tych charakterów. Przejęcie się myślą, słowem, uczuciem figur podobnych, wymagało już nie odbicia potoczności, ale rzetelnéj poezyi (utworu z siebie).

Wskażemy tu bliżéj na główne szczegóły tego wykładu, a zwłaszcza na rozwinięcie charakteru samej bohaterki Misteryi: charakter ten bowiem, jako utwór żywszéj fantazyi mniéj oczywiście trafiać może do powszechniejszego stopnia fantazyi, a ztąd i być rozumianym.

Misteryum, jak rzekliśmy, rozwiniętém jest w trzech obrazach. Piérwszy kończy się nawróceniem Tomiry, drugi odstępstwem jéj, trzeci jéj ukaraniem.

Obraz piérwszy jest przedstawieniem charakteru młodéj poganki jako poganki, czasu jéj dzieciństwa, jéj piérwszego zajęcia się cudem i wiarą nową. Otwiera go monolog Tomiry, po ucieczce z domu błądzącéj i przerażającéj się i swym losem, i swém sumieniem:

„Czy cisza czy burza,
Doliny i wzgórza
Przebiegam z tęsknotą.
U jakichże progów
Odpoczniesz sierota?
Ni w ziemi, ni w niebie
Pociechy dla ciebie,
Bo żal masz do bogów!"

Z sercem, fantazyą żywą, z potrzebą takiéj lub innéj wiary, a brakiem wszelkiéj, młoda poganka napotyka tu orszak łowiecki, i staje się świadkiem cudu. Nad Emerykiem, znanym z świętości życia i synem świętego, daje się słyszeć głos z nieba. Wypadek ten z czasów innego stopnia wiary, innego wieku, stan extazyi samego Emeryka (stan znany nam tylko z niektórych pism z owych czasów) przedstawione tu nie we wzmiance, ale w obrazie żywym, który autorka szczegółowie umiała uobecnić przed sobą i skreślić.

Emeryk odosobnionym był od orszaku, kiedy posłyszał głos z nieba, który też posłyszała Tomira; gdy wtém przybliżył się troskliwy i szukający go orszak.

JEDEN STRZELEC.

Lecz cóż mu jest? *nieruchomy....*

Tomira.

Z oczu jego biją gromy....
Nie groźby, lecz zachwycenia.

Paź.

Tak mu się *skroń rozpromienia*,
Jako u świętych w Missalu!

Król.

Emeryku! przyjacielu!
Przemów, *czyś jeszcze na ziemi?*

Paź.

Spuszcza ku nam oczy; gorą
Błyskami tak *proroczemi*,
Że aż drżę świętą pokorą....

Emeryk.

Niebo, wieczności korona,
Skarbiec z gwiaździstych różańców,
Samego Boga osłona:
To niebo bez chwil, ni krańców,
Obcuje ze śmiertelnemi!
. . . . . .
Jam usłyszał głos z niebiosów,
A był tyle wyższy nutą
Od wszystkich znanych mi głosów;
Ile cedr jest ponad różę,
Ile świętość nad pokutą.
On mi kazał na téj górze
Uczynić ofiarę i t. d."
. . . . . .

Żywe serce Tomiry zrażone do wiary własnéj, a szukające nowéj, głośno tu przemówiło. Okrzyk Tomiry i piękność Tomiry, zwróciły uwagę orszaku. Zajęcie się to Tomiry przedewszystkiém wiarą, i troskliwość orszaku przedewszystkiém o wiarę nieznajomej, jakkolwiek skreślone w misteryi, oparte też i na historycznym kolorze wieku; dyalogi i obrazy Misteryi téj w ogóle, w niczém się nie sprzeciwiają temu kolorowi. Sam naprzykład (niedawno dowiedziony) zwyczaj u Słowian pogańskich *poświęcania żon* po śmierci mężów, wzmianki przy porównaniach o świątyni w *Arkonie*, i t. p. są to szczegóły obrazów lub dyalogów charakterystyczne, czasowe. Lecz czas ów byłto naznaczony czas przedewszystkiém krzewienia się wiary chrześciańskiéj po krajach Europy, krzewienia się jéj w różny sposób, z różnych na pozór powodów; i kiedy, praktycznie mówiąc, ukazywały się tylko serca zrodzone już do nawracania się, już do nawracania: sytuacya

Tomiry w obec orszaku była więc naturalną, naturalném było zajęcie się Emeryka Tomirą, i uczynione zaraz pytanie o wiarę jéj

„Wiara ma nieokreślona;
Ta którą miałam—już kona,
Nowéj nie zgłębiłam jeszcze"....

. . . . . .

Odpowiada mu dziewczyna, i dołącza wnet rys swego dzieciństwa i swego losu. Emeryk zajmuje się troskliwie i gorliwie dalszym jéj losem, jéj wiarą, i porucza ją opiece kapłanów. Obraz kończą proste, ale z uczuciem wymówione słowa wdzięczności Tomiry, zwrócone do Emeryka:

„Oto dzień trzeci błąkam się tu z trwogą,
Nieśmiejąc wrócić do wioski."

mówi, ale nad wszelką trwogę i niepokój dręczył mię stan mego sumienia, z któregoś wreszcie ty mię wybawił:

. . . . . .

„Straciłam wszystko co miałam na ziemi,
Zwątpiłam o wszystkiém w niebie;
Byłabym zmarła z uczuciami temi,
Gdyby nie przylot twój drogi.
Ty, coś mi wrócił niebiosy!
Teraz znów wiem że są bogi,
Bom usłyszała ich głosy."

. . . . . .

Treścią obrazu drugiego jest poznanie się i stosunek Tomiry z Ahashwerusem. Przedstawienie tego obrazu wymagało, rzec można, sztuki o stopień wyżéj; jeżeli przedstawienie szczegółów obrazu piérwszego Tomiry i Emeryka, wymagało głównie *świeżéj fantazyi*: rozwinienie tego drugiego obrazu, tojest przedstawienie grzesznika-wędrowca, który widział kraje i wieki, i który słowem światowém odnosi stopniowo zwycięztwo nad sercem katachumenki, wymagało téż podniesienia do stopnia sztuki: *świeżego myślenia*. Stosunek ten Tomiry z tajemnym, nie przez omówienie, ale dramatycznie i szczegółowie tu rozwinięty.

Obraz zaczyna monolog Tomiry pojącéj trzodę baranków. Monolog ten nacechowany prostotą słowa, przedstawia téż nam jakby obrazek malarski Tomirę z jéj otoczeniem, i kreśli dobrze stan fantazyi żywéj katachumenki, łączącéj każdy przedmiot na który spogląda z nauką nową

. . . . . .

Studnia śród gaju u stóp góry Świętokrzyzkiéj. Tomira wchodzi, prowadząc trzodę baranków:

„Jakież rzewne ich głosy,
Kładą główki na łące;
Jak lilijki bez rosy
Kładą główki chwiejące.
(Zapuszcza wiadro).
Aż się szaty rwą moje
Tak mię wkoło ciśnięcie.

Już się liny gnąc szyją
Wraca wiadro; jak piją!
Każden pląsa jak dziecie,
Aż drżę kiedy je poję,
Bo mi zda się, że we mnie
Okiem każdej owieczki,
Chrystus patrzy tajemnie.

„Nie! cudniejsze twe blaski
O baranku—o Boży!
Okiem twojém—gwiazdeczki,
Wełną—mleczny puch zorzy;
A twym głosem—pieśń łaski!

„Czemuż jeszcze dni tyle
Z twą mię jutrznią rozdziela?
Dniu! gdy w Jordan się schylę,
Dniu balsamów, wesela,
Co mi zwiesisz u czoła
Mir, ten wieniec chrześcianek....
i t. d."

Lecz oto nagła nadeszła chmura, zahuczał grom: Tomira zwołuje baranki, a wtém daje się słyszeć zbliżający się zdaleka śpiew, którego treść także nie odstępowała od przedmiotu o którym rozmyślała Tomira:

„W krąg siedli, tém co zdobyto
Dzielą się, a tę nieszytą
Na los rzucili, na los"
. . . . . .

Tomira staje zdziwiona na widok szczególnéj postaci nieznajomego; Ahashwerus bierze ją za gorliwą chrześciankę i zamierza ją zgubić. Ahashwerus bowiem przez sam fakt swojéj kary, przymuszonym był i wierzyć i nienawidzieć zbawcy ludzkości. Emeryk podbił Tomirę duchem, Ahashwerus miał niebezpieczniejszy oręż dla myśli ludzkiéj: subtelności *rozumowania wiedzy*, (bogactw wiedzy nie mogło braknąć temu, który widział ziemie i wieki, ani rozumowania, kto przez wieki rozmyślał).

Nieznajomy nie zaczyna bynajmniéj od wyśmiewania wiary młodéj dziewczynki, od kłamstwa, lecz owszem od słów prawdy istotnéj, od obudzenia ufności ku sobie. Ujrzawszy Tomirę strwożoną widokiem burzy, objaśnia: iż nie trzeba się lękać burzy, t. j. zewnętrznych znaków, te bowiem są niczém z siebie: są one tylko skutkiem sprężyn *tajemnych*. Tomira słucha z zajęciem, dowiaduje się, iż przyczyną, sprężyną rzeczy jawnych na ziemi są duchy, *świat duchów*, i woła:

„O wskaż mi świat ten: oto jednéj chwili,
Ziemię, powietrze, zaludniasz przedemną."

Ale *Nieznajomy* nie radzi jéj téj wiadomości, i mówi:

„Oby się nie znać z tą sferą tajemną.
. . . . . .
Wierz mi dziewico, wielu mędrców może

Dałoby chwałę swéj wiedzy ponuréj,
Za takie chwile bez zwątpień, bez chmury,
Jakie ty spędzasz w ciszy i pokorze....
W tejże naturze, w któréj widzę wroga,
Ty sądzisz widzieć cel czułości Boga;
Ty możesz jeszcze pokochać blask ranka,
Pieśń wodospadu – niewinność baranka."

Tomira ucałowa baranka i rzekła:

„Bo i któż mógłby nie kochać stworzenia
Co cierpi w ciszy—a ceni pieszczoty.
. . . . . .
Czyż ten wzrok niebem się nie rozpromienia?
Spojrz!...."

Nieznajomy odwraca się i z uczuciem mówi:

„Ten wzrok wspomnieniem duszę ma rozrania.
Ach takiż wzrok miał tam, tam u Golgoty!
Kiedym go widział w męczarniach konania."
. . . . . .

Tomira słucha i dziwi się, a Nieznajomy dodaje, iż ujrzawszy ją siedzącą u studni, zajął się nią, bo mu przypomniała Rebekę Izaakową, i inną niewiastę (Samarytankę), któréj rozmowa u studni, zapisaną jest w księdze, z któréj co chwila nasuwają mu się wspomnienia.

Tomira

„Jakaż to księga?

Ahashwerus.

Sądy o jéj treści
Liczne i różne; księgą *dobréj wieści*
Wielu ją zowie; lecz jam śród jéj zgłosek
Nic nie wyczytał—oprócz słów przekleństwa!"

Widząc rosnące zainteresowanie się dziewczynki, Nieznajomy stara się też obudzić spółczucie ku sobie, i nie objaśniając przyczyny, objawia: iż cierpi a cierpi, od wieków. *Tomira* radzi iżby się udał do środków duchowych. *Nieznajomy* jéj odpowiada, iż do różnych uciekał się po kolei: *mądrość, swoboda, złoto, rozpacz*, wszystko okazało się *próżném*, i jedno mu tylko pozostało życzenie, lecz które zaspokojone być nie może:—*śmierci*. Dowiedziawszy się, iż jeszcze nie jest chrześcianką, zrzuca nareszcie maskę, pewniejszy skutku; ostrzega, iżby nie rachowała na nową wiarę i nie odrzucała wiary ojców.

Tomira zwraca uwagę na *pokój* i przyszłość, które wiara daje.

Ahashwerus.

„Duch twój na jego obietnice liczy,
Smutna ufności ofiaro!"

Tomira mówi, iż tak powiada Emeryk, a Emerykowi nie można nie uwierzyć, bo samo niebo za nim przemawia.

Ahashwerus staje na miejscu, a wtém daje się słyszeć ów ścigający go głos:

„Idź, a idź naprzód!"

Odchodzi, a pozostała Tomira, słowem podbita, uczuciem związana, i cudem w końcu pokonana, zostaje z tém nowém uczuciem i troską nową. Co czynić? albowiem i mimo *rozum* i mimo *serce*, inna jeszcze jakowaś silniejsza siła *(sumienie)* szepce jéj: iż przy Emeryku jest prawda. *Tomira* traciła pokój, i jeżeli obraz nawrócenia zakończyła słowem wdzięczności dla Emeryka, obraz odstępstwa kończy wyrzutem dla Nieznajomego, obwiniając i siebie:

„Obyś się nigdy nie był spotkał ze mną!
. . . . . .
Ach! samo niebo potrzykroć tajemną
Zdało się zbudzać przestrogę.
Żałobna postać, jak duch, co cios wróży,
Westchnienie dzwonu, piorunowa strzała,
Mówiły: wracaj! A jam pozostała,
I przyszedł z burzą *duch burzy*."
. . . . . .

Obraz trzeci przedstawia dzień poświęcenia Kościoła Świętego Krzyża na *Łysej-górze*. Orszak królewski, król, książę Emeryk, przybywają na uroczystość. Tenże dzień przeznaczony jest i na chrzest Tomiry. Tomira postępuje na obrzęd z suknią godową na sobie, z zamiarem w duszy, ale w sercu z miłością dla Nieznajomego; z tąż miłością i Nieznajomy (który może po raz pierwszy w swojéj wędrówce spotkał spółczucie), krążył co dnia koło niéj. Wczoraj jeszcze jéj przyrzekł, iż jeżliby nie przyjęła chrztu, on jéj objawi swe imię, nauczy przyczyn wszechrzeczy, i jeżli pójdzie z nim razem przez szereg wieków, na tron wiedzy z nim wstąpi. Tomira boi się go, a jednak żąda, iżby go jeszcze raz ujrzeć; wyznaje, iż nad światło i słońce, woli dzisiaj gromy i burze, bo te jéj zawsze przybycie ukochanéj postaci zapowiadają. Lecz oto zamiast Nieznajomego spotyka ją idący Emeryk. Emeryk zapytuje ją groźnie, czyli prawdą jest co go doszło, iż widzą ją co dnia z człowiekiem jakimś; iż dla niego nauk kościelnych zaniedbuje. Prosta Tomira nie umié, i nie chce wcale oszukiwać swego dobroczyńcę, i wyznaje i sam fakt i swoję wątpliwość:

— „Ach! jest istota nieokreślona,
Duch, co w swe koło ziemian pochwyca;
Uroku jego nic nie pokona,
Bo w tym uroku—jest *tajemnica!*
Mądrości jego czas nie zaprzecza,
Bo on oglądał wszech wieków dziwy.
. . . . . .
Tento potężny mistrz nie z téj ziemi,
Raczy przemawiać do mnie ziemianki,
Słowy mądremi—słowy rzewnemi,
I jażbym miała nie czcić go?....
. . . . . .

Tomira nie waha się nawet wyznać, iż Nieznajomy ten wyższy nad Emeryka: albowiem żył i obcował z samym Chrystusem. Emeryk zgaduje, wykłada jéj kto nim jest. Tomira rozpacza,

płacze. Emeryk robi uwagę, iż ta łza zbawia ją. *Tomira* pociesza się, i mówi z uniesieniem wdzięczności, zwracając się do Emeryka:

— „O religio, przebaczenia!
Jakież serce ma twój Bóg!
Jakże ty świętości synu
Umiesz koić tych, co drżą;
Ledwie płaczę mego czynu,
A już nie pogardzasz mną!
. . . . . .

Emeryk spieszy na obrzęd, a scena następna i przedostatnia dramatu, sprowadzająca w końcu katastrofę, jest sceną i tegoż stopnia sztuki (jeżeli nawet nie wyższéj) jak poprzednie, i zarazem istotnego effektu.

Tomira nie chce już widzieć Nieznajomego i spieszy za Emerykiem, ale po drodze spotykają ją przeszkody *nie od niéj zależne* (tak istotnie każdemu w położeniu podobném, tłumaczy jego słabość); to zasłona jéj zaczepia się za róż kolce, i nie może jéj łatwo oderwać, to spostrzega po drodze węża, którego nie odważa się przestąpić, a przeszkody te dały czas przybliżyć się największéj, bo oto zbliżył się Ahashwerus, i ujrzawszy ją w sukni godowéj, a sądząc że postępuje do ślubu, daje słyszeć, i temi słowami kończy swój śpiew rozpaczy:

„Tak jak za Mojżesza sroga
Trwa z krzyżem odpłaty władza;
Bóstwo mych uczuć mię zdradza,
Bom zdradził Boga!....
. . . . . .

Były to słowa namiętne, lecz w których mieściła się także właściwa Ahashwerusowi gorzka ironia z prawa nowego; serce wszakże kochanki pamiętne świeżéj nauki Emeryka, co innego w nich dosłyszało.

— „On *wyznał*, że *zdradził Boga*.
O iskro nadziei błoga!....
I onby więc mógł znać żal!
. . . . . .
Mamże uchodzić samolubną trwogą?
Wprawdzie jeżeli ujdę (1), już nie mogą
Zgonić mię nowe pokusy w pokusie;
Ale nawzajem jeżeli ustanę,
Choć me narażę zbawienie,
Może w nim jeszcze to serce zbłąkane
Zbawię—nawrócę—przemienię."

Ahashwerus ukazuje się i żali; *Tomira* wyrzuca mu podejrzenie:

„Pojmuję wiele—lecz to, abyś moje
Posądzał serce, jakże ci wybaczę?
. . . . . .

(1) Sposób tu rozumowania w monologu, przypomina (bez naśladownictwa) podobne miejsca w dramatach greckich i Szekspira.

Niewdzięczny, już zapomina,
Żem ja jedyna
Śmiała *zaufać*; iż może ukoję
Potępionego rozpacze!

. . . . . .

Wszak się już chciałam wyrzec i sumienia,
I ciszy, jaką tracąc się ocenia,
I wiecznych krain gdzie błyszczą anieli,
Dlatego tylko, że sercu—motyle
Skrzydła spłonęły w ognistym zapędzie....
I dotąd nawet....

Ahashwerus (*z uniesieniem*).

I *dotąd?*....

Tomira.

Jeżeli
Nie chcesz mię zgubić, *oddal się*.—Przewaga
Ducha twojego tak się zwraca, wzmaga;
Że gdybyś jeszcze działał nią przez chwilę,
Znówbym zginęła w obłędzie.

Ahashwerus.

Jakieżto słowa słyszałem?
— „Oddal się!"—ach! z ust Tomiry!

. . . . . .

oby cię mniej miecz Boży
Karał za ten *brak litości*,
Niż mnie; choć tyś się tak srodze
Stawiła z Ahashwerusem
Jak Ahashwerus z Chrystusem,
Może nawet jeszcze srożéj.
Jam odmówił tylko *głazu*,
A tyś *serca* co już pała;
Jam go odmówił *odrazu*,
Tyś złudną *nadzieję* dała."

„Czyż gdybym poszła za tobą, nawrócilbyś się?—pyta Tomira. Ahashwerus odpowiada, że już nie szemrałby.

Tomira (*namiętnie*).

„A więc i ja będę szła,
Choćby do dnia sądu!"

Ahashwerus (*również*).

„Zbawiłaś mię!—jam *już* w niebie,
Gdy twa miłość poi mnie.
Śmierci! raz pierwszy do ciebie
Wołam: nie przychodź już, nie!"

Na scenę tę nadchodzi *Emeryk*, groźny, nieubłagany opiekun:

„Zbrodniarka wznawia błąd!
Wróć się, byś *nie doszła*—piekła!

Tomira (*padając na kolana*).

Nie mogę, bom *już przyrzekła*,
Że z nim pójdę *aż na sąd!*

Ach to było nad me siły
Zerwać niewidzialną nić
Co nas wiąże—moją *łzą*.
By nie kochać, nie czcić go,
Trzebaby *kamieniem* być!"

— „A więc nim stań się! i w téj postaci idź do dnia sądu" zawołał Emeryk, i Tomira upadła głazem.

Obraz ten i zarazem Misteryum kończy ukazanie się kapłanów, i ów proroczy i grobowy ich śpiew *Dies irae*.

Taka jest treść, i w tych szczegółach rozwinienie dramatu *Tomira*. Nie dołączymy tu żadnego szczególnego wniosku, sądzimy bowiem zawsze, iż w rzeczy dzieł sztuki, dosyć jest dokładniéj oznaczyć samą ich treść, a wniosek taki lub inny, z własnego przyznania czytelnika ukształcić się musi. Donosząc w roku zeszłym o treści *Improwizacyi* autorki Tomiry, nie dołączyliśmy także od siebie żadnego prawie wniosku; zarzucono nam jednak przesadę (?), obwołanie autorki, jak się wyrażono, za „nowego Kolumba" i t. p. Chyba treść wskazywana, sama przez się nastręczała coś podobnego, i tém mniéj był usprawiedliwiony i zarzut i jego źródło (1). Co do treści Tomiry (zawsze *objaśniamy* tylko tę treść) dodajmy, iż nietylko widzimy w niéj nowość, nowość i w *pomyśle* i *formie*, iż poemat sam jako *dramat* i *fantastyczny*, najtrudniejszym był z gatunków poezyi do wykonania; lecz oraz, iż mimo na pozór powtarzanie tylko dziejów, legend, lub dziejów zwyczajnych ludzkiego serca, widzimy w nim razem zamkniętą i rozwiniętą i myśl wewnętrzną, i ztąd, jak się mówi, cel wyższy; a zamknięcie to wykonane ze sztuką właściwą autorce, tojest: iż bytność téj myśli wewnętrznéj w tym dramacie, jest właśnie jak w dramacie świata, gdzie wypadki zdają się toczyć naturalnie, według swych praw zewnętrznych, lecz skrycie i pewne wewnętrzne znaczenie im towarzyszy, w nich spełnia się (2).

Główna po bohaterce figura w téj misteryi, żyd wieczny tułacz, jestto, jak wiadomo figura allegoryczna (po raz piérwszy podobno użyta w wieku trzynastym, dla wyrażenia w ogóle losu ludu żydowskiego), a która w ostatnich czasach, w różnych dowolnych warunkach co do szczegółów swego bytu za machinę używaną była w poematach (*Göthe*, Edg: *Quinet* i t. p.). W dra-

(1) Autor tego zarzutu tłumacząc powód dla którego nie widzi poezyi w utworach autorki, mówi między innemi: „I cóż mi ztąd, że się dowiaduję jak się odbija światło na blaszce" i t. p. W którémś pismie niemieckiém, zdaje się nam w *Leipziger Repertorium*, czytaliśmy niedawno to trafne zdanie o znaczeniu poezyi, które może być niejaką odpowiedzią na rodzaj powyższego zarzutu: „Jakiż jest ostatecznie cel ludzkości w jéj względzie moralnym?—oto: poznać siebie w swojéj istocie, i umieć sobą zarządzić. Jakiż jest ostatecznie cel poezyi? oto: *zjawiska przyrody* i *dziejów* w podniesieniu do światła wiecznego porządku świata, przed oczy ludzkości postawić."

(2) Uwagę tę czyniła i myśląca autorka pisma: *O wychowaniu kobiét*, w artykule o Tomirze.

macie obecnym figura ta użyta jest oczywiście za allegoryą *wiedzy* czysto świeckiéj, w *rozmyślnéj i umyślnéj sprzeczności z wiarą* idącéj. Los bohaterki dramatu oznaczył dobrze los wielbicieli téj wiedzy, a którym jest: „iść do dnia sądu w szacie zapomnienia;" jest to los, który patrząc na dzieje, chociażby tylko piśmienne, istotnie sprawdza się zawsze, i sprawdza to zapowiedzenie Zbawcy: „iż wszelka latorośl, która w nim nie trwa, uschnie, i zbiorą ją i do ognia wrzucą i zgore." *Jan XXV. 6.*

Co do strony ujemnéj (któréj także musimy szukać w *każdym* utworze) powód niejakich ujemności w kompozycyi misteryi Tomira, tkwi w głównym właśnie przymiocie autorki jako autorki, tojest: w darze *improwizacyi*, czyli *tworzenia spiesznego*. Autorka improwizuje widzimy nietylko wiersze, ale też myśli, pomysły, sceny, całe obrazy, dając wykonaną już całość wtedy, kiedy myśl inna zaledwie nad układem i pomysłem ram dopiéroby rozmyślała. Mimo wszakże przywiléj *natchnienia*, cząstką wartości wewnętrznéj w każdym uczynku ludzkim, winna być oczywiście i pewna *zasługa*, praca. Zbyt już rzadzéj jak w poprzednich poezyach, znalazłoby się jednak i w obecnym dramacie niejedno jeszcze miejsce niejakiéj prozy. Usterki takie w treści, jak odsyłanie Tomiry przez Emeryka do zakonników na Łyséj-górze, którzy dopiéro tam sprowadzeni byli po założeniu kościoła postawionego w skutek daru Emeryka, znajdowanie się tegoż w obrazie trzecim przy obrzędzie dokończenia kościoła, kiedy w obrazie piérwszym był już na pożegnalnych łowach i t. p. są to usterki, które zdawaćby się mogły skutkiem braku kombinacyi logicznéj; wady, która jednak ze wszystkich może żyjących autorek, że nie powiemy autorów, najmniéj zapewne mogłaby być zarzuconą zkądinąd autorce Tomiry. Rzeczywiście więc są to tylko skutki *pośpiechu*, który mniéj jéj zważać dozwalał na dodatkowe ramy. Trzy legendy użyte za tło w dramacie *(Emeryk, Tomira, Ahashwerus)* może też zazbyt przesadzają effektem cudowności (warunkiem, który jest właśnie *szczególność* nie *pospolitość)*, i przez to szkodzą effektowi. Niejakie ostudzenie fantazyi (które wszakże iść musi z dniem każdym) nie byłoby zapewne na niekorzyść utworów autorki.

Kończąc to doniesienie o kilku naszych pismach ze sfery piękna z roku ubiegłego, nie możemy nie dodać jednéj ogólnéj uwagi. Czytaliśmy właśnie niedawno w jednym z poważnych dzienników francuzkich sprawozdanie z poezyi swojego kraju za rok ostatni, a sprawozdanie zaczynało się od tych słów: „Oto mamy przed sobą cały stolik założony utworami poezyj nowych, których jednak nikt podobno nie czyta, prócz ich autorów." W przedmowie do wydania zbiorów poetów angielskich dziewiętnastego wieku, przez *hr. Belfast*, również z roku zeszłego, czytamy między innemi tę uwagę: „Jest to fakt smutny, ale istotny, że od lat dwudziestu i więcéj, żaden się u nas nie zjawił poeta, któryby obiecywał zajęcie pustego miejsca pozostałego po naszych

wielkich poetach", („it is a fact to be lamented that fortwenty years or more no aspirant has appeared to fill the kigh places w hich these great poets have left vacant" *Poets and poetry of the nin: Centuryets by the Earl of Belfast*)" (1). U nas same utwory powyższe (mamy już podobno i świeższe tychże piór), i ich przyjęcie, są owszem wskazówką i dowodem nietylko żywéj, ale nawet z pewnéj strony, będącéj jakby w momencie swojego kwiatu, myśli krajowéj, mianowicie: *fantazyi* jéj i *rozmysłu*, z lekką już (w ogóle zjawisk) tego ostatniego przewagą.

T....

(1) W poezyi niemieckiéj z roku zeszłego, główne powodzenie miało także dramatyczne *Misteryum*. O wartości tego obrazu znamy tylko z doniesień w pismach czasowych, i nie znamy nawet jego treści; źródło obu misteryj zdaje się spoczywać tylko w naturze wieku, i podobieństwie od niejakiego czasu zwrotów spekulacyjnych w obu krajach.

ROZMAITOŚCI.

UNIEJÓW.

SZKIC HISTORYCZNO-STATYSTYCZNY.

I.

Początkowy wzrost miasta.

Jak początkowa historya każdego prawie z miast naszych, zwłaszcza tych, co były niejako zawiązkiem społecznego bytu naszego, niknie w pomroce wieków; tak i Uniejów nie ma dokładnéj kroniki początkowego założenia: to więc, co zamierzyłem nazwać początkiem, będzie jedynie epoką dziejów jego, o któréj coś pewniejszego powiedzieć będę w stanie. Bo czyż możemy opisywać początkowy wzrost takiego miasta, którego dzisiejsze domki na kilku już stoją fundamentach, i którego cała blizka okolica przepełniona jest starożytnemi pamiątkami, jeszcze z pogańskich może czasów.

Niezawodnie odległe i zamglone wiekami są czasy jego założenia; w blizkości wykopują urny pogańskie, lud prawi o jakiémś zapadłém mieście Kalinówce, i jego posadę nawet wskazuje.

Nie wdając się w próżne domysły, powiemy tu to tylko, o czém nas stare dokumenta i kroniki przekonały.

Miasto Uniejów nad rzeką Wartą położone, o $7\frac{1}{2}$ mili od Kalisza, należy do najdawniejszych posiadłości arcybiskupów gnieźnieńskich. Podanie ludu niesie, iż Uniejów nazywa się od unii czyli małżeńskiego związku poganina z chrześcianką: czyżby więc to nie odnosiło się do czasów Mieczysława i Dąbrówki?..... Ale i w takim razie, dlaczegożby temu właśnie tylko miejscu tę nazwę nadano?...

Nie zdaje się zatém prawdopodobnym ludowy wywód nazwy Uniejowa, zwłaszcza, że dawniéj, jakto z starych ksiąg uniejowskich, w archiwum akt dawnych w Kaliszu zachowanych, przekonać się można, Uniejów pisano kiedyś po polsku: „Wneaw“ (1).

Z zachowanych dotąd przywilejów z Uniejowa datowanych, najdawniejszym jest przywiléj Leszka Czarnego z roku 1274, nadający Lutomierskowi tytuł miasta na prawie teutońskiém i rzymskiém, Jure Theutonicorum et Romanorum (2).

Oblata tego przywileju jest w aktach sieradzkich 1619 r. in vigilia S. Andreae.

Czacki powątpiewa o jego prawdziwości, opierając się na następujących zasadach:

1) że prawa osadniego rzymskiego w średnich wiekach nie było, a w tym przywileju jest wyraźnie umieszczony ten wyraz;
2) że Leszek wydając przywileje, zwykle się pisał: Dux Siradiensis, et Juvenis Vladislaviae, w tym zaś przywileju pisze się tylko Dux Siradiensis, a w roku, w którym wydał przywiléj, Juvenis Vladislawiae nie przybył;
3) że nakoniec oblata tak późna nie dowodzi rzeczywistości tego pisma, albo przynajmniéj tych wyrazów, które kopista mógł przypisać (3).

Mamy także kontrakt w dniu 21 stycznia 1291 r. w Uniejowie między Jakóbem II arcybiskupem gnieźnieńskim a opatem Cystersów kujawskiéj dyecezyi zawarty (4).

Kroniki nasze dopiéro pod rokiem 1304 piérwszy raz wspominają o Uniejowie. W tym bowiem roku umarł tu Jakób Swinka arcybiskup gnieźnieński; w aktach zaś kościelnych uniejowskich jest wzmianka, iż tenże arcybiskup roku 1283 wystawił tutaj kościół ś. Ducha. Lecz najwięcéj ze wszystkich późniejszych arcybiskupów, zajmował się tém miastem Jarosław Bogorya Skotnicki arcybiskup gnieźnieński.

Jemuto zawdzięcza miasto wspaniały nad Wartą zamek, kollegiatę pod nazwą Panny Maryi, tudzież kościół z klasztorem księży Benedyktynów; godzi się więc przy Uniejowie i o nim w krótkości wspomnieć.

(1) Szczegół ten zawdzięczam uczonym poszukiwaniom p. Szaniawskiego, archiwisty akt dawnych w Kaliszu.

(2) Znajduje się w archiwum akt dawnych w Kaliszu, w księdze zapisów grodzkich sieradzkich pod n. 121. str. 159 i 160.

(3) Dzieła Tadeusza Czackiego zebrane i wydane przez Edwarda hr. Raczyńskiego, Poznań 1845 r. T. III str. 304.

(4) Codex diplomaticus Poloniae etc. editus studio et opera Leonis Rzyszczewski et Antonii Muczkowski, Varsaviae, 1847 pag. 135.

II.

Jarosław Bogorya Skotnicki arcybiskup gnieźnieński.

Jarosław Skotnicki, herbu Bogorya, urodził się w drugiéj połowie XIIIgo wieku, w dziedzicznéj swych rodziców wiosce Skotniki, w województwie sandomierskiém położonéj.

W młodym jeszcze wieku wysłany przez rodziców do akademii bonońskiéj, tak nadzwyczajną zdolność i zamiłowanie pracy okazał, że mu wkrótce i zarząd czyli rektorstwo téjże akademii poruczono.

Godność tę przyjąwszy, umiał Skotnicki, pomimo młodości, należytą powagę zachować i zarząd akademii z niezwykłą sprężystością prowadził. Damalewicz świadczy, że gdy magistrat tamtejszy kazał ściąć jakiegoś studenta Anglika, Skotnicki wyprowadził akademią i nie piérwéj ją miastu powrócił, aż zapadł dekret papieża Jana XXIIgo, skazujący magistrat na wystawienie kaplicy za popełnione mężobójstwo, na zbawienie duszy studenta.

Paprocki zaś w dziele swém o Herbach, inaczéj a nawet zupełnie przeciwnie rzecz tę opisuje, i twierdzi: że Skotnicki Anglika studenta za cudzołóztwo kazał stracić; za co, z rozkazu Jana XXIIgo papieża, za duszę zabitego kaplicę wystawić musiał (1).

Damalewicza jednakże zdanie zdaje się być prawdziwsze, wszyscy bowiem późniejsi heraldycy i biografowie tak samo utrzymują. W każdym zaś razie przykład ten okazuje, z jaką sprężystością Skotnicki swój urząd piastował.

W kilka lat potém zatęsknił Jarosław do rodzinnéj ziemi: porzucił rektorstwo w Bononii i do Polski powrócił, aby tu świetnemi zabłysnąć czynami, a owoc długoletniéj pracy, głęboką naukę niosąc na swą ziemię, kraj i siebie wsławić.

Młodość, zdolność i uczona sława, a wszystko w duchowną sukienkę pokory przybrane, musiały koniecznie na Skotnickiego zwrócić uwagę przełożonych. Jakoż zaraz prawie po swym do kraju powrocie, za wstawieniem się króla Kazimiérza Wgo, został arcydyakonem krakowskim i kanonikiem gnieźnieńskim.

Na tym urzędzie takiemi zajaśniał cnotami, tak wielką zdolność i pobożność okazał, że nic będąc wprzód biskupem, jednogłośnie od kapituły gnieźnieńskiéj w dniu 14 lutego 1342 r. arcybiskupem został obrany.

(1) Bartłomiéj Paprocki Herby rycerstwa polskiego; w Krakowie u Mat. Garwolczyka, 1584 r. folio, str. 182.

Błędnie zaś mniema Damalewicz, że Skotnicki zyskawszy sobie względy papieża Klemensa VIgo w czasie podróży z Bononii do Awenionu, został przez niego arcybiskupem mianowany; błędnie także i Naramowski rzecz tę powtórzył, (1) bo Długosz współczesny a więc najwiarogodniejszy jego biograf, tak, jak powyżéj wykazano, okoliczność tę wyjaśnia.

Skotnicki zostawszy arcybiskupem, nadzwyczajną czynność rozwinął; podległe sobie dyecezye często odwiedzał, w Uniejowie, Pabianicach, Budyowicach, w Kaliszu, w Krakowie, i w wielu innych miejscach nowe kościoły budował, stare odnawiał i przyozdabiał; opuszczone klasztory kanonikami obsadzał, żeby w nich, jak się wyraża Jaroszewicz: „chwała Boża we dnie i w nocy brzmiała" (2): zgoła, jak szłusznie o nim Paprocki powiada, był to prawie własny a hojny ojciec kościołów, bo tak jak ojciec strzeże i pielęgnuje dziatki, takie prawie Skotnicki miał o kościołach staranie (3). Zawsze odznaczał się wielką mocą duszy. I tak, gdy Kazimiérz Wielki w skutek traktatu w roku 1343 z Krzyżakami zawartego, na sejmie w Władysławowie a późniéj Kaliszu uchwalił ustąpienie Pomorza Krzyżakom, Jarosław stojąc na czele całego duchowieństwa, protestacyą swą przeciwko tym uchwałom, pomimo gniewu o to króla piśmiennie ogłosił, i pomienione uchwały za nieważne uznał.

Oparł się także Karolowi IVmu cesarzowi, chcącemu biskupów wrocławskich wyjąć z pod metropolii arcybiskupa gnieźnieńskiego; nadużył nawet podobno powagi swojéj, gdy w duchu wieku, w którym urzędował, usunął od społeczności kościelnéj Ziemowita książęcia mazowieckiego, za to, że Pietrasz syn Krystyna wojewody płockiego z ludźmi książęcemi dobra kościelne w okolicach Łowicza złupił, i nie piérwéj to odłączenie Ziemowita od grona wiernych odwołał, aż dopiéro, gdy tenże dwie wsie katedrze gnieźnieńskiéj wieczystém prawem nadał.

Często Skotnicki sprzeczki między biskupami a wielkimi pany polubownie rozstrzygał, i tak: spór króla, a szczególniéj obywateli województwa krakowskiego i sandomierskiego z Bodzantą biskupem krakowskim wszczęty o dziesięcinę w roku 1361 uspokoił wydaném urządzeniem, które Kazimiérz W. za powszechne prawo ogłosił i zagroził surową karą tak duchownym jako i cywilnym, którzyby się temu urządzeniu sprzeciwiać chcieli (4).

Wkrótce rozstrzygnął także Jarosław drugi spór o biskupstwo płockie, między Janisławem Wrońskim kanonikiem płoc-

(1) Ad. Ign. Naramowski, w dziele p. n.: „Facies Rerum Sarmaticarum" Liber II. pag. 114.
(2) Jaroszewicz, Matka świętych Polska. Kraków, 1767, folio str. 48.
(3) Bar. Paprocki, Herby rycerstwa polskiego i t. d. pod herbem Bogorya.
(4) Volumina Legum. Volumen I, pag. 96; Długosz pod r. 1361.

kim a Bernardem Dominikanem wszczęty, i potwierdził wybór kapituły płockiéj, która Janisława pragnęła mieć za swojego biskupa.

Roku 1369 uspokoił także Skotnicki sprzeczkę biskupów płockich z królem, o dobra im należące w Wielkiéjpolsce; a w roku 1370, po śmierci Kazimiérza, który testamentem poczynił hojne darowizny ze szkodą rzeczypospolitéj, gdy Ludwik król odesłał wszystkie przywileje do Jarosława, szukając u niego na to rady, tenże wiele pretensyj uchylić potrafił.

W roku 1364 installował Skotnicki w imieniu stolicy apostolskiéj nowo założoną akademią Kazimierzowską we wsi Bawół, blizko Krakowa.

Spustoszoną przez napady Tatarów ziemię lubelską i sieciechowską na lat 30 od dziesięcin uwolnił. Dobrym zarządem pomnożył dochód z klucza łowickiego, przeszło o siedmdziesiąt grzywien groszy.

Miasta Znin i Kamień fundował, a w Gnieźnie, Kaliszu, Wieluniu i Łęczycy wspaniałe dwory biskupie wystawił.

Nowo wystawionemu miasteczku Krzepice, na żądanie Kazimiérza Wgo plebanią nadał i następcom swoim juryzdykcyą w niéj zapewnił; pomimo praw do tego Bodzanty biskupa krakowskiego, do którego dyecezyi i Krzepice należały.

W roku 1361 w przytomności legata papiezkiego, królów: węgierskiego, duńskiego, cypryjskiego i wielu udzielnych książąt, Skotnicki dawał ślub cesarzowi Karolowi z Elżbietą pomorzanką wnuczką króla polskiego. Małżeństwo to sam Jarosław kojarzył, za co odwdzięczając się król Kazimiérz, testamentem niektóre dla jego katedry darowizny porobił.

Za wstawieniem się Jarosława r. 1368, dozwolił papiéż zbierania składki pieniężnéj na naprawę miejsc, przez wojnę w Polsce zniszczonych.

W roku 1370 pogrzeb króla Kazimiérza Wgo Skotnicki odprawiał, a wkrótce potém koronował w Krakowie Ludwika, starą Piastów koroną.

Niedługo potém w Zninie przegrawszy kilka partyi w szachy, oślepł, a znękany wiekiem i słabością osiadł w lędzkim klasztorze, przybrawszy sobie za koadjutora swego siostrzeńca Jana ze Strzelców, przezwanego Suchy-wilk, herbu Grzymała, dziekana krakowskiego, kanonika gnieźnieńskiego i kanclerza koronnego.

Oddalony od zgiełku świata, w cichéj i samotnéj Cystersów celi, na pobożném rozmyślaniu pędził ostatnie życia chwile, dawniéj tak czynny, tak energiczny arcybiskup Skotnicki.

W roku 1375 wyjechał do Kalisza, gdzie dnia 16 września 1376 r. umarł, przeżywszy więcéj niż sto lat, arcybiskupstwa zaś swego lat 34.

W dniu 20 tegoż miesiąca i roku zwłoki jego uroczyście do Gniezna przeprowadzone i w kaplicy katedralnego kościoła złożone.

Taki był żywot człowieka, co pojęciem obowiązków swego stanu, nadzwyczajną sprężystością, wybił się na kartę dziejów.

Godne tu także wspomnienia, iż Jarosław wiele się przyczynił do układu praw w Wiślicy roku 1347 uchwalonych, i we wszystkich rzeczach kraju dotyczących był niezmiernie czynny, co poświadcza Naruszewicz nazywając go: „głową senatu“ (1).

Podanie niesie, iż pomimo tych wszystkich zaszczytów, zawsze Skotnicki był pokornym sługą kościoła i bardzo pobożnym. Miał on nawet testamentem rozporządzić, żeby ciało jego po śmierci dziurą w ścianie wybitą do kościoła wniesiono, na znak skruchy za to, że nieprawą i kanonami zakazaną drogą, na stolicę gnieźnieńską wstąpił. To jego rozporządzenie szczególniéj chwali Spondanus w dalszym ciągu historyi kościelnéj Baroniusza, a Naruszewicz zawsze pełen uszczypliwego dowcipu, dodaje, że: „wieleby było w ścianach kościelnych otworów, gdyby insi pasterze podobną Jarosławowi pokutę naśladowali“.

W roku 1562 uświęcił pamięć Jarosława Jan Kokalewski, kanclerz gnieźnieński pięknym nadgrobkiem z stosownym pochwalnym napisem, a Janicki następującym czterowierszem:

„Bogoriam lapides muri delubri loquuntur
Et quas pro templis ille reliquit opes.
Felix, qui potuit famam meruisse perennem,
Felix, quem populi saxaque multa sonant.“

Po Skotnickim, arcybiskupem gnieźnieńskim został wspomniony już wyżéj jego siostrzeniec: Jan Suchy-wilk.

III.

Miasto Uniejów w XIII wieku.—Napad Krzyżaków.—Synod uniejowski.

W połowie czternastego wieku, Uniejów był jednem z porządniejszych miast w Polsce, posiadał bowiem pięć kościołów, z nich jeden pod wezwaniem Panny Maryi oddany był Kanonikom regularnym, drugi zaś św. Mikołaja, Benedyktynom, pod zwierzchnictwem opatów tynieckich. Posiadał nadto wspaniały

(1) Statuta polskie króla Kazimiérza W. i t. d., wydane przez Wojcickiego. Warszawa, 1847, str. 2. Naruszewicz Hist. nar. pol.

i obronny nad Wartą zamek, kilka fabryk, (z tych fabryki płótna najwięcéj się wsławiały) oraz wiele rzemieślników, których tutaj dobroczynne królów przywileje znęcały.

Niemało wsi do Uniejowa należało, za swym zaś obrębem posiadał bogate winnice, czego dowodem jest akt urzędowy Wincentego Kota arcybiskupa gnieźnieńskiego, którym on, kapitule gnieźnieńskiéj, 4 beczki wina z winnic tutejszych zapisał (1).

Zamożném więc było to miasto i pięknemi na przyszłość nadziejami swoje rozwinięcie witało.

Lecz w roku 1331 Krzyżacy pod dowództwem Teodoryka z Altemburga wielkiego mistrza i Ottona de Luterberg wielkiego komandora, łącznie z ludźmi odstępcy Szamotulskiego, zniszczywszy już wprzód całą Wielkopolskę, przenieśli rozboje w Sieradzkie i spustoszywszy całe prawie miasto Uniejów, nie zdobyli jednak zamku.

Pomimo tego spustoszenia, za staraniem arcybiskupów gnieźnieńskich, wkrótce się miasto odbudowało i do kwitnącego prawie doszło stanu, tak, że już w roku 1376 odbył się tu ów sławny synod Uniejowski.

Długosz i Kromer szczegółowo ten ustęp historyi naszéj opisują; wypada więc choć w krótkości synod ten i przyczynę do jego zebrania przedstawić.

Wiadome są z historyi dziejów powszechnych zapasy chrześciaństwa z Turkami w drugiéj połowie XIV wieku; wiadomo, w jaką ten naród od czasów Osmana Wielkiego urósł potęgę i zamożność. Amurat Iszy nie zadawalniał się podbojami dziada i ojca: dla niego zaszczupłe jeszcze były granice Turcyi, choć je niedawno podbite krainy: Bitynia i Kapodocia znakomicie rozprzestrzeniły; szerszych zapragnął granic, za większą od swych ojców pogonił sławą! Zburzył Tracyą, wziął Adryanopol i wiele innych miast w Grecyi złupił. Wkrótce potém Serbów i Bulgarów niepokoić Turcy zaczęli.

Zląkł się Jan Paleolog cesarz ich potęgi i napadów, i prosił papieża Grzegorza XIgo, aby ten pobudził książąt chrześciańskich do krucyaty przeciwko Turkom, obiecując za to połączyć Greków z rzymskim kościołem.

Zgodził się na to papież, i w tym celu wysłał do Polski nuncyusza Mikołaja biskupa Majorki, aby ten, od duchowieństwa składki na zaciąg wojska zbierał.

Przybywszy Mikołaj do Polski, zawezwał biskupów na synod do Uniejowa.

W tym właśnie czasie, wiele zaszło sporów między duchownemi, których rozstrzygnięcie Jan Suchy-wilk temuż synodowi pozostawił.

(1) Niesiecki, Korona Polska.

W dniu 7 września 1376 r. zjechało się całe znakomitsze w Polsce duchowieństwo do Uniejowa, przedmiot bowiem zebrania był ważny: prócz przytoczonych powodów, szło także i o poprawę karności, o ścisłe szanowanie prowincyonalnych ustaw kościelnych, przeciwko zaborom dóbr duchownych wydanych.

Gdy przyszło do zbierania składki, duchowni nasi nie bardzo okazali się szczodrymi, i zaledwo po długich sprzeczkach zgodzili się na ustąpienie dwóch groszy od każdéj grzywny rocznych kościelnych dochodów.

Jednakże Mikołaj nuncyusz wiele pieniędzy z Polski wywiózł, wkrótce bowiem przed jego przybyciem umarł Przedzisław Pogorzelski biskup wrocławski i bogaty spadek w pieniądzach zostawił; z tego więc spadku (niewiadomo jakiém prawem) zabrał Mikołaj przeszło 30,000 dukatów.

Przed wyjazdem zaś z Polski postanowił jeszcze, aby biskupstwo wrocławskie, co rok papieżowi 8,000 dukatów z dochodów dopóty płaciło, dopóki na miejsce zmarłego Przedzisława nowy biskup nie będzie zanominowany. „I dlatego to, powiada Kromer, papież zwlekał aż do siódmego roku wysadzenie albo potwierdzenie biskupa wrocławskiego.“

Tak się zakończył ów głośny synod Uniejowski, dlatego jeszcze godny wspomnienia, że lepszą karność w kościele polskim wprowadził.

Oprócz tego, kilka się jeszcze synodów w uniejowie odprawiało; ostatni w roku 1643 zwołany przez Macieja Łubieńskiego arcybiskupa gnieźnieńskiego, za Urbana VIII, w celu ustanowienia, aby zakonnicy z dóbr ziemskich, zapisami nabytych, właściwym plebanom, dawnym obyczajem, dziesięciny płacili.

IV.

Zamek Uniejowski.

Początkowe założenie zamku ginie w mgle wiekowéj. Wspominają jednak dzieje, że zamek ten oparł się jeszcze w roku 1331 najezdniczym Krzyżowcom, musiał więc być już wtedy obronny i spory.

Wkrótce potém wystawił Skotnicki arcybiskup gnieźnieński na odwiecznych fundamentach już zniszczonego, nowy, wspaniały i obronny zamek.

W nimto, jako w miejscu obronném, składali arcybiskupowie gnieźnieńscy swoje skarby. Nie zdołało to ich przecież

uchronić od łupiestwa. Najprzód roku 1381 Bernard brat Pełki z Grabowa, plebana kurzelewskiego, zdobył po śmierci brata swego zamek w Uniejowie, złupił skarby arcybiskupie i nie ustąpił z zamku aż mu Jan Suchy-wilk arcybiskup gnieźnieński przyrzekł, że poszukiwać na nim zabranych rzeczy nie będzie.

Postępek ten Bernarda tém więcéj godzien był surowéj kary, że miał sobie przez arcybiskupa powierzony dozór tego zamku i miał powody familijnéj dla Jana arcybiskupa wdzięczności; który nawet w obronie probostwa łęczyckiego dla brata jego Pełki z Grabowa miał przykre dla siebie zatargi z Ziemowitem książęciem mazowieckim. Arcybiskup jednak dotrzymał obietnicy i zabranych rzeczy na Bernardzie nie poszukiwał.

Podczas wojny szwedzkiéj, za Jana Kazimierza doznał zamek uniejowski tegoż samego losu.

Zamek ten rozmaicie przebudowywali arcybiskupi gnieźnieńscy, szczególniéj zaś jego upiększeniem zajmowali się: Wężyk i Maciéj Łubieński.

Temuto ostatniemu zawdzięcza Uniejów, krom przebudowania zamku, zupełne odnowienie i upięknienie kościoła Panny Maryi, co zaświadcza herb Pomian na sklepieniu umieszczony, oraz jego cyfra.

Maciéj Łubieński arcybiskup, syn Swiętosława i Barbary z Zapolic, z niższych stopni kapłaństwa i regensa kancellaryi, został proboszczem miechowskim Stróżów grobu Chrystusa, których regułę przyjął; potém od Grzegorza XV biskupem chełmińskim, od Urbana VIII poznańskim, daléj kujawskim, nakoniec mianowanym został za Władysława IV arcybiskupem, prymasem i księciem. Między ludem długo się zachowała pamiątka cnót jego i świątobliwości, tak dalece, że go za błogosławionego uważano.

Sprawował on rządy najwyższe w Polsce w czasie bezkrólewia po śmierci Władysława IV, a późniéj Jana Kazimierza królem namaścił.

Umarł w Łowiczu dnia 15 września 1652 r., pochowanym został w Gnieźnie, w czternastéj z porządku kaplicy w katedrze, gdzie ma pomnik.

O tymto arcybiskupie powiedział Urban VIII papież: „In Polonia multi sunt praelati, solus Mathias est Episcopus (1)".

W końcu ostatniego stulecia zamek uniejowski prawie zupełnie zniszczonym został przez wojny krajowe. W roku 1848 wyrestaurował go znów Alexander hrabia Toll, dzisiejszy donatoryusz Uniejowa.

(1) Herbarz polski Kacpra Niesieckiego. Lipsk. 1841 r. T. VI.

Pomimo jednak odnowienia, smutny dziś widok zwaliska przedstawia uniejowski zamek, do którego zrysowanych wiekiem murów, niebardzo przypadają świeżo dodane niby chińskie dachy, i ta odwieczna prymasów naszych siedziba, wygląda dzisiaj niby jejmość podeszła z pomarszczoną twarzą, co skroń swą w dziewicze jeszcze przybiera stroiki.

Piękny był to jednakże dawniéj budynek, majestatyczny i obronny; rozległe kiedyś jego ściany wiankiem zalegały zamkowe wzgórze, wysoka baszta panowała okolicy i wązkiemi otwory patrzała daleko, w kraj rozległy, ponad nizkie strzechy i zielone łany aż gdzieś na krańce widnokręgu.

U stóp jego płynie kręta Warta, a za rzeką i mostem, wśród drzew cienistych bieleją domki Uniejowa.

Patrząc dziś na zwaliska zamkowe, z każdéj rysy, z każdego odpadłego głazu chciałbyś wyczytać choć jeden wiersz przeszłości; snuje się po wyobraźni jakaś powieść, to znów krwawy dramat: najazdy Krzyżaków, Tatarów, Szwedów i hajdamaków z kolei rozwijają się w myśli.

Śród tych zrujnowanych murów zamglona czasu opona zdaje się z przeszłych opadać wieków: inne widzisz życie, innych ludzi, inne gmachy, i zdaje ci się słyszeć pod wysokiém zamku sklepieniem chrzęst stali i zbrojnéj stopy ciężkie odgłosy!..

V.

Kościoły w Uniejowie.

Uniejów posiadał w XIV wieku pięć kościołów, z tych dwa tylko do dzisiaj się zachowały: jeden murowany pod tytułem Wniebowzięcia Panny Maryi, dawniéj kollegiata, a drugi drewniany, Bożego Ciała.

Piérwszy z tych dwóch kościołów założonym został przez Jarosława Bogoryę Skotnickiego arcybiskupa gnieźnieńskiego. Żadnych jednak przywilejów erekcyjnych kościoł ten dzisiaj nie posiada: całe bowiem dawnéj kollegiaty archiwum spłonęło przy pożarze miasta w roku 1633.

Z ocalonych zaś kilku przywilejów i wizyt, łatwo można się przekonać o bogatém kiedyś uposażeniu téj kollegiaty i o dawnéj jéj wspaniałości.

W początku XVII wieku, kościół ten podupadać zaczął, ale Maciéj Łubieński arcybiskup gnieźnieński nie szczędził kosztów, i wkrótce powrócił go do pierwotnéj wspaniałości; „podwyższył mury jego nawy, i na nie nowe, w stylu włoskim naciągnął sklepienia.“

Dziś kościół ten z zewnątrz okazuje wielką starożytność, jużto w saméj budowie, już téż w zczerniałéj od czasu cegle.

Zewnątrz kościoła jest ogrójec murowany i obraz na murze malowany, wystawiający klęczącego Pana Jezusa.

Podczas wielkiego zgromadzenia ludu, za pozwoleniem zwierzchności duchownéj odprawiają się tu msze święte.

W samym kościele trzy kaplice: jedna nazwana Gołuchowska, druga S. Józefa, trzecia Zaborowska, wystawiona kosztem księdza Józefa Zaborowskiego kustosza kollegiaty. W kaplicy Gołuchowskiéj zwraca uwagę widza ołtarz bardzo starożytnéj roboty, a w nim obraz św. Jana Chrzciciela.

Najpiękniejszą jednak ozdobą tameczną jest wspaniały grób marmurowy błogosławionego Bogumiła, a w nim jego relikwie; Uniejów bowiem, przy swoich tak świetnych wspomnieniach historycznych, jest dzisiaj także miejscem nabożeństwem uświęconém, i do Uniejowa równie jak do Częstochowy, Leszna, Lędu, Gidel, Czerniakowa i tylu innych świętością relikwii lub cudownym obrazem wsławionych miejsc w Polsce, spieszą pobożni pielgrzymi.

Tutaj czuję potrzebę choć w krótkości napomknąć o życiu tego świętego, oraz kiedy i przez kogo zwłoki jego do Uniejowa przeprowadzone zostały.

Błogosławiony Bogumił urodził się w dziedzicznéj swych rodziców wiosce Koźminie, z ojca Mikołaja Poraja kasztelana gnieźnieńskiego i matki Katarzyny Gryfii Polki.

Piérwsze wychowanie odebrał w domu pod sterem uczonego mistrza, potém dla otrzymania wyższego ukształcenia do Paryża przez rodziców wysłanym został.

Powróciwszy z zagranicy stan duchowny sobie obrał, i wkrótce znakomitych w tym stanie doszedł godności; a nakoniec po śmierci Jana Igo arcybiskupa gnieźnieńskiego od kapituły gnieźnieńskiéj arcybiskupem został obrany, a papiéż Alexander III w roku 1167 wybór ten potwierdził.

Będąc arcybiskupem, odznaczał się szczególną pobożnością i wszystkie prawie dochody obracał na wystawienie nowych kościołów lub restaurowanie starych; i tak: w Dobrowie pod Kołem wystawił kościół św. Trójcy, a Cystersom wiele wsi oddał i kościół z klasztorem w Koronowie im wystawił.

Po kilkunastu jednak latach arcybiskupstwa zapragnął smętnéj samotności pustelnika, i za zezwoleniem papieża zamienił książęcą purpurę na włosiennicę, został pustelnikiem w Dobrowie, i tam dnia 10 czerwca 1182 r. życie zakończył (1).

(1) Vita S. Bogumili Archiepiscopi Gnesnensis a Stephano Damalevicio excerpta. Romae. Typis Ignatis de Lazaris, 1661.

Zwłoki błogosławionego Bogumiła pochowano z początku w Dobrowie, w skromnym i ubocznym zakątku, ale gdy wkrótce lud wielu cudów nad jego grobem doznawać począł, Fulko arcybiskup gnieźnieński w środku kościoła dobrowskiego grób mu wystawił i tam ciało jego przeniósł. Lecz gdy ów kościołek z drzewa zbudowany, ku upadkowi się nachylił a wylewy Warty przystęp do niego w pewnych miejscach trudnym uczyniły; przeto za usilną prośbą senatorów i panów, Wacław Leszczyński arcyb. gnieź. wspaniały grób marmurowy w kollegiacie uniejowskiéj zbudował, Mikołaj zaś Prażmowski następca Wacława, za zezwoleniem kapituły, zwłoki bł. Bogumiła do kollegiaty uniejowskiéj przenieść dozwolił.

W dniu więc 29 stycznia 1668 r. przeniesiono uroczyście zwłoki te do Uniejowa i w przygotowanym grobie złożono. Protokół tego przeniesienia zawiera wzmiankę, iż parafianie dobrowscy przywiązani do swego świętego patrona, pod opieką którego tak długo zostawali, czynny opór temu przeniesieniu stawili.

Grób błogosławionego Bogumiła stoi dzisiaj w pośrodku kościoła, cały wyrobiony z marmuru czarnego; na wierzchu zaś grobowca jest statua duża spiżowa, pięknie w Gdańsku ulana, wystawiająca leżącego arcybiskupa, w uroczysty ubiór przybranego. Nad nim wznosi się na sześciu złoconych kolumnach baldachin, na którego froncie wyobrażeni dwaj geniusze, trzymający herb bł. Bogumiła: różę z pięcią listkami w czerwoném polu.

Na samym zaś wierzchu stoi statua św. Michała z trąbą w dłoni, z napisem: *S. Bogumilus Thaumaturgus.*" Na bokach tego grobu znajdują się następujące łacińskie napisy:

„D. O. M. *Peregrinae olim in Terris Sanctitatis, nunc coelestis consorti Beatitudinis, sui quondam Praedecessoris Sancti Bogumili Archi-Episcopi Gnesnensis, Sacris Cineribus Hunc struxit et adornavit Tumulum Venceslaus Comes de Leszno Archi-Episcopus Gnesnensis Anno Domini millesimo sexagesimo sexto.*"

(Wacław z Leszna arcybiskup gnieźnieński w świątobliwości wędrującemu niegdy po téj ziemi, teraz niebieskiéj chwały uczestnikowi, relikwiom poprzednika swego błogosławionego Bogumiła arcybiskupa gnieźnieńskiego, grób ten wystawił i przyozdobił r. 1666).

Na prawéj stronie grobu, piérwszy napis wyryty taki:

„*Venerare hospes humilitatis Prodigium, Sanctum Bogumilium Pontificiam Infulam Pastorale Pedum, cum hac permutantem solitudine.*"

(Czcij gościu cud pokory świętego Bogumiła, zmieniającego arcybiskupią infułę i pasterską laskę na samotność).

Drugi napis:

„*Ne putes extraneum, Polonus est, Rosa. Sancti Adalberti Successor X. Ejusdemque pronepotis Castellani Gnesnensis Filius, Radosti Episcopi Cracoviensis Patruelis, Boguchwali Episcopi Posnaniensis Nepos, crede addictum Polonis.*"

(Nie myśl, aby był cudzoziemcem, Polak jest, Rozyta, świętego Wojciecha następca 10ty i jego prawnuka kasztelana gnieźnieńskiego syn, Radosta biskupa krakowskiego stryjeczny, Boguchwała biskupa poznańskiego wnuk; uwierz, że jest przychylny Polakom).

Trzeci napis:

„*Hic elegit abiectus vivere humana universa dimittens, et quid quid a contemplatione coelestium retrahebat, ne avocaret, declinavit, Deoque et sibi vacare, reliquo vitae fluxu contendit.*"

(Porzuciwszy światowe marności postanowił w upokorzeniu żyć, i wystrzegać się wszystkiego, coby go od rozważania niebieskich tajemnic oderwać mogło. O Bogu tylko i o sobie w dalszym biegu swego życia myśleć usiłował.

Na lewéj stronie grobu, piérwszy napis:

„*Sanctitatem servi sui Deus praepotens vivi et mortui compluribus illustravit miraculis et scitote, quia mirificavit Dominus Sanctum suum.*"

(Świątobliwość sługi swego Bóg Wszechmogący tak za życia jak i po śmierci wielu cudami odznaczył, i wiedźcie, że cudownym uczynił Bóg świętego swego).

Napis drugi:

„*Floruit hic Rosa odorem dans Sanctitatis Anno Domini 1167, nunc Illustrissimi Principis et Reverendissimi Domini, Dni. Nicolai in Prażmow Successoris sui quadragesimi noni cura, evidenti Venerabilis Capituli Gnesnensis consensu, huc translatus Anno Domini 1668, ut magis florescat.*"

(Kwitnął ten Rozyta, zapach wydając świątobliwości r. 1167, teraz zaś za staraniem Jaśnie Oświeconego książęcia Mikołaja Prażmowskiego, następcy swego 49, za wyraźném przewielebnéj kapituły gnieźnieńskiéj zezwoleniem, tu przeniesiony, roku Pańskiego 1668, aby jeszcze bardziéj rozkwitł).

Trzeci napis:

„*Tenuem ne existimes Thesaurum, Quitot annorum decursu manet illaesus, etiam flamma vorax et insanum elementum sacro pepercit Deposito. O nimis quam verum? custodit Dominus omnia ossa Sanctorum, unum ex his non conteretur.*"

(Nie sądź, aby to był jaki małéj wartości skarb, który przez tyle lat nienaruszony, płomień nawet ognia chociaż nierozumnego żywiołu, szanuje ten święty depozyt. O zaprawdę! strzeże Pan Bóg wszystkich kości świętego, i żadna z nich nie będzie uroniona).

Od strony wielkiego chóru, w końcu grobu, jest mensa drewniana, przed którą odprawiają się msze święte; na niéj stopień także drewniany, na którym w pośrodku wyryte słowa:

„*Per merita Sancti Bogumili, Christe nos exaudi, atque Ejus precibus nobis succurre miseris.*"

(Przez zasługi św. Bogumiła Chryste wysłuchaj nas, i przez Jego modły daj nam biednym pomoc).

Na tym stopniu stawiają zwykle lichtarze bardzo starożytnéj roboty.

Przy zakrystyi jest wmurowana czarna płyta marmuru, na któréj rodowód bł. Bogumiła wyryty.

Od tylu już wieków lud ciągłych doznaje cudów nad grobem tego arcybiskupa; nie jest on przecież dotąd kanonizowany, choć wielkie fundusze są przygotowane na przeprowadzenie o to procesu w Rzymie.

Ostatni zapis na ten cel uczynił w roku 1721 Stanisław Szembek arcybiskup gnieźnieński w kwocie 18,000 złp.; nic jednak dotąd w téj mierze nie rozpoczęto.

Silną jest jednak wiara ludu naszego w świątobliwość arcybiskupa, i corocznie w niedzielę starozapustną, jako doroczną pamiątkę przeniesienia zwłok tego świętego z Dobrowa do Uniejowa; i w dniu 10 czerwca, jako rocznicę śmierci bł. Bogumiła, zbierają się do Uniejowa tłumy ludu i błagają świętego téj okolicy patrona o wstawienie się za nimi do Boga.

W ubocznéj kaplicy kościoła stoją dwie wielkie szafy, gdzie się kiedyś mieściła klasztorna biblioteka, jeszcze przez Tomasza ze Strzępina założona. (1). Z téjto biblioteki zabrał Linde, rektor Liceum warszawskiego, z polecenia rządu zwiedzający klasztorne biblioteki, 642 dzieł; o czém świadczy jego kwit w aktach kościelnych zachowany.

I dziś jeszcze dosyć jest tam ksiąg starych i rękopisów, ale to wszystko w wielkim nieładzie i nieporządku zachowane.

Polecono otworzyć mi szafy, za przewodnika zaś dano starego zakrystyana, co już od kilkudziesięciu lat w jednym kościele ciągle jedne i też same pełnił obowiązki.

Twarz jego blada i siwemi w pukle spadającemi włosami okryta, przy zwykłém czarném i długiém ubraniu, wśród samotności kościoła dziwne i jakieś fantastyczne uczyniła na mnie wrażenie. U pasa wiszą zardzewiałe klucze od rozmaitych

(1) Lud. Kondratowicz (Władysław Syrokomla) Dzieje literatury polskiej; tom I.

skarbów kościoła, a jeden z nich otwiera dwie wielkie, czarne szafy, w swém zamknięciu kryjące może jakieś dzieło ważne i nieznane, stary jaki historyczny rękopism.

Zbliżamy się nareszcie do tajemniczych owych skarbów, a mój Mistagog, stary zakrystyan staje i z jakąś rozżaloną miną opowiada mi zabór Lindego.

Nadzieja moja na niczém spełzła, zapał bibliograficzny ostygł na wstępie; bo i cóż, pomyślałem, mogło tu dobrego pozostać, po tak wielkim szperaczu?!

Nareszcie drzwi od szafy nielitościwie skrzypnęły, kurz buchnął mi w oczy...

Zapał mój na nowo się ożywia, widzę jeszcze dość ksiąg i różnych papierów, a między niemi i folio i quarto w pargaminowéj sterczą oprawie.

I rzeczywiście wśród wielkiéj liczby dzieł i rękopisów religijnéj treści, znalazłem tu kilka rękopisów historyi polskiéj dotyczących, a mianowicie jeden pod napisem:

„*Historya wojska polskieyo od czasów Piasta do roku 1780.*" w 4ce;

i drugi:

„*Kronika wypadków znaczniejszych, w roku 1781 zaszłych*" także w 4ce.

Z dzieł prawnych zasługuje na wzmiankę bardzo dzisiaj rzadkie dzieło Tucholczyka, którego tytuł następujący:

„*Farraginis Actionum iuris civilis et provincialis Saxonici, municipalisque Magdeburgensis libri septem, per Joannem Cervum Tucholiensem, collecti et revisi.*"

Na końcu całego dzieła, po kilku kartkach gockim charakterem drukowanych, znajduje się wzmianka, że dzieło to wyszło w Krakowie u Unglera r. 1540.

Zdaje mi się więc, że to jest czwarta edycya tego szacownego dzieła, bo tak ją opisuje Janocki, a format ósemki przypuszczenie to stwierdza (1).

Z religijnych dzieł znalazłem tu nadzwyczaj rzadki a nawet bibliografom naszym nieznany inkunabuł, w Krakowie u Floryana Unglera r. 1512 odbity, pod napisem:

„*Ordo misse.*"

Największą wartość tego dzieła stanowią dziś dwa piękne drzeworyty: jeden tytułowy, wystawiający św. Wojciecha arcybiskupa gnieźnieńskiego i św. Stanisława biskupa krakowskiego stojących naprzeciw siebie; pomiędzy niemi u dołu herb Gryf a wyżéj herb Godziemba z ozdobą pasterską; nad tém wszystkiém unoszą się dwaj geniusze trzymając tarcze: na jednéj tarczy orzeł, a na drugiéj Pogoń pod koroną. Św. Stanisław wy-

(1) „Janociana." Varsaviae et Lipsiae 1776; tom I. pag. 36. „Historya drukarń krakowskich Bandtkiego str. 278.

obrażony w chwili wskrzeszania z grobu Piotrowina. Na odwrotnéj zaś stronie tytułu, w środku pięknéj oblamki jest w kwadracie drugi obrazek, wystawiający Jezusa pomiędzy apostołami, w górze orzeł biały, a na dole herb Krakowa.

Lecz dosyć już o téj bibliograficznéj wyprawie, przejdźmy raczéj do innych kościołów w Uniejowie.

Drugim kościołem dotąd tam istniejącym, jest mały, drewniany kościołek Bożego Ciała, położony w części Uniejowa, zwanéj Starém Miastem.

Na ruinie i fundamentach starożytnéj kaplicy wystawił ten kościołek w roku 1739 ks. Grzegorz Bieniaszkiewicz, mansyonarz uniejowski. Jeden tylko pięknéj roboty ołtarz, a w nim obraz św. Rocha zasługuje na uwagę i wspomnienie.

Dawniéj w Uniejowie były jeszcze następujące kościoły:

1. Kościół z klasztorem XX. Benedyktynów.

Kościół ten i klasztor wystawił swoim kosztem dla Benedyktynów Jarosław Bogorya Skotnicki arcybiskup gnieźnieński; lecz w czasie wojen szwedzkich, wraz z klasztorem spalił się i dziś śladu nawet po nim nie zostało.

2. Kaplica św. Wojciecha.

Kaplica ta nad samą rzeką Wartą niegdy położona, przez kogo i kiedy założoną była, nie wiadomo; musiała jednakże być bardzo starożytną, kiedy jeszcze w początku XVIII wieku w ruinę obrócona, z rozkazu Ostrowskiego arcybiskupa gnieźnieńskiego całkiem zniesioną została.

3. Kościół i szpital św. Ducha.

Szpital ten i kościół, jak się z dokumentów kościelnych wykazuje, miał wystawić jeszcze w roku 1283 Jakób Świnka arcyb. gnieź. Za czasów dopiéro Ostrowskiego arcybiskupa, kościół ten zniszczonym został; fundusze jednak i zapisy pozostały przy szpitalu, dotrwałym do początku bieżącego stulecia.

W Uniejowie znajdował się jeszcze szpital dla podeszłych w wieku księży, założony przez Jana Łaskiego arcybiskupa gnieźnieńskiego, ale przy pożarze miasta w roku 1736 całkiem się spalił.

VI.

Upadek Uniejowa i dzisiejszy stan miasta.

Z wstąpieniem na tron Jana Kazimierza Wazy, jak dla całego kraju, tak téż i dla Uniejowa gwiazda szczęścia znikła. Piérwszy napad Szwedów za Jana Kazimierza, już wiele się przyczynił do spustoszenia tego miasta; lecz największą klęską dla Uniejowa była powtórna szwedzka wojna za Augusta II.

Wiadomo z historyi dziejów naszych, iż w czasie téj wojny województwa wielkopolskie, poznańskie i kaliskie, zawiązały w roku 1704 konfederacyą za królem szwedzkim przeciwko Augustowi, pod laską Piotra Jakóba z Paradyża Bronisza starosty pyzdrskiego, a pod przewodnictwem samego prymasa Michała hrabi na Kryłowie i Radziejowicach Radziejowskiego arcyb. gniez.

Konfederacya ta, główne swoje uchwały wydawała z obozu pod Uniejowem, i tam od króla szwedzkiego polecenia odbierała (1).

Wojsko zaś saskie i partyzanci Augusta mszcząc się na stronnikach Karola XII, ziemie ich i zamki niszczyli, skarby i kościoły łupili; całe więc miasto Uniejów, jako własność prymasa Radziejowskiego, do którego partyzanci Augusta szczególną zemstę czuli, spalonem zostało, zamek spustoszono i skarby arcybiskupie zrabowano.

Godzi się tu także wspomnieć, iż konfederacya sandomierska pod laską Stanisława Denhoffa, łowczego W. X. litewskiego za Augustem zawiązana, na walnym zjeździe pod Sandomierzem w r. 1704 postanowiła odebrać Radziejowskiemu, za karę jego odstępstwa, dobra uniejowskie i dochody z nich na utrzymanie wojska obrócić (2).

Te więc napady Szwedów, a potém tyle zaburzeń i domowych wojen, zniszczyły piękne kiedyś miasto i zamek w ruinę obróciły.

Lecz najwięcéj do upadku Uniejowa przyczyniły się pożary w r. 1632, 1633, 1736 i 1816. Stare zresztą budynki upadły i obręb miasta się zmniejszył; późniéj za zmniejszeniem się ludności Uniejowa i jego też zamożność zniknęła.

W roku 1836 dobra uniejowskie, jako własność rządu Królestwa Polskiego, darowane zostały hrabiemu Toll generałowi wojsk cesarsko-rossyjskich; wyjąwszy jednak miasta. Dzisiejszym ich posiadaczem jest syn generała Alexander hrabia Toll.

Uniejów jest dzisiaj biedném miasteczkiem i tylko zamek i kościół Panny Maryi jego dawność i dawniejszą świetność okazują.

W całém mieście jest 150 domów, ludność zaś po większéj części rzemieślnicza. I tak zamieszkuje tu: 3 garbarzy, 1 bednarz, 1 cieśla, 2 czapników, 2 farbiarzy, 1 gwoździarz, 65 szewców, 1 stelmach, 8 stolarzy, 1 smuklerz, 1 tokarz, 16 zdunów, 1 mularz, 13 piekarzy, 1 piernikarz, 1 płóciennik, 1 powroźnik, 11 rzeźników, 2 ślusarzy, 1 szklarz, 1 kominiarz, 2 kowali, 32

(1) Konfederacya generalna circa Religionem Orthodoxam et avitam libertatem etc.; fol., str. 5.

(2) Confederacya generalna stanów koronnych i wielkiego xięstwa litewskiego etc.; fol., str. 17.

krawców, I kuśnierz, 1 kapelusznik i zarazem waciarz, 7 młynarzy.

Oprócz tych jest tutaj: 2 fabrykantów miodu, 16 szynkarzy solnych, 7 kramarzy, 6 handlarzy octu, 7 handlarzy towarów łokciowych, 2 handlarzy sukna, 2 żelaza, 2 szkła, 5 śledzi. 2 mąki, 2 wieprzy, 1 świec i mydła, 10 handlarzy wiktuałów, 1 handel win i korzeni i jedna apteka.

Jarmarków większych corocznie 6 w Uniejowie, z tych zaś najwalniejszy na Zielone Świątki.

W kancelaryi burmistrza a zarazem poczthaltera, znajdują się niektóre przywileje temu miastu nadane; z tych zaś najdawniejszy i zarazem najważniejszy jest z roku 1525 Jana de Lasco arcybiskupa gnieznieńskiego, nadający miastu prawo Zygmunta, tojest saksońskie i prawo miecza na kryminalistów.

O dzisiejszym stanie miasta to nadmienić można, że ulice dosyć szerokie chociaż błotniste, domki nizkie i drewniane, więcéj żydów niż chrześcian, że wreszcie u Smukowskiego dobrego czasem wina dostać można.

Takto niestety znikczemniało dzisiaj dawne miasta życie, takto bez wspomnienia nawet uleciały świetne jego chwile!

VII.

Krótki pogląd na sąsiednią okolicę.

Dawniéj pod Uniejowem mieszkała sama szlachta cząstkowa, co to wedle dawniejszego przysłowia i do bitki i do wypitki zarówno dzielnie się brała. Ztąd więc wiele w téj stronie było najazdów, wiele burd, pijatyki i hałasu.

Księgi uniejowskie przepełnione są skargami mieszczan na nadużycia obywateli, a prowadzone w tym względzie inkwizycye, niejeden ciekawy i charakterystyczny szczegół dla powieściopisarza przedstawiają.

I w podaniu mieszczan dużo się krotochwilnych ustępów z życia téj szlachty zachowało: i śmiać i płakać się zachce, słysząc opowiadania, jakie to kontuszowi wąsale możniejszym od siebie figle płatali, jak się gracko sprawili z bracią piskorzami łęczyckimi i t. p.

Szlachta z tych okolic głośną była na całą Wielkopolskę, i przezwano ją: hordą Uniejowską.

Lecz z czasem drobne majątki połączyły się i utworzyły wielkie dobra, których dzisiejsi posiadacze, z jednéj tylko szczerości i gościnności swych poprzedników przypominają.

Z okolicznych miasteczek najstarożytniejszém, a ztąd najwięcéj godnym uwagi jest Spicymierz o ½ mili od Uniejowa.

Miasteczko to, jeszcze za Piastów posiadało zamek, ale czysto słowiańska jego nazwa, odleglejszéj jego starożytności dowodzi.

Dobra Skotnickie o małą milkę od Uniejowa położone, a w posiadaniu Józefa Załuskowskiego będące, również są godne wspomnienia. Między Czepowem dolnym a Skotnikami jest rozległe pole, na którém kiedyś miało istnieć owe miasto Kalinówka.

Ślady fundamentów, które się jeszcze do dziś przechowały, i wiele nagromadzonych w tém miejscu kamieni prawdę tego mniemania zdają się potwierdzać; ale kiedy zniszczało, nie wiemy, bo ślad o niém historyczny zaginął.

Lud tylko w podaniu nazwisko miasta zachował i utrzymuje, iż zapadło się z dopuszczenia Boskiego. W nocy tylko słychać jęki pokutników i w głębi ziemi dzwony się odzywają, wzywając dzisiejszych tych stron mieszkańców na modlitwę za umarłych!....

W blizkości tego miejsca wykopano w roku 1849 urnę starożytną, napełnioną prochem i odłamkami kości ludzkich. Kto wié, czyby dalsze staranne kopanie nie odkryło nam więcéj tych pamiątek dalekich, bo pogańskich jeszcze sięgających czasów.

O dwie mile od Uniejowa kwitnie bardzo fabryczne i handlowe miasteczko Dąbie. Ludność jego po większéj części stanowią żydzi i Niemcy.

O dalszych okolicach nic tu nie piszę, bo są już więcéj znane; zresztą zakres niniejszego wspomnienia o Uniejowie przenoszą.

L. P. Witkowski.

Sommo-Sierra.

Zdobycie wąwozu Sommo-Sierra w Hiszpanii, należy do najświetniejszych czynów w całym ciągu wypraw Napoleona. Wiadomo, że Thiers w Historyi Konsulatu i cesarstwa, zwycięztwo to przypisał wyłącznie Francuzom. Pułkownik Niegolewski współuczestnik téj walki, energicznie wystąpił przeciw téj niedokładności i skłonił Thiersa do jéj sprostowania. Sądzimy

że nie obojętną będzie rzeczą dla naszych czytelników podać szczegółowy opis tego zdarzenia, osnuty i oparty na świadectwie tych, co świetny mieli udział w tém pamiętném zwycięztwie.

Pułk lekko-konnych (Cheveau-legers, lanciers) w roku 1808 będąc w Hiszpanii, zostawał przez długi czas w dywizyi sławnego i walecznego generała lekkiéj kawaleryi La Salle; po bitwie pod Burgos przyłączony do korpusu piechoty, udał się do Arandy ku Calalajud; ale nowemi wstrzymany rozkazami w miasteczku Osma, zwracając się ku Madrytowi przez Ajlon i Riaza, stanął późno już wieczorem pod górami Sommo-Sierra zwanemi, naprzeciw obozu hiszpańskiego. Gęsto rozłożone ognie liczny korpus odznaczały (1).

Rozległe pasmo zewsząd niedostępnych gór, nigdzie podobieństwa do przejścia nie zostawiało: jedna tylko droga (za czasów Karola III zrobiona, na 8 lub 9 łokci szeroka) wciskała się i wykręcała między górami, idąc zawsze coraz wyżéj w górę. Wojsko hiszpańskie z 14,000 ludzi złożone, góry te i wąwozy obsadziło; na każdym załomku drogi ustawiono piętrami po cztery armaty, wzgórek zaś, który przy wyjściu z wąwozu nad całym tym wąwozem panował, ośmią działami obwarowany został (2). Tak obronne naturą i sztuką położenie, zdawało się być nieprzystępném: przypuszczać albowiem trudno było do myśli, żeby konnica mogła się zepędzać w podobną dla niéj otchłań; gdyż prócz ognia armatniego, piechota z obu stron wąwozu ustawiona, zewsząd do niéj bez najmniejszego dla siebie niebezpieczeństwa strzelać mogła. Z téjto zapewne przyczyny żadnéj przeciw napadowi konnicy nie zrobiono przygotowań: rów albowiem przez drogę przekopany, też same nawet działa napoprzek dla zatarassowania drogi postawione, nieprzełamaną dla niéj stałyby się przeszkodą (3).

Nazajutrz po przybyciu pod te wąwozy, dnia 30 listopada 1808 roku, Napoleon przed wschodem słońca nadjechał, i kazał natychmiast całemu korpusowi stanąć do broni. Postrzegłszy że nieprzyjaciel cofnął się i obsadził góry, wysłał część znaczną wojska do okrążenia pozycyi; sam zaś z resztą armii wysławszy przed sobą jeden tylko szwadron trzeci lekko-konnych, na służbę do jego osoby przeznaczony, zbliżył się aż pod same góry. Pułk lekko-konnych tuż za nim idący, stanął w kolumnie ściśnionéj, po lewéj stronie drogi (4).

Właśnie była to chwila, kiedy francuzka piechota wystawiona na podwójny ogień artyleryi i piechoty hiszpańskiéj, na-

(1) Tomasz Łubieński. Wanda Tygodnik polski, nr. 33, rok 4ty.
(2) Tomasz Łubieński.
(3) Tenże.
(4) Tenże.

próżno usiłowała wedrzeć się na górę (1), i gęsto się trupami kładła.

Rzęsisty ogień nieprzyjacielski zewsząd dochodził pułk lekko-konnych; kiedy Napoleon niecierpliwie patrząc na wszystkie przeszkody, które mu bramy Madrytu zamykały, chcąc nawet uprzedzić nieomylny, ale zbyt wolny skutek, który sobie obiecywał z okrążenia pozycyi; licząc na odwagę wojska pod jego prawie oczyma bić się mającego, rozkazał trzeciemu szwadronowi służbowemu uderzyć na nieprzyjaciela.

Podpułkownik Kozietulski, który tym szwadronem dowodził, sformował kolumnę po czterech: miejscowość bowiem nie dozwoliła szerzéj mu się rozwinąć. Wysłał na czoło znanego mu z odwagi i zaciętości porucznika Krzyżanowskiego z czterema ludźmi, i puścił się w wąwóz z tą bystrością i lotnością, która odwadze tego pułku zawsze towarzyszyła.

Huknęły mordercze strzały połączone armat i ręcznéj broni. Waleczny Krzyżanowski ze wszystkiemi żołnierzami z nim wysłanemi (oprócz brygadyera Wasilewskiego) padają trupem. Kozietulski wpada na bateryą i dwanaście dział zdobywa (2). Na tych bateryach rozpoczyna się ręczna walka z artylerzystami hiszpańskiemi. Porucznik Niegolewski, który z wachmistrzem Sokołowskim na sam szczyt góry do czwartéj dotarł bateryi, otrzymawszy dziewięć ran bagnetami (3), na zdobytych prawie armatach, za nieżywego był zostawiony. Wachmistrz Roman, gdy wszyscy oficerowie i starszyzna wybici lub ranni; przez chwilę był najstarszym w szwadronie trzecim, dopóki nie spadł z konia, ugodzony kartaczem i kulą karabinową. Pułkownik sztabu Napoleona, hrabia Filip Segur świadkiem będąc tego dzielnego ataku, ciężkie odniósł rany.

Kozietulski bohater dnia tego, mając pod sobą konia zabitego, silnéj dostawszy kontuzyi, zdał dowództwo kapitanowi Dziewanowskiemu. Niezmordowany i pełen odwagi Dziewanowski, zebrał natychmiast rozpierzchłych żołnierzy, i nietracąc czasu, nie czekając na żadne rozkazy, uderzył powtórnie na nieprzyjaciela, zdobył drugą bateryą, ale padł ofiarą swego męztwa, śmiertelne odebrawszy rany. Porucznicy Rudowski i Rowicki na placu polegli; kapitan Piotr Krasiński niebezpiecznie kartaczem ugodzony został.

„Zgromadzali garstkę pozostałych ludzi porucznik Szeptycki i wachmistrz szef Zielonka (mówi w swoim opisie gene-

(1) Wanda Tygodnik, t. 4 przywodzi z dzieła przez francuzkich wojskowych wydanego w Paryżu, a opisującego zwycięztwa i wyprawy od roku 1792 do roku 1815, o tém natarciu bez skutku piechoty francuzkiéj.

(2) Rodowód ś. p. Kozietulskiego.

(3) List pułkownika Niegolewskiego do generała Tomasza Łubieńskiego z d. 7 stycznia 1855 roku z Paryża.

rał Tomasz hrabia Łubieński), gdy nadjechałem do objęcia komendy, wysłany przez pułkownika Krasińskiego dowódcę pułku lekko-konnych. Wzmocniony świeżym plutonem pod dowództwem porucznika Rostworowskiego i plutonem szasserów gwardyi konnéj; uszykowałem jak mogłem najprędzéj nowy szwadron, zwinąwszy się w kolumnę po czterech, i uderzyłem na nieprzyjaciela. Idąc utorowaną przez dwa piérwsze tak skuteczne natarcia drogą, przeszliśmy resztę wąwozu, i ostatnie nawet działa z łatwością i prawie bez straty odebraliśmy; wdzierająca się albowiem w góry piechota francuzka, zajęła uwagę artylerzystów hiszpańskich.

„Niespodziewane przejście tak mocno obwarowanego wąwozu, zajmowanie następnie zdobytych stanowisk przez nadchodzące za nami wojska; strwożyło tak dalece nieprzyjaciela, że bez żadnego porządku poszedł w rozsypkę. Co spostrzegłszy, gdym wyszedł z wąwozu, nie chcąc zostawić nieprzyjacielowi jednéj nawet chwili do namyślenia się, zgromadziłem szwadron i co koń wyskoczy, puściłem się w pogoń, napadając wszędzie na zbierać się chcące kupy, tak piechoty jako i konnicy. Zatrzymałem się dopiéro za miasteczkiem Buytrago, o przeszło dwie mile hiszpańskie od placu potyczki, na rozkaz Napoleona, który mi przywiózł szef szwadronu Ordener. Niewolniki, działa, sztandary, a nawet i kassy wojenne stały się łupem armii zwycięzkiéj (1). Jedna z tych kass zatrzymana właśnie gdym za Buytrago przednie ustawiał czaty, rozdana była z mojego rozkazu pomiędzy żołnierzy: wszyscy albowiem nasi oficerowie dobrowolnie odstąpili swoich części“ (2).

„Po skończonéj całéj przeprawie (pisze to pułkownik Szeptycki, a wówczas porucznik), szef Łubieński posłał mnie do pułkownika Krasińskiego, a gdybym spotkał cesarza, do samego cesarza z oznajmieniem tego wypadku, i po dalszy rozkaz dla szwadronu. Z zadziwieniem spostrzegłem Napoleona napół drogi, niepoprzedzonego żadném wojskiem, jadącego sobie stępo.

(1) „W tej ostatniéj pogoni, dwa przykłady ludzkości i karności dobrze zrozumianéj, odznaczyły żołnierza naszego, (pisze naoczny świadek Szeptycki były pułkownik). Pierwszy o pół mili od Sommo-Sierra, gdzie nas srogi widok przeraził: kilkunastu niewolników francuzkiéj piechoty powiązanych, w części pokłutych, a w części porąbanych, i jakby umyślnie na drodze nam podrzuconych. Żołnierze nasi zgrozą przejęci, bliscy jeszcze zakrwawionego grobu tylu ofiar ojczystych, nie splamili żadną zemstą tego dnia chwały, chociaż im nie brakło bezbronnych różnego stopnia. Drugi przykład pod samym *Buytrago* się zdarzył. Jużeśmy ostatni furgon przechodzili, kiedy niektórzy żołnierze spostrzegłszy na nim kobietę, biorąc ją za kontynierkę (markietankę obozową), prosili oficerów, żeby im pozwolili wina się napić, na co gdy otrzymali pozwolenie, bardziéj znużeni pobiegli do wozu, lecz zamiast wina, znaleźli kassę, i zaraz napowrót wstąpili do szeregów.“ (Wanda Tygod. pol. T. 4, str. 213).

(2) Wanda Tygodnik.

Generałowie: Savary i Durosnel o kilkadziesiąt kroków przed nim będący, uprzedzili mnie o wielkiém zadowoleniu Napoleona. W saméj rzeczy znalazłem go w najlepszym humorze, kazał mi oświadczyć oddziałowi, że są warci być jego gwardyą, powtarzając kilkakrotnie z widocznem ukontentowaniem: „Vous etez des braves Polonais.“ Zresztą kazał szwadronowi czekać przybycia całéj gwardyi, a kassę równo między wszystkich podzielić. Po danym rozkazie, oficerowie dzielili garściami złoto i srebro, zaczynając od żołnierzy; tu nie należy zapomnieć, że byli tacy, którzy swoję część darowali żołnierzom. Wkrótce nadeszły gwardye. Stare grenadiery i szassery, którzy tylko między sobą żyli, wpadli do naszego biwaku, ściskali Polaków z rozrzewnieniem, i nazywali odtąd ich kamratami; a widząc, że byli zmordowani, sami wieczerzę dla nich gotowali. Oficerowie ich dalecy od grzeczności dworaków, nie wynosili nas pod obłoki, ale i nie zazdrościli: równie dobrzy jak szczerzy, otwarcie wyznawali, że my im odtąd nic zazdrościć nie potrzebujemy. Tymczasem Napoleon, który nie miał zwyczaju tylko po wielkich i stanowczych bitwach dyktować bulletyn, uznał Sommo-Sierrę godną swego pióra, a powątpiewając albo nie przypominając sobie podobnego natarcia jazdy polskiéj, nazwał ją: „attakiem świetnym, jakiego nigdy nie było (1).

Nadzwyczaj ważne były skutki tego zwycięztwa; opanowano albowiem warowne i niedobyte przedmurze stolicy hiszpańskiéj, łatwe zbliżenie się armii francuzkiéj pod Madryt i poddanie się tego miasta po kilkodniowém oblężeniu, a to przed przybyciem generała Castannos, który porażony pod Tudelą, chciał się połączyć z wojskiem w stolicy będącém.

(1) To wyrażenie znajduje się w urzędowym owoczesnym Monitorze. Brat cesarza, król hiszpański Józef, nazywał odtąd żołnierzy polskich *ludźmi żelaznemi*. Eugeniusz Fielle urzędnik przy ministeryum wojny, w dziele swojém: *Histoire des trouppes étrangères au service de France*", jako głównego dowodzcę szwadronu trzeciego, co zdobył wąwozy Sommo-Sierra, nie Kozietulskiego, ale Tomasza Łubieńskiego wymienił, lubo z całéj naszej opowieści, ułożonéj wedle naocznych świadków i działaczy, jak z opisu samego generała Łubieńskiego okazuje się, że ten przybył w samą porę, aby świetne zwycięztwo Kozietulskiego dzielnie poprzeć i utrzymać. Co do walecznego szwadronu, ten na szczycie góry saméj, (wedle podania pułkownika Niegolewskiego) zredukowany został do kilku tylko żołnierzy; wedle biografii ś. p. Kozietulskiego umieszczonéj w Gazecie Warszawskiéj z roku 1821, z całego szwadronu zostało przy życiu 36 ułanów.

WIADOMOŚCI
na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Elektryczność w terapii może być pod dwoma zalecaną względami: jako siła działająca fizycznie, albo też wywołująca chemiczne przemiany. Galwanizm działając fizycznie, wywołuje w organach kurczenia lub zmiany w równowadze cząstek organicznych, i liczne posiadamy przykłady korzystnego wpływu tego czynnika natury, na uzdrowienie lub sprowadzenie pewnych organów u ludzi do normalnego stanu. W tym razie działanie głównie zwrócone jest na nerwy; przez nie, stosownie do tego czy są w stanie zbytniéj drażliwości lub w pewném odrętwieniu, zalecają przepuszczać strumień galwaniczny ciągły lub przerywany. Warunki dotyczące sposobu zastosowania galwanizmu, zależące od kierunku w jakim wypada przesyłać strumienie, od natury użytych strumieni, mocy i t. p. dość dokładnie zostały poznane w ostatnich czasach, szczególniéj przez Dr. Duchesne, wynalazcę apparatu indukcyjnego do użycia lekarskiego i znakomitego badacza tego ważnego przedmiotu.

Lecz sposób użycia elektryczności jako siły chemicznéj, dotąd w medycynie bardzo mało był traktowanym, i zaledwie oderwane posiadamy fakta dotyczące tego zastosowania. Dawno już dostrzeżono, że w miejscach zetknięcia się elektrodów z żywym organizmem, pojawia się rodzaj irrytacyi, zapalenia, wydzielań. Te zjawiska są głównie skutkiem chemicznego działania strumienia, który podczas swego trwania, na ujemnym biegunie zgromadza alkalia, a na dodatnim kwasy oddziaływać mogące na organiczne materye. Można więc przy pomocy galwanizmu zmieniać naturę sekrecyi ran u zwierząt, zmieniając jedynie polarność organów wydzielających je, t. j. zmieniać sekrecye alkaliczne na kwaśne i odwrotnie. Opisy takich doświadczeń w celu zagojenia ran często czytać można. To zastosowanie, które zapewne do ważnych jeszcze doprowadzi rezultatów, winniśmy Dr. Orioli.

Początkowo używano do tego celu dwóch blaszek: cynkowéj i miedzianéj (lub srebrnéj), połączonych drutem, które przez kilka dni za pomocą stosownych bandaży przy ranie utrzymywano. Jednak wkrótce ta metoda okazała się wadliwą; na-

przód z tego względu, że strumień zbyt szybko słabł i znikał; powtóre, że na blaszkach osadzały się produkta, mogące szkodliwie oddziaływać na otaczające tkanki. Później, przy takiém chemicznem użyciu galwanizmu, wprowadzono igły stalowe lub platynowe, które się łączą z biegunami stosu na uboczu stojącego.

Najważniejszy jednak krok w zastosowaniu galwanizmu jako siły chemicznéj, było użycie znanéj własności tego czynnika, przenoszenia (z naczynia do naczynia np. przez knoty) pewnego pierwiastku na znaczne odległości, a mianowicie probowano wprowadzania do wnętrza organizmu pewnego ciała, zdolnego oddziaływać na cierpiący organ. Za przykład podobnego przenoszenia przez żywy organizm pierwiastków, posłużyć mogą następujące doświadczenia wykonane przez Dr. Fabre-Palaprat.

Osuszywszy jak można najlepiéj oba ramiona pewnéj kobiéty, przyłożył do jednego mały kompres napojony roztworem jodku potassium i przycisnął go blachą platynową złączoną z odjemnym biegunem stosu o 30 elementach, do drugiego zaś ramienia przyłożył kompres napojony roztworem krochmalu, i podobnie przykrywszy blaszką platynową, złączył z dodatnim biegunem stosu. W kilka minut krochmal przyjął barwę niebieską, dowód przekonywający, iż jod został przeniesiony wskróś przez ciało z jednego ramienia do drugiego. Zdjąwszy naskórek, powyższe zjawisko jeszcze było wyraźniejsze.

Podobnie postępując Palaprat, zdołał do wnętrza muskułów wprowadzać jod i inne chemiczne czynniki, za pomocą igieł platynowych, zapuszczonych w massę muskularną.

W tych czasach nowe odkrycie w przedmiocie chemicznego działania galwanizmu na organizm żywy, ogłoszone zostało przez pośrednictwo Dumas'a. PP. Poey i Vergnès podobno zdołali za pomocą mocnego strumienia galwanicznego wyprowadzić z ciała ludzkiego metale, wprowadzone do jego wnętrza czy to w formie lekarstw, czy téż przez wsiąkanie przy manipulacyach przemysłowych np.: merkuryusz, ołów, arszenik i t. d. Nie opisujemy szczegółowo sposobu postępowania z indywiduum podaném doświadczeniu (już po dwakroć ogłoszoném w naszych pismach), ani téż zadziwiających tak swą formą jak i wielkością rezultatów, oczekując na zdanie sprawy kommissyi, któréj Akademia paryzka poleciła zbadanie tego odkrycia. W podawaniu szczegółów podobnych odkryć, trzeba być ostrożnym, bo na prostych korrespondencyach lub nawet dziennikarskich artykułach polegać trudno, jakkolwiek z drugiéj strony nie ma w tych faktach (opierając się na powyżéj przytoczonych probach) nic niepodobnego i nadzwyczajnego. *S. P.*

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Zeszyt trzeci opisu Cmentarza Powązkowskiego wyszedł z pod prasy drukarskiéj i zawiera życiorysy: Cypryana Godebskiego pułkownika (z ryciną); Michała Wyszkowskiego; J. A. Spiskiego kupca; Ignacego Werowskiego artysty dram.; Antoniego Magiera (z ryciną); Brandta Franciszka doktora i syna jego Alfonsa; Józefa Skrodzkiego prof. b. uniwer. warsz.; J. Krogulskiego muzyka; K. Luxa (z ryciną); J. Wolskiego artysty dram.; J. Rychtera artysty malar.; K. Skalskiego artylerzysty; B. Czychego zakrystyana; S. P. Jana Kruszyńskiego (z ryciną); P. Romana pułkownika; A. Nędzyńskiego professora; Ant. Jakubowicza artylerzysty i literata.

— Franciszek Kowalski, znany tłumacz Moliera, przygotował do druku rękopism swoich „Wspomnień" znany z zajmującej treści, w wyjątkach ogłaszanych przez Gazetę Warszawską. Praca ta (obejmująca pięć do sześciu tomów) znajdzie niewątpliwie dobre przyjęcie u czytającéj publiczności.

— Dzieło Franciszka Arago „Astronomia popularna", której dopiéro tom pierwszy wyszedł w języku francuzkim, przekłada obecnie na język polski Apolinary Zagórski. Całe dzieło obejmować ma dwa tomy.

— Przy skrzętnych poszukiwaniach co do szczegółów życia Malczeskiego autora Maryi, znalazły się trzy listy własnoręczne tego poety, pisane do F. Skibickiego, (obecnie szambelana dworu J. C. K. M. i członka Rządzącego Senatu), z którym żył w ścisłych i przyjacielskich stosunkach. Listy te, jako dopełnienie do życiorysu Malczeskiego, ogłoszone zostaną w przypisach do tomu 1go opisu „Cmentarza Powązkowskiego" K. Wł. Wójcickiego.

— P. Andrzej Guliński, archiwaryusz archiwum głównego królestwa, przygotował do druku rękopism: „O metryce koronnéj"; praca obszerna, sumiennie zbadana, i nowe rzucająca światło na ten tak ważny skarbiec dla dziejów naszych. Wkrótce pismo nasze ogłosi w jednym z następnych zeszytów ustęp z pomienionego dzieła: „O metryce sekretnéj".

— Gazeta Warszawska drukuje nową powieść J. I. Kraszewskiego: „Dwa światy". Dziennik Warszawski wkrótce rozpocznie druk powieści Alfonsa Wilczyńskiego, znanego autora: „Kłopotów starego komendanta", które ogłaszamy w naszém piśmie.

— Władysław Syrokomla wykończa życiorys Kromera według nowo przybyłych źródeł, i takowy naszemu pismu nadsyła.

— Alexander Tyszyński współredaktor pisma naszego, po długiém zamieszkaniu opuścił Warszawę i wyjechał na wieś do rodzinnego gniazda na Litwę. Zostaje wszelako współpracownikiem Biblioteki Warsz. i stałą przyrzekł pomoc do Kroniki literackiéj.

— Towarzystwo ekonomistów w Bruxelli pod głównym kierunkiem Karola Coquelin wydaje znane z wartości swéj dzieło p. n.: Dictionnaire de l'economie politique. Wyszło już 43 poszyty, stanowiące dwa obszerne tomy. W szacownem tém dziele znajdujemy życiorys Fryderyka hr. Skarbka, znanego zaszczytnie w literaturze naszej pisarza jako ekonomisty, literata, oraz b. professora w uniwersytecie warszawskim, w którym zajmował katedrę umiejętności ekonomicznych i administracyjnych. Prócz tego czytamy tu obszerne ustępy z dzieł wydanych Fr. hr. Skarbka w téj gałęzi nauk, jak: obszerny ustęp z teoryi o bogactwach, o utrzymaniu ubogich, o znaczeniu ekonomii politycznéj i w. i.

— P. E. L. Godlewski wypracował ozdobnie kalendarz ścienny astronomiczno-historyczny, w formacie dużego arkusza. Dwa kalendarze, stary i nowy są obok siebie. Popiersie Juliusza Cezara i rzymskie oznaki jego władzy dyktatorskiej nad kalendarzem Juliańskim, a popiersie Grzegorza XIII i godła papiezkie nad Gregoryańskim. Środek tablicy, tojest przedział między kalendarzem starym i nowym zajmuje Saturn, bożek czasu; Janus, bożek roku; Kopernik, gwiazda astronomii; w końcu objaśnienie i przyczyny, dlaczego 12 dni różnicy między dawnym i nowym kalendarzem. Nad pierwszym „kościół wschodni" z pierwszych czasów chrześciaństwa; nad drugim „kościół zachodni" św. Piotra w Rzymie. Tam Wajdelota litewski, Żmudzin, i Litwinka pory roku symbolizują: tu kobziarz polski, mazur i krakowianki. Widoki Wilna, Ojcowa, Łazienek, Czerniakowa, Marymontu, Mokotowa i Saskiej-kępy rozrzucone składnie. Święta są oznaczone kolorami: niedziele czerwonym, uroczystości niebieskim, dworskie zielonym. U spodu tabelle świąt ruchomych, czyli kalendarz wieczysty, zapewnia użytek téj pracy p. Godlewskiego nietylko na rok jeden, jak zwykłe kalendarze nasze.

— Zakład litograficzny Maxymiliana Fajansa, przy powiększeniu pras i pracowników, coraz na większą rozwija się skalę, zaledwie mogąc wystarczyć natłokowi robót. Oprócz zajęcia ciągłego przy odbijaniu chromolitografowanych „Wzorów sztuki średniowiecznej" Alex. Przezdzieckiego i E. Rastawieckiego; nagrobków do opisu Cmentarza powązkowskiego, wyszły teraz z tegoż zakładu: Wieśniaczka litewska w przedsionku kościoła w niedzielę Kwietnią, z rysunku K. Rusieckiego. (Do pierwszego zeszytu Pamiętnika sztuk pięknych t. 2. B. Podczaszyńskiego załączona, a jest do nabycia i oddzielnie), portrety Najjaśniejszego Cesarza wszech Rossyi i króla polskiego ALEXANDRA II., oraz umarłego a w Bogu spoczywającego Najjaśniejszego Cesarza Mikołaja I. ś. p. generała Szylder, i Jakóba Łaszczyńskiego T. R. gubernatora cywilnego gubernii warszawskiéj. Wspomnieć tu musimy o pięknych okładkach chromolitografowanych do dwóch dzieł dla dzieci, nakładem S. H. Merzbacha: Podróży Guliwera i Don-Kiszota. P. Fajans przygotował już kilka kamieni do „Wizerunków polskich," które wkrótce zamierza ogłosić, jako dalszy ciąg wydanych dotąd siedmiu poszytów.

— Bolesław Podczaszyński nauczyciel przy szkole sztuk pięknych w Warszawie, objąwszy na swój nakład, wydał „Pamiętnika sztuk pięknych" tomu 2 część pierwszą, która zawiera: Konkursa budownicze, cel ich, i zwyczaje konkursowe.—Opisanie skał i kamieni używanych do budowli w stronach położonych między Dnieprem, Dniestrem i brzegami morza Czarnego.—Budowa drzwi zewnętrznych, (z ryciną).—Uwagi o niektórych malarzach zamieszczonych w dziele E. Rastawieckiego: Słownik malarzów polskich, a mnie współczesnych.—Wieśniaczka litewska w Kwietnią niedzielę: obraz p. Kanutego Rusieckiego w Wilnie, (z ryciną o której wyżéj wspomnieliśmy).—Wyobrażenie Zbawiciela, wykonane w Rzymie z marmuru przez T. O. Sosnowskiego, (z ryciną oddbitą w zakładzie A. Dietrich'a).—Malowidła ścienne starorzymskie niedawno w Rzymie odkopane.—Henryk Walezy w podróży do Polski, rycina z r. 1573, (z drzeworytem). Rozmaitości.—Staraniem redaktora tegoż Pamiętnika wyszła: „Nomenklatura Architektoniczna, czyli Słownik miennik cieśliczych polskich wyrazów; (wydanie powtórne) przez Karola Podczaszyńskiego prof. arch. w b. uniw. wileń.; (z drzeworytami). Rzecz sumiennie opracowana, i wielkiéj ceny jako materyał do słownika języka polskiego.

— Poemat Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj, p. n. „Elżbieta Drużbacka" ma być drukowany w jedném z pism naszych, a następnie i w oddzielném wydaniu.

— Leon Kunicki nadesłał do jednego z pism tutejszych obrazek z okolic nad-Bużnych „Synowie Gajowego," a do Dziennika Warszawskiego: „Wędrówki Stryjaszka."

— Znana rozgłośnie improwizatorka Deotyma, pracuje obecnie nad dwoma poematami z czasów Piastowskich i Jagiellońskich.

Poznań. Księgarnia Żupańskiego wydać zamierza: „Uwagi nad dziejami Polski i jej ludu". Będzieto tom 3 większego zbioru mającego wyjść w 7 tomach pod ogólnym tytułem: Polska, dzieje i rzeczy jej. Każdy tom stanowi całość. Czwarty tom, który już się drukuje, zawiera pomniki królów polskich, urzędy, herby, pieniądze polskie i t. p.—Nakładem tejże księgarni odbitym został wielki miedzioryt, wyobrażający wizerunki braci Wieniawskich znanych artystów, wykonany według rysunku p. Jagielskiego, a rytowany przez Jaroszyńskiego. Wydane przez tęż księgarnią „Album rytownika Polaka", zawierające krajobrazy, mappy, rzeczy polskie, wycinki (winiety ze starych druków) i numizmatykę, ze wstępem w języku polskim i francuzkim, już jest u naszych w Warszawie księgarzy.

— J. I. Kraszewski przygotowany rękopism p. n. „Okruszyny:" zbiór powiastek, rozpraw i obrazków, oddał pod prasę drukarską. Zbiór ten obejmuje trzy tomy: w czwartym mieszczą się próbki poetyczne z podań ludu Jana Prusinowskiego.

— W Kijowie w r. 1854 wydał Ambroży Metliński: „Narodowe południowo Ruskie pieśni." (Narodnyja Južno-Ruskija pieśni) w drukarni uniwersyteckiej. Jestto jeden z większych zbiorów (zawiera stronnic 472), obejmuje bowiem przeszło 800 pieśni i ułomków, po raz pierwszy drukiem ogłoszonych.

Lwów. „Autograf Długosza: „Żywot św. Kunegundy" własność klasztoru Staro-Sandeckiego panien Klarysek, zagubiony od lat kilku, został w r. z. wynaleziony. Hr. Włodzimierz Dzieduszycki kupił go od osoby mieniącej się być jego właścicielem, za wysoką summę, i takowy teraz zwrócił do miejsca swego. Dwie pierwsze pargaminowe kartki tego autografu miniaturowém malowaniem, aprzeto będące drogim zabytkiem malarstwa z XV wieku, wycięte zostały.—Księgarnia Pisza w Bochni ogłosiła przedpłatę na dzieło mające wyjść w 3 obszernych tomach K. J. Turowskiego p. n. „Rolnictwo."— J. A. Kamiński archiwista zakładu Ossolińskich we Lwowie, drukuje materyały do monografii i historyi rodzin Kamieńskich i Kamińskich, jako prywatną korrespondencyą, wyłącznie dla tych rodzin przeznaczoną. Numer 1 już wyszedł — „Bojar Orsza" poemat Lermontowa przełożył z rossyjskiego G(ustaw) C(zernicki). — Gorzelnictwo czyli praktyczna nauka o wyrabianiu wódki z kukurydzy, kartofli, i różnego zboża p. Piątkowskiego.— W Tarnowie w drukarni Anastazego Rusinowskiego wyszedł: „Rocznik 2 kazań na święta uroczyste całego roku p. ks. Józefa Wilczka professora teologii pastoralnej w Tarnowie: (przed 10 laty wydany był tom pierwszy). Tegoż autora wyszły Mowy pogrzebowe, poświęcone mieszkańcom Tarnowa. Jako wiadomość mogą posłużyć różne daty i szczegóły w tej przedmowie podane, a tyczące się biskupstwa i biskupów tarnowskich.

(*Z listu Augusta Bielowskiego*). „Obecnie drukuje się 80 arkusz tomu I przedruku Słownika Lindego. Teraz pracuję nad życiorysem Lindego."

Lipsk. „Kazania czyli rozprawy duchowne o rozumie filozoficznym, o rozumie katolickim" (przekład z francuzkiego).—Tablica symboliczna, ułożona ku zabawie dla dzieci przez H. K. wielkie koło kolorowane z prawidłami gry.—„Powieści Pilpaja" z perskiego tłumaczone przez znakomitego oryentalistę p. Pietraszewskiego. Tenże przygotował do druku: Podróż dziewięcioletnią po Turcyi, i obszerne historyczne dzieło p. n. „Wypadki z dziejów Polski, styczność z dziejami Turcyi mające od początku zjawienia się Turków w Europie, aż do traktatu zawartego z Rossyą w Kajnardżi 1774 r., wypisane z chronografów tureckich." Każde z tych dzieł obejmować będzie od 2 do 3 tomów druku.

Redakcya Bibliotéki Warszawskiéj.

Biblioteka Warszawska

Wolno drukować.—Warszawa, d. 14 (26) Kwietnia 1855 r. Starszy Cenzor, *J. Papłoński.*

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Marzec, 1855.

Marzec 1855. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser- watoryum Astronomiczném Warszawskiém.**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad po- ziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1g. 14m.45s.,7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłéj w milim. z	
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz.wiecz.	10 godz.wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god.w.	10 god.w.	deszczu	śniegu
1		755.16	755.76	752.46	749.38	— 16°.3	— 13°.5	— 4°.1	— 7°.4		pogodny	pogodny	lek. pochm.	lek. pochm	—	Pd.	PdW.	PdW.		
2		745.96	745.14	744.34	743.46	— 6.1	— 1.6	+ 1.7	+ 1.0		pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	PdW.	Pd.	PdZ.	Pd.		4.6
3	☽.	740.16	738.98	737.84	739.22	— 0.6	+ 2.7	+ 3.3	+ 1.6	93.2	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	—		
4		740.98	743.28	746.12	747.31	+ 1.6	+ 3.9	+ 3.8	+ 2.0	91.5	pochmurny	lek. pochm.	lek. pochm.	pochmurny	Pd	PdZ.	Z.	Pd.	1.8	
5		745.70	743.96	741.01	743.76	+ 1.4	+ 2.1	+ 1.7	+ 0.4	100.0	poch. g. m.	deszcz	deszcz	pochmurny	—	PnW.	PnW.	Pn.	12.0	
6		749.58	750.86	751.94	752.32	— 1.3	+ 0.2	+ 1.0	— 0.7	95.8	pochmurny	lek. pochm.	lek pochm.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		3.6
7		751.50	751.29	749.46	747.89	— 0.5	+ 0.7	+ 1.0	— 1.5	91.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PdW.	—	W.		
8		744.91	744.46	744.11	744.87	— 2.3	+ 1.4	+ 0.9	— 0.8	89.5	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	PdW.	W.	Pn.	Pn.		1.8
9		744.88	745.54	745.89	746.27	— 1.7	— 1.1	+ 0.4	— 0.3	97.8	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	PnW.	Pn.	PnW.		
10		743.30	742.66	740.80	739.60	— 1.0	— 0.3	+ 0.3	— 1.5	97.2	poch. śnieg	śnieg	pochmurny	poch. śnieg	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		6.2
11	☾.	737.57	737.76	737.64	738.48	— 0.6	+ 1.1	— 1.3	— 2.9	94.8	pochmurny	śnieg	śnieg b. dr.	pr. pochm.	PnW.	W.	Z.	PdZ.		8.4
12		737.56	737.53	735.79	734.25	— 6.0	— 0.1	— 0.5	— 3.7	87.7	pogodny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Pd.	PdW.	W.		
13		732.08	732.37	732.14	736.09	— 4.0	— 1.0	+ 1.2	— 1.3	89.3	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PnZ.	Z		11.9
14		739.30	741.82	742.98	743.55	— 3.7	+ 1.0	+ 1.1	— 0.2	89.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	PdW.	W.	Pn.	PnW.		
15		742.48	743.52	744.58	746.64	+ 0.8	+ 2.3	+ 2.5	+ 0.7	95.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	W.	W.	W.		5.2
16		748.52	749.22	749.31	749.04	— 0.4	+ 1.0	+ 0.3	— 0.7	94.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PnZ.		4.0
17		748.65	748.96	748.86	749.84	— 2.8	+ 1.4	+ 2.1	+ 0.1	89.8	poch. g. m.	pr. pogodny	śnieg	pochmurny	Z.	PdW.	PdZ.	PdW.		6.4
18	●.	749.47	748.74	744.04	744.58	+ 0.0	+ 1.7	+ 3.8	+ 0.6	91.2	gęsta mgła	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Pd.	PdW.	Z.	2.8	
19		742.14	740.52	739.46	740.45	— 0.7	+ 3.4	+ 1.7	— 0.0	90.8	pr. pochm.	napół pog.	pochmurny	pogodny	PdZ.	Pd.	Z.	PdZ.	2.4	
20		738.80	739.31	739.51	739.95	— 0.2	+ 1.2	+ 1.6	— 1.1	83.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		2.0
21		741.24	743.08	744.14	744.15	— 1.1	+ 0.2	+ 2.3	— 1.7	81.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Z.	Z	PnZ.	PnW.		
22		740.70	739.09	735.20	732.48	— 1.5	+ 0.9	+ 1.1	+ 1.7	90.8	pochmurny	śnieg b. dr.	deszcz	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
23		726.36	724.69	725.09	727.59	+ 3.1	+ 5.8	+ 3.6	+ 3.0	90.7	pochmurny	pochmurny	deszcz	pogodny	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.	5.4	
24		727.35	729.15	733.13	737.46	+ 1.0	+ 4.3	+ 2.9	+ 1.6	89.3	pr. pogodny	smugi	pochmurny	pochmurny	PdW.	Z.	Z.	Pd.		
25	☽.	737.16	736.86	735.22	737.21	+ 0.3	+ 6.1	+ 9.5	+ 4.3	84.7	pogodny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
26		740.22	740.74	738.73	737.53	+ 2.6	+ 3.6	+ 3.3	+ 0.8	96.3	lek. zamat.	pochmurny	deszcz	deszcz	Pd.	Pn.	Pn.	Pn.	2.8	
27		743.12	746.44	749.68	750.29	+ 0.1	+ 1.0	+ 1.7	+ 0.4	91.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	Pd.	11.4	
28		749.01	748.45	749.18	752.93	+ 0.8	+ 2.4	+ 2.8	+ 0.6	96.2	pochmurny	deszcz dr.	deszcz	pochmurny	PnW.	PnW.	PnZ.	PnZ.	6.8	
29		756.58	757 95	757.17	757.30	— 1.6	— 0.0	+ 0.1	— 1.7	90.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	PnW.	PnW.	Pn.		
30		757.22	757.67	757 30	758.68	— 2.8	— 0.1	+ 3.0	— 1.7	78.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		
31		759.66	761.19	762.02	764.95	— 3.0	+ 0.2	+ 4.9	— 0.0	79.3	pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	PnW.	PnW.		
Śre.		743.784	744.096	743.714	744.436	— 1°.50	+ 1°.00	+ 1°.86	— 0°.27	90.7									45.4	54.1

	m.	d.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	744.008	27	5.815
Najwyżej barometr dochodził d. 31 o g. 10 w.	764.95	28	3.099
Najniżej — — d. 23 o g. 10 r.	724.69	26	9.252
Średnia zmiana dzienna barometru	4.565		2.024
Największa zmiana dzienna barometru d. 22—23 o g. 10 r.	14.40		6.384
Średnia wysokość barometru jest niższa o	5.182		2.298
od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	749.190	27	8.113
Średnia temperatura marca wynosi:	+ 0°.27 C.	+	0°.22 R.
i ta jest niższa o	0.19 „		0.15 „
od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	+ 0.46 „	+	0.37 „
Największe ciepło było d. 25 o g. 4 w.	+ 9.5 „	+	7.60 „
Największe zimno było d. 1 o g. 6 r.	— 16.3 „	—	13.04 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.803 „		1.442 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 1—2 o g. 10 rano.	11.9 „		9.52 „
Termometrograf wskazał:			
Maximum: + 9°.3 R. d. 25 po połud.			
Minimum: —13°.5 „ d. 1 rano.			

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 90.7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru, 4.98 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest przeszło o 0.03 większa od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 45.4 mil. czyli 20.13 lin. par.; z śniegu 54.1 mil. czyli 23.98 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 99.5 mil. czyli 44.11 lin. par.; ilość ta wody jest o 26.42 lin. par. większa od téj jaka średnio w marcu u nas spada.

Dni pogodnych było 1, napół pogodnych 3, pochmurnych 27.
— deszczu 14 (d. 3, 4, 5, 15, 16, 18, 19, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28).
— śniegu 14 (d. 2, 5, 6, 8, 10, 11, 13, 14, 15, 16, 17, 20, 22, 27).
— gradu 1 (d. 20).
— mgły 4 (d. 2, 5, 17, 18).
Wichrów było 1 (1 Z.).
Wiatrów mocnych 4 (4 Z.).
Wiatr panujący zachodni i południowo-wschodni, częste były także północno-wschodnie i północne.

Marzec r. b. przy nizkim stanie barometru był niepogodny, słotny, wilgotny, w deszcz i śnieg nadzwyczaj obfity, w pierwszéj połowie chłodny, w drugiéj ciepły, w ogóle o 0.15 stop. R. zimniejszy niż zwykle. Najcieplejsze dni były: d. 4, 23, 24, 25, 26; najzimniejsze d. 1, 2, 11, 12, 13. Prócz ostatniego dnia miesiąca który był pogodny, w innych dniach prawie codzień deszcz albo śnieg padał, w skutku tego ilość wody spadłej z deszczu i śniegu (44.11 lin. par.) jest przeszło dwa razy większa niż w stanie średnim. W stanie normalnym w miesiącu marcu stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 4,5:8,9:17,6 w r. b. stosunek tychże dni jest jak: 1:3:27 co pokazuje że marzec r. b. był nader niepogodny, i zbliżał się do stanu tegoż miesiąca w r. 1828.

D. 1 pokazywały się plamy na słońcu.
D. 25 o godz. 6 min. 25 widziano świetną tęczę podwójną.

WYCIECZKA

ARCHEOLOGICZNA PO GUBERNII WILEŃSKIÉJ.

PRZEZ

Jana ze Śliwina.

I.

Jedyne prawie u nas i tyle szacowne dzieło pp. Michała Balińskiego i T. Lipińskiego Starożytna Polska, mało nam udziela szczegółów o powiecie wilejskim, ojczyznie Słowian-Krywiczan. Kraj ten wraz z południowo-wschodnią częścią powiatu oszmiańskiego, należał do księztwa mińskiego, a od roku 1300 ciągle zostawał pod panowaniem Litwy; od 1413 był zaś częścią ptu. oszmiańskiego w województwie wileńskiém. Po drugim podziale Polski, dzisiejszy powiat wilejski wcielony był do gub. mińskiéj (od 3 maja 1795), a od 1 lipca 1843 do wileńskiéj.

Okoliczności dozwoliły mi w przeszłym roku zwiedzić ten ciekawy i prawie pod względem etnograficznym nietknięty kraj; lecz z powodu krótkiego mego tam pobytu, nie byłem w stanie głębiéj zbadać i gruntownie się nad miejscowością zastanowić. Powiem zatém słów kilka tylko o tych miejscach, o których nie znajduję zupełnie, lub bardzo krótką wzmiankę w rzeczoném wyżéj dziele, a do wyśledzenia których znalazłem szlachetne spółczucie i pomoc światłego i czcigodnego teraźniej-

szego marszałka wspomnionego powiatu p. Mieczysława Tukałły, oraz niektórych okolicznych obywateli. Łasce to ich winienem nietylko uprzyjemnienie pobytu mojego w téj stronie, ale zebranie miejscowych podań i dostarczenie wszelkich środków do wykrycia, a przynajmniéj możności czynienia wiaro-podobnych przypuszczeń o starożytnościach i dawnych dziejach tych okolic.

O milę od Wilejki leży piękne miasteczko Kurzeniec, niegdyś własność Sulistrowskich, dziś pani Juszkiewiczowéj. Liczą tu 80 domów, zamieszkałych głównie przez żydów utrzymujących kramy. Kościół parafialny bardzo ubogi, drewniany, potrzebuje znacznéj naprawy. Fundowany w r. 1539 przez Jana Michajłowicza, ówczesnego właściciela Kurzeńca. Kilkakrotnie ulegał pożarom, ostatniego razu odbudowany w r. 1810 nakładem b. gubernatora mińskiego Sulistrowskiego. Parafia kurzeniecka składa się przeszło z 2,000 osób płci obojéj. Podług tablicy statystycznéj urodziło się tu w r. 1849 25 mężczyzn, 21 kobiét; umarło 16 mężczyzn, 8 kobiét. Ślubów było tylko 5.

Lud tutejszy bogobojny, przykładnych obyczajów, noszący czysty typ słowiański, zachował w pamięci mnóstwo podań i legend. Niema prawie mieściny, gdzieby nie opowiadano jakiegoś dawnego i zawsze nadzwyczajnego wypadku. Podania dawne pogańskie często naginają do obecnych pojęć religijnych, i utworzonéj w wyobraźni powiastce łatwowiernego udzielają ucha.

Raz podczas świąt żydowskich, bosinami wielkiemi przez lud powszechnie zwanych, pewien mój znajomy przeprawiał się promem ze Smorgoń do Kurzeńca. Przewoźnicy z najlepszą w świecie dowodzili mu wiarą, że raz w nocy ukazał się im był na promie od strony Kurzeńca diabeł, zgięty pod ogromnym worem, z którego wysterczały głowy: żydów, żydówek i bachurów piszczących przeraźliwie. Naturalnie, że ten cały pakunek maszerował do piekła. Lecz gdy prom przybijał już do brzegu i pokazało się, że diabeł nie miał czém zapłacić za przewóz, a oszukani przewoźnicy tuzać go bez ceremonii poczęli i do brzegu nie puszczać: wysypało się z worka żydowstwo do Wilii, a diabeł przemieniwszy się w ognistego latawca, czmy-

chnął w poblizką chmurę. Poczém przez długi czas w Kurzeńcu mniéj było kręcielstwa i oszustów.

Wiele lat zbierając podania miejscowe o rozmaitych stronach kraju naszego, rzadko bardzo napotykałem jednostajne opowiadania jakiego wypadku; w wilejskim zaś powiecie przeciwnie, zdarzało się, że o jedném i tém samém podaniu, rozpytując kilku w rozmaitych wioskach, zawsze nietylko trafiałem na treść tęż samą, ale nawet właściwe imiona powtarzano bez zmiany. We wszystkich tych legendach jest coś poetycznego, dobitnie malującego charakter ludu; ale co najważniejsza, zawsze jest strona moralna, zachęcająca ku dobremu.

O wiorstę od kościoła w Kurzeńcu, na polu, przy drodze do Lubania, leży duży kamień, w wielu już miejscach potrzaskany.—A jakito kamień, taki wielki?—spytałem mego woźnicę.—A to, panie, Gomsin!—Cóżto za Gomsin (1)?—Tak się panie nazywał jeden szewc, ciężko skarany za złamanie trzeciego Bożego przykazania.—Jakże to było?—Opowiedział mi następne podanie. Ten Gomsin tłumacząc dosłownie uroczystość święta Wielkanocy, nazywającego się po biało-rusku Wialik dzień, umyślił wyprobować czy będzie mógł uszyć piérwszego dnia święta, zamiast jednéj, dwie pary obuwia, chcąc przez to zarazem dogodzić i zuchwałéj swéj ciekawości, i występnemu pragnącemu zysków łakomstwu. Nie myśląc przeto długo, wziął się do pracy, a gdy lud wesoło wracał z kościoła do siedzib swoich, chełpił się siedząc w swojéj chacie nad robotą, że gdy oni czas tracą daremnie, jemu Dzień wielki podwójną korzyść przyniesie; ale nie skończył jeszcze tych bezbożnych wyrazów, gdy nagle, śród pogodnego nieba, gwałtowny w chatę uderzył piorun, błyskawica olśniła oczy zdumiałych, padli na kolana przerażeni, a gdy podnieśli oczy, jakież ich było zadziwienie, gdy ujrzeli, że chata z szewcem, z całym jego dobytkiem i ze wszystkiém cokolwiek w niéj było znikła, na jéj zaś miejscu leżał ogromny kamień. Takim sposobem został ukarany zuchwały i nieposłuszny przykazaniu Boskiemu, a lud pobożny dla przykładu od dziada do wnuka, z pokolenia

(1) Inni mówią Komsin.

w pokolenie przekazuje tę legendę. Dodziśdnia wielu z wieśniaków głęboko wierzy, że w dzień Wielkiéjnocy słychać w tym kamieniu śpiéw koguta i sztukanie szewskiego młota; lecz co jeszcze dziwniejsza, iż każdego prawie lata, jak mię zapewniali ludzie wiarogodni, piorun weń uderza, i dlatego to w wielu miejscach bardzo jest uszkodzony, choć zawsze jeszcze zdumiewa i dzisiaj olbrzymią wielkością swoją (1).

Niedaleko Kurzeńca jest folwark Helenów pani Juszkiewiczowéj; o ćwierć mili od niego, przy drodze przez las prowadzącéj do skarbowego majątku Hub, ukazuje się wzniosłe horodyszcze, przez lud okoliczny nazywane zamkową górą. Ma ono w obwodzie 200 kroków, otoczone wałem i fosą. Wysokość wału łokci 10, a wierzchołek stanowi płaszczyznę, mającą wszerz i wzdłuż 60 kroków przestrzeni. O kilkanaście kroków od téj góry po prawéj stronie (ku Hubom) wznosi się piękny, niewielki, ale wysoki kurhan. Stoi samotny na miejscu, z którego widok rozległy. Najniezawodniéj był to kurhan strażniczy. Z przeciwnéj strony, przez drogę, na przestrzeni pół wiorsty, wznoszą się w bojowym porządku po dwa, trzy i cztery w rzęd 83 kurhany (2), niemal wszystkie jednostajnéj wielkości. Mniemałem z początku, że to mogiły; rozkopałem ich kilka,

(1) Słowo w słowo podobnąż karę, za takież w święto Wielkiéjnocy zuchwalstwo i przechwałki, że *wieliki dzień* wiele w robocie da zysku, opowiada lud powiatu słuckiego, koło Nieświeża mieszkający. O parę mil od tego słynnego niegdyś książąt Radziwiłłów miasta, zwróciwszy w prawo z gościńca wiodącego do Słucka, tuż przy folwarku Łozowiczach, z prawéj strony ubocznéj drogi, dotąd widzieć się dają olbrzymiej wielkości dwa kamienie z ostremi sterczącemi grzbietami, a przy nich stoi głaz wysmukły, cokolwiek ludzką przypominający postać. Lud wierzy: iż to są woły i oracz przemienione w kamień, za oranie w uroczystość Wielkanocną. Nagła burza nad tém miejscem tylko zwieszona i siarczysty piorun, który ubił grzesznika, poprzedziły tę karę.

O lekką milę od Łozowicz leży majątek Leciszyn, w którym pierwiastkową młodość przebył tyle zasłużony badacz słowiańszczyzny Adam Czarnocki (Zoryan Dołęga Chodakowski).

Na przedmieściu Wilna Snipiszkach, z prawéj strony drogi do Wiłkomierza wiodącéj, za domami na polu, jest kilka wielkich kamieni w okrąg leżących. Podanie mówi, że tu niegdyś odbywało się wesele bezbożnéj pary, która zamiast przystojnéj wesołéj zabawy, najbezecniejszéj oddawała się orgii, i za to wraz z podobnemi sobie gośćmi, przemieniona została w kamień. Z tego wszystkiego widać, iż wyobrażenie kary Bożéj zkamienienia złych ludzi, szeroko wszędzie pomiędzy ludem litewskim rozpostarte było.

(2) Lud nazywa kurhany *wołołońki*, inni *kołołońki*.

lecz nic nie znalazłem: po bliższém zaś rozpatrzeniu przekonałem się, że góra zamkowa, kurhan strażniczy i te 83 kurhany, stanowią dawną warownię, sięgającą dalekich czasów. Wybór miejsca i samo urządzenie okopów dowodzą znajomości strategicznéj, oraz dobrze obmyślanych środków obrony. Na górze zamkowéj zapewne znajdował się sam dowódzca z oddziałem, na kurhanach bojowych reszta wojska; wysoki kurhan strażniczy otwierał możność wyśledzenia i dopilnowania najścia nieprzyjaciela. Za kurhanami widać i dziś koryto rzeki, która z téj strony zasłaniała od nieprzyjaciela; za strażniczym kurhanem zaczynała się wielka puszcza, dziś do skarbowego majątku Hub należąca. W puszczy téj, po prawéj stronie drogi jest także kilka wzniosłych gór, niewątpliwie ręką ludzką sypanych; jednę z nich nazywa lud także zamkową, ale nie ma ona ani wału, ani fosy, ani nawet strategicznego kształtu. Koryto rzeki, o któréj wspomniałem, ciągnie się ztąd mimo Bohdanowa, majętności pp. Niewiarowiczów, niedaleko gościńca pocztowego, do saméj Wilii, rzeki pod miastem Wilejką, a szła podobno aż z Dołhinowa. Okoliczni mieszkańcy jednomyślnie twierdzą, iż rzeka ta nazywała się Piela i wpadała do Wilii, że po niéj pływały statki, a w Helenowie pokazywano mi nawet ułamki czółen znajdywanych w korycie téj rzeki, która kiedy znikła i gdzie swój brała początek, nic teraz niewiadomo. Pochyłość tworząca się z koryta téj rzeki, wiosną od spadu wody i dziś przybiera charakter rzeki; latem wysycha zupełnie i służy za łąki, chociaż bardzo bagniste, a w niektórych miejscach malutki strumień tamtędy się sączy.

O wiorst 10 od Helenowa, w lesie, nad rzeką Uzłą (wpadającą do Naroczy), w majątku Luboń, p. Jana Lubońskiego, dzisiejszego marszałka powiatu oszmiańskiego, za wsią Rudnią, znajduje się przeszło 100 kurhanów mogiłowych. W miejscu gdzie kończy się szereg kurhanów, na rzece jest most dodziśdnia Witoldowym nazywający się. Po rozkopaniu kilku z tych kurhanów, znaleziono ogromnéj wielkości trupie głowy, dużo kości ludzkich i kilka kółek żelaznych. Wszakże niedawnemi czasy znaleziono tu nadzwyczaj starą, rdzą przejedzoną halabardę, dziś u mnie znajdującą się. Ma

ona długości 7 wierszków i 2 cale, szerokości 5 wierszków; rękojeść rozdwojona żelazna, do któréj wkładało się drzewce; ma długości 6 wierszków i 2 cale.

Dlaczego most nazywa się Witoldowym, kiedy mianowicie mógł tu być nasz sławny bohater, po jakiéj bitwie wzniesiono kurhany?— dociec już trudno (1).

Niedaleko tych miejsc, chociaż w przeciwnéj stronie leżący majątek Kassuta, dzisiejszego marszałka Mieczysława Tukałły, nastręczył mi następne podanie: Dawno już, bardzo dawno, Szwedzi i Turcy, lud okrutny i dziki, nasiedli się razem na biédną Litwę, a niszcząc ją i paląc do szczętu, lud Boży srodze dręczyli. Ten chat i dobytku odbiegłszy, w lasach i błotach niedostępnych kryć się przed nimi musiał, i biada nieszczęśliwemu, gdy wcześnie im umknąć nie zdołał. Nie zabijali bowiem dorazu, ale pastwili się nielitościwie i długo, bardzo długo męczyli, nim cios zadali ostatni. Dziećmi małemi napełniali studnie i przywalali kamieniami. Gdy już nie mieli czém strasznéj swéj żądzy okrucieństwa dogadzać, bo ukrytych znaleźć było niełatwo, biegali po puszczach hukając i krzycząc, a na chybi-trafi wywołując różne chrześciańskie imiona, zachęcali do powrotu, zapewniając, że Szwedzi już daleko. Gdy zaś łatwowierny, zwiedziony tym podstępem odezwał się, na głos jego dochodzili kryjówki i szydząc mordowali. Znieważali świątynie Pańskie, stawiąc w nich swe konie. Te bezprawia i okrucieństwa nie uszły im bezkarnie; Pan Bóg zlitował się nareszcie nad Litwinami, i nasłał na Szwedów i Turków ślepotę: bo gdy przyszli nad rzekę Wilią, pod wsią Małmyhy nie poznali się wzajemnie, a na drugiéj stronie stojące wojsko swoje biorąc

(1) U nas na Litwie niemal wszystkie kopce w mniemaniu ludu usypane przez Szwedów; wszystkie opowiadania o nieszczęściach wojny stosują do szwedzkiéj: tak okrutną, tak ciężką była, tak wiecznym kamieniem legła w ludowéj pamięci ostatnia wojna szwedzka! Nieraz do niéj stosują najdawniejsze wypadki: boje z Tatarami i Krzyżakami nawet, chociaż w niektórych miejscach jeszcze ostatnich pamiętają. Kurhany nad Uzłą w podaniu ludowem takoż szwedzkie, a kiedym zapytał dlaczego most nazywa się Witoldowym, odpowiedział mi chłopczyna: *bo i jon byu Szwed!*—Co ty pleciesz—dodał starszy wiekiem—to był nasz wielki kniaź, ale on tu pobił i potopił Szwedów.—Może Krzyżaków? zapytałem. *Da jany usie, panok, supostaty!* odpowiedział.

Tak imię Witolda od morza Czarnego do Bałtyku, wieki, pokolenia i wszystkie klassy powtarzają i będą powtarzać z uwielbieniem!

za nieprzyjacielskie, straszną sami sobie klęskę zadali. Z ciał ich powstały kopce, na brzegu rzeki dodziśdnia będące.

Na tejże rzece istnieje jeszcze kupa wpoprzek idących kamieni: według tegoż podania, szczęty mostu szwedzkiego, powstałego z pojedyńczych przez każdego żołnierza przyniesionych i w to miejsce rzuconych kamieni, dla utworzenia potrzebnéj im do przejścia drogi.

Chcąc sprawdzić podanie, byłem na miejscu i rzeczywiście na piasczystém wybrzeżu Wilii, niedaleko wioski i dziś zowiącéj się Małmyhy, jest mnóstwo kurhanów do połowy zniesionych wiatrem; sterczą z nich kości ludzkie, a dość ręką poruszyć, żeby się gromadnie wysypały. Jeden z takich kurhanów nazywa się Bruździelewa, dziś prawie zupełnie rozwiany, a jeszcze przed kilkunastą laty znacznéj był wysokości i obszaru. Na tym kurhanie, stanowiącym znaczną płaszczyznę, zaledwo wznoszącą się nad poziom, znalazłem przeszło 10 płaskich, ciosanych, rozmaitéj wielkości kamieni. Że to były tatarskie pomniki na mogiłach, albo na pobojowisku, nie ma najmniejszéj wątpliwości. Nadto o osadzie tatarskiéj przekonywa samo nazwanie wioski Małmyhy, czysto-tatarskie; niedaleko ztąd wieś nazywa się Tatarszczyzna, trochę zaś daléj, w wiosce Małyszki, należącéj do Klesina p. Kowerskiego, był nawet meczet tatarski i mogiły (1). Kamienie, o których mówiłem, przewie-

(1) Jeszcze podanie o przemienieniu w kamień. W lesie, na ziemi p. Kowerskiego jest para wołów i coś podobnego do człowieka, skamieniałe. Lud opowiada, że pewien rolnik lekceważąc święto Hleba i Borysa, 5 sierpnia, wyszedł orać w ten dzień na pole i został przemieniony razem z wołami w kamień. Czy nie ma związku ta kara z krążącem u ludu przysłowiem: *Swiaty Borysie, sam boroni się!?*

Mówiąc o karach, przytoczę ciekawe podanie, chociaż krążące w innéj stronie: Na drodze z Mira do Nieświeża, koło miasteczka Turca, leży mała i licha mieścina, bardziéj do wioseczki podobna, zwana *Pozieniewicze*. O niéj takie między okolicznym ludem krąży podanie. Na małéj przyległéj górce stała niegdyś cerkiewka, którą zarządzał paroch żonaty z kobietą próżną i łakomą. Podbiwszy całkowicie męża, wycięczała paralią, ażeby w coraz wykwintniejszych paradować strojach. Gdy nakoniec zwykłych zasobów mało było dla jéj nigdy nienasyconéj, a coraz to bardziéj wzrastającéj chciwości, nakłoniła męża do niecnego czynu zrobienia w cerkiewce fałszywego cudu. Słaby mąż w jednym obrazie świętego wykroił malowane na płótnie oczy, a natomiast postawił za obrazem umówionego domownika, aby ten patrząc przez zrobione otwory, przewracał tu i owdzie wzrokiem. Zdziwieni mieszkańcy ożywieniem się spojrzeń obrazu, tłumnie się zbiegli i hojne złożyli ofiary.

źliśmy do Kassuty, dla zachowania ich od zagłady. Już po powrocie do Wilna, otrzymałem uwiadomienie od p. Tukałły, że na jednym z tych kamieni ukazał się niezrozumiały napis, którego pierwéj nie dostrzegliśmy.

Muszę tu jeszcze dodać, że jeden z kurhanów koło Wilii, lud nazywa Czortowa hora, t. j. diabla góra. Podług podania, diabeł bardzo się rozgniewał na Wilią, nie wiem już za co i chciał ją zasypać. Przyniósł pełen wór ziemi, lecz wtém kur zapiał, diabeł się przeląkł, wysypał ziemię i zniknął. Ztąd powstała diabla góra.

Dziś dokoła nic ma śladu nawet osady tatarskiéj. W Małmyhach, Tatarszczyznie, Małyszkach, mieszkają tubylcy. Kiedy tu przyszli, z jakiego powodu i kiedy wyszli, nic nie wiadomo: podanie nawet milczy. Wrażenia strasznéj wojny szwedzkiéj wygładziły z pamięci ludowéj, a przynajmniéj pomieszały tradycye o dawniejszych najściach, mordach i pożogach. Lecz rzućmy okiem jeszcze na jeden ciekawy zabytek w tych stronach.

Na połowie drogi z Kurzeńca do stacyi pocztowéj Kościenieviec, przejeżdża się skarbowe miasteczko Rzeczki, tak nazwane od dwóch rzeczek, raczéj niewielkich strumyków, płynących przed i za miasteczkiem (1).

Lud prostodusznie nikczemny fortel wziął za prawdę, ale Bóg sprawiedliwy, prędzéj czy późniéj wszelkie karzący zbrodnie, straszną gotował karę. Nastąpiła uroczystość cerkiewna. Tłumy zbiegły się pobożnych z ogromnemi darami. Popadzia uradowana przyszła także gasząc wszystkie kobiety wykwintnością ubrania. Wtem raptownie zciemniało, okropny wicher zwiał świece, ryknął przeraźliwy grzmot, błysnęło strasznie, nareszcie z hałasnym trzaskiem spada piorun, wysmala oczy szalbiercy, kładzie trupem parocha i jego żonę. Cerkiewka chwieje się w swéj posadzie, drga ziemia, roztwiera się i w głębi swojéj ją pochłania. Lud tylko pozostał nieuszkodzony, aby uwielbił potęgę i sprawiedliwość Wszechmocnego. Odtąd na górce trawka tylko i to nędna porasta, lecz często wewnątrz słychać odgłosy dzwonów. Lud mówi, że to za pokutę ukarani uderzają w dzwony dla przestrogi ludu, aby nikt nadal świętokradzkiego nie dopuszczał się szalbierstwa. Mówią, że w rzeczy saméj przyłożywszy na tej górce ucho do ziemi, słychać jęk jakiś podobny do głosu jękliwego dzwonu. Może to pochodzić z prądu utajonych wiatrów, albo też sączenia się po kamykach strumyków.

(1) Niedojeżdżając do Rzeczek, przy drodze pocztowej, po prawej ręce, jest dodziśdnia dolina mająca następną tradycyą u ludu. Przed dawnemi bardzo laty, ale za czasów już chrześciańskich, połączyć się mająca para wieśniaków przyjechała z drużbą i krewnemi do cerkwi do ślubu. Miejscowy proboszcz czekał był już u ołtarza ze mszą. Państwo-młodzi przybyli do ślubu podochoceni już dobrze, i zamiast pójść połączyć modły swoje z modłami kapłana i pobożnego ludu, woleli, dla

Kto ciekawy widzieć dawny zabytek bojowniczy, jakich mało napotykałem nawet na Litwie, niech zjedzie z gościńca na prawo za karczmą; wązka drożyna prowadzi przez pola, łany i wzniosłe zarośle, a naprzeciw cerkwi, za gruntem miejscowego kowala, znajdzie ukryty lasem wspaniały i obszerny kopiec, przez lud miejscowy nazwany Horodkiem. Opasany dwoma wałami, z nadzwyczaj głęboką fossą, wznosi się przeszło 15 sążni nad poziom. Drugi wał dokoła obłożony ciosowemi kamieniami; z lewéj strony, śród tych kamieni jest otwór niewielki. Miejscowi powiadają, że otwór ten prowadzi do lochu jakiegoś, a kto weń rękę włoży, natychmiast mu uschnie. Wszakże mnie nie uschła; wkładałem i żerdź wysoką, lecz dna nie dostałem. Mieszkańcy Rzeczek przywiązują do tego lochu coś nadzwyczajnego: czy w nadziei wydobycia ztamtąd skarbów, czy też dla innych przyczyn, nieradzi nawet pokazywać to miejsce. Nieprzewidziane okoliczności nie pozwoliły mi zrobić głębszych badań nad tym horodkiem w tym roku; zwracam szczególniejszą uwagę naszych archeologów na ten zabytek czasów przedchrześciańskich. Że tu może być loch podziemny, czy tunel, nic nie ma dziwnego. Podobne lochy w wielu jeszcze miejscach na Litwie kryją ciekawe może zabytki naszéj

skrócenia sobie chwil oczekiwania, zacząć hulankę i tańce na cmentarzu. Zaledwo nabożeństwo się skończyło i lud się rozszedł, a orszak weselny wszedł do cerkwi, wnet ziemia się wstrzęsła gwałtownie, grom uderzył i cerkiew wraz z weselnym orszakiem zapadła głęboko w ziemię, a na tem miejscu wypłynęło jezioro, z którego głębi w rocznicę wypadku i uroczystego święta, dźwięki dzwonów i gwar modlącego się ludu słyszeć dają. Mówią też, że upuszczony weń kamień trafia w dzwony często. Teraz mało tam wody, a w suche lata nic wcale; miejsce zarosłe lasem niedawno wyciętym.

Podobneż podanie jest u ludu nowogródzkiego, w okolicy Pozieniewicz, trochę tylko odmienne.

Jadąc z Rzeczek do folwarku Orpy jest tuż przy drodze jeziorko czystéj wody, do którego podobneż podanie przywiązane. Miała tam stać karczma, do której w czasie rezurekcyi część ludu, zamiast do blizkiego kościoła, dla pijatyki i hulanki zebrała się. Karczma wraz z bezbożnym ludem, skoro nabożeństwo skończyło się, zapadła głęboko w ziemię, a miejsce wodą napełniło się.

Podobneż jeziorko czystéj i nigdy niezarastającéj wody znajduje się przy drodze z Dołhinowa do folwarku Mikulin. Głębokość jego wedle gawęd ludu ma być tak wielka, że najdłuższe sznury z kamieniem dna dostać nie mogą i czasem tylko trąca kamień o coś twardego i tonie głębiéj znowu. Podanie chce tam mieć kościół zapadły także, a kamień o coś twardego uderzający się właśnie natrafia na wieże. Wszakże powód tego arcy-tragicznego zdarzenia utonął w zapomnienia fali.

przeszłości. Taki tunel ma być pod górą Bakszta w Wilnie, jest niezawodnie pod górą Zamkową, i pod górą, na której stoi nowogródzki zamek. Podanie mówi jeszcze o podobnym tunelu pod Niemnem w zamku, którego nazwanie zaginęło. Na sto stopni ma zniżać się i prowadzić do cysterny podziemnéj, leżącéj o sążeń głębiéj od powierzchni Niemna. Podobne tunele mogły służyć do wycieczek i noszenia wody w czasie oblężenia. Horodek ten, kurhany przy wsi Małmyky, nad Uzłą rzeką, okopy i góra zamkowa za Helenowem, położone w niewielkiéj odległości od siebie, bo na przestrzeni wiorst 15, musiały mieć konieczny związek ze sobą, a most Witoldowy czy nie wskazuje nam epoki wzniesienia tych warowni? A że tu mogła być osada tatarska, takoż nic dziwnego. Tatarzy jeszcze za Giedymina już osiadać poczęli w Litwie, a za Witolda czasów, wiadomo, że znaczna ich część tu przesiedliła się i założyła kolonie, między innemi i w powiecie oszmiańskim, do którego ta strona należała. Lecz jakim sposobem i kiedy znikła, tak, że nawet w pamięci ludu żadnego śladu ich pobytu nie zostało—to rzecz dziwna. Witold w utarczkach swoich z książętami Rusi, a szczególnie z Swidrygiełłą, który czas jakiś ukrywał się w księztwie mińskim, mógł stoczyć tu z którymś z nich bitwę. Do czasów późniejszych bowiem trudno odnieść te okopy. Od horodelskiego sejmu, kraj ten i wypadki już nam więcéj znajome, miejsca bitew wyraziste. Wiemy, że w roku 1661, za Jana Kazimierza, okolica ta była teatrem krwawéj naówczas wojny z Rusią, lecz miejsce bitwy zaszłéj pod Dołtinowem, zadaleko od miejsc opisanych, bo o mil trzy położone; ślady téj bitwy widziałem w okopach, zupełnie innego kształtu i formy od wymienionych nad rzeką Serweczem, niedaleko źródeł rzeki Wilii (1). Z innych zaś wypadków bojowych nie przypominam, iżby miały miejsce w tych okolicach.

(1) Dziś przez Dołtinów płynie niewielki strumień, lecz podług miejscowego podania, spławna i wielka miała przechodzić rzeka, czego dowodem znajdowane w pustych i niezamieszkałych miejscach kawały obrobionego jak do spławu drzewa. Nieszczęśliwa jedna matka przejeżdżając raz przez tę rzekę z synem, straciła swego jedynaka: fale bystrej wody pochłonęły go. Uniesiona bolem i rozpaczą rzuciła klątwę na zdradliwą rzekę, która też natychmiast w mały spokojny strumień zamienić się musiała. Powiadano mi, że pewien zagraniczny hydraulik po obejrzeniu miejscowości, obo-

Do opisu tych miejsc dodać winienem następne opowiadanie starego Romana o początku wsi Ciereszki, o okopach w wsi Małyszki i o meczecie we dworze Klesinie, skreślone na moję prośbę przez samego dziedzica Klesina, pana Stefana Kowerskiego.

„Pan pytasz o okopy w Małyszkach, o szczątki fundamentów w gaiku klesniskim? O! dawne to dzieje!.. Ja sam tego nie pamiętam, a i ja nie dzisiejszy!.... Głowa zbielała, ciało się skurczyło, podczas wojny francuzkiéj już żonaty byłem i chatnią gospodarką zarządzałem. Widać, że to dawno było, bo matka moja, najstarsza wiekiem ze wsi kobieta, opowiadała mi dziecku jeszcze podówczas co od ojca swojego słyszała, a i on bodaj że sam temu obecnym nie był.

„Otóż przed laty naszedł ziemię naszą Tatar, czy Szwed, najgłówniejszy (nadta hłumny) z nieprzyjaciół jakich kraj nasz widział: bez wiary, bez serca, zabijał ludzi bezbronnych, bezcześcił i w niewolę uprowadzał; palił wprzód zrabowane wsi, dwory, kościołom bożym nawet nie przebaczał. Lud uciekał w lasy z dobytkiem i tam nad rzekami okopywał się wałem. A i lasy nie te dawniéj były co dzisiaj!... Tu, gdzie dziś pola i ani jednéj sosenki nie ujrzysz, niedźwiedzie legowiska bywały. Ot tak, od Małyszek puszcza się ciągnęła po obu stronach Serwecza (1), w naszych Nowosiołkach zaledwie jeszcze kilka chat było, a Ciereszki wycinały łąki i pasieki, a na nowinach siejąc, bogate były i ludne.

„Bywało gospodarz zapłaci czynsz i pracuje spokojny dla siebie. I jakiż czynsz? Boże wysoki!... Mówią, że dziś pół-włoczny gospodarz więcéj podatków płaci, niż wówczas włoczna chata czynszu płaciła.

wiązywał się rzeczkę tę do dawnego przywrócić stanu, ale że przezto połowa miasteczka, które się na dawnéj rzeki łożysku pobudowało i całe fundum o milę leżącego majątku zatopione być mogło; projekt więc zaniechano. Tak więc przekleństwo strapionéj matki trwa dotychczas. Rzeka ta czy będzie ta sama *Piela*, o któréj mówiliśmy? Jadąc z Kurzeńca do Naroczy jest bród nazywający się *Czeczkin*. Jest i pieśń ludowa o tym *Czeczkinie*, którego opisują jako watażkę jakiejś wyprawy; ubrany w kaftan łosi, kto był ten Czeczkin?

(1 Serwecz rzeka wypływa z jeziorka Serwecza (w powiecie wilejskim) o milę od miasteczka Sitca; wpada do Wilii w Kostykach (w tymże powiecie). Małyszki wieś skarbowa; Nowosiołki wieś należąca do Klesina, nad tą rzeką; Klesin dwór, Ciereszki wieś tegoż dworu, przy drodze z Kościuiewicz do Krzywicz.

A ziemię kto im mierzył? Kto im pola czy lasów żałował? Walą puszcze i pasieki zasiewają, i coraz nowe tną lasy, i coraz daléj sieją, bo grunt nieżyzny, niedługo mógł rodzić bez nawozu.

„Jakżeto wówczas prędko się wsie zaludniały!? Ot tu naprzykład: piérwszy przybył jakiś Ciereszka; nikt nie wiedział zkąd i kto on taki: wykarczował kawał puszczy, postawił chatę i żył tu długo jeden. A byłto rozumny i poczciwy człowiek. Z początku bali się go sąsiednich wsi mieszkańcy, bo i mową jakąś łamaną mówił, że go zaledwie zrozumieć można było, i coś jakby na waszecia wyglądał i zioła jakieś po miesiącu zbierał; ale jak ten i ów dostrzegł, że się przed krzyżem modli i u spowiedzi świętéj bywa, zaczęli się garnąć po radę do niego: on nie odmawiał nigdy, a złéj rady nikomu nie podał. To téż z czasem przywykli do niego i szanowali jak ojca. Bywało chory nie wyleczy się bez niego, zwaśnieni się nie pogodzą, nawet siać, kosić i z pola zbierać bez niego nie zaczynali, bo i pogodę przepowiedzieć umiał. O! byłto znachor, jakich dziś już nie ma i jutro pewnie nie będzie.

„Na wszystko téż czas znaleźć umiał, bo i gospodarka u niego szła lepiéj niż u okolicznych gospodarzy. A jak który sąsiad zubożał i chata już, już upaść miała; Ciereszka takiego do siebie przesiedlić się namawiał, sam mu pomógł przewieźć budowę, sam dał nasiewek, chudobą zarządził i z przednówku wychował; zachęcał do pilności i pracy, radą i ręką wspierał, a w lat kilka, na nowéj zadybie, sam siebie ów biedak nie poznał, innym już dopomódz był w stanie i pomagał, bo tak Ciereszka kazał.

„Ot tak nim dziesiątek wiosen minęło, wieś się znaczna wzniosła i ludzie nazwali ją Ciereszki, jak się dodziśdnia nazywa.

„Ciereszka zawsze żył po dawnemu: leczył, godził, do pracy i cnót zachęcał, aż późnéj starości dożył, swoją ręką biédnym swoje zapasy rozdał, a sobie na trzy dni tylko strawy zostawił. Pożegnał wieś całą, zamknął się w chatce swojéj, ukląkł przed krzyżem i modlił się przez dwa dni, a trzeciego, wieśniacy o niego niespokojni, drzwi odbili i znaleźli klęczącego przed krzyżem starca. Ręce miał jeszcze jak do pa-

cierza złożone, oczy wzniesione, usta uśmiechnięte, ale życia już w nim nie było.

„Gorzko opłakiwała wieś cała i okoliczni mieszkańcy śmierć Ciereszki. Chatę jego rozebrali, w tém miejscu gdzie stała pochowali ciało starca, a nad ciałem jego, z rozebranéj chaty postawili kaplicę, która wieki przetrwała, aż przed kilkunastą laty piorun w nią uderzył i kaplicę spalił. Grzebli wokoło kaplicy mieszkańcy wsi Ciereszek ciała ojców swoich, i kilka krzyżów dodziśdnia stoją.

„Niema już kaplicy i krzyże już się walą, bo od zniszczenia kaplicy mogilnik na drugą stronę wsi przenieśli; za lat dziesiątek, drugi, i śladu z tych dawnych dziejów nie będzie: ale wieś póki trwa, tak się nazywać będzie, bo pamięć świętych czynów człowieka, chociaż czas ślady zaciera, w jednem słowie, nazwaniu, krzyżu lub kamieniu wnukom w spuściźnie się zostanie.

„Zacząłem panu mówić o okopach w Małyszkach, a na Ciereszkach skończyłem. Daruj pan staremu: piérwsze słowo, jak i piérwsza myśl zawsze dla wioski rodzinnéj, w któréj i kości moje lada dzień spoczną.

„Łuna palących się wsi oznajmiała ludowi o zbliżającém się nieszczęściu. Wszyscy okoliczni mieszkańcy pospieszyli z dobytkiem do Małyszek, bo tam była kaplica z cudownym obrazem (co to lat temu dwadzieścia runęła, a wieśniacy drzewo po kawałku rozebrali i teraz u siebie chowają); usypali nad rzeką Serweczem wysoką górę okrągłą, spadzistą, u wierzchołka ściętą i wyżłobioną, żeby się lepiéj skryć i ztamtąd razić niedowiarków mogli. Zostawili tam samych starców, kobiety dzieci i cały dobytek; pomodlili się w kaplicy i poleciwszy obronę okopów Matce Boskiéj, poszli wszyscy, którzy się bić mogli, z biegiem rzeki, w stronę zkąd łuna była, aż o. pół milki zatrzymali się i.poprzysiągłszy wiecznie bronić swoję ziemię, nieprzyjaciela czekali.

„Nazajutrz wieczorem zjawił się poganin, otoczył naszych i pomimo że bronili się dzielnie i chmary wrogów pobili (o czém kurhany, nazwane kałatonki, może od kałacić t. j. tłuc, bić, gdzie poganin ciała braci grzebł, dziś świadczą), nie mogli się oprzeć liczbie i wszyscyby

pewnie wyginęli, gdyby Matka Boska Małyszkowska nie zesłała nocy tak ciemnéj, że poganie ruszyć się nie śmiejąc, nie znając miejsca, bitwy zaprzestać i tam nocować musieli.

„Wróciła w nocy garstka niedobitków naszych do okopów, opatrzyli się w broń, porozstawiali silniejszych starców i kobiety nawet po okopie na straży, a gdy z rankiem poganin śladem wieśniaków idąc, dolinę przed okopem zajął i na górę chciał się wedrzéć, tak dzielnie nasi bronili się, że nic dokazać nie mógł.

„Po kilka razy nieprzyjaciel chciał się konno do naszych wedrzéć, ale strome ściany nie pozwoliły i wiele ich własne konie pozabijały. Cofnęli się więc, zrobili naradę, konie w kaplicy poustawiali i pieszo na okopy biegli; ale Matka Boska wejrzała na swój lud i srodze zniewagę sobie wyrządzoną pomściła. Wszyscy których konie w kaplicy stali, jak błyskawicą rażeni, w jednéj chwili poślepli; reszta pod okopami oczy przeciera i nic prócz wody, błota i kaplicy nie widzi, a lud ich z okopów razi.

„Cofnęli się z pośpiechem wrogi ku kaplicy, padli na twarz przed obrazem, który wprzód łżyli, i z wielkim płaczem zaprzysięgli poprzestać mordów i pożogi, byle tylko im Bóg wzrok przywrócił i do swoich domów wrócić dozwolił. Ulitowała się Matka Boska Małyszkowska nad ociemniałém pogaństwem, przejrzeli tak prędko jak ociemnieli i spiesznie wracali do swojéj ziemi, zkąd ani ojców naszych, ani nas (wierni przysiędze) więcéj nie napastowali.

„Pozostała pamiątka cudu i nieszczęść ojców naszych w tym okopie i w kałatówkach sypanych poniżéj Małyszek nad Serweczem. Jeszcze niedawno znajdowano tam mnóstwo żelastwa różnego, a tak w dobrym gatunku, że je zaraz na noże, sierpy i inne potrzeby gospodarskie przerabiano.

„O gaiku w Klesinie niewiele powiedzieć potrafię; fundamenta dziś jeszcze wyraźne, za mojéj młodości jeszcze wyraźniejszemi były, a na wschód miejsce gdzie drzwi były i dziś się odróżnić daje. Wszyscy starzy powiadają, że to był meczet tatarski. Meczet stał na wierzchołku wzgórka, a na pochyłości na wschód od meczetu, gdzie dziś ogród, musiały być mo-

giłki tatarskie, bo tak i starzy mówili, i przed trzydziestą laty, kiedy nieboszczyk pan kazał kopać doły na owocowe drzewa, znachodzili dużo kości ludzkich, i ja sam niejednę wykopałem. Panie świéć nad duszami tych niedowiarków."

Omijając miejsca, o których znajdujemy choć krótką wzmiankę w Starożytnéj Polsce p. Balińskiego, wspomnę tu jeszcze o kilku miejscach powiatu wilejskiego.

Krzywicze, majątek niegdyś rodziny Chodźków, dziś Lubuńskich. Był tu znaczny księgozbiór umyślnie dla Chodźków zebrany przez ks. rektora jezuitę Ignacego Chodźkę, tłumacza bajek Fedra na języki francuzki i polski. W miasteczku jest piękny murowany kościół do OO. Trynitarzy niegdyś należący. Nad wielkim ołtarzem, we framudze stoi posąg P. Jezusa, zupełnie do Antokolskiego w Wilnie podobny. Wieść nawet podaniowa głosi, że te dwa posągi jakoby jednocześnie z Rzymu przywiezione zostały. Krywicze, samém nazwaniem dowodzą, że to jest dawna osada Krywiczan. Miejsce to pamiętném jest na Litwie i tém, że tu mieszkał przezacny ś. p. Jan Chodźko, znany autor pism Jana ze Swisłoczy; tu się też urodzili jego synowie, Józef, dziś generał inżynier, który bodaj piérwszy z ludzi, po potopie i po ś. Andrzeju, a przynajmniéj piérwszy po Parocie zwiedził najwyższy szczyt Araratu; Alexander poeta i biegły znawca języków wschodnich, Stanisław znamienity chemik.

O kilka mil od Krzywicz, już w powiecie święciańskim, śród ślicznych, rozkosznie wiosną szumiących brzozowych gajów, stanowiących poniekąd charakterystykę okolicy, leży majątek Dziewiętnie. Kształtny obywatelski domek, z pięknym ogrodem, obok niego niezbyt opodal staroświecki murowany piętrowy lamus. Wszedłszy na próg gościnnego tego domu, zaraz uderza oko przychodnia czystość i smakowność mieszkania, a uprzejmość i serdeczne przyjęcie gospodarzy, znieważają ujęciem swojém. Na lamusie w obszernéj sklepionéj izbie przyrządzony stół ze wszystkiemi do pisania przyborami. Tu nieraz, kiedy w domu bawią się drobne wnuczęta pod troskliwém okiem gospodyni domu, owéj pięknéj Ludwiki, któréjto niegdyś nieznajoméj dalekiéj, nieznajomy daleki wieszcz prze-

słał swoje w imionniku witanie i pożegnanie, i pod dozorem jéj siostry, cudnym niegdyś słynącéj wdziękiem; tu, powiadam, nieraz widziećby można siedzącego za stołem pełnoletniego, małéj urody i miernéj tuszy mężczyznę, z otwartém, myślącém czołem, z piórem w ręku, z którego wylewa na papiér wspomnienia, maluje przeszłość, przedstawia i wskrzesza pełne życia, choć dawno już w proch obrócone ubiegłych czasów osoby, a ta jego praca obiega potém Litwę całą, zajmuje umysły, zniewala serca, porywa duszę wszystkich, wszelkiego stanu, wieku i płci czytelników. Łatwo się domyśléć, że tym piszącym mężczyzną jest nieporównany w swym rodzaju Ignacy Chodźko, autor Obrazów i podań litewskich.

Jeszcze słów kilka o Kraśnem, położonem między Mołodeczną i Radoszkowiczami o mil 7 od Wilejki. O jakże kraśne to Kraśno! Niedarmo powiedział jeden z naszych nowszych poetów, że kiedy ziemia zalecała się do nieba, niebo posłało doń westchnienie, które zrodziło piękną górę, a na niéj stanęło Kraśne. Dodaj, poeto, że niebo nie przestaje zsyłać na to miejsce swojego tchnienia, że zsyła tu swoich kraśnych aniołów, stróżów Kraśnego.

Piękna jest Litwa nasza!—sprawiedliwie powiada znamienity autor Obrazów litewskich; lecz ileżto miejsc piękniejszych z najpiękniejszych, ileż ukrytych, nieznanych, niewidzialnych dla ogółu. Niejeden może przejeżdżając przez to same Kraśne nie widział tu nic dziwnego, nic bardzo uroczego, a właśnie tém ono i urocze, że nie dla każdego widzialne, że nie natchnione oko nie skala go swojém lodowatém spojrzeniem. Chcesz nasycić twe oko widokiem wspaniałéj, kraśnéj natury, chcesz wzruszenia, błogiéj tęsknoty, czegoś niewypowiedzianego, co ci duszę napełni rozkoszą?—chodź ze mną.

Ze stacyi pocztowéj w miasteczku idźmy na górę, chodź dla skrócenia drogi, oto, przez drożynkę mimo téj wzniosłéj budowli, którą żartem nazwaliśmy telegrafem. Wchodzimy do obszernego drewnianego domu na wysokiém podmurowaniu, z staroświeckim nawpół płaskim dachem. Sam widok tego domu przejmuje cię uszanowaniem, i niedziw! to staruszek co przeżył lat sto,

a jaki zdrów jeszcze, jaki czerstwy! Oddajmy cześć mu należną i daléj, oto przez ten wązki pokoik na galeryą, zejdźmy na dół, na taras na galeryą; patrz teraz, patrz naprzód, przed siebie. I cóż? Oto masz przed oczyma urwisko, a wzrok twój błąka się po takiéj mnogości przedmiotów! Przypatrz się lepiéj: urwisko nie straszne, bo oto masz przed sobą kamienne stopnie, one cię sprowadzą na wał przerzynający górę, a z tego wału po stopniach kamiennych na drugi wał, potém na trzeci, a potém na czwarty. Daléj już nie lękaj się, tu płaszczyzna, tu ogród, piękne drzewa, zarośla, kwiaty, dwa stawy, a teraz spójrz poza ogród: oto masz cerkiew; daléj miasteczko z kłębami wijącego się nad niém dymu, tuż gościniec pocztowy, piękny łan upstrzony mnóstwem krzaków i zarośli, śród których wije się, kręci się piękna Usza rzeka, a daléj gaiki, cmentarze wiejskie, jakieś siedziby w dali, i na końcu las i las bez końca. Tu już krańce widoku, tu horyzont tonie w lesie; to wszystko widziałeś przed sobą, a spojrz na prawo, czy widzisz ile tu kurhanów, pagórków, śród których jeden nosi nazwę świętéj góry..... Masz oto okopisko żydowskie, a za niém wzniosłą panującą nad wszystkiem do koła górę: cóżto za widok ztamtąd! A spojrz na lewo, tu równina; wzrok twój tonie w zielonéj płaszczyznie łączącéj się z horyzontem... A czegoż ci więcéj potrzeba? Masz góry, kurhany, równiny, łany, wody, cerkwie, cmentarze, zarośla, lasy, siedziby i wszystko to razem rzuca się ci w oczy! A jakże tu pięknie, kiedy piękna Usza zdrozgocze swoje kajdany, szeroką wstęgą rozleje się po płaszczyznie, zaszumi, zahuczy; kiedy słowiki zanucą ci piosenkę uwielbienia, dziękczynienia, miłości, jakaż błogość ogarnie serce twoje!...

Ale dajmy pokój: nie nasze pióro do odmalowania takich cudów natury. O! gdyby tu przywieźé naszego Kraszewskiego, Syrokomlę!...

Zapuśćmy rydel we wnętrze ziemi....

I tu o wiorst kilka od miasteczka są widoczne ślady okopów, a jedna z gór nazywa się zameczkiem; szerokość jego 60 kroków, długość 75; grunt wapienny; pół łokcia pod poziomem pokazuje się stara cegła. O milę zaś od Kraśnego, na ziemi majątku Parodowszczyzny p. Karnickiego wznosi się wspaniały kopiec,

który okoliczni nazywają Zameczkiem, a właściwiéj wypadałoby zwać horodyszczem; ma wał dokoła i fossę dość głęboką. Na wierzchu przestronna równina, więcéj sto kroków mająca.

Kraśne należało do liczby królewskich stołowych dóbr. Stanisław August oddał go w 75-letnią dzierżawę Bożentskiemu za 106,000 złot. przez niego królowi pożyczonych. Bożentski prawa swoje przelał na Wołodkowicza, ten zaś ostatni na Chojeckiego. W r. 1848 skończył się termin prawa zastawnego, skarb wypłacił dług Stanisława Augusta, i majątek został skarbowym.

Kraśne położone na wielkiéj drodze z Wilna do Mińska. Karol XII zabawiwszy w Smorgoniach 74 tygodni i 6 dni, ruszył ztąd z wojskiem swojém 17 marca 1708 roku i szedł przez miasto Marków do Lebiedziewa, mil cztery. Ztąd szła droga na miasto Mołodeczno trzy mile do Kraśnego. Nakoniec uszedłszy jeszcze dwie mile, założył swą główną kwaterę w mieście Radoszkowiczach, gdzie przebywał jedénaście tygodni i dni trzy. Część pułków rozlokowała się w okolicach Borysowa, a druga założyła kwaterę przy Dołhinowie, bliżéj Połocka. 21 marca t. r. na Kraśne ciągnął z Wilna do Radoszkowicz generał szwedzki Lewentaupt (1). Tąż drogą i Napoleon po krótkim pobycie swoim w Mołodecznie, ciągnął na Smoleńsk.

W miasteczku 48 domów, najwięcéj przez żydów zamieszkałych; jest cerkiew prawosławna św. Elżbiety, synagoga żydowska, a o kilka wiorst przy gościńcu pocztowym do Radoszkowicz, kościół katolicki fundowany przez króla i W. Ks. Lit. Alexandra w r. 1503; po wielu kolejach i przejściach restaurowany w r. 1806 i odnowiony w r. 1846, staraniem miejscowego proboszcza. Kościół ten drewniany, maleńki, niedogodny dla znacznéj liczby parafian, 2,138 osób płci obojéj. Jeszcze w r. 1,800 proboszcz miejscowy ksiądz kanonik Charkiewicz rozpoczął murowany kościół na wielką skalę, ale złość ludzka i intryga, pozbawiły go środków, i najlepsze chęci nie mogły doprowadzić do końca rozpoczętéj budowy. Opuszczone mury stały bez użytku prze-

(1) Nordberg: Leben Carl des Zwölften, część II, str. 64.

szło pół wieku; dopiéro pobożni parafianie, na czele których p. Edward Rotyński, p. Tyszyński (brat rodzony znanego krytyka) i inni, własnym kosztem przystąpili do ukończenia. Wprawdzie dawniéj zamierzona szerokość kościoła, dziś stała się długością; wszakże kościołek dość obszerny, bardzo piękny, z weneckiemi oknami, chórem, łożami już ukończony zupełnie. Murowana galerya prowadzi do osobnéj kaplicy, w któréj piękna i wspaniała figura Pana Jezusa ukrzyżowanego, słynąca cudami. Do wielkiego ołtarza nadesłał z Petersburga ślicznego pędzla obraz N. Panny, profesor wschodnich języków w petersb. uniwersytecie pan Muchliński.

Liczba rodzących się w kraśnieńskiéj parafii wynosi do roku 30; umierających 21, ślubów do 30.

Pobyt mój w wilejskim powiecie na długo zostanie mi w pamięci. Mylnie sądzą niektórzy, że u nas archeologia nie znajduje spółczucia. O! przeciwnie, przeciwnie! Trzeba tylko pobudzić, trzeba zapału i zamiłowania prawdziwego w swoim zawodzie, nie żałować pracy i poświęcenia się, a znajdą się zaraz łaskawi i przychylni, co nietylko zapał podzielą, lecz wszelką pomoc dadzą, i z zamiłowaniem, czcią największą dla świętych pozostałości przodków, dołożą wszelkich usiłowań dla wygrzebania z ziemi, lub wydarcia z rąk profana. Lecz co dziwniejsza może, że to współczucie braterskie znajduje się nietylko w klassie oświeconéj, ale nawet śród gminu. Niechętnie z początku i leniwie przystępują do roboty nasi wieśniacy, lecz kiedy się wzbudzi cześć dla przeszłości, kiedy postrzegą, że ich nie uważają za niegodne bydlęta, kiedy nakoniec i czarka wódki z nimi się wypije: trzeba widzieć jak ochoczo, z jaką ciekawością pracują, jak niecierpliwie wyglądają zdobyczy, i jak cieszy ich każda rzecz znaleziona!

Oprócz wspomnionéj halabardy, przywiozłem z wilejskiego powiatu do zbiorku mojego archeologicznego, obrączkę z dawnéj kompozycyi, kilka młotów kamiennych, kulę również kamienną, mającą w obwodzie 8 wierszków, łyżkę srebrną dziwnego kształtu, kilka siekierek, pałaszów, procę i t. d.

Opowiadano mi o kamieniu dużym znajdującym się w tym powiecie z wyciśniętą stopą ludzką. Odległość miejsca nie pozwoliła mi obejrzéć ten kamień, ale podo-

bne odciski nieraz natrafiają się na Litwie. Mam dokładną wiadomość o 4 takich kamieniach: 1) W powiecie oszmiańskim, przy gościńcu z Trok do Olszan wiodącym, jest karczma zwana Czortowa, gdyż niedaleko jéj znajduje się kamień z wykutą wklęsłą stopą nogi ludzkiéj. Pospólstwo ma to za ślad nogi szatana i zowie Czortoii stupeń. 2) W powiecie grodzieńskim, za prawym brzegiem rzeki Kotry, koło Berszt podobny znajduje się kamień. 3) W powiecie lidzkim, parafii wewiorskiéj, majątku Józefowie, obywatela Szyszki, przy wsi Mejry na sporym kamieniu jest takoż znak stopy ludzkiéj, jakby na wosku miękkim odciśniętéj. Lud tameczny ma to za ślad stopy Matki Najświętszéj. 4) W powiecie trockim, parafii kozakiszkiéj, w majątku Mitkiszki, obywatela Podgórskiego, pięć mil od Wilna, nad prawym brzegiem Wilii, z takim samym znakiem jest kamień. Pospólstwo również bierze to za stopę Najświętszéj Panny.

(Dokończenie nastąpi).

PAN DWÓCHSET WYSP.

WALTER - SKOTTA.

PIEŚŃ IV.

I.

Wędrowcze! jeźliś w tułaczym swym biegu,
Do północnego przybił kiedy brzegu,
Kędy samotność, królowa pustyni
Wśród modrych jezior i skał niebotycznych
Tron swój zakłada i rządy swe czyni:
Czyżeś nie doznał tych wzruszeń rozlicznych,
Które stęsknione serce wędrownika
Przejmują smutnéj lubości urokiem;
Kiedy kraina samotna i dzika
Przed jego smutném i spragnioném okiem
Rozwija skarby dzikiéj swéj natury?
Jeżą się skały, strome sterczą góry;
Tam straszna przepaść, pieczara, tu znowu
Skalista ściana dzikiego parowu,
Złomy granitów, zczerniałe opoki,
Gdzieś w rozpadlinach huczące potoki,
A po dolinach jeziora błękitne;
Gdzie szumom fali siwy orzeł z góry
I poświst wiatrów wtoruje ponury.
Wzniosłe widoki! obrazy to szczytne!
Ale wędrownik mimowoli wzdycha:
Cięży mu jakoś ta samotność cicha,
Pustynia smutne zmordowała oczy.
Serce się z piersi wyrywa ściśnięte,
Uczucie jakieś dziwne, niepojęte
Schyla mu czoło i drżącą pierś tłoczy.
Jestże to bojaźń? Jestże to tęsknota?
Gdyby choć jedna żyjąca istota

Jedném go tylko powitała słowem,
I uścisnęła mu tę dłoń tułaczą;
A na tym gruncie pustym i jałowym
Gdyby choć chatę zobaczył wieśniaczą:
O! z jakiemż lubem i miłem wzruszeniem
Witałby dymu kłęby błękitnawe,
Ogień wesołym świecący płomieniem,
Albo gościnną pod ganeczkiem ławę!...
Jakżeby pragnął usłyszéć zdaleka
Pianie koguta, głos psa który szczeka,
I śmiechy dzieci, kiedy pod wierzbami
Gonią motyla z głośnemi krzykami!...
Lecz w Kaledonii staréj téj krainie
Nierzadko taka ustroń tajemnicza,
Gdzie nie zobaczyć ludzkiego oblicza,
Ha! nawet kozła dzikiego w dolinie,
Którego widok przypomniałby oku
Że nie tu jeszcze są życia kończyny.
Takieto brzegi sinego Ranoku,
Takie Glenkoju posępne doliny,
I te jaskinie pod niebem północy
Gdzie Loch Erybol ryczy zagniewany,
A rwąc się w więzach skalistéj przemocy,
O stopy głazów ciska fal swych piany.
Ale wy bardy! ziemicy téj wieszcze,
Powiedzcie sami, czy Kulinu szczyty,
Fal Koryskinu huczące błękity,
Nie stokroć dziksze, posępniejsze jeszcze?
Powiédzcie, czyli tęskną pierś tułacza
I drżące łono cichego pielgrzyma
Smutniejszo, głębsze westchnienie nie wzdyma,
Gdy brzeg téj dzikiéj pustyni przekracza?...

II.

Takiém uczuciem przejęci rycerze
Mierzyli puste Duńskii wybrzeże,
Gdy nagle pośród samotnéj téj ciszy
Ucho podróżnych z podziwieniem słyszy
Czysty dźwięk rogu i wesołe głosy,
Które wiatr ku nim niósł po perłach rosy.
—„To róg Edwarda!—woła król zdziwiony—
Cóż go tak rychło przywodzi w te strony?
I jakiejż wieści będzie zwiastunnikiem?
Patrz! patrz Ronaldzie! stoi u wybrzeży;
Ach! już nas dostrzegł: jakżeż szybko bieży!

Jeleń przed śmiałym chroniąc się łucznikiem
Pewno zuchwałéj po skałach nie pędzi;
Dobry mój Edward! i jakżeż mu pilno,
Aby dłoń brata uściskał przychylną.
Chodźmy Ronaldzie—niech drogi oszczędzi."

III.

Idą, lecz Edward woła już zdaleka:
—„Cóżto? król tutaj dzikie sarny goni,
Gdy Szkocya cała powstaje do broni
I wodza tylko, pana swego czeka!..
O tak Robercie, tak bracie jedyny,
Wesołe dzisiaj niosę ci nowiny,
Bo się z Lennoxem napotkałem w drodze
I z dobrą wieścią do ciebie przychodzę.
Sztuart lud wzywa w dolinach Tewiotu,
Duglas uzbraja rodzinne swe wzgórza,
A floty twojéj nieprzychylna burza
Nie potrafiła zmusić do odwrotu.
Bóg ją ocalił łaski swojéj cudem,
I u Brodiku w dobrym porcie stoi,
A Lennox tylko czeka woli twojéj
Ażeby z licznym i wiernym ci ludem
Wsiąść na okręty i rozwinąć żagle.
Ale mój bracie nie wszystko to jeszcze!
Rzecz najważniejszą na końcu obwieszczę:
Edward angielski w tych dniach umarł nagle!..
Tak! umarł nagle, gdy na pograniczy
Na czele srogiéj wojska swego dziczy
Szedł, aby w Szkocyi krainy spokojne
Nieść mord i ogień, zniszczenie i wojnę!"

IV.

Król Robert szkocki wzniósł czoło dostojne,
Ale jak zawsze zimne i spokojne;
Nikt wzruszeń serca nie pozna mu z twarzy,
Ni tajni uczuć w piersiach gdzieś zamkniętéj.
Ale niedługo zapał jakiś święty
Jasnym promieniem w oczach się rozżarzy.
—„O ziemio szkocka!—woła z uniesieniem—
O matko nasza! odetchniesz w pokoju;

A dzieci twoje, co niebios zrządzeniem
Podobne były do błędnych pszczół roju,
Do piersi twojéj zbiegną się tułacze
I żadne szkockie oko nie zapłacze!
Przyszła godzina! Ojcze nasz na niebie!
Mocarzu króli! Sędzio wszystkich ludzi!
Ja na świadectwo moje wzywam ciebie,
Że śmierć Edwarda w sercu mi nie budzi
Żadnéj nikczemnéj, osobistéj chęci!....
Edwardzie! tyś mi koronę na skronie,
Ty miecz rycerski w młode dałeś dłonie,
I ja nie będę bluźnił twéj pamięci!
Twój lud cię kochał; i gdyby wydarta
Mogła być kiedy szkockich dziejów karta,
Może potomność...—Dość tego, mój bracie!
Niechaj w Londynie płaczą po swéj stracie:
Łza nad tym grobem służalcom przystoi;
Ale ja tułacz, z ziemi méj wygnaniec
Czuję, że kamień grobu, to nie kraniec
Wiecznéj, niezmiennéj nienawiści mojéj!
Ona u trumny święconego wieka
Razem z robakiem na ciemiężcę czeka;
I żywy, zmarły, za wieczności progiem
Wróg ziemi szkockiéj moim będzie wrogiem ..."
— „Grzeszysz, mój bracie: na zmarłych sąd Boga...."
— „A byłaż grzechem owa wściekłość sroga?
Owa krwi żądza bezbożna, zuchwała,
Która mu nawet na śmiertelném łożu,
Na ostatniego posłania rogożu
Po chrześciańsku umierać nie dała?!..
Jakżeż ty bracie myślisz że umierał?
Ha! może oczy gasnące zawierał
Z cichemi modłów pokutniczych słowy?
I pochylone młodych synów głowy
Namaszczał świętéj łzy błogosławieństwem?
O nie mój bracie! On z piasków Solwaju
Słał wzrok gasnący ku szkockiemu kraju,
I konający ojciec pod przekleństwem
Mordy i wojnę przekazał dziecięciu,
Co mu w stygnącém płakało objęciu!....
A gdy już straszna nadeszła godzina,
Gdy duch uciekał z cielesnéj powłoki,
On zimną ręką chwytał rękę syna
I rozkazywał, aby martwe zwłoki
Nie położono w poświęconéj ziemi,
W kościele Bożym, z prochy ojcowskiemi,
Ale na pustych piaskach pograniczy,
Zkądby trup jego, upiór tajemniczy

Pilnował w grobie, czy będzie spełniona
Klątwa, przy łożu śmiertelném złożona!"... (1).

V.

— „Dosyć Edwardzie! zwyczaj to niewieści
Dni upłynionych przyzywać boleści,
I nową raną jątrzyć serce chore!
Inną do rozmów obierzemy porę.
A teraz sporzyj na morskie błękity,
Gdzie wybujałe masztów naszych szczyty
Chwieją się z wiatrem, który dmiąc od brzegu
Zdaje się statki wyzywać do biegu.
Wiatr to mój bracie miły mnie i tobie,
Bo chęciom naszym za skrzydła posłuży.
A więc rycerze! daléj do podróży!
W porcie Brodiku odpoczniemy sobie.
Daléj!... O bracie! dlaczegóż nie mogę
W jednéj godzinie długą przebyć drogę,
Uściskać wierne przyjacioły moje,
Sztandar twój, Szkocyo! szeroko rozwinąć,
Młode twe syny na święte wieść boje,
I w imię twoje zwyciężyć, lub zginąć....
Lecz gdzież mnie myśli unosisz skrzydlata,
A tu czas drogi daremnie ulata!
Lordzie Ronaldzie, towarzyszu młody,
Zanim się puścim z biegiem zdradnej wody,
Wyznaj mi proszę chęć twoję tajemną:
Czy losy walki pragniesz dzielić ze mną?
Czy jako dwóchset wysep pan dostojny
Ludom twych klanów przewodzić do wojny?"
Ronald wzruszonym odpowiada głosem:
— „Święta jest dla mnie króla mego wola,
Lecz jakakolwiek wypadnie mi dola,
Pozwól ją panie złączyć z twoim losem!
Dwa zbrojne statki u przystani stoją;
Rozkaż o panie! a wnet nawę moję
Poślę do wiernych rycerzy i panów,
Do wysp zachodnich, do Uistu klanów,
Do Long-Islandyi i Minchu wybrzeży,
A wnet na czele wyspiarskich rycerzy

(1) Edward Iszy, któremu śmierć nagła przerwała zamiary względem Szkocyi, rozkazał synowi pod przysięgą dokończyć jej podbicia, a ciało zaś swoje pochować na pograniczu wśród piaszczystych równin Solwaju. Ale syn przeniósł zwłoki ojcowskie do Londynu i złożył je w grobach opactwa Westminster z tym napisem: *Edwardus primus, Scottorum malleus, hic est pactum serva.*

Pospieszą wierne sprawie twojéj wodze.
A my wprost płynąc ku brzegom Arranu,
Wyspy co w modrych falach oceanu
Zdają się pływać leżąc nam na drodze,
Sami o panie! wezwijmy do broni!..
Niech tylko ciche piaski ich wybrzeży
Znany dźwięk rogu mojego uderzy,
A płomień hasła na górach zapłonie!"...

VI.

Chętnie król przystał na radę młodziana,
Bo umié cenić wiernego rycerza;
Lecz nim nazawsze porzucą wybrzeża
Kędy zostawią biednego Allana?
Tęskny dźwięk kobzy i pienia pogrzebu
Od stóp Kulinu wzbiły się ku niebu.
Smutni wyspiarze z cichym jękiem żalu
Grzebią młodego pana Donagalu
W niepoświęcone dzikiéj wyspy łono.
Ni nad nim blaski gromnicy zapłoną,
Ni nad nim smutne użalą się dzwony:
Ksiądz nie przeżegna samotnéj mogiły,
Staréj ją matki łzy nie pokropiły!...
Tylko żałosne koronachu tony
Z brzegów jeziora, z nad toni błękitu
Na skrzydłach wiatrów płynąc między skały
We mgłach porannych cichły i konały,
Nie mogąc dostać gór śnieżystych szczytu.
Bo nigdy piersi śmiertelnéj odgłosy
Nie sięgły jeszcze tam, kędy niebiosy
Z kamienistemi ziemi olbrzymami
Mówią swéj strasznéj potęgi językiem,
Hukiem piorunów, nawalnicy rykiem:
Korzcie się! oto Pan wasz jest nad wami!

VII.

Z gór Ben-na-Darku wschodnie wiatry wieją,
Okręt królewski porze wód głębiny;
Wzdęły się żagle i maszty się chwieją,
I szeleszczące kołyszą się liny.
Srebrzysta piana koło rufy pluska,
Kulig okrętu szybki bieg przegania,
I lekkiém skrzydłem modre fale muska.

Już szczyt Kulinu mgła jakaś zasłania,
Skały Sapenu znikają w oddali;
Wtém krwawe hasło wojny się zapali!
Ponad czarnemi skały Dunskaitu
Płomień z porannym wzmaga się wietrzykiem;
Drzy w Loch Efortcie cicha toń błękitu,
Siny dym bucha nad Klawigarykiem,
I gdzieś tumanem ucieka przez morze.
Na niebie niby łuna, niby zorze
Malują smugi złota i szkarłatu.
Lecz bratnie klany Stratu i Slealu
Znają, snać, dobrze ten blask, który płoni
Dnia wiosennego pogodne błękity!
Błysnęły miecze, szczęknęły dziryty,
Synowie morza! do broni! do broni!...
Dziesięć naw wyszło; no siwy sterniku,
Wiedź je do cichéj zatoki Brodiku!

VIII.

Wieżyca Kanny jak gniazdo sokoła
Wisi na skale nad wody cichemi.
Błysło u szczytu—po morzu i ziemi
Głuchy szmer jakiś rozszedł się dokoła.
— „Cóż znaczy owe hasło tajemnicze,
Co niby gwiazda z wysoka połyska?"
—„Młody wędrowcze, nie życzę, nie życzę,
Byś tym zwaliskom chciał się przyjrzyć zbliska!
Po co na skałę drapiesz się zuchwały?
Patrz! jaka straszna przepaść u stóp skały!..
Wstrzymaj się lepiéj na piaskach wybrzeża,
Gdzie oceanu drżąca toń domierza,
I jeźli serce wzruszeń się nie boi,
Popytaj starych ludzi o zamczysko;
Może powiedzą więcéj jak nazwisko
Téj czarnéj wieży, co nad morzem stoi.
Spytaj się mówię. Skotarz siwowłosy
Puści barany na paszę we wrzosy,
Wiernym psom swoim powierzając straże;
Potém rozłoży pled swój kratkowany
Na piaskach, które wymyły bałwany,
Tuż obok siebie usiąść ci rozkaże
I jakimś cichym, tajemniczym głosem
Powié ci powieść skotarz z siwym włosem:
„Dawnemi czasy na szczycie téj góry,
Ponad szumiące fale oceanu

Wznosił się zamek straszny i ponury,
A w zamku mieszkał wódz możnego klanu.
Rycerz żelaznéj woli i prawicy,
Srogiego lica, pochmurnego oka;
A że zwykł w czarnéj nosić się zbroicy,
Zwano go mianem Czarnego Murdoka.
Raz tajną jakąś tęsknotą pędzony
Pojechał rycerz w oddalone strony,
I długie lata nie było go w domu:
Pustkami stało zamczysko na skale.
Kędy przebywał nie wiedziano wcale
Bo tajemnicy nie zwierzył nikomu.
Aż raz jesienią w smutnéj wichrów porze,
Gdy zapienione srożyło się morze
Nieznany okręt wpłynął do odnogi
I czarny Murdok z długiéj wrócił drogi.
Powrócił Murdok i przywiózł ze sobą
Młodą niewiastę cudnego oblicza;
Lecz czy go troska gryzła tajemnicza,
Czy był bolesną nękany chorobą,
Jeszcze mu bardziéj pobledniały lice,
I sroższym blaskiem świeciły źrenice.
Unikał ludzi, nie bratał się z nikiem,
Krewnych i gości odstraszał zuchwale,
I jakby pragnął zostać pustelnikiem,
W ponurém swojém zamczysku na skale
Zniszczył wygodną drogę od wybrzeży,
Ścieszkę jedynie zostawiając stromą;
Wreszcie w téj strasznéj i ponuréj wieży
Zamknął okrutnik piękną nieznajomą.
Odtąd na szczycie téj wyniosłéj skały
Nigdy ją ludzkie oczy nie dojrzały,
Tylko niekiedy cichéj nocy porą,
Gdy srebrne gwiazdy na błękitach gorą,
A drżący promień bladego księżyca
Uśpionéj ziemi i morzu przyświeca:
Biała się postać zjawiała na wieży
I smutném okiem patrząc ku wybrzeży
W jakowéjś obcéj południowéj mowie,
Na nutę jakiéj nie znają bardowie,
Śpiewała dziwnie żałośnie i smutnie,
Drżącemi palcy trącając o lutnię.
Dziś, gdy już w gruzy runęło zamczysko,
A czarny rycerz spruchniał w swoim grobie,
Gdy tylko wieża w samotnéj żałobie
Kamienne czoło wznosi nad zwalisko:
Minstrel powiada, że gdy w nocnéj ciszy

Ucichną wszystkich ludzkich gwarów dźwięki,
Śmiechy wesela i boleści jęki:
Wyspiarz hebrydzki z przerażeniem słyszy
Głos, co się zwolna w powietrzu rozlega
Niby szum fali dyszącéj u brzega!..
Ach! to od czarnéj na skale wieżycy
Płyną żałosne, cudzoziemskie tony,
I jakby lutni ciche dźwięczą strony
Wtorując tęsknéj piosnce niewolnicy...
Ale młodzieńcze patrzaj, moje owce
Goniąc za chłodem albo miększym wrzosem,
Gdzieś się w dalekie rozbiegły manowce.
Bądź zdrów! nim nasze porzucisz wybrzeże
Westchnij nad biednéj cudzoziemki losem,
I miéj w pamięci straszną Kanny wieżę (1).

IX.

Sternik królewskim zawraca okrętem,
Wązkim pomiędzy wyspami zakrętem
Kierując rufę ku górom Roninu
Od rybackiego osiedlonych gminu.
Pan dwóchset wysep w znany róg uderza:
Z przychylnym wiatrem dźwięk donośny leci,
A lud posłuszny biegnie na wybrzeża
Rzucając łuki i rybackie sieci.
Dali do broni! do broni wyspiarze!
Bóg tak rozrządził i młody wódz każe!..
Do broni! łodzie drzą już do żeglugi,
Stare po chatach brzęknęły maczugi.
Nad Skuraggem jasny płomień gore:
Ludy co owę zamieszkały ziemię
Szybkie w działaniu i do boju skore.
Liczne to było i potężne plemię,
Nim dziki Mak-Lod zemstą uniesiony
Krwawo po wyspie rozpuścił zagony,
I mszcząc się strasznie starych krzywd rodzinnych
Wszystko wytępił ogniem i żelazem:
I dziki wyspiarz winnych i niewinnych
Chciał cieniom ojców poświęcić zarazem.
Próżno nieszczęsni trzy dni i trzy nocy
Przeciwko krwawéj walczyli przemocy;
Straszny zaiste był ów ranek czwarty:
Ziemię zaległy trupy krwią zbroczone

(1) Podanie miejscowego ludu o starych zwaliskach na wyspie Kanna albo Kannaj.

Na stos zwalono oręża stępione
A dziki mściciel jako zwierz rozżarty
Ścigał nieszczęsnych ostatki ginące:
Starce i dzieci, kobiety płaczące.
Straszna godzina! przed nimi śmierć sroga,
Miecz zakrwawiony w mściwéj ręce wroga,
Mord! mord bezbożny! straszny! A za niemi
Brakło już nagle ojczystéj ich ziemi!..
Ha! czyż w bezdenne oceanu tonie
Całe to plemię padnie i zatonie?
I nikt z całego rodu nie zostanie,
Coby wygłosił w straszliwéj powieści
Plemienia swego ostatnie boleści?..
Wsparcia! ratunku! cudu! cudu Boże!!....
Cudu? i jakiż cud rychléj się stanie:
Czy to ryczące, zapienione morze,
Te wiecznie ofiar łaknące otchłanie
Cofną się niemą litością przejęte?
Czy serce ludzkie przebaczy zawzięte?!...
O! dwa te cuda równe sobie pono!...
Ale się matka dzieci użaliła.
W ojczystéj ziemi macierzyńskie łono
Nędzna się reszta niedobitków skryła,
I ciemne, straszne, dzikich skał pieczary
Zamknęły w sobie nieszczęsne ofiary.
Znasz ty minstrela? znacie wy bardowie
Straszną gorączkę, która pierś człowieka
Dzikiem pragnieniem krwi braterskiéj spieka?
Gorączka, wiecie wy?— zemstą się zowie!
Zemsta! ha! z jakąż szaloną rozkoszą
Spragnieni do ust swych czarę podnoszą
Pełną napoju! Lecz czyż myśl ogarnie
Te niepojęte piekielne męczarnie,
Gdy łaknącemu w téjże saméj chwili
Od ust spieczonych czarę kto uchyli?
Tak cierpiał Mak-Lod gdy potem oblany,
Zemstą szalony, świeżą krwią pijany,
Przybiegł i patrzy krwawemi oczyma,
Że nigdzie ofiar zemście jego nie ma!!
Tak cierpiał Mak-Lod; wtém sinemi usty
Szatańskiéj jakiejś myśli się uśmiecha:
Skinął ku swoim, coś im szepnął zcicha!
Zwalają na stos wrzosy, ciernie, chrusty,
I smolnych sosen żywiczne konary;
Powiedz minstrelu, czy to stos ofiarny?..
Wtém krwawy płomień buchnął w pieczary.
W pieczarze zabrzmiał straszny krzyk boleści,
Głośny płacz dzieci i lament niewieści!...

Ogień się wzmaga, dym gęsty i czarny
Duszącą parą napełnia jaskinie!
Zwolna słabieje głos niewiast płaczących,
Cichną rozpaczy przeraźliwe krzyki;
Tylko jęk cichy i zgrzyt konających
Zlewa się w akkord tak straszny i dziki,
Że kto miał tylko ludzkie serce w łonie
Czuje, że pot mu wystąpił na skronie,
A włos się jeży od zgrozy i trwogi.
I tylko Mak-Lod stał milcząc na stronie
Z rozdętém nozdrzem, podniesioném czołem,
Jak książę piekieł, Lucyferes srogi,
Kiedy miał walkę rozpocząć z aniołem (1)!
Minęły wieki; stos kości zbielałych
Zalega straszne czarnych gór wnętrzności.
Bard dotknąć nie śmie strun swych oniemiałych,
Tylko łza cicha zadrzy mu u powiek.
„Ojcze nasz! woła, i czemże jest człowiek,
Gdy w sercu promień zagasi miłości?"!...

X.

Jak śnieżny łabędź w cichym ciepłym maju,
Po wód srebrzystych ślizga się jeziorze:
Tak lekki statek morskie tonie porze,
A brzegi Ullwy, Mullu, Kolonsaju
We mgły niepewnéj znikają oddali,
Jak ciemne plamki wśród błękitów fali.
A tam od wschodu wśród drobnych wysp mnóstwa
Wznosi się Staffa z łona cichéj wody,
Gdzie dla starego oceanu bóstwa
Wzniosła świątynią twórcza dłoń przyrody (2).
Naturo! wielka i święta mistrzyni!
Któż jest co z tobą śmiałby iść w zawody?
Czemże są w obec ciebie te kolumny,
Te pyszne stropy, złociste bawidła

(1) Stosy nagromadzonych w pieczarze kości świadczą podziśdzień o straszliwym czynie téj zemsty. W czasie prześladowania katolicyzmu 1745 roku, proboszcz z Ejgg odprawiał tam mszą świętą na odłamku okopconéj skały. Obraz tego siwego kapłana wśród dzikiej jaskini i górali klęczących na popiołach przodków swoich, byłby zaiste godnym pendzla Salvator Rosa.

(2) Wyspa Staffa położona jest wśród gromady drobnych wysp z których jest największą.

Żaden opis nie zdoła odmalować dość dobrze jaskini Staffa, zwanej inaczej pałacem Neptuna. Im więcéj się zacieka wzrok ciekawy, tém grota wspanialszą i rozleglejszą się zdaje.

Które śmiertelnik nicością swą dumny
W zarozumiałéj pysze swojéj czyni?
W jakim kościele? och! w jakiejż świątyni,
Gdzie lampy płoną, wonieją kadzidła
Myśl ludzka wyżéj ku niebu ulata,
I od ziemskiego odrywa się świata,
Jako w téj grocie u morskiego brzegu?
Gdzie tylko kulig ustroń do noclegu
I lwica morska ciche ma schronienie.
Świątyni Jony, wy stare zwaliska!
Czyście tu legły dla urągowiska
Pracy człowieczéj? Pieśni moja wieszcza!
Twa nuta bluźni! Gruzy i zniszczenie
To głos potężny, który śpiących ludzi
Ze snów szalonych wytrzeźwia i budzi,
I tajnie śmierci żyjącym obwieszcza!
Głos! który niegdyś ognistemi głoski
Baltazorowi wyrok pisał Boski!

XI.

Szybko mknie delfin po srebrzystéj toni,
Gdy wielorybiéj uchodzi pogoni;
Lecz pewnie okręt dotrwałby mu w biegu.
Głęboką bruzdą powierzchnię wód kroi,
Pan dwóchset wysep na pomoście stoi,
Lecz się nie wstrzymał u Loch Tua brzegu:
Mija go zdala, a kraj Tiry dziki
I piaszczystego Kollu wojowniki
Witają wodza i gwarliwą rzeszą
W imię Roberta do broni się spieszą.
W porcie świętego Kolumba brzmią dzwony;
Odgłos ich dźwięczny drży na morskiéj fali,
A przecież okręt ucieka gdzieś daléj
Jak rumak nagle z wędzidła puszczony.
I Lord Loch-Buju, pan dumny i mężny
Hasło Ronalda z wysoka obaczył:
Wzniósł męzkie czoło—pytać się nie raczył,
I miecz pradziadów przypasał potężny.
Zielony Illaj dzielne syny zbroi;
Mieszkaniec Skarby gdzie o czarne skały
Korrywrekinu groźne biją wały,
Mieszkaniec Skarby w pogotowiu stoi;
Wreszcie samotny Kolansaj się budzi.
Kraju czarowny! Harfa co cię piała
Już dla śmiertelnych nie zadźwięczy ludzi!
Los struny zerwał—i pieśń oniemiała!..

A obca ziemia w cichym, ciemnym grobie
Zwłoki Lejdena utuliła w sobie.

XII.

Niebo pogodne, wiatr zawsze łaskawy,
Słońce złocistym promieniem się pali;
Przecież o dziwy! na wód morskich fali
Nie widać nigdzie spieszącéj się nawy!...
Gdy okrążała połwysep Kantyru,
Sternik w bok skręcił i zniknęła nagle!
Czy ją pochłonął pęd morskiego wiru?
Czy ją o skały roztrąciło morze?
Precz z taką wróżbą! oto białe żagle
Widać na cichym Tarbatu jeziorze.
Ale dlaboga! patrzajno minstrelu!...
Ponad zielone dąbrowy i gaje
Wzdyma się żagiel, wielki maszt wystaje,
I do zatoki wód Kilmakonelu
Po Knepdalskiego piasczyskach przesmyka,
Wzdłuż głuchych lasów i uprawnéj roli,
Niby zaklęty mocą czarownika,
Okręt królewski sunie się powoli (1).
Sunie się okręt, a na szczycie skały
Stoi góralski prorok osiwiały,
I trwożnéj rzeszy wyspiarskiego ludu
Tak głosi stare wróżby tego cudu:
„Kiedy Kilmakonelu równiną
Maszty królewskiéj nawy przepłyną:
Szkocya zwycięży stare swe wrogi
I będą stali bledzi od trwogi,
Nie śmiejąc podnieść błędnego oka,
Kędy krzyż srebrny świeci z wysoka."

XIII.

Okręt puszczony na wodę zatoki
Otrząsł z kurzawy zapylone boki,
A pierś zbrukaną obmyła mu fala.
I pyszny wróżbą proroka gorala

(1) Półwysep Kantiru łączy się z Knepdalem wązkim przesmykiem Kilmakonelu. „Niedawno jeszcze (mówi Pennant) dla unikniema niebezpiecznéj żeglugi około przylądka Kantiru, przeciągano siłą koni okręty dziesięcio-beczkowe od zachodniego do wschodniego jeziora."

Rozdyma żagle i w spokojnym biegu
Pędzi ku Arran zielonemu brzegu.
A jasne słońce błyszczy na zachodzie,
I A jasne słońce błyszczy na zachodzie
Si świętnym blaskiem złota i purpury
W Szczyt Ben-Gloiku maluje ponury, odzie.
Król Robert patrzy i niemém wzruszeniem
Wita te miejsca dawno niewidziane;
Wyciągnął ręce—łzy niewstrzymywane
Na męzkie lica trysnęły strumieniem!
Król ich nie otarł—płynęły powoli,
Bo łza ta, którą oko to tułacze
Na widok cichych pól rodzinnych płacze
Lica nie kazi i serca nie boli!
Tak płakał Robert; wierne towarzysze
Stoją w milczeniu. Uroczystą ciszę
Przerywa tylko szmer wody lub wiosło
Pluszczące w cichéj i spokojnéj fali,
Lub dźwięk niepewny, który gdzieś z oddali
Łagodne tchnienie wietrzyka przyniosło.
I dziwny jakiś był urok téj chwili!
Zdało się patrząc, że cała przyroda
Powrót wygnańca uświęcić się sili.
Powietrze było ciche i łagodne,
Statek spokojna kołysała woda,
A niebo czyste, jasne i pogodne
Złotych szkarłatów migotnemi blaski,
Maluje morza powierzchnią błękitną
I bielejące u wybrzeża piaski.
A tam, na wyspie, ciche sady kwitną
I woń ich słodka zalata zdaleka.
Czasem téż wietrzyk zerwie jakie kwiecie,
Buja niem, buja, i na falę miecie;
A zdradna fala szybko w świat ucieka,
I biedny kwiatek płynie gdzieś bez celu!..
Czasem go ręka przyjazna ocali;
Tak, czasem bywa... lecz częściéj minstrelu,
Zginie sierota wśród huczącéj fali.
Tylko syrena listeczki pozbiera
I cichą nad nim piosnką się użali,
Że tak daleko od swoich umiera!..

XIV.

Pan Dwóchset wysep stał o maszt oparty
Słuchając niby głuchych szumów wody,

I wzrok na fale puścił gdzieś uparty.
Lecz pewnie obraz téj cichéj pogody
Nie stał mu w myśli: on duma czy marzy,
I coś z dum onych widać mu na twarzy,
Niby niepokój jakiś, czy tęsknicę.
Snać król chciał poznać owę tajemnicę,
Bo się z uśmiechem zbliża do młodzieńca
Bierze za rękę i łagodnie pyta.
Jasnym szkarłatem żywego rumieńca
Młodego Lorda oblicze zakwita;
Coś odpowiada cicho i nieśmiało;
Ale powoli to oko spuszczone,
Przez jedwabnistą długich rzęs zasłonę
Promieniejącym blaskiem rozgorzało.
Z ust płyną słowa pospieszne i żywe;
Jakieś uczucie głębokie, prawdziwe,
Błyszczy w błękitnéj źrenicy młodziana.
Widać, że o coś prosi, o coś błaga,
Bo ręce złożył, ugina kolana!...
W postawie króla monarsza powaga,
Lecz łatwo poznać z szlachetnego oka,
Że myśl go jakaś zajmuje głęboka,
A on się jeszcze waha w odpowiedzi.
Ronald z przestrachem lic królewskich śledzi,
I drżącym wzrokiem w spojrzeniu mu czyta.
— O Panie!—mówi wreszcie—wszak Edyta
Uchodząc sama, nocą, pokryjomu,
Z starożytnego ojców moich domu,
I w ustroń jakąś kryjąc się tajemną
Zerwała węzły łączące ją ze mną?
A brat jéj w obec ciebie i rycerstwa
Słowo swe cofnął z gniewem i pogardą.
Nie na mnie spada plama przeniewierstwa!...
Ale mam duszę zbyt dumną, zbyt hardą,
Bym się przez podłe uniżył błaganie!...
A wreszcie... niechaj prawdę wyznam panie!
Ja w tym niemiłym z siostrą Lorna związku
Pełniłem tylko przymus obowiązku,
W który mnie niegdyś związali rodzice,
Rając mi wedle swych planów dziewicę!...

XV.

Król pochyliwszy szlachetnego czoła
Długo coś myślał, a wreszcie odpowie:
— Głos mój Ronaldzie nic tu nie stanowi;
Niechaj wszechwładna powaga kościoła

Rozstrzygnie wedle świętéj ustaw księgi,
Czyś z rodzicielskiéj zwolniony przysięgi!
Lecz co do siostry mojéj Izabelli,
Powiedz Ronaldzie, i któż się ośmieli
Ręczyć za serce kobiety niestałe?
Wiem, że wśród świetnych turniei Woodstoku,
Rycerz co nosił na swéj tarczy skałę,
Miłym się zdawał jéj sercu i oku.
Lecz odkąd brat nasz zginął, a z rąk kata
Wierni w męczarniach legli przyjaciele,
A ja z Edwardem tułacze wśród świata;
Biedna dziewica zmieniła się wiele!...
Smutna, milcząca i zamknięta w sobie
Chodzi za młodu w pamiątek żałobie.
Lecz kto wié, co tam w głębi serca kryje,
I w snach swych cichych imię szepcze czyje....
Może to, com dziś usłyszał od ciebie,
Iskrę ukrytą w popiołach odgrzebie,
I rozpogodzi smutek ten ponury?..
Patrzaj Ronaldzie! tam... za temi góry,
Kędy wieżyca kościelna się bieli,
Jest klasztor dziewic cichy i spokojny,
Gdzie Edward w czasach zamieszek tej wojny
Bezpieczny pobyt znalazł Izabelli.
Tam ja sam twoje zaniosę wyznanie,
I sam młodzieńcze twoim będę swatem;
Lecz Bóg wié tylko, co się z tego stanie!...
Może już jutro uściskam cię bratem....

XVI.

Opodal nieco stał minstrel niemowa....
Wiatr niósł mu ciche rozmowy téj słowa,
Ale on pewno na dźwięk ich nie baczy
I z niemej jakiéjś wyrazem rozpaczy
Kryje rękami zapłakane lice,
Jak gdyby swego ciężkiego cierpienia
Nie chciał dać na łup ludzkiego wejrzenia.
Ale łza srebrna zdradza tajemnicę:
Pomiędzy białe palce się zakrada
I na westchnieniem wznoszące się łono
Jak czystéj rosy kropelka upada.
Sir Eward właśnie przechodził tą stroną,
Widzi tę boleść niczém niestłumioną,
I w każdym swoim nierozważny czynie,
Piérwszém uczuciem rządząc się jedynie (1),

(1) Charaktéry obu braci kreśliłem podług Barbura.

Pragnie pocieszyć biédnego młodzieńca,
I słabe ręce z twarzy mu odrywa.
A kiedy szkarłat żywego rumieńca
Smutne minstrela oblicze pokrywa:
On zapłakane ociera jagody,
I z jedwabnistym igrając mu włosem
Tak się odzywa przyjacielskim głosem:
— Dosyć już łez tych cudzoziemcze młody!
Bo chociaż los nam niezawsze domierza,
Nie można wiecznie jednéj płakać straty.
Wiek twoj, o dziecię! w pociechy bogaty!
Możebyś pragnął być paziem rycerza?
To zostań moim! Mam ja klaczkę siwą
Lekką jak wietrzyk, co igra z jéj grzywą:
Dam ci ją w darze, Amadynie drogi!
Będziemy razem jeździli na łowy,
Będziem sadzili przez płoty i rowy!...
Lecz nieraz może koń ów wiatronogi
W milsze cię stokroć ustronie zaniesie
Niż dzika knieja gdzieś w jodłowym lesie,
Kiedy w poselstwie do lubéj dziewicy
Pojedziesz z słodkim listkiem tajemnicy.

XVII.

Lecz Robert Brucy tak bratu przerywa:
—Chociaż chęć twoja sierocie życzliwa,
Innego pazia potrzeba ci bracie,
Coby biesiadne napełniał puhary,
Młodym pięknościom rozwoził twe dary.
Widzisz! on jeszcze cierpiąc po swéj stracie
Szuka pokoju, samotności, ciszy,
Jaka niezawsze tobie towarzyszy
Wśród gwarnych łowów, wrzaskliwéj gonitwy...
Dajmy go raczéj siostrze Izabelli;
Z ojcem Alpinem wśród klasztornéj celi
Milsze mu będą pobożne modlitwy,
Niźli niepewne rycerskie przygody.
Ale już okręt do lądu się zbliża!
Przez rany Pańskie i moc Jego krzyża
Daléj sterniku!—szalupę do wody.

XVIII.

Król Robert stoi na piaskach wybrzeża
I w róg królewski trzykrotnie uderza;

A drżące echa niby wierne posły,
Dźwięk ten daleko po wyspie rozniosły.
Waleczny Delache i Lord Duglas stary
Właśnie po boru gonili jelenie;
I kiedy postrach biedne zwierza żenie,
A Lennox jeszcze podbudza ogary,
Nagle dźwięk jakiś rozebrzmiał po lesie:
Wiatr to zachodni od morza go niesie!....
— Wróg! wróg! rycerze!—James Boid woła,
Iskrzącém okiem prowadząc dokoła:
— Héj giermku! miecza. Biada temu, biada,
Kto wodzów szkockich podstępnie napada!...
—Nie!—przerwał Lennox—kto mówi o wrogu?
Znam ja świst przykry angielskiego rogu!
Słuchajcie: dźwięk ten donośny i czysty,
Co się w powietrzu jako dzwon rozlega
Niesiony wiatrem od morskiego brzega;
Tożto róg szkocki, tożto róg ojczysty!
Hasło Roberta. On przybył rycerze!
Za mną co rychlej... za mną na wybrzeże!..

XIX.

O ciche fale Loch Ranzu jeziora
Biją szalone uniesienia krzyki.
Ze łzami w oczach siwe wojowniki
Cisną się wkoło, a ostrze topora
Jeszcze się duńską krwią rdzawo rumieni.
Złocistowłose młodzieńcy za niemi;
Raz piérwszy twardą zakuli się stalą,
Czoło rycerskim przysłonili kaskiem;
Lecz patrz minstrelu jakim świętym blaskiem
Płoną im lica i oczy się palą.
Ale na strony rozstępuj się młodzi!
Westchnieniem wzniosło się królewskie łono,
Bo starych druhów z pod Falkirku gronu
Roberta Bruce powitać przychodzi!
Patrzaj Robercie na ten tłum zdyszany!
Jeszcze nie wszystkie pogoili rany,
Jeszcze boleścią wybielone lice
Zdradzają ciemnych lochów tajemnice:
Łańcuch żelazny—krwawych tortur męki!..
Przecież na piérwsze rogu twego dźwięki
Biegną do ciebie, jak gdyby gdzieś z drogi
Powracał ojciec synom swoim drogi!
Patrzaj Robercie! tożto Duglas, siwy
Lindsaj i Seton, James Boid mężny,

Lennox przyjaciel wierny i prawdziwy,
I z Klosenburnu Kirpatryk potężny.
Patrzaj Robercie!... On zasłonił oczy:
Może mu łzami nabiegły źrenice?
Cicho minstrelu!—szanuj tajemnicę,
Niech ta łza święta w milczeniu się toczy.

XX.

O Kaledonio! dziką twoją ziemię
Stare i dzielne zamieszkuje plemię;
Na bohaterach nigdy ci nie braknie.
A każdy syn twój któregoś zrodziła
A matka Szkotka piersią swą karmiła,
Sławy jak życia, jak powietrza łaknie.
I gdy bard siwy drżącym głosem pieje
Klęsk twoich boleść, sławy twojéj dzieje:
Nie ma takiego serca w szkockiém łonie,
Czy pod jedwabną białogłowy szatą,
Czy pod rycerza zbroicą bogatą,
W chacie górala, czy na książąt tronie,
Które gorętszém tętnem nie uderzy!..
Ale o Szkocyo! któż z twoich rycerzy
Choćby był zimny jak pancerz stalowy,
Nieczuły jako łańcucha okowy,
Mógłby przyganić téj łzie rozczulenia,
Która po męzkiém króla licu płynie,
W onéj nazawsze pamiętnéj godzinie,
Kiedy mu serce ścisnęły wspomnienia:
Przeszłe wspomnienia i przyszłe nadzieje,
Że sztandar szkocki wysoko powieje!....

XXI.

Wschodzące słońce w złocie i purpurze
Ponad górzyste świeci okolice.
Świętéj Brygidy pobożne dziewice
Poranne modły śpiewają na chórze,
A z głębi murów zakonniczéj celi
Cichy się pacierz wznosi za wygnańca.
I kiedy biała ręka Izabelli
Przesuwa złote paciorki różańca:
Nagle mieszając spokojność poranka
Sędziwa Mona, siostra-furtyanka:
Wchodzi do cichéj dziewiczéj komnaty.

— „Młoda królewno! przerwij modły twoje,
Bo rycerz jakiś czeka cię u kraty."
— „Rycerz"—„Tak pani, złote na nim zbroje,
Kibić wyniosła, postawa wspaniała:
Pan to być musi wielki i dostojny!"....
Królewna szkocka z godnością powstała
I wzrok podnosząc czysty i spokojny,
Rzecze schylonéj przed nią zakonnicy:
— „Wielebna siostro, wróć do rozmównicy,
Pozdrów rycerza i proś go odemnie,
By ci się zwierzył z tajemnicy swojéj,
Inaczéj bowiem czekałby daremnie:
Mnie z nieznajomym mówić nieprzystoi."

XXII.

— „Koniecznie chce się widzieć z tobą samą,
A choć swojego nie odkrył mi miana,
Choć jeden tylko paź czeka przed bramą:
Taka w nim jakaś godność nieudana,
Iż tutaj zaraz przysiądzbym gotowa,
Że to zrodzona do korony głowa.
Postać wyniosła jako dąb na górze,
Czoło spokojne w cichéj myśli chmurze,
A włosy jego, które przed latami
Minstrelby równał z kruczemi piórami,
Szron już przedwczesnéj przyprószył siwizny.
Ciężkie znać były życia jego znoje:
Może wygnaniec tęsknił do ojczyzny,
Lub krwawe gdzieś tam musiał toczyć boje,
Bo wzrok ma smutny a surowy razem;
I wiarołomcę, zdrajcę, przedajnika
Boleśniéj pewno spojrzeniem przenika,
Niż gdyby raził sztyletu żelazem.
Ale niewinna a prześladowana
Przed nimbym tylko padła na kolana"...
— „Dość tego Mono! ani słowa więcéj!..
Bóg już wysłuchał o com najgoręcéj
We łzach błagała dnie i nocy całe.
Wrócono Szkocyi jéj miłość i chwałę!..
Spiesz zakonnico, na kościelnéj wieży
Jak w dzień świąteczny niechaj dzwon uderzy,
I wrót klasztornych odemknie się krata:
Prowadź tu króla mojego i brata!..

XXIII.

Brat z siostrą w słodkiém, niemém zachwyceniu
Stali przez chwilę w długiém uściśnieniu.
On do żelazem okutego łona
Tuli płaczącą jak dziécię, a ona
Obie mu ręce zarzuca na szyję
I łzą gorącą twarz rycerza myje.
Siostro wygnańca! nie wstydź się łzy twojéj,
Co po braterskiéj cicho spływa zbroi;
I minstrel tułacz, wędrowiec po świecie
Miał kiedyś siostrę, białe, wonne kwiecie
W sadku domowym, wśrod ojczystéj błoni...
Dosyć minstrelu!—niechże cię Bóg broni
Od starych wspomnień: inną dobierz nutę,
Bo nad szaleje, opium i cykutę
Zjadliwsza stokroć trucizna—wspomnienie!..
Gdy piérwszéj chwili minęło wzruszenie,
Król powiódł okiem po klasztornéj celi
I smutny ujął rękę Izabelli,
A łzę miał w oku.—O biedaczko moja!
Samotna cela, nagie, puste mury,
Tożto mieszkanie dla królewskiéj córy?
Tużto uwiędnie marna młodość twoja.

XXIV.

— Bracie mój! bracie! porzuć prożne żale.
W blasku korony, w majestatu chwale
Czyżby mi było ciszéj albo lepiéj?
Pan na mnie wejrzał promieniem swéj łaski,
I w doświadczeniach słabe serce krzepi.
Mnie już wielkości nie uludzą blaski,
Ani znikoma rozkosz nie zaślepi.
Wiészże ty czemu burza się srożyła,
Pioruny biły i otchłań ryczała?
Ażeby łódka wątła a zuchwała
Wcześniéj się, wcześniéj do portu schroniła,
Nie walcząc dłużéj z falami mętnemi.
O tak mój bracie! dlatego na ziemi
Tyle pocisków łono mi rozdarło,
Tyle radości uwiędło koleją,
Aby to serce pełniejszą nadzieją
W niebo utkwiło, a światu umarło.

XXV.

—Wstrzymaj się siostro! Nim żelazna krata
I wiecznych ślubów zamknie cię przysięga;
Posłuchaj pierwéj życzliwych słów brata:
Jestżeś ty pewna, że wspomnień potęga
Co kruszy kraty, przez mury dosięga,
Nigdy się w młodém sercu nie obudzi
W żalu za światem, w tęsknocie do ludzi?
Z naszych szczęśliwszych, z naszych lepszych czasów
Znam jedno imię, co ci miłe było;
Czyliż wspomnienie Woodstockich zapasów
W cichéj się celi nigdy nie przyśniło?
Zadrzałaś siostro—i jako kwiat róży
Spłonione lice pochylasz przed bratem;
Oj, ten rumieniec dobrze mi coś wróży,
Bo ja tu dzisiaj przyjechałem swatem!..
I uzbrojony w wspomnienia przeszłości,
Do téj samotnéj, zakonniczéj celi
Niosę ci siostro wyznanie—miłości...
Ów nieznajomy rycerz z godłem skały...
Pan Astorniku!—Lica Izabelli
Jeszcze jaśniejszym blaskiem rozgorzały;
Łono się wzniosło niespokojném drzeniem,
Oko strzeliło gorącém płomieniem,
I stała chwilę wzruszona i drżąca.
Ale niedługo ta przelotna krasa
Jako promienie zachodniego słońca
Mieni się zwolna, blednieje, przygasa:
Pierś już opadła, oko się nie żarzy,
I cichy spokój osiada na twarzy.
— „Zapóźno bracie... zapóźno niestety!
Paź ten... niech raczéj czeka w rozmównicy.
Bracie mój! w sercu biédnéj zakonnicy
Zostało jeszcze coś z uczuć kobiety...

XXVI.

Paź ów królewski stał milcząc w drzwich celi,
I czy go wzruszył smutek Izabelli,
Albo dręczyły troski tajemnicze:
Schylił ku piersiom głowę złotowłosą
I łez się cichych zalewając rosą,
Płaszczem rycerza zasłonił oblicze.

A Robert siostry zajęty osobą,
Zapomniał nawet, że go przywiódł z sobą,
A potém wchodząc zostawił u proga
Z mieczem i pledem swoim u ramienia.
Więc szybkie za się rzucając wejrzenia,
Zawołał głośno:—Izabello droga!
Próżnobyś tego lękała się świadka:
On cię nie zdradzi cokolwiek usłyszy,
Bo mu natura, macocha nie matka,
Usta pieczęcią wiecznéj zwarła ciszy.
A przecież siostro, choć biédny niemowa
Dłoń jego życie moje ocaliła;
I gdyby nie on, gdzieżby dzisiaj była
Ta niby dumna, ta królewska głowa?..
Więc Izabello, dla mojéj miłości
Przyjmiéj go proszę do twojego boku;
A jeźli czasem, w chwilach samotności,
W tém chłopca słodkiém i łagodném oku
Dostrzeżesz łezkę, a na bladéj twarzy
Tęsknotę jakąś, co się milcząc skarży:
Nie dziw się temu, bo choć wiekiem młody,
Ciężkie on życia przechodził zawody,
I dotąd płacze po świeżéj żałobie.
Niech więc w tych murów zakonnéj ustroni
Modli się Bogu i ciche łzy roni;
Bo chociem przysiągł w złéj czy dobréj dobie
Strzedz go jak syna i chować przy sobie;
Nie temu dziecku życia mego droga
Przez mord i ogień, krew i trupy wroga!
I ci co za mną iśćby chcieli, muszą
Żelazne piersi z kamienną miéć duszą!...
Lecz czas nam drogi ulata daremnie:
Cóż Ronaldowi odpowiész przezemnie?...

XXVII.

—Powiédz, mu bracie, powiédz a uwierzy,
Że serce moje do Boga należy!
Miłość ma była jako wątłe kwiecie,
Co się rozwija w cichém, ciepłém lecie:
Uwiędła, skoro wiatr powiał zimowy...
Dziécię marności i pychy światowéj,
Znikło, jak wszystko znika na tym świecie,
Co tylko ziemskie piętno ma na sobie
I w ziemskiéj żądzy rodzi się chorobie.
A jeźli prosić i nalegać będzie

I na ubiegłéj przeszłości osnowie
Pajęczą nitkę nadziei wyprzędzie:
Powtórz mu wtedy, powtórz, niech się dowié,
Jeżeli wątpi albo nie dowierza,
Że go z twą siostrą na zawsze rozdziela
Przysięga, dana na krzyż Zbawiciela,
Słowo szlachcica i wiarę rycerza.
A to jest węzeł, którego ogniwa
Smierć tylko jedna kruszy i rozrywa.
O tak Robercie! i jeźli potrzeba
Na słów mych prawdę brać świadectwo nieba:
Tu, przed tym krzyżem, w téj świętéj komnacie,
Z ręką na piersi przysięgnę ci bracie,
Że choćby nawet w tém sercu zbolałém,
Uczucie dawnym gorzało zapałem:
Dośćbym sił słaba znalazła kobiéta
Na odrzucenie Ronalda ofiary;
Pókiby sama, tak sama Edyta,
Pierścienia jego nie oddała wiary!

XXVIII.

Paź, który dotąd stał milcząc na stronie,
Do nóg królewny na kolana pada;
Twarz jego zwykle łagodna i blada,
Żywych szkarłatów rumieńcem się płonie,
A w oczach dziwny jakiś płomień błyska.
Pochwycił drżącą rękę Izabelli,
Dwakroć ją do ust z uczuciem przyciska,
Zasłania oczy i wybiega z celi!...
A córa króli w obrażonéj dumie,
Gniewu swojego powściągnąć nie umié
Nad niepojętém pazia uniesieniem.
Lecz król ją błaga łagodném wejrzeniem:
— O siostro moja! daruj mu, niemowa!
Bóg mu odebrał najdroższy skarb słowa,
I w każdéj chwili szczęścia czy rozpaczy,
On giestem tylko myśli swe tłumaczy!...
Kiedy usłyszał, że przy twoim boku
Wieść będzie błogie i spokojne życie;
To zwykle ciche i lękliwe dziécię
Nie mogło zwalczyć radości wyskoku.
Lecz ty darujesz uniesienia chwilę,
I jeźli na twém sercu się nie mylę,
Przyjmiesz go jeszcze względniéj i łaskawiéj,
Kiedy się jutro oczom twym przedstawi.

Lecz siostro, czas nam w rozmowach ucieka,
A jedna chwila za drugą nie czeka;
Więc cię zaklinam na to serce bratnie,
Rozważaj długo nim słowo ostatnie
Na zawsze twoim rozporządzi losem!
Pamiętam dawniéj: smutna i marząca,
Czy struny harfy ręka twoja trąca,
A ty piosenkę tęsknym nucisz głosem;
Czy cichą nocą na zamkowym ganku
Czekasz bezsenna złotego poranku;
Wszyscy mówili: miłość nieszczęśliwa
W tém młodém sercu jak wąż się ukrywa...
A dziś gdy wszystkie zniknęły przeszkody,
Kiedy od szczęścia nic cię już nie dzieli,
To ty dziwacznie, wiek miłości młody
Pragniesz zagrzebać w zakonniczéj celi.

XXIX.

— Tyżeżto bracie przemawiasz tak do mnie?
Tyżto dziwactwem nazywasz niestety,
Że nie chcę serca, które wiarołomnie
Zdradą zatruło pierś drugiéj kobiéty?!...
Pomniéj mój bracie, że to imię twoje
Nie same w świecie rozsławiły boje,
I jakoś zaczął, tak wytrwaj do końca!
Bądź wsparciem słabych, bądź sierot obrońca!
Ażeby kiedyś nie rzekły ci wrogi,
Żeś ustał właśnie na połowie drogi!...
Pamiętasz bracie? o pewnie pamiętasz
Ten dzień straszliwy rozpaczy i trwogi,
Gdy pole walki jak niezmierny cmentarz
Stało wśród nocy w płomieniach pożogi,
A ty rzuciwszy miecz twój potrzaskany,
Jak nędzny tułacz bez celu i drogi
Błądziłeś straszną pogonią ścigany.
Przed tobą była wolność i zbawienie,
Za tobą krwi twéj rozłaknione wrogi:
Najodważniejszych groza śmierci żenie.
Wtém tyś posłyszał krzyk matki w boleściach!..
Niewiasto szkocka! gdy w wieczór zimowy
Harfiarz cię będzie zabawiał domowy,
A ty się w starych zasłuchasz powieściach:
Podaj mu puhar wina i niech pije,
Malując onych dni ubiegłych dzieje,
Dzieje klęsk strasznych, nieśmiertelnéj chwały,

Jak Robert szkocki, król Robert wspaniały,
Wolał królewską głowę swoją raczéj
Wystawić na łup bezbożnych siepaczy,
Niżeli kłamiąc rycerskiéj swéj cześci,
W straszliwéj chwili trwogi i boleści,
Odstąpić biédną niewiastę w rozpaczy (1).
Nie, to nie tobie bronić takiéj sprawy,
Gdzie zdrada słabą dziewicą pomiata:
Innego Ronald niech poszuka swata!!
Ale czy słyszysz: wśród kościelnéj nawy,
Pobożnych hymnów rozbrzmiewają chóry,
A odgłos dzwonu smutny i ponury
Jękliwym dźwiękiem ozwał się z wieżycy.
Kapłan do świętéj stawa tajemnicy!
Żegnam cię... żegnam... u stopni ołtarza
Jest miejsce moje. Och! żegnam cię bracie!—
Zniknęła, w ciemnéj głębi korytarza
Niby widziadło w białéj migło szacie;
A stare mury, łamane sklepienia
Echem odbrzmiały słowa jéj ostatnie;
Potém je serce powtórzyło bratnie:
Żegnam!—o echo! dodaj:—do widzenia!!...

XXX.

— Więc już na zawsze zginęła dla świata
Ta córa króli, wdziękami bogata!
Kosztowny klejnot w ziemi zagrzebano,
Lilia królewska uwiędła tak rano!
Ach! bo też wicher miotał nią okrutny!...—
Tak mówił Robert i ze szczytu góry
Wzrok czarnych oczu łagodny a smutny
Utkwił w posępne wież klasztornych mury,
I na długiego tęsknotę rozstania,
Przesyłał takie słowa pożegnania:
— „Biédna dziewico! niech opieka Boża
Czuwa nad tobą, bo nim doba minie,
Na słonéj fali burzliwego morza,
Brat twój, jedyny opiekun popłynie...
Żegnam cię; stara Turnberru wieżyca
Woła mściciela i czeka dziedzica.
Idę—niech krwawa szala się domierzy,
Odrazu spełnię wszystek napój czary!...

(1) Zdarzenie to, malujące całą szlachetność Roberta, opisane jest ówcześnie w historyi Borbura.

Tam wśród samotnych Karryku wybrzeży
Zamieszkał Kutbert, dziś pustelnik stary,
A niegdyś moich kapelan rodziców.
Wiém, że potęga wspomnień niezachwiana
Wiąże to serce siwego kapłana
Do krwi swych panów, ziemi téj dziedziców.
On to przyjazną upatrzywszy porę,
Niech ogień hasła na górach zapali,
I kiedy płomień co wysoko gore,
Krwawą się łuną odbije na fali;
Puszczę me losy na wiatrów igrzysko!"...
. . . . . .
Zstąpił z pagórka i wolnemi kroki
Dążył samotny ku wodom zatoki,
A kiedy czasem rzucił w tył spojrzenie,
Pierś bohatera podniosło westchnienie.

PIEŚŃ V.

I.

Jasne na niebie promienią zorze,
Kipiącém złotem toczy się morze,
A na *Loch Ranzu* cichém jeziorze,
Poranny wietrzyk srebrne mgły zgania;
Błękitna fala szemrając płynie,
A dym jak lekki obłok się słania
Nad góralskiemi chaty w dolinie.
Ale już rybak żagiel rozwinął,
Łódką—syreną w świat gdzieś popłynął.
Fujarką ranne witając świty,
Na Ben-Goilu wrzosiste szczyty,
Skotarz beczące prowadzi trzody.
Pomiędzy sady, między ogrody
Spieszą dziewczęta wesołém gronem
Z płonącém licem, bijącém łonem;
A stara matka siada na progu,
I drżącą pieśnią dziękuje Bogu
Za dzień pogodny, za promień słońca,
I szaréj wełny długą nić przędzie.
Ruch, praca wszędzie i troska wszędzie...
W murach klasztoru cisza milcząca;
Już dzwon poranny zamilkł na wieży,
Przebrzmiał szept cichy długich pacierzy.
Ojciec kapelan siwy i stary,

Domówił święte słowa ofiary.
I tylko lampa blado się żarzy
U osłoniętych Boga ołtarzy.
Cicho i lekko wzdłuż korytarzy.
Jak duchy wietrzną płynące strugą,
Przemknęły siostry jedna za drugą;
I każda w swojéj zamknięta celi
Wśród długich godzin dumań samotnych,
Wśród długich godzin, och! niepowrotnych,
Patrzy zawczasu jako się bieli
Kość nagiéj czaszki, która przed wiekiem
Czuła, myślała, żyła człowiekiem!...
A jeśli czasem, pomimowoli,
W téj biédnéj, słabéj piersi niewieściéj
Serce się zlęknie albo zaboli:
Jest krzyż drewniany, kędy boleści
Leczą się cichém modlitwy słowem;
Lecz nie tém słowem martwém, jałowém,
Co przez znużone przepływa usta
Jako zbyteczna woda upusta;
Lecz oném słowem miłości, wiary,
Jakiém Ofiarnik wielkiéj ofiary,
Z wyżyn Golgoty, z ciszy Ogrójca,
Do niebieskiego modlił się Ojca...
Tak Izabella pod krzyżem klęczy,
A blask słoneczny bijąc o szyby,
Niby promienną koroną tęczy,
Niby koroną jakowąś, niby
Onym odblaskiem nieba, co płonie
Nad głową świętych, czoło jéj wieńczy.
Ona pokornie schyliła skronie,
W lice Chrystusa wlepiła oczy,
A długie sploty czarnych warkoczy
Płyną ku ziemi po śnieżném łonie.

II.

Skończyła paciérz, podnosi oczy,
Oczy tak jasne, spokojne, czyste,
Jako dwie gwiazdy, gdy promieniste,
Najlżejszéj chmurki cień ich nie mroczy.
Skończyła paciérz, i mimo chęci
Wiatr ją poranny do okna nęci:
Chciała odetchnąć lżéj i weseléj,
Okiem gdzieś wybiedz za mury celi;
Gdy na kamiennych taflach podłogi,

Jasny blask mignął jéj przed oczyma.
Pierścień to jakiś! Brylant w nim drogi,
W słonecznym blasku jasno się świéci;
Królewna drżącą ręką go ima,
A na błękitnéj jedwabiu nici
Biały się listek papieru trzyma.
Stoi dziewica blada, wzruszona,
Serce gwałtownie bije wśród łona;
Ale na wierzchu widzi swe miano,
Więc czyta głośno co napisano:
— „Pani! przyjm pierścień, który daremnie
Nadzieję szczęścia obudzał we mnie!...
Odbierz ten zakład kłamliwéj wiary:
Bóg dał mi siłę do téj ofiary;
Lecz gdy twe oko list ten przeczyta,
Westchniéj do Boga za mną.—Edyta"....
Jak słońce kiedy z za chmur wystrzeli,
Pogodnym blaskiem świat rozpromienia;
Tak tajemnego siła wzruszenia
Mieni dziewiczą twarz Izabelli.
Lecz nieraz bywa, jedną godziną
Na jasne słońce chmury napłyną;
Tak Izabella drżąca i blada,
Do stopni krzyża z jękiem upada...
—„Precz! precz odemnie, precz myśli podła!...
Grzesznéj i słabéj daruj o Boże!
Mnie biédną mara szczęścia uwiodła!...
Lecz tu przy krwawych nogach Chrystusa,
Gdzie każda ziemska niknie pokusa,
Zdradny pierścieniu tutaj cię złożę.

III.

Ale po chwili inna uwaga
W drżącéj dziewicy myślach przemaga:
— W tym oddalonym, cichym klasztorze,
Kto tu z Edytą związki miéć może?
Kto przyniósł pierścień drogą tajemną?
Dlaczego poseł krył się przedemną?
Zaiste, dziwna to tajemnica!
Ale to okno.—I wnet dziewica
Bieży do okna, które otworem
Stało na rannych wiatrów powiewy.
Ogród staremi cienisty drzewy,
Z góry się na dół wił za klasztorem.
Patrzy dziewica wpół wychylona,

Widzi, murawa świeżo zgnieciona,
Strząśnięte krople porannéj rosy.
Lecz okno celi w górze wysoko!...
Niech tylko baczniéj przyjrzy się oko:
Wszak bluszcz, co w górę piął się po wieży,
Jako pierścienie starganéj kosy
Porozrywany na ziemi leży.
Królewna gniewnie w dłonie uderzy,
Dumą dni dawnych oczy jéj płoną,
Jako dwa węgle co rozgorzały.
—„Kto się tu wdzierać ważył zuchwały?
Kto tu był dzisiaj? Odpowiedz Mono!"...
—„Nikt pani, tylko paź twego brata
Przechodził tędy przed słońca wschodem,
Tą oto ścieżką... tędy... ogrodem!
Widziałam lekka kryła go szata,
A włos był szybkim biegiem rozchwiany.
Chciałam go na mszą wstrzymać —daremnie!...
Jak dzika sarna uciekł odemnie,
Jakiś przelękły, jakiś zmieszany,
A snać był chory, bo strasznie blady,
Na licach nosił świeżych łez ślady."

IV.

Jak promień wschodu bijący z góry
Złotym swym blaskiem rozjaśnia chmury,
I pomrok nocy spędza niepewny;
Tak w pomieszanych myślach królewny
Światłem błysnęły odźwiernéj słowa,
I z mgły domysłów prawda jéj świta.
—Ach ten paź blady! ten paź niemowa!
To była ona!... biedna Edyta!
Ona—Żal ścisnął dziewicze łono,
Jakby mu tajna ciężyła wina:
—„Ach siostro Mono! ach siostro Mono!
Bież, proś tu do mnie ojca Alpina."

V.

Alpin zakonnik wchodzi do celi,
Srebrzysta broda po pas się bieli;
A ledwo stopą dotknął się proga,
Księżna go wita imieniem Boga:

— „Dobry mój ojcze, słabe twe nogi
Szykuj do długiéj a spiesznéj drogi;
Bo zanim słońce na nocleg w morzu
Na koralowém pójdzie spać łożu,
Ty do Brodiku wrzącéj zatoki
Musisz domierzyć drżącemi kroki.
Tam, kędy Robert wierne rycerstwo
Na jedno-dzienne rozłożył leże;
Tam, na samotne morza wybrzeże
Zanieś królowi moje poselstwo,
I proś go w imię Chrystusa Pana,
Aby dziś w wieczór lub jutro zrana
Koniecznie jeszcze widział się ze mną,
Zanim się w dalszą wyprawi drogę:
Gdyż mam mu odkryć rzecz tak tajemną,
Iż jéj przez pisma zwierzyć nie mogę.
A jeżli wreszcie czasu niestanie,
Jeżli téj wojny nieszczęsne sprawy
Naglą do biegu królewskie nawy;
Niechaj mi pazia przyśle, kapłanie...
Niechaj mi przyśle biédne to dziécię!
Niech mi je przyśle przez Boga w niebie!!
Skończyłam ojcze: spiesz, bo od ciebie
Zależeć może śmierć albo życie!"...
. Starzec zarzuca kaptur spłowiały
Na swoje białe jako śnieg włosy,
Na drżące nogi wdziewa sandały.
Wsparł się koszturem sękatéj laski,
I przez pagórków zielone wrzosy,
I przez wybrzeża samotne piaski,
Spieszy jak pielgrzym, gdy go zdaleka
Rodzinna chata w dolinie czeka.

VI.

Górzystym krajem droga męcząca.
Starość niespieszna—ciężą jéj lata:
Lecz w tym samotnym zakącie świata,
Zkąd tu innego wynaleźć gońca,
Coby przed zacne króla oblicze
Godzien był posły nieść tajemnicze?
Zakonnik drżące, niepewne kroki
Samotnéj ścieszki manowcem niesie.
Scieszka w posępnym wije się lesie,
A tu z gór dzikie lecą potoki;
Lecą szalone w straszliwym biegu,

Na dół od mglistych strącone szczytów;
A po zczernialém łonie granitów
Piany jak lawy toczą się śniegu (1).
Ksiądz się nie uląkł wezbranéj fali,
Spojrzał ku niebu i złożył dłonie,
Milcząc, ryczące przeżegnał tonie,
Przepłynął potok i poszedł daléj.
Wtém stroma góra drogą wyskoczy:
W chmur wiekuistych sinéj zamroczy,
Wierzchołek nagim grzbietem się jeży,
A czarna przepaść u stóp jéj leży.
Ha! dość niepewną zachwiać się nogą,
Dosyć nad wązką przechylić drogą,
Aby w te straszne, ciemne otchłanie
Na wiekuiste polegnąć spanie!
Starzec na wątłym wsparty koszturze,
Powolnym krokiem piął się ku górze,
A sęp mu dziki krążył nad głową,
I krakał zdobycz wietrząc gotową.
Lecz starzec przebył skaliste ściany,
Jak ów przed chwilą potok wezbrany,
I poszedł daléj polem i lasem.
Czasem pot z czoła ocierał; czasem
Spoczął na darni pod cieniem gaju,
Gasił pragnienie w falach ruczaju;
A gdy znużony długą podróżą
Uczuł, że siły chęciom nie służą:
Siadł na Druidów starym kamieniu,
Co leżąc w pyle i zapomnieniu,
Zwalony ołtarz minionéj wiary
Daremnie świętéj czeka ofiary! (2)
Tu drżące usta siwego mnicha
Paciérz za zmarłe szeptały zcicha;
A tam gdzie stary krzyż Marfallana
Wznosi się w cieniach samotnéj jodły,
Kapłan pobożnie padł na kolana
I różańcowe odprawił modły.
A kiedy powstał, spojrzał przed siebie
Trochę po ziemi, trochę po niebie;
Już na zachodzie słońce się mieni
Jaskrawą barwą złotéj czerwieni.
Więc starzec zbiéra słabnące nogi,
Nagli do chodu powolne kroki,
I nim wieczornéj cienie pomroki

(1) W górzystych okolicach wyspy Arran, skały otoczone przepaściami tworzą liczne wodospady, znacznéj nawet wysokości.

(2) Wyspy Arran, Man i Anglesey, przechowują wiele starożytnych pomników wiary Druidów.

Szlak mu samotnéj okryły drogi:
On już był u wrót gotyckiéj wieży,
Którą się wzgórek Brodiku jeży.
Stare to mury! i krwi niemało
Na tych się czarnych szańcach wylało,
Zanim ostatni z Hastingów rodu
Zdał Duglasowi klucz tego grodu.

VII.

W cichych fal morskich drżące zwierciadło,
Słońce promienną głową zapadło;
Ale z ostatkiem dziennego blasku,
Gwar obozowéj nie umilkł wrzawy.
Ci po wybrzeża skrzypiącym piasku
Spychają w wodę wojenne nawy;
Ci na maszt białe czepiają żagle,
Tamci szalupę wiążą linami.
Wtém nad cichemi morza wodami,
Drżąca się światłość podniosła nagle:
— „Księżyc! wołają, księżyc nam wschodzi!
Ale jak jasno! ach! jak czerwono!"
— „Cicho żeglarzu! błędnéj twéj łodzi
Nigdy blask taki nie świecił pono!
Święty Kolumbie! zda się że cała
Połać niebieska ogniami pała!"
— „Nie, nie minstrelu, on blask co gore,
Z dołu się wzbija i strzela w górę,
I z nad Karryku cichych wybrzeży
Ognistą łunę po niebie szerzy."

VIII.

Król Robert stoi na morskim brzegu
I wzrok po modréj wodząc płaszczyznie
Patrzy za falą, co w zdradnym biegu
Bok nawy jego ukradkiem liźnie,
I znów ku drżącém toniom ucieka
Jakaś szemrząca, jakaś niepewna.
A on ją wzrokiem ściga i czeka
Rychło powróci spieniona, gniewna,
I hucząc, szumiąc jak wiatr po lesie,
Wojenne statki z sobą uniesie.
On patrzy, czeka: zda się, że liczy
Każde kaprysnéj toni pluśnięcie,

Każde wieczornych wiatrów zadęcie;
A ów blask dziwny, blask tajemniczy
Ponad wodami jasno się pali,
I krwawa łuna na niebie płonie.
Król wzrok odrywa od modréj fali
I gdzieś go w przestrzeń posyła daléj,
Gdzieś, ku ojczystéj Karryku stronie.
I groźno chwyta za miecz przy boku,
A miecz to stary ojca i dziada;
Ale mu nagle łza błysła w oku
I dłoń bezbronna na dół opada.
Edward i Lennox przy królu stoją,
Złotą wśród nocy błyskając zbroją,
A młody Ronald z siwym Duglasem
Wojsko na brzegu sprawia tymczasem:
Daje rozkazy, szykuje nawy
Do tajemniczéj nocnéj wyprawy.
Wtém wzdłuż wilgotnych piasków wybrzeży
Siwy zakonnik spiesznie podąża,
I w tłum dostojnych, świetnych rycerzy,
Który monarchę Szkocyi okrąża
Idzie i stawa, dech w piersi chwyta
I w imię Boga Roberta wita.
— „Tyżeśto ojcze?—rzekł król zdziwiony—
Cóż cię tu w nasze przywodzi strony:
Czy Izabella chora?.. lub może
Chciałeś, by twoje dłonie kapłańskie
Co Krew i Ciało piastują Pańskie,
Błogosławieństwo dały nam Boże?"
— „Nie królu! Księżna siostra twa zdrowa,
Bóg ją w potężnéj łasce swéj chowa,
Anioła swego dając do straży;
A ja niegodny sługa ołtarzy
Codzień za ciebie przesyłam modły;
Lecz dziś nie takie chęci mnie wiodły,
Nie takie panie!"—Tutaj powtarza
Młodéj królewny błagalne słowa,
Które mu pamięć tak wiernie chowa
Jakby je czytał z karty brewiarza.
Król Robert pobladł, w dłonie uderzy
Aż zbudził śpiące echa wybrzeży:
— Przez krzyż Chrystusa! jak to być może?
Pazia szukacie na moim dworze,
A jam go do was wysłał o świcie!..
Gdzież się podziało nieszczęsne dziecię?!

IX.

— Nie trwóż się bracie—Edward przerywa—
Wiém, gdzie się młody paź twój ukrywa.
Kiedy dziś rano o wschodzie słońca,
Po całéj wyspie szukałem gońca,
Coby tak wierny jak i przezorny,
Mógł Kutbertowi zanieść twą wolę:
Zaszedłem jakoś w ogród klasztorny.
Wtem widzę nasze wierne pachole
Siedzi, i jasnéj schyliwszy głowy,
Nad nędzną swoją młodością płacze.
Mnie w myślach zamiar budzi się nowy,
I chłopcu chęci twoje tłumaczę.
Radość błysnęła w oczach niemowy,
Otarł łzę gorzką spłakane oczy,
Ku brzegom morskim bieży ochoczy,
Skacze do łódki, wiosła się ima,
A wiatr poranny żagiel rozdyma,
I w południową pędzi łódź stronę.
A teraz spojrzyj!... Widzisz tę łunę
Co krasi ciemne niebios sklepienie:
Paź już wykonał twoje zlecenie!...

X.

— O nierozważny!—Robert zawoła
Gniewnie, męzkiego zmarszczywszy czoła—
Jakżeś miał serce, sierotę biédną
Tak opuszczoną, tak samą jedną,
Wysłać na zemstę dzikiego wroga!
Bracie mój! klnę się imieniem Boga,
Żebym całego świata korony
Nie chciał, za taką cenę kupionéj!!...
Biédny mój paziu!.. biédne nieboże!
Cóż gdy cię zdradne pochłonie morze,
Lub Anglik żołdak w moc swą dostanie?
A ty nieszczęsny nie będziesz w stanie
Nawet o litość nad sobą prosić,
Gdy wróg się będzie pastwił okrutny!...
— Królu i bracie! dosyć już, dosyć—
Zawoła Edward gniewny i smutny—
Wyrzuty twoje serce mi bolą.
Gdy twą królewską pełniłem wolą,

Ani mnie płochość ni srogość niosła,
Lecz gdzież innego wynaléźć posła?
Każdego z naszych wiernych rycerzy
Zna lada rybak tamtych wybrzeży,
Lada góralskie chłopie pijane;
I wszystko mogło zginąć odrazu
Z jednym niebacznym dźwiękiem wyrazu!...
A paź twój niemy, dziecię nieznane,
Czyjąż uwagę zwróci na siebie,
Jak głaz grobowy milcząc w potrzebie?
A wreszcie kiedy w cieniach wieczora,
Blask dobréj wróżby co tam jaśnieje,
Błogą nam w sercu krzepi nadzieje:
Jestże to bracie wyrzutów pora?!...
Jestże to pora walczyć na słowy?
Przecż żeśmy męże nie białogłowy—
Król milcząc ścisnął rękę Edwarda
I zakonnika żegna uprzejmie:
— Kapłanie! nieraz konieczność twarda
Najszczerszéj chęci władzę odejmie.
Ty wracaj ojcze w klasztorne mury,
Do królów twoich dostojnéj córy,
I te jéj słowa zanieś odemnie:
Że póki tylko król, brat jéj żyje,
Póki to serce w piersiach mi bije,
Nie będzie nigdy prosić daremnie!...
I skoro tylko ślepy los wojny
Da mi wytchnienia moment spokojny,
Wnet się jej woli zadosyć stanie.
Lecz, widzę morze na brzegi wraca,
Krwawa się nasza poczyna praca.
Na zawsze może—bądź zdrów kapłanie.

XI.

Król się oddalił: starzec pobożnie
Kreśli w powietrzu święty znak krzyża.
A wtém się Ronald do niego zbliża
I te mu słowa szepcze ostrożnie:
— „Kapłanie! wracasz w mury klasztorne
Domu Pańskiego święte ukrycie,
Gdzie niosąc Bogu modły pokorne
Wieść będziesz ciche i błogie życie.
A ja iść muszę ciężką mą drogą
Depcząc po trupach skrwawioną nogą,
I z wieczną w młodéj piersi tęsknotą

Za wszystkiém co mi drogie i miłe,
Wywalczyć—może... zimną mogiłe,
Nad którą chyba jesienną słotą
Wicher zapłacze marnéj młodości,
Zgasłéj bez sławy... szczęścia... miłości...
Ale kapłanie, każdemu droga
Tam z góry palcem wskazana Boga:
Pojdę nią, pojdę zawsze i wszędzie,
Gdzie mnie krzyż szkocki przyzywać będzie
I króla mego powiodą znaki;
Ale na drogę trzebaż mi czego
Choćby... życzenia tylko dobrego...
Choćby maleńkiéj, błahéj oznaki,
Że nienawiści ku mnie nie chowa
Ta, która... Ale ty wiész gdzie słowa,
Słowa i prośby powtórzyć moje!...
Więcéj nic nie chcę, żądać się boję!
Patrz księże, widzisz, twardą mam zbroję
Co tę rycerską pierś mi uciska.
Oh! niejednego ostrze pociska
Przyjdzie weń twardem godzić żelazem;
A choć za każdym dzirytu razem,
Głęboka szrama w stali zostanie:
Przecież nie pękną łuski pancerza,
Bo stal hartowna. A wiesz kapłanie,
Że zbroja taka—serce rycerza!
Niechaj się krwawi, niechaj boleje,
Niech straci wszystko—nawet nadzieje,
Przecież ktoś musi policzyć z czasem
Rany na sercu, rany na stali...
Lecz księże, wojsko rusza z Duglasem,
Król daje hasło; na modréj fali
Nawy się lekkim ruchem kołyszą,
Zdradnéj głębiny nęcone ciszą.
Bądź zdrów... niech łaska wiedzie cię Boska!
A dola pazia, pamiętaj starcze,
Niech niczyjego serca nie troska.
Ja czuwać będę nad jego życiem,
Pled mój mu nocném będzie pokryciem,
A dzień pod moję skryje go tarczę"...

XII.

Plusnęły wiosła, odbiły nawy,
W białe im żagle wiatr dmie łaskawy,

A morze szumiąc od fal tysiąca,
Srebrną o rufy pianę roztrąca.
Do opuszczonych brzegów Aranu,
Ledwo dźwięk jakiś z wiatrem doleci;
A wśród niezmiernych fal oceanu
Mignie zbroica, puklerz zaświeci.
Starzec stał długo na pustym brzegu,
Oczyma statki wyścigał w biegu,
A gdy już w mglistéj zniknęli chmurze,
Jakby ich gniewne pożarło morze,
On obie ręce podniósł ku górze,
I wielkim głosem zawołał:—Boże!
To dzieci Twoje, ojców tych syny,
Co niegościnny step Palestyny
Krwią swą i potem zleli dla ciebie.
Ojcze nasz wielki co mieszkasz w niebie,
Wiedź ich do celu łaski Twéj strażą;
Niech się im burze szkodzić nie ważą,
Niech podły zdrajca zdala ich mija
W puszczach jak zjadła kryjąc się żmija!
Mężni są Ojcze, pokrzep ich męztwo,
Bracią są, wzmocniéj hart bratniéj zgody:
Niechaj zdumione ujrzą narody,
Że w rękach Twoich leży zwycięztwo,
A dać go nie ma liczba ni siła,
Lecz świętość sprawy oczom twym miła.—

XIII.

Szybko się nawy suną po fali,
Szemrząca woda lekko je niesie.
Wyspy Kumuraj nikną w oddali,
Mignął brzeg Klydy, w Butynu lesie
Uśpione echa budzą się nagle,
Wtorując brzmiącym hasłom żeglarzy.
Księżyc pół-chmurnéj wysunął twarzy
Na ciemne wody i białe żagle,
I wszystkie nawy miarowym ruchem
Płyną, jak gdyby jednym łańcuchem
Siła ich jakaś związała wspólna:
Bo żadna naprzód wybiedz nie wolna,
Tak król przykazał. Fala leniwa
Coraz łagodniéj statki kołysze
I uroczystą północy ciszę
Słabszym już jakimś szmerem przerywa.
Snać ziemia blizko.—Siwy sterniku,
Czy widzisz białe piaski Karryku?

Kieruj ostrożnie okręt królewski
Tam, gdzie ten hasła płomień niebieski.
We mgły nadwodnéj chmurze się mieni.
Ale dlaboga! co się to dzieje!!
Bracie żeglarzu, czy już dzień dnieje,
Ach! czy widzicie ten słup płomieni?
Jak się gwałtownie, jak nagle szerzy!..
Rzekłbyś patrzając: niebo się pali,
A wszystkie drobne wyspy nadbrzeży
Zdają się pływać w ognistéj fali.
Ptak morski nagłym oślepły blaskiem,
Nad mokrym brzegów trzepie się piaskiem;
Kogut przelękły pieje na dachu,
Wydra się w norę kryje ze strachu;
A młody jeleń w bukowym lesie,
W najgęstszą knieje drżący krok niesie.
Cała płaszczyzna w ognistéj łunie.
Ach! czy gród jaki pali się stary?
Czy to wsi całych straszne pożary?
Czy—Edward skacze i klaszcze w dłonie,
I pyta wszystkich patrząc wyniośle:
— Ha! cóż o moim myślicie pośle?—
Ale król milcząc patrzy przed siebie,
Patrzy po morzu, i ziemi i niebie,
I marszczy czoło jakby ponura
Gryzącéj troski zaszła nań chmura.

XIV.

Przy onym dziwnym, straszliwym blasku,
Spiesznie okręty spieszą do lądu,
Rwane falami tajnego prądu.
Wtém statek króla ugrzązł na piasku.
Edward niebacznie z pokładu skoczył,
Złotą zbroicę pianą zamoczył,
I biegł po wodzie brodząc do pasa.
Tuż za nim widać Lorda Duglasa
I wspaniałego Kolli rycerza.
Lecz Edward piérwszy dopadł wybrzeża,
Za nim tłum cały wodzów pospiesza,
I wojska gwarna ciśnie się rzesza.
Wtém światłość, która patrząjąc z brzega,
Zdała się niby łuną pożaru,
Nagle podniebną przestrzeń obszaru
Szybkim błyskawic lotem przebiega,
Dla olśnionego podobna oka,
Do ognistego wozu proroka!...

Płoną się hełmy, błyszczą puklerze,
A przerażeni, drżący rycerze
Stoją w milczącéj i głuchéj ciszy,
Patrząc na zbladłą twarz towarzyszy.
Wtém wszystko zgasło.... Noc ciemnym mrokiem
Przed oślepioném zapadła okiem!
Duglas wódz siwy, mąż nieugięty,
Kreśli w powietrzu znak krzyża święty;
Ronald pod swoją rycerską zbroją
Szuka obrazka z Bogarodzicą;
— Święty Jakóbie! módl się za nami!—
Lennox drżącemi woła ustami;
Dumny Kirpatryk zbladł pod przyłbicą,
A Edward brata chwyta za rękę:
— Przez Zbawiciela niewinną mękę,
Jestże to mściwa dusza Kowyna?
Czyliż nam grozi? czy upomina?—
— Cicho, król szepnął, cicho przez Boga!—
I drżącą dłonią pot otarł z czoła—
Bracia rycerze! głośno zawoła,
Czyż nas dziecinna zatrzyma trwoga?
Do mnie Lennoxie i Kirpatryku,
Niech każdy wraca do swego szyku.

XV.

Drżąca i blada jasność księżyca,
Milczącéj ziemi słabo przyświeca.
Król Robert hufce wiernych rycerzy
W porządne roty sprawia w milczeniu;
A wtém na mokrych piaskach wybrzeży,
Przy gwiazdy nocnéj drżącym promieniu,
Ronald zobaczył pazia niemowę.
Smutnie ku piersiom skłoniwszy głowę,
Dążyło dziécię szybkiemi kroki
Ku zapienionym falom zatoki.
Ronald naprzeciw chłopca podbieży,
I środkiem wojska wiedzie do pana;
Paź jasno-włosy zgina kolana,
I z za jedwabnéj swojéj odzieży
Papiér dostaje.—Bracia! krzesiwo!—
Woła król Robert—Ognia co żywo!
To list Kutberta: jakaż w nim rada?
Cóż nam zwiastuje? co zapowiada?—
Tajemnych uczuć żywe zwierciadło,
Męzkie Roberta lice pobladło,

Bo Kulbert smutne wieści przesyła:
W twierdzy Karryku żołdactwa siła
Stoi pod czujną Klifforda wodzą;
A jak z załogi wieści dochodzą,
Allaster z Lornu przybył tam rano,
Liczny z nim poczet wojska widziano.
A lud téj ziemi?... Biada! o biada!!
Kto w upodlonych ufność pokłada!
Sen ołowiany spadł im na oczy,
Głowy im schyla i serca tłoczy!...
. . . . . .
I Kulbert widział płomienie hasła,
I światłość która nagle zagasła,
I niecnéj jakiejś bojąc się zdrady,
Nazad niemego odsyła posła.
A jeźli Robert chce dobréj rady,
Niechże się imać nie waży wiosła,
I téj stokrotnie spodlonéj ziemi
Nie dotknie nigdy stopy swojemi.

XVI.

Cóżby wam minstrel zdołał powiedzieć,
Gdyby z was który zapragnął wiedzieć,
Zkąd owa światłość cudowna była
Która Brucemu z niebios świeciła?
Kto tajemnicze zapalił hasło?
Czemu gorzało? czemu zagasło,
Gdy król na ziemi stanął ojczystéj (1)?
Byłżeż to bracia słup ów ognisty,
Co przez pustyni samotne piaski
Świecił wygnańcom promieniem łaski?
Byłżeż to płomień, co wcześnie wróży
Nędznym rozbitkom nadejście burzy?
O biedny minstrel: drzy i blednieje!
On w sercu nosił jeszcze—nadzieję.....

XVII.

Długą a wązką ścieszką parowu,
Szkockich rycerzy hufce stąpały.

(1) Stare podanie między ludem szkockim utrzymuje, jakoby nocy wylądowania Roberta Bruce na brzegi Karryku, ukazały się tam ognie cudowne, których żadna ludzka ręka nie tknęła. I dodają nawet, że każdego roku, w téjże samej godzinie kiedy Robert ujrzał je kiedyś z zatoki Brodiku, płomienia owe, dzieła nadludzkiej potęgi, zapalają się nagle.

Groźne nad niemi piętrzą się skały,
A Ronald wierny danemu słowu
Podał paziowi męzką dłoń swoją,
I do swéj piersi pod twardą zbroją
Przytulił biédne dziécię tułacze,
By wśród mozolnéj wesprzéć je drogi.
— Paziu mój! paziu! czyto od trwogi
Tak ci serduszko w piersiach kołacze?
No, nie drżyj przecież, przysuń się lepiéj,
Otul się w fałdy mojego pleda.
Niech się lękliwość twoja ukrzepi,
Przecież ja rycerz z krwi Somerleda!
Rycerz potężnéj dłoni i woli.
A ten potrójny puklerz bawoli
Nie od piérwszego ustąpi razu:
Bo młot co ukuł miecz klanu Kolli,
Umiał hart stali nadać żelazu.—
Tu chcąc skuteczniéj wyleczyć z trwogi,
Ronald uścisnął rękę dziecięciu.
— O złoto-włosy paziu mój drogi!
Czy ci tak dobrze w mojém objęciu?
Ja cię tak lubię jakoś serdecznie,
Że radbym z tobą być zawsze.... wiecznie!....
Nieraz się zdarza, że lotna strzała
Na oślep tylko pchnięta z cięciwy
Nie tam uderza, gdzie cel prawdziwy
I gdzie łucznika wola ją słała.
Nieraz się zdarza, że jedno słowo
Które bezmyślne usta wygłoszą,
Serce szaloną poi rozkoszą
Lub wszystkie rany krwawi na nowo.
Nieraz się zdarza.—Cały w płomieniu
Paź na Ronalda wsparł się ramieniu;
Lecz czyż w téj dziwnéj bojaźni swojéj
Szczęku się mieczów tak bardzo boi?
Czy chmurnéj nocy straszą go cienie,
Że tylko jedno, ciche westchnienie
Ścieśnione piersi dziecka wydały?
Ach! to westchnienie wiatry rozwiały!

XVIII.

Minęli wreszcie skaliste ściany
I długi wąwóz głazami słany.
Coraz niepewniéj i coraz ciszéj
Błękitna fala z brzegów im dyszy,

A chłodny wietrzyk wiejąc od wschodu,
Od czarnych wieżyc starego grodu
Niesie im brzmiący odzew strażnika
Wartującego w twierdzy Karryka.
Idą spokojną i pewną nogą:
Wódz ich prowadzi znajomą drogą.
O tak, on dobrze zna tę dolinę,
To miejsce w całym świecie jedyne
Wonią swych kwiatów, drzew swych zielenią!..
Och! ty mizerny królu tułaczu!
Czy od gorzkiego wygnańca płaczu
Niepewne twoje oczy się mienią?
Że próżno szukasz drżący i zbladły
Cieni, gdzieś niegdyś marzył chłopięciem.
Pod obcych siekier zabójczém cięciem
Stare twe dęby o ziemię padły,
I pług rozorał kwieciste smugi.
Zwrócono z drogi szemrzące strugi:
Wszystko się koło ciebie zmieniło,
A ty masz w sercu obraz jak było!....
Ale idź daléj, biedny wygnańcze:
Tu nie postały jeszcze szarańcze;
Dolina świeżą oddycha krasą,
Młode jelonki w wrzosach się pasą,
Po wzgórkach płoche pląsają kozy.
Patrzaj, te same świerki cieniste,
Te same białe, pochyłe brzozy,
Te same wody chłodne i czyste.
A nawet księżyc świeci tak właśnie
Jakoś niepewno, jakoś niejaśnie,
Jak tu raz świecił.... Ach! to mgła biała,
A moja biédna pierś aż zadrżała!....

XIX.

Niebo się jaśniéj płoni od wschodu,
Rycerze naglą kroki pochodu.
Biada im! biada! jeżeli słońce
Różanne swoje wysławszy gońce
Tu ich zastanie, tu w téj dolinie.
Niejednéj matce młody syn zginie,
Niejednéj biednéj wdowy głos smutny
Będzie przeklinać dzień ten okrutny!
Prędzéj rycerze, prędzéj dlaboga,
Choć kamienista i kręta droga,
A tam znów z góry przykro i śliisko,
Bo to strumienia stare łożysko.

Prędzéj! noc krótka i rychło dnieje!....
Zimny pot z czoła pazia się leje,
Z trudnością stawia chwiejące kroki
Po kamienistéj ścieszce opoki.
Mdleją już słabe nogi dziécięce.
— „Biedny mój paziu, chodź tu na ręce,
Tyś taki lekki a moje ramie
Kruszy maczugi, dziryty łamie.
Ach! jakżeż serce silnie ci bije!
No, obie ręce zarzuć na szyje
I lice przytul; lecz cóż to znaczy?
Wydzierasz mi się z jękiem rozpaczy!
Cóż ci się stało dziwaczne dziécię,
Czego się lękasz, i płaczesz czego?
Toż ja cię puszczę, ale choć przecie
Uchwyć się ręką pleda mojego.
Jużto ostatnia noc niepokoju,
Bo jakikolwiek będzie los boju
Ty jutro wrócisz w klasztorne mury
Do królów naszych dostojnéj córy,
By błogie życie wieść przy jéj boku.
Codzień blask słońca witać w jéj oku,
Codzień się poić dźwiękiem jéj głosu:
O! ulubieńcze szczęśliwy losu!
Przyrzecz, że czasem wspomnisz jéj o mnie,
O méj miłości, o méj tęsknocie!"—
Pled się wysuwa z ręki sierocie,
Chwieje się.. blednie..., i bezprzytomnie
Na mokrą trawę z jękiem upada,
Oczy zamknięte, twarz strasznie blada.

XX.

— O nieszczęśliwa stokroć godzina!
Co ja tu pocznę? Dnieć już zaczyna,
Wojsko się szybkim oddala krokiem,
Ledwo ich mogę doścignąć okiem.
A jaż tu tylko jeden zostanę,
Jako w dolinie koźle zbłąkane?
By bard piał kiedyś, że w onę chwilę
Ronald, wódz Kolli bawił się w tyle!....
Otwiera oczy!—Dzięki ci Boże!—
Ale niestety!.... powstać nie może!
— O Amadynie! chłopcze mój drogi,
Widzisz ten stary dąb wedle drogi:
Czas nadpróchniały pień mu wydrążył;
Kiedy ja będę za wojskiem dążył

Złączyć się z królem przed słońca wschodem,
Ty w dębie możesz spocząć do rana.
Masz pled mój: ciepła szata wełniana
Przed ostrym wiatru zasłoni chłodem.
Lecz tylko nie płacz przez Boga w niebie,
Niechaj w poranku łagodną ciszę
Sen cię przyjemny słodko kołysze,
A ja niedługo wrócę do ciebie.
No otrzéj oczy—do zobaczenia!"..
Cichy jęk dziecka, bolesne łkania
Odpowiedziały pośród milczenia.
A Ronald bratnie hufce dogania,
I pospiesznego nie szczędząc biegu,
Stawa przy królu w piérwszym szeregu.

XXI.

Długo paź młody płakał boleśnie,
Lecz w końcu nawet łez braknąć może.
Nim słońce weszło, biédne nieboże
Zamknęło oczy i marząc we śnie,
Weselsze jakieś roiło mary.
Wtém dźwięk chrapliwy ciszę przerywa;
Chłopiec drżąc cały ze snu się zrywa:
To Ryno, strzelec Klifforda stary,
Zwierzynę płosząc huczy na rogu.
Biédna sieroto poleć się Bogu!
— „Cóżto? pled widzę, ha i zwierzyna!
Błękitno-oka szkocka dziewczyna!
Nie, pazik jakiś. Daléj na nogi!
Z jakiéj to bratku przybywasz drogi,
Że się na nocleg chowasz w pień drzewa?
Lecz cóż to widzę? ptaszek nie śpiewa!
Niemy!.. ba, zaraz ja ci uwierzę.
Hej! do mnie bracia! stropiłem zwierzę!"...
— „No, dzieciak jakiś drżący i blady,
Puść go i czasu nie trwoń daremnie."
—„Dzieciak!... mów raczéj szpieg, co tajemnie
Z brzegów Aranu przybył na zwiady.
A chociaż filut udał niemowę,
Nic to nie znaczy: odzyska mowę
Tylko Sir Klifford raz okiem skinie.
Daj tu cięciwę twoję Edwinie
I skrępuj dobrze, żeby pod lasem
Drapnąć mu chętka nie przyszła czasem.
Lecz płacze, mówisz; prawda, drży cały
Aż mu od strachu usta zbielały.

Jak na gorala niebrzydkie chłopie,
Nie przymierzając włos jak konopie,
Tylko że widać pobladł w téj biédzie.
No, niechże sobie bez więzów idzie;
W środek go Johnie, jest tu nas pięciu,
Nie damy przecież umknąć dziecięciu.

XXII.

W zamku Karryku tego dnia rano
Na wielkie łowy się gotowano
Klifford co wodzem był téj krainie,
I Lorn co w zamku bawił w gościnie,
Chodząc w podworcach starego grodu,
Czekali słońca złotego wschodu;
I w żywych jakichś tonąc rozmowach
Mówili, pewnie że nie o łowach,
Bo choć dostojny lord pograniczy
Lubi czas trawić w łesistéj dziczy,
Nigdy tak głośno, żywo nie prawi
Kiedy psy swoje lub konie sławi.
A to sokołe oko gorala
Czyż się tak gniewnym blaskiem zapala
Na niepomyślnych łowów wspomnienie?
Wycie ogarów, rumaków rżenie
I chrapliwego ostry dźwięk rogu,
Uderzał pazia w zamkowym progu;
Ale nad cały zgiełk ten myśliwy
Wzbił się głos jeden, ach! Głos straszliwy,
Podobny dźwiękom owego dzwonu,
Co liczy więźniom godziny zgonu,
Głos Allastera! Gdy Ryno stary
Pieści skomlące w sforach ogary,
Gdy towarzyszy po drodze wita,
Gdy każdy prawie o dziécię pyta:
A dziecię stoi blade i słucha,
I wytężonym organem ucha,
Taką wśród wrzawy rozmowę chwyta:

XXIII.

—„Mnich więc ją porwał—trzeba go badać!—
Woła lord Klifford w gniewnym zapale—
Musi się przyznać, prawdę wygadać,
Jak gdyby czytał na swoim mszale."

— „Lecz ja wiém wszystko; płynęli nocą,
Wtém zbójca morski napadł ich w drodze,
I statek cały złupiwszy srodze,
Edytę z Lornu porwał przemocą.
Kapłan uwolnić chciał ją okupem,
Wtém straszny wicher zerwał się nagle,
Zdruzgotał maszty, pozrywał żagle,
I spustoszenia niesyty łupem,
Okręt piratów strzaskał o skały,
I wszystkich słone pożarły wały"...
—„Jakto? twa siostra... jakto i ona!
Kwiat najcudniejszy szkockiéj ziemicy!!
Takaż to dola jéj przeznaczona,
By ciemna otchłań morskiego łona
Była weselném łożem dziewicy!!"...
—„Lordzie Kliffordzie, Bóg wié co czynić,
I któżto wolę Jego śmié winić?
Zacnéj krwi Lornów dziécię niegodne
Niewarte było innéj mogiły,
I fale morskie ciche i chłodne,
Wstyd rodu mego w głębi swéj skryły."

XXIV.

W téj chwili Kliffort więźnia spostrzega,
„Cóżto za dziécię wiedziesz nam Rynie?"
—„W pniu spróchniałego dębu, w dolinie,
Zeszliśmy panie szkockiego szpiega."
—„Ha! szpieg Roberta, i cóż wyznaje?"
—„Nic, gdyż niemego panie udaje."
—„Niemy! zadzierzgnąć kawał postronka!
Zaraz nauczym śpiewać skowronka! ..
Ale co widzę? pledem odziany;
Przepraszam Lornie, to twój poddany,
Nadtom się może spieszył z wyrokiem."
Lorn rzucił dumnym i zimnym wzrokiem
Na pstrą i żywą tkankę tartanu.
—„Nie są to barwy mojego klanu.
Rób z nim Kliffordzie co ci wypada,
Gałąź i stryczek to moja rada.
Lecz przez wzgląd na ten pled co go kryje,
Niech nie umiera jako pies podły;
Nim go konopną wstęgą za szyje
Do piérwszéj lepszéj czepicie jodły,
Niech mu pieśń śmierci Angus zaśpiewa,
A potém prosto w górę do drzewa!"...

— „O bracie! bracie! okrutny zawsze"
Szepnął głos cichy jak szmer osiny:
„Oby ostatniéj twojéj godziny,
Krwawe żywota zmazując winy,
Niebo ci kiedyś było łaskawsze."

XXV.

Dziécię dziwaczne i tajemnicze,
Czemu ty pledem kryjesz oblicze?
Czemu zasłaniasz modre twe oczy,
Tając ich spojrzeń powab uroczy?
Może téż widok młodości twojéj,
Zawzięte Lorna serce rozbroi?
Może się Saxon użali młody,
Słodkiego wdzięku twojéj urody?
Może... Minstrelu! daremne słowa!
Tłum Sasenachów dziécię otoczył,
Angus Roj przodem, niby wódz kroczył,
Za nim z chyloną głową niemowa.
I orszak śmierci idzie powoli,
A pogrzebowa pieśń klanu Kolli
Z porannym wiatru oddechem płynie.
Lecz niedaleki kres ich podróży:
Ten dąb zielony w cichéj dolinie
Dziś za narzędzie śmierci posłuży.
Stają... Twarz pazia jak lilia zbladła,
Z błękitnych oczu cicha łza spadła;
Lecz na tém czystém, dziewiczém czole.
Które przedwczesne zamgliły bole,
Jakaś spokojna, jakaś wytrwała,
Męzkiéj odwagi stałość jaśniała.
Kwiecie aniołów, o lilio biała!
Zkąd tobie woli, zkąd tobie mocy
Czoło nadstawiać wichrom północy?
Dziécię lękliwe, coś jeszcze wczora
Drżało jak listek w cieniach wieczora;
Kto ci dał nagle hart takiéj siły,
Patrzéć spokojnie w ciemnią mogiły!
Lecz czy ty dziécię wytrwasz do końca?
Kiedy oczyma spojrzysz modremi
Po téj zielonéj, wesołéj ziemi,
Kwitnącéj w blasku rannego słońca,
Nie będzież żal ci zamknąć powieki?
Snem nieprzespanym zasnąć na wieki?
Minstrelu! jeźli w dniach twéj młodości
Zaznałeś urok czystéj miłości,

Może ty zgadniesz tę tajemnicę,
Jaka potęga usta te zwiera,
Czemu to dziécię milcząc umiera,
Pledem góralskim zakrywszy lice!

XXVI.

Wiatr wschodni silném tchnieniem powiewa,
Szumią gałęzie strasznego drzewa:
Dziécię się modli, Angus Roj śpiéwa,
A pienie jego wiatr z sobą niesie,
Niesie daleko, dołem, wyżyną,
Oną zieloną, piękną doliną,
Wreszcie w bukowym rzuca je lesie.
A w onym lesie poranną ciszą,
Szkoccy rycerze śpiewy posłyszą.
Zerwał się Ronald z jękiem rozpaczy,
Straszném przeczuciem serce go boli:
—„Wiecież rycerze co ten śpiéw znaczy?
Toż to śmiertelna pieśń klanu Kolli!"
I wybiegł naprzód. Ze szczytu wzgórza,
We mgle porannéj oko zanurza.
—„Ach!" krzyknął nagle i zbladł jak chusta,
Szalonym gniewem drgają mu usta,
A on przez krzaki na oślep bieży.
—„Za mną wyspiarze, kto w Boga wierzy
Niech nieszczęsnego ratuje jeńca!"
Lecz król wstrzymuje zapał rycerzy,
I chwyta drżącą rękę młodzieńca.
—„Słuchaj Ronaldzie, wszystko przepadnie,
Gdy się raz nasza wyda zasadzka;
Lecz włos paziowi z głowy nie spadnie,
Kiedy na wrogów runiem z nienacka.
Lordzie Duglasie, weź stu górali,
Spuść się rozdołem tego wąwozu,
I tam gdzie kępy trzciny i łozu
U gór podnóża zielenią w dali,
Skryj się w strumienia wyschłém łożysku;
A gdy już będziesz na stanowisku,
Swietną twą włócznią błyśniéj ku górze,
Jak gdyby piorun mignął się w chmurze.
Bracie Edwardzie, ty z twym oddziałem
Przesuń się cicho w cieniach dąbrowy,
Starych okopów zakryty wałem,
Podstąp ostrożnie pod mur zamkowy;
A gdy usłyszysz że tam, w dolinie,
Szczękają miecze i krew już płynie,

Od południowéj zajdź cicho strony
I uderz nagle na most zwodzony;
Opanuj główny szaniec i tamę,
I nim wróg zlękły i przerażony,
Będzie mógł znaléźć środek obrony,
Ty wysadź wielką wchodową bramę.
A ja tu z resztą wiernych rycerzy
Pomknę się lasu cienistym skrajem,
I będę czekać aż ponad gajem:
Hasło Duglasa wzrok mi uderzy.

XXVII.

Z ciepłym i wonnym wiosny wietrzykiem,
Lekko się stare kołyszą drzewa;
Kos świegotliwy z szarym słowikiem
Poranną piosnkę naprzemian śpiewa,
Kukułka woła: kuku a kuku,
A na gałęziach starego buku
Żółta sikorka gniazdo zakłada,
Słomę i piórka zdaleka niesie.
Mała ptaszyno, biada ci, biada,
Niezawsze cicho będzie w tym lesie!
Słyszysz ty! słyszysz, od tamtéj strony
Szmer jakiś głuchy, szum oddalony?
Ach to nie wiatry po górach wieją,
Ani jelonek przemknął się knieją.
Spojrzyj przez listki mała ptaszyno,
Pod tą zieloną twoją buczyną
Stoją rycerze w ciężkich zbroicach.
Słońce się w świetnych pali przyłbicach,
A oni groźną, ponurą ciszą,
Okiem nie skiną, piersią nie dyszą,
I każdy zda się milcząc urąga
Nieruchomego ciszy posąga.
A ten na przodzie, widzisz ptaszyno,
Tylko się przypatrz, przypatrz się ino,
Choć taki piękny, choć taki młody,
Choć takie jasne, modre ma oczy,
Jak strasznie groźny cień ten co mroczy
Młodzieńczy powab jego urody!
W silnéj prawicy goły miecz trzyma.
Święty Jakóbie! co to za oczy!
Czy on już widzi temi oczyma
Krew, co to zimne ostrze ubroczy?
Lecz ktoż, to wstrząsnął gałąź zieloną

I szare piórko na ziemię spadło?
Czy wiatr silniejszy powiał tą stroną?
Nie, dwoje ptasząt przy sobie siadło.
Cieszą się słońcem, cieszą się wiosną
I nucą sobie piosnkę miłosną.
Słuchaj rycerzu!—piosenka taka
Dla młodzieńczego miłą jest ucha.
Słuchaj rycerzu! Gdzie tam!... nie słucha...
Nie jemu piosnka miłosna ptaka,
Bo z téj doliny zwilżonéj rosą
Nie takie dźwięki wiatry mu niosą!
Nagle ucichło—tylko z oddali
Wieje szmer jakiś słaby i cichy;
Niby dalekiéj mruczy szum fali,
Niby pacierze szepczą gdzieś mnichy.
Tak, tak, rycerzu!—szept to pacierzy;
Spojrzyj w dolinę: pośród żołnierzy
Z schyloną głową klęczy niemowa.
A stary góral z groźném obliczem
Jakimś ponuréin i tajemniczem,
Szepcze mu modłów ostatnich słowa,
A on nie płacze, nie drzy, nie blednie:
Snać się już z ziemskim pożegnał światem.
Śmierć uroczystym swym majestatem
Spłoszyła życia troski powszednie.
O biédnę dziécię! Jak kwiat nietrwały
Przeżyłoś krótką dobę wiosenną:
To cię słoneczne piekły upały,
To wiatr pogodą mroził przemienną!
Czegoż ci płakać i czekać dłużéj?...
Czy nowych wichrów i nowéj burzy?!...
Angus-Roj skończył ostatnie słowo,
Tłum Sasenachów okrążył dziécię!...
Ach! ach rycerzu!—tam.... nad dąbrową
Coś się mignęło w słoneczym świcie!....
Duglas!— król krzyknął—Ronaldzie przodem!
Mścij się twéj krzywdy nad niecnym rodem!...

XXIX.

— Bruce! Bruce!—krzyk się szerzy
Z chrzęstem zbroic i puklerzy.
I sto mieczów razem szczękło,
I sto piersi razem jękło,
Jak nie jęknie już raz drugi.
Biada! biada! Sasenachu!

Blady, drżący od przestrachu,
Pędzisz łożem wyschłéj strugi.
Och dlaboga! zła to droga,
Nie dopadniesz do zamczyska....
Czy nie widzisz jak tam błyska
Jasna włócznia Duglasowa,
Co sto śmierci w sobie chowa?...
Gdzie uciekać? gdzie się schronić?
Czy się modlić? czy łzy ronić?
Czy bluźnierstwem szydzić z Boga
I na nagie miecze wroga
Paść i drogo przedać życie?
Dwieście trupów! Po dolinie
Dwieście czarnych strug krwi płynie,
A jęk straszny zgrzyt i wycie
Razem wzbiły się ku niebu!
To saksońska pieśń pogrzebu!...
Bo nie tobie Sasenachu
Dźwięki dzwonów, śpiew kapłański,
Smutne jęki koronachu,
I grobowiec chrześciański!
Oj nie tobie, tak, nie tobie
Spać w spokojnym cichym grobie!...
Trza ci było w swoim kraju
Wedle ojców obyczaju,
Żyć i umrzéć jak Bóg kazał.
A tyś do nas przyszedł poco?
Abyś gwałtem i przemocą
Ręce twoje we krwi mazał,
I bogacił się grabieżą!
Niechżeż teraz twoje trupy
Drapieżnemu ptastwu łupy,
Na téj szkockiéj ziemi leżą!
Niech tu leżą! niech tu gniją!
Źle ci kończą, co źle żyją!....

XXX.

Czemu tą krwawo zroszoną błonią
Ronald nie pędzi wroga pogonią?
Czyliż potężny miecz klanu Kolli
Krwi się saksońskiéj napił do woli?
Albo pan jego spoczął strudzony?
Nie—miecz gorala jak trzcina w bagnie,
Wiecznie łaknący, wiecznie krwi pragnie,
Krwi Sasenachów ciepłéj, czerwonéj!

I dłoń górala nie tak téż snadnie,
Klajmor puściwszy na dół opadnie,
I nie tak snadnie znuży się pracą,
W któréj się krwawe rachunki płacą.
Gdzież więc jest Ronald? Patrz, tam na dole,
Gdzie te dwie młode szumią topole;
Widzisz minstrelu, rycerz z dziecięciem!...
On je omdlałe bierze w ramiona,
Do bijącego przytula łona,
I macierzyńskiém tuląc objęciem,
Usta swe do ust pazia przykłada.
Ach! twarz się nagle ożywia blada,
I pod gorącém tchnieniem rycerza,
Serce nieśmiałém tętnem uderza.
Czujesz niepewne téj piersi drzenie?
Patrz! patrz! źrenica błysła niebieska,
Srebrna u rzęsy zadrżała łezka.
Boże mój! czyś ty słyszał westchnienie?!!
Ach to westchnienie, mnie się zdawało
Jakby coś cicho—„Ronald"—szeptało;
A głos był dobrze i dawno znany,
Niby śpiéw jakiś z młodu słyszany.
Marzysz rycerzu! dawne wspomnienia
Plączą się w myślach pomimowoli:
Może wiatr ruszył listkiem topoli
I szmer się złączył z echem westchnienia?
Może... tak, może... O biédne dziécię!
Ten pas jedwabny łono ci gniecie;
Rozepnę prędzéj klamrę bogatą,
Niech pierś fałdzistą więziona szatą,
Odetchnie rannych wiatrów powiewem,
Pod tém cienistém topolki drzewem.
Lecz... lecz... rycerzu! Róg się odzywa,
Róg to królewski, ciebie on wzywa...

XXXI.

Gdy młody rumak w porannéj ciszy
Dźwięki rycerskiéj trąby posłyszy,
Rozdyma nozdrze, grzywy najeża
I twardą ziemię kopytem ryje.
Niechże mu wtedy ręka rycerza
Powolne cugle rzuci na szyję,
A zobaczycie, jak to po lesie
Listek osiny uragan niesie!

Tak Edward Brucy skoro postrzeże
Zamku swych ojców wspaniałe wieże,
Zkąd nienawistna chorągiew wroga
Wionęła z lekkiém tchnieniem wietrzyka:
Jakaś krwi żądza nagła i dzika,
Jakaś chęć zemsty straszna i sroga,
Serce mu krwawym przejęła szałem!
On już nic nie wié, nie dba, nie czeka,
Czy tam gdzie hasło dadzą zdaleka,
I z pięćdziesięcią mężów oddziałem
Rzuca się prosto na most zwodzony.
Ach! on szalony! stokroć szalony!
Sam z podniesionym bieży toporem;
Pękły wrzeciądze, brama otworem!...
Chodź Sasenachu! chodź tu dlaboga,
Sprobuj ją zamknąć, na rozcież stoi!
Nie! trup strażnika leżąc u proga,
Będzie pilnował Szkotom podwoi.
Lecz dotąd byłto motłoch nikczemny,
Na cudzą krzywdę złotem najemny;
Ale czy słyszysz krzyk, co się szerzy?
To mężny Klifford swoich zapala.
Lecz cóż ja widzę? O święty Jerzy!
W tłumie Saxonów tartan górala!!...
Allaster z Lornu—Ach! przeniewierca!
Nim krew z bratniego dobyta serca
Pledu twojego barwy ubroczy,
Zrzućże co prędzéj szatę tę z siebie,
Bo Bóg od zgrozy zadrży na niebie,
A święci Pańscy zasłonią oczy!...
— Do mnie rycerze, do mnie tu Lornie!—
Brzmi głos Klifforda niby grzmot z góry,
A pierś co wrogom stawia upornie
Szaniec nad twarde silniejszy mury:
Bo miecz Saxona jak wściekła żmija
Skacze w powietrzu, syczy, zabija,
A Saxon coraz to pcha się daléj,
I coraz Szkotów ciśnie ku bramie.
Osłabło silne Edwarda ramię,
Gorący oddech piersi mu pali.
O synu Szkocyi! wzmóż się na sile,
Na jednę tylko, na jednę chwilę.
Słyszysz jak tłuszcza Saksonów wrzasła
Na znany okrzyk starego hasła,
Który się nagle rozlega w tyle!
„Robert i Szkocya!! krzyczą rycerze,
A stare, czarne zamczyska wieże

Zadrżały na swych kamiennych słupach.
Powrócił dziedzic, dziedzic ich prawy (1),
W straszliwym zgiełku wojenéj wrzawy
Powrócił mściciel depcząc po trupach!!..

XXXII.

Zginął syn zacny Kliffordów rodu,
Trup jego w progu starego grodu,
A krew po mieczu Ronalda spływa.
Szkoda cię! szkoda, młody Saksonie,
Szlachetne serce nosiłeś w łonie!....
Ha! gdy raz pora nadejdzie żniwa,
W ręku rolnika posłuszna kosa
Nie może sobie dobierać kłosa!
I pole walki—wielkato niwa,
A śmierć żniwiarka i nieleniwa
Skoro raz straszną kosę swą ima!
A ciebie Lornie czemu tu nie ma
Pomiędzy temi krwawemi trupy?
Bywałeś z niemi na ich biesiadach.
Na ich igrzyskach, na ich obradach,
Gdy braci twoich szarpali łupy;
Czemuż cię nie ma w strasznéj godzinie
Gdy krew gorąca strumieniem płynie,
Gdy anioł-mściciel na ziemię stąpił!...
Pies, który pana swego odstąpił
Za kawał kości z ścierwem skrwawionem,
Póty się łasi kręcąc ogonem
Dopóki pastwę węszy za ręką;
Ale gdy karmy brakło—nie czeka:
Kość zajuszoną chwyta paszczęką,
I na ustronie gryźć ją ucieka.
Tak uciekł goral w straszliwéj chwili
Gdy młody Klifford upadł raniony,
A cisnąc jeszcze miecz swój skrwawiony
Wsparł się na łokciu, powstać się sili.
„Do mnie rycerze!" woła chrapliwie,
„Do mnie tu Lornie!"— Wtém krew spieniona
Żygła przez sine usta Saksona,
I jako rzekłem—padł kłos na niwie!...
A Lorn północnéj dopadłszy wieży,
Zadyszanego biegiem ogara,
Jakby go mściwa ścigała mara
Pędzi wzdłuż pustych morza wybrzeży.
Wtém biały żagiel ujrzał zdaleka,

(1) Tradycya niesie, iż Bruce przybywszy na wybrzeże Ajrszyru najpierwéj zdobył dziedziczny swój zamek po matce.

Z wiatrem na modréj wzdyma się fali;
To nawa jego w przystani czeka:
Na niéj trzydziestu wiernych górali.
Stanął— odetchnął—pot otarł z czoła,
Obłędném okiem powiódł dokoła
I milcząc słucha strasznych odgłosów,
Które wiatr z tamtéj niesie mu strony.
Wtém zadrżał jakby grotem rażony,
Chwyta za czapkę, zerwał ją z włosów,
I klejmor cisnął, pled precz odrzucił,
W spienione nurty ciężko się rzucił.
Woda się w srebrne rozprysła koła
I góral zniknął jak kamień na dnie.
A minstrel ręce podniósł i woła:
— O Panie! sądy twoje któż zgadnie!!
— Ale minstrelu, tam, tam w oddali,
Coś się na modréj plusnęło fali:
To góral. Widzisz, jak kaczka dzika
Po słonéj toni szybko pomyka
I nurka daje; widzisz go znowu
Szeroką piersią fale rozcina;
Rzekłbyś patrzając, że łeb delfina,
Co się zdradnego lęka połowu.
Ach! już, już blizko, już dopadł łodzi,
Jak bóstwo morskie z piany wychodzi
I polepionym wstrząsając włosem,
Rozkazy groźnym wydaje głosem.
Opadła ciężka lina kotwicy,
Wiosła w góralskiéj jękły prawicy,
Woda się burzy, fala nie czeka,
I podły zdrajca szybko ucieka!...
A w starym grodzie okrzyk radosny
Wzbił się ku niebu brzmiący i czysty:
O święty Jerzy! krzyż twój srebrzysty
Wionął na murach z wietrzykiem wiosny.

XXXIII.

W progu rozwartych zamku podwoi
Król Robert w tłumie rycerzy stoi,
I miecz skrwawiony w prawicy trzyma,
A pierś ścieśnioną westchnienie wzdyma.
— „O druhy moje! o bracia moi!
Chodźcie tu wszyscy! chodźcie w ramiona!
Niech was przytulę do tego łona,
Do tego serca z pod twardéj zbroi!....
Jam już nie tułacz, co pokryjomu
Do ojców swoich skradał się domu;

Jam nie wygnaniec: głowa ta siwa
Spocznie gdzie stary rodzic spoczywa
Pomiędzy swemi ojce i dziady.
Bracie Edwardzie! wznieś w górę czoła,
Spojrzyj tém jasném okiem sokoła
Na te sklepienia, łuki, arkady!
Tutaj dziecinne brzmiały nam śmiechy,
Tutaj młodzieńczych gwarów uciechy,
Tutaj rycerskiéj pieśni biesiady.
I niechże tutaj czystemi dźwięki
Zabrzmią ci Boże słowa podzięki,
Za to, żeś matce syny powrócił,
Pychę ukorzył, chciwość ukrócił.

XXXIV.

— „Dajcie mi cztery stare puhary,
Których rzęd w skarbcu zamkowym stoi (1);
Dajcie mi cztéry złociste czary,
Z których pijali ojcowie moi!
Ja w te puhary naleję wina,
Naleję pełno, po same szyje,
I do każdego ziemi téj syna
Z takiém zaklęciem wino przepije:
Póki w téj całéj szkockiéj ziemicy
Zostanie jedna Saksońska głowa,
Póty przez imię Bogarodzicy
Żaden Szkot miecza w pochwę nie schowa.
I nie żałując zdrowia ni mienia,
Żony ni dzieci, ojca ni brata,
I wszystkich próżnych marności świata,
Poświęci wszystko—kromie sumienia!
A kto téj strasznéj przysiędze skłamie,
Komu zbyt wcześnie znuży się ramię
I święty zapał wygaśnie w łonie:
Niech wieczna hańba spadnie na tego!
Niech go jak syna wiarołomnego
W wnętrznościach swoich ziemia pochłonie!"
Tak mówił Robert. Rzędem dokoła
Rycerze szkoccy siedzą u stoła.
Pstre i barwiste pledy górali
Migoczą w zbroic hartownéj stali,
A złoty puhar krąży koleją
I siwe bardy pieśni im pieją.

(1) Puhary te zwały się *mazers*. Zobacz spis skarbcu Jakóba III.

O Słowianach, podług Jornandesa.

PRZEZ

Andrzeja Kucharskiego.

Jornandes albo Jordanes z rodu Gotów, podług innych ze krwi alańskiéj (ob. Lelewela Narody na ziem. słow. str. 121) (1) żył w połowie VI wieku po Chr. i w dziele swojém *de gothorum origine et rebus gestis* piérwszy mówi wyraźnie o Słowianach pod własnym ich imieniem, zowiąc ich *Sclavini* albo *Sclavi*. Podanie to jest z r. 552. Tenże autor wspomina ich już pierwéj pod r. 376, kiedy byli zawojowani przez Ermanaryka króla Gotów (rozdz. 23). Pod tymże samym rokiem 552, podług innych 562, jakoby na potwierdzenie pewności bytu Słowian w Europie, wspomina o nich Prokopiusz pisarz bizantyński w dziele *de bello gothico*, zowiąc ich *Sklabénoi*, co się podług nowogreków także czyta *Sklavini*. Wydań czyli edycyj tych dzieł tutaj nie przytaczam. Znajdziesz je u Szafarzyka Slowanske starožitnosti (w Praze 1837) na str. 962 i 965. „U Jornandesa, mówi Szafarzyk (na str. 187 rzeczonego dzieła) nieco więcéj (niż u Prokopa)" dobrych wiadomości o narodach północnéj strony Europy, a zwłaszcza większa znajduje się liczba nowych narodowych imion do historyi tego wieku należących: jednakże, częścią, że krótkość i niejasność tych podań do

(1) Ja go zowię zawsze Jornandesem albo Jornandem, nie Jordanesem albo Jordanem, aby go wyraźniéj rozróżnić od Jordana nowożytnego pisarza, królewsko-czeskiego nadwornego radcy, który pisał *de Originibus Slavicis*, *Wiedeń* 1745 fol.

usunięcia wszelkiéj ciemności nie wystarcza, częścią, że dotychczasowy text Jornandesa jest niepoprawny, a zapewne i same te imiona już pierwiastkowo poprzekręcane; licha ta pomoc nanic jest prawie nieprzydatna. Ta chmara imion zepsutych i bezmyślnych przetwarzała (przemléwała) się przez X wieków aż do czasu *naszego Nestora*, który nam znowu bramę do ojczyzny narodów północnych od Ptolemeusza aż do jego doby zamkniętą, otworzył, i z narodami szczepu słowiańskiego, czudskiego i litewskiego lepiéj nas obeznał.

Dowodem sprawiedliwości zdania p. Szafarzyka jest miejsce w Jornandesie o granicach Słowiańszczyzny, które dotąd przez nikogo, jako niepoprawne nie zostało wyjaśnione, a o którym Szafarzyk mówi (str. 965 rzeczonego wyżéj dzieła) że „na dobrém czytaniu i wykładzie jego, bardzo wiele historyi naszéj (słowiańskiéj) zależy."

„Sclavini" pisze Jornandes w rozdz. V „a civitate Novietunense et lacu, qui appelatur *Musianus*, usque ad Danastrum, (Dniestr) et im boream Vistula (Viszla, Wisła) tenus commorantur."

Co do tych dwóch imion *civitas Novietunensis* i lacus *Musianus* zadał sobie Szafarzyk wielką pracę. Zaglądał do wszystkich Jornandesa rękopisów, i wszystkich drukowanych wydań tego autora: spisał rozmaitość czytań czyli lekcyj, podał swoje i różne różnych domysły, i w końcu zostawił nas w ciemności. Idzie tu o rzecz ważną, bo o granicę zachodnią szczepu słowiańskiego w połowie wieku VI.

Ale gdzież jest civitas *Novietunensis* i gdzie przy nim lacus *Musianus*, *Morsianus*, *Mysianus* czy *Moesianus?* Wszystkie geografie starożytne i średniowieczne w téj mierze nas opuszczają, wszelkie dotychczasowe domysły nie trafiają do przekonania, jako nieprawdopodobne (1). Żeby dojść do prawdy, potrzeba sobie jasno wystawić stan owczesnéj Europy, granice państw, i innych prócz Słowian narodów. Wiadomo także, że każdy autor częstokroć się w drugich miejscach sam przez się tłumaczy i wyjaśnia. Zaczniéjmy od tego drugiego środka; może natrafimy na ślad jaki. W istocie; w tymże samym rozdz. V Jornandesa czytamy: „Scythia siquidem Germaniae terrae

(1) Ob. Przekład ruski Szlecerowskiego Nestora przez Jazykowa. Petersburg. 1809. Tom I, str. 127. tudzież: Schaffarik: über die Abkunft der Slawen. Ofen. 1829, str. 114 i nast.

confinis, eotenus, ubi Hister (Dunaj) *oritur* (1) amnis, vel stagnum dilatatur *Musianum, tendens usque* ad flumina Tyram (Danastrum) et Vagosolam (Boh) magnumque illum Danaprum" (Boristhenes, Dniepr) i t. d.

Wiemy gdzie są źródła Dunaju: w kraju teraz Badeńskim około Donau-Eschingen. Obszernie opisuje to uczony Katanczyc w dziele *de Istro ejusque accolis.* Budae 1798, cap. III § 13 p. 35 et sequ. Tamże u źródeł Dunaju, musi być i stagnum *Musianum*: bo wyraźnie mówi autor: „ubi Hister oritur *vel* stagnum dilatatur Musianum." A któreż to jest teraz jezioro w blizkości źródeł Dunaju, coby się szeroko rozlewało (dilatatur); odpowiedź łatwa, że jest tak teraz nazwane *Bodensee.* Ale jezioro to zwało się dawniéj lacus *Acronius. Brigantinus, Venetus, Potamicus* vel Bodamicus (2), zkądże nazwa *Musianus* lub jéj podobna, jak się je wyliczało wyżéj.

Nie mamy jeszcze geografii historycznéj, którąby wszystkie nazwy wyczerpała. Ale przecież źródeł mamy nieco więcéj. I takiém źródłem rzeczy, o którą tu idzie jest dziełko następujące: tytuł ozdobny; Lacus Potamici olim *Moesii* et Acronii, nec non confinium sub nomine Constantiae sacrae et profanae descriptio: authore Gabr. Bucelino 1668 tyt. główny: Constantia Rhenana lacus *Moesii* olim, hodie Acronii et Potamici Metropolis sacra et profana; Ethrusca, Moesia, Harudica, Alemannica, Romana, Gallica, Teutonica, Austrica auth. Gabr. Bucelino. Francofurti ad Moenum 1667." Godnem jest nawiasowo uwagi, że nie *germanica* ale *teutonica.* Wszystkie te przymiotniki okazują, do którego państwa, narodu lub prowincyi należało podług autora w ciągu wieków miasto Konstancya (Constanz). Przydana jest mappa Lacus Potamici i jego okolic. W pośrodku jéj wpada od razu w oczy jezioro *Bodensee* z napisem: Lacus Moesius sive Acronius hodie Potamicus. Tak więc teraz, za pierwszym rzutem oka staje się jawną rzeczą: że lacus *Musianus* a raczéj *Moesianus* Jornandesa jest lacus *Moesius* Bucelina. Z dedykacyi i textu dzieła Bucelina, obejmującego str. 368 i 172 in 4-to dowiadujemy się, że miasto Constantia, teraz po

(1) Niektórzy sądzą, że *oritur* znaczy ujście Dunaju; ale to bardzo fałszywie; bo niżej pisze Jorn. że *Ister* stanowił granicę południową Scytyi *ab ostio usque ad fontem* ob. Lelew. Narody str. 556. Od ujścia Dunaju do Dniestru to byłaby tylko Bessarabia.

(2) Potamicus od miasta Potamum teraz Bodmann na zach. brzegu. Ueberlinger See, które jest częścią Bodensee. Ob. Atlas Weilanda.

niem. Konstanz lub Kostnitz, po czesku Kostnica nad jeziorem Bodensee w księztwie badeńskiem, zwało się dawniéj *Mesopolis* lub Moesiopolis od jeziora *Moesius*: zwało się także *Vitodurum*, *Harudes* vel *Harudopolis Ganno*, lub *Gaunodurum* i *Ambtodurum*. Nazwy te zdają się być słowiańskiemi: Mezopole (Miedzopole lub Między pole, t. j. pole między jeziorami) Witowdwór, Hrad (Gorod, Gród), Hradopole. Konodwór i Obodwór. Rzymianie nazywali je następnie Valeria, castrum Aquarum, Augusta Turgajorum. Nazwa Constantia pochodzi ze średnich wieków.

Lacus Moesius vel Moesianus, lepiéj Mesianus, pol. jezioro Miedzne zdaje się mieć nazwę od miasta nad niém położonego Mesa (sł. Meza pol. miedza) teraz wieś *Moos* leży na zachodnim brzegu jeziora Untersee (Lacus Venetus, co stanowi zachodnią część jeziora Bodensee) pod miasteczkiem Rudolfzell na PdZ. (patrz na atlasie Streita).

W istocie jezioro Bodensee z przyległościami stanowiło i stanowi podziśdzień miedzę, krajnicę czyli granicę między różnemi i krajami i narodami. Ale dosyć już tymczasem o nazwie Moesianus; zobaczmyż teraz, czy nie znajduje się tu w bliskości *civitas Novietunensis*. A! jest właśnie Noviodunum teraz *Nyon* na zachodnim brzegu jeziora Genewskiego. (Genfer See, Lac Leman). Zamiast Noviodunum piszą niektórzy Noviotunum i Nevidunum, a po sł. Nowotyn (Nowy Tyn? porów. pol. Tyniec), lub Nowocin od nowota. ob. Kollara Stara Italia str. 140.

Tak więc granica Słowiańszczyzny zachodnia w VI wieku idąc od Nowotynu (Nowego Tynu) słowiańskiego: bo w niektórych rękopisach Jornanda przypisano wyraz *Sclavinorum*, i prowadząc nas do jeziora słowiańskiego (Lacus Venetus) Miedznym zwanego (Mesius v. Mesianus), obejmowała w sobie całą Helwecyą właściwie Helmecyą albo Chelmecyą od helm, chełm=góra, czyli teraźniejszą Szwajcaryą. Jakoż w Szwajcaryi jest zakątek, gdzie dodziśdnia mówią po słowiańsku (ob. Szaf. słow. staroż. p. 918 i Kollara st. Ital. p. 145). Obejmowała daléj Vindelicyą t. j. ziemię Windów czyli Słowian; Recyą (Rhoetia), Noryk. Pannonią, i dalsze prowincye po obu stronach Dunaju ku wschodowi aż do Dniestru (usque ad Danastrum); bo od téj rzeki jeszcze daléj ku wschodowi aż do Dniepru, żył inszy naród tegoż szczepu. Zowie go Jornandes Antami. „An-

tes vero qui sunt eorum fortissimi, qua ponticum mare (morze Czarne) curvatur, a Danastro extenduntur usque ad Danaprum." *Antes* zdaje się być zepsutym wyrazem z *Wenden* powstałym, co my także przez Słowian tłumaczymy. Ale rozwodzić się teraz nad tem nie mam na celu. Ciekawych odsyłam do Szafarzyka Słow. star. p. 459—463. Lelew. narody 559 i Bielowskiego Wstęp do dziej. Pol. p. 461, 201 i nast. Wykład wschodnich granic słowiańskich odkładam tą razą do czasu późniejszego. Wróćmy się teraz raczéj do rzeczy.

Wyłożyliśmy dotąd i objaśnili text Jornandesa co do granic zachodnich, częścią z niego samego, częścią z pozostawionych nam źródeł historycznych i geograficznych: pozostaje wytłumaczyć nazwę Scytyi, sięgającą aż do źródeł Dunaju w połowie VI wieku. *Scythia siquidem Germaniae terrae confinis, eotenus ubi Hister oritur amnis vel stagnum dilatatur Moesianum, tendens usque ad flumina Tyram, et Vagosolam, magnum que illum Danaprum.*

Otwórzmy np. atlas historyczny Krusego (Leipzig, 1841) i zobaczmy mappę Europy z r. 500 po Chr. Na piérwszy rzut oka spostrzegamy, że owéj wielkiéj Germanii (Germania magna) która podług Ptolemeusza miała się rozciągać aż do Wisły, wcale tu nie masz. Za czasów Jul. Caesara znajdowała się Germania prima et secunda na lewym brzegu Renu. Być może, iż za czasów Tacyta i Ptolemeusza i nieco po nich między Renem a Wisłą, w niektórych przynajmniéj stronach, panowali nad ludem słowiańskim albo go tylko najeżdżali Germanie (czy Niemcy?) (1) co im dało pochop do nazwy tego kraju Germanią wielką. Ale żeby pierwiastkowo *ab origine* ziemia ta miała być germańską (t. j. teutońską, niemiecką) na to nigdzie niemasz dowodów. Owszem przeciwnie, wiele jest śladów, że w czasach przedhistorycznych mieszkali w niéj wyłącznie Słowianie, jak o tém powiem nieco niżéj.

Przy końcu 500 r. (ob. Krusego) pokazują się tylko *Saxones* przy ujściu Elby (ob. Schoettgen Dyplomat. Nachlese Drezd. 1731 V str. 1). Wiemy zaś z pewnością, że we Fryzyi (ob. Szafarz. Słow. star. p. 888 i nast.) i w Turyngii (w Turzynie?) siedzieli pierwiastkowo Słowianie (ob. Lelew. narody p. 632 i Szulca Pomorze. 32).

(1) Ob. niżéj co pisze Jul. Caesar.

Niemcy więc, *Teutones* co przed Jul. Cezarem wyszli z północy, z Danii i południowéj Szwecyi, *Scandinavia*, zaczęli się dopiero w V wieku na prawym brzegu rzeki Renu wyraźnie sadowić (1).

Ale zkądże Scytya ma się rozciągać w szóstym wieku na zachód aż prawie do Renu, bo do źródeł Dunaju? Oto ztąd podobno, że Ostrogotowie, wtenczas właśnie, kiedy pisał Jornandes, ich ziomek, zajęli byli pod swoje panowanie nie tylko całe Włochy, ale nadto kraje od Epiru, Macedonii, Tracyi i Mezyi dolnéj (Bulgarya) w kierunku Pn. Z. aż do jeziora Bodensee, tak: że Mezya wyższa (teraz Serbia), Dalmacya, Kroacya, Pannonia (część PdZ. Węgier) Noryk, Recya, Windelicya (Austrya, Styrya, Kraina, Karyntya, Tyról, Bawarya połud. i Wirtemberg) do nich należały. (ob. Krusego z r. 500). Poznali więc Goci zbliska różnicę między Teutonami (lat. Germani) a Słowianami. A że kraj na Pn Dunaju należał do Słowian, a *Sclavinią* zwali w szczególności kraj na prawym brzegu Dunaju (i téj Sklavinii są jeszcze szczątki wschodnie pod imieniem *Slawonii* między Drawą i Sawą na prawym brzegu Dunaju) (2), Sarmacya zaś była wówczas tylko na wschód Wisły, a nazwę Germanii przywłaszczyli sobie wyłącznie Teutonowie; nie pozostawało więc, jak tylko nadać dawną nazwę krajom leżącym na lewym brzegu Dunaju, nazwę *Scytyi* zaludnioną przez Słowian, a oswobodzoną od Hunnów. „Stykały się na zachodzie Scytya z Celtyą"

(1) Pisarz bizantyński *Sosimus* (III. 1) opowiada nam, że około r. 354 napadli na prowincye rzymskie nad Renem: „Quum autem videret (Constantius) omnes Romanis subditas provincias, barbaricis in cursionibus interceptas *Francos* et *Alamanos* et *Saxones* jam 40 sitas ad Rhenum urbes cepisse prorsus easdem devastasse, cives et incolas in finitae multitudinis cum innumerabili spoliorum copia secum abduxisse etc." Oto ślad wpływu Niemców nad Renem.

(2) Niektórzy sądzą, że Sclavini podług Jornandesa (Lelew. Narod. 554 i n.) mieszkali tylko na lewym brzegu Dunaju, do którego rozciągała się Scytya. Gdyby tak było, to tylko teraźniejsze królestwo Würtemberskie, północna połowa Bawaryi, Czechy, Morawia, Węgry i Dacya (t. j. Zalesie czyli Siedmiogród), Wołoszczyzna i Mołdawija aż do Dniestru stanowiłyby Sklawinią. W istocie i tu albo żyją dotąd Słowianie, albo znajdujemy ich ślady, jakoto w Bawaryi północnéj (t. j. Frankonii, Moinvinidi; ob. Lelew. Narody str. 664) i Würtembergu. Co do Dacyi nie mogę pominąć tu odkrycia p. Wacł. Maciejowskiego, który dowodzi z nazwisk roślin po dacku w dziele Dioskoridesa z wieku I po Chr. *de Materia medica* umieszczonych, że Dakowie byli niezawodnie Słowianie (ob. Lelew. Narody str. 490). Mnie się zdaje, że Słowianie żyli po obu stronach Dunaju *od jego źródeł aż do ujścia*: bo gdyby żyli tylko na lewym brzegu Dunaju, to Jornandes nigdyby nie był oznaczał ich granicy od miasta Nyon (Noviodunum) nad jeziorem Genewskim.

mówi jeszcze Pliniusz (ob. Maciej. Suevi, Bibl. War. 1853 r. 2 p. 409). Zdaje się, że na przeszło 100 lat pierwéj, jeszcze się ten kraj Scytyą napowrót nie nazywał: bo pisarz bizantyjski z V wieku Zosimus opowiada (V 26) że za cesarzów Honoryusza i Arkadyusza 405 r. *Radagast* niejaki zebrawszy wojska 400,000 z narodów zadunajskich i zareńskich, z celtyckich i germańskich, do Włoch wkroczyć zamyślał; ale go Stelichon (Stylikon) uprzedził, i przeszedłszy Dunaj zupełnie pobił"

Narody zadunajskie i zareńskie są to Słowianie w Germanii Ptolemeusza, a w Scytyi Jornanda żyjący, czego zdaje się dowodzić nawet nazwa ich wojewody Radagasta. Jeżeli wyrazy z *celtyckich* i *germańskich* są tylko *appozycyą*, to tylko dowodzi, że wówczas Celtowie i Germanie, (jeżeli znaczą Niemców) już byli prowincye niektóre słowiańskiéj ziemi na lewym brzegu Dunaju i na prawym Renu opanowali. Trzeba tu zawsze pilnie nazwy polityczne od etnograficznych odróżniać.

Zobaczmyż teraz granice Scytyi słowiańskiéj na północ. „*Ab Arctoo id est Septentrionali circumdatur* (Scythia) Oceano. (Morzem czy tylko Baltyckiem czy i niemieckiem Nordsee)? Lecz poprowadziwszy linią od jeziora *Bodensee* albo od źródła Dunaju ku północy, pokaże się, że całą Germanią Ptolemeusza Jornandes Scytyą zowie. Kiedy więc czytamy w tymże Jornandesie, że „Scythia habet ab occidente Germanos et *flumen Vistulae*", przekonywamy się wyraźnie, że *Germanos* trzeba rozumieć tych, co nad Renem mieszkali a wyrazy *flumen Vistulae* są oczywistym przypiskiem późniejszego kopisty, nierozumiejącego Jornanda i nieznającego rzeczy, ale pełnego dobrych chęci dla wielkości Germanii (w znaczeniu Teutonów czyli Niemiec). *Germania magna* między Renem a Wisłą! która jakeśmy dopiéro co wyżéj powiedzieli była wówczas etnograficznie słowiańską.

A teraz: co znaczą słowa Jornandesa (cap V): „In qua Scythia prima ab *occidente* gens sedit *Gepidarum*." Gdyby naród Gepidów miał siedzieć w zachodniéj części Scytyi, piérwszy na brzegu granicy: musiałby mieszkać u źródeł Dunaju, bo wyżéj powiedziano, że Scytya ogranicza się od południa „Danubio, ab ostio suo usque ad fontem." Tu wyraźnie miejsce zepsute, i niepowinno być ab *occidente*, ale ab *oriente*. Ale *ab oriente* nie ma się rozumieć *Scythiae*, jak sądził kopista, co go

do zamiany *oriente* na *occidente* przywiodło, ale ab oriente Regni Ostrogothorum (ob. Krusego atl. hist. mapp. z r. 500).

Gepidowie zajmowali wówczas Zalesie, t. j. Transsylvanią czyli Dacyą na wschód względem państwa Ostrogotów leżącą. Z lewego jéj brzegu ku północy, mówi Jornandes rozd. V, a więc od Dacyi na PnZ; zdaje się że z północnéj strony Karpat, od źródeł Wisły (bo do źródeł jéj żyli Sklavini, ob. wyżéj) na niezmiernéj przestrzeni osiadł ludny naród Winidów (Słowian).

Od źródeł Wisły w stronie północno zachodniéj, a więc w Germanii Ptolemeusza, żyli Słowianie podług Jornandesa czyli w Scytyi słowiańskiéj podług tegoż autora: tak go trzeba rozumieć skoro pisze, że Słowianie poczynali się od miasta *Noviodunum* (Nyon) i jeziora Moesianus (Bodensee) a nie tak jak Niemcy piszą jakoby Słowianie rozciągali się ku wschodowi dopiéro od prawego brzegu Wisły (ob. Lelew. Narody p. 554 i 556, *co tylko rozciąga się na wschód Wisły)* czego w Jornandesie nie ma (ob. text Jornandesa u Lelew. p. 555). Sprawiedliwiéj uważa Lelewel p. 557 że: „Słowianie szeroko po obu stronach Wisły przebywali."

Przebieżmy teraz w krótkości ślady szczepu słowiańskiego w prowincyach Germanii wielkiéj Ptolemeusza czyli Scytyi zachodniéj albo słowiańskiéj Jornanda. Co się tyczy Szwajcaryi (Helvetia) dosyć jest zajrzeć do Szafarzyka Słow. starożytności (str. 918) i Kollara st. Italii, we Widni 1853 str. 137 i nast. Obadwa piszą o słowiańszczyznie w Szwajcaryi, z tą tylko różnicą, że Szafarzyk ma tam Słowian za późniejszych i cząstkowych przybyłców, kiedy Kollar ze starożytnych już autorów dowodzi, że była niegdyś całkiem słowiańską, i zdanie jego zupełnie potwierdza nasz Jornandes. Toż samo rozumie się o Windelicyi, *Rhaetii*, i *Noricum* (t. j. Bawaryi połud. Tyrolu (1), Austryi Styryi Karyntyi Karniolii). Starożytna Svevia, teraz Baden, Würtemberg i zachodnia Bawarya, tudzież średniowieczna Frankonia (teraz Bawarya północ.) że były słowiańskiemi, dowodzi uczony Grimm, Niemiec, który dobrze czuje, ile tam jest elementów nieteutońskich (ob. artykuł Wacł. Macie-

(1) Warto jest przeczytać rozprawę p. t.: Die *Alpen-Etrusker* v. *Koch. Leipz.* 1853 w któréj choć nie ma wzmianki, o Słowianach każdy jednak Słowianin znajdzie tam (str. 10) swoich braci, Turodzeńców (Turasenne), Tutejszych (Tusci); ob. Kollara Stara-Italia str. 209 i nast. i Szafarzyk znajduje w Tyrolu Słowian, str. 713.

jowskiego o Swewach w Bibl. Warszaw. 1853 T. 2 str. 405 i nast. także Szulca Pomorze, Warsz. 1850 str. 34). O Moinwinidach t. j. Słowianach nad rzeką Menem u Lelew. Narody, str. 664 i Szulca Pomorze str. 38. Że Bawarya była słowiańską ob. Szafarzyka Słow. Staroż. str. 917. Że w prowincyach nadreńskich i Westfalii żyli Słowianie, o tem się sam przekonałem, wypisując nazwy miejsc do mego topograficznego słownika niemiecko-słowiańskiego, który mam już cały w rękopisie. W Hessyi np. na Pd, od miasta Darmstadt pod wsią Zwingenberg (przy kolei żelaz.) niedaleko wschodniego brzegu Renu, jest góra *Melibocus*, pewno nie greckiéj, jak Niemcy twierdzą nazwy, lecz słowiańskiéj: Miły-bóg lub Biały-bóg w téjże prowincyi rzeka Weschnik, słow. Weśnica.

Północno-Zachodnia Germania była całkiem niegdyś słowiańska. Mappy obejrzeć można u Szulca, Pomorze Zaodrzańskie, Warsz. 1850. Gebharda Geschichte der Wend. Slaw. Staaten, Halle 1790, w 1szym tomie Historyi Naruszewicza; u Lindego Vincent Kadłubek, u Lelew. Dzieje polski i w atlas. do Histor. śred. wieków tab. VI; Polska śred. wieków; Bułgarina Rossya (Historya tom 1) i t. d.

O tych stronach, czy były pierwotnie niemieckie czy słowiańskie, ciekawe są dwie rozprawy w Rocznikach meklemburskich *Liszta* wydane. W tomie VI. Dr. Fabricius dowodzi, że były niemieckie, a w tomie IX pastor. Boll zbija swego przeciwnika stanowczo, dowodząc, że były od wieków słowiańskie. Obie rozprawy umieszczone są na czele w rzeczonych tomach. Dla uwieńczenia dowodów Pastora Boll, wypisuję tu ze znakomitego w Niemczech Boettigera Kleine Schriften, Leipzig 1850 tom 3 str. 18 co następuje „Die Scandinavischen und Germanischen (zam. *Teutonischen*) Voelker begruben frueher ehe sie verbrannten. Wir wuessen aus den alten Sagen, dass erst der dritte Odin das Verbrennen einfuehrte. Die *Slawischen* Voelker aber, als grosse Goetzen u. Fetischdiener verbrannten ihre Todten von den *fruehesten* Zeiten an." A więc *najdawniejsze* popielnice czyli urny, które po całych Niemczech wykopują, są oczywistym dowodem wyłącznego niegdyś pobytu Słowian w Germanii Wielkiéj Ptolemeusza czyli Scytyi słowiańskiéj Jornandesa między Renem a Wisłą; bo Niemcy nie palili ciał, lecz je grzebali, i dopiéro późniéj przejęli obyczaj Słowian, któ-

rzy od najdawniejszych czasów ciała palili i popioły z kości w urnach zachowywali.

Co do prowincyi wschodnich teraźniejszych Niemiec, niema żadnéj wątpliwości, że były i są dotąd słowiańskie. Chcieli wprawdzie niektórzy *Teutomany* dowodzić, że Niemcy, którzy żyją w górnym Szlązku, są, jakto mówią, *Autochtones* albo *Aborigines* t. j. tuziemcami, turodzeńcami, czyli *primi occupantes*, potomkowie owych Germanów (Niemców) o których Tacyt pisał; ale tych panów wywiódł z błędu uczony Stenzel (w Urkundensamm lung zur Geschichte v. Schlesien u. d. Oberlausitz. Hamburg 1832 4to). Oto początek jego przedmowy; „Kraje, mówi Stenzel, które się na wschód od Elby, aż do ujścia Sali, a od téj rzeki aż do gór Szumawy (Boehmerwald) rozciągają: strony na *południe* Dunaju ku rzece Mur, Drawie i Sawie, były piérwéj prawie całkiem przez lud słowiański osiedlone, a nawet na *zachodnim brzegu rzeki Elby* w kraju Luneburskim (Hannower), w staréj Marchii (Brandenburg), daléj w Turyngii (Saxonia), Frankonii, nad rzekami Regnitz i Pegnitz (teraz północna Bawarya) i w teraźniejszéj Austryi (właściwéj) posiadali znaczną przestrzeń. Teraz w tych krajach, jakoteż w Karyntyi, Krainie, Styryi, w znacznéj części Czech i Morawii, w królestwie i księztwach saskich, w Łużycach, (Lausitz Luzacya) w Marchijach (w Brandenburgii) w Szląsku i na Pomorzu, w Meklemburskiem, na wyspie Rugii i w księstwie Holsztyńskiem prawie całkiem wyginęli. Większa część tych prowincyj stała się wyłącznie niemiecką. Tylko historya podaje jeszcze wiadomość o starych mieszkańcach, mała tylko liczba zatrzymanych słów, *imiona wielu miejsc* i niektórych szlacheckich familij, i małe pojedyncze okręgi słowiańskie, świadczą jeszcze żywo o znikłym tu narodzie. Jak się to powoli w ciągu wieków stało, jak się Niemcy rozpostarli od Elby do Odry i Wisły (a nawet poza Wisłą nad Baltykiem), jak przeszli góry czeskie i posunęli się na dół aż do Istryi, zbadać to gruntownie, pozostaje jeszcze ważnym dla dziejopisarza przedmiotem."

Na str. zaś 119 wyliczywszy dyplomata dla kolonistów i przywiodłszy je z r. 1203 mówi Stenzel: „Hier haben wir nun den Urkundlichen Beweis, der kurz vor dem Jahre 1203 bewuerkten Ansiedlung fremder Kolonisten, unstreitig groesstentheils Deutscher, *in einer Gegend, welche man hat fuer ur-*

spruenglich von Deutschen bewohnt ansehen wollen." Tu mamy teraz dyplomatyczny dowód osiadłych świeżo przed r. 1203 obcych kolonistów, zapewne po większéj części niemieckich, w stronie, którą chciano uważać za pierwiastkowo przez Niemców (Teutonów) osiedloną.

Zdaje się, że pierwiastkowo przez Germanów rozumiano Słowian; nazwę tę przyjęli potém Teutonowie, zatrzymawszy swój język. Podobnież w późniejszym czasie postąpili sobie Teutonowie, co Prusów szczepu słowiańskiego czy litewskiego zawojowali. (I nam Polakom podobało się długi czas nazywać się Sarmatami tylko że w stosunku przeciwnym, bo nie Słowianie Sarmatów, lecz Sarmaci Słowian pokonali byli).

Jul. Caesar w ks. 2 de Bello Gallico § 4 i 29 wyraźnie czyni różnicę między Germanami i Belgami, a Teutonami i Cymbrami. „Aduatici (mówi w § 29): ipsi erant ex Cimbris Teutonisque prognati" (Niemcy). Godnem jest uwagi, jak przemawiają do Jul. Caesara (B. G. II 31). Podobno, że przy ujściu Renu za Jul. Caesara stykały się trzy narodowości: 1 Celtowie czyli Gallowie, teraz Francuzi, po słow. Wlach, zkąd łać. Flaccus; 2 Germani, co pierwiastkowo zapewne znaczyło Słowian; 3 Teutones. (Deutsche, Niemcy, także Saxones, Sasi) przybyli od ujścia Renu i zapewne z Danii, jako zdobywcy pewnego obrębu ziemi (ob. Jul. Caes. B. G. IV 10 i Schoettgena V, 1), których podobno naprzód Rzymianie Germanami nazwali, nieczyniąc między panami i poddanemi (celtyckiemi i słowiańskiemi) co do pochodzenia rodowego żadnéj różnicy. Nazwę tę przyjęli potém i sami *Teutones*, przynajmniéj pisząc po łacinie) lubo w Pomorskich po łacinie pisanych dyplomatach nie używają się nigdy wyrazy *Germanice*, ani też Vindice, Vandalice, Scythice v. Sarmatice, ale zawsze Teutonice i Slavice. Widać, że wyraz *Germanice* począwszy od X wieku a może już pierwéj, jako obojętny, oznaczający oba plemiona, t. j. niemieckie i słowiańskie, nie mógł być więcej używany. Podobnie za dni naszych wyraz *hungarice* stał się niedostatecznym do oznaczenia narodowości, skoro wszyscy poddani różnych plemion w *Węgrzech*, zaczęli się nazywać *Hungarami;* wszedł więc w używanie wyraz *magyarice* na oznaczenie przybyłców panujących: bo tak się w swym języku nazywają.

Ale kończę już na tém, bo właściwie zadaniem mojém było wskazać tylko prawdziwą granicę dawnych Słowian etno-

graficzną na zachodzie podług Jornandesa w połowie VI wieku. Wypadek jest ten, że I. Vinidi (Veneti) mieszkali od Germanii zapewne niemieckiéj nad Renem aż poza Wisłę daleko na wschód do narodów fińskich, zapewne do rzeki Moskwy, (Thiudi, Vasina, Merens, Mordens, Sremniscans i t. d. podług Nestora Czudy, Weś, Merya, Mordwa, Czeremissa, (ob. Szaf. Słow. Starož. str. 252. Mappy do hist. ross. Ustryałowa i atlas his. ros. Pawliszczewa w Warsz. 1845) i od źródeł Wisły aż do morza Baltyckiego przez całą jego południową rozciągłość. II. *Sclavini* (Sclavi) żyli ponad Dunajem od źródeł jego aż do ujścia czyli raczéj do Dniestru, a na północ do źródeł Wisły. III. *Antes* zowią się Słowianie żyjący między Dniestrem a Dnieprem.

Nam hi (Veneti) ab una stirpe exorti, tria nomina edidere, i. e. Veneti, *Antes*, Sclavi (cap. 23). „Vinidarum natio populosa quorum nomina licet nunc pervarias familias et loca mutentur, principaliter tamen *Sclavini* et *Antes* nominantur (cap. 5).

Nasze stare nazwy są: *Słowianie* i *Serby*. Vinidi, Veneti, a może i Antes przeszło na niemieckie *Wenden* (tak Niemcy Słowian i Serbów nazywają). Nazwa *Antes* Słowianom jest nieznana, i nie masz też teraz języka, w którymby *Antes* Słowian lub Serbów znaczyło.

Myśl autora jest ta. Jest w Scytyi (rozumié się *katexochen* par preference) naród, który zowią w różnych stronach różnie: Vinidi, Veneti, Antes, Sclavini, Sclavi: ale to jest wszystko jedno. Wziąwszy więc trojakie ich granice w jedno: były w ogóle granice etnograficzne (mówię etnograficzne nie polityczne) Słowian w VI wieku od Renu (1) poza Dniepr do rzeki Moskwy; i od morza Baltyckiego (w całéj jego rozciągłości połud.) aż daleko poza Dunaj. Ta massa słowiańszczyzny posuwa się zwolna i prawie nieznacznie ku wschodowi. W X wieku była już zachodnia jéj granica nad Elbą i zwała się *Limes Sorabicus*. Następnie aż do wieku XIX jeszcze daléj w tymże kierunku postąpiła.

(1) Godném jest uwagi, że i granica Scytyi, i granica Sklawinów zaczyna się na Zachodzie podług Jornanda à lacu *Moesiano*, t. j. Bodensee na rzece Renie.

Pisałem w Warszawie,
w mies. lipcu 1854 r.

DLACZEGOŚ SMUTNY?

Dlaczegoś smutny, i w naszém gronie
Jakby niechętny towarzysz?
Gdy my weseli, ty gdzieś na stronie;
Gdy my gawędzim—ty marzysz?

A oczy twoje w słup postawione,
Znać za myślami gdzieś biegą,
I ani spojrzą w tę gdzie my stronę:
Dlaczegoś smutny, dlaczego?

—Dlaczegom smutny? Ot smutek spadnie
Nim myśli o nim ostrzegą,
Bo któż natury tajnię odgadnie,
Kto spyta serca—dlaczego?

Potok z gór lecąc mruczy i pieni,
Chwile jak wody z gór biegą;
Echo głos niesie, maj się zieleni,
Zapytajże ich—dlaczego?

Gdy czarę serca przepełni czucie,
Choć czuć, to rozkosz prawdziwa;
Jest na dnie duszy jakieś uczucie,
Które się smutkiem odzywa.

A głucho w sercu, i taka cisza,
Że głos w niéj ginie wesela;
Rad jesteś z smutku, jak z towarzysza
Co twą samotność podziela.

Patrz długo w niebo i w gwiazd otchłanie:
Naprzód cię podziw owładnie,
Potém westchnieniem przerwiesz dumanie,
I smutek zkądeś się wkradnie.

Patrzysz wgłąb' ziemi, i w oczy świata,
Niedługi raj twych uniesień,
Bo chłód cię przejmie, spadnie liść z kwiatu,
I zesmutniejesz jak jesień.

Bo dusza w ciele człeka tułaczem:
Im głębiéj, wyżéj się wzbije,
Więcéj ma tęsknić po czém i za czém,
I gęstszą mgłą się pokryje.

Gdy więc nas jedność myśli nie zbliża,
Nie badaj z któréj ból strony,
A uczcij smutek—bo to coś z krzyża,
To coś z męczeńskiéj korony.

Henryk Cieszkowski.

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Pałac wystawy. — Cztery tomy literatury dramatycznéj przez pana *Jules Janin*. — Froment Meurice.—Wiadomości bieżące i literackie.

Otwarcie wystawy powszechnéj zapowiedziane na 1-go maja 1855 roku, odłożone zostało do 15-go tegoż miesiąca z powodu, że roboty na czas wyznaczony w żaden sposób ukończone być nie mogły, i zapewne jeszcze po piętnastym z kilka tygodni do ich zupełnego ukończenia upłynie. Zanim przystąpię do opisu ceremonii otwarcia, oraz wymienię najznakomitsze płody przemysłu i sztuki wystawy paryzkiéj, powiem nieco szczegółów o samymże budynku; od czego zacząć wypada, chcąc czytelnika wprowadzić do gmachu drzwiami, nie oknem.

Pałac wystawy stoi frontem do głównéj alei pól Elizejskich. Wielka brama wchodowa we środku fasady, wysoka jest na dwa piętra i zakończona półkolistym łukiem. Nad nią na attyku ogromna płaskorzeźba przedstawia rolnictwo, przemysł i sztuki, ugrupowane około popiersia cesarza. Wyżéj, na szczycie budynku nad bramą, stoi kolosalna statua, wyobrażająca Francyą rozdającą korony zasłużonym. Wysokość pałacu jest dwu-piętrowa; okna wielkie i gęste zakończone tak, jak główna brama. Nad zrębem góruje dach szklany, zagięty w półkole. Fryza obiegająca dokoła budynek ozdobiona jest medalionami, na których zapisano złotemi literami imiona wszystkich ludzi słynnych w sztukach pięknych, lub umiejętnościach.

Wnętrze gmachu długie jest 252, a szerokie 108 metrów. Przestrzeń ta dzieli się na trzy galerye: środkowa, tak zwana wielka nawa, na 30 metrów wysoka, ma długości 190 metrów, a 18 szerokości. Dwie boczne galerye przecina na wysokości piérwszego piętra galerya wyższa, która obiega wokoło wielką nawę.

Mimo tak obszernych rozmiarów, pałac nie mógł pomieścić massy produktów zwiezionych ze wszystkich stron świata. Wybudowano więc przystawkę wzdłuż Sekwany, długą na 1,200 metrów, gdzie ustawione będą machiny, które dla proby wprowadzać będą w ruch trzy maszyny parowe, każda o sile sześćdziesięciu koni. W téj przestrzeni wielkiéj na 30,000 metrów kwadratowych, dodano galeryą wyższą, wynoszącą 8,000 metrów kwadratowych. Wszystkie te przystawki dodawano w miarę napływających do kommissyii wystawy próśb o zachowanie miejsca. W końcu marca kommissya odrzuciwszy wiele spóźnionych żądań, zadecydowała, że nic już ani dodane, ani zmienione nie będzie w rozmiarach pałacu wystawy. Ale wnet skargi fabrykantów paryzkich skłoniły rząd do nowego zwiększenia gmachu. W rzeczy saméj uskarżali się słusznie, gdyż połowa próśb dla braku miejsca odrzuconą została, a przyjętym wyznaczono go tak mało, że na niém towarów swoich ułożyć jak należy w żaden sposób nie mogli.

Kilka ważnych gałęzi przemysłu zupełnie pominięto. Stolarze z przedmieścia świętego Antoniego, którzy wielkie przygotowania na wystawę poczynili, ograniczyć się mieli na wystawieniu nic nieznaczących probek swoich robót.

Z powyższych powodów, w połowie kwietnia rząd nakazał stawiać nowy budynek, mający połączyć główny pałac wystawy z nadsekwańską przystawką, któreto budowle ponieważ przegradza droga, któréj zamknąć nie można: nowy budynek utworzy w tém miejscu rodzaj piętrowego mostu, pod którym wolna cyrkulacya zostawioną będzie przejezdnym, a kommunikacya gmachów wystawy także przerwaną nie zostanie. Uniknięno tym sposobem ważnéj niedogodności wychodzenia z pałacu wystawy celem udania się do przystawki,

a przez to podwójnéj opłaty od zwiedzenia całéj wystawy.

Ponieważ budowa nowéj galeryi dopiéro w połowie kwietnia zatwierdzoną została, ukończoną na otwarcie nie będzie; przecież pośpiech z jakim nad nią dzień i noc pracują, i już trzecią część zrębu podnieśli, rokuje rychłe ukończenie. Życzyćby atoli należało dla dobra zdrowia ludzkiego mniejszéj skwapliwości w robocie, gdyż ta jest przyczyną że przy budowie pałaców wystawy pięciuset ludzi zostało skaleczonych, z których kilkunastu umarło.

Nowa galerya doda około 6,000 metrów kwadratowych do ogólnéj powierzchni. Tak więc powierzchnia na któréj rozłożono wystawę, wynosi 80,000 metrów kwadratowych, i podzielona jest jak następuje:

Główny pałac: dół.....	27,000	metrów kwadratowych.
wyższa galerya	18,000	—
Przystawka: dół.....	30,000	—
wyższa galerya	8,000	—
Nowa galerya rotundy.....	6,000	—
razem.....	80,000	metrów kwadratowych.

Pałac kryształowy wystawy londyńskiéj miał rozległości 86,000 metrów kwadratowych; pałac więc paryzkiéj wystawy ze wszystkiemi przystawkami będzie nieco obszerniejszy, ale w porównaniu do liczby exponentów powinien był być znacznie większy. Szkoda, że nad tém nie zastanowiono się zakładając piérwsze fundamenta pałacu dla wystawy przeznaczonego; późniejsze bowiem przystawki i przybudowania popsuły całość gmachu, tworząc niemiłe oku zagmatwanie bez stylu i symetryi.

Wedle raportów urzędowych ogłoszonych przez kommissyą królewską wystawy londyńskiéj, ogólna liczba wystawiających dochodziła 17,000; na wystawę paryzką przyjęto ich już 18,000, a w nowéj galeryi kommissya zamierza pomieścić jeszcze do tysiąca samych paryzkich exponentów, jak niemniéj przydać nieco miejsca tym, którym początkowo zamałą przestrzeń na towary wyznaczono.

Po miejscowych produktach, Anglia najrozleglejszą zajmuje przestrzeń. Dotąd exponentów angielskich

jest 3,500, austryackich 1,800, 2,200 z Rzeszy Niemieckiéj, 680 z Belgii, 460 ze Szwajcaryi, 340 z Hiszpanii, 220 z Toskanii, 200 z Sardynii. Stany Zjednoczone, Holandya, Dania, Szwecya, Grecya, Portugalia, Turcya, Egipt, Mexyk i t. d. także przysyłają swoje produkta, ale liczba ich exponentów nie jest jeszcze ogłoszona.

Fabrykanci francuzcy spóźnili się bardzo: paki przysłane z głównych miast po większéj części jeszcze nierozpakowane. Liczba ogólna wystawiających z Francyi i kolonij francuzkich wynosić będzie 8, do 9,000.

Pomiędzy pałacem wystawy a pałacem Elizejskim, część pól Elizejskich przeznaczono na wystawę ogrodniczą. Obszerny plac na którym odwieczne graby, wiązy i kasztany symetrycznie posadzone, stały smutne i zakurzone bez kawałka ożywczéj darniny: zmienił się w mgnieniu oka w prześliczną oazę. Zwiezione koleją z odległych stron Francyi starannie wypielęgnowane drzewa i krzewy, w koszykach z ziemią rodzinną, wkopane zostały w suche piaski pól Elizejskich, i nadały rzeczywiście uroczą cechę najprozaiczniejszemu w świecie miejscu, które francuzka fantazya tak idealną ochrzciła nazwą.

Laury, rododendrony, magnolie, tuje, cyprysy, wiburny, wejmuty, ilexy, oleandry, słowem cały poczet strojnych mieszkańców południowych lasów umaił główne zarysy angielskich klombów, które dopełnią rzadkie, wypielęgnowane w oranżeryach różnobarwne kwiaty.

Trawniki, jak zielone aksamitne kobierce w miłe powycinane kształty, zaścielają obszerniejsze przestrzenie ogrodu, na których z niezrównaną elegancyą rozsiano tu i owdzie jakieś samotne, pełne powabu drzewka szlachetne, lub świeże fontanny.

Po bokach wznoszą się szwajcarskie domki, chińskie kioski ażurowe, tureckie namioty z materyi w krasne pasy, i maleńkie szklarnie ze szkła i żelaza misternie wyrobione. Wszystkie te domki zajmą rośliny, mieszkanki rozmaitych części globu, a każda znajdzie w nich wygodę, i skalę rodzinnego powietrza. Ogromna klatka z żółtego upleciona drutu, istny falanster ptasi, pomieści kilkaset skrzydlatych muzykantów, którzy śpiewem, ruchem, i kolorem rozkosznie ożywią tę

oazę, dotąd najpiękniejszą ze wszystkich przygotowań, jakie dla wystawy poczyniono.

Jules Janin wydał dwa drugie tomy Historyi literatury dramatycznéj; niezadługo wyjdą dwa ostatnie. Te sześć tomów, owoc dwudziesto pięcio letniéj pracy, są zbiorem wszystkich feiletonów, jakie sławny krytyk napisał w ciągu swego świetnego zawodu dziennikarskiego; są bukietem ułożonym z tych kwiatów, których woń w miarę jak rozkwitały, rozchodziła się po całym świecie i sprawiła, iż Janinowi przysądzono berło krytyki, a imię jego stało się niejako synonimem dowcipu, bystrości i trafnego sądu.

Śmiało powiedzieć można, że żaden z poważniejszych i głębszych pisarzy francuzkich, nie używa tak uniwersalnéj sławy jak Jules Janin. Dlaczego?—bo pióra, jak ludzie, bywają sympatyczne lub antypatyczne, pióro zaś Janina do najsympatyczniejszych należy.

Niepodobna wyrazić w czém leży ten czar wrodzony, co jak magnes ciągnie ku sobie, który nie wynika ani z pięknéj całości, ani doskonałości szczegółów, a co większa, nie zważa na wady i godzi się z błędami. Nieraz spotkasz człowieka, który twoje pojęcia podziela całkowicie, wielbi co ty uwielbiasz, nienawidzi czego nienawidzisz, a mimo to czujesz ku niemu wstręt niepokonany; inny nie podziela ani twoich opinii, ani uczuć, a ujmuje, przyciąga cię, słowem podoba ci się. Otóż z pisaniem dzieje się podobnież. Są autorowie, których sposób wypowiadania myśli potrąca czytelnika, pewne wyrażenia drażnią, pewne zdania oburzają do tego stopnia, że choć go nigdy nie widziałeś, czujesz, że ten człowiek jest twoim osobistym nieprzyjacielem. Gdyby było wielu tego rodzaju pisarzy, i liczba literackich mizantropów zwiększyłaby się niezmiernie.

Czemże więc jest ta smutna moc odpychania ludzi, zwana antypatyą? Czemże ten urok zwany sympatyą?—wszystkiém i niczém. Może człowiek przynosi z sobą od Boga ten piękny upominek, dany duchowi swemu za jakieś zasługi; może jakiś dobry duch w przelocie uśmiechem powitał nowonarodzoną dziecinę, lub zły duch spojrzał nań zadąsany; jakaś pszczółka wędru-

jąca złożyła swój miód na ustach niemowlęcia, lub osa złośnica zaprawiła je jadem. Na dowód weźmy Janina i kolegów jego z Debatów. Opinie ich i zasady są też same; dlaczegóż więc kiedy tamci ranią co słowo ludzi przeciwnych pojęć, Janin nie rani prawie nigdy nikogo? Czemuż stronnik przeciwnéj partyi gotów wszystko wybaczyć Janinowi, a jednéj sylaby nie przepuści jego współpracownikom? Czemu czytając Janina wnet zapomni, że jest różnego z nim zdania; artykuły zaś kolegów jego przypominają mu to co słowo? Czemu? Bo ten ma wdzięk, a tamci go nie mają. Oto tajemnica talentu pana Jules Janin.

Janin dotyka, ale nie przyciska; choć nastąpi, nie podepce: nogę ma lekką, obuwie cienkie. Wyobraźnia jego jak konik polny po kłosach się przechadza i nie złamie żadnego. Śmiéch jego zawsze wesoły, młodzieńczy, głośny; zapas wesołości niewyczerpany. Nawet w napadach oburzenia i smutku przebija wesołość, i całe dzieło wdzięcznie opromienia.

A cóż powiedzieć o dowcipie Janina, dowcipie, który przez 25 lat żadnego poniedziałku zawodu mu nie zrobił; zatém przypuszczać należy, że go ma zawsze na zawołanie, boć wiadomo, że w wyznaczonych godzinach dowcip najrzadzéj przychodzi. Co dla innych pracą, obowiązkiem, dla niego jest zabawką; pisze igrając, jak te dzieci w bajce, co brylantami kaczki na wodzie zbijają.

Jednakowoż nie sam dowcip przeważa w pismach Janina; czytając go uważnie, z podziwieniem dostrzegamy pod błyskotliwą i mieniącą się ustawicznie powierzchnią, nadzwyczaj wiele rozsądku. Nieprzyjaciele Janina twierdzą, że nieraz był z sobą w sprzeczności, że mimo rozsądku pobłąkał się nieraz. Nie staję tu jako adwokat nieomylności jego: twierdzę tylko, że jeżeli niezawsze jest konsekwentny, nikt zręczniéj nie rejteruje i łatwiéj przebaczenia nie uzyska, nikt do błędów nie przyznaje się z większą otwartością. W przedmowie naprzykład do dzieła swego powiada, że dotąd dawał publiczności do czytania same tylko korrekty: teraz dopiéro daje książkę. Jakoż to dzieło pisane z dnia na dzień przez 25 lat, kreślone dorywczo, w kurzawie walki i gorączkowych zapasach, autor ze spokojem

i trzeźwością przejrzał, cierpliwie sprostował każdą w niém niedokładność. Mąż poprawił prace młodzieńca, i tym sposobem wyszła na świat książka prawie nowa, strojna zapałem, silna rozsądkiem.

Janin posiada do najwyższego stopnia łatwość pisania. Pióro jego raz w bieg puszczone zmienia się w rószczkę czarodzieja, z pod któréj słowa płyną a płyną i wnet zalewają papiér jak wezbrany potok okoliczne doliny. Janin więcéj niż ktokolwiek mógł nadużyć zadziwiającéj łatwości pisania, ale jéj nie nadużył, bo spostrzegł, że perły płynące z ust nadto gadatliwéj muzy, zmieniają się w szare kamyki; pohamował więc zbytnią płodność, mając na piérwszym względzie jakość, nie ilość swoich utworów. Dzisiaj świetny improwizator z niemiecką cierpliwością dzieła swoje poprawia, przerabia i opracowuje.

Z tego małżeństwa natchnienia z pracą, urodziły się już cztery tomy Historyi literatury dramatycznéj, któréj wprawdzie można czasem zarzucić dwuznaczność sądu, ale ta ginie zupełnie w obec gorącéj miłości sztuki, dowcipu i wybornego stylu.

Oto co Wiktor Hugo pisze do pana Jules Janin z powodu wydania dwóch nowych tomów Historyi literatury dramatycznéj:

„Napisałeś książkę, która ma w sobie, co Cycero zowie quid divinum: poprostu mówiąc napisałeś rzecz wyborną. Jestto zarazem spowiedź, testament, hymn, piosneczka, poemat; a wszystko żyje, biega, myśli, uśmiecha się, płacze, szpera w ziemi, i ulatuje ku niebu. Jestto historya naszego serca, myśli naszéj, naszego szczęścia i żałoby; historya naszego kraju i naszych czasów. Są tam karty jakby z dzieł Rabelego wydarte, inne w których dorównywasz Bossuetowi; nigdzie wysilenia, nigdzie przymusu. Przechodzisz z jednego w drugi przedmiot, jak się przechodzi od A do Z, dlatego, że wszystkie litery są w alfabecie, tak jak wszystkie dowcipy mieszczą się w twoim. Jesteś rojalista, a każdy republikanin uwielbia twoje książki; jesteś klassyk, a co chwila słyszę romantyków przerywających czytanie dzieł twoich wykrzyknikiem: „Doskonale! Wybornie! To oczywista prawda! Potrzebaby nieco zmienić gdzieniegdzie, ale"... i t. d.

Oto co może siła atrakcyi, czar jakiś w każdém słowie rozlany, a tém silniejszy i więcéj porywający, że czytając Historyą literatury dramatycznéj, nie ma czasu się zastanawiać ani rozmyślać: tak dalece czytający czuje się porwany ogromną rozmaitością przedmiotu; bo jak słusznie powiedział wielki poeta: Historya literatury dramatycznéj jest ostatecznie historyą przemian literatury francuzkiéj, świetnego rozwoju i postępu, w jaki ją pchnęła potężna falanga znakomitych pisarzy, którzy tak tłumnie pojawili się we Francyi po rewolucyi lipcowéj. Janin złotą iglicą poprzyszywał do historyi teatru każdy fakt ciekawy lub nauczający, wielki czy mały, zaszły w ciągu tych lat 25 w literaturze lub społeczeństwie. Za dewizę dzieła położył słowa Seneki z rozdziału o Złości: „Universus mundus histrioniam agit." Janin jest więcéj filozofem-poetą, niż krytykiem, a feileton jego sceną, na któréj à propos sztuki innego, własne dramata odgrywa; i rzeczywiście niepodobna więcéj rozwinąć twórczości, rozbierając cudze myśli.

Historya literatury dramatycznéj, to nasz wiek schwytany na uczynku, karcony i wyśmiewany po mistrzowsku, oraz wielbiony z zapałem. Życie paryzkie zgłębione tu do gruntu, odmalowane bez przesady. Począwszy od złocistych salonów bogacza, aż do nagiéj mansardy wyrobnika, autor przechodzi wszystkie tony hierarchii społecznéj, jéj najdrobniejsze szczegóły cieniuje subtelnie, gra wielki koncert ludzkiéj rodziny, jak biegły grajek, co dotknąwszy struny natchnioną dłonią, przypomina słuchaczowi przecierpiane bole, zawiedzione nadzieje, i razem otwiera przed nim jego raj wymarzony.

Dzieło zaczyna się od piérwszego feiletonu, który Janin napisał zająwszy miejsce poprzednika swego w Debatach, pana Duviquet. Tydzień czasu zaledwie przedziela feileton Janina od feiletonu pana Duviquet, a przez te ośm dni rzekłbyś, że wiek cały upłynął: tak ogromną reformę nowy sprawozdawca zaprowadził w świecie literackim, tak potężną rewolucyą wstrząsnął dół dziennikarskiego budynku. Krytyka zimna, dydaktyczna, professorska, a raczéj bakalarska, która tak długo królowała, naraz ustępuje miejsca krytyce improwi-

Biblioteka Sejmu Śląskiego

zowanéj, zapalnéj, namiętnéj, uczuciowéj, co odrzuciwszy grubą laskę bakalarską, wykwintném włada berłem uwieńczoném różami. Piérwszy feileton Janina był tém samém w literaturze francuzkiéj, czém 29 lipca w jéj historyi; z tą różnicą, że zmiany i reformy literackie utrzymały się. Młodzi literaci dotrzymali obietnic, a mianowicie ich Janin dotrzymał; dowodem cztery tomy Literatury dramatycznéj, pełne rzeczy wybornych, pełne dowcipu, rozumu, a nawet erudycyi. Prawda, że erudycya Janina nie rozwija się pedantycznie; przeciwnie, rozrzucona i schowana w tysiącznych arabeskach i słów igraszce, ale z tém przyjemniejszém znachodzi się podziwieniem. Zarzucić można autorowi, iż nadużywa nieco łacińskich cytacyi; ale to wada mimowolna, wada zbytku jego pamięci, w któréj błyszczą cytaty jak iskry w popiele.

Ktokolwiek otworzy z początku czy z końca Historyą literatury dramatycznéj i zacznie ją przeglądać, niezawodnie przeczyta książkę od piérwszéj do ostatniéj karty. Mając w sercu aby trochę miłości sztuki i poezyi, niepodobna nie dać się złapać w te złote sidła, nie być porwanym, olśnionym tą wystawą wszystkich najznakomitszych płodów umysłu nowoczesnych pisarzy, zebraną i opowiedzianą przez złotoustego Janina. Jakżeż nie czytać z zajęciem dzieła, w którém każde niemal nazwisko, lub historya jednostki, wywołuje i porusza najważniejsze problema, a przedmioty najsuchsze opowiada z poetyczną wymową. A propos samobójstwa Alfonsa Rabbe, Sauteleta, Escoussa i Lebrasa, którzy także odebrali sobie życie, jakąż piękną dyskussyą napisał Janin o samobójstwie. Wspomniawszy Dovalla dziennikarza, który zwykł był pojedynkować się za lada widzimisię i poległ w pojedynku, jakąż znakomitą czytamy rozprawę o pojedynku! Albo mówiąc o Paganinim, który odmówił grać na zrujnowanych powodzią wieśniaków, jakiż żywy i głęboki rozdział skreślił o obowiązkach artystów. Chciałbym, żeby ten ustęp oprawiony w ramy, zajął piérwsze miejsce w pracowni wszystkich artystów, którzy swym śpiewem, pociągnięciem smyczka, lub dotknięciem klawiszy, mogą napełnić największą salę i przyjść w pomoc nieszczęśliwym, tak szczodrze jak książęta lub monarchowie.

Daléj określa Janin obowiązki krytyka, obowiązki i prawa jego, smutki i pociechy tego niewdzięcznego rzemiosła, które może w gruncie nie jest tak niewdzięczne jak sądzimy. Są i tam rozkosze. Jakażto radość, powiada Janin, jeżeli się uda wydobyć z tłumu młodego poetę, który konał w ciemnościach, a którego trochę sławy odżywi, wskrzesi. Jaka radość podnieść znakomite a niepoznane dzieło, jakie szczęście bronić niezrozumianéj wielkiéj myśli, odbijać puklerzem pociski oszczerców, któremi chcą przebić jakiś rodzący się geniusz. Jakie szczęście skoro Chateaubriand zajdzie do twojéj celi i dłoń ci uściśnie jak synowi, skoro Lamartine na twém słowie polega, a Wiktor Hugo list do ciebie napisze i nazwie cię przyjacielem. Zaprawdę są to wielkie nagrody, hojna zapłata ciężkiego żywota sprawozdawcy.

Nie skończyłbym chcąc wdawać się w szczegóły. Dodam więc tylko jeszcze, że dwaj główni bohaterowie Historyi literatury dramatycznéj są Hugo i autor Jocelyna. Mówiąc o Maryi Delorme i Jocelinie, daléj opowiada Janin życie tych dwóch poetów, które kończy temi słowy: „O przyjaciele! mistrzowie nasi! O wodzowie natchnieni! Bóg dał wam wszystko co zachwyca, co porywa ludzi: geniusz, zapał młodzieńczy i dumę wzniosłą; szczodrze rozsiewaliście po świecie idealne obrazy, łzy, uśmiechy i najdroższe nadzieje. We dwóch sprawiliście takie cuda na duszach powszednich pod tém ciemném niebem, jakie niegdyś dokonali na pełnych zapału słuchaczach starożytni poeci Romy i Aten, upojeni wdziękiem i nadziemską pięknością swéj ukochanéj i ukochanéj przez bogów ojczyzny."

Na tém kończę. Chciałem dać tylko ogólne wyobrażenie o dziele pana Jules Janin, pilnie unikając szczegółów. Raz ich dotknąwszy, trudno byłoby się pomieścić w danych ramach: każda bowiem karta téj książki jest jak gałąź uginająca się pod owocem lub kwiatem.

Zeszła zima była fatalna dla artystów paryzkich. Śmierć nader liczne w ich szeregach poczyniła szkody. Pominąwszy Nervala, którego samobójstwo głęboko za-

smuciło nietylko tych, co go znali i wielbili jako człowieka, ale i tych, co pisma jego czytali; pominąwszy wielu innych których młoda sława nie przeszła za granice Francyi, nadmienię słów kilka o Cellinim naszych czasów, panu Froment Meurice, którego śmierć porwała w chwili największego zajęcia, w wigilią niemal otwarcia wystawy dla któréj usilnie pracował, i na któréj po śmierci wygrał piérwszą nagrodę, jak Cyd, którego trup niesiony na grzbiecie Babiesy, odniósł na Maurach pośmiertne zwycięztwo.

Froment Meurice, brat Pawła Meurice poety, dramaturga i publicysty, należał także do wielkiego ruchu romantyków, który około 1830 roku odnowił we Francyi sztukę, i jak epoka Odrodzenia stworzył niezliczone zastępy poetów i artystów.

Przed tą epoką sztuka złotnicza podobna była do rymotworstwa: złote wyroby jak wiersze w tragedyach były zimne, błyszczące, gładkie i czcze; powtarzały nieustannie stare pseudo-klassyczne formy, drogie kamienie nie artysta, ale rzemieślnik oprawiał płasko i symetrycznie, wartość stołowego srebra zasadzała się jedynie na ciężkości.

W kole młodych poetów, malarzy, muzyków i rzeźbiarzy, którzy mieli sztuki piękne z gruntu przerobić, Froment Muerice został złotnikiem. Tęż samą myśl, którą to młode orłów pokolenie miało wyśpiewać, wymalować, wykuć z marmuru, on miał wyrobić ze złota. Dorzucił też do trofeów sztuki XIX wieku złotolistną koronę z dyamentowych kwiatów. Rzemiosło złotnicze zmienił w sztukę piękną. Balzak, ów Dante ludzkiéj komedyi, nazwał go rzeźbiarzem klejnotów, a opisując ubiór jakiéj wielkiéj pani, nigdy nie zapomniał zawiesić na jéj ręce bransoletę roboty Froment Meurice'a.

Każdy francuzki poeta, romanso-pisarz, czy krytyk, ilekroć pisze o wykwintnym smaku, o rzadkich i subtelnych wyrobach sztuki, wspomni go niechybnie. Jeżeli fortuna zapukała przypadkiem do drzwi artysty, który dotąd pił tylko z czary idealnéj: biegł natychmiast zamówić czarę rzeczywistą u kolegi złotnika, który sam jeden mógł pojąć i uplastycznić wszystkie jego fantazye.

Froment Meurice mało sam wykonywał, jakkolwiek nader zręcznie prowadził cyrkiel, młotek i dłuto. Zwykle zajmował się kompozycyą wzorów: rysował je, wpadał na szczęśliwe kombinacye; był duszą pracowni, bo ducha swego umiał wcielić w robotników. Więc też jeżeli nie rękę, to myśl jego znać na każdym utworze. Jak dyrektor orkiestrze, tak on dawał natchnienie i przewodniczył tłumowi rzeźbiarzy, rysowników, ornamencistów, emalierów, i złotników. Pradier, David, Feucheres, Cavelier, Preault, Pascal, Schoenwerk, znaleźli w Maurisie współpracownika, co ich myśli wiernie tłumaczył, statuy ich oddawał w mikroskopicznych rozmiarach na śpilkowych łebkach, gałkach od lasek, świecznikach, czarach: jedne strojąc girlandami z drogo-kamiennych kwiatów, drugie w rubinowe grona, Kupidynki w skrzydełka z szafirów, Faunów w szmaragdowe bluszcze, a prawdę zamiast zwierciadła w dyament.

Niepodobna wyliczyć mnóstwa utworów, którym Froment Meurice swoję sławę zawdzięcza. Ulubione przedmioty na które wylał największe bogactwo swéj siły twórczéj były: damskie toalety, kufereczki, relikwiarze, kielichy, puklerze, pieczątki, bransolety i pierścionki. Formy tych wyrobów zmieniał do nieskończoności, najrozmaitsze nadawając im kształty. Tu kobieta wytryska z kwietnego kielicha, tu salamandra wije się w rubinowym ogniu, tu jaszczurka ucieka w szmaragdowe trawy, tam srebrna Najada ze złotemi włosami tonie w perłowéj fali, lub stąpa po koralowych zaroślach, owdzie Nimfy leżą w opalowéj odzieży na dyamentowych wezgłowiach... A cóż powiedzieć o winobraniu ze słoniowéj kości i złota, które porównać tylko można z dworem Wielkiego Mogoła roboty Benvenuta Cellini. Sklep Meurisa była to druga grota Aladyna, studnia Abulkazema, lub drezdeńskie Grüne Gewelbe.

Złotnik pracuje zazwyczaj tylko dla ludzi zamożnych, sztuka jego jest najarystokratniejsza z wszystkich; Froment Meurice chociaż liczył w swéj klienteli królową Wiktoryą, księżnę Parmy i księżnę Orleańską; księcia Montpensier, hrabiego Paryża, Napoleona III, księcia Demidoff, Rothschilda i pannę Rachel, chciał

sztukę swoję uczynić przystępną nieomal dla każdéj kobiety; chciał, żeby płeć piękna mogła się stroić bez zbytku w kolczyki, bransolety i naszyjniki jego roboty, którychby forma więcéj była warta niż złoto. Dlatego śledził pilnie nowe odkrycia, a mianowicie galwanoplastykę, ten cudowny wynalazek, w którym elektryczność zastępuje rzeźbiarza i może do nieskończoności prawie bez kosztu rozmnażać najrzadsze wzory. Usiłowania jego pożądany odniosły skutek: nie jednę pracowitą a skromną rączkę ozdobiły uczciwie nabyte wyroby Froment Meurisa.

Na wystawę wykonał dwie gruppy ze słoniowéj kości, złożone z mężczyzn, kobiét i dzieci; jestto obstalunek księcia Demidowa. Prócz téj pracy, dał starożytne statuy w miniaturze, dwa kandelabry, sześć czar i serwis (własność księcia Luynes); stół do śniadania dla cesarza Napoleona III, pałasz dla księcia Napoleona, i kapliczkę świętéj Teodozyi.

Froment Meurice nie podwyższał się kosztem niczyjéj sławy; wiedział, że mu własna wystarczy. Na wyrobach przeznaczonych na wystawę, wymienił skrupulatnie imiona współpracowników swoich, wyrobników czy artystów.

Wyroby złotnicze z powodu swojéj materyalnéj wartości, więcéj niż wszelkie inne wystawione są na zagubę; w chwili upadku lub nędzy, drogie kamienie wydarte z oprawy przechodzą powoli do żydów, i służą późniéj do ułożenia nowych ozdób. Znamy zaledwie trzy czy cztery autentyczne utwory Benvenuta: inne zaginęły w rewolucyach, upadku domów książęcych, zmianach dynastyj, i t. p. Dziś po wielkim złotniku Cellinim została nieomal sława tylko, a z wyrobów jego dłuta Dyana w Fontainebleau, i Perseusz we Florencyi. Nie wiem jaka przyszłość czeka utwory Froment Meurisa: pamięć jednak o nim nie zginie, bo imię jego zapisane na najświetniejszych kartach literatury francuzkiéj.....

Hugo w prześlicznéj odzie do złotnika mówi:

.... „Jesteśmy bracia. Poeta jest rzeźbiarzem, a rzeźbiarz poetą.
My czynimy dobrych lepszemi: ty piękność piękniejszą.
Michał Anioł rzucał w bryle, co ty nam dajesz w kruszynce.
Bracie, w obec praw sztuki niezmiennych

Twoja kruszyna tyle warta, co posąg Michała;
Każdy ogień co błyszczy jest duszą,
Gwiazda tyleż warta co słońce,
A iskra tyle co płomień....“

Cornelis de Witt napisał historyą Washingtona i założenia Stanów-Zjednoczonych Ameryki. Ciekawe to dzieło poprzedza Etude sur Washington przez pana Guizot. Przedmowa ta bardzo znakomicie napisana z właściwą Guizotowi erudycyą i gruntownością, była już drukowana w roku 1840 na czele listów Washingtona.

Pan Witt opisuje najprzód szczegółowo młodość amerykańskiego bohatera, długie jego wędrówki po lasach lorda Fairfax, następnie ożenienie i prace jego na pustelni w Munt Vernon. Daléj kreśli charaktery przyjaciół i współpracowników Washingtona, którzy radą i nauką wpływali na założenie piérwszych fundamentów nowego świata.

— Wyszedł piérwszy tom dzieł pośmiertnych Lamenai'go; zawiera znakomite, może najlepsze tłumaczenie francuzkie Boskiéj Komedyi, poprzedzone przedmową w któréj autor rozbiera obszernie pojęcia Dantego, oraz nad duchem dzieła się zastanawia. Następne tomy zawierać będą listy traktujące wyłącznie o religii, i mieszaniny polityczne.

— Na posiedzeniu swojém 16 kwietnia Akademia egzaminowała rzeźbiony plan pasma Pyreneów, wykonany przez pana Lézat. Autor ośm lat poświęcił téj pracy; przez ten czas zwiedzał wszystkie wąwozy tych gór, wdzierał się na wszystkie ich szczyty, z narażeniem życia przebywał nieprzystępne lody i najniebezpieczniejsze przeprawy. W zimie nie mogąc na wierzchołkach pracować, osiedlał się w dolinach, i daléj poszukiwania swoje prowadził.

Po ośmiu latach takiéj pracy w ciągu których sto razy zajrzał śmierci w oczy, pan Lézat powrócił do rodzinnego miasta Tuluzy, i pokazał zdziwionym znawcom plan, na wykonanie którego część życia poświęcił.

Przesłano raport Akademii, zawiadamiający ją o téj pracy. Prefekt wyższéj Garonny zwrócił uwagę rady

generalnéj departamentu na dzieło pana Lèzat, które przynosi zaszczyt departamentowi. Rada zażądała od wyższéj władzy honorowéj nagrody. Kongres naukowy francuzki obejrzawszy dzieło przyznał jednozgodnie wielki medal złoty panu Lézat za plan Pyreneów. Plan ten blizko sześć metrów długi, a dwa i pół szeroki, przedstawia całe pasmo Pyreneów, oddane z wypukłościami i rozpadlinami; kształt każdéj góry, oraz jéj kolor i roślinność, można doskonale na nim rozpoznać. Znawcy nie mogą się nachwalić precyzyi i ozdobności, oraz akuratności pomiaru, z jaką pan Lézat tę miniaturę Pyreneów wykonał.

— W podobnym rodzaju jak mappa pana Lézat, professor w Dijon (Diżon) pan Thury, zrobił miniaturę kuli ziemskiéj. Globus ten, którego powierzchnia oddaje wiernie wszystkie wypukłości i zaklęśnięcia ziemi, ma metr obwodu, odpowiada przeto czterdziesto-milionowéj części obwodu ziemi. Stałe lądy i wyspy wyraźnie narysowane górują nad niebieską i gładką powierzchnią mórz; góry wystają nad poziom, a wyspy ścielą swój cień na wodzie; drobne okrągłe wypukłości wyrobione misternie, przedstawiają miasta.

Pan Thury skreślił rysunek globu wedle najlepszych geografów. Długość i szerokość geograficzna, pas zwrotnikowy i koła biegunowe, podział krajów, i koryta rzek, lekko ale wyraźnie są oznaczone. Człowiek zupełnie nie znający geografii poweźmie z tego globu dokładne wyobrażenie o konfiguracyi ziemi, światlejszy, z zajęciem całe godziny podróżować będzie oczyma po téj maleńkiéj planetce, wiernym obrazie wielkiéj. Gdyby można widzieć ziemię wyraźnie z odległości 49 razy większéj jak od nas do księżyca, wydawałaby się zupełnie tak jak globus pana Thury.

Rozumié się, że wysokość gór nie jest dokładnie proporcyonalna do rozmiarów globusa: gdyż wtedy najwyższe miałyby tylko dwie-dziesiąte i pół jednego milimetra wysokości, tojest byłyby prawie niewidzialne. Z tego powodu pan Thury nie trzymając się rzeczywistych rozmiarów, najwyższe szczyty wzniósł dwa i pół milimetra nad poziom, czyli uczynił je dziesięć razy większe niż są, co nie psuje wcale sferyczności globu.

Dzięki temu pomysłowi, powabna nauka geografii stanie się jeszcze powabniejszą, a mianowicie daleko łatwiejszą; co w dzisiejszych czasach, kiedy skutkiem szybkich kommunikacyi cała ziemia stała się niejako wspólném mieszkaniem, jest nader pożądane.

— Wydawca katalogów urzędowych przemysłu i sztuk pięknych wystawy powszechnéj paryzkiéj, pan Panis, ogłosił publikacyą illustrowanych katalogów wystawy. Znana zdolność i doświadczenie wydawcy rokują, że wymieniony katalog dorówna londyńskiemu. Rysunki będą powierzone najbieglejszym artystom, a opisy znakomitym sprawozdawcom: przynajmniéj tak zapowiada wydawca. Każdy exponent będzie zapisany w téj księdze, mającéj przenieść do potomności sławę wystawy paryzkiéj z 1855 roku. Zapowiedziany katalog tę mieć będzie wyższość nad londyńskim, że prócz posągów i innych płodów sztuki pięknéj, wysztychuje wszystkie obrazy przyjęte na wystawę.

— Pan Jules Simon, autor znakomitéj książki le Devoir, o któréj wspominałem w swoim czasie czytelnikom naszym, wydawać będzie nowy dziennik pod napisem „Journal pour tous.” Niecierpliwie oczekują tu pojawienia się zapowiedzianego pisma, które autor obowiązku zapewne sumiennie redagować będzie.

— Wbrew powadze Stephensona, który twierdził, że mosty wiszące nigdy pod koléj żelazną służyć nie będą, most spadku Niagary, bo takie jest jego nazwisko, został urzędownie inaugurowany. Wykonał go inżynier Roebling rodem Niemiec.

Wielkość dzieła odpowiada jego ważności; most ten łańcuchowy połączył trzy różne drogi żelazne Stanów Zjednoczonych z drogami Kanady. Niesłychanie czynny handel już oddawna wymagał łatwéj i szybkiéj kommunikacyi.

Cyfry najlepsze dadzą wyobrażenie o rozmiarach dzieła: długość pomostu 822 stóp; wysokość brzeżnego filaru od strony Stanów 88 stóp; od strony Kanady 78. Pociąg złożony z ośmiu wojażerskich wagonów, dwóch z bagażami i lokomotywy, co razem stanowi ciężar 2,600 centnarów, zajmuje $^1/_{60}$ część długości mostu. Każdy z czterech łańcuchów a raczéj sznurów, na których pomost zawieszony, ma 10 cali średnicy, złożony

jest z 3,659 nici żelaznych; wysokość ponad wodą wynosi 234 stopy, 248,000 centnarów jest granicą obciążenia, poza którą bez niebezpieczeństwa przechodzić nie można.

Tak olbrzymie dzieło w piérwszém zastosowaniu, opierające się jedynie na rachunku, bo dotąd jeszcze doświadczeniem niestwierdzone, mogło znaleźć potrzebne do wykonania kapitały tylko w Ameryce, gdzie przedsiębierczość jest, że tak powiem, awanturnicza, a śmiałość wyższa nad odpowiedzialność.

— Zaprowadzenie w Paryżu i Londynie kommunikacyj wewnętrznych za pomocą kolei żelaznych, tak jak to wprowadzono w wielkich miastach Stanów Zjednoczonych, nie jest wykonalném z powodu niesymetryi i wązkości ulic. Że jednak kommunikacya szybka potrzebna tu więcéj niż gdziekolwiek, postanowiono budować koleje podziemne. Angielski parlament uchwalił już bil koncessyi na budowę kolei podziemnéj pod Londynem, nazwanéj Metropolitan railway, któréj wykonanie rozpocznie się niezwłocznie.

Długość téj kolei wynosić będzie około półpiętéj mili. Pójdzie od stacyi Great-Western aż do piwnic administracyi pocztowéj. Co pół mili będą stacye, w punktach na których krzyżują się i korrespondują omnibusy kursujące po mieście. Pociągi odchodzić będą co pięć minut od 8éj do 11éj rano, i od 3éj do 6éj wieczorem; prócz zwyczajnych, chodzić mają pociągi dodatkowe. Koszta Metropolitan railway wyniosą 30,000,000 franków. Kompania londyńska kolei północnéj dostarczyła połowę tego kapitału, drugiéj połowy zażądano od publiczności, i zebrano takową przez subskrypcyą w nader krótkim przeciągu czasu.

KŁOPOTY
STAREGO KOMENDANTA.
PAN MARSZAŁKOWICZ.

(Ciąg dalszy).

Opowiadanie.

IV.

Zajrzyjmy znowu do naszego konkurenta ładnych oczął porucznikowny. Biédaczek wysechł jak szczapa z miłości, co było najlepszym dowodem, iż bynajmniéj nie szła mu na zdrowie. Porucznikowa obserwując tak częste jego odwiedziny, słodziutkie komplementy, nadskakiwania i podarki, których wcale nie przyjmowała, już trochę pojmowała jego zamiary; lecz nie przypuszczała sobie nawet téj myśli, żeby te zaloty miały na celu coś poważniejszego, niż prostą zabawę. Nudzi się na wsi, mówiła sobie, chciałby się rozerwać—nie ma gdzie: przywykł do towarzystwa kobiét, więc cóż dziwnego, że bierze co się zdarzy. Przytém wiek jego, majątek, stanowisko w świecie, nareszcie szumny tytuł marszałkowicza, kładły w jéj umyśle niezmiernie odległą granicę między niemi. Wszelako gdy te odwiedziny stawały się częstszemi, coraz bardziéj niepokoiły a raczéj mordowały swobodny tryb ich życia domowego. U niéj, gdzie każda godzina miała swoje przeznaczenie, gdzie naturalność i prostota cechowały każdą myśl jéj i czyn, podobna przymusowość i etykieta wiele ją kosztowały. Za każdą bytnością tego osobliwsze-

go gościa, musiała występować ceremonialnie, z nadwerężeniem zwyczajnego porządku już tak dawno wprowadzonego w ich codzienne zajęcia. — Nie czuję się być obowiązaną, myślała sobie później, dla chwilowéj fantazyi takiego paniątka, znosić tyle przykrości i zabiegów; nam inna przeznaczona sfera, inne życie: od *a* do *z* różnimy się zupełnie. Jego myśli, słowa, przywyknienia, nie zgadzają się z naszemi; co nam to potém: jeszcze obgadają ludzie, że w jakichsiś zamiarach ciągniemy go do siebie, chociaż Bóg widzi, prędzéjbym wolała moję Julkę widzieć żoną najlichszego ekonoma, niż tego zarozumiałego dziedzica. Trzeba to raz skończyć. I dziewczynie się może w głowie przewrócić, nie dlatego, iżby się miała zakochać, bo tego się nie obawiam wcale: znam dobrze kobiety, a tém hardziéj Julkę, bogactwo ją nie zaślepi, tam gdzie serca nie ma; lecz patrząc na tę wytworność jego, słysząc tak żywe opisy zbytków w jakich opływają panowie, i porównywając z naszą miernotą, kto wié, czy nie zatęskni za ową tajemniczą marą przepychu, kto wié, czy prosty jéj umysł nie zamąci się żądzą czegoś wyższego, nieznanego, nad to, co jest, lub może być udziałem dotychczasowego jéj życia i przeznaczenia. A wtedy biada dla człowieka, bo urok rojonéj przyszłości znika, niezadowolenie owionie duszę, wszystko nudzi, wszystko złem się wydaje; całe życie stanie się pasmem zgryzot niepojętych, niedocieczonych, zazdrość nawet i nienawiść najniesłuszniejsza wyrodzi się powoli w biédnéj głowie dla tych, którzy coś więcéj od nas posiadają. Duchem niech dąży choćby najwyżéj, niech przedziera się poza światy, bo to jest udziałem jego, a nawet powinnością; lecz niech umié wprzódy rozróżnić żądze duszy od żądz ciała, niech wyrobi sobie trwałe i niewzruszone pojęcie obowiązków względem siebie i bliźnich, niech poskromi zmysłowe łaknienia, które jak leciutkie obłoczki dymu, wszędzie potrafią się wcisnąć, roztaczając uporczywie swoję woń, tak upajającą biédnych wędrowców téj ziemi. Młodość to rezerwoar całego życia, całéj przyszłości! Co wlejesz weń, to kiedyś wypłynąć musi, a boleśnie zobaczyć później tyle mętów osiadłych na dnie jego, gdy nie ma już siły spłukać je czystych myśli potokiem! Tysiące czynów szlachetnych łatwo pójdą w niepamięć jako lekkie, przejrzyste, jako obowiązkowe; ale jeden błąd, choćby najmniejszy, tkwi w duszy człowieka nieustannie, zdaje się odradzać jak Fenix z własnych popiołów, pomimo najgładszych tłumaczeń i wybiegów, których sobie miłość wła-

sna nie zwykła żałować: on stoi ciągle przed oczami, zawsze świeży, zawsze wczorajszy, chociażto lata na jego zagładę pracują!

Temi zajęta myślami, ile możności przeszkadzała bliższemu zapoznaniu się pana Antoniego z ich domem. Podczas jego obecności, ani na krok nie wychodziła z pokoju: mieszała się do każdéj rozmowy, i tak zręcznie kierowała umysłem swéj córki, że szanowny konkurent zawsze odjeżdżał z przykrém uczuciem zawiedzionych nadziei. On, któremu się zdawało, iż potrząsnąwszy kieską, wszystko biedz musi na jego usługi; on, któremu pani Lińska tyle robiła grzeczności, zgadując prawie jego chęci: nie umiał sobie wytłumaczyć podobnie zimnego przyjęcia, w pośród ludzi biédnych, nizko zrodzonych, a nawet niewykształconych. Sto razy powiedział sobie, że nie pojedzie; wszelako po upływie dni kilku, te oczy, oczy palące Julki, tak wyraźnie wabiły, tak milutko spoglądały, iż zapominał swych wyrzekań, a jechał na kilka godzin nudów do pana porucznika.

I nic dziwnego, powiemy, wspomniawszy sobie kto to był ten pan Antoni. Starzec prawie ciałem, starzec kompletny duchem, w którego sercu nie postała nigdy myśl wolna od ponęt zmysłowości, nabawił się choroby, zbyt pospolitéj dzisiaj pomiędzy panami; choroby, którą tu nazwę miłosnym szałem starości. W porucznikownie widział on tylko ponętny przedmiot żądzy, podsycanych nieprzezwyciężoną dumą, opartą na jego kieszeni. Lata biegły tak prędko, niedołężność starca tuż, tuż idąc za niemi, zdawała się lada chwila porwać go w swoje objęcia, a wtenczas—rozpacz tylko i wieczny niesmak byłyby jego życia udziałem! Dawniéj szukał żony bogatéj, pięknéj, znakomitego imienia; lecz powoli żądania te ograniczały się do coraz szczuplejszych ramek, a obecnie już tylko wymagały piękności, któraby ożywiła zasuszoną duszę skąpca, i choć w słabém odbiciu przypomniała uroczą chwilę marzeń 20-letniego młodzieńca.

Opór ze strony porucznikowéj z początku go dziwił, potém gniewał, a w końcu niepokoił. Duma i zarozumiałość, dotknięte żywo podobném zaniedbaniem jego osoby, nietylko nie zniechęciły marszałkowicza, lecz owszem dodały mu więcéj energii, podnosząc jego rozdrażnione żądze do najwyższych ofiar, o jakich przez całe życie ani pomyślał.

Już nieraz w życiu zdarzyło nam się widzieć starców poświęcających majątek, sławę, zdrowie nawet, spokój, i najmilsze

przyzwyczajenia, dla zyskania względów pewnych osób, którym pogarda uczciwego człowieka byłaby aż nadto wystarczającą. Widać, żal im jeszcze resztkę życia zmarnować samotnie, w nieustannéj walce żądz z koniecznością. Wszystko zakazane, niemożebne: taka owiewa ułuda rozkoszy, tak ją potęguje umysł człowieka, iż rozburzona imaginacya stwarza ideał nawet tam, gdzie rzeczywistość pokazuje najobrzydliwszy kał zmysłowości. Obowiązki nikną, uczucie drży bojaźliwie pod grubą zasłoną dogorywających namiętności; bo nie miały tam nigdy trwałéj podstawy, nie związały się z życiem przeszłości, nie staczały walk z cielesnością. Przygnębiony duch jak skrępowana kiedyś na stos przeznaczona ofiara, już zapomniał swego istnienia, już zdrętwiał w swych więzach tak dalece, że dziś oswobodzony a zniedołężniały, daje się powodować dawnemu, bez porównania słabszemu teraz nieprzyjacielowi. Wspomnienie tryumfuje w przygnębionéj duszy; wszystkie minione rozkosze, dotykalnie prawie stoją przed nią, najgrawają się nielitościwie, pokazując najdrobniejsze odcienia oblane tęczowym kolorów promieniem. Rozdrażniona podobnie teraźniejszość, jeszcze raz ostatni występuje do walki, skupia wszystkie siły, naciąga wszystkie sprężyny, i ginie z wściekłą rozpaczą i szałem, depcząc w tym upadku tlejące resztki darów Boskich, które choć ukrzyżowane, jednak nie przestają wyciągać okrwawionych dłoni z słowami miłości bratniéj i przebaczenia!

I w duszy pana Antoniego słowo w słowo takaż toczyła się walka. Nie zważając na zimne przyjęcia porucznikowéj, poświęcając wszystkie zwyczaje dawniejsze, odrzuciwszy na bok różnicę stanu, majątku i wieku, jakoś niepostrzeżenie zszedł na drogę téj prostoty, jaka panowała w domu komendanta. Śmieszne zaiste było stanowisko tego paniątka, gdy chcąc się podobać i mamie i córce, a tém bardziéj ojcu, czytywał im po wieczorach polskie książki, nalewał herbatę, karmił kurczęta i naprawiał lampę. Skromny, potulny, nieśmiały jak na wakacych bawiący młodzieniaszek, zapomniał o Wersalu, zapomniał o swoich dobrach i marszałkowskim tytule, wycinał różne floresy z papieru, rysował desenie, lepił gałki z chleba nadając im imiona różnych osób, i tonem naiwnego prowincyonalisty zapytywał panny Julii: „budzę panią?"

T vało to może ze dwa miesiące. Porucznik kontent, że miał komu opowiadać swoje anegdotki i zdarzenia dawniejszego

życia, widział go coraz lepiéj, a słysząc nieustanne potakiwania w rozprawach teologicznych, uznał, iż pan Antoni jest najmądrzejszym w okolicy. Julka rada była, że przecie rozerwie się cokolwiek, że się pośmieje, pożartuje, zwyczajnie jak młode; matka tylko zazbyt dobrze patrzała na wszystko i dlatego nie mogła sobie zjednać przychylności pana Antoniego. Wszystkie jego zabiegi i starania rozbijały się stanowczo o upór staréj moralistki, jak ją nazywał Kozłowicz. Pomimo próśb, nawet i gniewów, zawsze tytułowała go marszałkowiczem, zawsze oddawała mu honory jako osobie, która swą szczególną łaską raczy pamiętać o biédnéj nieznanéj rodzinie.

— Tego Cerbera ugłaskać, tego—mówił raz do Wolickiego—to jużbym się niczego nie obawiał. Poczekajno pani, tylko się ożenię, dopiéro ci pokażę moję sztukę!

— Co mówiłeś?—krzyknął zdziwiony niby major—i tybyś się z nią żenił?

— A czemużby nie—odrzekł rumieniąc się pan Antoni—jam bogaty, niezależny, wyciągnę te perłę z błota, bo szkoda jéj doprawdy. A wcale ładna dziewczyna choć surowa.

— A niechże cię uściskam, mój drogi serdeczny, kochany: zdjąłeś mi ciężar wielki z głowy; bo nie gniewaj się gdy ci się przyznam, iż to było moim zamiarem skojarzyć między wami małżeństwo.

— Doprawdy? — odrzekł zamyślony pan Antoni — rozumiem, pewno cię porucznik...

— A niech Pan Bóg broni i zachowa, cóż sobie ty myślisz, że ja intrygantem jestem jakim lub faktorem?

— Ale zkąd znowu, co ci się zdaje, mój drogi Wolisiu? Widzisz, ja sobie tak...

— No więc, jeżeli chcesz być nadal moim przyjacielem, to proszę bardzo ani wspominać o podobnych domysłach. Ja jeżelim hulak, włóczykij, pieczeniarz nawet, to nie faktor żaden! Daruj panie marszałku, żleś myślał.

— Zbyt się unosisz kochany panie majorze! Obraziłem cię, więc przepraszam, a nawet tyle będę śmiałym, iż poproszę o pomoc przyjacielską w tym względzie.

— O jaką?—zapytał już złagodzony Wolicki.

— Oto proszę cię, chciałbym raz skończyć te jeżdżenia i oświadczyć się formalnie.

— Zgoda, z największą chęcią postaram się być ci pomocnym; chcesz, i teraz gotów jestem jechać.

— Nie, dziś nie można — mówił wahająco się pan Antoni — trzeba wprzódy wyprobować ojca, bo co do córki jestem pewny przyjęcia; stara mię tylko niepokoi, to jakaś zawzięta i uosobiona nieprzyjaciołka wyższości. Wystaw sobie za nic mię nie ma: jéj się zdaje, iż wielką wyświadcza mi łaskę pozwalając bywać w ich domu. Nibyto adoruje, gdy drwi sobie w najlepsze: harda dusza w ubogiém ciele!

— Daj pokój panie Antoni, nie głupia ona ani dumna; fines to baba jakich mało, ale przytém uczciwa i godna szacunku, zaręczam! Tyś pewno trochę się nadymał, a ona też dumna jest swojém ubostwem; zresztą nie znając twoich prawdziwych zamiarów, miała prawo przyjmować cię ozięble. U nas o plotkę nie trudno, ludzie Bóg wié co z tegoby nagadali, i dla dziewczyny zamknięta droga do zamęzcia.

— Może i masz racyą! — przemówił pan Antoni — ale koniec końcem sprowadź jutro do mnie porucznika, pogadamy o tém niechcący, a może i rzecz się ułoży. Już mi, przyznam ci się, ciężży ten kawalerski zawód: chciałbym prowadzić życie familijarne, a starać się o hrabianki, zaciężko dla mnie. Wszystko jedno, ta czy owa, byle żona.

— Eh stary figlarzu! — mówił grożąc mu Wolicki — ta czy owa, tak się gada: a oczki czarne, a figurka, a nożka Julki, hę?

— No i to coś znaczy, nie zaprzeczam, lecz biedota, surowa, porucznikowna...

— Ale szlachcianka tak dobra jak ty.

— Stareto dzieje, mój kochany, dziś pieniądz i poczciwość.

— Spodziewam się, że braku téj ostatniéj jéj nie zarzucisz.

— Właśnie to tylko mię pociąga.

— Teraz — mówił po chwili uroczyście major — muszę cię ostrzedz, że pomimo twojego majątku, i godności, i tytułu, z matką trudna będzie przeprawa. Stary, poczciwa dusza, lecz ulega jéj zupełnie sam o tém nie wiedząc, dlatego odrazu się nie zgodzi. Ona zaś zaręczam ci: musi zasięgnąć wprzódy pewnych wiadomości o tobie, szczególniéj dawniejszego życia; więc bój się Boga, jeżeli masz co na sumieniu, daj pokój, bobyś sobie zjednał najzawziętszego w obojgu nieprzyjaciela. Oni biédni, lecz ich tu szanują i poważają bardzo, więc policz się dobrze, bo i mnie się zdaje, że tam na Wołyniu musiało być coś....coś....co

cię zagnało w nasze strony. Bajeczce ułożonéj dla porucznika daruj, że nie wierzę: wiem żeś nabożny bardzo, ale zdaje mi się to za mały powód...

I ty przypuszczasz co innego?

— Przypuszczam nie przypuszczam — odrzekł nieśmiało Wolicki — ale nie obrażaj się gdy powiem, że to wydaje mi się podejrzanem. Pułkownika Sarneckiego znam dawno, on mi pisał za tobą: wszystko to dobrze; lecz nie chciałbym znowu być skompromitowanym, zwłaszcza, że i sama porucznikowa już kilka razy mówiła mi o tém samém.

— Bądź spokojny, majorze, zaręczam ci nic takiego nie zaszło, za cobym się miał wstydzić; były powody może i insze, lecz to familijne sekreta, które nas tylko obchodzą.

— Niech i tak będzie mój panie Antoni; ale jeszcze ci powiem, żebyś znowu nie zmienił dzisiejszego postanowienia co do małżeństwa; lepiéj się namyśl dobrze, bo cofnąć się trudno potém, a naraziłbyś sobie wszystkich, i mnie nawet: bo będąc od 30 lat przyjacielem porucznika powiem ci otwarcie, stanąłbym na jego stronie!

— O! co do tego jestem pewny siebie! Jak widzę masz mię za jakiego młodzieniaszka? Fe panie majorze, niepotrzebne skrupuły. W moim wieku takie myśli nie mają miejsca: co raz postanowię, to jest niewzruszone; dlatego dziękuję ci bardzo za tę przyjacielską przestrogę, choć ona do mnie stosować się nie może, i wierz mi, potrafię ocenić twoję otwartość i życzliwość, z jakiemi jesteś dla człowieka, którego znasz dopiéro od kilku miesięcy...

— Więc wszystko ubite?— zapytał Wolicki.

— Wszystko.

— To masz moję rękę i słowo, i licz na mnie. Jutro z porucznikiem przyjadę do ciebie, a spodziewam się interes pójdzie najpomyślniéj.

V.

Nazajutrz od samego rana pan Antoni przemyśliwał nad uskutecznieniem wczorajszego postanowienia, i rozbierając najmniejsze kwestye w przyszłości nawet zrodzić się mogące, musiał sobie powiedzieć, iż zrobił takie głupstwo, jakiego świat je-

szcze nie widział. Starania, i połączone z niém kłopoty, nikły w jego umyśle, zostawując miejsce jednemu tylko wypadkowi, o którym nikt dotąd nie wiedział w tych stronach.—Złapałeś się panie Antoni, mówił sobie chodząc po pokoju—o złapałeś się na starość! A niechno się to wyda, będzie wstyd i wielki wstyd! Otoczy cię zaraz familia i dawniejsza, któréj niewiele się boisz, lecz ta nowa, dopiéro ci dokuczy jakąś tradycyonalnie głupią uczciwością. Co to z nimi zadzierać? Te szalone pałki gotowi cię zarąbać w sztuki za to, że cię tam jakiś poddańczuk... Po co ci to było drzéć się między wrony, panie Antoni? Że ładne ma oczy, no toż nie ona jedna na świecie: tysiące innych mają jeszcze ładniejsze. Wiesz co, daj pokój!

Daj pokój!—odpowiadał sobie po chwili, jakby drugi pan Antoni—nibyto tak łatwo teraz; za chwilę może przyjedzie ten djabelski exekutor z tatą. Ha! ha! ha! wyborne to imię *tata*, obdarty wąsacz porucznik! Ha! ha! ha! mój teść, co lampy urządza! Wybornie panie Antoni, wybornie!!!

I znowu z uśmiechem najwyższej ironii kołował po pokoju dywanem wysłanym, powtarzając: Nie zechcesz iść daléj, to Bóg wié coby z tobą zrobili! A przyznam się życie mi się dotyla nie naprzykrzyło, bym miał podstawiać kark pod pałasz tych rzeźników. Darmo! jużciż lepiéj mieć młodą przystojną żonę, aniżeli... A zresztą zerwę z niemi, ją przerobię na swój sposób, i musi być dobrze! A jak się dowiedzą o tym wypadku na Wołyniu co?—poszepnął duch prawdy.—No, to przecież mię nie ubiją—odrzekł stawając w oknie—podąsają się, pośmieją, i w końcu przestaną; co bądź, trzeba iść naprzód. Wołyń tak daleko, żadnych tu nie ma stosunków, mogę być spokojnym!

Tymczasem na dworze ściemniać się poczęło: księżyc wspaniałą tarczę wysunął z za przyległego lasku, i strzelał ciekawym wzrokiem do okien dworu pana Antoniego. Wieczór był prześliczny, wiosna z całém bogactwem tamtejszéj bujnéj wegatacyi, rozwinęła wszystką potęgę, zsyłając biednym marzycielom ziemi wrażenia pełne nadziei i szczęścia, napawając duszę niewysłowioną błogością, którą ten tylko pojąć może, czyje myśli i czyny są tak czyste i wonne, jak jéj rozkoszne tchnienia.

Dworek pana Antoniego leżał na wzgórzu wpośród gromady topol nadwiślańskich, stanowiących wraz z wysmukłemi włoskiemi siostrzycami piękny szpaler, prowadzący do gościńca, rysującego się zdala w kształcie białéj pokręconéj wstęgi. Po

jednéj stronie staw duży, zarośnięty sitowiem, otoczony zieloną pnącą się krzewiną, odbijał w przeczystym drzémiących wód krysztale ciemny bór dębowy, tuż nad nim na wzgórzach osiadły. Krzykliwe grona żabek grechotały swobodnie, zwiastując wiosnę, podrzeźniały słowikowi jego tęskne, pełne rzewności i uroku preludie, płynące coraz żywiéj, coraz donośniéj, z maleńkiéj piersi miłego śpiewaka.

Wokoło cisza głęboka, tajemnicza, a jednak budząca rozkoszne marzenia w sercu każdego, kto tylko umiał na nią popatrzeć. Kiedyniekiedy tylko dawało się słyszeć grube szczekanie z wioski rozłożonéj na wzgórzu po drugiéj stronie dworu. Kilkadziesiąt światełek błyszczało purpurowo w okienkach chat, tu i tam, wyżéj i niżéj, jak lampy umyślnie pozawieszane gdzieś po gałęziach rozłożystych drzewin, okalających całą wioseczkę, i łączących się ze starszą swą rodziną daleko, daleko, aż w borze.

Podobny wieczór, i w tak cudnéj okolicy, z jakążby siłą odbił się w duszy twéj czytelniku! Jakżebyś uczuł się wdzięcznym swojemu Stwórcy za tyle łask jego i dobrodziejstw, zesłanych dla umilenia ci téj krótkiéj na świecie pielgrzymki. Serce twoje zabiłoby żywiéj, w oku błysłaby łza niewysłowionego zachwytu, myśl twoja, po stopniach tego piękna, wznosiłaby się wyżéj i wyżéj aż tam, gdzie mieszka nasz Ojciec jedyny, kochający zarówno i wielkich i prostaczków, jako jednę spokrewnioną rodzinę. Żartuje sobie wielu z tych wzniosłych chwil ducha, obdziera nielitościwie i z pewną nawet rozkoszą najdrobniejsze listki z wielkiego drzewa poezyi, zasadzonego ręką Stwórcy w ich sercach. Przebaczmy im zupełnie, uronmy łzę nad ich niedolą, bo oni nie wiedzą co czynią, lejąc zuchwale jad goryczy tam, gdzie morze najczystszych uczuć przebywać winno! I do nich kiedyś odezwie się duch o swoje prawa, i oni pożałują tego tyrańskiego z nimi obejścia się; lecz wtedy będzie zapóźno: bo uczucie stępiało, serce zamarło, dusza zadługo kąpała się w kale zepsucia, by mogła wybrnąć na czyściejszą powierzchnię!

I pan Antoni patrzał w bladą twarz księżyca, czuł świeży powiew wiosenny, słyszał urocze pienia słowika, lecz nie mógł ich pojąć, nie mógł ich zakosztować; bo gruba warstwa egoizmu otoczyła jego serce, w którém nie było już ani iskierki świętego ognia, mogącego przepalić swe okowy. Za to stary porucznik z Wolickim zbliżając się ku dworkowi, już pod lasem, zeszli

z wózka, a idąc z odkrytą głową szeptali sobie wieczorne pacierze, do których dzwon z sąsiedniego kościołka przyzywał.

— Wiész—przemówił porucznik skończywszy modlitwę— nie jestem ja zazdrosny, nie żądałem nigdy majątku, lecz w téj chwili chciałbym mieć tę wioskę i dożyć tu ostatnie dni, które mi Bóg jeszcze przeznaczy! Patrzajno jam się zestarzał, jam tyle prób ciężkich przeżył na świecie, a jednak jest we mnie coś takiego, co mnie raduje na widok pięknéj natury, tak samo, jak w owych latach młodości, gdym rozmarzoną głową i świetnéj nadziei myślą, wałęsał się po górach hiszpańskich! Mój Boże! że téżto serce zestarzeć się i zobojętnieć nie potrafi: wszystko niknie, wszystko się zaciera, ale ono zawsze świeże, zawsze błyszczące, zawsze radeby wyskoczyć na widok tych cudów, których ocenić nie umié, a które również zestarzeć się nie mogą!

— Prawda mój Jędrusiu, prawda—odrzekł westchnąwszy Wolicki—lecz ty, abyś inaczéj pokierował się na świecie, masz żonę, jakiéj lepszéj nie znajdziesz na ziemi, masz dzieci, masz obowiązki, masz szacunek powszechny, i wszystko cię to przywięzuje do ziemi; ale ja?—samotny jako palec, gdy przypatrzę się mojemu życiu, gdy zajrzę w siebie; och! wtedy gorzkie łzy leję, żem samochcąc skazał się na takie długie tułactwo po ziemi. Myśl ta dręczy mię do tyla, iż unikam domu, unikam samotności, gonię za rozrywkami, staram się zagłuszyć ten głos wołający z głębi piersi: „nie spełniłeś swego posłannictwa, zawiódłeś ludzkość!" Tak, tak—mówił wzruszony do głębi—ja, kiedyś taki poeta, marzyciel, dzisiaj wałęsam się z domu do domu, robię się błaznem każdego, byle nie być samotnym, byle się oszukiwać jak najlepiéj, jak najdłużéj... Kto, i kiedy spowodował dzisiejsze moje położenie, już nie chcę wiedzieć, bo aż nadto cięży mi ono, bym rozdrażniał go jeszcze śledzeniem przyczyn.

— Oh mój Wolisiu kochany!—zawołał porucznik ściskając go serdecznie i patrząc mu w oczy—to ty biedny jesteś mosanie, a jam cię miał za szczęśliwego!? No, jak to powierzchowność zwodzi: ktoby się tego spodziewał.

Wolicki milcząco dał się mu powodować; jakaś walka wspomnień toczyła się w jego duszy, bo szedł coraz wolniéj, a łzy gęste, łzy już starca, świeciły w jego oku. Porucznik dostrzegł to jego wzruszenie, potrząsł go za ręce gwałtownie i cały rozrzewniony zawołał z wyrzutem:

— Tak się niegodzi majorze! Miałem cię przez lat 30 za przyjaciela, a dziś dopiéro widzę, że inaczéj było! Tyś bolał, a jam się weselił o to nie dobrze.... to mi przykro, o bardzo przykro!....

— Już daj mi pokój Jędrusiu!, nie wyrzucaj! stało się, jestem nieuleczony. Kocham cię, szanuję, poważam, lecz kogo kocham oszczędzam mu zmartwienia; a wiem, że tém wyznaniem byłbyś się zasmucił, wolałem tedy milczéć. Za kilka dni może dowiész się o mojém postanowieniu, a teraz dziękuję i za to serdecznie: bądź spokojny i kochaj mię jak dotąd. Otóż i dwór, wsiądźmy na wózek, bo wstyd byłoby tak per pedes apostolosum przywędrować do marszałkowicza.

Niepotrzeba tu mówić, jak przyjął upragnionych gości pan Antoni. Major się rozweselił, porucznik za nim; dość, że po godzinie gawędki, i po kilku butelkach węgrzyna, już ani przez myśl nie przeszła naszym gościom poprzednia rozmowa. Gospodarz tak był uprzejmy, gościnny, przyjacielski; porucznik znowu tyle gadatliwy, iż nie wiedzieli jak im czas zeszedł do 10téj. Dano kolacyą kawalerską, przy któréj wina nie zabrakło; policzki się już rumieniły biesiadnikom, oczy coraz bardziéj zamgliwały, gwar stawał się żywszym, uściski i całusy serdeczniejsze.

— Panie kapitanie — przemówił gospodarz — słyszałem, że jesteś wielkim amatorem dawnych pamiątek, i wiem, że masz ich ładny już zbiorek; proszę cię, przyjmij odemnie tę szlifę, będącą kiedyś własnością księcia Józefa.

— Poniatowskiego? — krzyknął porucznik zrywając się z krzesła, i chwytając z rąk jego starą i zaśniedziałą już szlifę.

— Jego samego — odpowiedział uśmiechając się pan Antoni, gdy zdumiony komendant trzymał ją w ręce, patrząc badawczo w twarz jego.

— Ale to nie może być! — zawołał.

— Z pewnością jego; dostałem ją od pani hrabiny T. która całe umundurowanie jego miała.

— I pan mi to darujesz?

— Żebyś raczył przyjąć, bardzo byłbym szczęśliwy.

— A niechże cię ukróluje mój ty najpoczciwszy! — wołał porucznik całując go po kilkakroć w oba policzki, i ściskając z całéj siły. Dopiéroż sobie zadrwię z całéj okolicy, a co to Zosia powié na to? A jak mi Bóg miły, mosanie, ona sama—

wołał oglądając ostrożnie przy świecy—rychtyk ta sama; pamiętam miał ją pod Lipskiem! Ależ to skarb, mosanie, ależ to to... i skakał po pokoju z radości potrząsając darowaną szlifą.

— A czemże ja się odwdzięczę kochanemu marszałkowi za taki podarek, a cóż ja ci mogę za to ofiarować—mówił z błyszczącym okiem całując go już po raz trzeci.

— Nic kochany panie kapitanie nie żądam: twoja radość jest dla mnie już sowitą zapłatą.

— A złoty, a nieoceniony, a drogi człowieku! Niech cię tam Bóg błogosławi, niech ci... oh dalibóg, że już i słów nie mam na to. Mów, co chcesz odemnie, wszystko dam: krew, żonę, dzieci, kulę z pod Szczekocin, wszystko het dam....

— Dałbyś pokój tym dziecięcym uciechom—odezwał się Wolicki—ot siadaj lepiéj, pomówmy o czém innem.

— Eh! co mi tam asan gadasz o dzieciństwach: chyba nie rozumiész co to jest za skarb, mosanie! Światybym za to kupił, światy....

— No, to sobie kupuj a siadaj!

— Co mam siadać, ja jadę natychmiast; może Zosia jeszcze nie śpi, zaraz jéj pokażę.

— Ale co znowu?—przerwał z wyrzutem gospodarz—na pokazanie jutro dość będzie czasu: jeszcze szklaneczkę ponczu, mój kapitanie bardzo proszę!

I usadził go całkiem roztargnionego na krześle, podsunął szklankę z ponczem, a sam zbliżywszy się nieznacznie do Wolickiego, szepnął:

— No i cóż, dobry początek? Kończże już ty *daléj!*

— Zaraz, poczekaj trochę, niech się nacieszy.

Tymczasem porucznik oglądając ciągle szlifę, mieszał łyżeczką poncz, niezważając na towarzyszy: przekładał bulion za bulionem, macał, oddmuchiwał z kurzu, wstrząsał je, i mruczał sobie co chwila:—jak Boga kocham, jego: i to podszycie takie, i srebro dobre, i guzik.... A niech mię milion furbeczek porwie, jeżeli nie zachoruję z radości!

— Panie kapitanie! proszę cygarko jeszcze!—przemówił pan Antoni podając mu takowe.

— Dziękuję bardzo, Bóg zapłać—odpowiedział nieprzytomnie porucznik, łyżeczkę trzymaną w prawéj ręce położył na stole, wziął szlifę z lewéj, i zapaliwszy cygaro u świecy, tyle się zapo-

mniał, że zamiast łyżeczki, wpakował swój skarb do szklanki z ponczem.

— A niechże cię milion rejmentów furbeczek batalionów okrętów.....—zawołał zrywając się z krzesła.—Masz tobie, dałem sobie też chleba; a to dopiéro głupia moja muzgownica..... tfu.....

I tém już zrujnował sobie wesołe usposobienie, w jakie wpadł po otrzymaniu podarku. Lecz wkrótce oczyszczono pamiątkę, ukołysano porucznika, i znowu różowy humor, a z nim nieskończone dykteryjki pojawiły się w gronie bawiących. Od tego do tego, tak nieznacznie Wolicki kierował rozmowę do zamierzonego celu; nareszcie napomknął coś o dzieciach, i nagle zapytał komendanta:

— I cóż ty Jędrusiu myślisz zrobić z swą Julką?

— Co?—odrzekł zadziwiony—myślę ją chować na pociechę Bogu i ludzi, a jak się trafi, wydam za mąż.

— I cobyś naprzykład powiedział, gdybym ci ją wyswatał za człowieka porządnego, poczciwego, statecznego, bogate....

— Proszę cię Wolisio, tylko tego ostatniego nie chcę.

— Czy pan porucznik boi się dostatków?—przemówił nispokojnie gospodarz.

— Jak morowego powietrza, kochany panie, jak morowego!

— Co znowu! nie przesadzaj bratku!—mówi Wolicki,—od przybytku głowa nie boli!

— Ale godziwego.

— Ja też o takim mówię; przecieżbym ci nie stręczył krzywdziciela ludzkiego, tylko człowieka poczciwego z dostatkiem.

— A z dostatkiem, to nie z bogactwem; bo u mnie bogactwo co innego znaczy. Ja sam ubogi mosanie, i córka moja w mierności wychowana, więc od państwa zdaleka! Jeszczeby się potém zaparła starego porucznika, jakby przyszedł do niéj w połatanéj węgierce, a to dla ojca niebardzo przyjemna finfa, nie prawda?

— Ależ tak wychowana jak panna Julia.

— Co to znaczy, panie Antoni: pieniądze z kozła zrobią ırana, a cóż dopiéro z płochéj istoty jaką jest każda kobieta! ajno jéj tylko garść dukatów, a zaraz jéj się zechce niestwoonych rzeczy. Ho! ho! znam ja je na wylot bratku!—i przy :h słowach machnął ręką jakby przebijał kogo.

— No, no mój poruczniku, dajno pokój: ja już takiego ci pokażę, co ci się pewno spodoba.

— Nie wierzę, nie,—mówił poruszając głową—znam ja ich tu wszystkich na palcach: nie ma tu męża dla Julki. Bogaty nie chce, ubogi nie śmie, a środkującego między niemi znaleźć trudno!

— I cóżbyś naprzykład powiedział, gdyby pan Antoni tu przytomny, prosił cię o rękę Julki?

— Powiedziałbym, że sobie kpisz ze mnie lub pytasz o drogę, mosanie!—odrzekł jednem tchem zapyrzony porucznik zakładając w tył ręce.

— Ani jedno, ani drugie mój szanowny kapitanie—przemówił pan Antoni—lecz miałbym to sobie za największą łaskę i szczęście, gdyby jego wola była tu zgodna z memi życzeniami.

— Cha! cha! cha!—zaśmiał się komendant—pyszna mi wola, mosanie, z golizną! Wolne żarty JW. marszałka, mocno dziękuję!

— Tylkono nie kpij sobie Jędrusiu—odrzekł seryo Wolicki biorąc go za rękę—w takich rzeczach się nie żartuje. Pan Antoni, mój przyjaciel, oddawna upodobał sobie twą Julkę, bo nie patrzy na posąg, ale na serce. Sam niemłody, ale i nie stary; byt ma wygodny, człowiek uczciwy i honorowy, prosił mię o to pośrednictwo: ja przyjąłem wiedząc, że nie odmówisz nam obu.

Porucznik stanął zadumany, wysłuchawszy ostatnie słowa; w jego duszy taki nastąpił zamęt, że przez chwilę nie wiedział co odpowiedzieć na to. Jeszcze nie wierzył temu wszystkiemu; zdawało mu się, iż Wolicki wziął go tu sobie na fundusz jak zwykle, lecz prośba pana Antoniego, i wcale poważne miny obydwóch, zbijały to mniemanie.

— Ależ powiedzcie naprawdę, moi drodzy—wyrzekł zakłopotany—wyprowadzacie mię na dudka, a przyznam się, podobnie drażliwych żartów nie lubię.

— Ależ najszczersza prawda, mój drogi panie poruczniku: cóż w tém dziwnego? Ja przecież panem swéj woli...

— Aleś marszałkowicz, bogacz...

— I cóż to znaczy, przecie zawsze człowiek.

— Eh—zawołał porucznik machnąwszy ręką—diabli nadali, żeście się do mnie uciekli w téj sprawie; żeby tu była Zo-

sia, tobym wam odpowiedział jak się patrzy: ja się tam na tych interesach nie znam, córka do matki należy... zresztą...

— To też uważaj Jędrusiu, nie jest to formalne oświadczenie—rzekł Wolicki—tylko ot tak przyjacielska poufna rozmowa; jak ty się zgodzisz, udamy się do pani.

— Wszystko to dobrze, wszystko to— mówił trąc łysinę porucznik i chodząc szybkiemi krokami po izbie,—ale... bo to widzisz...

— Czy nie miałem tego szczęścia spodobać się panu kapitanowi?—przerwał słodziutko gospodarz, zatrzymując go za rękę.

— Nie o to, nie o to, mój kochany panie—odpowiedział komendant, przypatrując się od stóp do głów konkurentowi Julki, jakby go piérwszy raz dopiéro widział—ale żebyś to pan był biédniejszy, mosanie!?

— Chciałbym, wierzaj mi kapitanie, lecz trudno: jużciż piéniędzy za płot nie wyrzucę?

— Otóż to i w tém biéda!

I znowu chodził po pokoju, i znów targał siwe wąsy, szeptał pod nosem, rozkładał rękoma, przystawał, uderzał się w czoło, gdy major z przyszłym zięciem stali przy oknie, czekając odpowiedzi.

— Ależ mój panie marszałku—rzekł zatrzymując się przed nimi—nie obrazisz się, gdy ci jednę rzecz powiem, hę?

— Bynajmniej, łaskawy panie, mów co chcesz, zawczasu przebaczam.

— Bo widzisz, tak Bogiem a prawdą, tybyś mógł być jéj ojcem—wyrzekł nieśmiało.

Zaczerwienił się na to po uszy marszałkowicz, przygryzł wargę, lecz jakoś nie okazał widoczniéj swego niezadowolnienia; owszem uśmiechnąwszy się milutko odpowiedział:

— Tak dalece znowu nie, bo liczę sobie lat 35 dopiéro...

Porucznik potrząsnął niedowierzająco głową.

— Co, wątpisz pan?—krzyknął zaiskrzony—metrykę pokażę!...

— Niepotrzeba... wierzę, wierzę, tylko widzisz mój kochany panie marszałku, ja to myślałem o takim zięciu, cobym to mógł nim kierować, a czasem i...

— Skórę wytatarować!—dokończył Wolicki.

— Nie, nie, broń Boże, fe, co znowu, dajno pokój, nie dowcipkuj; alem tak napomniał po swojemu, jak ja to rozumię męża, zięcia, a tu daruj, nie śmiałbym, a może...

— Co może...

— Możebyś mię pan dobrodziéj wyrzucił potém za drzwi jako natręta i biédaka, a przyznam się i u mnie krew nie woda, mosanie, i ja choć biédna bestya, lecz hardy jak sto par diabłów: zrobiłbym głupstwo.

— Jakżeż można tak myśléć panie kapitanie!? Jać przecież nie żaden dzieciuch; żyłem już z różnemi ludźmi na świecie i wierzaj mi, twoje rady droższe i szacowniejszeby mi były, niż najlepszych filozofów! Widzisz przecie, gdybym chciał, mógłbym sięgnąć i po hrabiankę z milionami, a wszelako wolałem uczciwą a biédną, lecz z dobrego gniazda panienkę, bo jestem pewny, że mając takich rodziców jak państwo jesteście, będzie porządną i nieocenioną małżonką.

— Wszystko to facecye, mój panie kochany!—odpowiedział śmiejąc się trochę porucznik—ot zwyczajnie pańskie zachcenia! Gdzieby tam prosta dziewczyna mogła do tyla podobać się człowiekowi takiemu jak pan marszałek, co to bywałeś po dworach monarchów i widziałeś nie takie kobiéty. Między nami jest ona dobra, lecz między panami prostaczka, mosanie; musiałbyś się wstydzić za nią, a jabym znowu tego nie zniósł, żeby sobie tam drwili z mojego dziecka! Daj pokój panie kochany, daj pokój: to nie dla ciebie żona!

— Mój Jędrusiu—odezwał się Wolicki—zanadto jesteś przewidującym; pan Antoni już dobrze się rozmyślił, już wszystko obliczył, nie jest przecie gorączkowym szałaputą!?

— To chwilowe, Wolisio, jutro się zmieni!

— Lecz koniec końcem, zgadzasz się czy nie? Mów, bo powiém ci otwarcie, obrażasz i jego i mnie: ja wcale inaczéj trzymałem o tobie!

Dotknięty podobną wymówką porucznik, jakoś się umitygował, podumał chwilkę rozbierając za i przeciw; wreszcie rozjaśnił oko, uścisnął Wolickiego, i co mu się rzadko zdarzało, wyrzekł powoli:

— No, kiedy już tak na seryo chcecie, i kiedy zaręczacie mi za przyszłość, to ja się zgadzam zupełnie i daję wam moje słowo!

— *Victoria*!—krzyknął Wolicki!—*Victorio*! i ucałował serdecznie porucznika, a za nim i przyszły zięć. Podano wina, spełniono za zdrowie i powodzenie przyszłych małżonków, i tym sposobem ubito interes!

— Za pozwoleniem moi panowie—odezwał się porucznik—moje przyrzeczenie jeszcze tu nie wystarcza, a z babami niełatwa sprawa!

— Przecieżeś ty panem w domu!—rzeknie Wolicki.

— Eh nie tak to jak się zdaje, bo jak cię tam obskoczą, okrzyczą, zahukają, to rady sobie nie dasz z niemi, zwłaszcza że to ich sprawa! Już widzę moję imość jak się będzie bońdziuczyć, i przeczuwam niechęć, bo wiem, że jakoś nie ma serca do ciebie panie Antoni; lecz postaramy się ją ugłaskać. Trudno to będzie bo trudno, ależ od czego głowa na karku?!

Niedługo potém nasz komendant czegoś nie swój, wsiadał na bryczkę zabierając się ku domowi, bo Wolicki pozostał u pana Antoniego; pożegnał się z obydwoma najuprzejmiéj i ruszył za bramę. Zaledwie ujechał kilkadziesiąt kroków, gdy przypomniał sobie, iż nie zabrał szlify.

— Stój!—krzyczy na furmana—zawracaj do dworu!

— A szlifa moja panie marszałku — zawołał wpadając do pokoju.

— Jest, jest, proszę.

Porwał ją więc ucieszony, pożegnał drugi raz towarzyszy, i zapomniawszy o Julce, całkiem zajął się drogocenną pamiątką. Już ułożył sobie gdzie ją umieści w szafie, jak ją oprawi, jak pokaże dziekanowi, burmistrzowi, sekretarzowi i t. p.: słowem, przez całą drogę marząc o niéj dojechał wreszcie do miasteczka. Było to już po północy, cisza grobowa panowała wszędzie, ani jedno światełko nie błyszczało w oknie, bo tam nie było panów, lubiących przewracać porządek natury, i urągać się dniowi, rozwieszając tysiące jaśniejących lamp w swoich salonach. Niedaleko od mieszkania, kazał znowu stanąć, wysiadł z bryczki i zapukał do okna domku stojącego przy drodze.

— Duszak! Duszak.

— A kto tam?—zapytał się z głębi głos drżący.

— To ja, kapitan: otwórzno okno!

Po chwili zabrzęczał haczyk i stara łysa głowa wychyliła się na zewnątrz.

— Jestem wedle rozkazu panie kapitanie — przemówił zaspany starowina, stawając znegliżowany frontem przy oknie.

— Jakże się masz stary?

— Tak panie kapitanie: niedobrze, kaszlę.

— A przymknijże okno, wiatr zimny jeszcze ci zaszkodzi! Czemu się to nie okryjesz, po co te honory mój Duszaku; nie bądź też głupi ze mną robić takie ceregiele!

— Nic nie szkodzi, panie kapitanie, ja już tak przywykł, i choćbym nie chciał, to jakoś same ręce na dół lecą.

— Ot wiész co Duszaku, pamiętasz ty księcia Józefa?

— Jak żywego, panie kapitanie.

— A szlify znałeś, mosanie?

— Jak pana kapitana.

— No, to przyjdźno rano do mnie, a pokażę ci taką rzecz, o której ani słyszałeś kiedy.

— Stanie się wedle rozkazu panie kapitanie — wymówił prostując się znowu starzec.

— Eh głupiś z twoim rozkazem, mosanie! — to nie służbowy interes.

— Wszystko to jedno, panie kapitanie; a o któréj mam się stawić?

— O któréj chcesz, mój poczciwy. Dobra noc!

— Dobranoc panu kapitanowi — i zamknął okno.

— A cóż to za djabelskie przyzwyczajenie, — mówił sobie porucznik jadąc ku domowi, — dziad ledwo się kiwa na świecie, a jeszcze mówi wedle rozkazu: on gotów i umrzeć wedle rozkazu. Ani sposób z niemi poufale pogawędzić: tak ci będą sadzić panem kapitanem, tak się wyprężać, że aż wszystkie złości na mnie występują!

Zaledwie szanowny porucznik przestąpił próg swego mieszkania, zaledwie drzwi zamknął na haczyk i zapalił świecę, porwał natychmiast w drugą rękę ową szlifę i pobiegł do pokoju żony.

— Zosiu! Zosiu! — wołał nad uchem spiącéj, potrząsając ją za ramię.

— Co takiego się stało? — odezwała się przebudzona nagle porucznikowa.

— Pamiętasz ty kochanie księcia Józefa? — zapytał radośnie świecąc jéj w oczy.

— Jakiego księcia Józefa?

— No, tego, naszego Poniatowskiego!

— Dajżesz mi pokój, nie świeć, czego się włóczysz w nocy.

— Ale bo dostałem ważną pamiątkę...

— To sobie trzymaj, a mnie pozwól spać!—przerwała zagniewana porucznikowa, odwracając głowę.

— Szlifę jego własną, patrzajno!

Lecz ona wcale się nie odezwała na to.

Słuchajno Zosiu, rodzoną jego szlifę, którą miał pod Lipskiem!

I tą razą milczenie było odpowiedzią.

— A to dopiéro kamień kobieta!—krzyknął zagniewany i wybiegł z pokoju. Tfu do miljon furbeczek z taką babą! Pokaż jéj chustkę jaką, albo głupstwo świecące, równemi nogami zerwie się do oglądania, a na taki skarb ani spojrzy: zwyczajnie wietrznica!

Tak zadekretowawszy, siadł przy swoim stoliku, zaczął na nowo oglądać owę szlifę, oczyszczać, zdmuchiwać, gwarząc powoli z samym sobą; potém ustawił ją między fajkami przy aksamitnym kapciuchu, odszedł kilka kroków, popatrzył, znowu przeniósł gdzieindziej, znowu popatrzył, uśmiechając się radośnie na samą myśl, jak to się wszyscy dziwić będą, gdy zobaczą tyle szanowny przedmiot w jego posiadaniu. Nareszcie, gdy już wybiła druga po północy, i gdy odmawiając zwyczajne pacierze przed obrazem Bogarodzicy, i prosząc za pomyślność swych dzieci, dopiéro przypomniał sobie o oświadczynach pana Antoniego.

— A to głowa mosanie!—zawołał uderzywszy się w czoło, i pobiegł znowu do pokoju żony.

— Zosiu, Zosiu, słyszałaś ty!—krzyknął już głośno, potrząsając gwałtownie spiącą.

— A dajże mi święty pokój! Czyś ty się uwziął na mnie czy co, że mi nie dasz chwilkę się przedrzymać?

— Ale bo widzisz wielkie szczęście nas spotkało.

— Możeś znowu dostał jaką szlifę.

— Nie, nie moja imość: Julkę za mąż wydaję!—odpowiedział pokręcając wąsa z miną bardzo uszczęśliwionego.

— Czy dziś?—spytała żartobliwie porucznikowa,—bo dawno już słyszałam o tym zamiarze.

— Tylko bardzo proszę imości bez tych facecyj: ja mówię seryo.

— No, to jutro się dowiem, wszak to nic pilnego.

— Owszem że pilnego, moja imość: takiego zięcia nie prędko znajdziesz!

— Mój kochany idźże sobie spać: mnie głowa boli, chcę zasnąć, a ty mi przeszkadzasz ciągle. Cały dom pobudził dla szlify, teraz znowu dla jakiegoś zięcia.

— Już idę, już idę—odrzekł drapiąc się po głowie,—tylko powiedz mi moja kochana, cobyś ty pomyślała na to, gdyby pan marszałkowicz, pan Antoni, nasz przyjaciel, oświadczył mi się dzisiaj o Julkę, hę?

— Niebym nie pomyślała—odrzekła prędko już zniecierpliwiona kobieta—alebym powiedziała, że nie pozwolę.

— Tobyś asani głupstwo powiedziała i kwita!—krzyknął jeszcze prędzéj porucznik, trzasnął drzwiami i wybiegł z pokoju.

Ot nie powiedziałem!—zawołał w swoim pokoju zabierając się do spoczynku—nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię! Czy to potrzebne było tam jeździć? a słowo się dało; no dopiero mi to jutro dadzą bibiku! ale do milion furbeczek, jać przecie ojciec, pan domu, nie dam sobie byle komu stroić finfy, mosanie! Zobaczymy, czyje będzie na wierzchu, moja imościulku, zobaczymy.

I zaspokoiwszy się tym sposobem, usnął prędko marząc już, jak on to będzie dyrygował domem przyszłego zięcia.

Lecz w pokoju porucznikowéj wcale inaczéj myślano. Cios był zazbyt wielki, aby mógł się prześliznąć niepostrzeżenie przez umysł i serce téj zacnéj kobiety.

Zagadka się rozjaśniła, myślała sobie ważąc ostatnią nowinę porucznika; przyznam się nie mogłam tego nawet przypuścić. Wybornie panie marszałku! zachciało ci się żony, którąbyś dręczył swą starością, skąpstwem i egoizmem, za lichą łyżkę strawy rzuconą z jego marszałkowskiéj łaski biédnéj dziewczynie. Och! nie twoje to doczekanie! Moje dziecko jeśli skazane na pasmo ofiar w tém życiu, to pewno nie dla ciebie; ją błyskotki nie nęcą, żądze jéj zazbyt ograniczone, zazbyt skromne, aby poświęcić im mogła najczystsze swoje uczucia: młodość i swobodę. Mężowi się nie dziwię bynajmniéj; on zanadto poczciwy, aby w tym zamiarze widział coś więcéj nad prostą życzliwość, i właściwe ocenienie przymiotów naszego dziecka. Złapali go z Wolickim, przedstawili materyalne korzy-

ści, więc się i zgodził chętnie, ale ze mną nie tak łatwo mój konkurencie: damy sobie radę!—zobaczymy!

Gdy tak rozmyślała przewracając się niespokojna w łóżku, zdawało jéj się, iż słyszy tłumione łkania wychodzące od strony Julki. I rzeczywiście tą razą bynajmniéj się nie myliła. Dziewczyna nie spała wtenczas, gdy ojciec wpadł do pokoju i przyniósł tyle ważną dla niéj wiadomość. Dreszcz zimny, febryczny wstrząsnął biédną istotą, usłyszawszy nazwisko pana Antoniego. Piorun uderzając z całą gwałtownością ponad głową dziewczęcia, nie sprawiłby podobnego wrażenia, co zrobiły te słowa ojca, iż ją za mąż wydaje. Dotąd, bardzo rzadko i to w słabych kolorach, przedstawiała jéj się postać małżonka; życie jéj moralne jeszcze nie rozwinęło w sobie téj myśli, dusza nie potrafiła skupić w jedno ognisko rozproszonych marzeń przyszłości. I chociaż nieraz żywa imaginacya dziewczęcia, zajrzawszy w swoje serce, zapragnęła czegoś innego, nieokreślonego, niepojętego; chociaż potęskniła za jakiemiś mamidłami poetycznych zachceń: wszelako cała ta budowa nie miała żadnéj trwalszéj podstawy w jéj myślach, i rozpraszała się za najmniejszym powiewem teraźniejszości. Wszystkie jéj rozmowy w podobnym rodzaju z mężczyznami prowadzone, jakkolwiek nosiły na sobie piętno prawdy i znajomości, pomimo że odznaczały się lekkością dającą wiele do myślenia słuchającym, jednakże w gruncie były to powierzchowne tylko spostrzeżenia, ugruntowane na teoretycznie zaczerpniętych wiadomościach, częścią z książek, a częścią z rozmów innych już starszych osób. Teraz więc, gdy niespodzianie rzeczywistość zjawiła się w jéj umyśle, gdy te żądania nieokreślone i niepojęte przybrały pewną formę, i to formę wcale różną od poprzednio wymarzonéj: naraz otworzyły się jéj oczy, a serce i uczucie przypomniały się o swoje prawa. Od dziecięcéj niewiadomości do poczucia samego siebie, czyli do dojrzałości, jest tylko krok jeden, jedna chwila. Podobnie gwałtowne przejścia szczególniéj w życiu kobiét, są najpospolitsze. Wczoraj jeszcze dziecko panienka, naiwna, szczebiotliwa, trzpiotowata, dzisiaj zmienia się do niepoznania: miejsce naiwności zajmuje skromność, szczebiotliwości rozwaga, żywości powaga. Wychowanie domowe, towarzystwo, nieszczęścia i inne płynące z życiem okoliczności, przyspieszają lub oddalają tę chwilę. Dlatego téż nieraz można zobaczyć mło-

dą panienkę, rozumującą z taką pewnością i świadomością siebie, iż trudno uwierzyć własnym oczom, aby w piętnastym roku życia, kobieta mogła znać tak dalece świat i ludzi, złe i dobre; a jakkolwiek podobna dojrzałość wydawać się może niektórym zadziwiającą: wszelako przykre jakieś uczucie nas owionie, pomimowolnie niechęć wyrodzi się dla téj przed czasem wybujałéj roślinki. Przeciwnie znowu, jakiżto niewysłowiony urok otacza nawet już mężatkę, gdy z ust jéj płyną wyrazy pełne naiwności, gdy każdy jéj ruch, spojrzenie cechuje skromność, a myśl pokrywa urocza szata niewinności. O wierzcie mi, daleko lepiéj smakuje owoc zerwany w czasie właściwym chociaż przejrzały, niż wczesna nowalijka, sztucznem ciepłem wychuchana!!!

W tak ważnéj w życiu ludzkim chwili, jaką jest owo przejście, nie dziw, że i panna Julia nie była zdolną w tym odmęcie pożegnalnych i witających myśli, utworzyć jakiego bądź ładu, przez który mogłaby trafić do jakiegobądź stanowczego rezultatu. Nieusprawiedliwiona niczém trwoga, jedynie może na przeczuciu oparta, wstrząsała biednem dziewczęciem i wydobywała potoki łez, przerywane kiedyniekiedy głośniejszém łkaniem, które zwróciło właśnie uwagę matki.

— Julciu! Julciu!--przemówiła ciszéj—śpisz ty kochanie?

— Nie mamo.

— Czy mi się zdaje, czy istotnie płaczesz?

Córka milczała,

— Co ci jest moje dziécię?—zapytała trwożliwie—powiedz, możeś miała jaki sen przykry?

— Nie, nie mamo droga!—zawołała klękając przy łóżku matki i całując z niewymownem uczuciem jéj rękę—nie mamo, ale słyszałam wszystko!

— Coś słyszała?

— Wszystko, wszystko—mówiła zanosząc się od płaczu. Mamo kochana, serdeczna, jedyna, ja nie pójdę za tego marszałka, ja nie chcę iść za mąż; ach ratuj mię mamo!—i wysilona żalem zsunęła się na podłogę.

— Ależ moje dziécię uspokój się, nie płacz kochanie!—wyrzekła poczciwa matka tuląc jéj główkę do piersi—nie bój się, zaradzimy temu, ojciec żartował tylko!

— O nie, nie, ja wiem że to prawda, ja teraz przypominam sobie wszystkie jego grzeczności..... Mój Boże, mój Bo-

że! cóżem też winna temu człowiekowi, że tak mię prześladuje!

— No uspokójże się już moja Julciu, nie przypuszczaj sobie takich myśli; ojciec cię kocha bardzo, i pewna jestem, skoro ty nie zechcesz, nalegać nie będzie; a zresztą przecież i ja tu coś znaczę. Nie trwoż się więc, nie płacz, bo jeszcze cię może głowa rozboleć.

Te słowa jakoś rozbroiły trochę żal dziewczęcia, otarła łezki, ucałowała pokilkakroć ręce dobréj matki i usiadła przy niéj widocznie spokojniejsza.

— I czegoż ty się tak lękasz pana marszałkowicza?—zapytała po niejakim czasie porucznikowa.

— Och nienawidzę go! niecierpię!—odrzekła z całą gwałtownością Julka

— To bardzo niesłusznie moje dziecko: przecież on ci nie wyrządził najmniejszéj krzywdy; uprzedzenie masz do niego i nic więcéj!

— Kiedy ja z jego oczu czytam, że to musi być zły człowiek; bo proszę mamy, dlaczegóż działał tak skrycie, dlaczego mówił ojcu o moję rękę, a mnie, którą to może najwięcéj obchodzić, nie pytał wprzódy?

— Bo widzisz, jest to człowiek pewnego rodzaju, który idzie gościńcem wprost do celu, nie zwracając uwagi na mniejsze scieszki. Jemu się zdaje, iż z tytułu bogactwa swego ma do wszystkiego prawo; lecz nie idzie za tém, aby go nienawidzić moje dziecko; on temu nie winien wcale, bo wyssał to już z mlekiem matki, nie znał innego życia, nie przechodził prób losu: raczéj litować się nad nim powinniśmy, że stąpa po tak błędnéj drodze. Chrystus powiedział: „miłujcie nieprzyjaciół waszych, czyńcie dobrze tym, którzy was obrazili."

— Ależ ojciec, moja mamo, ojciec, taki dobry, rozsądny, że też mógł przyrzekać to, co jego córkę zrobić może nieszczęśliwą na całe życie; bo jabym go nigdy kochać nie mogła, nie potrafiła, pomimo największego przeświadczenia o konieczności ofiary.

— Gdybyś znała życie tak jak twój szlachetny i dobry ojciec, gdybyś pojmowała jego boleść na samę myśl twego sieroctwa, nie pytałabyś mię o to. Ty nic wiész kochanie, jakąto przyszłość gotuje los ubogiéj dziewczynie; ludzie są różni, przeróżni: często podadzą rękę najniegodniejszéj istocie, a pozwolą mrzéć z głodu prawdziwéj zasłudze i cnocie. Mężczy-

zna jako tako, choć z wielką trudnością potrafi wypłynąć na wierzch, potrafi sobie utworzyć odpowiednie stanowisko; lecz kobieta, istota słaba, kochająca, potulna, przez całe swoje życie walczyć będzie z przeciwnościami, nie widząc najmniejszéj iskierki zwycięztwa; cierpieć będzie podwójnie, i bardzo rzadko wytrwa w swém postanowieniu! Dzisiaj, tobie naprzykład wydawać ci się może podobna droga łatwą, ponętną nawet, bo masz młodość, zdrowie, uczucie, wolę, i wiarę w ludzi; lecz powoli, powoli, gdy listki zaczną opadać z tego pięknego drzewa nadziei, duch osłabnie, a cnota się przyćmi, inaczéj patrzéć będziesz na życie. Na każdym kroku rość ci będą kolce, które raniąc niemiłosiernie szlachetną stronę twéj duszy, może zahartują jéj słabość, ale mogą ją i rozszarpać. Tak, tak moja Julciu, nie miéj za złe ojcu, że wiedząc o tém z tysiącznych wypadków, chciałby ci zabezpieczyć przyszłość, dać opiekę, podporę choć materyalną, lecz mniéj więcéj pewną.

— Och mamo!—odezwała się po chwili zasmucona dziéweczka z dziwną jakąś energią, malującą się na twarzy—teraz lepiéj to pojmuję niż dawniéj, czyściéj widzę, jawniéj przeczuwam; lecz daruj, że wolę tę drogę utrapień, którąś mi tak czarno przedstawiła, niż materyalną pomyślność, zapewnioną przez pana Antoniego. Tam będę cierpiéć, lecz cierpiéć niewinnie, i to mię pokrzepi; tu zaś byłabym karaną przez całe życie już tą samą myślą, że zlękłam się niedostatku, sprzedając niegodnie wszystkie uczucia, słowa i postępki za kilka czczych przyjemnostek, dogadzających próżności ludzkiéj!

— Pięknie, szczytnie moja córko!—zawołała w uniesieniu matka, całując ją ze łzami i tuląc do siebie.—Nie zawiodły mię moje przeczucia: tyś godna téj miłości nieograniczonéj, jaką mam dla ciebie, ty już będziesz, musisz być szczęśliwą! O Boże wielki—zawołała składając ręce—dziękuję ci za tę łaskę, jakąś okazał nademną przy kierowaniu jéj umysłem i sercem! Spełniłam w części przeznaczenie matki—jestem spokojna!

O! wielka to była chwila i uroczysta, splecenia dwóch serc ogniwem wyższéj nadziemskiéj miłości, bo płynącéj z czystych zasad wiary Chrystusa! Najbardziéj zrozpaczona dusza musiałaby tu klęknąć i uderzyć czołem przed tą wielką myślą słabych i maluczkich kobiét; musiałaby zaczerpnąć otuchy z tego morza uczuć, któraby wróciła jéj nadzieję—symbol nieśmiertelności!

I matka i córka już się zrozumiały zupełnie: dalsze objaśnienia, wątpliwości zniknęły przed niemi, bo nad ich głową zaświeciła gwiazda nigdy nieprzepalonego światła, rozpraszającego każdy cień przyszłości mocą swojéj potęgi i woli. A przecież były to proste kobiéty, bez wyższéj nauki, bez wyrobionego sztuką uczucia piękna: bogate, lecz tylko wiarą Chrystusa; strojne, lecz szatą cnoty. Młoda, 18-letnia dziewczyna odrzuca z pogardą rękę milionowego bogacza, skazuje się samochcąc na ubóstwo, cierpienia, niedolę, dla jednéj tylko myśli, żeby jéj nie posądzono kiedyś, tam na strasznym sądzie, iż mogąc więcéj ponosić ofiar z swych chęci, żądz i przyjemności zmysłowych, na drodze którą jéj Bóg przeznaczył, obrała lżejszą. Matka znowu, patrząca na swe dzieło z uczuciem najwyższéj radości i dziękczynną modlitwą w ustach, czyż nie jest godna naszego uwielbienia?!

Jakto Opatrzna ręka umié nagradzać niedolę cnotliwym, osładzać krwawe ciernie życia, po których stąpać muszą z uśmiechem na ustach, a pokorą w sercu. Jestem pewny, że gdyby porucznik słyszał tę rozmowę pełną szczerości i prawdy, zmieniłby swój zamiar i ukorzył się przed niemi, jako wybranemi od Boga na uosobienie idei poświęcenia.

Lecz u niego uczucie honoru, uczucie prawości, dziwnie jakoś splotło się z religią i nie pozwalało spojrzéć jaśniéj tam, gdzie one jakibądź uszczerbek ponieść mogły. Słowo dane przez niego było świętém, nieodwołalném, było drugim punktem wiary; dla złamania go, potrzebował nadzwyczajnego dowodu, któryby usprawiedliwiał dostatecznie jego cofnięcie. Na nieszczęście, nie mógł tego dostrzedz w całém postępowaniu przyszłego zięcia: czuł dobrze, iż podobnie przysposobiony los dla córki nie zgadzał się z jego widzeniem, nie odpowiadał wszystkim warunkom przyszłéj pomyślności, lecz nie mógł się wydobyć z ciasnych szranek honoru, którym się dobrowolnie skrępował. Dlatego bronił się słabo naleganiom żony, płakał pospołu z córką, oskarżał się przed nią jak ostatni tyran, niegodziwiec, zabójca jéj szczęścia: wszelako nie miał siły zmienić postanowienia.

— A co to ludzie powiedzą—myślał sobie nazajutrz po odbyciu rannéj sprzeczki z kobiétami—ten porucznik, stary wojak, prawy, honorowy, nie dotrzymał danego słowa. Tfu! do milion furbeczek, niezatarta plama w życiu! To być nie może!

Lecz podobna perswazya bynajmniéj nie wpłynęła na jego uspokojenie. Cały dzień unikał widoku żony i córki, nie jadł w domu, błąkał się po polach, dręczył się do ostatniego, a nie mógł wynaléźć żadnéj pociechy. Przed wieczorem dopiéro, powróciwszy do siebie znękany, osłabiony i zgryziony, siadł w krześle i dumał. Kobiéty tymczasem widząc tę jego boleść, cierpiały podwójnie: okropna walka miłości rodzicielskiéj, z szczytniejszą myślą przeznaczenia człowieka, toczyła się w sercu biédnéj Julki; piérwsza musiała przemódz i przemogła. Matka nie radziła więcéj, bo czuła z nią razem, myślała wspólnie; kiedy więc zadumany porucznik zanurzywszy głowę w obu dłoniach, siedział nieruchomy w swoim pokoju, z jaśniejącém okiem i spokojem duszy zahartowanym mocną wolą, zbliżyła się nieznacznie ku niemu, i uklęknąwszy jak do modlitwy, wyrzekła powoli, dobitnie:

— Ojcze drogi, kochany, serdeczny, daruj mi, przebacz! Jam nierozmyślnie była powodem twoich utrapień, jam zbłądziła opierając się twéj woli; teraz gotowam cię usłuchać: pójdę za pana Antoniego! Nie myśl kochany ojcze, iż tu osobista niechęć ku niemu była przeszkodą; nie, ja chciałam więcéj cierpiéć w przyszłości i cierpiéć w tym stanie, do którego Bóg i urodzenie mię przeznaczyło. Lecz gdy tak być nie może, gdyby moja odmowa skalała twój honor: Bóg przebaczy, spełniam tylko Jego wolę, będąc posłuszna tobie, jako najlepszemu ojcu!

— O dziécię moję, Julko moja!—zawołał chwytając ją w swoje objęcia—wróciłaś mi życie!

— Oby ci je Bóg najdłużéj zachował, mój ojcze drogi!— odpowiedziała ze łzą w oku całując jego ręce.—Teraz jestem spokojna, jestem szczęśliwa.

Lecz nie myśl kochany mój dobroczyńco—mówiła daléj z wrastającym zapałem,—że to postanowienie jest wymuszone obowiązkiem wdzięczności i posłuszeństwa dla ciebie—i to nie. Ono jest dobrowolne, płynące z mego serca, i tak szczere, jak szczerą jest moja nieograniczona miłość dla ciebie. Wczoraj martwiłam się z początku, to prawda, bo wczoraj byłam dzieckiem; lecz dzisiaj co innego: Julcia trzpiotowata ustąpiła miejsca poważnéj pannie Julii. No popatrz na mnie mój tato—rzekła prostując się przed nim z uśmiechem wesołości—czy nie mam miny sensowatéj imości, co?

— Daj pokój dziewczyno, daj pokój: chcesz mię rozweselić, i przymuszasz się do śmiechu; lecz kiedyś taka już sobie stateczna, mosanie, to mogę ci powiedzieć otwarcie, iż znam się na podobnych manewrach. Matka twoja rychtyczek tak samo robiła: bywało martwi się w sobie, gryzie, płacze po nocach, a przed starym figle broi, jakby nigdy nic nie było. Oho! już to starego wróbla nie weźmiesz na plewę, moja panno, i wierz mi, więcéj mię to może kosztuje ta sprawka głupiego porucznika, niż ciebie. Ale trudno, inaczéj być nie może: za winy ojców, dzieci częstokroć cierpią, a gdy cierpią z takiém poświęceniem się i pokorą, jak ty moja Julciu, już mają w tém życiu nagrodę, albowiem kogo Bóg zasmuci, i pocieszyć nie omieszka, jeśli tylko sami odpychać téj pociechy nie będziemy.

— Ależ nie tak mój tatko: ja na seryo się nie smucę, i nie udaje wesołéj; owszem, jak się rozmyśliłam, zdaje mi się mogę być szczęśliwą i z panem Antonim. Nie kocham go wprawdzie, ale muszę kochać, bo proszę cię jak mu zacznę dogadzać we wszystkiém, pamiętać o wszystkiém, a przytém modlić się gorąco do Najświętszéj Panny, to go powoli przerobię na takiego, jakiego będę mogła szanować i kochać. Zresztą mama mi zawsze powtarza, iż nie ma szczęścia na téj ziemi, więc choć tam się znajdą jakie nieporozumienia, ustąpię, przeproszę, ugłaskam. Och! bo ja to potrafię, mój ojcze, i dobrze będzie! A jak ty przyjedziesz do nas, to ci się serce rozraduje, i pewno nie będziesz miał mi do wyrzucenia, żem...

— Pięknie to, dobrze—odrzekł już trochę rozruchany porucznik—znam cię moja rybko i wiem, że ci się to uda, bo gdyby inaczéj, nauczyłbym ja go po kościele gwizdać, mosanie. Oho! jeszcze ta ręka uniesie szablisko.

— Tego nie będzie potrzeba—mówiła łasząc się dziewczyna—on musi być w gruncie serca dobry człowiek.

— Ale bogaty, a ja bogatym nie wierzę! Przyjdzie kaprys, to ci powié przykre jakie słowo, że cię wziął z łaski, z nędzy wyciągnął, mosanie... Eh! żeby to jako się wycofać, ale jak?

I zadumał się znowu i chodził prędko po pokoju trąc czuprynę, szarpiąc wąsa; przystanął, kiedyniekiedy machnął rękoma, przemówił coś do siebie i znowu chodził. Naraz wzrok jego padł na szlifę zawieszoną w szafce między kapciuchami. Zachodzące słońce przeciskając się przez listki kwiatów zasłaniające okno, oblało purpurowym blaskiem drogocenną pamiątkę;

porucznik rozjaśnił oko, porwał ją z uniesieniem jakby żałując, że tak dawno jéj nie widział, chwycił czapkę i wybiegając z pokoju, przemówił do córki:

— Idę do dziekana; bądź spokojna, poradzimy o tobie.

* * *

Przypominacie też sobie moi czytelnicy owego staruszka proboszcza, przyjaciela porucznika, nauczyciela jego dzieci, coto sparaliżowany wybierał się lada chwila na tamten świat po wieczne odpocznienie! Jeżeli więc chcecie go jeszcze raz zobaczyć, pójdźcie z porucznikiem na plebanią.

Żył dotąd poczciwy i świątobliwy kapłan, ale jak żył? Popatrzcie na niego. Od dwóch lat już nie wstawał z łoża boleści, na które go ręka niedościgłego w swych zamiarach Wszech Pana skazała. Ociemniały, trochę głuchy, bezwładny, istny skielet człowieka, wlókł do ostatka swój lichy żywot, błogosławiąc dobroć Najwyższego. Oparty na kilku poduszkach siedział na łóżku wlepiając niby swoje zasunięte wieczną mgłą oczy w otwarte naprost okno, którędy dolatywał świeży powiew wiosennego tchnienia, niosąc balsamiczny zapach róż i rezedy, zasadzonych niegdyś jego ręką. Ciche słowa modlitwy wysuwały się drżąco z ust szanownego kapłana, dążąc po téj nici tajemnego związku duchów, aż do stóp Przedwiecznego Ojca. Twarz jego pargaminowa, przedstawiała niepochwyconą mozajkę różnych a przeróżnych marszczek, które za poruszeniem ust zmieniały kształt i kolor, jak kawał brunatno mieniącéj się materyi. Modlił się i modlił o śmierć jak najprędszą, lecz ona nie słuchała próśb jego, patrząc zdaleka na tę igraszkę swoich kaprysów. Przy nim małe dziesięcioletnie pachołę, rószczką świeżéj lipiny opędzało muchy cisnące się do oczu i ust starca: czasem zasnęło opierając się o róg komody stojącéj obok łóżka, lecz za najmniejszém kaszlnięciem dziekana, budziło się machając gałązką. Wokoło cisza zupełna, bo wszyscy szanując starość ukochanego pasterza, wiedząc nawet że nie dosłyszy, uwijali się na palcach, zaglądając kiedyniekiedy przez dziurkę od klucza, jak się tam miewa ich ojciec.

Porucznik ze szlifą w ręku, krokiem wolnym, z miną uszanowania i czci, zbliżył się do łoża starca, wziął od chłopczyka gałązkę, usiadł na taborecíku w głowach stojącym, i dotknąwszy zlekka jego wyschłéj ręki, krzyknął mu do ucha:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków amen. Jędrusiu! — odpowiedział z ciężkością dziekan. — A przecie, a przecie: cóżto zapomniałeś o mnie ty zuchu; już coś z tydzień nie byłeś u mnie.

— Dwa dni, kanoniku, podobno.

— A może, bo ja już rachuby zapomniałem; takie dni długie: spać nie mogę, to się to wiekiem wydaje. No i cóż tam słychać u ciebie, zdrowi wszyscy?

— Wszyscy chwała Bogu; ale mam nowiny.

— Jakież mów?—wyrzekł z zajęciem starzec zwracając ku niemu swą łysą głowę.

— A od jakichże zacząć, od dobrych czy od złych?

— Od złych Jędrusiu, bo na dobre dość będzie czasu, a tym trzeba zaradzić.

— Ale widzisz, mój kanoniku, chciałem ci pokazać jednę rzecz ważną, drogą, szacowną.

— Wybrałeś się mój Jędrusiu jak z motyką na słońce! Alboż ja to zobaczę co? Dla mnie już świat poszedł sobie z Bogiem; wszelako powiédz przynajmniéj co takiego.

Porucznik jakoś przygryzł sobie języka, wspomniawszy, iż przypomniał staremu o jego ślepocie; lecz nie tracąc miny, wpakował mu w rękę szlifę.

— Co to jest?—rzekł starzec macając szorstkie buliony— czy to nie szlifa przypadkiem?

— Ona sama—krzyknął radośnie porucznik—i to szlifa z ramienia księcia Józefa!

— Nie może być!?

— Ona sama, jegomościulku, rodzona, prawdziwa!

— A zkądżeś jéj ty dostał?

— Ot, od mojego przyszłego zięcia.

— Chryste panie!—zawołał dziekan—co ja słyszę, Julkę za mąż wydajesz?

— Tak dobrodzieju, wydaję.

— A za kogo? jeśli wolno spytać—przemówił markotny starowina—bo to mój panie kapitanie, jakoś widzę porządziłeś się prędko, nie poradziwszy się starego przyjaciela.

— Ot i w tém głupstwo zrobiłem, dobrodzieju!

— Przecież choć raz się przyznałeś! W kominie zapisać węglem, w kominie Jędrusiu.

— Trudno, przyznaję, *mea culpa*, to ten diabeł Wolicki jak mię opętał, jak zaczął gadać o honorze, o obrazie przyjacielskiéj ufności, tak mię oszołomił, żem dał słowo i rzecz skończona!

— A niechże się dowiem komu?

— Kiedy się wstydzę powiedzieć ci mój dobrodzieju.

— Oho! musi być to już porządne głupstwo! —przemówił zatrwożony staruszek—No, przecie komu, gadajże!?

— Eh panu marszałkowiczowi, panu Antoniemu — zawołał machnąwszy ręką i powstając z krzesła.

— Fiu fiu, mój panie Jędrzeju: wysoko! wysoko! Marszałkowicz!

— Ej mój dobrodzieju nie żartujno ze mnie i ty, bo dalibóg w łeb sobie wypalę i kwita!

— Stary, stary, dajno pokój, nie rwij się tak ochoczo do łba, boś go sobie na kark nie wsadzał!?

— Ależ bo wszyscy się na mnie sprzysięgli, mosanie: Julka raz płacze, drugi raz się zgadza; żona turkocze od rana do nocy, żem się chciał spanoszyć; jegomość drwisz... tfu do milion furbeczek, to zanadto!

— No, no nie dąsaj się Jędrusiu; widzisz, ludzie czasem z przyjaciół się pośmieją, ale i zapłakać z nimi potrafią; powiédzno jak to było?

Porucznik jak dziecko przed swoim ojcem opowiedział tu wszystkie wiadome nam szczegóły oświadczyn, powtórzył ostatnią rozmowę z żoną i córką, a kończąc, porwał starca za rękę, ukląkł przy łóżku błagając:

— Mój dobrodzieju, mój dziekanie święty, radź, bój się Boga, radź jak tu począć, bo ja tu rozum stracę!!!

— No widzisz—rzekł po niejakiéj chwili staruszek—z tego wszystkiego coś mi mówił, pokazuje się, iż cię okpili porządnie.

— Kogo?—krzyknął porucznik gwałtownie, wyrywając swą rękę z kościstych palców dziekana.—Co? mnie mieli okpić? a to jakim sposobem, proszę ja cię?

— Tylko bez tych komedyj, powoli moja gorączko, wysłuchaj wprzódy! Oto ukołysali cię szlifą, która jest sobie zwyczajną zapewne.

— Jużto co w tém, to się jegomość mylisz, boć i ja przecie nie palcami, ale oczami patrzałem na księcia Józefa.

— Czekajno mój kochany; widzisz tam pióro na stoliku leżące?

— Ale cóż tam pióro może mieć do szlify!

— Zaraz będzie, tylko czy widzisz?

— No, widzę.

— Otóż to pióro jest to samo, którém Zygmunt podpisywał unią w Lublinie.

— Wolne żarty mosanie!—odrzekł śmiejąc się naiwnie porucznik—alem ja nie taki skory do wierzenia! Że jegomość powiadasz, iż to pióro Zygmuntowskie, jeszcze nie dowód, mosanie: trzeba tu czarnego na białém, czarnego— i przy tych słowach nachyliwszy głowę pukał palcem po dłoni.

— A słuchajno bratku—przemówił śmiejąc się serdecznie dziekan—pokażno dowód na tę szlifę?

— Co za dowód?—ja tu sam i moje oczy są dowodem; bo jak dobrodzieja tabakierkę, znałem ubiór księcia; a dobrodziéj znałeś Zygmunta, widziałeś jego pióra, co?

— Nie znałem to prawda, lecz jak mię przekonasz, iż twoja szlifa jest tą samą za jaką ją masz? A czy to nie było więcéj takich na świecie, hę?

—A.—..krzyknął porucznik, stawając przed łóżkiem z miną zaperzonego; lecz nie dokończył, bo widać w téj chwili nasunęła mu się myśl powątpiewająca.

— I cóż a?—zapytał dziekan.

— Eh diabli to wiedzą!—A kto wié... a może—mówił ciszéj kiwając głową i przypatrując się owéj szlifie.

— No nie mówisz?

— Ale bo jegomość to jesteś istna przekora: wcale nie po księżemu postępujesz, mosanie; zamiast wzmacniać wiarę w ludziach, dobrodziéj ją osłabiasz!

— Przecieżeś ją sam widział na ramieniu księcia.

— No i cóż z tego że widziałem, ale któż mi zaręczy, czy to ta sama?

— Twoje oczy, kochanie, twoje...

— Moje oczy głupie są, z przeproszeniem dobrodzieja!...

— Gdzież znowu, przecieżeś nie palcami patrzał...

— No, no dosyć tych żartów mój kanoniku, ja i tak się gryzę jak, jak..

— Wiewiórka orzechy—dokończył śmiejąc się stary.

— Jegomość dajno pokój! przez Boga żywego nie dogaduj, bo...

— Bo co?

— Bo tę szlifę tak stłukę, zbiję, zdeptam, zmasakruję!— wołał skrzywiwszy się złośliwie, uderzając pięścią o pięść i przebierając nogami jakby co tratował—a potém, a potém wyrzucę precz na cztéry wiatry!

— Cha! cha! cha!—zaśmiał się starowina kaszlając—a to się zemścisz, a to nam krzywdy narobisz!

— A narobię jegomościulku, narobię, bo jak to jest prawdziwa, dopiéro będzie żal, co nie?

— Z pewnością nie, i jeśli chcesz założę się z tobą Bóg wié o co, iż tu sobie zażartowali z twéj słabości.

— A kto wié? diabeł nie śpi, Wolicki nie próżnuje; a ten ten... jakże go tam, marszałkowicz, to lis może, lis...

— I to farbowany—dorzucił dziekan.

— Niechnoby tak było dobrodzieju, dałbym ja mu się we znaki!—mówił coraz bardziéj się unosząc z gestami niecierpliwości.—Julki nie dam, i uszy obetnę jak jakiemu oszustowi, mosanie! Co to drwić sobie ze mnie, hę? Cóż ja to popychadło byle jakiego tam ukraińskiego szlachciury, co? Zjé on milion furbeczek jeżeli mu to daruję!

— A miłość chrześciańska, Jędrusiu! Nie pamiętasz jak to tam w piśmie świętém powiedziano: „kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem".

— To wcale inna rzecz mosanie wtedy nie było honoru żadnego. Cha! cha! cha! mój dziekanku drogi, pięknieby człek wyszedł na świecie z tą maksymą. Idźno ty w świat i gadaj ludziom o tém; za dzień będziesz miał gębę jak poduszkę, a w kieszeni pustki, bobyś na chleb nie wystarczył. U mnie inaczéj, mosanie: obrazi kto żartem, po przyjacielsku, albo taki co sam nie wié o tém, no przypuszczam daruję; ale umyślnie, na seryo, i dla pośmiewiska przed drugiemi, bratku nie puszczę, nie puszczę, ale przez łeb! Bo to to to....krew nie woda, mosanie!

— A co to za buńczuczna sztuka z ciebie mój Jędrusiu: odkądże to podobna junakierya, hę?

— Od urodzenia, mosanie!—odpowiedział zaczerwieniony porucznik.

— W ustach, w ustach mój ty gorączko!—ale o tém potém, tylko mówię ci wstrzymaj się ze słowem dla pana Antoniego!

— Kiedyż ja je dałem wczoraj!

— No i to jeszcze nie szkodzi: widzisz, trzeba to odwlec trochę, nie zrażać tak od razu, a może potém znajdziem sposób, żeby i twój honor kochany był syty, i owca cała. Bo to proszę cię tak nie można odrazu sądzić o ludziach: kto wié, czy i jego kto nie oszukał, dając mu tę szlifę jako księcia Józefa. Na wszystko uwaga Jędrusiu, i umiarkowanie.

— Radzisz-bo dziekanie nie przymierzając jak święty, tylko żebyś to jeszcze krwi trochę upuścił, krwi, bo to już moja taka niestatkowna natura: jak się wezmę do czego, bij, zabij, nie rzucę póty, póki nie skończę. Jeść ci nie będę, dobrodzieju, spać, fajki palić, tylko myśleć...

— Widzisz Pan Bóg cię skarał: złakomiłeś się na majątek, masz teraz kłopoty.

— Jako żywo, mój dobrodzieju!—zawołał urażony porucznik—Wolicki świadkiem jakem się wymawiał; lecz oni: pozwól i pozwól kapitanie, nie obrażaj, nic przeszkadzaj; a ja taki sobie drażliwy, nie śmiałem się wymówić i nawarzyłem sobie piwa po uszy! Żeby jeszcze ta szlifa była fałszywą,—pół biédy: wyślizgnąłbym się mosanie gładziutko, bo ja nie chcę mieć zięciem oszusta; ale jak nie...

— Zostaw to tylko żonie, a zaręczam, uwolni cię od podobnych korowodów.

— Dobrze mowisz dobrodzieju, sprytna to kobieta, tylko widzisz, czasem strasznie obojętna.

— Że się nie rzuca gwałtownie jak ty, i nie furbeczkuje?— przerwał wesoło starzec.

— Nie o to mój kanoniku, nie o to; ale nie umié pohamować swéj niechęci; jak się do kogo uprzedzi, mosanie, drągami jéj tego nie wyrugujesz z głowy. Wszelako trzeba tu radzić, nic nie pomoże!

No bywaj zdrów mój drogi dziekanie—rzekł po chwili zamyślony—ja pospieszę do domu pocieszyć tę biédną dziewczynę: bo wystaw sobie choć ona się zdecydowała, ale tam serce zawsze się odezwie.

— Idź, idź, niech ci Bóg przewodniczy w uczciwych zamiarach; ja pomodlę się tu za ciebie, a może mojéj prośby Przedwieczny wysłucha, i natchnie cię dobrą myślą.

Zabrawszy więc porucznik owę szlifę, pospieszał ku domowi cały zamyślony, a przestąpiwszy próg swego mieszkania, piérwszą osobą którą spostrzegł, był stary zgarbiony Duszak w obszernym płaszczu, z białą laską, stojący pokornie przy drzwiach.

— A jak się masz mój ty poczciwy?—przemówił porucznik stawając przed nim.

— Lepiéj, panie kapitanie, lepiéj.

— No to i cóż mi powiész?—A siadajno trochę, nie wstydź się, starość nie radość potrzebuje krzesła, mosanie!

— Ja tu przyszedłem wedle rozkazu pana kapitana—odezwał się Duszak siadając na brzeżku stołka.

— Eh! kiedyś się spóźnił mój stary.

— Oh dlaboga, a ja się tak spieszyłem: i czy to pan kapitan nie ma już téj rzeczy do pokazania?

— Eh! mam, mam, tylko widzisz kto to wié czy to księcia Józefa. Wczoraj ot tak mi się zdawało, ale rozmyśliwszy się dobrze i rozpatrzywszy...

— Eh to szkoda wielka, panie kapitanie!

— Szkoda i nieszkoda, bo widzisz za owę szlifę, mosanie, chcieli kupić moją Julkę.

— Chyba pan kapitan żartuje?

— Co mam żartować, tak jest. Ot patrzajno, czy to podobieństwo jakie do szlify księcia Józefa, którąby trzydzieści kilka lat miała? A mnie jak to dał marszałkowicz, ten chudy z Rogówka, musisz go znać, tak mię ukołysał mosanie, iż rozrzewniony przystałem na wszystko.

— Oooo!—to źle panie kapitanie — rzekł niesmacznie mlaskając stary—gdzie jemu to do naszéj panny Julci!? Brzydki, suchy jak szczapa, taki jakiś...hm...mnie to się nie zdaje...

— A i mnie się nie zdaje, i wszystkim się nie zdaje—mówił porucznik chodząc szybko naokoło pokoju—ale honor Duszaku, honor, słowo się dało.

— Skoro się dało, to źle!—odrzekł westchnąwszy.

— A źle mosanie!

I potém wykrzykniku zamyślili się obadwaj. Porucznik swoję niecierpliwość objawiał szarpaniem siwego wąsa, a stary Duszak mocniejszém i częstszém pociąganiem tabaki z łubowéj tabakierki, i pukaniem laski o podłogę. Nareszcie po kilku minutach takiéj rozwagi, komendant przemówił:

— A żebyto on sobie jako obrzydził tę dziewczynę i nie chciał, hę?

— Gdzie znowu panie kapitanie: toć to takie milutkie, śliczniutkie, a dobre, że ja choć stary jestem, ale gdyby tak zrobił, wygrzmociłbym mu porządnie skórę tą laską!

— A za co?—spytał porucznik.

— Za co?—a za wstyd, proszę pana kapitana dla nas wszystkich; bo jakżeby to wyglądało, żeby kto nie chciał dziecka naszego kapitana, co? Tfu! a toć to plama dla całéj komendy! A to mi się podoba!—mówił ruchając się na krześle starowina widocznie oburzony.— Niechno sprobuje, całą wieś zburzymy z kretesem, zburzymy!...

— Oj starzy, starzy, co wam się tam zdaje!—odezwała się wychodząc z drugiego pokoju uśmiechnięta porucznikowa.— Czemżebyście to burzyli to wszystko: sami ledwie chodzicie z laskami?...

— Ale proszę pani kapitanowéj, jak by on tego...ten...krzywdę... niehonor... to pan Bóg da siły! —wyrzekł prostując się Duszak cały zarumieniony od gniewu.—Co to jest urazić naszę pannę Julcię? To to najpoczciwsze w świecie stworzenie, tego kanarka naszego i tę naszę prze... prze... Eh! kiedybo już nie wiem jak to się wygadać—zawołał siadając napowrót i szukając tabakierki w rękawie.

— A wiész téż imość, że ta szlifa nieprawdziwa? — przemówił porucznik.

— Wiedziałam dawno o tém.

— Ale, ale—przerwał Duszak—i tak okpiwać naszego pana kapitana. Wyzwać go panie kapitanie, co on sobie to myśli, że my nie z kawaleryi!?

— I czemużeś mi o tém nie napomknęła rano.

— Bobyś nie wierzył.

— Ha! to radźcie na miłość Boską, bo ja w końcu zwaryuję!

— Ja sobie już poradziłam—odrzekła porucznikowa—napisałam do Wolickiego, że nie pozwolę.

— To to to, to to to—zawołał stary Duszak klaskając w ręce—to będzie *hunurowo!* Bo do czego to podobieństwo, proszę pani kapitanowéj, żeby taki ciemięga, i z przeproszeniem wystrugany jakiś, miał brać naszą pannę Julcię? Albo go to tam ludzie nie znają, co?—mówił rozgadując się coraz bardziej.—

Z karbowym jego byliśmy pozawczoraj na chrzcinach pani kapitanowo: co on to na niego nie nawygadywał; jakto ludzi morduje, jak to chłopstwem poniewiera, słowa poczciwego nie rzeknie, tylko każdego ma za złodzieja i Bóg wié co jeszcze.

— Ale co się imość pospieszyła, to pospieszyła,—odezwał się nie zważając na Duszaka porucznik—jabym to sam załatwił, bo jużciż odmówić nie mogę: słowo się dało, trudno!

— No bądź spokojny; major mu nie powié tego, tylko będzie odradzał, a zresztą choćby tak się stało, to żal mi jest dziewczyny. Biédna! aby cię nie martwić, przystała na wszystko; bo młodzi jak gorące mają uczucia, tak i prędkie postanowienia; lecz niepodobna, aby się nie obudził żal, nie nastąpiła rozwaga. Dlatego téż rodzice nie powinni nadużywać téj powolności, téj ofiary ze szczęścia swych dzieci. Młodym nie zawsze można wierzyć: zapał minie, a serce zakołacze kiedyś o to, co mu się jeszcze należy. I Julka chociaż ci przyrzekła zrana, i że szczerze mówiła jestem pewna, jednakże płacze teraz: bo wierz mi Jędrusiu, nie ma boleśniejszego w życiu pożegnania, jak pożegnanie nadziei w przyszłości. Sama myśl o tém już dręczy, a cóż dopiero, gdy przyjdzie chwila, że wszystkie długoletnie a urocze sny, marzenia i żądze, zniknąć muszą nazawsze, nie zostawiając nic a nic na pociechę strapionemu sercu. Wtedy życie bezbarwne, jednostajne, i to jeszcze życie długie, staje się prawdziwym ciężarem. Obowiązek zawsze będzie przymusowy, nienaturalny, trujący każdą minutę, każdą myśl. Religia, wiara w Opatrzność Boską, uspokoić może; lecz nie każdego, gdyż człowiek mając potrzeby duchowne, o innych zapomnieć nie jest w stanie. Jedne i drugie dopominają się o swoje prawa, które im ręka Stwórcy naznaczyła; to téż obydwom potrzeba zadosyć uczynić.

— Ale słowo moja Zosiu?—przerwał wzruszając ramionami porucznik.

— Eh! proszę cię daj pokój z twojém niedorzecznem słowem!—rzekła oburzona.—Zrobi głupstwo największe, zamorduje szczęście córki jedynego najlepszego dziecka, sam się gryzie i drugich przy sobie, a zastawia się słowem honoru! Wierz mi, to tak samo wygląda, jakbyś sobie kazał uszyć mundur ze staréj siatki, i chciał się przekonywać i innych, że ci w nim ciepło będzie.

— A ktoby cię tam przegadał moja imość! Ty swoje, ja swoje. Nie tacy jak wasani jesteś wyrobili honor, i dobrze im z tém było, rozumiész!—i ręce za siebie wyciągnąwszy, przysunął się twarzą do niéj.

— No, kiedy mi nie wierzysz, kiedy ci się zdaje iż ja tego zrozumieć nie potrafię, oto zapytaj Duszaka starego żołnierza jak i ty, czy nie mam racyi.

— Jakże ty Duszak o tém myślisz, hę?

— Ja myślę—odrzekł zagadniony,—że i pani kapitanowa dobrze mówi, ale i pan kapitan nieźle.

— A ktoby was tam przekonał! —krzyknęła już zniecierpliwiona porucznikowa, wychodząc z pokoju.—Rób sobie co chcesz, ja póki żyje nie dam Julki i nie dam! Jeszcze chwała Bogu nie jesteśmy zmuszeni sprzedawać własnego dziecka takiemu człowiekowi jak twój marszałkowicz. Ja kocham ją bardzo, ciebie jeszcze bardziéj, i właśnie dlatego nie pozwolę!

— No i patrzajno mój Duszaku, co ta kobieta ze mną wyrabia! Diabli wiedzą kto tu mądrzejszy: i ksiądz tak samo mówi, i mnie się tak zdaje, ale po cóż u milion furbeczek kartaczów, bomb.... napisali starzy, że *verbum nobile, debet esse stabile*, hę?

— I ja nie wiem, panie kapitanie.

— Kiedy nie wiész, to ruszaj sobie z Bogiem!

Stary spuściwszy markotnie głowę, zrobił lewo w tył, i utykając wywlókł się do sieni, nie przemówiwszy nic na swoję obronę. Porucznikowi jakoś żal się zrobiło, iż tak niegrzecznie się obszedł z poczciwym kolegą, przybiegł do okna i zawołał:

— Duszak! Duszak!

— Jestem na rozkazy panie kapitanie—odezwał się stawając przed oknem, oparłszy obie ręce na lasce.

— Mój poczciwy nie gniewajno się na mnie: widzisz w takich jestem tarapatach, to nie dziw że się tam wymknie jakie przykre słówko.

— A gdzież jabym się mógł gniewać, panie kapitanie drogi—wyrzekł ze łzą w oku starowina—markotno mi było trochę, to prawda, ale do gniewu niech Pan Bóg zachowa i broni...

— No, to bywaj zdrów, a przyjdź wcześnij jutro na wartę, to pogawędzimy.

— Wedle rozkazu, dobrze panie kapitanie, dobrze!— I poszedł w miasteczko, pomrukując co chwila; a porucznik zamknąwszy okno, wziął książkę od nabożeństwa do ręki, klęknął przed obrazem Matki Boskiéj Częstochowskiéj, i modlił się głośno, ale tak szczerze, tak gorąco, tak żarliwie, iż pewno wysłuchano téj prośby znękanego przeciwnościami grzesznika. Łza po łzy nabrzmiewała w zamglonych oczach porucznika, staczała się coraz gęściéj na książkę, nareszcie zaćmiła wzrok tak dalece, iż nie mógł dopatrzéć liter; zdjął więc okulary, położył na stole, i wlepiwszy wzrok w przecudne Oblicze Bogarodzicy, z pokorą dziecka, głosem wzruszonym płynącym z serca, w wyrazach prostych jakie mu boleść dyktowała, błagał i błagał o łaskę, o oświecenie umysłu, o natchnienie w tém przedsięwzięciu ustalenia przyszłego losu swéj jedynaczki.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA LITERACKA.

Materyały historyczne wydane przez Kommissyą archeologiczną kijowską. Kijów, u Walnera, 3 tomy w 8ce wielkiéj. Tom Iszy, drugie wydanie 1848. *Str. XXI.* 274, 112 *i* 473. *Tom IIgi.* 1846. *Str. VIII.* 371, 233 *i* 161. *Tom IIIci.* 1852. *W drukarni uniwersyteckiéj. Str. XXXII.* 99, 192 *i* 440. (Pamiatniki izdannyje wremiennoju kommissijeju dla rozbora drewnich aktów Wysoczajsze utwierzdiennoju pry Kijewskom wojennom, Podolskom i Wołynskom Gienierał-Gubernatorie).

W roku 1843 zawiązaną została w Kijowie pod kierunkiem wojennego generał-gubernatora kijowskiego, podolskiego i wołyńskiego, osobna kommissya, jako oddział kommissyi archeograficznéj w Petersb. dla przejrzenia akt starożytnych, materyałów historycznych, co aż dodziśdnia dotrwały leżąc po władzach, archiwach, magistratach, sądach i klasztorach, tych trzech południowych gubernij, które są jakby jedną, odrębną całością, same w sobie, bo jednym ulegały zawsze wspólnym losom i za czasów Rplitéj polskiéj i teraz. Kommissya zajęła się zaraz pracą i na początek ściągnęła akta z archiwów sądów ziemskich: krzemienieckiego, łuckiego i włodzimierskiego, daléj z magistratu krzemienieckiego, z Ławry poczajowskiéj, z rządu łuckiego duchownego, z konsystorza katolickiego w Kamieńcu, z klasztorów Dominikańskich włodzimirskiego i sołobkowieckiego, i od Trynitarzy kamienieckich. Dalej dostały się kommissyi całe bogate archiwa byłego konsystorza metropolitalnego unickiego złożone w Radomyślu, daléj bogate archiwa i zbiory, które z wielkiém staraniem nagromadził zmarły na Podolu ołycki biskup ks. Osiński; nareszcie obywatele wszystkich trzech gubernii, tak ci, którzy zostali członkami kommissyi honorowemi i czynnemi, jak i ci, którzy niemi nie byli, dosyłali co mogli. Ale z prywatnych najwięcéj

wsparł to przedsięwzięcie członek honorowy kommissyi pan Konstanty Świdziński. Materyały jego po większéj części same oryginały, stanowią najbogatszą i największą część, a do tego i najciekawszą wydania, tojest tych trzech tomów kommissyi, o których mówić zamierzamy. Krom niego wspomnieć należy na Michała Grabowskiego, Edwarda Rulikowskiego, Henryka Rzewuskiego i innych literatów naszych, których imię i nazwisko znajduje się w spisie członków kommissyi. Jedni tam pewnie czynną nieśli pomoc, drudzy więcéj dla honoru wezwani zostali do tego spółpracownictwa, jako znawcy historyi swego kraju i miejscowości. Panowie ci zbierali materyały do historyi i narodowości ziem ruskich w Polsce. Historya tych ziem wiąże się wprawdzie ściśle z historyą Małéj Rusi, z historyą kozaczyzny, z historyą legionów rzymskich i t. d.; na tamtéj ziemi przeważne odbywały się wprawdzie wypadki, które rozstrzygały o losach wielu narodów, ale te wypadki echem najgłośniejszém odbijały się i zostały w historyi Rplitéj, bo blizko jéj serca leżała Ruś.

Trzy grube tomy materyałów swoich wydała kommissya, że nie wspomnim o licznych pracach pojedynczych jéj członków np. o kniaziu Kurbskim i t. d. Ważność tych wydań oceniła już widać czytająca publiczność, skoro tom piérwszy ukazał się w drugiém wydaniu.

Materyały swoje kommissya jak dotąd rozkłada na trzy wielkie działy; w każdym tomie są wszystkie. Ztąd téż potrójne paginowanie stronnic w każdym tomie.

Dział piérwszy zawiera rzeczy duchowne, tojest materyały odnoszące się do dziejów wiary; z nich w tomie 1 są akta bractwa Podniesienia ś. krzyża przy cerkwi łuckiéj, w drugim takież akta bractwa Objawienia Pańskiego w Kijowie, w trzecim nareszcie akta bractwa stauropigialnego we Lwowie. Łuckie papiery są to po większéj części oryginały świeżo poznane. Kijowskie są w odpisach i w oryginałach, bo częste wojny i pożary nie sprzyjały tyle zachowaniu pismiennych zabytków w nadnieprzańskiéj stolicy Rusi, i dopiéro w roku 1774 metropolita kijowski Grzegórz zebrał wszystkie akta jakie tylko za jego czasów posiadała akademia duchowna kijowska; uporządkowawszy je, odesłał do synodu petersburskiego. przez co uratował wiele pamiątek. Z tych kopii potem drugi metropolita Eugeni zebrał jakby kodex dyplomatyczny, który po większéj części tutaj przedrukowany. Co zaś do akt lwowskich, te nadesłał kommissyi pan Dyonizy Zubrzycki, jako dowody do kroniki bractwa, którą wprzódy napisał, a która drukowaną już była w dzienniku ministerstwa oświecenia narodowego w Petersburgu (latopis bractwa stauropigialnego we Lwowie, w Dzienniku ministerstwa, 1849. Część 62, oddział 2, stronnica 1 i następne).

Dział 2gi zawiera wielką nowość: oto materyały dla historyi ludu w dawnéj Polsce, nowość powtarzamy, bo materyałów tych dotąd nikt prawie nie zbierał, a to co mamy mało przedmiot wyjaśnia. Są tutaj akta o prawach i przywilejach właścicieli ziemskich, tojest szlachty, co do włościan. W piérwszym tomie same różności, które wielkie rzucają światło na stan rzeczy, jaki był na Wołyniu pod koniec XVI wieku: liczne tam akta, które się nie odnoszą ani do jednych i tychże samych osób, ani do jednych i tychże samych majątków. W tomie drugim jest sławna wiekopomna ustawa króla Zygmunta Augusta, o włókach z r. 1557. Przy wydaniu tego ważnego materyału, kommissya używała dwóch rękopismów pochodzących z XVI wieku: za główną podstawę wzięty rękopism zachowany dotąd w metryce litewskiéj w księgach spraw publicznych pod nr. 6; w tymże samym rękopismie znajdują się dopełnienia ustawy z r. 1557 i 1558, i ustawa pocztowa z r. 1558. Drugi rękopism którego używała kommissya, był własnością Konstantego Świdzińskiego. Nareszcie w tomie trzecim są opisy licznych gospodarstw i majątków wołyńskich, oraz inwentarze dóbr z XVI wieku.

Dział trzeci obejmuje przez wszystkie trzy tomy materyały dla dziejów politycznych Rplitéj, tojest zbiór korrespondencyj odnoszących się do wojen, jakie Polska prowadziła z kozaczyzną. Zaczyna się ten zbiór od piérwszego aktu powstania w roku 1648 i dalszym ciągiem idzie od piérwszego tomu aż do trzeciego, który się wreszcie kończy na marcu 1660. Piszą tu bardzo różne osoby do bardzo różnych osób, i wiadomościami, które w swoim czasie z teatru wojny przesyłali prywatnie do Warszawy, w ogóle do senatorów koronnych, wypełniają doskonale całe dzieje zatargów Rplitéj z Chmielnickim i pozwalają nam ocenić wszystkie tych zatargów przejścia i zmiany. O wielkiém znaczeniu tego materyału dla historyi już po tém samém sądzić można, że w tomie piérwszym jest listów 86, w drugim 17, w trzecim zaś 95, razem wszystkich listów 198. Piérwszy oddział tych materyałów obejmuje tylko dwa lata 1648—1649, drugi także dwa, 1650—1, a więc stosunkowo dobrze mniéj bogaty; wreszcie trzeci najmniéj może bogaty, bo obejmuje całych prawie lat dziewięć; w przecięciu zawsze na każdy rok przypada listów przeszło 16. Sama więc ilość uprzedza na stronę wydania, a cóż dopiéro jeżeli wejrzymy w treść i przynajmniéj przéjrzymy spisy osób, które te listy piszą? Nie mówim już o uniwersałach króla, o listach Chmielnickiego do kozaczyzny, o urzędowych pismach hana tatarskiego, albo wezyra; wszystko to są rzeczy które wchodzą w materyą dyplomatów, przywilejów, rzeczy strasznie urzędowych. Zresztą takich rzeczy nie brak; byle gdzie, to się znajdzie oryginał lub kopia i niedziw: uniwersały i pisma takie urzędowe rozsyłano wszędzie, zapisywano je do akt

ziemskich i grodzkich. Nawet niewielebyśmy się cieszyli z wydania, któreby zawierało w sobie same urzędowe listy, w których zawsze szczerości mało a dyplomacyi dużo. Ale całą wagę wydania stanowią te właśnie prywatne doniesienia, te wiadomości w dobréj wierze notowane, w których przyjaciel mówi do przyjaciela, senator do prymasa, kommissarz do króla, podwładny do hetmana, szlachcic do szlachcica. Kiedy urzędowy język zwykle łagodzi klęski, a rozszerza się więcéj jak prawda nad odniesionemi korzyściami; prywatne listy nie mają nic z tego ani z drugiego. W nich odbiła się cała historya, poczucie chwili, to obawa, to radość, to wahanie się, to pewność, to nadzieja, to upadek, to marzenie, to prawda; w nich obnażyły się, odrzuciwszy teatralne zasłony, wszystkie namiętności, wszystkie szlachetne i nieszlachetne działań ludzkich pobudki. Z takich listów jak najlepiéj studiować charakter historycznéj osoby, tak i charakter ubiegłych wieków, które się wcielają w osoby i w główne wypadki. Tutaj się nikt nie ukryje, rad nierad każdy zdradzi się z myślą swoją, ze złą wolą i wiarą, z sercem i usposobieniem: pisząc do przyjaciela odkrywa wszystkie tajniki duszy, nie rad często, żeby o nich kto więcéj wiedział jak przyjaciel; gdyby się spodziewał, że uniesienia jego, zapały, rady i zdania, wezmą kiedy historycy, jakby lekarze pod nóż anatomiczny: byłby się może ukrył z tém i z drugiém, byłby się może inaczéj odmalował: boć rzecz to zwykła wszędzie gdzie są ludzie, ale u nas w czasie upadku Rplitéj naszéj, najzwyczajniejsza, że wielkie postaci historyczne w oczy tak a za oczy inaczéj. Więc każdy taki list prywatny, poufny jest ciekawszém i ważniejszém źródłem historyi, jak cokolwiek bądź innego. Listy zagonowéj szlachty mają tę wartość, coż dopiéro pisma znakomitszych obywateli? a ogół znowu tych pojęć, tych myśli, tych zdań, pokazuje usposobienie szlacheckiego narodu, w pewnym danym czasie. Co krok, co dzień, co sejm, zmienia się to usposobienie, ta myśl Rplitéj ruchoma, i nikła jak woda na powierzchni i w głębi zburzonéj rzeki: zresztą woda płynie, więc co chwila nowe przedstawia widoki. Rplita bije się z myślami i nie wié jak ma sobie postąpić w tych a w tych okolicznościach, przy rodzących się i wzrastających takich a takich stosunkach, w téj nowéj zdaleka nadciągającéj burzy. Kluczem do odgadnienia tych mimolotnych, dziwnych, co chwila zmiennych usposobień ogółu, są takie pisma współczesne epoce, wyjęte z epoki, wtenczas mało ważne i znane powszechnie, dziś rzadkie i wielkiéj wagi materyały historyczne. Kluczem tych usposobień są listy: im więcéj ich, tém lepiéj dla nauki, tém zrozumialsza historya.

Otóż w tym trzecim dziale wydań kommissyi kijowskiéj, podane są nam listy bardzo ważnych w Rplitej osób. Pisze sam sławny wojewoda kijowski Adam z Brusiłowa Kisiel, pisze

książę wojewoda sandomierski Dominik Zasławski, pisze Wyhowski hetman ruski, Krzysztof Tyszkiewicz wojewoda kijowski; pisze Jędrzéj Miaskowski stolnik halicki, sławny swojego czasu wojownik i dyplomata, daléj Samuel Osiński obożny litewski, hetman koronny Mikołaj Potocki i drugi tegoż nazwiska hetman Stanisław Rewera; daléj wojewoda ruski Stanisław Lanckoroński i Maryan Jaskulski; piszą Kazimiérz Leon i Paweł Sapiehowie, Jerzy Lubomirski, Wincenty Gąsiewski, wojewoda czernichowski Stanisław Kaźmierz Bieniewski, prymas Jędrzéj Leszczyński, podczaszy Ostroróg, obożny koronny Jędrzéj Potocki i t. d. Wiele też listów bezimiennych od osób mniejszéj wagi. Są i listy od wodzów i pułkowników kozackich Nosacza, Krzywonosa, obydwóch Chmielnickich i t. d. Są dyaryusze i poselstwa, są całe traktaty jak np. białocerkiewski. Materyałów do tego działu głównie dostarczył Swidziński z własnych zbiorów i ze zbiorów Onacewicza które zakupił, daléj z biblioteki szczorsowskiéj Chreptowiczów i sławuckiéj książąt Sanguszków.

O wartości tych materyałów, o każdym oddziale osobno mówić nam należy.

U nas jest tak wszystko prawie nowe, tak ciekawe co się tylko pojawi na polu teraźniejszych badań dziejowych, że nad bogactwem wszystkiego, nad obfitością faktów nieznanych, z kolei unosić się musimy. Nadszedł czas, że o wszystkiém co tylko było w przeszłości, sąd nasz zmienić musim. Dlaczego? Bo nie ma już historyi urzędowych, nie ma kompilacyj z książek, ale czerpiemy ze źródeł, poszukujemy chętnie i drukujem źródła: cóż tedy dziwnego, że źródła nieznane pokażą nam to, o czém się nawet nikomu nie śniło? Z tych badań, z tych pisanych źródeł naszéj historyi, zupełnie nowe się wyradzają potrzeby. Oglądamy okolice, których nie widzieliśmy nigdy, o których nawet nie przeczuwaliśmy prawie że są, że również należą do nauki. Jużto w ogóle Ruś nieobrobioną jest zupełnie ziemią w historyi polskiéj, ale i dzieje kościoła Rusi zupełnie zapomniane. Ma literatura nasza dużo pomników odnoszących się do tego przedmiotu, np. literatura polemiczna jest bardzo bogata: czemuż do obejrzenia jéj specyalnego, nikt dotąd pracy swojéj nie poświęcił? Nie dziwneż to w saméj rzeczy, że np. w takich dziełach jak piśmiennictwo Maciejowskiego, trzeba szukać wiadomości o kościele ruskim w Polsce! Uczony jednak ten badacz tylko notował szczegóły bibliograficzne, życiorysowe, bieżące. ale nie pisał dziejów kościoła. Mamy i usiłowania pojedyncze np. Stebelskiego; cóż, kiedy to wszystko nie wychodzi poza obręb bardzo szczegółowych monografii, które nigdy nie obejmują, nie mogą objąć całości, a więc i o losach kościoła niczego nas nauczyć nie potrafią? Zresztą dzieło Ste-

belskiego już zastare i zajednostronne. Dla zapełnienia obrazu potrzeba ująć strony i dodatnie i ujemne, i światło i cienie, bo inaczéj obraz będzie wykoślawiony, nieprawdziwy: przypomni on rysy niby, ale nie da ich poznać. Sama ta literatura kościoła ruskiego, któréj część tylko spisał nam Maciejowski, znana nam więcéj z nazwiska jak z rzeczy: tacy ludzie jak Smotrycki, jak Susza, jak Kulesza, Kalnofojski, Łazarz Baranowicz, Gizel powiedzieliby nam wiele o swoich czasach, gdybyśmy ich dzieła wystudiowali, przeczytali. Téj literaturze w pomoc dopiéro przychodzą takie wydania jak kommissyi kijowskiéj: to już dokumenta urzędowe, a więc należy im się wiara, albo popierają one fakta podane przez pisarzy, porozrzucane w tysiącu książek i broszur; albo je obalają, wykazując niewiadomość a czasem i złą wolę kronikarzy i autorów polemicznych. Dokumenta te i materyały, które przez kilka wieków prochem gdzieś spoczywały pod sklepieniami klasztorów, na strychu gdzie, albo w składach, ogłoszone publicznie, są podarunkiem dla nauki; podarunkiem, który nam cuda o przeszłości rozpowiada niebywałe. Więcéj, więcéj takich wydań, a po kolei widzim, jak się prostują pojęcia, jak przerabiają wyobrażenia nasze o téj albo owéj sprawie dotąd wahające się, niepewne albo stronne; widzim jak faktów przybywa, jak się dziwnie w oczach zmienia fizyognomia wieku, jak wyrównywają się i jaśniejszą przybierają postać starte już rysy dawnéj epoki.

Ztąd nie możem nie cenić wysoko, jak na to zasługują, owych dokumentów pomieszczonych w pierwszéj części obecnego wydania kommissyi kijowskiéj, które nam podają daty, fakta, a często gęsto i wiadomości więcéj ogólne o stanie kościoła ruskiego w dawnéj Polsce. Nieraz dokumenta te i akta pozwalają nam głębiéj wniknąć w dzieje wewnętrzne i cywilizacyą starożytnéj Rusi, dostarczają więc nader bogatych rysów do żywota całéj Rzplitéj.

Bractwo łuckie powstało w r. 1617 przez starania Harazima Mikulicza igumena monastyra Czernczyckiego; kijowskie w roku 1620, ale początki jego dawniéj sięgają, bo w roku 1615 kiedy Anna Hulewiczowna żona marszałka mozyrskiego, Stefana Łyczki, uczyniła darowiznę dworu i ziemi na rzecz monastyru stauropigialnego, który miał dopiéro powstać. Lwowskie bractwo najdawniejsze było, bo już zawiązało się w roku 1586, a więc jeszcze przed unią brzeską.

Wszystkie te bractwa miały cel jeden, tojest obrony, niezawisłości cerkiewnéj: była to, że tak wyrazim, nieustająca konfederacya przeciw unii. Z kolei wszystkie zostały stauropigiami w trzech różnych miejscach i stronach; sterczały jakby wyspy na Wołyniu, na Ukrainie i w Czerwonéj Rusi. Fakt uderzający w cywilizacyi Rusi stanowiły zawsze bractwa, a te

trzy szczególniéj miały swoję historyą i wywierały wpływ wielki. Nie zależały one od miejscowego biskupa, ale tylko prosto od patryarchy: ztąd ich ogromna powaga, ztąd ciągłe ich spory z miejscową władzą parafialną i historyczne kłótnie, procesa, które się przez wiele lat ciągnęły. Bractwo takie stauropigialne zwykle składało się z ludzi bardzo gorliwych i piśmiennych, każde z nich miało swoję uprzywilejowaną cerkiew, swoję drukarnią. Kijów więc, Łuck i Lwów były ogniskami życia duchownego Rusi i bardzo naturalnie. Ale nie było niem Wilno, chociaż stolica litewska liczyła w murach swoich wiele monasterów i wyznawców kościoła wschodniego, chociaż miała własną stauropigią jak w Mohilowie: te dwa ostatnie bractwa, wileńskie i mohilewskie, widać zaraz podupadły. Przez stauropigie patryarcha silniejszy wpływ wywierał na Ruś jak przez biskupów, którzy często niezgodni byli z sobą, a uginali się za ludu wichru powiewem. We Lwowie miał wprawdzie jakieś znaczenie metropolita kijowski, ale li tylko jako zastępca w tym razie patryarchy; jakoż Michał Rahoza wdawał się często w sprawy wewnętrzne bractwa. Stauropigią kijowską postawił znakomicie na nogi dopiéro Piotr Mohiła, kiedy był jeszcze archimandrytą pieczarskim. Ubolewał on nad ciemnotą ludu i duchowieństwa, i w tym celu przeznaczył fundusze na szkoły, które potém znacznie szlachta województwa kijowskiego pomnożyła. Mohyła został później metropolitą i rządził wprawdzie bractwem aż do swojéj śmierci, ale nie jako metropolita, tylko jako Mohyła, bo wymówił to sobie, żeby za fundusze które wyłożył, był dożywotnim opiekunem i władzcą losów bractwa. Była takaż sama szkoła w Łucku. Mamy tutaj o niéj kilka ważnych wiadomości, mamy nawet jéj urządzenie. Wielka szkoda, że nie wiedział o tém wszystkiém Łukaszewicz, a byłby mógł bardzo dobrze wypełnić pewien brak, który się czuć daje w jego opowiadaniu, bo o szkołach duchownych Rusi bardzo tam niewiele, a co jest, dotyczy już czasów i stosunków późniejszych. Dla bractw tych epoka największéj świetności była przed wojnami Chmielnickiego. Wojny te, które na ziemi polskiéj zostawiły same ruiny i popioły, wpłynęły źle na losy wszystkich trzech bractw, które bardzo podupadły w latach 1655 i 1657. Lwowskie dużo jeszcze i potém się krząta, ale już mało pokazuje siły, mało zapału; łuckie prawie upadło i ledwie wegetuje aż do początku XVIII wieku; kijowskie kiedy stolica Ukrainy dostała się pod rządy rossyjskie, traci zupełnie wpływ swój w ziemiach po téj stronie Dniepru położonych, i zawsze jest tylko ogniskiem jednem z głównych wprawdzie ognisk religijnych dla zadnieprza, ale nie dla Polski.

Z materyałów tutaj danych możnaby ciekawe wcale spisać monografie bractw tych i skreślić bliżéj ich działalność i wpływ

na umysły. Zubrzycki archeolog stolicy Czerwonéj Rusi, spisał już nawet kronikę bractwa lwowskiego, używszy do swéj pracy krom dokumentów w tomie trzecim pamiętników kommissyi kijowskiéj wydrukowanych, innych jeszcze materyałów. Dał on też obraz więcéj szczegółowy i już tém samém ważniejszy, że nie pojedyncze to i narzucone zlekka rysy, ale zawsze malowidło. Wszystkie te bractwa jednak w ustawach swoich, w środkach, w celach, zupełnie są do siebie podobne. Dlatego co tutaj pokrótce powiemy o bractwie lwowskiem, z małą albo większą cokolwiek różnicą stosuje się do wszystkich.

Oprócz celu głównego, tojest obrony i walki, miało bractwo lwowskie cel drugi niemniéj ważny; poprawę obyczajów. Miało prawo i władzę napominać, wyklinać nawet jawnie grzeszników i pilnować świętości i nietykalności cerkwi; ale tę władzę miało tylko jedynie na swoich; składało wtedy sąd i wydawało wyrok: że zaś do bractwa zwykle garnęli się wszyscy, a starszyznę jego stanowili ludzie celniejsi w mieście i w okolicy, albo gorliwością do wiary, albo majątkiem, albo wreszcie rozumem; że w bractwie jednoczyła się cała arystokracya wszelkiego rodzaju: nic więc dziwnego, że wpływ jego sięgał i po za murami cerkwi stauropigialnéj, które mu służyło za palladium i kapitolium. Kto nie poddawał się wyrokowi bractwa, bywał wyklęty, a ceremonią tę zawsze odbywano ze zwykłemi obrzędami w cerkwi. Straszny to był wyrok. bo klątwy brackiéj znieść nie mogła żadna władza biskupia i metropolitalna. Bractwo wzbiwszy się w potęgę, szukało nawet zaczepek. Sławne są w dziejach Rusi spory stauropigii lwowskiéj z biskupem miejscowym, Bałabanem, który acz głowę kapturem przykrył mniszym, był ciągle zawadyaką, tojest szlachcicem przy szabli, i więcéj na regimentarza jak na biskupa wyglądał. Zupełnie jak łaciński biskup kijowski Wereszczyński, którego kazania teraz wydał Wolff w Petersburgu, tylko Bałaban nie był tak czysty w pobudkach mnich jak Wereszczyński. Spory te lwowskie tak się mocno rozogniły, że sobor brzeski je rozsądzał. Metropolita zjeżdżał na miejsce, wyroki wydawał; wreszcie znękano Bałabana, który postępując nieprawnie z bractwem sprzeciwiał się jawnie wyrokom patryarszym i prawu kanonicznemu cerkwi. Bractwo lwowskie tak poszło w górę przez to zwycięztwo, tak wzrosło w dumę, że już nietylko broniło się samo, ale owszem wdawało się w rządy dyecezyi, przestrzegało biskupa, a jeżeli który wykroczył przeciw czemukolwiek, ogłaszało go wrogiem prawdy, i zakazywało mu oddawać wszelkie posłuszeństwo. W tym celu samo uczyło, drukowało książki duchowne i modlitewne, wydawało pismo święte; ażeby zaś ludzi uczonych nie zabrakło nigdy w szkole swojéj, kazało dzieci uczyć pisma świętego, tudzież języków słowiańskiego i greckiego.

Pięknym był także inny cel bractwa, tojest miłosierdzie dla ubogich. Każde u siebie w swoim zakresie było towarzystwem dobroczynności. Dlatego miało bractwo swoję skarbonę i składki; z funduszów takim sposobem zebranych, wychowywano sieroty, utrzymywano starych i chorych, dawano jałmużny pobożnym pielgrzymom, wspierano wdowy i biedne dziewice. Starszyzna bractwa broniła uciemiężonych; jak towarzystwo ogniowe i dyrekcya ubezpieczeń, wynagradzała straty i klęski poniesione przez wylewy wód albo przez pożary, wykupywała niewolników z tureckiego jassyru, jak Trynitarze, w czasie głodu karmiła zubożałych; wreszcie chowała darmo biednych, którzy nie mogli znaleźć pogrzebu i poprawiała cerkwie i monastery. Członkowie bractwa mogli jeszcze pożyczać pieniędzy ze wspólnéj skarbony: bogaci za umiarkowanym procentem, ubożsi bez procentu, najubożsi wreszcie dostawali darowiznę. Pamiętało też bractwo o zmarłych członkach swoich. Każdy brat zapisywał do księgi wspomnień, nazwanéj pomiannikiem, imię swojego ojca, matki i wszystkich krewnych jakich tylko miał. Te pomianniki do dziś dnia zachowały się po wielu cerkwiach brackich: stanowią one materyał bardzo ważny dla genealogii rodzin książęcych i szlacheckich Rusi. Nasi badacze nie zwrócili na te zabytki takiéj uwagi, jakiéj są warte, a szkoda. Przypadkiem zdarzy się coś, jeden albo drugi fakt z owych pomianników pochwycić; a każdy fakt taki jest prawdziwym skarbem. Nie widzieliśmy wiele śladów zajęcia się koło nich, ale każdy, by najmniejszy tego zajęcia się ślad, chętnie notowaliśmy, jakbyśmy chcieli na ulotnych kartkach pisma peryodycznego zapisać wdzięczność pokoleń, a raczéj naukowych ludzi dla tych, którzy im szczegóły dochowane po zapadłych kątach ogłosili (patrz Dziennik Warszawski 1853 nr. 131 i t. d. Jak w kościele rzymskim zachowane akta metryczne są ważne, i jak nigdy dosyć nie przestaniem kołatać o przeglądanie ich, do miejscowych archeologów, tak wysoko cenim te pomianniki godne lepszego losu. A nawet powiedzielibyśmy, że są ważniejsze, te pomianniki od naszych notat po księgach metrycznych: prawdę powiedziawszy, równaćby je można z chronografami i annałami spisywanemi po kościołach łacińskich wprzód, nim się gdzie w jakiém miejscu kronikarze zjawili. Otóż z tych pomianników czytano w cerkwiach nazwiska osób zmarłych, a wszyscy się za nich modlili. Krom tego co rok odprawiało się dwa razy nabożeństwo: jedno za żyjących, drugie za umarłych, przyczém rozdawano jałmużny.

Wszyscy bez wyjątku zapisywać się mogli do listy członków bractwa. Co miesiąc odbywały się sessye. Na tych zgromadzeniach, po przejrzeniu spraw, których zawyrokowanie należało do bractwa, członkowie czytali święte księgi i prowadzili

cicho budującą rozmowę o przedmiotach moralności i wiary: każde słowo na wiatr rzucone a niepotrzebne, karcone było najczęściéj opłatą pieniężną. Sessye i to, co na nich uradzono, miały pozostać w tajemnicy: ztąd też każdy brat który roznosił wiadomości o tem co się działo na zgromadzeniu, również otrzymywał karę. Dla rządu naczelnego nad bractwem, co roku obierano po czterech starszyzny i nazywano tych urzędników starostami. Ci czterej bracia wykonywali wyroki zapadłe na posiedzeniach, mieli pod swym kluczem kassę, a po upłynionym roku zdawali przed wyborcami, tojest bractwem, liczbę z zarządzania swojego. Starsi bracia jeżeli który z nich wykroczył, potrójną odbierali karę dla przykładu. Co do bractwa lwowskiego zauważym i to, że jako najdawniejsze, tak najstarsze było: owszem patryarcha antyocheński Joachim, który bawił za Batorego w Polsce, przyznał lwowskiemu bractwu starszeństwo nad innemi w roku 1586. Ztąd wszystkie podobne bractwa religijne, które powstawały na Rusi, obowiązane były w urządzeniach swoich i sposobach działania, stosować się do statutu bractwa lwowskiego.

Materyały działu drugiego świecą takiém bogactwem szczegółów, że dostatecznie tego nawet wypowiedzieć niepodobna. Do dziejów włościan polskich bardzo mało mamy zebranych w jedno wiadomości; jest kilka wprawdzie rozprawek różnéj wartości, ale w każdym razie rozprawki te może są przedwczesne, przed zebraniem należytém materyałów. To tylko może pan Stawiski, jeden w poszukiwaniach swoich do historyi rolnictwa w Polsce, zwłaszcza w czasach pierwotnych narodu, mógł położyć niejaką zasługę względem nauki, bo pracował systematycznie i wyczerpywał całe bogactwo dyplomataryuszów. Historya zaś rolnictwa u nas i włościan za czasów Jagiellońskich i późniejszych, dokładną jeszcze być nie może, żeby niewiadomo jak była dokładną. Dlaczego?—bo do obrazu tego czasu już nie same dyplomataryusze przydadzą się, ale jest wiele innych pomników z którychby czerpać należało. Do czasów Piastowskich dyplomataryusze i kronika jedyne stanowią źródło, ale późniéj nie tak. Dlatego z wielką radością naszą czytaliśmy w Album literackiém K. Wł. Wojcickiego, w tomie drugim jako materyały do dziejów gospodarstwa w Polsce dwa urzędowe dokumenta, pierwszy, „intercyzę czyli kontrakt dzierżawy zawarty pomiędzy Prochnickim arcybiskupem lwowskim a Jerzym Chłopeckim o dzierżawę dóbr puchaczewskich w Lubelskiém z roku 1629 (arcybiskup wchodzi tutaj w układy jako opat sieciechowski, bo Puchaczew należał do tego opactwa); a drugi „inwentarz klucza opalińskiego przy nabyciu tych dóbr 1755 roku od pani Potockiéj kasztelanowéj krakowskiéj (z Mniszchów) przez tego właśnie Ossolińskiego wdę wołyńskiego,

który tak wielką rolę gra dzisiaj w powieściach historycznych o szlachcie sanockiéj. Nie znamy więcéj materyałów pod tym względem in crudo wydanych.

Dla Rusi mniéj jeszcze naturalnie było znanych materyałów. Ale to, co ogłosiła kommissya kijowska, znakomitą ma wagę, i teraz możem powiedzieć, że historya gospodarstwa, rolnictwa, i włościan w Wielkiéj i w Małéjpolsce, daleko uboższa materyałami od ruskiéj.

Naprzód już sam opis kilku gospodarstw wołyńskich z końca XVI wieku jest niezmiernie ważny i ciekawy. Opisane tutaj gospodarstwa w Zaborolu (z dnia 29 sierpnia 1566), daléj opis z 2 kwietnia 1578 klucza czernogorodzkiego, składającego się z 17 wsi (każdéj tutaj jest nazwisko i osobny opis); potém inwentarz majątku Połońskiego z dnia 18go września 1598 (sześć wsi), nareszcie opis włości poleskiéj w powiecie pińskim (trzy wsie) ale bez daty. Wszystkie te opisy robione są z urzędowych źródeł. Kiedy dobra z jednych rąk w drugie przechodziły, czyli drogą sprzedaży, czy spadku, czy opieki, czy prosto za długi, dawny dziedzic opisywał cały stan dóbr swoich i po spisaniu dopiéro, oddawał je następcy, żeby ślad nie ginął w jakim były stanie.

Sięgamy więc wzrokiem w tak daleką przeszłość, jaką są czasy przed-uniowe nawet; widzim Zaborol jakim był w połowie XVI wieku. Zaborol jestto wieś pod samym Łuckiem, dziedzictwo Czarneckich, wnuków kasztelana bracławskiego z czasów panowania Stanisława Augusta, dzisiaj liczy 175 dusz męskiéj płci. Podówczas należał Zaborol do rodziny Borzobohatych; na rozkaz króla za długi oddany został Michałowi Malińskiemu, którego tutaj tytułują marszałkiem królewskim: byłto zapewne Michał Pietyroch Maliński, który u Niesieckiego ma właściwszy tytuł marszałka wołyńskiego: ztąd i opis urzędowy dóbr, spisany na gruncie. Ale opis samego dworu w Zaborolu, rozkład jego komnat, daléj opis zabudowań folwarcznych i gumna, jest tak szczegółowy, że żadnego szczegółu tu nie opuszczono. Były tam stawy, ogrody, gołębniki. Spisujący wylicza cały inwentarz zaborolski, który posuwa się i żyje. nie opuszcza żurawia który chodzi po gumnie i trzech łabędzi kąpiących się w stawie. Liczy ze wszelką dokładnością wysiew, wreszcie opisuje ludzi należących do dworu, wymieniając co który z nich ma; np. jednego konia, jednego wołu albo po dwa konie i po dwa woły. Była i cerkiew w Zaborolu.

Opis majątku czernogorodzkiego, jako znacznie obszerniejszego, więcéj szczegółowy. Dobra te należały do księcia Romana Fedorowicza Sanguszki, sławnego hetmana polnego litewskiego, wojewody bracławskiego, brata tego Dymitra, który się ożenił z Halszką Ostrogską. W testamencie z dnia 10

maja 1571, książę hetman mianował żonę swoją Annę Despotownę z domu księżniczkę Zbaraźską opiekunką dzieci i dóbr które zostawiał; daléj rozporządzał że w razie śmierci żony, opieka ta miała przejść do księcia Konstantego Wasila Ostrogskiego, wojewody kijowskiego, znakomitego syna znakomitego ojca. Mimochodem wspomnimy tutaj, że Roman Sanguszko był bardzo pobożny i gorliwy dla wiary: posiadał swój własny monastyr we wsi Niesuchojeżach (dzisiaj miasteczko w powiecie kowelskim) nazwany Mieleckim, i że kazał tutaj się pochować. W mieście Turejsku (w powiecie téż kowelskim) wybudował szpital przy Spaskiéj cerkwi i na uposażenie jéj dał wieś Stawki (ziemię z włościanami). Otóż opis majątku czernogorodzkiego zrobiony został po śmierci wdowy księcia, Anny Despotówny, nazwanéj w akcie Mikołajową Zbarażką (tych faktów w Niesieckim niema) dla księcia Ostrogskiego. Z urzędu spisu dokonywał Bohdan Koptewicki woźny powiatu łuckiego, delegowany od sądu ziemskiego wraz ze szlachtą Janem Bohuszewiczem Lipleńskim i Prokopem Grzegorzewiczem Chołoniewskim. Tutaj już czynsz gra główną rolę. Włościanie siedzieli po dworzyszczach i opłacali się dworowi. Dworzyszczem nazywała się pewna część ziemi, stanowiąca niby własność, niby całość i należąca do pewnéj rodziny: dlatego nietylko pole uprawne, ale grunt pod chałupą, zabudowaniami i ogród, wzięte razem, stanowiły dworzyszcze: każde mogło mieć po kilka dymów. Nie były sobie równe te dworzyszcza: jedne jak zwyczajnie większe, drugie mniejsze; tak samo jak i włości, o których ciągle mówi się na Rusi, nie były pewną miarą ziemi oznaczone, imię tak samo jak u nas łan za Ludwika węgierskiego, co wykazał w swoim artykule Felix Zieliński (Biblioteka Warszawska 1849 wrzesień). Pan zapewne dworzyszcza wyznaczał podług oka. W aktach z owego czasu dwa rodzaje dworzyszcz odróżniają się: większe, nazwane téż dobre lub starożytne, i małe; na pierwszych osiadały całe włościańskie rodziny, kilka ich razem stanowiło wieś; drugie służyły dla jednéj tylko rodziny. Dworzyszcza dzieliły się jeszcze na poddworzyszcza i cząstki (żerebia losy, po dyplomatach sortes) a te cząstki na podcząstki (pod-żerebia). W powiecie krzemienieckim dworzyszcza miały pewną oznaczoną miarę: większe, o cztery razy rozleglejsze były od mniejszych. Jednostka ta miary nazywała się wtedy pomiarką, ale coby znaczyła w istocie, tego nie wiemy. Dobra Sanguszki czernogorodzkie były już magnackie, a więc należały do nich, wsie tak nazwane ziemiańskie. Wsie te rozdawał dziedzic uboższéj szlachcie pod obowiązkiem, żeby za niego pełnili powinność ziemską, jaka w ogóle na dobrach dziedzica leżała. Tak samo król rozdawał ziemie swoje, a szlachta która przyjmowała od niego ten obowiązek, nazywała się zie-

mianami królewskiemi. Trzy wioski takie leżały w Czernogorodczyznie: Wólka Łomaczyńska, która zostawała w rękach pana Chmielewskiego; daléj Szowtysowa Ruda w rękach pana Ostapa i Wasilki pana Makara: ci dwaj ostatni podani są bez nazwisk. Dwory były w Karazinie i w Poworsku. Dzisiaj nie ma już Czernogorodka, bo przeobraził się na prosty Gorodek, wieś dziś leżącą w powiecie łuckim; ludność téj wsi męzka wynosi 497 dusz.

Te dwa opisy są w języku Rusi wołyńskiéj, a dwa następne czysto polskie.

Połonne (w powiecie łuckim, dzisiaj ma ludności męzkiéj dusz 118), książe Krzysztof Radziwiłł wojewoda wileński, hetman wielki litewski, oddawał przez sługę swego Michała Kondzierskiego, księciu Hrehorowi Sanguszce Koszyrskiemu kasztelanowi bracławskiemu. Tutaj wzmianka o zaściankach, to jest cząstkach ziemi leżących poza granicami, t. j. poza ścianą wsi. Rozdawano te kawałki ziemi na rozmaite potrzeby, zaścianki przy drogach publicznych więcéj o miastach myślały jak o wsi; dzieliły się na morgi i zasiadali na nich ogrodnicy, rzemieślnicy, handlarze. Zaścianki te (nieczysto jeszcze szlacheckie instytucye) stawały się nieraz początkiem, zarodem miasteczek, z których urastały nawet i miasta. Na zaściankach, które w głębi od dróg schowane, były więcej pustyniami i odludnią, budowały się futory: ztąd téż dostawali takie zaścianki bojarowie pancerni i ci którzy obowiązywani bywali do odbywania drogi (tak nazwani putni); krom tego zaścianki były dobre dla sianożęci, dla rozmnożenia lasów i dla pastwisk. Włościanie mieszkający w zaściankach, zaściankowemi się zwali. Bojarowie konni czyli pancerni, połońscy, musieli mieć dobrego konia z półhakiem, rohatynę, tudzież nosić barwę książęcą; ci odprawiali służbę wojenną, sejmową i wszystkie inne za księcia swego pana publiczne ciężary, za to nie płacili czynszów, nie jeździli z listami. Każdy właściciel ziemi miał do niéj przywiązaną powinność służby wojennéj, ztąd rozdawał ziemię swoją pomiędzy ludzi wolnych, pomiędzy szlachtę lub poddanych swoich, z obowiązkiem żeby się stawili zawsze na piérwsze zawołanie Rplitéj. Ztąd bojarowie pancerni (w zasadzie tak, ale de facto nieraz uciskano tych bojarów i kazano im odprawiać rzeczy do których nigdy obowiązanemi nie byli i być nie mogli). Ale bojarowie putni (od put, po rusku droga, niby czysto po polsku drogowi, drożni, piesi, ale wyraz putni na Rusi był zrozumiały i służył za techniczny termin) musieli jeździć z listami i przy podwodach; wolni byli od czynszu. Czynsze te płacić się winny były na ś. Marcin, a najdaléj na ś. Mikołaj do rąk urzędników książęcych, gdyby termin ten przetrzymano, urzędnikowi wolno było winnego uwięzić.

Włość poleska czy należała z innemi do dóbr połońskich? nie wiemy, ale takby należało wnosić. Sioło Uhrynicze głowne w téj włosci. Było tam połdworzyszcze kniazia Kozieki puste, z którego dziedzic miał tylko trzy wiadra miodu. Były tam i gony bobrowe na rzece Stochocie (Hochocie) w sicle Berczycach. Mikołaj Sapieha wojewoda witebski dzierżył dworzyszcze jedno; toż samo w Bychowie byli poddani rożnych panów, sąsiadów księcia, dworzyszcze Sapichy wojewody witebskiego, dalej pana Wojny krajczego litewskiego, kniazia Kozieki i t. d. Dobra te połońskie wziął książę Sanguszko pomieniawszy się za Owantę w Litwie z Radziwiłłem.

Pod w zględem obyczajowym niezmiernie są ważne te akta i dokumenta wydrukowane w pamiętnikach, w których najcudniejszy materyał do powieści historycznéj, a przynajmniej do obrazu powieściowego ludzi i czasu, w których widzimy upadające historyczne imiona i wielkie majątki na Wołyniu. Już albowiem ta chwila krytyczna przyszła na owe strony pod koniec XVI wieku, za czasów Stefana Batorego i Zygmunta III. Kiedy taka chwila nadchodzi, w życiu kraju czy prowincyi, ma być, musi być jakiś przełom mniéj lub więcéj szczęśliwy. Starzy reprezentanci strony lub okolicy ustępują innym; zasady życia trysnęły widać i popłynęły nowe. W istocie narodowość ziem tych łamie się widocznie z nowym napływającym silnie pierwiastkiem: z narodowością polską. To téż dawni panowie, właściciele, dziedzice ziem na Wołyniu, podupadli już nietylko na majątku, ale i na charakterze: są to utracyusze, obywatele całego świata, dla których dzień dzisiejszy jest wszystkiém i którzy o jutro nic a nic się nie troszczą. Takim reprezentantem swojéj epoki był np. tutaj książę Alexander Proński kasztelan trocki, dziedzic Łohaczów na Wołyniu. Takim był książę Grzegórz Sanguszko koszyrski, dziedzic Koszyra i innych dóbr. Takim książę Michał książę Czartoryski starosta żytomierski. Proński samym senatorskim tytułem już świadczył, że był znakomitą w swoim czasie osobą; w młodości podróżował w poselstwie polskiem po Henryka Walczego, za Stefana dzielnie wojował: był to zięć Romana Sanguszki. A przecież wszystko poszło wniwecz u niego, co miał tylko po przodkach, majątek, wiara (był piérwszy z Prońskich kalwinem) nazwisko nawet, bo był ostatnim potomkiem znakomitego imienia. Żyją jeszcze na Wołyniu za Zygmunta III dziedzice ostatni sławnych nazwisk, ale majątek swój zmarnowali w epoce na którą wskazujem, i jeżeli doszli potém znaczenia politycznego, to nowym zabiegom następców swoich są winni. Otoż ci wszyscy panowie zastawiali dobra swoje żydom, oddawali je w długach dawnym sługom swoim. Sławny był wtenczas na Wołyniu żyd Abraham Szmujłowicz, którego Proński i Koszyrski nazywają w aktach urzędowych s ł a-

wnym panem: wymieniają też jego żonę Ruchlę, a zawsze z wielkiém uszanowaniem. Żyd ów wykupywał panów i książąt wołyńskich, tojest pożyczał im pieniędzy raz, drugi, trzeci, widać może i na wielki procent, a kiedy się z tego porządna summa zebrała, wyciągał potém do panów rękę i ci radzi nieradzi musieli mu dawać w zastaw swoje dobra, pałace i zamki, i byli jakby gośćmi we własnym domu. Do tego doszło, że byli zupełnie na łasce u zastawnika swego, nie mieli kątka własnego, a nawet drwa na opał i t. d.: wszystko, wszystko sobie w kontrakcie zastawnym wymawiać musieli. Proński włóczył się nawet po świecie jak błędna sierota; spadł na formalnego żebraka, kiedy wymawia sobie np. kilku bojarów do posyłania listów, kiedy wymawia sobie kilka winogron i brzoskwiń z własnego ogrodu; nareszcie gdyby z powodu danych zobowiązań wynikły jakie procesa i sprawy, (do tego doszło!) wymawia sobie, żeby mu arendarz dawał na kwity po 10—20—30 złotych. Niżéj już spaść niepodobna było.

Pod względem obyczajowym, ważne są także szczegóły, które pokazują jak dobrami duchownemi mogli władać ziemianie województw ruskich. Stefan król dał przywilej na monastyr świętego Spasa we Włodzimierzu szlachcicowi z Wołynia Michałowi Orańskiemu. Mamy tutaj całą historyą téj dzierżawy, czy zastawy, czy też starostwa, nie wiemy jakto właściwie nazwać. Orański albowiem posiadał dziedziczném prawem monastyr. Jest nawet osobny rozkaz królewski do Konstantego księcia Ostrogskiego, jako starosty włodzimierskiego, żeby bronił obdarowanego Michała od metropolity, gdyby ten ostatni zmuszał go do przyjęcia duchownéj sukni. Zdaje się więc, że to coś na Rusi było takiego, jak w naszym kościele nominacye świeckie na prelatury duchowne: Kochanowski i Stryjkowski swieccy ludzie, byli kanonikami i prałatami.

Ten nowy porządek rzeczy, kiedy już stary ginął, nastawał za czasów Zygmunta Augusta. Nasza nauka historyczna nie doszła jeszcze do tego stanu dojrzałości wszechwiedzy, żeby dostojnie to panowanie roztrząsnąć i ocenić mogła. Najpiękniejsze materyały znalazły się dzisiaj dla historyi czasów Zygmunta Augusta, jakby na dowód, że chwila się zbliża w któréj znajdzie się wielki historyk: listy Commendoniego, listy królewskie do Radziwiłłów, listy Barbary Radziwiłłownéj i do niéj pisane, pamiętniki Orzelskiego, listy Hozyusza i t. d. Ale bądź jak bądź lubo dużo już wiemy, lubo wiele się oczyściły nasze pojęcia, lubo rozumiemy to inaczéj, co jeszcze przed chwilą inaczéj wcale rozumieliśmy: zawsze powtarzamy, nauka jeszcze nie może dostatecznie ocenić tak wielkiego króla i czasów jego. Na dobrą sprawę trzebaby każden wypadek, każdy punkt, każdą gałąź w administracyi, każdy objaw prawodawstwa, wziąć pod

osobną rozwagę i badanie: panowanie to trzebaby kategorycznie rozebrać na działy i szukać co zrobiło dla tej a dla tej formy. Bo chwila Zygmunta Augusta była w istocie wielką: byłato jedna chwila z takich chwil uroczystych w życiu ludzkości, jakich niewiele w niéj: odbierała jedne kształty z przeszłości, oddawała w przyszłość inne; otrzymała taki stan rzeczy i taki naród, a tworzyła nowy naród i nowy zupełnie stan rzeczy. U nas może najpóźniej w dziejach Europy odbyło się na wielką skalę pomieszanie się i zlanie w jedno kilku narodów odrębnych. Otoż panowanie takie na wszystkiém koniecznie musiało wycisnąć ślady swoje, i rzeczywiście nic tam nie zostało na miejscu jak było w przód, kamień na kamieniu. I oto Commendoni nas uczy, jakie koleje przebywał kościoł i wiara za tych czasów; rzuca blask wielki na prawodawstwo, obyczaje, charaktery, sprężyny, interesa i walki. Oto wydania kommissyi kijowskiéj uczą nas wiele o tych przetworzeniach się wewnętrznego życia narodu, pokazują nam składowe części towarzystwa litewsko-ruskiego w XVI wieku. I w istocie widok to piękny, pociągający nowością, świeżością faktów.

Mamy tutaj przed oczyma społeczne reformy na Litwie tego sławnego panowania. Przed Zyg. Augustem dwojaki był rodzaj włościan w wielkiém księztwie (nietrzeba zapomnieć, że Wołyń przed rokiem 1569 był prowincyą litewską, i dlatego do wydania kommissyi kijowskiéj weszły te akta litewskie, objaśniające dawne życie na Wołyniu). Byli włościanie dziedziczni, tojest poddani, adscripti glebæ: ci się razem z ziemią sprzedawali, i tak nazwani pochoży, tojest wolni, którym wolno było przechodzić od pana do pana. Był i trzeci jeszcze podrodzaj nieosiadłych, tojest takich, którzy dostawali grunta za umową na czas taki i taki, za obowiązek taki a taki, ci mogli wyjść w każdym razie, ale jeżeli wychodzili przed terminem: musieli zapłacić karę (wychodnyja deńgi).

Dziwna cecha cywilizacyi polsko-litewskiéj XVI wieku! W roku 1551 we wrześniu zjechali się panowie witebscy do swojego miasta, sami, niezwołani przez nikogo, a więc własną wolą, i to w celu czysto prawodawczym. Szło im o urządzenie stosunków roboczych właścicieli z temi ludźmi, co mieli prawo przechodzić z miejsca na miejsce, tojest z pochożemi. Na czele tych panów znajdował się ruski arcybiskup władyka połocki witebski i mścisławski, Herman Chreptowicz (imię znane, o nazwisku piérwszy raz dowiadujem się z tego aktu); dalej łaciński ksiądz Józef Jasieński archidyakon wileński a pleban witebski z duchowieństwa, a ze swieckich panów Jerzy Zienowicz dzierżawca czeczerski i propojski; dalej trzech wojewodziców podlaskich Sopyhow, Iwan, Michał, i Paweł Iwanowicze, kniaź Paweł Juriewicz Sokoliński, kniaź Iwan Wasilewicz Żyliński, dwóch

książąt Massalskich Iwan i Jędrzej Piotrowicze, kniaź Hrehor Iwanowicz Sienski, kniaź Iwan Bogdanowicz Widynski, Lew Iwanowicz Roszki dzierżawca markowski i Nicefor Bobojad dzierżawca uczeński, Semen Kmicic dworzanin gospodarski i nareszcie kniaź Dymitr Gliński. Ale obok tych panów stanęli też bojary, szlachta, duchowieństwo, mieszczanie, i służba pancerna, którzy swoje posiadłości mieli w powiecie witebskim. Zebrawszy się razem napisali wszyscy ustawę na ludzie pochoże tak w województwie połockiém jak i witebskiém. Było to własnie przed sejmem wileńskim: szlachta białoruska chciała swoją ustawę wnieść na sejm. Witebszczanie naśladowali tylko Połoczanów, bo wprowadzali u siebie w życie zasady, które tam już były. Stanowili: że w swoich ziemiach nieinaczéj już teraz będą osadzać ludzi pochożych, jak pod warunkiem, żeby im czwarty snop oddawali i w ogóle każdą czwartą część dochodu z roli. Krom tego, pochoży musieli karmić posłańców pańskich, przy których te czwarte snopy powinni byli wymłacać. Miodu mieli dawać połowę, a co roku po ośm dni pracować przy żniwach pańskich, lub odrabiać co dwór nakaże. Inne były warunki dla pochożych, gdyby téj czwarcizny płacić nie chcieli. Kto chciał wyjść winien był w pierwszą niedzielę wielkiego postu wyprosić się i zapłacić wychodnego 12 groszy szerokich. Jest bardzo wiele innych rozporządzeń ciekawych w tej ustawie, nad którą będą zapewne pisali objaśnienia badacze nasi, która zapewne wejdzie w skład takiego np. Obrazu Litwy Jaroszewicza, gdzie będzie na najwłaściwszém sobie miejscu.

Dziwna cecha cywilizacyi, powiedzieliśmy i nie cofamy słowa. Mamy teraz jak na dłoni fakt, że inicyatywa nawet ważnych kwestyj prawodawczych, zasadowych, należała do prywatnych właścicieli ziemi, i że co większa, właściciele ci od nikogo nie upoważnieni, sami własną wolą zebrawszy się, stanowią najważniejsze ustawy, które naturalnie bardzo nie obowiązują i nie mogą nawet obowiązywać kraju całego, ale ich samych obowiązują. Tak więc mamy ślad praw nie prowincyonalnych już, ale miejscowych i wojewódzkich, i tak dalece to jest prawdą, że konstytucya polska wolny rozwój wszystkim zasadom, wszystkiéj szlachcie zostawiała. Widzim tutaj, że Witebszczanie czynszują włościan, ale oni sami nie stworzyli myśli: naśladują tylko wzór dany przez inną sąsiednią okolicę kraju. Tak więc to oczynszowanie i to urządzenie stosunków włościan wolnych ze szlachtą, było żywotną kwestyą chwili, przynajmniéj na Litwie, gdzie się naprzód myśl ta urodzić musiała, potém przyswajają myśl tę jedna i druga ziemia prawem zwyczajowém poprostu, aż wreszcie Witebszczanie występują publicznie z uchwałą. To co oni zrobili w roku 1551 ich tylko obowiązywało: to też na nieposłusznych uchwale stanowią karę 500

kop groszy na króla. Wszystko to jeszcze mało: myśl się rozwija, żywotna kwestya to najwidoczniéj. Na Litwie zdawałoby się wszystkie inicyatywy iśćby powinny od księcia, który jest prawie jeszcze samowładny: zmiana stosunków włościańskich może zmienić stan, konstytucyą całego kraju, zatém władza wielko-książęca jedynie na Litwie miałaby prawo wystąpić i urządzać, a tutaj widzim dzieje się przeciwnie: i sejmikowość polska już widocznie przenika na Litwę. Szlachty mało tam, bo szlachtą są właściwie mówiąc, wielcy tylko panowie; ale duch polski już tam włada, już panowie sejmikują, dopuszczając do obrad wspólnych duchowieństwo, bojarów, mieszczan, którzy widać z tego, mają swoich chłopów i nieruchomości ziemskie, a władza wielko-książęca idzie za danym kierunkiem, za natchnieniem daném z dołu, wbrew zasadzie panującéj na Litwie. Poznajem tutaj serce i politykę Zygmunta Augusta. Rozwijał on wszelkiemi siłami życie polskie na Litwie i Rusi, wolność rozlewał na massy, na tłumy, i dlatego sprzyjał wszelkim reformom szlachty, które miały na celu dobro wiejskiego ludu. Bądź co bądź, fakt tutaj: że nie Zygmunta Augusta naśladowali w urządzeniu stosunków włościańskich Litwini, ale owszem, że Zygmunt August naśladował Litwinów. Narzędziem króla, a raczéj doradcą był w téj sprawie mąż światły, Stanisław Kiszka wojewoda witebski. Widział wojewoda, że chłopi witebscy, tojest poddani tego zamku, płacą lekkie podatki z których nic nie przychodziło zamkowi. Widział, że skarb pusty był zawsze, żadnych w nim nie było zapasów na wszelki przypadek. Ztąd wojewoda zaproponował królowi, żeby także wzorem Witebsczan na czwartéj doli osadził włościan zamkowych witebskich z prawami, jakie postanowiła szlachta dla ludzi pochożych, ale za to żeby uwolnił ich od wszelkich innych ciężarów. Jednocześnie szlachta witebska prosiła pana, żeby potwierdził ich uchwałę. Król ten nowy porządek zaprowadził rozkazem swoim z dnia 4 stycznia 1553. Włościanie zamku witebskiego mogli na tém cokolwiek stracić, bo dotąd płacili tylko „lekkie podatki“; ale sądzim że kraj zyskał przez urządzenie raz na zawsze stosunków włościańskich, które już teraz nie zależały od dowolności właścicieli ziemskich.

Na drodze reform Zygmunta Augusta odbija téż świetnie sprawa włoczna, tojest ustawa o włokach (tak stoi w oryginale nawpół ruskim, napół polskim) wydana w dniu 1 kwietnia 1557. Jestto urządzenie administracyi dóbr rządowych na Litwie; jeżeli który akt, to ten najwięcéj świadczyć będzie o dobrych chęciach i świetle znakomitego króla: jestto jeden z najcelniejszych i najdroższych pomników naszéj cywilizacyi. Jużeśmy tak wysoko stali w XVI wieku: cóżto być z czasem

mogło, gdyby nie ten nieszczęśliwy nierząd w kraju, co przesiąkł wszystkich i wszystko!

Historya tego ważnego prawno-obyczajowego zabytku następna (w krótkich ją słowach spisujem).

Sprawa włoczna była ustawą prywatną królewską i stanowiła zapewne wzór dla wielu innych ustaw i gospodarstw litewskich: bo też rozumnie godziła dobro właścicieli ziemi z dobrem włościan i ze starannością wszelką o postęp i ulepszenie gospodarstwa. Tkwiła w niéj wprawdzie zasada niesprzyjająca rozwojowi pracy. Król mówi tam np. że wszystko co jest w dobrach stołowych: i ziemia, i człowiek, i dom, wszystko co jest włościanina, należy do pana, jest własnością króla samego. Ale to tylko zasada rządu ówczesnego na Litwie utrzymana więcéj jak pamiątka aniżeli fakt będący w życiu: boć włościaninowi wolno było domy, budowle i gospodarstwo swoje nawet sprzedawać, aby tylko podług form przepisanych w prawodawstwie, tojest urzędowych (stronnica 149). Dlatego że tutaj głównie przewodniczyła myśl urządzenia gospodarstwa postępowego, i że król dbał o powiększenie swoich dochodów, wszystko w téj ustawie przewidziane, i ztąd każdy rodzaj mieszkańców dóbr królewskich, wsi i miast, ma tutaj swoje przywileje, prawa, i zaręczenia. Osobne artykuły ustawa poświęca bojarom, woznicom, komornikom, ogrodnikom strzelcom, stróżom, koniuszym, rzeźnikom, bartnikom i t. d. Mówi o podatkach, o czynszach, o karczmach, o targach, o chlebach, o sianożęciach, o rybach, o rządzie wewnętrznym, o rozmierzaniu, o sądach, o sposobie wyrachowywania się z dochodów, o lasach, o rzemieślnikach, o mostach, o powinności dostarczania podwód i t. d. Rybołostwo, ogrodnictwo, pszczoły, łowy, obława, exekucya, wszystko tu jest jak należy.

Autorem téj ustawy był pan Piotr Falczewski dzierżawca knyszyński, zaufany urzędnik Zygmunta Augusta, człowiek sumienny i bardzo zacny. Król wybrał go już poprzednio przed kilką laty do urządzenia dóbr swoich, i kazał mu napisać ustawę. Falczewski zajął się natychmiast tą pracą; umiał powiększyć dochody, zaprowadzić ład, wymierzyć ziemie królewskie. Był więc takim sposobem dzierżawca knyszyński sprawcą, tojest rządcą, gubernatorem: ztąd też i ustawa nazwana sprawą. Lat kilka Falczewski układał plany i projekta, zastanawiał się nad niemi, myślał i poprawiał. O kilku szczegółach historyi téj sprawy włocznéj, dowiadujem się z listów Zygmunta Augusta, pisanych do Radziwiłła Czarnego, a wydanych przez Lachowicza. Falczewski nie miał jednakże zupełnéj władzy: król kazał mu odnosić się we wszystkich wątpliwościach do tegoż samego księcia Radziwiłła Czarnego, który już był wtenczas wojewodą wileńskim, kanclerzem wielkim, mar-

szałkiem ziemskim, starostą brzeskim, dzierżawcą borysowskim i szawelskim, a w którym król pokładał nieograniczone zaufanie. Otóż Zygmunt August w październiku roku 1556 pisał z Warszawy do tego Radziwiłła, o rozkazie swoim danym Falczewskiemu, aby co najrychléj jechał do Wilna, i około owéj sprawy włocznéj z księciem pracował (Lachowicz stronnica 94). Falczewski jednak zwłóczył, zasłaniając się przywilejem królewskim, który był dany nie nato żeby, „nie okazywał nikomu spraw swych, ale od sądownego stania i odpowiadania“; więc król w kilka dni późniéj znowu pisał do niego z Warszawy, żeby sprawę włoczną okazał przed temi, którym to król poruczył. Nie spodziewał się Zygmunt August, żeby teraz jeszcze Falczewski stawił jaki opór Radziwiłłowi, ale gdyby i tak było „i bez niego tę sprawę twoja Miłość dokonać możesz“, pisze król do Radziwiłła, bo są jego wszystkie sprawy u Ostafieja marszałka i pisarza naszego (Lachowicz, stronnica 97). Mowa tutaj o Eustachym Wołowiczu, który został późniéj podkanclerzym. Wreszcie w grudniu 1556 roku król jeszcze raz pisze z Warszawy, że wyrozumiał sprawę i stanowienie włoczne Ostafieja, ale niedokładnie, bo marszałek zapomniał wziąć z sobą spisku. Jednak i z tego co mówił królowi Wołowicz, poznał Zygmunt August wielką pracę Radziwiłła; dziękując mu tedy za nią, dodaje: „i tak rozumiemy, że w téj włocznéj sprawie, to postanowienie nietrzeba jeno chwalić a to na całą exequutią wstawić.“ Zostawia to król zresztą do swego przyjazdu do Litwy, który miał lada chwila nastąpić (Lachowicz, str. 137).

Falczewski pracował nad tą sprawą włoczną, jak powiedzieliśmy, lat kilka. Ogłoszoną już ona była wprawdzie na dniu 1 kwietnia 1557 jako prawo obowiązujące, ale i tak jeszcze niejednemu podlegała przeobrażeniu; przynajmniéj są dwa do téj sprawy dodatki, które albo wypełniały niedostatek poprzednich rozporządzeń albo zmieniały jeden i drugi artykuł na lepsze, czego znowu nauczyło doświadczenie. Poprawki te i dodatki: jedna nosi na sobie datę 20 października 1557, druga późniejsza 20 maja 1558. Jest jeszcze trzeci dodatek, ustawa tak nazwana pocztowa, która jednakże urządzała prawa i ciężary nałożone na ekonomie co do dostarczania podwód w sprawach rządowych: ta ostatnia ustawa nosi datę 20 czerwca 1558.

Otóż Piotr Falczewski był tutaj jeszcze jako autor sprawy, pośredniczą władzą pomiędzy podskarbim a niższemi urzędami zarządu ekonomicznego. Władzę tę zostawił mu król do osoby, ad personam jak mówią, jemu osobiście; znosił się on potem z Radziwiłłem Czarnym, który zastępował wciąż miejsce podskarbiego i zdaje się, że obaj ci panowie rządzili tymczasowo dopóki żyli, dobrami, a potém dopiéro po ich śmierci wchodziły w życie wszystkie te władze i podwładze, stopniowania i urzę-

dy, jakie sprawa włoczna urządza. Nad strzelcami ekonomicznemi miał władzę p. Dowojna.

Tymczasowe to tylko były władze, albowiem na czele zarządu dóbr królewskich na Litwie, podług téj ustawy, znajdował się podskarbi ziemski. Byłto urząd jeszcze niepewny, nieoznaczony, i prawa nie zakreślały dobrze granic jego władzy i sądu. Inaczéj to było w Koronie: tam już się wykształcił podskarbinski urząd, a był podwójny: wielki i nadworny; w Litwie zaś urząd ten jeszcze nie wystąpił z chaosu, prawie aż do unii lubelskiéj. Ztąd często połączony bywał z innemi urzędami, chodził np. z marszałkowstwem (które się także nie wykształciło jeszcze podówczas na Litwie: marszałek był prawie wtedy to, co hetman), chodził z namiestnikostwami (które wtenczas to, co województwa znaczyły na Litwie), chodził z pisarstwem, wojewodzkiém krzesłem, ale najczęściéj plątał się z marszałkowstwem dwornem, tojest nadwornem. Niedokładne spisy urzędów naszych w Niesieckim nie rozjaśniają bliżéj tajemnicy kto był właściwie podskarbim ziemskim na Litwie w roku 1557, tojest w roku wydanéj sprawy włocznéj. Wiemy zkądinąd, że w roku 1547 i 1549 był podskarbim marszałek dworny Jan Hornostaj, który został późniéj wojewodą nowogrodzkim, a w roku 1563 Wasil Tyszkiewicz także marszałek dworny, pisarz i starosta mohylewski (przywileje i wolności dyssydentom, stronnica 131. W tymże roku 1563 występuje Janusz Korycki podskarbi dworny litewski, dzierżawca puński i żyżmorski tamże). Z tego wychodząc sądzilibyśmy, że albo Hornostaj, albo już ten Wasil Tyszkiewicz obejmowali zarząd ekonomii litewskiéj, stosownie do postanowienia sprawy włocznéj. To jednakże pewna, że ani jeden ani drugi z nich na redakcyą saméj sprawy nic a nic nie wpływał, i że cała zasługa z tego powodu należy się innym osobom.

Otóż po podskarbim szli rewizorowie, po nich urzędnicy, rządcy, gubernatorowie (urząd, urad), potém nareszcie już wójci po gminach, dzierżawcy i ciwunowie byli w stopniu rządców. Wzgląd na ludzkość podyktował celniejsze téj sprawy artykuły. Czynsz był np. zastosowany do wartości gruntu; od włoki płaciło się po 21—8 i po 6 groszy, toż samo z innemi podatkami (stron. 71). Nowo-osiedli naturalnie inaczéj jeszcze płacili, bo na wszystko miano przyzwoity wzgląd, zmniejszano czynsze a nawet darowano je (str. 18). Podatki owsem nakazują brać podług zwyczajnéj miary krakowskiéj, bez otrząchnień i nasypów; ktoby chciał nawet mógł owies spłacić gotówką. Gdyby potrzeba konieczna była odwieźć owies cokolwiek daléj, włościanie uprzedzeni z góry być mają na ś. Bartłomiéj (stronnica 49). Daléj prawo przepisywało odpoczynek robotnikom przy pracy: ci co robili bydłem mieli po godzinie wolnéj trzy razy: przed obiadem, w południe, pod wieczór; piesi po pół

godziny za każdą razą, ale to tylko w lato przy dniach długich. Na słabego miano wzgląd, jeżeli nie wyszedł do roboty, aby tylko uprzedził że słaby (str. 53). Kiedy był nieurodzaj, prawo przewidywało nędzę, wtedy ulgi nowe dla włościan: w razie potrzeby nawet go z czynszu zwalniano. Były też inne zdarzenia, dla których w dobrach królewskich włościanom podarowywano podatek, np. pożar, śmierć, choroba, głód, podupadek w majątku, grad i t. d.; jeżeli tylko wójt (najbliższa na wsi władza włościanina) przedstawił, że istnieją te przyczyny, sprawa się upraszczała bardzo (str. 82). Trzy tygodnie włościanin był wolny od wszelkiéj roboty: tydzień na Boże Narodzenie, tydzień na Wielkanoc i tydzień na zapusty (stronnica 43). Przeciw zdzierstwom różnym włościan od urzędników niższych i wyższych, wielu tutaj postanowień (stronnica 100 i 130). Ubogi włościanin zasiawszy pole mógł w zimie w czas głodny oddalić się ze wsi za robotą lub zarobkiem, a przecież nie odbierano mu gospodarstwa aż do ś. Jana, jeżeli widziano że z nędzy idzie na świat (stronnica 147). W wielu miejscach ustawy są zalecenia do urzędników, żeby bronili włościan od krzywd i niesprawiedliwości (str. 166—8). Jeziora i rzeki a raczej rybołostwo miało być tylko oddawane włościanom dóbr królewskich; wolno im też było polować na swoim gruncie: zbudowanie jazów, sianokosy, drzewo bartne im tylko wyłącznie za czynsz były oddawane. Wreszcie żeby lepiéj prawa włościan zabezpieczyć, król nakazywał ułożyć rodzaj kodexu dyplomatycznego ze wszystkich przywilejów i nadań, jakie tylko kiedykolwiek i ktokolwiek z jego poprzedników dał dla włościan dóbr ekonomicznych; oryginały miano złożyć do urzędu, a dzierżawca lub ciwun dóbr, każdy u siebie miał je wpisywać w regestr: z tych regestrów tworzył się dopiéro ogólny kodex, który miał być w zachowaniu u podskarbiego ziemskiego, ale podskarbi poprzednio powinien był znieść się z kanclerzem i przekonać się, czy kopie i oryginały zgodne są z metryką. Byłto środek podwójnie dobry, bo naprzód zabezpieczał prawa włościan, a powtóre zaprowadzał ład w dochodach. Kiedyć cała ustawa miała na celu urządzić dobrze stosunki dóbr ekonomicznych, kiedyć szukano wszędzie kontrolli i sposobu na nią: kodex taki podając zbiór dokumentów, przywilejów i wyłączeń, był jakby koniecznem dopełnieniem ustawy, pomagał kontrolli.

Zacznijmy od gminy, tojest od wioski, przegląd téj wiekopomnéj ustawy. Sto włók stanowiło jedno wójtostwo, dlatego prawo pozwalało dwie, trzy i więcéj poblizkich wsi łączyć razem w jedno wójtostwo. Od włoki płacił się czynsz lub szła robota. Nad wójtostwem przełożony był naturalnie wójt, który miał razem patryarchalną, sądową, wykonawczą władzę nad wójtostwem, i był zupełnym gospodarzem w domu. Otóż on ro-

zmierzał grunta na włościan, do czego miał sznur stałéj miary. Wójt puste grunta w obrębie swojéj władzy rozdawał i rozmierzał, a włościan zapisywał w regestra; zapisany dopiéro w regestr stawał się miejscowym obywatelem i jakby właścicielem swego kawałka ziemi, niezapisany bawił chwilowo tylko na gruncie i mógł się wynieść kiedy chciał. Wójt nakazywał gromadzie robotę zawsze w niedzielę; niepilnych strofował i zapędzał, wybierał podatki, czynsze, znosił się z urzędem (uriad) który najbliższą był jego władzą; przed tym urzędem skarzył o zaległe roboty, czynsze, miał sam nadzór nad ludźmi swego wojtostwa przy robotach, jakby ekonom lub karbowy. Jeżeli ludziom wypadło dostawiać owies i siano do Wilna, lub gdzie indziéj na potrzeby hospodara, musiał im towarzyszyć: pilnował granic i wójtostwa i włók. Kopce co rok sypać musiał. Sądy miał urząd, ale pozywał przed te sądy jako instygator, wójt. Jednakże wszędzie miał powinność przestrzegać, żeby włościanin otrzymał sprawiedliwość. On też utrzymywał regestra grzywien, tojest kar pieniężnych, które szły na króla. Wójt też stanowił pewną kontrollę urzędu, pilnował go i w sądzie i wielu innych rzeczach, a o nadużyciach powinien był donosić rewizorowi. Za to miał we wsi włókę wolną od wszelkich ciężarów, i jeżeli chciał, dostawał drugą, ale już z niéj płacił czynsz. Wójt zresztą podlegał sądowi urzędu, który tylko nie mógł go li jedynie wojtostwa pozbawić: chyba za porozumieniem się z rewizorami. Wójta obierała gmina, a stanowił urząd i rewizor.

Na gminy składały się osobno wsie, osobno miasta. I tutaj i tam na czele rządu wewnętrznego był zawsze wójt: jedne zasady przewodniczyły mu i we wsi i w mieście. Ustawa zapobiegała pieniactwu i włóczeniu się włościan przed sądy, chociaż je każdy miał blizko siebie urządzone: ku temu pozwalała na sądy polubowne. Każdy mógł podjąć się probować zgody pomiędzy dwoma zapasnikami, zachęcała nawet do téj usługi obywatelskiéj własną korzyścią ustawa, bo stanowiła małe pieniężne kary, które szły na korzyść sędziów polubownych (odpowiedzialność przed urzędem była znacznie większą). Po wsiach były postawione dla więźniów tak nazwane karczmy; ustawa kazała je wynieść dla zapobieżenia zarazie ludu. Piwa też nie pozwalała warzyć po wsiach (stronnica 38). Były wspólne też własności np. lasów; do nich wolny był wręb nietylko włościanom dóbr ekonomicznych, ale nawet i sąsiadującéj z lasami szlachcie i t. d. (stron. 131, 140, 144).

W miastach trochę więcéj tylko było powagi, bo też ludność większa. Kiedy urządzenie dóbr miało na celu po wsiach zaludniać kraj, dlatego kazało karczować lasy, na osady, wsie, tak, żeby nigdzie pustyni niebyło; co do miast mogło tylko

pragnąć, żeby podnosił się handel i przemysł. Naturalnie mowa jest tutaj tylko o miastach królewskich, a nie o podatnych jak wsie. Tutaj już i droższa opłata od ziemi: od włóki po 50, 40 i 30 groszy. Był tutaj już podatek od napojów, kapszczyzną zwany. Rzeźnicy płacili podatek od przemysłu swego. Pozwalała też ustawa osiadać po miastach komornikom, którzy wprawdzie żadnéj nie mieli powinności względem dworu, ale za to że handlować mogli i używali przywilejów miejskich, zresztą dla tego, żeby nie trudnili się włóczęgostwem, musieli płacić co rok po dwa grosze do skarbu (stronnica 38). Nowych targów o trzy mile od miast królewskich zaprowadzać nie było wolno, ale dawniejsze targi utrzymywały się przy swojém prawie (stronnica 40).

Wójtowie mieli do pomocy ławników po gminach: była to policya ziemska, nic więcéj (stron. 24.) Liczba ich po wsiach stosowną była do wielkości wsi: po dwóch, po trzech, więcéj nawet. Byli przysięgli, chociaż wójt nie przysięgał, bo dostatecznie część karna ustawy określała go. Ławnicy oceniali szkodę. Brali od każdego śledztwa po groszu oględnego, ale od ciężarów wiejskich nie byli wolni.

Wyższy był stopień jak powiedzieliśmy urzędu, tojest rządcy. Jeżeli król dał komu wieś lub dobra stołowe jako starostwo, urzędnikiem tym naturalnie był pan dzierżawca czyli starosta; jeżeli zaś nie, trzymał na wsi swego urzędnika czyli rządcę, który już znosił się ze wsiami za pośrednictwem wójtów, pilnował gospodarstwa i dochodów pańskich; rządził dobrami jak dziedzic, z tym warunkiem tylko, że zdawał rachunki i ulegał rewizorowi czyli lustratorowi. Naturalnie rządcami temi i dzierżawcami bywali często wielcy panowie, którzy mając własne dobra, czasem i kilka starostw, a do tego moc innych obowiązków, np. zasiadając w senacie, musieli jeździć na sejmy, na wyprawy wojenne, na poselstwa i za granicę, nie zawsze mogli być dobremi rządcami, ile że stosunki ich podług ustawy były codzienne ze wsiami i z wójtami. Otóż rządcy, którzy urzędnikami byli, siedzieli i doglądali pilnie swoich obowiązków, panowie zaś wyznaczali z ramienia swojego namiestników. Jak wójtowi nagradzano ziemią i pewnemi grzywnami, tak rządca taki inaczéj i lepiéj był płacony, tojest brał tantiemę i od pilności jego zależało mieć więcéj albo mniéj za swoją pracę: powiększył dochody królewskie, to sam miał więcéj, nie dopilnował i dochód upadł, jego zatém własna była strata. Na każdém polu miał włókę, którą uprawiał własnemi ludźmi i własném bydłem, i morg ziemi na ogród; każdy też trzeci snop należał do niego. We wszystkich zamkach i dworach rozdzielonych już na włóki, dostawał wszystkie zbiory z dziesiątéj włości, wyjąwszy owies i siano; nadto trzeci snop, dochód z targowego

i z miary, część podatku od rzeźników, przy spuszczaniu stawów dziesiątą rybę, wreszcie grzywny od włościan; brał kunicę i podatki ze wsi na Nowy Rok, ale exekucyi stawić za to nie mógł i nie powinien był; objeżdżał chałupy o podatki na Wielkanoc i t. d. Rządca taki był królikiem w swojéj ekonomii, do wszystkiego należał, we wszystko się mieszał: mógł być wielkim dobroczyńcą włościan, ale też mógł być ich także katem. Miał zaprowadzać folwarki przy każdym dworze i zamku, a na nich wiejskie zabudowania, chlewy, stajnie i t. d. Pilnował gumna w którém zboże było na sprzedaż zawsze na potrzebę gminy; cenę korca oznaczał rządca i dbał o to, żeby wszyscy włościanie zasiali pola swoje. Skupował nowy a sprzedawał stary inwentarz. Najmniejszy dochód i rozchód notował w księgi, i na wszystko musiał w czasie swoim przedstawić dowody. Kopał rowy, naprawiał stawy, ryby łowił, łąki kosił i t. d. Jako gospodarz naturalnie miał ciągłe zajęcie, a jednak mimo to jeszcze, ustawa mu nad uchem dulczała: masz na wiosnę robić to, a na jesień tamto i t. p. Policyą ich stanowili dzieccy.

Rewizorowie byli to z ramienia podskarbiego wysyłani po ekonomiach wizytatorowie, dla kontrollowania urzędu: ci przeglądali rachunki, rozsądzali sprawy w wyższéj instancyi, rozmierzali grunta i w tym celu mieli zawsze do pomocy swojéj jeometrów. Pomiędzy albowiem celami ustawy włócznéj ten był, żeby raz na zawsze kraj cały, a przynajmniéj dobra królewskie wymierzyć; mówimy kraj cały, boć naturalnie rząd dobry mogli i powinni byli naśladować ziemianie.

Podskarbi najwyższą stanowiąc władzę, najwyższy też miał sąd i prawo. Główna jego kontrolla zależała na obrachunkach z urzędnikami, którzy przed Bożém Narodzeniem raz do roku mieli składać dochody z dóbr do skarbu. Od Nowego Roku już przez pięć miesięcy, podskarbi liczył się z urzędnikami z każdym osobno, z dochodów i wydatków. Co 15 dni co tydzień dla innych dóbr nadchodził termin, i wtedy osobiście stawić się musiał przed podskarbim każdy rządca, ciwun albo dzierżawca. Zaczynały kolej Żmudź, potém szły wszystkie inne ekonomie, nawet wołyńskie, ukraińskie i podolskie, bo te wszystkie trzy prowincye jeszcze wtenczas do Litwy należały. Kończył kolej Homel, Iłłusk, Mohylew, Swisłocz, Borysów, Luboszany, Połock. Podskarbi przyjmował projekta, odrzucał je albo zatwierdzał, mógł assygnować summy na poprawę gospodarstwa, na koszta zarządu i t. d. W razach ważniejszych, naturalnie odnosił się do króla.

Sprawa włóczna mieści też w sobie kodex karny, który przy całéj łagodności prawa, przy całéj ludzkości jaką oddycha, może zabardzo razi surowością. Śliczny jest ten kodex

w duchu jednak prawości Likurgowskiej, która dowodzi zawsze wielkiéj czystości obyczajów litewskich w owym czasie. Jużcić jeżeli prawo śmiercią karze np. przeniewierzenie się w służbie i krzywoprzysięstwo, jedno i drugie budziło widać ogromny wstręt, nieczęsto się pewnie zdarzało na Litwie. I taki wójt gdyby najął pustą włókę lub utaił przed rewizorem że ją wynajął urząd, jako złodziéj bywał karany śmiercią (stronnica 26). Ławnik jeżeliby co skłamał przed urzędem, jako wiarołomca zasługiwał na śmierć (stronnica 30). Rzeźnik coby sprzedawał mięso ze zwierzęcia zdechłego albo wściekłego, starostowie, ciwunowie i rządcy którzyby wybierali dla siebie podwody, karani także bywali śmiercią (stronnica 37—156).

O zamkach i dworach królewskich nie zapomniano także w ustawie. Na straż do nich kazano włościanom chodzić po kolei, ale urząd nie mógł więcéj nakazywać strażników, jak ilu ich wyznaczył rewizor. Tam gdzie były stajnie, jeszcze jednego włościanina wyznaczano do pilnowania koni królewskich; na dwadzieścia mlecznych krów także człowiek jeden (stronnica 163). Naprawa zamków, budowle w nich, należały także do włościan okolicznych, za wskazaniem urzędu lub rewizora; ważniejsze roboty należały do podskarbiego. Polecano też po dworach i zamkach oraz po głównych drogach, któremi przejeżdżał król, osadzać robotników, jakoto: stolarzów, kowali, kołodziejów, ślusarzy, cieśli, i t. d. Obowiązek czuwania nad zamkiem wileńskim wziął na siebie pan wojewoda Radziwiłł Czarny.

Nareszcie fakt ciekawy, który świadczy, że panowie litewscy z upoważnienia króla mogli mnożyć przywilejami liczbę szlachty. Król albowiem w artykule 45 sprawy włócznéj stanowi, że w dworach i włościach ekonomicznych na Żmudzi, ta szlachta, która używała swego rycerskiego przywileju za pana starosty Stanisława Janowicza Rekucia Kieżgajły, i za syna jego pana Stanisława Stanisławowicza, ma nadal używać praw szlacheckich; ale ci, którzy po śmierci owych panów pozostawali bojarami, którzy sobie kupili bojarstwo (więc był popęd już szlachecki na Litwie, ku równości polskiéj) tracą prawo, którego podstępnie nabyli; urząd, rewizorowie i jeometrowie mieli tego dopilnować, żeby tacy samozwańcy szlachta, płacili czynsz od włóki na równi z innemi włościanami dóbr ekonomicznych, „a jeżeli komu, mówi król, oprócz gramoty na szlachectwo otrzymanéj od starostów, dany był nasz potwierdzający przywiléj, sprawę tę wnieść przed nas, do naszego rozporządzenia. Zresztą gdyby i te osoby, które rewizor ma obrócić napowrót na włościan, pokazały przywileje panów starostów żmudzkich, i to przedstawić nam należy do wyroku, a my dopiéro przekonawszy się jakiém prawem zyskał ktoś przywiléj szlachecki, czy bojarski, ostatecznie rozsądzim.“ Tutaj więc Zygmunt August, któ-

ry ciągle mnożył szlachtę, jest jakoś wstrzemięźliwszy. Czyby tu nie było jakich miejscowych trudności, jakich małych intryg, któreby nam rzecz bliżéj wyjaśniły?

Dział trzeci zawiera dzieje Ukrainy.

Dzieje Ukrainy i w ogóle Rusi polskiéj, są tak piękne, jak najpiękniejszy romans. Kto policzy pulsa tego bujnego życia, które się raz-wraz zrywało, raz-wraz nowemi płomieniami buchało? Nieszczęście chciało, że Polska poróżniła się z Rusią i że z tego powodu rozpoczęły się wojny krwawe, które blizko półtora wieku toczyły się z wielką zaciętością. Ale te walki i boje zrobiły to, że ziemia ruska przesiąkła na wskroś historycznością. W Polsce szlachta w przechodzie swoim po ziemi, rozrzucała milionami pamiątki i wspomnienia:—tutaj wojny. W Polsce szlachta działała, a było jéj mnogo: tutaj lud, bo szlachty było mało, sami wielcy panowie; bo jak widzieliśmy, generacya ich znikała już za Batorego, za Zygmunta Szweda. Tutaj na Rusi każdy pan był udzielnym prawie władcą, chociaż się i późniéj namnożyło szlachty, jednakże nic to w porównaniu z mnogością szlachty w Polsce; do tego szlachta na Rusi była z Rusi, więc zawsze odrębną miała cechę od czysto-polskiéj, zawsze spoglądała na dawne domy pańskie i wyrabiała się na panów. Najhistoryczniejsze, najbogatsze, najwięcéj mające wpływu rodziny polskie (są to przymioty stanowiące gdzieindziéj arystokracyą, ale nie w dawnéj Rzplitéj), rodziny te urosły w pierze na Rusi, zastąpiły owéj krainie wygasłe rody książąt Ostrogskich, Zasławskich i Wiszniowieckich. Otóż to przyczyna, dlaczego lud znaczył każde swoje klęski, nieszczęścia, zwycięztwa i nadzieje, jak szlachta w Polsce wspomnieniami. Z całego ludu polskiego, żył tylko jeden lud życiem politycznem, to lud ruski. A ludu tego moc była, więcéj jeszcze, jak całéj szlachty w Rzplitéj. Otóż jeżeli w Polsce każda wieś jest historyczną, jeżeli o każdéj da się coś powiedzieć, na Rusi cała ziemia nasiąkła krwią i pieśnią: tam nieledwie krzak każdy, każda mogiła, horodyszcze, uroczysko, jar, każdy gościniec, ma swoje wspomnienia. Trudno ziemi historyczniejszéj jak Ukraina, jak Wołyń i Podole. Dokładna geografia historyczna tych ziem t. j. rodzaj, urywek szerzéj pomyślanéj jeszcze jak nasza Starożytnéj Polski, mogłaby zostać dziełem kolosalném: to jedno dzieło mogłoby wypełnić całe i pełne poświęcenie się dla nauki życie.

Jużeśmy nad tém nieraz myśleli, czemu ziemia tak bogata wspomnieniami, tak świetna swoim kolorytem historycznym, dotąd nie natchnęła historyka? Ta ziemia nie znalazła nawet archeologa, któryby zimnym rozsądkiem rozkochał się w niéj, cudy jéj spisywał. Wszystkie inne części dawnéj Polski mogą się pochlubić większą albo mniejszą liczbą, zdolniejszych i mniéj

zdolnych historyków i badaczy; zdaje się, że dzisiaj nawet w okolicy nie ma jednego województwa, któreby na siebie uwagi ciekawych nie ściągało, a Ruś, a Ukraina odłogiem leży! Na historyą téj części kraju jużto w ogóle jakieś zaklęcie padło! Kiedy gdzieindziéj raz-wraz dzieła inne pojawiają się, to o dawnych kijowskich książętach, to o Małéj Rusi, to zbierają starożytności Zaporoża, to Smoleńska: w naszéj literaturze nikt na tém polu nie pracował, a ledwie kilku, czterech, pięciu z innych stron badaczy, pojmuje stosunek wzajemnych do siebie, różnych narodowości dawnych, w jednéj Rzplitéj Zygmuntowskiéj.

Złotem kapie historya Rusi, a jednak literaci nasi nie widzą tego. Niejednemu z nich marzą się sanskryckie wyrazy, indyjskie bałwochwalstwa, a żaden około siebie spojrzéć nie chce. Szukają bogów swych za granicą, a nie widzą cudów pod nogami. Jeden Padalica zaczął spisywać pamiętniki téj krainy w formie podróży po kraju; będzie to książka, ile się spodziewamy, bardzo ciekawa. O! gdyby mi Bóg dał się urodzić synem Ukrainy, nigdy, nigdy w życiu nieprzeszedłbym granic téj ziemi, nie wyszedłbym krokiem poza jéj kurhany i mogiły, poza jéj futory i sioła, poza jéj cerkwie i kościoły. Latałbym wiecznie i bujał nad Ukrainą i spisywałbym kartki cudne jéj dziejów.

Z wydanych tutaj materyałów, widzimy, jak się dzień za dniem zmieniała fizyognomia Rzplitéj, zwrócona ku Rusi. Te listy, które tutaj wydrukowane, są naturalnie najmniejszą może cząsteczką onych listów z obozu i do obozu pisanych, które w swoim czasie obiegały jednę i drugą rodzinę, województwo, może prowincyą. Boć takie rzeczy, szczegóły zwycięstw albo klęsk, żywo obchodziły szlacheckí ogół Rzplitéj. A jednak z téj najmniejszéj może cząsteczki, upatrujem więcéj oblicza historyi, jak z wielu książek na seryo i na zimno pisanych; co mówim? porównywać żadnéj książki drukowanéj, znanéj już z tym opisem, jaki te karty dają, nie można. Naturalnie opis ten jeszcze in potentia: czytelnikowi tylko jasno rysują się obrazy ludzi i wypadków, czytelnikowi, który ujmuje te obrazy pamięcią i wyobraźnią; redakcyi tutaj nie ma, więc nie każdego czytelnika zajmą te obrazy, ale jakiżto cudny, jakiż lepki materyał! Cóżby to było, żeby listów takich cały ogrom zebrać, boć tutaj ich ledwie kilkaset. Tam tylko historya godna jest swego nazwiska, gdzie postępowo, kolejno, jak się rozwijały w naturze, rozwija i wyprowadza na jaśnią wypadki. Życie ludzkie, to splot obawy, nadziei, nieszczęść i pomyślności. Nie da nam biografia ta wizerunku męża, która nie zastanowi się nad jego sposobem myślenia, który naturalnie dziś mógł być taki, jutro inny według okoliczności; nie da nam historya biografii narodu, kiedy jednę stronę obrazu okazuje, kiedy nie daje tego zmien-

nego, ciągle malującego się sposobu myślenia Rplitéj. Człowiek i naród każdy ma swoje posłannictwo, ma drogę wytkniętą przed sobą: ogólny wię charakter żywota i człowieka i narodu, wyraża się tak jak wyrazić się ma w historyi, ale środki do działania użyte, mogą być dziś, jutro, inne. Żyjemy, toć sami wiemy, jak codzień prawie inaczéj myślim o tém i owém: dziś się gniewamy na to, z czego się jutro cieszymy. Powiedział już poeta: „chcąc mnie sądzić, nie zemną trzeba być, lecz we mnie.“ Otóż w biografii narodu i człowieka, nie o to dbać należy, żeby notować wypadki i zdarzenia: człowiek wyjechał tu a tu, naród odniósł zwycięztwo takie a takie, postanowił prawo takie i takie; ale trzeba być zawsze razem z człowiekiem i z narodem, żeby śledzić każdy ruch jego i oblicze, każde usposobienie chwili. Wtedy dopiéro napiszem dobry życiorys człowieka i dobrą historyą narodu, nie kiedyindziéj.

Materyały Swidzińskiego są właśnie takim poufnym sekretarzem chwili i pełnią, że tak się wyrazim, obowiązki samego księdza Kitowicza, który w danym czasie notował wszystko co tylko godne było uwagi, i co tylko w życiu społeczeństwa polskiego zmieniało się na gorsze czy na lepsze. Są to jakby gazety, które powoli rozwijają cudną grę wypadków. Wlatuje naprzód słaba wieść o klęsce np.: oto trwoga w oddalonych województwach, nowy list nadchodzi i potwierdza wiadomość dawniejszą, niepewność większa, obawa rośnie, a wtém zlatują na głowę pioruny, i listy nowe podają najdrobniejsze szczegóły klęski pilawieckiéj. Inną razą znowu wieść skłamała: późniejsze doniesienia i listy przekonywają, że było inaczéj, i powraca jakaś w serce otucha. Poczęści wolim nawet takie materyały, jak historyą pragmatyczną, umiejętnie z takich np. materyałów jak są tutaj, spisaną; historyą, któraby podług naszych wymagań odbijała przelotne usposobienie każdéj chwili: bo w historyi zawsze opowiadanie, a tutaj w materyałach tych widzimy cały proces odbywającego się i przeżywającego żywota. Kiedy w opowiadaniu jest historya nieujęta ściśle w kluby chronologiczne dnia i miesiąca, tutaj razem i chronologia i co chwila mimolotne obrazy pochwycone za żywa, wciągnięte do kroniki. Jak tutaj przedstawiony jest w materyałach żywot Rzplitéj w pewnéj danéj chwili, tak historyk wszystkie odcienia uczuć i usposobień, położeń, przyczyn i skutków, notować musi, żeby nieraz dać rys wybranéj przez siebie epoki. Ale położenia wracają, przyczyny i skutki często są też same, uczucia i usposobienia dziś są takie, jutro inne, a pojutrze znowu takie jak były kiedyś. Historyk chcąc być za wiernym, byłby za nieznośny, powtarzałby się ciągle, musiałby każdego dnia skreślać historyą wrażeń, które znowu w każdém miejscu mogą być rozmaite. Jestto zapewne sztuka wystawić jak należy wszystką przeszłość, jéj nadzieje i obawy; ale hi-

storyk plastyczny dlatego że opowiada, musi wybierać pewne miejsca, pewne usposobienia, musi do głównych siedlisk życia stosować swoje opowiadanie. Nudziłby np. gdyby rozpowiadał osobno jak np. w Warszawie, jak w Wilnie, jak w Poznaniu, w Krakowie, w Mohylowie, we Lwowie, w Lublinie i t. d. wrażenie sprawiła ta lub owa klęska, ten lub ów skutek. Materyały pod tym względem doskonałe są: historya tylko streszczeniem ich będzie. A takie jeszcze materyały, jakie napotykamy tutaj!

Za daną sposobnością przymówim się i o żywoty znakomitych mężów. Dotąd pisano je u nas bez najmniejszego pojęcia warunków zadania: podawano szczegóły, że tak powiemy zewnętrzne o ludziach, a nie wnikano w głąb duszy, nie charakteryzowano historycznych postaci. Żeby znać żyjącego z nami człowieka, potrzeba z nim zjeść beczkę soli; tak też żeby poznać wielkiego męża przeszłości, potrzeba z nim ciągle przestawać, potrzeba być spowiednikiem jego duszy. Czasem i życiorysy spółczesnych nam wielkości, piszemy zewnętrznie, to jest piszemy to, cośmy o nim słyszeli, cośmysami zdaleka widzieli. Rysunek zawsze będzie napół prawdziwy, napół w cieniach i w barwie. Człowiek każdy zmienia się codzień: jeżeli już w sobie wyrobił charakter, ogólne cechy charakteru pozostaną w nim nazawsze, na całe życie; np. kto idzie za głosem powinności swych a z przekonania, będzie zawsze zacnym; kto się ubiega za widokami doczesnemi, będzie zawsze płaszczącym się, uginającym (nie wchodzim tutaj w delikatniejsze odcienia), ale choć ogólne rysy pozostaną też same; dziś dany człowiek może tak, jutro może mówić inaczéj. Nie rozumiemy wyrzutów robionych ludziom politycznym, że np. zmienili zdanie w pewnéj kwestyi. Właśnie ta zmiana wyobrażeń o danéj rzeczy dowodzi, że myślą, że działają, że biorą sumiennie rzecz do serca; człowiek który nie zmienia się nigdy, jest uprzedzony i przesądny (nie mówim tutaj znowu o intrygantach, którzy robią wszystko dla siebie, ale zawsze o ludziach charakteru, o ludziach zacnych). Sądzim zatém, że jak każdy pojedynczy człowiek powinien mieć jednego spowiednika, żeby go znał doskonale i wyleczył z cierpień duszy; że jak każdy powinien mieć jednego swojego lekarza, któryby go znał doskonale i dlatego znalazł zawsze stosowne lekarstwo na cierpienia ciała; tak biografem historycznéj postaci może być tylko człowiek, który zostawał w bliskich stosunkach z tą postacią, który ją znał, kochał, który ją za jéj życia studiował. Tak Zamojskiego biografem mógł być Heidensztein, tak każdy może być biografem siebie. Biograf winien być koniecznie spowiednikiem, charakter osoby znać, roboty jéj znać, tajemne pomyślenia jéj znać, marzenia jéj znać, powinien usposobienie chwilowe jéj znać, a wtedy da nam obraz nie zewnętrznego, które się odbiło w pewnych widocznych faktach, ale wewnętrznego żywota, walki serca i du-

szy, walki natury zwierzęcéj i szlachetnéj człowieka, da zasoby, zasługi, zasługę samą, da nam wtedy człowieka.

Tak samo widzimy historyą kraju, tak samo dzieje pojedyńczego człowieka. Takie pojedyncze materyały jak te, o których mówim, dadzą nam jedno i drugie. Takie nawet materyały, jak powiedzieliśmy, przekładamy w pewnéj mierze nad pragmatyczną historyą. To co pragmatycznie zyskują dzieje w sztuce opowiadania, to w materyałach zyskują na dokładności: samo powtarzanie się wypadku w materyałach przedstawionego, dziś tak, jutro inaczéj, jak wieści niosą, sama zmiana jego fizyonomii, wystawia nam walkę żywota, którą mamy przed oczami, któréj dotykać się nam wolno. Boć w życiu co chwila to insze wieści, insze usposobienia chwilowe. Największa dokładność przeszłości jest tylko w materyałach in crudo.

Jakież tutaj np. cudne występują charaktery! Widzim historyczne postaci w nowém świetle, tak jak ich dotąd nigdy nie oglądaliśmy. Summa tych charakterów stanowi charakter zbiorowy epoki, charakter dziejów Rzplitéj na Rusi. Postaci zkądinąd głośne, znakomite, zdaje się na wskroś już znane, jakżeż to inne od postaci konwencyonalnych, dotychczasowych! Ten znakomity Kisiel wojewoda kijowski, o którym tyle już naczytaliśmy się, jakże tutaj piękny! Ten człowiek prawie przyszłość Rzplitéj trzyma na barkach swoich. Wysłany od niéj do Chmielnickiego, chce wstrzymać postęp wojny domowéj, chce żeby tryumfowało prawo ojczyzny, krząta się też jak nikt więcéj. Jego listy krzyżują się w różne strony: to do Warszawy do prymasa, który jest w bezkrólewiu panem losów Rzplitéj, to do starszyzny powstania. Jak on rozprawia o powinnościach dla kraju, o szlachetczyznie, o rządzie Rzplitéj. Rusin i szlachcic jak umié patrzéć z właściwego stanowiska na to co się dzieje na Rusi i jak szlachetny! Sam w Rzplitéj dyssydent, jak nauczył się w Polsce z dawnych przykładów być tolerantem względem wszystkich wyznań, jak nawet w swoich spółziomkach widzi nadużycie, jak ich napomina i przestrzega! Śliczny charakter, a takie charaktery rodzić mogła tylko Polska, która była mozajką narodów i wiar, a więc różnych i różnych bardzo interesów. Nasz szlachecki żywot mógł tylko wyradzać takie jak Kisiela charaktery, co to potrafią żyć w zgodzie z każdym, na tę i na ową stronę się nie przechylą, a łagodzą zapał jednych, zapałem swoim podnosząc drugich, tak, żeby wszystko było w ładzie i zgodzie, żeby wszystko kochało się i do jednego celu dążyło. Przyjemnie jest widzieć taką postać jak Kisiela i to w czasach już tak wielkiego zepsucia, jakiemi były czasy Jana Kazimierza! To dowód tylko, że nie wystygła do szczętu staropolska cnota za ostatniego Wazy, i że za niego nawet mieliśmy wielkich ludzi z czasów złotych panowania dwóch Zy-

gmuntów Jagiellońskich. Kisiel wszystko kładł na ołtarz dobra ogólnego: majątek, zdrowie i życie. Nie umiemy szukać w przeszłości naszéj, bo jéj dobrze jeszcze nie znamy, bo się teraz dopiéro w niéj z większém zajęciem rozpatrywać się lubim. Więc nikt np. nie wpadł na myśl, żeby napisać biografią Kisiela. Dotąd przedmiotem poszukiwań i prac byli po większéj części jedni i ci sami ludzie, Żołkiewscy, Zamojscy, Chodkiewicze, Czarniecki, o których nawet baba kościelna pod szpitalem słyszała; ztąd oklepane wciąż prawią się baje, jedno i jedno, aż do znudzenia, a tymczasem tysiące ludzi zasługuje u nas na studia, na biografią (1). Każdy szlachcic który w historyi odbił się, wart biografii, a cóż dopiéro Kisiel, osoba tak znakomita, jedna z najwięcéj bijących w oczy postaci z historyi swego wieku! Studyując takich ludzi, uczylibyśmy się dopiéro sztuki życia, gdybyśmy wciąż przed oczami mieli przykłady, co i jak kto zrobił, czém i jak się brał do rzeczy, jakie skutki, to lub owo postępowanie wywołało. Dzieje dyplomacyi polskiéj, dzieje cywilizacyi, bez takich studyów niepodobne.

Polska będąc jedyném państwem takiéj natury jak była, musiała wyrobić sobie odrębną, swoję własną, narodową politykę. Listy Kisiela w zbiorze kijowskim umieszczone, objaśniają tę politykę, jakiéj się trzymać należało wewnątrz z całą dokładnością. Jest ich tutaj dosyć. Nie było dotąd w spisach autorów polskich Kisiela: te listy nadają mu prawo być wpisanym na listę pisarzy politycznych. Upominaliśmy się o to w artykule o przedruku słownika Lindego, upominamy się i teraz. Kisiel stanowi bogate źródło historyi i jest pisarzem politycznym. Biografia jego teraz dopiéro możebna i konieczna.

(1) Ten sam fakt w malarstwie historycznem polskiém. Niedawno Tadeusz Padalica w jednej z gawęd swoich o tem i owém pisanych do Dziennika Warszawskiego (nr. 69. 1855) ubolewał nad obojętnością sztuki naszéj dla historyi narodowej. Padalica mówiąc o malowidle Ludwika Straszyńskiego, wyobrażającém zamordowanie faworyta Włocha, pięknéj i nieszczęśliwéj Maryi Sztuart, o malowidle, które było podziwiane na tegorocznych kontraktach kijowskich, przyznał, że obraz zachwycał pomysłem i wykonaniem, „śliczny to pendzel i dużo tam myśli"; ale korrespondent Dziennika zaraz przyniówił sztuce, patrząc na takie tematа, i powiada: „zawsze nam przychodzi myśl poskarżenia się na artystę, czemu nie studyuje historyi własnego kraju i nie bierze z niej epizodów, a szuka już obrobionych i zużytych gdzieś u obcych? I my i artysta bylibyśmy z prac takich zadowoleni zupełnie: raz dlatego, że to nasze, wtóre że taki obraz kupionoby prędzéj."

Nad czém tutaj szan. korrespondent Dziennika ubolewał w swojém miejscu, nad tém ubolewaliśmy zawsze. Artyści nasi, oprócz jednego Lessera, choć malują historyczne obrazy polskie, nie studyują wcale historyi. Ztąd nawet nie umieją wybrać sobie przedmiotu godnego ich pendzla, bo gdzie mają szukać tego przedmiotu? Myśl od niechcenia nie przyjdzie; trzeba popracować nad sobą, żeby ta myśl przyszła, żeby obraz sam się nawinął na oczy. Znając zaledwie kilka, kilkanaście faktów, zaledwie kilka, kilkanaście osób z przeszłości, ciągle około nich krążą i jeden drugiego powtarza, jeden temat przerabiają

Nawiasem wspomnimy, że wojewoda kijowski miał dziedziczne wioski w Kijowskiém, Nowosiółki i Mostyszcze, z których teraz pisze swoje artykuły jeden z kijowskich literatów do pism warszawskich. Miał jeszcze i wieś Huszczę, którą mu Chmielnicki spalił.

Historya pierwotnych wojen Chmielnickiego z Rzplitą jest tutaj bardzo szczegółowa. Już nie bitwy, ale małe potyczki podjazdowe i boje liczyć możemy. Jeżeli się zdarzy oblężenie jakie, dzień za dniem mamy coś o postępie roboty z jednéj i drugiéj strony. Dotąd liczne powiastki o tych wielkich bojach, które dla Rzplitéj nową zwiastowały erę, niebędące z sobą w związku widocznym, łączą się z sobą i ciągną jeden nierozerwany niczém szereg obrazów. Żółte-wody, Korsuń, Pilawce, Zbaraż, Białacerkiew, brzmiące i sławne wyrazy. Teraz między jednym a drugim ustępem, między Żółtemi-wodami a Korsuniem, mamy całe morze wypadków. Istne homeryczne boje w których wodze ścierały się z wodzami. Ten Chmielnicki jaki tutaj wybitny! Te chmary ludu co za nim się wleką, te wataszki, te Krzywonosy, cóżto za obrazy? Pospolite ruszenie szlachty zdaje się że zgniecie całą siłę zbuntowanego ludu, bo choć Ukraina buntem płonie, choć palą się wioski i miasta, ale hetmany, koronne wojska i szlachta, to nie są rzeczy któremi pogardzać. Pod Pilawcami szlachta najpewniejsza najświetniejszego zwycięztwa, uciera się dzień i drugi, już tryumfuje i nagły popłoch schwycił tłumy, wszystko pobiegło ku Bugowi, ku dalszéj Polsce. Z pilawieckiego łupu Ukraina pełna; najwię-

wiecznie jak Penelopa siatkę. Ileto już razy np. Czarniecki, Sobieski, Zamojski w różnych pozycyach, i z buławą i bez buławy, i konno i pieszo, nad rzeką i w komnacie, byli przedmiotem pendzla! To znudzi wreszcie, wszystko co oklepane to znudzi. Artyści nasi mają w ogóle ten przywilej, że obudzają pewną ckliwość w ludziach nieobojętnych zkądinąd na rozwój sztuki u nas. A przedmiotów tymczasem tysiące, miliony, aby tylko była ochota szukać, a szukając uczyć się samemu. Gdyby się znali na rzeczy, cóżby to za treść u nich była, co za obrazy! Komu Bóg dał talent do malarstwa, więc cóż za sztuka, że wystawi np. jakiego hetmana w bitwie: będą tam i hussarze, i pancerni, i działa, i proch obozowy, i Polacy i Szwedzi nieprzyjaciele: tu szable, tam strzały i gonitwa i ucieczka; będzie wszystko piękne, efektowe i zbroje zrysowane z natury i ubiory, ale nie będzie tam pomysłu, nie będzie tam treści i przedmiotu. Bo i czemże w istocie różnić się będzie w takiém malowidle historycznem jedna bitwa od drugiéj?—w najszczęśliwszym razie portretowaniem, jeżeli będzie z czego, a zresztą pospolicie odmiennem ugrupowaniem osób i rzeczy. Jak dla powieściopisarstwa historycznego, tak dla historycznego malowidła u nas nigdy nie zbraknie materyału. To też Lesser jeden, ale tylko jeden, umie zdobyć się na rozmaitość, i co chwila nowe widoki stawia nam przed oczy. I mówią: że u nas sztuka narodowa. Gdzie dowód, fakt, że tak jest? Sztuka u nas może będzie narodową, ale jest dotąd zupełnie kosmopolityczna. Figury narodowe nie stanowią narodowości sztuki, jak nasi poeci przed 1820 rokiem, biorąc przedmioty ojczyste za temat, nie byli narodowemi wieszczami.

céj drogich sprzętów Moskwa po targach w miastach skupuje. Po talarze dla niéj sprzedawano srebrne talerze. Jeden mieszczanin kijowski u kozaka kupił wór srebra, co chłop tylko mógł zanieść, za sto talarów. Kuśnierka jedna w Zwiachlu częstowała gości swoich na stole srebrem zasłanémi wściekała się jeszcze na Chmielnickiego, że „nie tak splendide żyje koli Boh dał wszeho mnoho.“ Koni po szlachcie była taka moc, że żywić ich czém kozacy nie mieli. Pilawce straszną były klęską, a mogły być straszném zwycięztwem.

Obraz ten zaburzonéj Ukrainy jest prześliczny: tak prześliczny, że wywołuje gwałtem talenta, i nie wątpimy, że ktoś nam lada chwila napisze dzieje téj kozackiéj wojny za Chmielnickiego. Materyałów drukowanych już mamy wiele, bardzo wiele: Kochowski, Grądzki, Rudawski, i t. d. Ale to ani w porównanie nawet nie idzie z nowemi nabytkami nauki. W pamiętnikach Bogusława Maszkiewicza, mamy początki téj wojny, a raczéj udział w niéj księcia Jeremiego Wiśniowieckiego. Raczyński wydał także ciekawy pamiętnik o téj wojnie bezimiennego. Jerlicz pisał i notował szczegóły, a przynajmniéj stosunki szlachty ruskiéj, która już po większéj części stawała w tym boju ze strony Rzplitéj, objaśnia. Mamy teraz akta komissyi kijowskiéj, a nie możem też nie wspomnieć o zasługach Michała Grabowskiego na tém polu. Czytaliśmy jego artykuł, nie pamiętamy dobrze tytułu, zdaje się że podróż nad brzegami Rosi czy coś podobnego. Znaleźliśmy tam ważne skazówki strategiczne tych wojen, wyraźnie wskazany szlak Chmielnickiego, i ztąd prześliczny, który nam utkwił w pamięci, obraz klęski Potockiego pod Korsuniem. Z tych materyałów dałby się już złożyć szereg najprzecudniejszych obrazów: każda stronnica opisu téj wojny zasługiwałaby na pendzel i malowidło. Wewnętrzne tam życie Rusi Chmielnickiego, jakie zasłona tajemnicy z niego zdarła. Znamy hetmana teraz na wylot, charakter jego i politykę jak na dłoni. Wiemy jakich środków używał, żeby lud sfanatyzować, a rządził też w Ukrainie Chmielnicki żelazną ręką; w materyałach kijowskich często napotykamy tego ślady. W jedném miejscu lud leciał za nim na oślep, w drugim go przeklinał. Była to koliszczyzna dla szlachty. Chmielnicki występował jak udzielny pan, książę niepodległy. Dziwny rys cywilizacyi: i szlachta pińska pod przewodnictwem swego marszałka Jelskiego, poddała się mu jako panu; na warunkach jakich uznawała króla, uznała i władzę Chmielnickiego. Ale hetman stworzony był na to tylko, żeby kłócić. Wojna była w powietrzu, musiała być, ale wywołują ją wkroczenie Potockiego w głębszą Ukrainę i pochód jego nad Dnieprem. Chmielnicki sam zaś późno się dowiedział o śmierci króla Władysława, kiedy jeszcze 2 lipca pisał list do niego.

Wojny te wiele charakterów na widownią wyprowadziły, każdy wojujący na własną rękę szlachcic wart życiorysu, bo epizod bohaterski stanowi. Każdy szlachcic wart malowidła. Ruszają się tu i owdzie pułki, regimenta, oddziały zbrojne, biją się, zwyciężają, cofają. To czysta historya miejscowa, historya prowincyi, jednego województwa, stosunków sąsiedzkich, jednéj oderwanéj ziemi. Niejedna postać szersze około siebie zakreśla koło, jak Krzysztof Tyszkiewicz, jak Wincenty Gąsiewski: wszystko przeciekawe i ważne.

Zamyka cały ten czas Wyhowski i jego polityka. Ten hetman wystąpił z pośrednictwem. Nie był wodzem wielkim, ale zdolności dyplomatyczne nierównie wyższe miał od Chmielnickiego. Wyhowski mógł tę sprawę z Rzplitą pogodzić, pokazywał po sobie dużo bezinteresowności i miał silne stronnictwo. Ale mu dokończyć wielkiego dzieła nieprzyjaciele osobiści nie dali. Wyhowski usamowalnia Ruś, do sojuszu dwóch narodów w Rzplitéj, polskiego i litewskiego, dorzucał trzeci ruski naród, dotąd na połowę pomiędzy Litwę i Polskę, jak prowincya przedzielony. Myśl Wyhowskiego nie była marzeniem. Mamy dowody, które późniéj rozwiniemy w dziejach cywilizacyi narodu, że myśl się przyjęła. Urzędy ruskie wielkie, oddzielne obok litewskich i koronnych powstawały: mianował król już dygnitarzy ruskich, generałów artyleryi, instygatorów i t. d. Oprócz zebranych faktów zkądinąd, mamy i z wydania kijowskiego poszlaki, że ukształcała się na sposób koronny trzecia oddzielna narodowość ruska i wchodziła w skład Rzplitéj jako trzeci pierwiastek. Tylko z biskupami najgorzéj było, bo senat ich nie przyjmował. W Rycerzu Lizdejce Rzewuski przesadził, malując już Ruś zupełnie uorganizowaną, udając fakt cały za wykonany już bezpowrotnie: bo następne wypadki pokazały, że razem z Wyhowskim myśl się skończyła, nienawiści odżyły, klęski posypały się na nowo gradem na Rzplitą polską.

W aktach kijowskich mamy jeszcze śmierć Wyhowskiego, mamy roboty Nosacza, Tetery i Doroszenki, ale na tém i koniec.

Nigdy dosyć podziękować nie można panu Swidzińskiemu, że te drogie materyały wydarł zapomnieniu. W wydaniu kommissyi, znajduje się obok oryginałów polskich, u dołu tłumaczenie rossyjskie; ale kazał osobno też odbijać pan Swidziński sam text, czysto polski: szkoda, że tylko dopiéro od trzeciego tomu, ale i tak jednak spora zrobiła się książka. Kiedy wydanie aktów i daléj ciągnąć się będzie, wydanie czysto polskie naturalnie przez to powiększy się, tylko żałujem, że podobno nie będzie w handlu, przez co nie rozpowszechni się tyle, ileby tego warte było. Naturalnie sądzić należy, że cały nakład pójdzie na podarunki dla uczonych, zajmujących się historyą.

D. 5 marca 1855 r. *Julian Bartoszewicz.*

ROZMAITOŚCI.

Ludowe przypowieści gospodarstwa wiejskiego.

Z przyjemnością przychodzi mi zdać sprawę o dziełku, które r. b. wyszło w Berlinie, i nosi tytuł: *Die Haus und Feldweisheit des Landwirths—Die Kalendernamen, Bauernregeln, Sprichwoerter u. s. w. in landwirthschaftlicher Beziehung. Bearbeitet von Theodor Boebel.* Format téj książki w 8ce mniejszéj, oprócz krótkiéj przemowy, zawiera stronnic liczbowanych 147.

Z niemałém podziwieniem i radością postrzegam w układzie też same prawie działy, jakie i ja poczyniłem w zbiorze moim przysłów i przypowieści. Działy te są następujące: 1. *Kalendarz.* Przechodzi tu autor miesiącami, zamieszczając pod każdym z nich przysłowia do różnych świętych odnoszące się. 2. Święta uroczyste. 3. Od miesięcy. 4. Od pór roku. 5. Prawidła *(Regeln)* co do stanu powietrza, urodzajności, i t. p. 6. Dotyczące się zmian księżyca. 7. Prawidła pod względem uprawy roślin, natury ziemi, uprawy roli. 8. Ogólne domowe prawidła i przysłowia.

Nagromadzone tu przysłowia i postrzeżenia gospodarskie, dotyczą się li tylko królestwa pruskiego, czyli, że uzbierane zostały w samych posiadłościach tegoż państwa. Obok każdego wyrzeczenia wymieniona jest prowincya, a nawet i powiaty, w których toż przysłowie przechowuje się w ustach ludu. Pod trzema pierwszemi działami mieszczą się i przypowieści w narzeczu Mazurów *(Masuren)*, tojest téj części Prus Wschodnich, gdzie ludność używa mowy polskiéj; lecz język i pisownia tak niemiłosiernie są pokaleczone, iż gdyby nie było przekładu niemieckiego, trudnoby zrozumieć przyszło, zwłaszcza, że i prowincyalizmy stają na zawadzie. Mimo wszakże dykcyi niemieckiéj, niezrozumiała mi jest apostrofa do św. Wawrzyńca, przypadającego w dniu 10 sierpnia: Wawrzyńca! chłopi do *ciemca! (An Laurentius, man pfluegen muss).* W słowniku Lindego ciemiec, cymiec, znaczy zamesz: poczém przywodzi nasz lexykograf przykład: siodło ma być miękkim ciemcem obszyte. Gdyby nawet wyraz ten w przenośném znaczeniu wzięty był za siodło, cóż ma ono za związek z uprawą roli, czyli z orką? Czy nie będzie to raczéj: chłopi do cielca!—to jest: bierzcie się do ciołków, do wołów, wprzągajcie je do pługów.

Przypowieści mazurskich w tym zbiorze szczupły jest poczet w porównaniu z niemieckiemi, a wszelakoż znalazłem przeszło dwadzieścia zupełnie mi nieznanych. Przytoczę tu z nich niektóre: Na Gromnicę, łataj sobie rękawice.—Na świętego Maciejca: zniesie gęś pierwsze jejca.—Deszcz świętego Jana obiecuje mokre żniwa.—Idzi! siać wyjdzi!—Gdy o Matce Bożéj bywa siano: to ani zapóźno, ani za rano. (ósmego września).—Mateusza, dosieusza. (T. j. ma już być dosiane 21 września).—Świętego Marcina! stary do komina.—W niedzielę Kwietną dzień jasny: jestto dla lata znak krasny.—Gdy w Adwencie sadź na drzewie się pokazuje: to rok urodzajny nam zwiastuje.—Kiedy kot w lutym na słonku się grzeje, musi w marcu zajść na przypiecek.—Marzec rzekł do lutego: gdybym miał tak mocy wiele, tobym zmroził w krowie cielę.—Suchy marcek, mokry kwiecień, maja czasy zimne: czynią stodoły, sklepy i szopy pełne.—Gdy się w maju pszczoły roją: takie roje w wielkiéj cenie stoją.—Grzmoty czerwca: rozweselają rolnika serca.—Czego sierpień nie uwarzy: wrzesień tego nie upiecze.—Suchy grudzień: sucha wiosna i suche lato.

Ciekawy jestem, czyli wzmiankowane przysłowia i prawidła znane są gospodarzom wiejskim w obrębie królestwa polskiego osiadłym; być może, że powtarzają je przyległe okolice Prusom Wschodnim, gdyż co się nas dotyczy, jako odleglejsze strony zamieszkujących, głucho o nich. Kilka wszakże z przywiedzionych tu przysłów, mają blizkie powinowactwo z naszemi, lecz ich wysłowienie, zwroty, i że tak rzekę budowa, noszą odrębną całkiem cechę, rodzinne gniazdo znamienującą.

Tymoteusz Lipiński.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Wyczytawszy w Bibliotece Warszawskiéj na miesiąc grudzień 1854, stron. 591, *Kilka słów o obliczaniu miąższości drzewa* przez p. K. Szumlańskiego zamieszczone, i mając właśnie pod ręką zeszyt pisma: „Archiv der Mathematik und Physik 22. Th. S. 343", w którém p. prof. Grunert w téj saméj materyi artykuł pisze; uważałem, iż wzór przez tego ostatniego podany, lubo nie dokładniejszy, wszelako do ułożenia go w tablice daleko jest łatwiejszy. Z tego powodu, tak w interesie sprzedających i kupujących drzewo, jako téż leśniczych, aby im ulżyć zachodu w obliczaniu miąższości sprzedawanego drzewa, pośpieszam z udzieleniem Bibliotece wspomnionego wzoru.

Uważając sztukę drzewa jako ostrokrąg równolegle do podstawy ścięty i nazywając promień w grubszym końcu przez P, a w cieńszym przez p, wysokość zaś tegoż ostrokręgu czyli długość drzewa przez n, a jego miąższość przez O, wiadomo, że bryłowatość takiego ostrokręgu wyraża się przez

$$O = \tfrac{1}{3}\pi n\,(P^2 + p^2 + Pp).$$

Ponieważ $P^2 + p^2 + Pp = (P+p)^2 - Pp,$

tudzież $P^2 + p^2 + Pp = (P-p)^2 + 3Pp;$

zatém $O = \tfrac{1}{3}\pi n[(P+p)^2 - Pp]$

albo $3O = \tfrac{1}{3}\pi n[3(P+p)^2 - 3Pp],$

tudzież $O = \tfrac{1}{3}\pi n[(P-p)^2 + 3Pp].$

Zkąd przez dodanie tych dwóch wyrażeń wypada

$$4O = \tfrac{1}{3}\pi n[3(P+p)^2 + (P-p)^2],$$

a nareszcie

$$O = \tfrac{1}{4}\pi n(P+p)^2 + \tfrac{1}{12}\pi n(P-p)^2.$$

Ponieważ
$\pi n(P+p)^2$= bryłow. walca, którego promień podstawy=P+p, a wysok. n,
$\pi n(P-p)^2$= " " " " =P−p, " n,

przeto położywszy

$$\pi n(P+p)^2 = W_{P+p},\quad \pi n(P-p)^2 = W_{P-p},$$

otrzymamy Grunerta wyrażenie bryłowatości ostrokręgu ściętego:

$$O = \tfrac{1}{4}W_{P+p} + \tfrac{1}{12}W_{P-p}.$$

Stosując ten wzór do obliczenia miąższości drzewa, widzimy, że tylko potrzeba ułożyć w tablice objętości walców dla różnych podstaw, a reszta już się bez trudności uskutecznia. Ten wzór służyć także może do obrachowania objętości kadzi w browarach używanych, które miewają zwyczajnie kształt ostrokręgów ściętych.

W przypadku który głównie zatrudniał p. Szumlańskiego, sztuka drzewa 24 stóp mająca, dzieli się zwyczajnie na 4 sekcye i każdéj rachuje się miąższość z osobna, a summa wszystkich czterech sekcyj jest miąższością całéj sztuki; dlatego w powyższym wzorze przyjąć można n za stałe i=6, π=3·1415926; a że częściéj średnice niż promienie drzewa są podawane, przeto nazywając większą przez S, a mniejszą przez s, miéć będziemy miąższość kloca 6 stóp długości mającego:

$$O = 1{\cdot}178097\,(S+s)^2 + 0{\cdot}392699\,(S-s)^2,$$

jeżeli S+s i S−s są dane w stopach;

zaś $O = 0{\cdot}0081812\,(S+s)^2 + 0{\cdot}002727\,(S-s)^2,$

jeżeli S+s i S−s są dane w calach.

Miąższości w obu razach otrzymują się w stopach sześciennych.

Dla każdéj innéj długości kloca, którą oznaczmy przez d, znajdziemy:

$$O=0{\cdot}196349\,d(S+s)^2+0{\cdot}06545\,d(S-s)^2,$$

jeżeli S+s i S—s są w stopach,

a $$O=0{\cdot}0013635\,d(S+s)^2+0{\cdot}000454\,d(S-s)^2,$$

jeżeli S+s i S—s są w calach dane.

Według drugiego z powyższych dwóch wzorów rachowana miąższość browarki pod 3, str. 595, przez pana Szumlańskiego obliczona, będzie:

1	sekcya	15·130,
2	—	17·322,
3	—	22·166,
4	—	29·496.

Drugi wyraz jest prawie zawsze bardzo mały, tak, że w podobnych ostatniemu rachunkach zaniedbanym być może. Ważność jego w piérwszéj sekcyi wynosi tylko 0·003, w drugiéj 0·011, w trzeciéj i czwartéj 0·043.

Kraków,
d. 15 stycznia 1855 r.

J. K. S.

Przypis do dwóch poprzednich artykułów o obliczaniu miąższości drzewa.

W artykule, do którego się p. *J. K. S.* odnosi, pisze p. professor Grunert, że podane przez niego dwumianowe wyrażenia bryłowatości ostrokręgu równolegle do podstawy ściętego, które on ze zwyczajnych trójmianowych wyrażeń, oddzielnie dla ostrokręgu kołowego, a oddzielnie znowu dla ostrokręgu elliptycznego wyprowadza, są może już znane, ale z pewnością nie tak powszechnie, jakby na to zasługiwały. Otóż wspomnione dopiéro wyrażenia dwumianowe są już rzeczywiście w pismach dawniejszych, i to pod kształtem do każdego rodzaju podstawy zarówno się stosującym, podane. Jakoż, gdy ostrosłup lub ostrokrąg o jakiejkolwiek podstawie, przetniemy płaszczyzną do jego podstawy równoległą, i w klocu ztąd powstałym będziemy przez L i l rozumieli dwie którekolwiek linie, piérwszą na podstawie większéj, drugą zaś na podstawie mniejszéj, podług podobieństwa tychże podstaw sobie odpowiadające; gdy nadto stosunek powiérzchni podstawy większéj kloca do kwadratu z linii L oznaczymy przez c, wysokość tegoż kloca przez h, a jego bryłowatość przez O; wiadomo, że

$$O=\tfrac{1}{3}ch(L^2+Ll+l^2), \qquad (1)$$

i że z przyczyny

$$(L+l)^2 = L^2 + 2Ll + l^2,$$
$$(L-l)^2 = L^2 - 2Ll + l^2,$$

a ztąd

$$3(L+l)^2 + (L-l)^2 = 4L^2 + 4Ll + 4l^2,$$

wzór (1) wychodzi na

$$O = \tfrac{1}{4}ch(L+l)^2 + \tfrac{1}{12}ch(L-l)^2. \qquad (2)$$

Gdy w szczególności będzie chodziło o kloc ostrokręgowy, koła za podstawy mający, i gdy przez L i l zechcemy, jak pospolicie, rozumieć promienie, średnice lub okręgi rzeczonych podstaw, większéj i mniejszéj; natenczas c przywiedzie się odpowiednio do π, $\frac{1}{4}\pi$ lub do $\frac{1}{4\pi}$. Dla ostrokręgu zaś równolegle ściętego, któregoby podstawy były ellipsami, jeżeli przez L i l rozumiemy połówki wielkich lub połówki małych osi tychże ellips; liczba c, podług wiadomego wyrażenia na powiérzchnią ellipsy, przechodzi na liczbę π, pomnożoną, w piérwszym razie przez stosunek półosi małéj do półosi wielkiéj, a w drugim przeciwnie, przez stosunek półosi wielkiéj do półosi małéj, obu w jednéjże którejkolwiek podstawie wziętych.

Wiadomo też, że wzór (2) jest tylko szczególnym przypadkiem jednego z wyrażeń na objętość bryły, przez niektórych obeliskiem zwanéj; a professor Steiner, w rozprawie swojéj o tego rodzaju bryłach, 1842 r. wydanéj, namienia, że formułę (2), dla kloca ostrokręgowego o podstawach kołowych uszczególnioną, kommunikował mu w r. 1835 p. radca dworu Schweins, jako w praktyce dogodną. O wspomnioném wyrażeniu bryłowatości obelisku pisał też i sam p. professor Grunert, w wydawaném przez siebie *Archiv der Mathematik und Physik*, Theil 9, r. 1847, str. 82—87.

Trudno byłoby zresztą powiedzieć, od jak dawna wzór (2) jest znany; bo już np. Cavalieri, w *Centuria di varii problemi. In Bologna, 1639*, przytacza (*Problema* 73) ze swojéj Geometryi regułę wychodzącą na wzór

$$O = ch[Ll + \tfrac{1}{3}(L-l)^2],$$

a z którejto reguły wyprowadza następnie inną, do rachunku logarytmami dogodniejszą: oczywiście zaś, na mocy tosamości

$$Ll = \tfrac{1}{4}(L+l)^2 - \tfrac{1}{4}(L-l)^2,$$

przejście od napisanego tu wyrażenia na O, do wzoru (2), samo się prawie nastręcza. Dodajmy, że w wykładzie elementarnym nauki o wyznaczaniu bryłowatości ciał, wyprowadzanie wzoru (2) ze wzoru (1) możnaby uważać tylko wtenczas za stosowne, gdy

się dowód wzoru (1), w części odnoszącéj się do kloca ostrosłupowego o podstawach trójkątnych, wyłożyło algebraicznie; na drodze albowiem geometrycznéj, wzór (2) daje się dowieść wprost z tą samą łatwością, co i wzór (1).

Ściągając wzór (2) w szczególności do ostrokręgu ściętego o podstawach kołowych, i rozumiejąc przez L i l średnice lub obwody tychże podstaw, widzimy, że chcąc za pomocą zwyczajnéj tablicy bryłowatości walców kołowych, wysokość walca i średnicę lub obwód jego podstawy za argumenta mającéj, znaleźć summę bryłowatości ilukolwiek ostrokręgów ściętych, gdy wysokość każdego z nich i średnice lub obwody jego podstaw będą w liczbach dane, trzeba (pomijam tu wysłowienie dwóch innych sposobów postępowania) do summy bryłowatości walców odpowiadających w tablicy argumentom h i $\frac{L+l}{2}$, dodać $\frac{1}{3}$ summy bryłowatości walców odpowiadających argumentom h i $\frac{L-l}{2}$.

Łatwo się zaś samemu domyśléć, z jakichby dwóch części trzeba miéć złożoną tablicę, aby obliczenie bryłowatości ostrokręgu ściętego o podstawach równoległych a kołowych sprowadzało się, podług wzoru (2), do dodania do siebie dwóch liczb, z téjże tablicy wypisać się mających. Zwykle jednak tablice bryłowatości ostrokręgów ściętych mają za argumenta l, L i h, rozumiejąc przez l i L średnice lub obwody podstaw równoległych a kołowych; czyli, są ułożone tak, iż wchodząc z wiadomemi l, L i h do tablicy, znajdujemy w niéj, w ogólności bezpośrednio, bryłowatość żądaną: argumentom $l=L$, h, odpowiada walec; argumentom zaś $l=0$, L i h, odpowiada ostrokrąg cały.

Zdaniem p. professora Grunert, najdokładniejszy sposób wyznaczenia miąższości kloca drzewa nieobrobionego zależy na podzieleniu tegoż kloca na ostrokręgi ścięte; a którzy są tego zdania, obliczają rzeczoną miąższość zapomocą tablicy bryłowatości ostrokręgów ściętych. König zaś, w dziele: *Die Forst-Mathematik. Zweite stark vermehrte Ausgabe. Gotha*, 1842, pisze, że ostrokrąg ścięty nie obejmuje sobą pękatości kloca drzewa nieobrobionego; i że, byleby sekcye, podług rodzaju kloca, były dostatecznie krótkie, i punkta kończenia się sekcyi jednéj a zaczynania się następnéj stosownie poobiérane, zgodniéj jest z doświadczeniem i łatwiéj, uważać każdą sekcyą jako równoważną walcowi téj saméj długości, a któryby za podstawę miał przecięcie téjże sekcyi do jéj długości prostopadłe, w ogóle przez środek téjże długości poprowadzone, a w szczególnych przypadkach przez punkt, raczéj podług wprawnego okomiaru, niż podług pewnych stałych prawideł wyznaczyć się dający. Przerzeczonego dopiéro przecięcia sekcyi środkowego nie bierze König za jedno z kołem, średnią arytmetyczną między średnicami podstaw sekcyi za średnicę mającém. Podaje i on prawidło na bryłowatość ostrokręgu kołowego równolegle ściętego, wzo-

rem (2) wskazane; ale do obliczania miąższości sekcyj kloca drzewa nieobrobionego, tegoż prawidła nie używa: pomiędzy tablicami dla leśniczych posiłkowemi, nie podaje on tablicy bryłowatości ostrokręgów ściętych, lecz tylko tablice bryłowatości walców (*).

Uważając sekcyą kloca drzewa nieobrobionego, raz jako równoważną ostrokręgowi ściętemu, drugi raz znowu jako równoważną walcowi z jéj przecięcia środkowego, rzeczywiście wymierzonego, tę samę długość z sekcyą mającym, podstawiamy za tęż sekcyą dwie bryły w ogólności nierównoważne sobie, a z którychto dwóch brył, według kształtu sekcyi, raz ostrokrąg od walca, drugi raz znowu przeciwnie, walec od ostrokręgu może być większy. Biorąc w szczególności przecięcia kloca za koła, i licząc jego sekcye porządkiem od jednego do drugiego końca tegoż kloca, niech s_{2r-2}, s_{2r} będą średnice przecięć, jego $r^{tą}$ sekcyą ograniczających; s_{2r-1} średnica przecięcia środkowego téjże sekcyi, rzeczywiście wymierzona; σ_{2r-1} średnica walca, mającego tę samę długość z przerzeczoną dopiéro sekcyą, a równoważnego ostrokręgowi ściętemu, końcowe przecięcia téjże sekcyi za podstawy mającemu. Niech daléj H będzie długość całego kloca; n liczba składających go sekcyj; K miąższość tegoż kloca wypadająca z uważania wszystkich jego sekcyj za ostrokręgi ścięte; K' miąższość tegoż samego kloca, wypadająca z uważania każdéj jego sekcyi za walec téj saméj z nią długości, a rzeczywiście wymierzone środkowe przecięcie téjże sekcyi za podstawę mający. Jeżeli przytém średnice są wyrażone w calach, a H, K i K' w stopach; różnica $K-K'$ będzie równa liczbie $\frac{H\pi}{4\times 144}$, pomnożonéj

(*) Dla okazania, że miąższości kloców drzewa nieobrobionego długich i znacznie różnéj grubości końce mających, nie można wymierzać bez podzielenia tychże kloców na sekcye, bierze König za przykład, kloc dębiny 60 stóp długi, w grubszym końcu 40 cali, a w cieńszym 4 cale średnicy mający. Gdybyśmy, mówi, całą niniejszą sztukę drzewa uważali za walec téj saméj z nią długości, a średnicy zrównanéj $\frac{40+4}{2}=22$ cale; wypadłoby na miąższość całéj sztuki tylko 158,4 stóp sześciennych. Lecz, jeżeliby ta sztuka, jak się to nierzadko przytrafia, miała w swym środku 32 cale średnicy; sama część téj sztuki od grubszego końca do środka się rozciągająca, uważana także za walec jednako z tą częścią czyli 30 stóp długi, a ze średnicy zrównanéj $\frac{40+32}{2}=36$ cali, miałaby 212 stóp sześciennych miąższości, a zatém daleko więcéj, niż cała sztuka. To bryłomiernicze partactwo (mówi daléj autor), przychodom z lasów tak wielki uszczerbek przynoszące, po większéj części się jeszcze, ku cichéj radości kupujących, dotąd praktykuje. W niniejszym przykładzie König'a, biorąc, raz całą sztukę, drugi raz grubszą jéj połowę, za ostrokrąg ścięty, znaleźlibyśmy na całość 193,7, a na grubszą połowę 212,9 stóp sześciennych: liczby jeszcze z sobą sprzeczne, ale już mniéj, niż w poprzednim rachunku, od siebie się różniące.

przez pewną ilość większą od najmniejszéj a mniejszą od największéj z tych wszystkich ilości, którebyśmy otrzymali kładąc w różnicy $\delta^2_{2r-1} - s^2_{2r-1}$ za r po kolei 1, 2, 3,..., n. Albo też to samo inaczéj wyrażając: różnica $K-K'$ będzie równa liczbie $\frac{H\pi}{48\times144}$, pomnożonéj przez pewną ilość przypadającą między najmniejszą a największą z tych wszystkich ilości, którebyśmy otrzymali podstawiając w wyrażeniu

$$(s_{2r}-s_{2r-2})^2+3(s_{2r-2}+s_{2r}+2s_{2r-1})(s_{2r-2}+s_{2r}-2s_{2r-1})$$

za r po kolei 1, 2, 3,..., n. Możnaby też powiedzieć, że jeżeli sekcye kloca są wszystkie jednakiéj długości, i jeżeli postępując od jego cieńszego końca ku grubszemu, największą z pomiędzy różnic

$$s_1-s_0,\ s_2-s_1,\ s_3-s_2,\ \ldots\ldots,\ s_{2n}-s_{2n-1},$$

oznaczymy przez δ; różnica $K-K'$, bez względu na jéj znak wzięta, będzie zawsze mniejsza od

$$\frac{H\pi}{288}\left[\left\{s_0+(n+\tfrac{1}{2})\delta\right\}\delta-\frac{1}{4n}(s^2_{2n}-s^2_0)\right].$$

Sama atoli znaczna ilość przykładów w praktyce, raz przez ostrokręgi ścięte, drugi raz znowu przez walce z każdego środkowego przecięcia, sekcyami obliczonych, mogłaby dopiéro okazać, czy przy różnicy δ nieprzechodzącéj np. jednego cala, różnicę $K-K'$ można na każdym klocu drzewa zosobna, lub przynajmniéj (dlatego, że ona wypada, raz dodatną, drugi raz odjemną,) na massie kloców zaniedbywać. W browarkach, które p. Szumlański pod *a)*, *b)* i 3, str. 595, przez ostrokręgi ścięte obliczył, gdyby średnica przecięcia środkowego każdéj z pomiędzy cztérech sekcyj, po sześć stóp długości mających, była dana, różnica $K-K'$ okazałaby się zapewne mało znaczącą. Sekcye zaś po dwanaście stóp długości mające, są zadługie na to, aby je można uważać za ostrokręgi ścięte, lub za walce téj saméj z niemi długości, a którychby podstawami były środkowe przecięcia tychże sekcyj; dałyby jednak, na miąższość trzech przerzeczonych browarek, w piérwszém przypuszczeniu: 31,024, 44,942, 84,845; a w drugiém, odpowiednio: 29,125, 48,433, 82,990.

Jeżeli we wzorze ogólnym (2), dla kloca ostrokręgowego o podstawach kołowych uszczególnionym, zamiast różnicy $L-l$ podstawimy wartość hypotetyczną $\frac{h}{40+h}(L+l)$, będziemy, jak to uważa professor Paucker, mieli formułę, podług któréj, z wiadomych h i $L+l$, rozumiejąc przez L i l średnice podstaw, obli-

czone są tablice Henryka Cotta *(Tafeln zur Bestimmung des Inhalts der runden Hölzer)*, w wydaniu ich 3ém z r. 1838. Wypadki przerzeczonych dopiéro tablic są od liczb, którebyśmy przy tych samych wysokościach i tych samych summach średnic, dając sobie jeszcze różnicę tychże średnic, ze wzoru ścisłego (2) dla O otrzymywali, częstokroć znacznie, raz mniejsze, drugi raz większe. Nie wiém atoli, jak się ma rzecz z edycyą tych tablic siódmą, poprawioną, którą August Cotta 1854 r. ogłosił.

Namienię tu jeszcze, że przybliżona miąższośc kloców drzewa nieobrobionego dałaby się też obliczać przez wzory, w tak zwanéj kwadraturze mechanicznéj podawane, lub z nich złożone; namienię zaś nie dlatego, abym najprostsze z tych wzorów koniecznie do używania proponował, ale żem się chciał dowiedzieć, o ileby wypadki, za pomocą przerzeczonych dopiéro wzorów, a z téj saméj liczby i tychże samych przecięć otrzymane, różniły się od wypadków otrzymanych przez uważanie sekcyj kloca za ostrokręgi ścięte.

W klocu drzewa nieobrobionego, płaszczyznami do jego długości prostopadłemi na sekcye podzielonym, możnaby każdą sekcyą, którójby przecięcia podłużne nie były na zewnątrz wklęsłe, z tém większém przybliżeniem, im ona krótsza, uważać np. jako równoważną połowie summy dwóch walców jednakiéj z tą sekcyą długości, a przecięcia poprzeczne, też sekcyą ograniczające, za podstawy mających. Otrzymana tym sposobem miąższość sekcyi o podstawach nierównoważnych, będzie zawsze większa, niż gdybyśmy też samę sekcyą uważali za ostrokrąg ścięty; ale też ostrokręgi ścięte nie obejmują sobą nabrzmiałości sekcyj pękatych.

Możnaby też każdą sekcyą, z tém większém przybliżeniem, im będzie krótsza, uważać za tę z pomiędzy brył, dwiema od siebie równoległemi płaszczyznami jako podstawami zakończonych, któréj objętość jest ściśle równa szóstéj części iloczynu z wysokości przez summę obu podstaw i cztéry razy wziętego przecięcia środkowego, tojest w równéj odległości od podstaw i równolegle do nich poprowadzonego; a względem któréjto bryły B, odcinek np. ellipsoidy, kuli, obelisk, a tém bardziéj ostrokrąg ścięty i walec, są tylko szczególnemi przypadkami (*). Jeżeli sekcye, na któ-

(*) Gdy powierzchnie podstaw niniejszéj bryły B oznaczymy przez P_0 i P_2, powierzchnią jéj środkowego przecięcia przez P_1, a wysokość przez h, i położymy

$$P_0 + P_2 - 2P_1 = 2p_1;$$

objętość téj bryły, jako równa

$$\frac{1}{6} h (P_0 + 4P_1 + P_2),$$

wyrazi się jeszcze przez

$$h(P_1 + \frac{1}{3} p_1) = h \left(\frac{P_0 + P_2}{2} - \frac{2}{3} p_1 \right):$$

reśmy kloc cały podzielili, są wszystkie równéj długości, jakąbykolwiek była liczba n tych sekcyj, i jeżeli każdą z tychże sekcyj uważać będziemy za bryłę B dopiéro opisaną; powstanie ztąd, na obliczenie przybliżonéj bryłowatości całego kloca, wzór zwany prawidłem Simpson'a lub Chapman'a. Tojest: jeżeli w klocu drzewa nieobrobionego, dwiema równoległemi płaszczyznami poprzecznie ściętym, odległość H tych dwóch płaszczyzn końcowych od siebie podzielimy na $2n$ części równych, a przez punkta podziału poprowadzimy płaszczyzny do końcowych równoległe, i powiérzchnie przecięć kloca, wszystkiemi temi płaszczyznami zrobionych, idąc od jednego do drugiego końca, oznaczymy porządkiem przez

$$P_0, P_1, P_2, P_3, P_4, \ldots, P_{2n};$$

bryłowatość tego kloca, z tém większém przybliżeniem do prawdy, im liczba n będzie większą, wyrazi się przez

$$\frac{H}{6n}(P_0+4P_1+2P_2+4P_3+2P_4+\ldots+2P_{2n-2}+4P_{2n-1}+P_{2n}). \quad (3)$$

W praktyce, gdzie przecięcia uważają się za koła, których średnice lub obwody są dane w calach, i gdzie długość H jest dana w stopach, a szukamy bryłowatości w stopach sześciennych, wzór (3) dałby się dosyć łatwo obliczać, używając tablicy kwadratów, połączonéj z tablicą logarytmów. Łatwiéj jednak byłoby obliczać tenże wzór za pomocą zwyczajnéj tablicy walców; i nie masz tu potrzeby wyszczególniać, kiedyby za pomocą przerzeczonéj dopiéro tablicy walców, lub téż po ułożeniu sobie tablicy, pewne części tychże walców bezpośrednio dającéj, obliczanie miąższości kloca drzewa, sekcyami za bryły B uważanemi, lub téż od razu podług wzoru (3), sprowadzało się do samego tylko dodawania.

Podług prawidła na kwadraturę mechaniczną ze cztérech rzędnych równo od siebie oddalonych, odcinek uważanego tu kloca drzewa, między przecięciami P_0 i P_2 zawarty, miałby, z przybliżeniem do prawdy tém większém, imby był krótszy, za wyrażenie swéj bryłowatości

gdzie p_1 może być ilością dodatną, odjemną, lub zero. Jeżeli podstawy i środkowe przecięcie niniejszej bryły B są kołami; bryła ta jest od zbioru dwóch ostrokręgów ściętych, te same z nią dwie skrajne podstawy, a środkowe jéj przecięcie za podstawę spólną mających, większa, temuż zbiorowi równoważna, lub od niego mniejsza, stosownie do tego, jak podwojona średnica przecięcia środkowego bryły B jest większa od summy średnic obu podstaw rzeczonéj bryły, téjże summie równa, lub od niéj mniejsza. Toż mówić o porównaniu bryły B z ostrokręgiem ściętym, spólne z nią podstawy mającym.

$$\frac{h}{8}(P_0 + 3P_1 + 3P_2 + P_3): \qquad (4)$$

gdzie h oznacza odległość przecięć P_0 i P_3 od siebie.

Według wzoru zaś na kwadraturę mechaniczną z pięciu rzędnych równo od siebie oddalonych, przybliżona bryłowatość tego samego kloca, do któregoby się odnosił wzór (3) w założeniu $n=2$, byłaby

$$\frac{H}{90}(7P_0 + 32P_1 + 12P_2 + 32P_3 + 7P_4). \qquad (5)\ (*).$$

(*) Aby znaleźć objętość jakowej bryły danej, wyprowadźmy z jednegoż punktu dwie linie proste do siebie prostopadłe, które weźmy za osi spółrzędnych x, y; i niech a oznacza jakąkolwiek długość daną. Niech daléj płaszczyzna, do osi odciętych x zawsze prostopadła, począwszy od swego spotkania się z bryłą w jednym końcu, posuwa się ciągle, aż przyjdzie do drugiego końca téjże bryły. W każdem położeniu téj płaszczyzny ruchomej, na jéj przecięciu się z płaszczyzną stałą spółrzędnych xy odetniejmy rzędną taką, aby prostokąt z przerzeczonéj dopiéro rzędnéj i z linii a był równoważny powierzchni téj figury, podług któréj wspomniona płaszczyzna ruchoma, w niniejszém swojém położeniu, bryłę przecina. Linia krywa, na któréj wierzchołki tych wszystkich rzędnych przypadają, oś odciętych, i dwie rzędne skrajne, końcom bryły danéj odpowiadające, zamkną sobą odcinek płaski, którego powierzchnia A, pomnożona przez długość a, będzie żądaną objętością bryły danéj. Tym sposobem, dochodzenie objętości bryły sprowadza się do kwadratury.

Niech $f(x)$, gdzie f jest znakiem funkcyi, wyraża powierzchnią téj figury, podług któréj wspomniona płaszczyzna ruchoma przecina bryłę, znajdując się w odległości x od początku spółrzędnych. Linia krzywa, o któréj się powyżéj mówiło, będzie miała za równanie

$$y = \frac{1}{a} f(x). \qquad (\alpha)$$

Niech x_0, X będą odcięte tych dwóch punktów, w których przerzeczona płaszczyzna ruchoma przecina oś odciętych, zaczynając i przestając przecinać bryłę. Nie znając natury funkcyi $f(x)$, czyli, nie znając prawa zwężania się bryły, lub gdy to prawo jest zawiłe, a chcąc z wiadomych n rzędnych wspomnionéj linii krzywéj, w obrębie od $x=x_0$ do $x=X$ przypadających, tudzież z wiadomej odległości $X-x_0$ rzędnych skrajnych od siebie, znaleźć przynajmniéj przybliżoną wartość powierzchni A, podstawiamy w miejsce rzeczonéj linii krzywéj, inną linią krzywą, mającą za równanie

$$y = \frac{1}{a} \varphi(x), \qquad (\alpha')$$

w którém $\varphi(x)$ jest funkcyą zmiennéj x wymierną i całkowitą stopnia $n-1$, udeterminowaną tak, aby i ta druga linia krzywa przechodziła także przez wierzchołki owych n rzędnych danych. Wynajdujemy potem powierzchnią A' odcinka na płaszczyźnie xy, osią odciętych, tą drugą linią krzywą, tudzież dwiema jéj rzędnemi, odciętym $x=x_0$ i $x=X$ odpowiadającemi, ograniczonego, i bierzemy tak znalezioną powierzchnią A' za przybliżoną wartość powierzchni A. Za wspomnione rzędne, w liczbie n, których wierzchołki mają być obu liniom krzywym (α) i (α') spólnemi, biorą się pospolicie rzędne równo od siebie oddalone, licząc w to i rzędne skrajne, do odciętych $x=x_0$ i $x=X$ należące. Opisany

W trzech browarkach *a)*, *b)*, 3), powyżéj przytoczonych, w których średnice przecięć równo od siebie oddalonych są:

	s_0	s_1	s_2	s_3	s_4
a)	9″	11″	15″	18″	21″
b)	12	16	19	22	23
3)	21	22	24	28	32,

a odległość przecięć skrajnych od siebie wynosi 24′, i gdzie się przez cztéry sekcye po 6 stóp długości mające, a brane za ostrokręgi ścięte, przychodzi do miąższości:

30,260, 46,851, 84,114,

uważanie każdéj z tych sekcyj za połowę summy dwóch walców, dałoby odpowiednio

30,467, 47,042, 84,316;

ze złożenia zaś piérwszéj sekcyi z drugą, a trzeciéj z czwartą i uważania sekcyj tak złożonych za bryły B, lub téż wprost ze wzoru (3) w założeniu $n=2$, wypadłoby

30,020, 47,506, 83,874;

a wzór (5) dałby

29,953, 47,594, 83,984.

Jeżeli zaś, zaczynając raz od cieńszego, drugi raz od grubszego końca każdéj ze trzech niniejszych browarek, będziemy zbiór

zaś dopiero sposób wynajdowania przybliżonéj wartości na powierzchnią A, nazywa się mechaniczną kwadraturą téj linii krzywej, którą wyraża równanie (α); a względem założonéj bryły, mógłby się nazywać mechanicznem wymierzaniem jéj objętości, lub mechanicznem sześcianowaniem.

Stosując to mechaniczne wymierzanie bryłowatości do sekcyi kloca drzewa nieobrobionego, płaszczyznami do jego długości prostopadłemi poprzecinanego, i dając sobie tylko obie podstawy tejże sekcyi, czyli dwa tylko przecięcia, téż sekcyą ograniczające, otrzymujemy, na przybliżoną równoważność założonéj sekcyi, walec téj samej z sekcyą długości, a połowę summy podstaw tejże sekcyi za podstawę mający. Gdy prócz obu przecięć, sekcyą zakończających, dajemy sobie jeszcze i jéj przecięcie środkowe, wypada, że w przybliżeniu, trzeba tęż sekcyą uważać za bryłę B, powyżéj opisaną. Dając sobie zaś cztéry lub pięć przecięć kloca równo od siebie oddalonych, licząc w to i oba przecięcia kloc zakończające, znajdujemy, na przybliżoną bryłowatość tegoż kloca, odpowiednio wyrażenie (4) lub (5).

Jest jeszcze inny sposób mechanicznego wymierzania bryłowatości, w którym, chcąc z wiadomej długości bryły danéj, tudzież z wiadomych n przecięć tejże bryły, do jéj długości prostopadłych, wyrachować przybliżoną rzeczonéj bryły objętość, bierzemy po temu, nie przecięcia równo od siebie oddalone, ale przecięcia tak rozstawione, aby wypadek na objętość był bliższym prawdy, niż przy téj samej liczbie innych przecięć danych. Zastosowanie jednak tego sposobu do browarek, pod względem odmierzania odstępów, w których się przecięcia prowadzić mają, a w ogólności i pod względem mnożników tychże przecięć, byłoby trudniejsze.

trzech piérwszych jéj sekcyj sześciostopowych uważali jako bryłę mającą za objętość wyrażenie (4), a pozostałą sekcyą czwartą uważać będziemy jako ostrokrąg ścięty; wypadnie w piérwszym razie:

30,176, 47,028, 83,554;

a w drugim:

30,392, 47,200, 83,705.

Te sześciorakie dla każdego kloca wypadki są ze średniemi z nich wziętemi

30,211, 47,204, 83,925,

jak na pięć przecięć po sześć stóp od siebie odległych, i gdzie się różnica średnic po sobie następujących zmienia od 2 lub 1 do 4ch cali, dosyć zgodne. Większa liczba przecięć doprowadziłaby naturalnie do wypadków bardziéj z sobą zgodnych, z którychby się téż dopiéro z przybliżeniem wnieść dało, o ile sameż powyższe średnie są do prawdy zbliżone. Wiadomo zresztą, że nie dosyć, aby średnice przecięć były w samych tylko całkowitych calach podawane.

Artykuł pana *J. K. S.* miałem sobie w rękopismie kommunikowany.

W lutym 1855.

A. Frączkiewicz.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Tom IX Historyi literatury polskiej Michała Wiszniewskiego już się zaczął drukować w Krakowie. Tom ten obejmuje obraz literatury do r. 1650, i zamyka całe dzieło. Do tego tomu dołączony będzie spis alfabetyczny, jako klucz do całego dzieła: układa go p. Żebrawski znany z wielu prac naukowych.

— Znane są w dawnych naszych dziełach i najpiérwszych drukach tak łacińskich jak polskich drzeworyty, któremi je ozdabiano. Drzeworyty takowe albo gotowe sprowadzano z zagranicy (do Biblii), lub robiono w kraju: nieraz krajowe mieszano z zagranicznemi, jak tego mamy ślad wyraźny w Zwierciedle Reja, u M. Wierzbięty 1567 r. wydanem. Po świetnym okresie literatury Zygmuntowskiej, z jéj upadkiem i drzeworyty zaczynają znikać: lubo żywiono się ciągle pozostałemi z dawnych czasów, i często bez żadnego związku z textem dzieła przydawano. Nareszcie wszelki ślad drzeworytów krajowych w drukowanych książkach zniknął. W naszych czasach od r. 1840 do 1850, znany artysta Wincenty Smokowski probami swemi wskrzesił drzeworyty. Potrzeba drzeworytów do illustrowania dzieł polskich, coraz silniéj dawała się uczuwać. P. Michał Starkmann, młody artysta, poświęcił się wyłącznie drzeworytom, i w Paryżu u najsławniejszych artystów w téj sztuce pracował. Widzieliśmy probkę odbicia drzeworytu p. Michała Starkmanna. Przedstawia kościół Karmelitów na Krakowskiém-Przedmieściu. Nie uprzedzamy zdania znawców, ale sądzimy, że p. Starkmann potrafi godnie odpowiedzieć zadaniu

swemu. Obecnie pracuje nad drzeworytami do „Pamiętnika sztuk pięknych" B. Podczaszyńskiego, i dla jednego z wydawców naszych kalendarzy.

— Otrzymaliśmy list od Józefa Lompy znanego autora szlązkiego; list smutny, bo opisujący nietylko niedostatek, ale nędzę pełnego zasługi starca, który przeważnie wpłynął na rozwinięcie i podniesienie języka polskiego, i oświatę ludu szlązkiego. Gdzieindziej lacy pracownicy znajdują współczucie; u nas może literat z głodu i nędzy umierać, a nie znajdzie się nikt, coby mu w opuszczeniu rękę podał. Takato kolej przy zbytku bogaczów i rozpuście:—śmierć głodna lub długa dotkliwa nędza cnotliwych pracowników na niwie literatury ojczystej. I Lompa już od roku 1821 znany pisarz, wydaniem „Historyi Szlązka" rozpoczął swój zawód. Wyliczymy tu wszystkie prace jego: Pieśni nabożne, w Gliwicach 1833 r. (pierwszy zbiór polskich pieśni dla Szlązaków). Krótki rys geografii Szlązka z mappą, w Lublińcu 1843. Pielgrzym w Lubopolu, 1844 r. (historya Szlązka w opowiadaniu). Kruszce srebrne w wieku XIV (Ze zbioru wielkiego powieści ludowych szlązkich). Poezye własne i tłumaczone, poszytami wydawane w Opolu 1841, 42 i 43 r. Książka elementarna, 1843 r. (praca uwieńczona). Historya naturalna, w Olesnie 1847. Pieśni na uroczystość Bożego Ciała, w Gliwicach. Mały Górnik, w Opolu 1845. Chłopiec niewidomy, powieść, w Pszczynie 1847. Historya o Gryzeldzie i Walterze, tłumaczenie z niemieckiego, dwa wydania 1846 i 1847. Historya o szlachetnéj Meluzynie, w Olesnie 1847 r. Rachownik Pamięciowy, w Lesznie 1848 r. Nauka o zakładaniu owocowych ogrodów. N. Piekary, 1852. Złota rodzinna książeczka, o uprawie ogrodów warzywnych; o hodowaniu chmielu: o pszczelnictwie, o żywych czyli samorodnych płotach.—Ostatnie prace J. Lompy w zawodzie rolniczym, spowodowały Towarzystwo rolniczo-gospodarskie w Krakowie, że go mianowało członkiem swoim. Wszystkie te prace J. Lompa poświęcił wyłącznie dla ludu szlązkiego, i starał się zarówno wpłynąć na byt materyalny przez zwrócenie jego uwagi na chów pszczół, chmielu i uprawy ogrodów warzywnych: jak zarazem przemawiał do jego myśli i uczucia, czy to powieściami, czy podaniem dziejów Szlązka, to wierszykami prostemi, to zbiorami pieśni czysto ludowych powszednich, i pobożnych. Ostatnią pracę wydaje p. n. „Kwiaty moralne" podzielone na bukiety, w których opisując kształty kwiatów, zręcznie każdy myślą chrześciańską, moralną, wierszem zakończa. Na przesłanym egzemplarzu, zacny starzec własnoręcznie te słowa z psalmu 40 napisał: „Błogosławiony, który ma baczenie na potrzebnego i ubogiego". Oto cała przymówka tego, który w nędzy zostaje, a całe swoje życie poświęcił dla dobra ubogich a prostych bliźnich swoich!

— Akwarelle przedstawiające śś. Wojciecha, Stanisława, Jacka, Kazimierza, Jadwigę, i św. Kingę czyli Kunegundę, prawdziwie artystycznie wykonane p. W. Gersona, mają być wykonane w kilku kolorach w zakładzie M. Fajansa, kosztem p. Daziaro, właściciela znakomitych składów rycin w Petersburgu, Moskwie i Paryżu. Z powodu zakładu litograficznego tegoż M. Fajansa, musimy wspomnieć o toczącéj się polemice w pismach naszych, do których i Czas krakowski przystąpił. Pomniki grobowe z natury, do dzieła K. Wł. Wojcickiego: „Cmentarz powązkowski pod Warszawą", wykonywa sumienny i zdolny artysta p. Alfons Matuszkiewicz, który kształcił się w kraju i za granicą. J. I. Kraszewski, w Gazecie Warszawskiéj zdając sprawę z treści samego dzieła, zastanowił uwagę swoję nad rycinami, a oddając im należne pochwały, zganił peizaż przy grobowcu Skibickich. Dotknięty tem żywo p. Matuszkiewicz, tem bardziéj, że go ten zarzut niesłusznie dotknął, okazał swój oryginał, który się zupełnie różnił od litografii. Dziennik Warszawski rzecz całą wyjaśnił; uznał zarzut zrobiony p. Kraszewskiego litografii za sprawiedliwy, ale stanął w obronie p. Matuszkiewicza i surowo może skarcił młodego litografa, który zarozumiale chciawszy poprawiać oryginał zdolnego artysty, zepsuł go i oszpecił. Czas z daty 17 maja r. b. rzecz tę całą na nowo podjął, rozjaśnił, pochwalił obronę

sumienną p. A. Matuszkiewicza, i przyznał, że słusznie skarconym M. Fajans został, który jako litograf winien wiernie dane wzory rysować na kamieniu i odbijać, a zarazem przypomniał o niemałych zasługach p. Oleszczyńskiego w kraju, o których przy modnym, jak wyraża, nowym zakładzie M. Fajansa przygłuchło.

— W ozdobnéj edycyi, z drukarni Gazety Codziennéj, która dziś do pierwszych zakładów typograficznych policzoną być może, tak przez piękne druki jak i staranne odbicia, wyszła rozprawa prawnicza przez współpracownika Biblioteki Warszawskiéj Augusta Heylmana (vice-prezesa Sądu Appellacyjnego) napisana p. t.: „O dowodach stanu familijnego, ich rodzaju, istocie i właściwości". (8-ka, str. 30). Teoryą dowodzenia stanu familijnego, czyli stanu prawego dziecięcia, (szczególniéj w przypadku, gdy pewna osoba występuje z żądaniem przyznania jéj stanu familijnego, którego dotychczas wcale nie używała; czyli gdy twierdzi, iż należy do familii, do któréj dotąd nie należała), autor wywodzi z rozpraw i materyałów prawodawczych, dwom kodexom cywilnym: Napoleona i polskiego z r. 1825 towarzyszących i ściśle wykazuje, jakie li dowody piśmienne za dowody familijne, dwoma temiż kodexami wymagane, uważanemi być mogą. Stara się nadto w sposobie krytycznym i z wyższego poglądu na obyczaje familijne i społeczeńskie okazać, iż obok domniemania prawnego, że ojcem jest ten, którego pożycie małżeńskie za ojca wskazuje; istnieć powinno, a nawet w duchu obu powoływanych kodexów istnieje drugie domniemanie tak mocne jak pierwsze, że synem prawym nie jest, kto stanu familijnego nie używał. Ciekawa rozprawa ta może się stać pobudką do dalszych rozpraw naukowo-prawniczych. (Znajduje się do nabycia w księgarniach Friedlejna i Sennewalda, egzemplarz po kop. 40).

— Umieszczona wielkiéj wartości rozprawa Dominika Szulca „Życie Mikołaja Kopernika" w odcinkach Gazety Warszawskiéj, wyjdzie w osobnéj broszurze.

— Wiersze Marcina Molskiego w zbiorze jednym, już się zaczęły drukować. Wiadomo, że niemal wszystkich powodem i treścią są współczesne Molskiego okoliczności i wypadki. Aby je zrozumieć, potrzeba koniecznie w rozprawie wstępnéj określić stanowisko tego pisarza, i objaśnić wypadki, w których Molski brał udział i pisał wiersze. Przyrosły one do czasów księztwa Warszawskiego (chociaż już pisał na pochwałę Stanisława Augusta on wielki poemat Stanislaidę) i do pierwszych lat królestwa Polskiego. Bez tych wyjaśnień wierszy Molskiego, część większa będzie niezrozumiałą i na wartości swéj straci.

— W r. b. ukończonem zostało dzieło, zaczęte w r. 1846, poświęcone opisowi m. Gdańska. Obejmuje w sobie 24 tablic rycin wielkiego formatu, wyobrażających celniejsze gmachy tego starożytnego grodu. Wydał je J. K. Schultz professor i dyrektor szkoły Sztuk pięknych w Gdańsku p. n.: „Danzig und seine Bauwerke, in malerischen Original-Radirungen mit geometrischen Details".

— Nakładem księgarni Rubena Rafałowicza w Wilnie, a drukiem Breitkopfa i Haertla w Lipsku, w ozdobnéj edycyi wyszedł: „Margier, poemat z dziejów Litwy", Wł. Syrokomli, z okresu dziejów Kazimierza w go, w pięciu pieśniach; a nakładem T. Glücksberga tegoż autora gawęda p. n.: „Kęs chleba".

---

† Dnia 8 maja umarł w Warszawie w 57 roku życia Stanisław Janicki, doktor filozofii, radca Dyrekcyi Ubezpieczeń, b. prezes kollegium kościelnego warszawskiej gminy Ewang. reformowanej.—Zmarły oprócz wielu prac naukowych, znany był nadto jako wydawca kalendarza, który dawniéj Gałęzowskiego zastąpił.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Wolno drukować.—Warszawa, d. 14 (26) Maja 1855 r. Starszy Cenzor, *J. Popławski.*

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Kwiecień, 1855.

Kwiecień 1855. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser- Watoryum Astronomicznem Warszawskiem.**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad po- ziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1g. 14m.45s.,7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz.wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 godw.	10 god.w.	dé- szczu	śnie- gu
1		767.33	767.58	766.65	765.29	— 1°.2	+ 3°.1	+ 6°.6	+ 1°.7	65.5	pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	W.	PdW.	PdW.	PdW.		
2	☉.	761.97	760.72	757.96	756.51	+ 0.8	+ 4.4	+ 8.1	+ 2.9	63.7	lek. pochm.	pochmurny	lek. pochm.	pr. pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
3		754.24	753.85	752.02	750.33	— 0.2	+ 5.3	+ 10.9	+ 2.7	77.5	smugi	smugi	lek. zamat.	pogodny	PdW.	PdW.	PdZ.	PdW.		
4		748.05	747.43	745.95	746.29	+ 1.1	+ 6.7	+ 14.2	+ 7.7	65.0	lek. zamat.	smugi	pogodny	lek. pochm.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
5		746.66	747.77	747.50	749.03	+ 1.6	+ 8.2	+ 14.2	+ 7.9	66.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	PdZ.	PnZ.	Pn.		
6		749.72	750.84	751.13	753.67	+ 3.4	+ 9.1	+ 8.4	+ 3.6	79.0	smugi	smugi	pochmurny	pochmurny	—	Pn.	Pn.	Pn.		
7		753.11	752.42	749.91	748.77	+ 2.8	+ 5.9	+ 9.4	+ 4.6	75.3	lek. pochm	pogodny	pochmurny	deszcz	PnZ.	Z	Z.	Z.		
8		746.61	746.26	742.78	740.60	+ 4.0	+ 5.7	+ 9.0	+ 5.2	81.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pn.	Pn.	Z.	Pd.	4.4	
9	☾.	741.45	741.63	740.20	738.97	+ 1.2	+ 3.3	+ 5.2	— 0.6	82.5	lek. pochm.	pochmurny	pr. pochm	pogodny	Z.	PnZ.	Z	PdZ.		3.6
10		732.98	730.43	724.72	725.05	— 0.2	+ 4.0	+ 3.6	+ 3.3	87.0	pr. pogodny	pochmurny	deszcz	deszcz	Pd.	PdW.	PdW.	Z	8.0	
11		729.36	731.36	734.62	737.05	+ 2.4	+ 3.1	+ 6.3	+ 2.5	90.3	lek. pochm	deszcz	pr. pogodny	pogodny	PdZ.	Pd.	PdZ.	PdW.	5.2	
12		739.04	740.91	741.31	743.27	+ 1.8	+ 7.1	+ 8.7	+ 3.1	79.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	PdW.	PdW.	PnW.	—		
13		744.12	745.14	746.08	747.76	+ 2.1	+ 5.6	+ 9.8	+ 4.0	82.0	pochmurny	pochmurny	napół pog.	pr. pogodny	Pd.	PdZ.	Z.	—	2.4	
14		749.53	750.64	751.71	752.89	+ 1.7	+ 7.5	+ 11.5	+ 4.2	80.3	mgła gęsta	pochmurny	pr. pogodny	pogodny	PnZ.	PnZ.	Pn.	PdW.		
15		753.23	753.45	753.53	755.18	+ 2.9	+ 12.6	+ 13.2	+ 9.5	81.2	pogodny	smugi	pochmurny	pr. pogodny	—	PdW.	Z.	PnZ.		
16	♍.	757.35	757.89	756.98	756.72	+ 6.0	+ 12.0	+ 16.3	+ 9.3	78.3	mgła gruba	pogodny	lek. pochm.	pogodny	PnZ.	PdZ.	Z.	—		
17		755.53	755.39	755.05	756.44	+ 9.1	+ 13.0	+ 13.9	+ 6.2	76.2	pochmurny	pr. pogodny	pr. pogodny	pr. pogodny	Z.	Z.	PnZ.	Pn.		
18		755.78	755.91	755.71	758.06	+ 1.8	+ 5.8	+ 8.7	+ 1.9	62.0	pogodny	pr. pogodny	pr. pochm.	pogodny	Z.	PnZ.	PnZ.	Pn.		
19		758.50	758.21	755.44	753.40	— 0.4	+ 6.7	+ 10.8	+ 7.3	57.3	pr. pogodny	lek. pochm.	lek. pochm.	napół pog.	PnZ.	PdZ.	Z.	Pd.		
20		751.21	749.83	746.98	746.48	+ 4.8	+ 12.5	+ 17.8	+ 12.3	54.0	lek. pochm.	pogodny	pogodny	pochmurny	PdZ	PdZ.	Z.	Z.		
21		750.27	751.06	750.28	750.16	+ 5.4	+ 7.4	+ 6.3	+ 1.9	76.7	pogodny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Z.	Z.	Z.	PdZ.	1.3	
22		749.62	750.91	753.19	754.46	+ 2.6	+ 2.6	+ 1.7	+ 1.6	89.8	pochmurny	pochmurny	pochmurny	napół pog.	PnZ.	Pn.	Pn.	PnZ.	3.9	
23		755.14	755.23	753.14	752.15	+ 0.1	+ 2.9	+ 4.5	+ 1.4	66.0	pogodny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	PnZ.	PnZ.	Pn.		
24		749.58	749.43	749.00	749.17	— 1.2	+ 1.2	+ 5.5	+ 0.4	80.7	poch. śnieg	śnieg	pochmurny	pr. pogodny	Z.	Z.	Z.	PdW.		2.4
25	☽.	748.80	749.27	747.60	748.03	— 0.6	+ 4.8	+ 7.8	+ 6.2	68.5	pogodny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	W.	PnW.	PnW.		
26		747.04	747.47	747.74	748.50	+ 3.9	+ 5.8	+ 6.6	+ 6.0	84.0	deszcz b.dr.	poch. desz.	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	Pn.	PnW.	2.2	
27		747.77	747.70	746.61	746.51	+ 3.7	+ 6.4	+ 6.6	+ 4.2	79.8	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		
28		746.70	747.86	748.38	749.47	+ 1.4	+ 1.9	+ 5.8	+ 4.2	83.7	pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Pn.	PnZ.		1.6
29		750.13	751 21	751.65	752.17	+ 3.6	+ 6.5	+ 8.9	+ 5.0	79.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	—	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
30		752.03	752 62	752 24	752.30	+ 4.8	+ 9.5	+ 12.3	+ 5.8	67.5	pochmurny	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	PnW.	PnW.	2.0	
Śre.		749.762	750.014	749.200	749.492	+ 2°.31	+ 6°.35	+ 9°.09	+ 4°.53	75.3									28.5	7.6

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.617	27	8.302
Najwyżej barometr dochodził d. 1 o g. 10 r.	767.58	28	4.265
Najniżej — — d. 10 o g. 4 w.	724.72	26	9.265
Dotąd ani razu w kwietniu barometr nie podniósł się tak wysoko; ani nie spadł tak nizko.			
Średnia zmiana dzienna barometru	3.962		1.756
Największa zmiana dzienna barometru d. 9—10 o g. 4 wiecz.	15.48		6.862
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	0.406		0.175
	749.211	27	8.127
Średnia temperatura kwietnia wynosi:	+ 5°.57 C.	+	4°.46 R.
i ta jest niższa o	1.69 „		1.35 „
od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	+ 7.26 „	+	5.81 „
Największe ciepło było d. 20 o g. 4 w.	+ 17.8 „	+	14.24 „
Największe zimno było d. 1, 24 o g. 6 r.	— 1.2 „	—	0.96 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.388 „		1.910 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 20—21 o g. 4 wiecz.	11.5 „		9.20 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: +14°.5 R. d. 15 po połud.
Minimum: — 1°.9 „ d. 10 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 75.3 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 5.66 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blizko o 0.01 większa od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 28.5 mil. czyli 12.63 lin. par.; z śniegu 7.6 mil. czyli 3.37 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 36.1 mil. czyli 16.00 lin. par.; ilość ta wody jest o 1.07 lin. par. mniejszą od tej jaka zwykle w kwietniu u nas spada.

Dni pogodnych było 4, napół pogodnych 9, pochmurnych 17.
— deszczu 12 (d. 7, 8, 9, 10, 11, 13, 21, 22, 26, 28, 29, 30).
— śniegu 6 (d. 9, 11, 22, 23, 24, 28).
— gradu 4 (d. 9, 13, 21, 22).
— mgły 2 (d. 14, 16).

Wiatrów mocnych było 15 (6 PnZ., 5 Pn., 3 Z., 1 PnW.).

Wiatr panujący zachodni i południowo-wschodni, częste były także północne i północno-zachodnie.

Kwiecień r. b. był niepogodny, chłodny, wietrzny, blizko o półtora stopnia R. zimniejszy niż zwykle. Pierwsze dziewięć dni między pełnią a ostatnią kwadrą księżyca przy wysokim stanie barometru, były pogodne, suche lecz chłodne; następne dni niepogodne, wilgotne, słotne, w deszcz i śnieg obfite. Najcieplejsze dni były d. 15, 16, 17, 20, 30; najchłodniejsze d. 1, 9, 10, 11, 22, 23, 24, 28. Dzień 24 odznaczał się szczególnym stanem powietrza, od godziny bowiem 2 do 11 rano śnieg obficie pruszył i na 3 cale pokrył powierzchnię ziemi, w kilka jednak godzin stopniał. Wiatry północne i północno-zachodnie często wiejące znacznie oziębiały powietrze. Ostatni mróz w kwietniu — 1.5 stop. R. wynoszący był d. 25; ostatni śnieg z wiosny pruszył d. 28.

D. 12 między 8—9 w. widziano zorzę północną w słupach kolorowych.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z R. 1855.

Materyały historyczne.

Stron.

Wiadomość o starostwie Rabsztyńskiém..... 188
Starostwo rateńskie. Wyjątek z historyi osad wołoskich w Polsce, przez *J. T. L.*..... 209
Uniejów, szkic historyczno-statystyczny, przez *L. P. Witkowskiego*.. 401
Sommo-Sierra..... 419
Wycieczka archeologiczna po gubernii wileńskiéj, przez *Jana ze Śliwina* (Adama Kirkora)..... 433
O Słowianach, podług Jornandesa, przez *Andrzeja Kucharskiego*. 510

Opisy i podróże.

Wspomnienia z podróży i wycieczek po Kaukazie, przez *W. D.*.... 1
Wycieczki na stoki Karpat galicyjskie i węgierskie, ze szczególnym poglądem na ich wody mineralne i na ich inne uzdrawiające żywioły: rośliny, nabiał i wina, przez Dra *T. Tripplina*.... 82

Literatura.

Stron.

Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Międzymorze Suez (z mappą). — Wydobywanie z ciała ludzkiego metalów za pomocą elektro-chemii.—Leczenie głuchoniemych i projekt nowéj dla nich grammatyki, przez p. Rémi-Valade.—Nasiona roślin pożywnych przywiezione z Chin do Francyi.—Fenomen widziany na morzu Indyjskiem.—„Złota przepaska" komedya we trzech aktach Emila Augier.—„Miss Fauvette."—Świat ptasi przez p. Toussenel.—Przegląd muzyczny.—Wiadomości literackie 122

Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Kilka słów o obrazach na wystawie powszechnéj.— Bitwa pod Chocimem: obraz pana Rodakowskiego.—Méry: Proba małżeństwa, komedya przez tegoż.—Wesele weneckie, dramat w pięciu aktach.—Wiadomości literackie.—Posąg dziewicy Orleańskiéj..... 309

Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna: Pałac wystawy.—Cztery tomy Literatury dramatycznéj przez pana *Jules Janin*.—Froment Meurice.—Wiadomości bieżące i literackie.. 524

Powieści.

Kłopoty starego komendanta. Pan marszałkowicz. Opowiadanie.. 256, 541

Poezya.

Babunia. Gawęda przez *Henryka Cieszkowskiego*..... 303

Pan dwóchset wysp, Walter-Skotta (ciąg dalszy)..... 453

Dlaczegoś smutny? Przez *Henryka Cieszkowskiego*..... 522

Dramat.

Komedya. Dramat *Apollona Korzeniowskiego* (dokończenie).... 31, 233

Rozbiory.

Estetyka i Poezya: 1) Estetyka czyli Umnictwo piękne, przez Karola Libelta. 1854. 2) Senatorska zgoda; tradycya szlachecka, opowiedział Wincenty Poll. 1854. 3) Urodzony Jan Dęboróg; dzieje jego rodu, głowy i serca, przez Władysława Syrokomlę. 1854. 4) Tomira. Misteryum przez Deotymę. 1854. Przez *T*..... 173, 380

Materyały historyczne wydane przez Kommissyą archeologiczną kijowską. Kijów. 3 tomy. 1846—1848. Przez *J. Bartoszewicza*. 579

Ludowe przypowieści gospodarstwa wiejskiego, przez *Tymoteusza Lipińskiego*..... 614

Umiejętności matematyczne.

Stron.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj o obliczaniu miąższości drzewa, od *J. K. S.* i Przypis do dwóch poprzednich artykułów, przez *A. Frączkiewicza* 615

Nauki przyrodzone.

Sprawozdanie z podróży naturalistów odbytéj w r. 1854 do Ojcowa. 142, 355
Do pracujących w chemii, przez *J. B. Rogojskiego* 192
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:
Chemia, przez *J. B...g* 195
Przemysł i rękodzieła 196
Fizyka, przez *S. P.* 424

Doniesienia literackie 201, 426, 626

Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomicznem warszawskiém:
za miesiąc luty r. b. 205
— — marzec r. b. 429
— — kwiecień r. b. 629

SPROSTOWANIA

w tomie IIgim.

Str.	*wiersz*	*zamiast*	*czytać.*
211	11 *od dołu*	ukazaną wyżéj świeżą	ukazaną wyżéj, świeżą
213	27 *od góry*	w niéj	w niem
215	11 *od dołu*	pod	po
219	28 *od góry*	G. U.	R.
229	9 *od góry*	gospodarstwa	na gospodarstwa
377	24	*Cucu-*	*Cuculus*
378	23	*Oedicnaemus*	*Oedicnemus*